



Adele Parks



GAME OVER

— Cóż za złowieszczy początek małżeńskiego pożycia — zauważa Josh.

— Czy początek czegoś takiego może nie być złowieszczy? — pytam.

Josh szczyrzy zęby w uśmiechu, Issie wykrzywia się gniewnie. Ona uwielbia śluby. Na dworze rozpętała się taka ulewa, że krople deszczu odbijają się od chodnika i opryskują mi nogi aż pod spódnicą. Marznę jak cholera i marzę wyłącznie o tym, żeby panna młoda przestała wreszcie ściskać swoją matkę i wsiadła do samochodu. Przyglądam się bliżej. Może ona wcale jej nie ściska, tylko chwyta się kurczowo? Może nagle, gdy pojęła, co nieszczęsna uczyniła, dopadły ją wątpliwości? Issie wytrzepuje z niebieskiego pudełka resztki confetti, które jednak nie dolatują do nowożeńców. Confetti osiada na brudnym chodniku. Ponura ulica uderzająco kontrastuje z odświeżonymi strojami państwa młodych, ich promiennymi uśmiechami, samochodem, kwiatami.

— Josh, jak się mówi na zgniecioną kostkę? — pytam, wskazując małe niebieskie pudełko po confetti. — Chyba powinni wymyślić jakieś nowe opakowanie — dodaję.

— Nie! — wykrzykuje z przerażeniem Issie, zupełnie jakbym postanowiła pokazać księdzu majtki. — W ślubach najważniejsza jest tradycja.

— Nawet jeżeli z powodu tej tradycji wszystko jest tandetne i z góry wiadome? — Dwa grzechy ciężkie w moim kodeksie.

— Z definicji — broni się Issie. I daje susa, by zająć strategiczną pozycję w pierwszej linii walczących o bukiet. Nerwowo przeskakuje z nogi na nogę, jej lśniące, sięgające ramion blond włosy opadają raz na jedną, raz na drugą stronę. Issie to straszna wiercipięta. Ja jestem wzorem opanowania. Ona bez przerwy zaciera ręce, przytupuje nogą rusza kolanem. Kiedyś przeczytała, że przy takim nieustannym ruchu spala się trzydzieści kalorii na godzinę — więcej niż ma batonik Mars — co daje kilka kilogramów rocznie, cały rozmiar w ciągu życia. Ta jej nieustanna bezcelowa aktywność jest dla mnie wyjątkowo trafną metaforą życia, jakie wie dzie.

Nawet nie próbuję łapać bukietu. Są ku temu dwa powody. Po pierwsze, gdyby mi się udało, Issie by mnie zlinczowała. Przez całe przyjęcie wlewała hektolitry drinków w samotne dziewczyny, łudząc się, że w ten sposób znacznie pogorszy ich koordynację ruchową. Po drugie, wszystko to bzdety.

Mówię serio, małżeństwo to jedna wielka bzdura. Oczywiście, jak chyba każdy lubię włożyć kapelusz i napić się szampana. Ogólnie rzecz biorąc, na weselu można się całkiem nieźle zabawić. Ale nic poza tym, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Poza tym to pierdoły. Nie jestem facetem. Ani żadną lesbą. Nie mam też nic przeciwko mężczyznom jako takim — Josh jest moim najlepszym

przyjacielem, a w końcu to facet. Jestem samotną, atrakcyjną, heteroseksualną trzydziestotrzyletnią kobietą sukcesu. Po prostu nie mam ochoty wychodzić za mąż. Nigdy.

Jasne?

Issie nie udaje się złapać bukietu i wygląda na bliską załamania.

— Drinka, Cas? Issie? — pyta Josh, chcąc nieco podnieść ją na duchu. Nie czeka na odpowiedź, tylko wraca do hotelu i kieruje się wprost do baru. Wie, że ochoczo przyłączymy się do niego na drinka w stylu martini: zawsze, wszędzie, gdziekolwiek. Przeciskamy się przez wyelegantowany tłum. Nie dalej jak rano wszyscy siedzieli skromnie w kościelnych ławkach, teraz jednak w niczym nie przypominają ludzi cywilizowanych. Panna młoda wyszła, pan młody i starsza część towarzystwa znikła, a cała reszta oddaje się temu, po co tak naprawdę tu przyszła. Możliwości załamania się na hedonistyczny, niczym nieskrępowany, bezwstydy seks.

Swój cel namierzyłam już w kościele, jeszcze zanim padły sakramentalne „tak”. Jest wysoki, ciemny i przystojny. Co prawda z jego inteligencją jest chyba nieco gorzej. Wygląda na tak zakochanego w sobie, że dla nikogo więcej nie ma w jego sercu miejsca. Idealnie. Osobnik wnikliwy, o głębokim wnętrzu to zjawisko zdecydowanie przeceniane. Prawdziwie cenny jest płytki bezmózgowiec, za to szczerze wyposażony przez naturę.

Ważne, by cel namierzyć odpowiednio wcześniej; co równie istotne, należy mu jasno dać do zrozumienia, że właśnie on nim jest. Uśmiecham się. Wprost do niego. Jeżeli w tym momencie on rozgląda się w poszukiwaniu adresata mojego uśmiechu, z miejsca odpuszczam. Moi mężczyźni muszą być na tyle aroganccy, by wiedzieli, że to z nimi właśnie flirtuję.

Zdaje egzamin, odwzajemniając uśmiech. Odwraca się po to jedynie, żeby spojrzeć na swoje odbicie w wiszącym za jego plecami lustrze. Znowu się uśmiecha. Tym razem do siebie. W zasadzie trudno powiedzieć, kiedy jest bardziej zachwycony. Nie przeszkadza mi to. Próżność to siatka bezpieczeństwa. Potrząsam włosami i odwracam się. Sprawa załatwiona.

Issie wraz z Joshem wciąż przedzierają się do baru. Wołam, żeby wrócili.

— Co jest? — denerwuje się Issie. — Już prawie podchodziłam.

— Nie martw się. Drinki w drodze.

— Och. — Z ulgą opada na obite perkalem krzesło. Josh, wierząc mi na słowo, zapala papierosa. Wszyscy znamy moje metody. Josh i Issie wiedzą o mnie wszystko.

Josh jest dla mnie jak brat. Poznaliśmy się, mając po siedem lat, gdy sąsiadowaliśmy ze sobą płot w płot na podmiejskim osiedlu. To właśnie spotkanie nauczyło mnie wierzyć w przeznaczenie. Nastąpiło ono, gdy nasze rodzinne gwiazdy mijały się w swoim biegu. Jego znajdowała się w ascendencji. Moja pikowała w dół.

Tamtego lata dzieliliśmy się kostką Rubika, wodą sodową i pełnym niepokojem przecuciem nadciągających zmian. Nasz dziecięcy szósty zmysł podpowiadał, że oboje jesteśmy bezsilni wobec kaprysów dorosłych. Nasz wolno stojący, z pięcioma sypialniami dom w Esher, w hrabstwie Surrey, dotąd przez moją matkę i mnie uważany za spełnienie wszelkich marzeń, okazał się adresem tymczasowym. Latem ojciec oświadczył, że kocha inną kobietę i nie może już dłużej żyć z moją matką. Na co ona, z niespotykanym u niej dowcipem i emocjonalną uczciwością zapytała, czy woli kremację czy też raczej pochówek. Wygłosiwszy swoje oświadczenie, ojciec od razu się wyprowadził. Miałam go zobaczyć jeszcze trzy razy w życiu. Tydzień później zjawił się po swoje płyty i przy okazji podarował mi domek dla lalki Lundby (zapewne w zastępstwie domu, który właśnie niszczył). Po miesiącu zabrał mnie do zoo (płakałam przez całe popołudnie, mówiąc, że nie mogę znieść widoku zwierząt za kratami. Nie była to prawda, ale uparłam się, by to popołudnie było dla nas obojga koszmarem — w końcu my z matką miałyśmy takie codziennie). I jeszcze w następne święta Bożego Narodzenia (kiedy to nie chciałam otworzyć prezentu od niego ani usiąść mu na kolanach). Od tego czasu przysyłał już tylko życzenia świąteczne i urodzinowe, ale i one urwały się, gdy skończyłam dziesięć lat. Lato siedmioletniego Josha także nie należało do szczególnie udanych: dowiedział się, że zostanie przeniesiony ze swojej ukochanej miejscowej podstawówki i odtąd będzie pobierał nauki w czcigodnych murach prywatnego Stowe. Gdy dziś na to patrzę, dochodzę do wniosku, że szósty zmysł niekoniecznie miał z tym coś wspólnego. Prospekty z różnych szkół i nieustanne kłótnie musiały dawać nam do myślenia. Choć każde z nas borykało się z własnym przerażeniem, nawiązała się między nami nić wzajemnego współczucia i coraz więcej czasu spędzaliśmy w swoim towarzystwie. W ponurych nastrojach uczyliśmy się jeździć na wrotkach i objadaliśmy się niedojrzałymi jagodami, stając się sobie nad wyraz bliscy. W dalszym ciągu uważam, że on wyszedł na tym wszystkim o niebo lepiej. W owym czasie mieszkaliśmy w identycznych domach, różniących się jedynie kolorem laminatu na kuchennych meblach. Mnie nigdy już nie było dane mieszkać w czymś tak ogromnym. Jemu, wręcz przeciwnie, w niczym równie ciasnym. Już jako dziecko wiedziałam, na czym polega różnica. Jego ojciec nie obnosił się ze swoimi romansami.

Podaję, że nasza dziecięca przyjaźń, choć na swój sposób niezwykle intensywna, w końcu by wygasła, ale traf chciał, że spotkaliśmy się znowu, już jako dwunastolatki, na okręgowym turnieju tenisowym. Josh przekonał się, że znajomość z dziewczyną, obojętnie jaką, znacznie podnosi notowania w Stowe. Mnie natomiast urzekły jego zaokrąglone samogłoski, a poza tym, mimo dość młodego wieku odkryłam, że współzawodnictwo ma bardzo pozytywne działanie, na które to wyzwanie chłopcy z Westford Comprehensive ochoczo odpowiedzieli. Okazało się, że Josha i mnie nadal łączy wzajemna sympatia. Na tyle mocna, że Josh nie wahał się sprawić zawodu

swoim nauczycielom oraz rodzicom i w ślad za mną poszedł na Manchester University, choć oni widzieli go w instytucji nieco starszej i o nieco mniej czerwonych murach. Ja nie wahałam się przed wyborem Manchesteru; grały tam modne kapele, mieli radykalny związek studentów, faceci chodzili w podwiniętych lewisach i nosili martensy, głównie jednak pociągał mnie doskonały kierunek dziennikarski.

Josh jest wysoki, ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i blond włosy. Obiektywnie rzecz biorąc, muszę przyznać, że jest najbardziej atrakcyjnym znanym mi mężczyzną, z którym nie spałam. Ilekroć przedstawiam go swoim koleżankom i współpracownikom, wszystkie mdleją i nie ustają w zachwytach nad nim. O takich facetach jak on mówi się, że są „przystojni” albo „odlotowi”. Wszystkie co do jednej, jako że cierpią na całkowity brak wyobraźni, żyją w głębokim przekonaniu, że jesteśmy parą. Cierpliwie tłumaczę, że za bardzo go lubię, by komplikować wszystko, łądując z nim w łóżku.

Prawdę powiedziawszy, ja Josha kocham. Jest jedną z trzech osób na świecie, które kocham. Kocham swoją matkę, choć się z tym nie obnoszę. I kocham Issie.

Poznałyśmy się z Issie na uniwerku. W czasie pierwszego semestru studiowała biologię, potem przeniosła się na chemię, a w końcu na inżynierię chemiczną. Błędem byłoby sądzić, że okazała się ona jej powołaniem, po prostu jej opiekun nie chciał słyszeć o kolejnej zmianie kierunku. Issie jest porażająco inteligentną, choć przerażająco niepoprawną optymistką. Połączenie dość niezwykle, będące dla niej źródłem nieustannych rozczarowań. Jest nieco wyższa od przeciętnej (metr siedemdziesiąt) i odrobinę chudsza (brytyjska dziesiątka), co udaje się jej osiągnąć nie tyle dzięki wizytom w siłowni, ile nadmiernej ruchliwości. Dlatego jest szczupła, choć za mało umięśniona. Nieustannie lamentuje z powodu swoich sflaczałych ramion i obwisłego brzucha, ale nigdy, przez całe piętnaście lat naszej znajomości, ani przez moment nie pomyślała poważnie o ćwiczeniu brzusków czy podnoszeniu ciężarków (chyba że ktoś zaliczyłby do tej kategorii targanie ciężkich toreb z zakupami). Jest naturalną blondynką; świadczą o tym jasne rzęsy i brwi. Dlatego też nigdy się nie opala, ale i tak ma pełno piegów na nosie (szerokim) i ramionach (szczupłych). Za to jej usta z całą pewnością są najbardziej seksowne w całym zachodnim świecie. Wydatne i czerwone. Kobiety uważają ją za uderzającą piękność. Faceci natomiast mają diametralnie odmienne spojrzenia: jedni w ogóle jej nie zauważają — jej wrodzona bledość czyni ją dla nich niewidzialną; inni z kolei marzą, by stać się dla niej rycerzem w lśniącej zbroi, i chcą ją ustawiać na piedestale. Nie sądzę, by któraś z tych postaw jej odpowiadała. Zabójczy intelekt Issie połączony z brutalną szczerością należałoby wyróżniać nie tylko poprzez obojętność lub idealizowanie. Ileż jednak rzeczy powinno się wydarzyć, a nie wydarza się nigdy. Niewielką mam więc nadzieję, aby Issie trafiła na godnego siebie mężczyznę, tym bardziej że optymizm zdecydowanie wziął u niej górę nad inte-

ligencją i całe jej dorosłe życie przebiega pod znakiem uporczywej, choć pozbawionej sensu krucjaty poszukiwania ukrytej głębi w mężczyznach, z którymi się umawia. Ileż to razy tłumaczyłam jej, że po drugiej stronie tęczy naprawdę nie ma garnka ze złotem.

Tak naprawdę odpowiedzialność za moją przyjaźń z Issie ponosi Josh. Wypatrzył ją podczas otrzęsin i wyjątkowo przypadła mu do gustu. Błagał mnie, żebym się z nią zaprzyjaźniła. Co też uczyniłam. Kiedy przekonałam się, jak bardzo ją lubię, a także jak eteryczną i kruchą jest istotą, on zdążył już zaliczyć połowę studentek z Withington i Fallowfields. Uznałam, że Issie jest zbyt wyjątkowa, by on mógł ją potraktować w swój przelotny i wredny sposób. Zniechęciłam więc oboje — trzeba przyznać, że w stylu godnym Machiavellego. Jej opowiadałam o wszystkich jego wadach, jemu natomiast podsuwałam coraz to nowe, zachwycone nim koleżanki. Intryga okazała się wyjątkowo skuteczna.

I nadal uważam, że podjęta wówczas decyzja była jak najbardziej słuszna.

Gdyby naprawdę byli sobą poważnie zainteresowani, jakoś by się w końcu spiknęli.

Nawiązały się między nami zdrowe, oparte na flircie stosunki, i często nie do końca było wiadomo, kto się komu podoba. Zamiast dzielić łóżka, na drugim i trzecim roku dzieliliśmy mieszkanie. Tylko nasza trójka, niechętnie dopuszczająca kogokolwiek do naszego prywatnego azylu. Co było rozsądnym posunięciem, jako że kłótnie o to, kto ostatnio kupił papier toaletowy albo schował do lodówki pusty karton po mleku, kładły kres wszelkim romantycznym mrzonkom, jeśli takowe którekolwiek z nas żywiło.

Jako studenci nie wyróżnialiśmy się niczym. Unikaliśmy wykładów, aktywnie uczestniczyliśmy w życiu klubów i stowarzyszeń — rugby (Josh), Klubu Literackiego (Issie), degustatorów wina (*ja*); wlewaliśmy w siebie hektolitry w uniwersyteckim barze, na ostatnią chwilę przed egzaminami kuliśmy jak wściekli i bez opamiętania się pieprzyliśmy. Nietypowe było natomiast to, że żadne z nas nie padło ofiarą statystyk, według których jedna trzecia absolwentów spotyka swoich przyszłych stałych partnerów na uczelni. W ogóle byliśmy beznadziejni we wszystkim, co wiązało się ze stałością. Issie zakochiwała się w każdym, z kim poszła do łóżka. W ten nieco chybiony sposób starała się zasłużyć sobie na szacunek. Spała z facetem, dopóki nie miał dość czytania poezji metafizycznej w charakterze gry wstępnej. Josh zakochiwał się w każdej kobiecie, którą przeleciał, wytrzymując przynajmniej do śniadania, choć czasem trwało to wieki. Wiecznie łamał czyjeś serce. Ja nie zakochiwałam się nigdy, a często znudzona byłam jeszcze przed wypaleniem pierwszego postkoitalnego papierosa.

Jako dwudziestolatki dalej żyliśmy podobnie i zapewne — czy to się komuś podoba, czy nie — żyć będziemy aż do emerytury. Ani mnie, ani Josha taka perspektywa nigdy nie martwiła. W salach sądowych, gdzie tak skutecznie sobie poczynał, aż roiło się od inteligentnych i chętnych ko-

biet, w których mógł się zakochiwać i odkochiwać *ad infinitum*. To samo można powiedzieć o mojej pracy w mediach. Gdy szukam pracy, podstawowe kryterium, jakim się kieruję, jest obfitość młodzińców dość swobodnie podchodzących do kwestii moralności. Nie mam żadnych złudzeń co do uczuciowego zaangażowania się, dzięki czemu jestem nadzwyczaj atrakcyjną propozycją dla facetów, którzy nie mają zamiaru się angażować — to znaczy dla 99,99 procent. Korzystam więc i wykorzystuję. Tak jest łatwiej. W zasadzie rzadko zdarza mi się wykorzystywać. Aby ktoś mógł zostać wykorzystany, musi się emocjonalnie zaangażować, a z mojego doświadczenia wynika, że mężczyźni nader chętnie rezygnują z tej przyjemności, jeżeli tylko taka możliwość się nadarzy. Kiedy więc opuszczam ich łóżka, zapominając zapisać swój numer telefonu na pustym opakowaniu po papierosach, lub gdy wyganiam ich ze swojego mieszkania, żegnając pustą obietnicą, że się odezwę, tak naprawdę żaden zbytnio się nie przejmuje.

Issie pracuje jako technik laboratoryjny w wielkiej firmie farmaceutycznej. W białym kitlu wygląda bardzo kusząco, wiem jednak, że pragnie czegoś więcej niż szybkiej zabawy w lekarzy i pielęgniarki. Wciąż jej powtarzam, że na próżno szuka, ona zaś pragnie uważać się za szczęściarę, że do kochania mamy przynajmniej siebie nawzajem.

— Czy mogę zaproponować drinka?

Nigdy nie odpowiadam na takie pytanie twierdząco, zanim nie sprawdzę, kto je zadaje, choćby bar pękał w szwach. Podnoszę wzrok i oto stoi przede mną Pan Wysoki, Ciemny i Przy-stojny. Załapał. Arogancko dzierży butelkę Bollie i kilka kieliszków. Lubię bezczelność, ekstrawagancję i podoba mi się, kiedy facet wie, że moi przyjaciele także są spragnieni. Ma błyszczące zielone oczy i opadającą grzywę — prawdziwy krzyk mody, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Powstrzymuję się przed zwróceniem mu uwagi, że od czasu *Znowu w Brideshead* żaden facet (poza Hugh Grantem) nigdy już nie zrobił wrażenia taką fryzurą. Powstrzymuję się, bo oprócz wzrostu, oczu i kości policzkowych podoba mi się jego garnitur.

— Super. — Uśmiecham się.

Dalej wszystko idzie jak zwykle — pyta mnie, jak się nazywam, odpowiadam mu, że Cas, a on na to:

— A Cas to zdrobnienie od czego?

Wyjaśniam, że od Jocasty, i dodaję:

— To po babci ze strony ojca, bardzo w stylu Edypa.

Czasem łapią, w czym rzecz, kiedy indziej nie, ale w zasadzie jest to bez znaczenia, bo niezmiennie cieszą się jak wariaci. Ponieważ zazwyczaj, gdy rozmowa dochodzi do tego punktu, faceci, z którymi ją prowadzę, są na mnie porządnie napaleni. Nawet jeżeli nie są zainteresowani związkami z greckim dramatem klasycznym, bardzo interesuje ich możliwość rozegrania ze mną

ognistej gry wstępnej. Oceniają moje obfite sterczące piersi lub długie, brązowe, zgrabne nogi, w zależności od tego, czy kręcą ich cycki czy też raczej nogi. Jeśli natomiast ich gusta są nieco bardziej wysmakowane i podniecają ich długie, lśniące, czarne włosy, gładka skóra, szczupłe biodra, niebieskie oczy, czy też proste, białe zęby, wszystko to również mam w ofercie.

Wierzcie mi, dobrze wiem, że jestem błogosławiona.

Mam długie włosy, bo wiem, jak działają na facetów. Patrzą na mnie i widzą bądź seksowną sukę, bądź też dziewiętnastowieczną heroinę, w zależności od preferencji. Mówiąc wprost, uważam, że do mojej osobowości bardziej pasowałyby ostro ścięte, sięgające policzków włosy, ale pracuję w telewizji i mój okrzyk wojenny brzmi: „Dajmy im, czego chcą”.

Pytam go o imię, starając się je zapamiętać. Pytam, czym się zajmuje, i on coś mi tam odpowiada. To bez znaczenia. Jego perspektywy są ważne tylko dla kobiet, które myślą o przyszłości. Zauważam, że ma wielkie stopy, co jest niezwykle ekscytujące. Doświadczenie (wszechstronne i zróżnicowane) nauczyło mnie, że w starym porzekadle jest dużo prawdy. Bez przerwy go dotykam. Delikatnie i przelotnie, w rękę, w ramię. Strzepuję nawet nieistniejący pyłek z kieszonki jego marynarki. Zdumiewające doprawdy, jak faceci łapią się na te stare, wyświechtane gesty. Przesuwam językiem po wargach, zębach i oliwce z jego martini. Nie jest niewiniątkiem. Zna te gierki. Sam je stosował mnóstwo razy. Jest trochę zaskoczony, że teraz to z nim ktoś pogrywa w ten sposób, lecz moja śmiałość go podnieca. Próbuje przejąć kontrolę przynajmniej nad rozmową, pyta więc, jak zarabiam na życie. Mówię mu, że jestem producentką telewizyjną w nowej stacji naziemnej TV6, co ostatecznie rozwiewa wszelkie wątpliwości, jeśli takowe w ogóle były.

Moja wspaniała praca ma potężną moc przyciągania. Bo też jest wspaniała, zwłaszcza w porównaniu z zajęciami zwykłych śmiertelników. Wszyscy zatrudnieni w telewizji zgodnie zaprzeczają, jakoby to, co robią, było zabawne i wciągające, co jest z ich strony czystą pozą. W ten sposób staramy się jednak zmniejszyć poczucie winy, jakie wywołują w nas gigantyczne pieniądze, które zarabiamy. Bez wątpienia o wiele ciekawiej jest sprzedawać czas antenowy niż — dajmy na to — gotowaną fasolę w najlepszym nawet supermarkecie. Bezsprzecznie też woli człowiek spotkać w windzie Desa O'Connora niż Dave'a Jonesa z księgowości. Z drugiej jednak strony praca w TV jest cholernie ciężka. Siedzę w tym biznesie już od dwunastu lat. Bezpośrednio po uniwersytecie zaczynałam jako inspicjentka w *Wake Up Britain*. Zarabiałam grosze, ale byłam zachwycona. Miałam pracę w telewizji. Większość czasu żyłam w stanie permanentnego strachu. Nie byłam za nic odpowiedzialna, więc największą zbrodnią, jakiej mogłam się dopuścić, było wsypanie cukru do kawy komuś, kto wyraźnie prosił o sacharynę. Stale dręczyła mnie obawa, że mój strój, włosy, figura, akcent, żarty są nie do przyjęcia. Wszystkie pieniądze wydawałam na odpowiednie ciuchy (czarne) i odpowiednie fryzury (długie, krótkie, bardzo krótkie, znowu długie, czarne, blond, rude,

znowu czarne), szczęśliwie tworząc się wciąż od nowa, aż w końcu mogłam być sobą. Musiałam być dobra — walczyłam o przetrwanie. Nie tyle dobra, ile najlepsza. Żadna praca nie była zbyt błaha, żeby podjąć się jej z radością. Nic nie przekraczało moich ambicji, wszystkiego chwytałam się zachłannie. Pracowałam do upadłego, raz nawet w Boże Narodzenie, co tak naprawdę nie było z mojej strony poświęceniem. Święta mnie nudzą. Wszystko się opłaciło. Wyprzedziłam swoich rówieśników i w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat zostałam szefową działu zbierania materiałów. Błyskawicznie awansowałam na asystentkę producenta, potem kierownika produkcji i na tydzień przed trzydziestymi urodzinami osiągnęłam przygotowujące o zawrót głowy wyżyny stanowiska producenta programowego. Oto, kim jestem. Oto, czym jestem.

— To musi być fascynujące — stwierdza Pan Wysoki, Ciemny, Przystojny i Zielonooki.

— Owszem. Zwłaszcza teraz, w erze telewizji cyfrowej, kiedy mamy setki kanałów, z których każdy walczy o swoją część uwagi konsumenta, jest szczególnie ciężko. — Nie mam zamiaru mu opowiadać, że poza stacjami naziemnymi, BBC 1 i 2, ITV, Channel 4 i 5, TV6, jest jeszcze dwieście cyfrowych kanałów satelitarnych, pięćset cyfrowych kanałów kablowych i siedemdziesiąt cyfrowych kanałów naziemnych, nie wspominając już o telewizji interaktywnej, Internecie i zakupach w domu. A mimo to czas oglądania przypadający na głowę jednego mieszkańca spada. Im więcej jest do oglądania, tym rzadziej włącza się telewizję. Stawiane nam wymagania wcale się nie zmniejszają — bez ustanku każą mi organizować coraz to bardziej wymagające i agresywne promocje, programy i projekty. Josh, najbardziej oddany z moich słuchaczy, przewraca oczami, gdy raczę go zbyt dużą liczbą szczegółów. Wiem, że potrafię człowieka zameczyć opowieściami o swojej pracy, cóż jednak mogę na to poradzić, skoro ona tyle dla mnie znaczy. Staram się wymyślić jakąś zajmującą historię o gwiazdach. W korytarzach władzy co i rusz wpadam na kogoś sławnego, zwłaszcza na tych, którzy sławni są dlatego, że są sławni — do nich dotrzeć najłatwiej. Najmniej ich lubię, za to podziwiam najbardziej. To znacznie trudniejsze, niż stać się sławnym dzięki talentowi. Wiem, że opowieść o niegdysiejszych gwiazdach oper mydlanych nikogo nie zainteresuje.

— Kanapki jadam w tej samej kantynie co Davina McCall. Na to się łapie.

Budzi mnie świergot ptaków i brzęczenie całego roju pszczół, to ostatnie niebezpiecznie blisko. Mam absolutną pewność, że kiedy otworzę oczy, ujrzę obracający się pod sufitem wentylator. Dopiero po dobrej chwili dociera do mnie, że pod czaszką łapie mnie nie dlatego, iż znalazłam się na planie *Kolejnego czasu Apokalipsy*, a skrzydlaci przyjaciele drą się tak głośno, ponieważ okno mojego pokoju w wiejskim hotelu otwarte jest na oścież. Jeszcze wczoraj wieczorem uważałam to za doskonały pomysł. Więcej, nalegałam, aby go nie zamykać. Chyba rozumie się samo przez się, że płacąc sto siedemdziesiąt funtów za noc (w koszty sobie tego nie mogę wliczyć),

uważałam, iż należy mi się wszystko, co najlepsze. Kruche herbatniczki, miniaturowe butelki szampana, czepek pod prysznic i świeże powietrze.

Rój pszczoł okazuje się Samotnym Jeźdźcem, co przyjmuję z ulgą. Rozglądam się po pokoju. Jego wygląd sugeruje, że miniony wieczór upłynął w nadzwyczaj miłej atmosferze. Poruszam delikatnie głową: kac zdaje się to potwierdzać.

Staram się skupić wzrok — pusta butelka po szampanie, opróżniony minibar, ubrania na podłodze i przystojny nieznajomy w moim łóżku.

Skutek.

Jakoś nie mogę sobie przypomnieć jego imienia. W sumie żadna katastrofa, choć nieco irytujące. Nawet ja uważam, że niegrzecznie jest prosić faceta o opuszczenie pokoju, nie zwracając się do niego po imieniu. „Chłopczyku”, co wczoraj może i brzmiało czule, w ostrym świetle dnia wypadłoby nieco śmiesznie. Na szczęście chwilowo mój problem odsuwa się na plan dalszy, albowiem rozlega się dzwonek telefonu.

Drrr, drrring, drrr, drrring. Dźwięk z każdą chwilą staje się zdecydowanie coraz bardziej natarczywy. Po omacku szukam ręką słuchawki.

— Cas?

— Issie? — Opieram się na łokciu. — Dobrze się czujesz?

— Nie.

Próbuję z uwagą wysłuchać jej historii. Na początku brzmi nieźle — zaliczyła jednego ze starostów wesela. Ponieważ jednak zalewa się łzami, ciąg dalszy jest już znacznie bardziej niejasny. Wygląda na to, że wieczór przebiegł upojnie. Okraszony serią orgazmów, obciąganiem druta i jego namiętnymi szeptami: „Jesteś cudowna”. Budząc się rano, przyłapała go, jak próbował cichcem wymknąć się z pokoju. Poprosiła, żeby zostawił jej swój numer telefonu. Co też uczynił, lecz numer okazał się zmyślony. Było w nim o jedną cyfrę za dużo.

— Nazwał mnie Zoë — szlocha. Cóż, nie da się ukryć, że Zoë nie jest ogólnie przyjętym zdrobnieniem od Isabelle, nawet dla najbliższych znajomych. — Zapomniał, jak mam na imię. Dlaczego?

— Nie wiem, kochanie. Słowo daję. W którym jesteś pokoju?

Chcę ją pogłaskać po głowie, wyjąć z torebki chusteczkę, wytrzeć jej nos i napić solidną porcją ginu z tonikiem. Chcę, żeby poczuła się lepiej. Pospiesznie wyskakuję z łóżka. Oj, trochę mnie boli w kroku. Obracam się i rzucam ostatnie tęskne spojrzenie na chłopczyka. Przydałaby się jeszcze odrobina porannego baraszkowania. Ale to zupełnie nie wchodzi w grę. Jestem potrzebna Issie. Nie mam nawet czasu zmyć z siebie resztek spermy i zapachu gumki.

— Hej, chłop... — przerywam w pół słowa. — Hej. — Potrząsam nim delikatnie. Otwiera oczy i próbuje wciągnąć mnie z powrotem do łóżka.

— Dokąd ci tak spieszo? — pyta z leniwym uśmiechem. Wymykam się z jego objęć, naciągam sweter, a jemu rzucam koszulę.

— Dzwoniła moja przyjaciółka. Idę do niej.

— Zaczekam tu na ciebie — wyskakuje z propozycją.

— Nie, to byłoby... — już mam powiedzieć, że nudne, wybieram jednak opcję grzeczniejszą — bardzo miłe, ale naprawdę nie ma potrzeby. Ona jest bardzo przygnębiona. Pewnie zostanę z nią całe przedpołudnie. Może nawet cały dzień.

— Zostawić ci moją wizytówkę?

— Jasne, świetny pomysł. — Całuję go w czoło, czując się trochę jak jego matka. W dziennym świetle wygląda tak młodo. Naturalnie nie mam najmniejszego zamiaru dzwonić do niego, ale chętnie przypomnę sobie, jak się nazywa. W tych sprawach jestem bardzo skrupulatna — lubię wszystko dokładnie pamiętać.

Owinięta prześcieradłem Issie otwiera mi drzwi.

— Och, Issie.

Obejmuję ją czule. Na widok jej zalanej łzami twarzy z trudem udaje mi się opanować irytację. Jestem wściekła na niego za to, co jej zrobił.

— Dzwoniłaś do Josha?

— Jest tu incognito.

— No tak, rozumiem. Widziałam, jak zniknął z tą babką w wielkim marynarskim kapeluszu.

— Którą? — pyta Issie. — W takich kapeluszach było ich co najmniej dziesięć.

— Tą podobną do emu.

— Och. — Choć jest kompletnie załamana, uśmiecha się, a mnie (nie po raz pierwszy) nACHodzi myśl, że Issie nie zasługuje na takie traktowanie. Jest na to zbyt miła.

Włączam miniaturowy czajnik i rzucam jej herbatniki. Musi zjeść coś słodkiego. Zgrabnie łapie je jedną ręką, a mnie na widok tego prostego gestu serce pęcznieje z dumy. To naprawdę nie fair. Nigdy nie udałoby się mojej Issie zrobić czegoś równie wspaniałego w obecności faceta, który jej się podoba. Dlaczego tak się dzieje, że kiedy w pobliżu nie ma żadnych chłopów, kobiety są znacznie miłsze, zabawniejsze, bardziej opanowane? Dlaczego w ich obecności nie potrafimy zaprezentować się z najlepszej strony?

— Poszłicie na całość? — pytam, starając się ocenić stopień jej rozczarowania!

— Tak. — W jej głosie daje się słyszeć poczucie winy.

— Nie przejmuj się, olej to. Nie jestem twoją matką. Wiem jednak, że ugina się pod ciężarem wstydu i wstrętu do samej siebie. Nie raz o tym rozmawialiśmy. Próbuję jakoś podnieść ją na duchu.

— Ja także poszłam na całość i wcale nie spodziewam się go jeszcze kiedyś spotkać.

— Ale tobie nie zależy. Nie podchodzisz do tego uczuciowo.

Słuszna uwaga. Wzruszam ramionami. Na zewnątrz jestem twarda jak skała. Wystarczy trochę poskrobać mój pancerz i pod spodem... też jestem twarda jak skała. Nieprzystępna. To znaczy nieprzystępna uczuciowo, bo poza tym nie stawiam specjalnych przeszkód. Do oziębłych raczej nie należę. Z technicznego punktu widzenia, używając terminologii bardziej przyjaznej użytkownikowi, w zasadzie można nazwać mnie zdziwą. Przygotowuję dla Issie kąpiel. Nie żałuję płynu do kąpieli. Piana jest taka frywolna. Mnie zawsze poprawia nastrój.

— Dobrze wam było? — przekrzykuję szum płynącej z kranu wody.

— Niespecjalnie, przecież prawie wcale się nie znaliśmy. Czemu więc jest taka przybita? Wracam do sypialni i zaczynam wlec ją do łazienki.

— Co zrobiłam nie tak? — rozpacza.

Słyszałam to pytanie tyle razy, że w zanadrzu mam tysiąc gotowych odpowiedzi. „Nic”. „Facetów nie stać na więcej”. Itd., itd. Na próżno bym się jednak wysilała. Za każdym razem ma złamane serce.

Podczas gdy Issie siedzi w wannie, dzwonię do obsługi hotelowej. Obie musimy się wzmocnić, zamawiam więc porządne, obfite, tłuste śniadanie (potężny lek na kaca i złamane serce), mnóstwo ciasta i ogromne kubki gorącej czekolady. Biorę szybki prysznic, Issie w tym czasie przegląda niedzielną prasę. Śniadanie jemy, leżąc na wielkim łożu, otulone mięciutkimi, białymi szlafrokami. Szczyt szczęścia. Dla mnie to wprost idealny niedzielny poranek. Wiem, że gdybym była mężczyzną Issie byłaby o wiele bardziej zadowolona.

— Czemu aż tak się tym przejmujesz? — pytam, a moje zdziwienie jest naprawdę szczere.

— Dostałaś, co chciałaś, i przynajmniej nie musisz się katować jakąś bezsensowną rozmową. Czy może być coś lepszego? Issie wzdycha.

— A gdyby rozmowa okazała się nie bezsensowna, tylko inspirująca?

— To raczej mało prawdopodobne, nie uważasz?

— Nie masz racji, Cas. Mężczyźni to też ludzie i zdolni są do zawierania związków.

Naprawdę nie uważam, że mężczyźni są gorsi czy bardziej nieuczciwi od kobiet, jeśli chodzi o te sprawy. To pogląd niezwykle archaiczny. Kiedy jednak w grę wchodzi seks, uczciwość, szczerłość i przyzwoitość niezmiennie znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. I ktoś musi paść ofiarą. Po prostu wolę, żebym to nie była ja. Czy Issie. Albo Josh.

Dostrzegam swoje odbicie w lustrze na toalecie. I widzę to, co dostrzegają inni: kobietę o wzroście metr siedemdziesiąt, noszącą rozmiar 38, o ogromnych niebieskich oczach i długich ciemnych włosach. Seksowną, opanowaną, idealną. Nieustannie jednak zaskakuje mnie, że nie widzą tego, co ja — siedmioletniej łobuzicy o pucołowatej buzi, porzuconej przez ojca. Nie tylko nie byłam dość ładna, żeby go przy sobie zatrzymać; uważałam też, że odszedł z mojej winy. Czy byłam niegrzeczna? Czy tak się rozgniewał, bo wykopaliśmy z Joshem jego warzywa? Kiedy w końcu zrozumiałam, że nie o to chodziło i że odszedł z powodu panny Hudley — piersiastej, jasnowłosej i chętnej sekretarki — było już za późno. Obarczałam się winą przez całe dziesięć lat. Zbyt późno dotarły do mnie racjonalne przesłanki, wrócił rozsądek. Nietrudno to wytłumaczyć z psychologicznego punktu widzenia. Silne poczucie zdrady, ple, ple, ple. Cierpię na kompleks, że żaden mężczyzna nigdy nie pokocha mnie na tyle mocno, by mnie nie opuścić, i głęboko wierzę w męską niezdolność do dochowania wierności. Bronię się, wiodąc życie przepełnione cynizmem, ograniczeniami i chłodną kalkulacją. To niezwykle skuteczny środek chroniący przed bólem i cierpieniem. Ranię, zanim sama zostanę zraniona. Rzucam, zanim ktoś mnie zniszczy. Nigdy się nie angażuję.

— Podstawowy błąd to przekonanie, że seks i miłość są kompatybilne. Skąd się ono bierze? Czy kiedy jest nam zimno, odczuwamy głód albo zmęczenie, wyobrażamy sobie, że jesteśmy zakochani? Dlaczego więc tak się nam wydaje, kiedy na kogoś lecimy?

— Och, jesteś dla mnie za mądra. — Issie nie ma zamiaru ze mną dyskutować. Wcale nie uważa, że jestem mądra. Według niej jestem okrutna, lecz wrodzona grzeczność nie pozwala jej powiedzieć tego na głos.

Już wcześniej zaplanowałam, że niedzielne popołudnie spędzę z matką. Issie postanawia mi towarzyszyć, nie zniosłaby bowiem teraz samotności. Cieszę się, że wybiera się ze mną z drugiej jednak strony jestem przygnębiona, iż istnieje dla niej coś takiego jak „samotność” w siedmiomilionowym mieście, pełnym muzeów, galerii, sklepów, barów i restauracji.

Moją matkę zastajemy w ogrodzie, zaczytaną w jakimś romansidle. Wymownie stawiam przed nią torbę pełną mądrych książek, które dla niej kupiłam. Dziękuje mi, wątpię jednak, by zamieniła skradzione spojrzenie i namiętne uściski na udękę Irlandczyków w czasie ziemniaczanej klęski głodu. Nasza wizyta bardzo matkę cieszy, bo nareszcie może się o kogoś zatroszczyć, zaraz też biegnie do kuchni, by włączyć czajnik.

Mama mieszka w niewielkim, idealnie zadbanym domku w Cockfosters. Dom zawalony jest meblami, które uratowała z czasów swojego małżeństwa. Przeniosła wszystko z naszego wolno stojącego domu z pięcioma sypialniami i upchnęła w o połowę mniejszym szeregowcu. Rezultat jest powalający. Nie sposób przejść przez pokój, nie nadziewając się biodrem na kant komody lub

nie waląc palcem u nogi w krzesło. W niektórych pokojach meble dosłownie piętrzą się jedne na drugich. Krzesło na stole, na krzesle puf. W każdej sypialni stoją po dwa łóżka, choć nikt nigdy w nich nie nocuje. Naprawdę chciałabym, żeby pozbyła się tego całego dobytku i wybrała do Heal's*, aby zacząć wszystko od początku. Ten dom trwa zawieszony w czasie, podobnie jak mama. Gdy wychodziła za mojego ojca, wszyscy zgodnie potwierdzali jej uderzające podobieństwo do Mary Quant**. W owym czasie był to prawdziwy komplement.

* Heal's — duży sklep w Londynie sprzedający dobrej jakości meble. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

** Mary Quant (ur. 1934) — brytyjska projektantka mody, bardzo wpływowa w latach sześćdziesiątych. Najbardziej znane są jej ubrania w geometryczne wzory, uważa się ją również za prekursorkę spódniczki mini.

Niestety, mamie nigdy nie udało się od tego podobieństwa uwolnić. Trzydzieści pięć lat później nadal nosi włosy równo obcięte na modnego w latach sześćdziesiątych boba, co trzy tygodnie niezmiennie farbuje je domowym sposobem na ciemny kolor, wkłada przykrótkie spódnice i maluje oczy eyelinerem. Kiedy na nią patrzę, zawsze odczuwam lekkie zażenowanie. Nie dlatego, że nosi się niemodnie, a dla mnie najważniejsze jest niepozostawianie ani kroku z tyłu za modą. Chodzi o to, co swoim wyglądem demonstruje. Daje nim światu do zrozumienia, że odkąd ojciec od nas odszedł, ona nie jest w stanie iść do przodu. Nigdy nie wypowiedziała tego na głos, lecz ja wiem, że w ten sposób stara się siebie zachować. Wciąż żyje nadzieją, że któregoś dnia ojciec wróci do domu i minione dwadzieścia sześć lat jak za sprawą magii zostaną wymazane. Współczesna Miss Haversham.

Moja matka jest wysoką, silnie wyglądającą kobietą. Swój wzrost zawdzięcza wyjątkowo długim udom. Figurę wciąż ma bardzo dobrą. Wyścigu z czasem nie wytrzymał tylko jej brzuch, lekko zaokrąglony, łagodnie widoczny, choć na pewno nie wielki. Plecy i ramiona ma szerokie, a całe jej ciało zdaje się mówić, że jest kobietą sprawną. Ma szczupłą twarz o wysoko zarysowanych kościach policzkowych. Wąski i prosty nos sprawia wrażenie, jakby niewygody życia nie robiły na niej żadnego wrażenia. Lecz spiczasta i wystająca broda temu przeczy, zdradza bowiem, iż nieobojętny jest jej ból i potworności. Załzawione niebieskie oczy podkreślają budzący zaufanie wyraz matczynej twarzy. A ponieważ zdradzają wszystkie jej uczucia — tak zachwyty, jak i obrzydzenie — często chowa je za ciemnymi okularami, i to nawet w zimowe dni. Tę skłonność odziedziczyły po matce moje oczy. I choć w zasadzie nie noszę ciemnych okularów, świat i tak jawi mi się jako miejsce raczej cieniste.

— Dostałaś moją wiadomość we wtorek? — pyta mama.

Nie odpowiadam, że owszem i że uszczęśliwiło mnie to na cały dzień. Odpowiadam, że owszem, lecz byłam zbyt zajęta, by oddzwonić. Kiwa głową.

— Jak się udało wesele?

Wie wszystko o moim życiu towarzyskim i co porabiam dzień po dniu. Stosuje tę taktykę, unikając w ten sposób życia własnym życiem.

— Do kitu — odpowiadam.

— Było pięknie. — Issie uśmiecha się.

— Szkoda, że padało, tym bardziej że dzisiaj jest tak pięknie. Zawsze tak się układa, nie uważacie?

— Powinni byli spodziewać się deszczu, albo przynajmniej założyć, że to wielce prawdopodobne. W końcu mamy sierpień i żyjemy w Anglii.

Naprawdę nie wiem, czemu to robię. Zachowuję się wstrętne. Ale tak jest zawsze. Obecność matki budzi we mnie wszystko, co najgorsze. Wystarczy, by znalazła się w pobliżu, a ja natychmiast staję się niegrzeczna, tracę cały swój urok.

Jestem rozdrażniona, nadąsana, gburowata i nierozsądna. Moja matka reaguje na to potwornie dziecinne zachowanie milczącą pobłażliwością. Im bardziej stara się mnie zadowolić, tym większy diabeł we mnie wstępuje. Wychodząc od niej, wstydzę się za siebie.

— Proszę nie zwracać na nią uwagi — mówi Issie.

— Przecież właśnie to robię — chichocze moja mama.

— Wie pani, jak ona nie cierpi ślubów.

Udaję, że żółte plamy na trawniku wzbudziły moje wielkie zainteresowanie. Mama kroi dla mnie wielki kawał biszkoptowego ciasta z czekoladą. Jako dziecko przepadałam za nim. Przez chwilę korci mnie, żeby jej powiedzieć, że się odchudzam, ale byłoby to zwykłe kłamstwo. Na dodatek żalodne.

— A Josh? Dobrze się bawił na weselu?

— Chyba tak — mruczę pod nosem. Dobrze wiem, dokąd zmierza ta rozmowa. Tam, dokąd zmierza każda rozmowa z matką na temat Josha. Mama tkwi w całkowicie błędnym przekonaniu, że Josh i ja stworzylibyśmy „idealną parę”. Z uporem godnym lepszej sprawy mylnie odbiera jego niewinne przyjacielskie gesty jako zaloty. Pewnie by mnie to irytowało, gdybym nie pocieszała się myślą, że jej pojęcie o męskiej psychice jest dosłownie żadne.

— Nie chciał przyjść z wami na podwieczorek?

— Miał inne plany.

Nie mam serca zagłębiać się w szczegóły — i tak wystarczająco ją zasmuciłam. W poszukiwaniu pociechy zwraca się do Issie.

— A ty, kochanie, masz jakiegoś starającego się? — pyta, podając Issie kawałek biszkopta. Obie z Issie unikamy nawzajem swojego wzroku, bo choć mamy już po trzydzieści trzy lata, „starający się” wciąż brzmi dla nas komicznie. Wystarczy, by ktoś wypowiedział to na głos, a nas dopada atak niepohamowanego śmiechu.

— Nie — udaje się jakoś wykrztusić Issie, po czym zatyka sobie usta wielkim kęsem ciasta.

— Och, wielka szkoda. Może zbyt dużo pracujesz? Chyba nie zaniedbujesz się towarzysko? Nie zapominaj, że nie samą pracą człowiek żyje.

Mama i ja zgadzamy się przynajmniej co do jednego. Jeżeli Issie pragnie mężczyzny, powinna go dostać.

— Nie chodzi o pracę, ale o to, że spotykam samych drani.

Słyszając takie słowo w ustach mojej przyjaciółki, mama się rumieni. Ja natomiast świetnie się bawię i przysłuchuję się z zainteresowaniem. Przerabiamy z matką ten temat co tydzień, wszedł do repertuaru naszych spotkań na dobre. Nie mogę się nadziwić, że chociaż jej własne małżeństwo skończyło się tak nieszczęśliwie, nadal uważa je za spełnienie wszystkich marzeń.

— Poznałam kogoś wczoraj. — Spoglądamy z Issie na siebie. Obie dobrze wiemy, że karmi moją matkę fałszywą nadzieją. — Ale źle zapisałam jego numer, o jedną cyfrę za dużo.

Nagina prawdę, by oszczędzić starszej pani zawodu. Każdy na jej miejscu zrobiłby to samo. Obie z matką przez godzinę ślęczą nad nieszczęsnym numerem, starając się dojść, którą to cyferkę mogła Issie źle zapisać. Dawno już nie zdarzyło mi się być świadkiem równie bezsensownego zajęcia. Spryskuję róże, bo wydaje mi się, że zaatakowała je jakaś zaraza.

2

Jest porażająco obrzydliwy. Podczas jednak gdy większość ludzi cierpi z powodu swych fizycznych niedoskonałości, Nigel Bale, mój szef, szczęśliwie nie jest chyba świadomy, że przy nim Nosferatu Wampir wygląda jak królowa piękności. Nie mówiąc już o manierach — te pozostawiają jeszcze więcej do życzenia. Nigel jest wysoki i byłby chudy jak tyczka, gdyby nie zaokrąglone niczym u paniusi w średnim wieku biodra i obwisły brzuch, spadek po niezliczonych wypadach do baru, podczas których osaczał w kącie jakąś biedną, bezbronną nowicjuszkę i zalewał się w trupa, aż lądowała pod stołem, a niejednokrotnie w jego łóżku. Ma wielkie stopy i grube palce u rąk. Łysieje. Te włosy, które mu jeszcze zostały, zawsze są tłuste, dzięki czemu łupież trzyma się przesuwnąjącej spomiędzy nich czaszki. Jakby tego nie dość, jest nie do zniesienia arogancki, pewny siebie i próżny. Uważa się za najbardziej inteligentnego przedstawiciela męskiej części populacji, i

choć na co dzień w TV6 nie spotyka się raczej z miażdżącą konkurencją na tym polu, jest w dużym błędzie. Ponadto święcie wierzy, że jego urok nieodparcie działa na płęć przeciwną. Ze smutkiem muszę stwierdzić, że w wielu przypadkach jego przekonanie nie jest bezpodstawne.

Zawdzięcza to swemu kontu bankowemu. Dużemu. Ogromnemu.

I ma władzę. Potężną.

Dwa afrodyzjaki, którym trudno się oprzeć. Wstydzę się, że jestem kobietą, gdy widzę tego potwora w otoczeniu świty młodych lisiczek, które bez oporów rozłożyłyby przed nim nogi, śniąc o Bank of England. Obrzydzenie ogarnia mnie na myśl o tych zwykle atrakcyjnych i inteligentnych kobietach, zbyt leniwych, by znaleźć jakiś bardziej twórczy sposób na awans.

Wyczuwam jego obecność, a to wyłącznie za sprawą odoru, jaki wydziela jego cielsko, i cuchnącego oddechu. Zalega śmiertelna cisza. Potwór sunie przez biuro, najwyraźniej w moim kierunku. Przygotowując się do czekającego mnie spotkania, zaczynam oddychać przez usta.

Zmuszam się, by podnieść wzrok. Nigel nachyla się nad moim biurkiem. Nie wie, że istnieje coś takiego jak osobista przestrzeń, podobnie jak nie rozumie, że być może ja nie mam ochoty znajdować się tak blisko niego. Jak znosiła to jego matka? Przychodzą mi na myśl zdechłe ryby na wystawie sklepu rybnego.

— Jedno słóweczko, jeśli można — opluwa mnie potokami śliny. Myli się, sądząc, że wytwornie jest wyrażać się, podrabiając styl dickensowski. Macham rękami, by wprawić dzielące nas powietrze w jak najszybszą cyrkulację, i podążam za nim do jego gabinetu. Jako dyrektor pionu rozrywki i komedii (stanowisko, które zapewnił sobie, stosując unikalną mieszankę zastraszenia, wciskania kitu i — co z bólem muszę przyznać — prawdziwej zawodowej przenikliwości) Bale ma trzy gabinety. Dyrektorski, na szóstym piętrze, większy niż moje mieszkanie, cały w mahoniach i drewnie tekowym, z dywanem, w którym człowiek zapada się po kostki, i niezliczoną liczbą zdjęć przedstawiających Bale'a z wielkimi tego świata. Na mnie to nie działa — nigdy mnie nie interesował. Uważam go za wyjątkowo odrażającego, a jego gabinet za żywcem wyjęty z planu *Dynastii*. Jego właściciel żyje w błogiej nieświadomości, że styl New Romantics jest *passé*, a nawet jeśli pod wpływem mody retro powrócił, to tylko na chwilę, która także należy już do przeszłości. Drugim gabinetem jest *pied-à-terre* w Chelsea. Aż się wzdrygam na myśl o kontraktach, jakie mogą tam być negocjowane. Ja nigdy nie dostąpiłam zaszczytu złożenia w nim wizyty. Trzeci i ostatni znajduje się na naszym piętrze, i do niego w tej właśnie chwili zmierzamy. Ten także jest ogromny, ale urządzone w bardzo nowoczesnym stylu i otwarty. Nie ma to być zachętą dla nas, byśmy tam wpadali na pogawędkę (na co i tak nikt nie miałby ochoty), lecz jemu umożliwia terroryzowanie nas nieustanną obserwacją.

Chociaż wizyty w gabinecie Bale'a do przyjemności nie należą jestem na szczęście jedną z nielicznych heteroseksualnych kobiet pracujących w TV6, nie narażonych na jego awanse. Naturalnie kiedy się poznaliśmy, chciał się ze mną przespać, ja jednak odmówiłam. A on szybko o mnie zapomniał, zainteresowany znacznie ładniejszą i nie tak wybredną asystentką. Gdy wyleciała z pracy (po w pełni uzasadnionej, lecz nieudanej próbie podania go do sądu za seksualne molestowanie), ja zdążyłam już wyrobić sobie opinię bardzo dobrego pracownika. Choć lubieżny, Bale do głupich nie należy. Zrozumiał, że napastowanie mnie i tak nie odniesie pożądanego skutku, a może tylko ograniczyć moją zawodową wydajność. Ponieważ bardziej niż na ładnej dupci zależy mu na zyskach, w zasadzie zostawił mnie w spokoju. Zdarza mu się jeszcze do mnie startować, zwłaszcza gdy przesadzi z ilością wlanego w siebie alkoholu. Spogląda wtedy na mnie pożądliwie lub opluwa strumieniami śliny, wystarczy jednak, iż po przyjacielsku napomknę, że Mandy z pionu rozrywki jest naprawdę niezwykle atrakcyjna, by o mnie zapomniał.

Bale ruchem głowy wskazuje na wykładane skórą krzesło, strategicznie ustawione tak, by siedzący na nim znajdował się o dziesięć centymetrów niżej od gospodarza. Ordynarny sposób upokarzania. Wzdycham. Ten facet to parodia. Siadam i czekam.

On czeka także. W milczeniu.

Nagle uśmiecha się. Najbardziej okrutnym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałam — ogranicza się wyłącznie do grymasu ust, oczu już nie sięgając. Zastanawiam się, czy przypadkiem za chwilę nie zostanę zwolniona. Czuję, jak po plecach spływa mi kropelka potu. Jest zimno. Jeśli zwróci się do mnie „Jocasta”, sprawa jest poważna.

— Jocasto, potrzebny mi jest pomysł! — Wali pięścią w biurko. Z trudem powstrzymuję się, żeby nie podskoczyć. Oznacza to, że wkroczyliśmy na wojenną ścieżkę. Z drugiej strony ja nigdy z niej nie schodzę. Gest mojego szefa naprawdę był zbędny, ale rozumiem, czym się kierował. Równie dobrze jak on wiem, że oczy wszystkich skierowane są w tej chwili na nas. Bale lubi zachowywać się jak pasjonat; wkroczyliśmy w końcu w nowe tysiąclecie.

— Cas, mamy kłopoty.

Użył zdrobniałej formy mojego imienia, a to oznacza, że my mamy kłopoty, ale ja szczęśliwie nie. Jestem mu potrzebna. Rozluźniam się na tyle, by zrozumieć, co do mnie mówi. Rzuca na biurko tygodniowe wyniki oglądalności naszej stacji. Nie biorę ich do ręki, by je przeczytać. Nie muszę. Sama sprawdziłam je dzisiaj o 7.30 i wiem, że są straszne.

Ponieważ jestem ambitna, nie wystarczało mi, że jako najmłodszy producent wykonawczy w ITV zajmuję się najważniejszymi programami największej stacji komercyjnej, i dwa lata temu uznałam, że potrzebne mi są nowe wyzwania. Zaryzykowałam i przyłączyłam się do konsorcjum zarządzanego przez grupę facetów mających dość pieniędzy i jaj, by startować do przetargu na

koncesję na nowy kanał telewizyjny. Wygraliśmy przetarg na TV6, twierdząc, że nie staniemy się kolejną stacją wypełniającą czas antenowy programami sprowadzanymi ze Stanów, lecz sami będziemy tworzyć nowe. Miałam wizję nowych, ambitnych, dynamicznych, informacyjnych i wspa- niałych programów. Zrezygnowałam z sześciocyfrowych zarobków, firmowego porsche, nieprzy- zwoicie wysokiego funduszu reprezentacyjnego, prywatnej opieki zdrowotnej, praw do emerytury i darmowej karty wstępu na siłownię. Zaczęłam pracować w TV6. Tu muszę podkreślić, że nie kie- rowały mną pobudki altruistyczne. Wcale nie chodziło mi o dostarczanie wiedzy i rozrywki masom brytyjskich widzów. Uznałam po prostu, że dzięki nowemu podejściu zdobędziemy niebotyczną oglądalność, kanał odniesie sukces bez precedensu, a mnie przypadnie w udziale gratyfikacja ma- terialna, o jakiej dotąd nie mogłam nawet marzyć. Dodatkową korzyścią nieprzeliczną na żadne pieniądze, miała być władza. W ten sposób lądowałam może i w mniejszym stawie, ale bez wąt- pienia jako znacznie większa ryba. Rekin w zasadzie.

Szczerze wierzyłam, że publiczność spragniona jest nowych programów. Nowych treści, nowych pomysłów. Z bólem przyznaję, że bardzo się w tym względzie pomyliłam. Nigdy wcześ- niej nie zdarzyło mi się tak źle ocenić ludzkiej natury, co może się okazać tragiczne w skutkach. Najwyraźniej ludzie chcą oglądać powtórki *Sławy i Policjantów z Miami*. Stacje, o których jeszcze trzy lata temu można by pomyśleć, że nigdy nie wypłyną na szerokie wody, teraz startują w rega- tach o Puchar Świata, a ja być może wylądowałam na Titanicu.

— Konkurencja kopie nas w tyłek. Widziałas, jak działają w Internecie? Nie pieprzą się.

Rzuca w moją stronę roczny raport o konkurencji. Czytałam go.

— I przyciągają młodzież.

Kolejny roczny raport leci w moją stronę. Ten też czytałam.

— Młodzież. Młodzi ludzie się w tej grze liczą. I na nich powinniśmy się nastawić.

— Na zasadzie „jak wszyscy, to wszyscy?” — rzucam zjadliwie.

Zauważam, że niektóre żaluzje w gabinecie Bale'a są zniszczone. Ciekawe, kto je tak ślicz- nie rozpieprzył. Bale tymczasem zupełnie ignoruje moją kąśliwą uwagę.

— Powinniśmy zatrudnić projektantów w modnych džinsach. W recepcji miła panienska mo- głaby częstować gości wódką i Red Bullem. — Spogląda na mnie z nadzieją. Spuszczam wzrok na jego biurko. Stoi na nim kubek pełen identycznych żółtych zatemperowanych ołówków. Coś ta- kiego w cyfrowej erze. Bale, niczym nie zrażony, peroruje dalej: — Mogliby słuchać jakiejś wa- riackiej muzyki i wysyłać znajomym SMS-y. A w pracy mogliby jeździć na wrotkach.

— I to niby miałyby nam pomóc w układaniu ramówki?

— Na pewno pojawiłyby się jakieś nowe pomysły.

— Bale, jesteśmy za starzy. Nawet ci chłopcy i panienki, których znamy, marzą o „własnym czasie” i blokach. Nie mamy nic dla nastolatków.

— W takim razie co? — pyta wyraźnie rozdrażniony. Głowę dam sobie uciąć, że już wybrał strój króliczka dla recepcjonistki.

— Nie wiem. Najlepsza publiczność, jak świat światem, to ludzie w okolicach trzydziestki.

— Wiem, że chwytam się brzytwy. — Powinniśmy raczej zastanowić się nad ramówką ustawioną pod nich.

— Jasne, mają więcej forsy niż rozumu, mnóstwo czasu i ani odrobiny zielonego pojęcia, co by tu ze sobą zrobić. Co powiesz na sport?

— Nigdy nie byłem zwolenniczką propagowania sportowego fanatyzmu. Ani się obejrzysz, jak sami wyruszą na boiska, co oznacza, że wyłączą telewizory. Nie chcemy, żeby uprawiali sporty poza domem. Chcemy, żeby siedzieli na tyłkach i gapili się w pudło. Poza tym sportem zajmuje się ASkyA.

— No właśnie, trzeba napisać skargę. ASkyA puszcza najświeższe wiadomości sportowe w czasie przerw na reklamy. Każą za to płacić reklamodawcom ekstra. A gdzie są reklamy, są pieniądze na nowe programy — mówi ostrzegawczym tonem.

— Można im zarzucić, że to odwraca uwagę widza od reklamy. Po co więc mają tyle płacić?

— Otóż to, wyślij w tej sprawie list do wszystkich reklamodawców — wydaje mi polecenie.

— Niech się tym zajmie twoja sekretarka — odpalam.

Mierzymy się nawzajem wzrokiem. W naszych oczach błyszczy wściekłość i arogancja. I strach.

— Potrzebny mi jest pomysł! — wrzeszczy znowu. — Jeden, ale dobry! Niesamowity! Cholernie, kurewsko rewelacyjny! Zadziwiający, wyjątkowy, taki, żeby tym draniom i ich nowym programom dokopać porządnie w dupę! — Zmienia taktykę. Nachyla się ku mnie i zaczyna szeptać groźnie: — W brukowcach i czasopismach dla facetów aż roi się od kociaków, które prowadzą bezsensowne programy i bez obciachu wystąpią przed kamerami topless. — Już mam wyrazić swoje oburzenie, gdy mój szef dodaje: — Masz wymyślić coś na tyle dobrego, żeby je przebić. — Ociera usta wierzchem dłoni. Na samą myśl o kociakach topless zaczął się ślinić. — Kapujesz?

— Coś frapującego. — Staram się zachować spokój, ale dłonie przyciskam do boków, żeby nie zauważył, jak bardzo mi drżą. Mam nadzieję, że mój wyjątkowy talent do niedopowiedzeń choć trochę go zirytuje.

— Wymyśl coś megagigantycznego, pieprzonego, co wystrzeli naszą oglądalność na orbitę. A teraz wyńś się i do roboty.

Audycja skończona.

Wracam do swojego biurka i nareszcie mogę się wytrząść do woli. Zapalam papierosa i jednym haustem połykam podwójne zimne espresso. Sztuczne środki pobudzające najwyraźniej stają się moim sposobem na życie. Bo choć Bale może i jest brzydszy niż murzyńska kupa, nikt nie może mu zarzucić, że nie zna się na swojej robocie. I — aczkolwiek bardzo niechętnie — nie mogę go nie podziwiać. Ma facet rację. Staralam się ignorować naszą lejącą na łeb na szyję oglądalność, nie zauważać sukcesów odnoszonych przez konkurencję. Ale wyniki tygodniowych sondaży są bezsprzeczne — TV6 znalazła się w poważnych tarapatkach.

Nasze biuro mieści się w północnym Londynie. Dziwaczna idiosynkrazja mikroklimatów oznacza, że średnia opadów jest tu znacznie wyższa od przeciętnej. A przynajmniej mnie się tak wydaje. Sierpień dobiega końca. Jestem przekonana, że w każdej innej części miasta panuje lato. W całym Soho na chodnikach stoją kawiarniane stoliki; na West Endzie tłumy urzędników każdą przerwę na kawę czy lunch spędzają wylegając na ulice. Dziewczyny w skąpych sukienkach i sandałkach paradują po Hammersmith. Ale w Islington jest ponuro. Dokładniej mówiąc, ponuro jest w TV6.

— Wszystko gra? — pyta Fi. Od półtora roku jest moją asystentką. Zatrudniłam ją, ponieważ przypomina mi mnie samą. Pracuje z pełnym zaangażowaniem, jest ambitna i oddana. W ciężkich chwilach potrafi przynieść ukojenie jak balsam.

— Jak najbardziej. — Pochyliłam się nad komputerem w nadziei, że zrozumie. Ważne sprawy lubię przemyśleć w samotności.

— Mogę ci jakoś pomóc?

— Nie — odpowiadam automatycznie.

Co prawda zatrudniłam Fi, ale nie obdarzam jej stuprocentowym zaufaniem. Nie dlatego, że czymś sobie zasłużyła na jego utratę. Kiedy zaczęła u nas pracować, bardzo chciała się ze mną „skumplować”, ale w końcu dotarło do niej, że ja się nie „kumpluję”. I nie ufam. To moja polityka.

— Jeśli chodzi o Bale'a, może jednak mogłabym się na coś przydać — nie poddaje się tak łatwo.

Wzdycham, przygnębiona nasuwającą się implikacją. Czy mam przypuszczać, że w ten sposób mi pomaga? Spoglądam na nią i widzę, jak owija sobie wokół palca swoje piękne blond włosy i lekko przytupuje nogą, uśmiechając się do siebie. Najwyraźniej powinnam się domyślić, że z Bale'em łączą ją jakieś szczególne stosunki. Czyżby rzeczywiście? Spała z nim? Faj, co za odrażająca myśl. Przyglądam się jej z większą uwagą, a ona bezczelnie odwzajemnia spojrzenie. Przez ułamek sekundy wpatruje się we mnie swoimi lodowato niebieskimi oczami, lśnącymi nad wysokimi, pięknie rzeźbionymi kośćmi policzkowymi, po czym odwraca się i odchodzi. Jest doprawdy niesamowita. Po matce Norweżce odziedziczyła skandynawską pewność siebie i urodę. Należy do

kobiet, które potrafią z koralików zrobić torbę, a bransoletki przyjaźni na przegubach ich rąk wyglądają super — wcale nie dziecinnie. Mierzy jakiś metr siedemdziesiąt, nie ma bioder, ud, brzucha. Jest kobietą idealną, przynajmniej z punktu widzenia innych kobiet. Bale w zasadzie gustuje w panienkach raczej krągłych, ale w końcu to tylko uogólnienie. Bardzo możliwe, że uprawiali seks. Nie mam jednak zamiaru jej o to pytać. Bo i po co? Wcale nie musi powiedzieć mi prawdy. Nawet jeśli z nim spała, i tak nie będzie mieć na niego żadnego wpływu, choćby nawet myślała inaczej. Istnieje również i taka możliwość, że on wciąż usiłuje ją uwieść, a w takiej sytuacji nie mogę sobie pozwolić, aby ją do siebie zrazić. Może okazać się przydatna.

— Hej, Fi. Owszem, możesz mi pomóc. Zwołaj po lunchu zebranie naszego zespołu. Musimy przeprowadzić burzę mózgów.

Uśmiecham się. Obie wiemy, że to uśmiech czysto zawodowy. Odpowiada tym samym, a ja oddycham z ulgą. Chyba jednak jeszcze z nim nie spała. Zwykle wiem o tym szybciej od samych zainteresowanych. Zastanawiam się, czy ją ostrzec, ale postanawiam tego nie robić. Jeszcze gotowa pomyśleć, że jestem zazdrosna albo na tyle już stara, że o niczym nie mam pojęcia. Dobre rady mają to do siebie, że należy je ignorować.

Biura TV6 mieszczą się w wielkim budynku ze szkła, który zdaje się wznosić bez końca. Kształtem przypomina nieco Centrum Pompidou. Wnętrze stanowi przedziwną mieszankę elegancji i tandety. Dietetyczną colę i lurowatą kawę z automatów popija się przy aluminiowych stołach od Conrana. W pomieszczeniach rośliny przywracają powietrzu tlen, obawiam się jednak, że ten ukłon w stronę liściastych i zielonych z góry skazany jest na niepowodzenie. Studia telewizyjne to chyba ostatnie miejsca w Londynie, gdzie wolno palić, wobec czego wszyscy czują się do tego wręcz zobowiązani. Nasze dni upływają w oparach gęstego tytoniowego dymu. Ludzie na ogół nie wstają od swoich biur, ruch więc panuje niewielki, wszyscy pracują jak szaleni, z rzadka komunikując się pomiędzy sobą. Dlatego też zwołane przeze mnie zebranie oznacza, że sprawa jest poważna. Zza szklanej przegródki obserwuję, jak zbiera się mój zespół. Przypomina to nieco zgromadzenie niespokojnych krewnych przy łóżku chorego. Analogia jest przerażająco bliska prawdy. Miła to dla mnie niespodzianka, że oni najwyraźniej także mają tego świadomość; wszyscy są lekko zdenerwowani i spoceni, choć robią, co mogą by tego nie okazać. Są tu: Thomas i Mark (zespół kreatywny), Jacquelyn (sekretarka planu), Diana (szefowa marketingu), Graham (szef do spraw sponsoringu i reklamy), Deborah (specjalistka PR), Richard (szef programowy) oraz Fi. Ponieważ wszyscy pracują w TV, znani są jako Tom, Jaki, Di, Gray, Debs, Ricky i Fi. Z imieniem Marka w żaden sposób nie mogliśmy sobie poradzić.

Teraz obserwują się nawzajem, chcą bowiem przybrać odpowiedni wyraz twarzy. Nie bardzo wiedzą czy mają być przejęci profesjonalnym niepokojem, obojętni i na luzie, czy też raczej

pełni wesołego optymizmu. W moim zawodzie problem polega na tym, że przeważnie wykonują go ludzie, którzy nie chcą wyjść ze swoich lat studenckich. Ubierają się jak studenci i są chorobliwie wychudzeni. Dobór właściwego stroju to prawdziwa sztuka. Każda najmniejsza próba podkreślenia osobistej dumy natychmiast spotyka się z potępieniem. Wszyscy wyglądają, jakby nadużywali narkotyków, za dużo palili i przesadzali z ilością wypijanej kawy. OK. Ale oni nie tylko wyglądają jak studenci, typowo studencka jest także ich postawa. Bo któż poza studentami wpadłby na równie kretyński pomysł jak „kryzys eseju” lub mianem kryzysu określiliby brak mleka w lodówce? Kryzys to trzęsienie ziemi, klęska głodu lub fale tsunami. Dla mojego zespołu odwołanie bożonarodzeniowego karaoke jest kryzysem, natomiast do głowy im nie przyjdzie, że prawdziwym nieszczęściem są spadające od trzech miesięcy wyniki oglądalności. Gdy wpadną na jakiś pomysł, nad którym zdarzy im się w panice dyskutować przez kwadrans, po upływie tego czasu zapominają, o czym była mowa. Nic dziwnego więc, że w połowie zebrania czy burzy mózgów ktoś stwierdza, że koniecznie musimy wyskoczyć do pubu, bo trzeba się „wyluzować”. Po powrocie nikt już nie pamięta, czego dotyczyło zebranie, i dyskusja toczy się wokół problemu, czy chrupki z solą są lepsze niż te z serem i cebulą.

Ja jestem inna. Dla mnie najważniejsza jest moja praca.

Nigdy nie zjawiam się na zebraniu, nie przemyślawszy wcześniej dokładnie wszystkiego, co zamierzam powiedzieć, jak zamierzam to ująć i co chcę osiągnąć. Ambitna i chętna Fi, choć trochę mnie przeraża i męczy, bardzo mi w tym pomaga. Jej naprawdę zależy. Spałam zarówno z Markiem, jak i z Tomem, choć oczywiście żaden nie ma pojęcia o tym drugim. (W tajemnicy wam zdradzę, że Mark jest przystojniejszy, Tom natomiast lepszy w łóżku. Bardziej się stara). Z utrzymaniem ich uwagi nie powinnam mieć kłopotu. Tym bardziej, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności mam dzisiaj na sobie trochę zbyt obcisły T-shirt i wąskie džinsy opinające dokładnie to, co trzeba. Z Grayem jeszcze nie spałam, więc mój zestaw powinien wyrzeć na nim jeszcze większe wrażenie. Debs i Di lubią trzymać ze mną, bo od czasu do czasu zdradzę im, która odżywka do włosów jest szczególnie skuteczna albo co w modzie jest aktualnie obowiązkowo na topie. Ricky jako gej świadczy mi podobne drobne przysługi.

— Witam — rzucam pośpiesznie.

— Dobry — mruczą ponuro w odpowiedzi. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że dodadzą „proszę pani”, na szczęście jednak się powstrzymują.

— Co to jest? — pytam, sceptycznie spoglądając na zajmujące środek stołu kartonowe pudełko. Pełno w nim balonów, bożonarodzeniowych dekoracji, kredek, plastikowych naklejek, starych czasopism, sztucznych nosów. Dostrzegam też trąbkę i cappuccino.

— Och, to moja kawa — powiada Di i sięga do pudła po kubek z kawą. Głośno pociąga z niego spory łyk, nie bacząc na moją wyraźną pogardę.

— To widzę. A reszta? — Poraża mnie myśl, że być może Debs musiała przyprowadzić do pracy swojego pięcioletniego synka, bo opiekunka znowu wywinęła jej numer i nie przyszła. Mam nadzieję, że to nieprawda, gdyż Bale zdecydowanie nie jest w odpowiednim nastroju.

— To skrzynka twórczej inspiracji — śpieszy z wyjaśnieniem Fi, a entuzjazm aż z niej kipi. Nie spuszczam z niej wzroku w oczekiwaniu na jakieś bardziej sensowne wyjaśnienie.

— Ma nam pomóc w bardziej twórczym myśleniu — dodaje.

Nawet gdybym wcześniej nie czytała jej CV, od tej chwili wiedziałabym, że jej dzieciństwo było idylliczne, chodziła do najlepszych prywatnych szkół dla panienek z dobrych domów i miała ojca, który ją uwielbiał. Bo jakże inaczej życie mogłoby sprawiać jej taką frajdę? Chyba mnie zaraz szlag trafi.

— Przypomnij mi, Fi, gdzie my pracujemy?

— W telewizji. — Obrzuca zebranych pytającym spojrzeniem, niepewna, do czego zmierzam.

— Czy zgodzisz się w takim razie ze mną, że praca w telewizji polega właśnie na twórczym myśleniu?

— No tak, ale...

— Nie jesteśmy bandą konsultantów do spraw zarządzania i niepotrzebne nam są żadne cholerne plastikowe naklejki na dowód, że stać nas na jakieś pomysły. — Nie podnoszę głosu. Nie muszę. Z głupkowatym wyrazem twarzy Fi ściąga ze stołu pudło i stara się je upchnąć za znacznie bardziej konwencjonalnym narzędziem do kreowania pomysłów — tablicą. Pozostali nielojalnie odwracają wzrok, dystansując się od niej. To także nie robi na mnie wrażenia.

— W porządku. Czytaliście wytyczne. Mamy wymyślić jakiś program, coś, co przyciągnie widzów i reklamodawców. Zainteresowanie ze strony prasy również będzie mile widziane. Pan Bale ujął ten problem dość zwięźle, przyznacie mi chyba rację. — Czytam: — „Potrzebujemy pomysłu zadziwiającego, wyjątkowego, takiego, żeby tym draniom i ich nowym programom dokopać porządnie w dupę”.

Zespół pozwala sobie na krótkotrwały atak nerwowego chichotu. Ja jestem twarda, ale Bale to prawdziwy kretyn i niechęć, jaką go wszyscy jednakowo darzymy, znowu nas jednoczy. Podwijam rękawy i przysiadam na krawędzi stołu, z uśmiechem pozwalając, żeby wesółą atmosfera trwała.

— Co porabia szanowna konkurencja?

— ITV trzyma się swoich stałych programów, popularnych oper mydlanych, teleturniejów, w których ludzie gwałtownie się wzbogacają, i wyświetla przeboje kinowe. Tutaj jest ich ramówka na następne miesiące. Mają też pełno programów dokumentalnych — mówi Rick. Zadanie domowe odrobił jak należy. Niestety, nie są to pocieszające wiadomości. W pokoju zapada cisza; dobry nastrój prysnął równie szybko, jak się pojawił.

— A ramówka Channel 4 na ten rok? — W głosie Fi słychać nadzieję.

— Równie mocna — dodaje Ricky, wyraźnie zakłopotany, że nas dobija. — Mają wszystko. Sztukę, muzykę, dramat, komedię, rozrywkę, filmy dokumentalne, filmowe premiery i coś, co się nazywa „4 wieczorową porą”.

— A cóż to takiego? Porno? — dziwi się Mark.

— Obawiam się, że tego już nie potrzebują — odpowiada Tom.

Zaglądam w papiery.

— Owszem, porno — potwierdzam.

Trudno powiedzieć, czy mamy się cieszyć, że C4 zniżył się do tego poziomu, czy też raczej martwić, bo publiczność przyciągną masowo. Klaszczę w ręce.

— OK, bierzmy się do roboty. Żaden pomysł nie jest głupi. Bardzo proszę, jakieś propozycje?

Biorę do ręki marker i w wyczekującej pozycji ustawiam się przed tablicą. Cisza.

— No, dalej, ruszcie mózgowicami — zachęcam. — Nie dajcie się zastraszyć tym ramówkom. Myślę, że nie ma co przeceniać filmów z epoki o wielkich walorach poznawczych, z gwiazdorską obsadą i wspaniałą fabułą. Są zbyt wydumane. Musimy się wstrzelić w jakąś niszę na rynku.

Fi łapie, o co mi chodzi.

— Nie stać nas na nie, są za drogie. Rozrywka jest zdecydowanie tańsza.

— Otóż to — zgadzam się z nią. — W rozrywce najdroższe są ludzka duma i zdrowy rozsądek.

— Może jakiś konkurs? — podsuwa Tom, ale wyraz jego twarzy zdradza, że ma świadomość, iż trafił jak kulą w płot.

— Dobrze — nie gaszę go jednak, choć wiem, że jest pierwszy na liście, gdy dojdzie do zwolnień. — Spróbuj tylko wymyślić jaki. — Zastanawiam się, czy jak stanie się najgorsze, uda mi się załapać na posadę nauczycielki w podstawówce. Mam wszystkie niezbędne kwalifikacje.

Katujemy różne pomysły, ale wszystko już ktoś wymyślił przed nami. I nierzadko dysponując znacznie większym budżetem niż ten, na który my moglibyśmy sobie pozwolić. Wałkujemy to bez końca.

— Moglibyśmy rozszerzyć zakres. Kupić jakieś wydawnictwo albo drużynę piłkarską — podsuwa Gray. Już się widzi, jak szpanuje przed znajomymi darmowymi biletami.

— To idiotyczny pomysł — stwierdza Di.

— Gary'emu, dyrektorowi od reklamy, się podoba.

— Uważam, że to wspaniały pomysł — mówi Di.

— Trzymajmy się tematu — przywołuję ich do porządku. Robi się gorąco i coraz później. Proszę o więcej coli i kawy. Cały pracujący świat Londynu wychodzi właśnie z biur, żeby w pubach rozkoszować się dużym chłodnym piwem. Niestety, my nie mamy na to szans.

— A może reality show? — pyta Jaki. — One są tanie i popularne.

— Oczywiście. Tylko o czym?

— O policji? — podsuwa Mark. — Moglibyśmy ujawnić ich bezwzględne metody i tendencje rasistowskie.

— Z tym świetnie radzą sobie sami, bez pomocy telewizji — zauważa Jaki.

— O strażakach? — wpada na pomysł Ricky, Wiem, że aż gorąco mu się robi na myśl o tym, jak pięknie zjeżdżają po słupie. Ma słabość do mundurów.

— To już było.

Robi mi się przykro, gdy widzę, jak bardzo jest zawiedziony.

— Bankierzy-kutasy?

— Podobnie jak z policją.

— Gazownie?

— Było.

— Elektrownie?

— I wodociągi. W sprawie przekrętów służb komunalnych wszystko już zostało powiedziane.

— W takim razie budowlańcy albo mechanicy.

— O nich też już było — wzdycha Mark. — Wszystko to jest takie banalne, mało wymagające i szlampowe.

— Mówimy o przekazie eskapistycznym — przypominam mu. — Na niczym ambitnym nam nie zależy. Wymagające mogą być dzieci, nie zapłacone rachunki albo kochankowie, z którymi nie mamy już ochoty na seks.

Znowu zapada cisza. Spoglądam na śmietnik, w jaki zamienił się nasz stół. Niezliczone puste puszki po coca-coli, kipiące popielniczki, wysuszone kanapki. Góra odpadków i mój Patek Philippe podpowiadają mi, że pora się zwijać.

— W porządku, idźcie do domu. Do swoich rodziców i dzieci. — Opadam na krzesło i wspieram znużoną głowę o blat stołu. Jego chłodna powierzchnia sprawia mi niewysłowioną ulgę. — Ale myślcie dalej. Pomysł może wam wpaść do głowy w metrze, w wannie albo w czasie uprawiania seksu.

— Jesteś walnięta — uśmiecha się Jaki. Pewnie wyobraża sobie, że do zakresu jej obowiązków jako sekretarki należy objaśnianie mi podobnych rzeczy.

— Posłuchaj, Jaki. Futbol nie jest sprawą życia i śmierci, to coś znacznie poważniejszego. A telewizja? Telewizja jest jeszcze ważniejsza od futbolu.

Śmiejąc się, zamyka za sobą drzwi. Tylko że ja wcale nie żartowałam.

3

Mieszkam sama, w dużym, udającym strych mieszkaniu w modnej części East London. Mówię „udającym”, ponieważ tak naprawdę nie jest to strych, tylko drugie piętro. Ale kazałam odsłonić cegły i autentyczne żelazne dźwigary podtrzymujące strop. Moje lokum to całkowita antyteza zarówno naszego dawnego domu rodzinnego w Esher, jak i dwupoziomowego domku matki w Cockfosters. Jest nowoczesne, jasne i puste. W moim mieszkaniu prawo bytu mają wyłącznie przedmioty będące jednocześnie przydatne i piękne. Z wyjątkiem odwiedzających mnie mężczyzn, ale w tym wypadku żądałabym chyba już zbyt wiele. Najbardziej przywiązana jestem do włoskiej szaro-czarnej kanapy, na której pomieścić się może z powodzeniem kilkanaście osób, i telewizora wielkiego jak ekran w średniej wielkości kinie. Uwielbiam swoje mieszkanie, którego — dokładnie z tego samego powodu — Issie nienawidzi: jest sterylne i bezosobowe. Issie usiłuje je trochę urozmaicić, kupując mi na Gwiazdkę kwieciste dywaniki do łazienki i ocieplacze na imbryki do herbaty. Odwzajemniam się jej smukłymi puszkami na makaron z aluminium, których nie potrafi otworzyć.

Issie i Josh mają klucze do mojego mieszkania, podobnie jak ja do ich. Jesteśmy londyńczykami, nie mamy więc w zwyczaju wpadać do siebie nawzajem bez zapowiedzi. Bywa jednak, że umawiamy się u któregoś z nas na kolację. Miło jest od czasu do czasu wrócić do domu i poczuć witający nas zapach świeżo gotowanego posiłku oraz usłyszeć grzechot lodu w przygotowywanym na nasze przyjście ginie z tonikiem. Otwieram drzwi i w nos uderzają mnie smakowite zapachy dochodzące z kuchni.

— Spóźniłaś się — woła z kuchni Josh. Te aromatyczne wonie to jego sprawka. Rzucam torbę i laptopa i pędzę do kuchni.

— Co gotujesz? — pytam, zaglądając do garnków i pakując do ust łyżki pełne niebiańskich smaków.

— Wynocha — warczy. Trzepie mnie po rękach i próbuje nakrywać z powrotem garnki. — Będziesz musiała poczekać. — Chęć popisania się jest jednak silniejsza od niego. — To *peperoni con acciughe e capperi*.

— Papryka z grilla z anchois i kaparami — tłumaczy Issie, wręczając mi kieliszek z australijskim chardonnay. — Mountadam, Eden Valley 1996 — dodaje, bo wie, że to dla mnie istotna informacja.

— *I maiale arrosto con aceto balsamico* — wtrąca Josh.

Z bezradnym spojrzeniem zwracam się do Issie. Spiesz się z wyjaśnieniem:

— Pieczona wieprzowina z octem balsamicznym.

— Fantastycznie.

Zabawne, ale nigdy nie przeszkadzał mi pretensjonalny upór Josha do nazywania wszystkich gotowanych przez niego potraw po włosku.

— Zdamę wziąć prysznic? Muszę zmyć z siebie całe to gówno dzisiejszego dnia.

— Proszę bardzo, byle szybko.

Czasami podczas kolacji non stop gadamy, kiedy indziej oglądamy telewizję i gdy jakiś komentarz szczególnie nie przypadnie nam do gustu, ciskamy w stronę ekranu wyzwiska lub książkę. Dzisiaj jednak posilamy się w miłej ciszy. To znaczy mnie wydawała się ona miła, dopóki Issie nie wytrąciła mnie z zadumy.

— Co jest grane, Cas? Jesteś dzisiaj dziwnie milcząca.

Oddała mi władzę nad pilotem do telewizora, co normalnie uwielbiam, lecz dzisiaj jej taktyka odwracania uwagi okazała się chybiona.

Ze zdziwieniem stwierdzam, że jej troskę przyjmuję z ulgą, i popadając w zdziecinnienie, mam nadzieję, że zastępczy tatuś z mamusią rozwiążą mój problem za mnie. Poza Joshem i Issie nikt, jak świat długi i szeroki, nie ma prawa oglądać mojej niepewności i przygnębienia.

— Chodzi o pracę — jęczę.

— A o cóż by innego. Nawet nam przez myśl nie przeszło, że możesz mieć problem z facetem — stwierdza Josh.

I nie myli się: ja nie mam problemów z facetami — oczywista korzyść płynąca z faktu, że traktuję ich wyłącznie jako obiekty seksualne, a nigdy jako bratnie dusze.

— Przez ostatnie trzy miesiące oglądalność naszej stacji regularnie spada. Sprawa jest poważna. Bale przebąkuje coś o zwolnieniach. Problem w tym, że nie mamy żadnego porządnego programu. Nie mamy nawet przyzwoitej mydlanej opery.

— *A Teddington Crescent?* — Issie orientuje się w naszej ramówce równie dobrze jak ja.

— Życie i afery sercowe mieszkańców Milton Keynes nie są w stanie wysadzić z siodła *Corrie* czy *Brookie*. Nie mamy żadnego porządnego teleturnieju ani żadnej gwiazdy jako gospodarza programu. Spadek oglądalności — nie muszę im niczego tłumaczyć, bo oboje świetnie rozumieją moją telewizyjną nowomowę — ma wpływ na zainteresowanie reklamodawców. A bez pieniędzy z reklam nie możemy inwestować w porządny program. To błędne koło. — Milknę na chwilę, a przyjaciele nie odzywają się, dając mi czas na znalezienie właściwych słów. — Najgorsze w tym wszystkim jest to, że Bale cały ten problem zwałił na moją głowę. — Sprawdzam, czy są równie wkurzeni jak ja. Oburzone miny, jakie przybierają, w pełni mnie satysfakcjonują, mogę więc mówić dalej. — Chociaż zarabia obrzydliwie wielkie pieniądze, całą odpowiedzialność zrzucił na mnie i oświadczył, że mam wymyślić coś genialnego. Jest taki...

— Wredny. Paskudny, odrażający, istny kretyn — żartuje Josh.

— Cóż za wyrefinowany dobór epitetów — wtóruje mu Issie, starając się jakoś mnie rozweselić.

Robię wściekłą minę.

— Jest gównianym draniem. — Nie mam zamiaru otrząsnąć się z rozpacz, w jakiej się pogrążyłam. — Boję się.

Josh i Issie milczą, podobnie jak ja. Dobrze wiedzą, że praca jest dla mnie całym światem. Josh siada koło mnie i obejmuje mnie ramieniem.

— Tak cholernie się boję — mówię z niezwykłą u mnie szczerością.

— Zupełnie niepotrzebnie. Na pewno coś ci przyjdzie do głowy — uspokaja mnie Josh. Zwykle uwielbiam wiarę, jaką we mnie pokłada, teraz jednak wzruszam ramionami, obawiam się bowiem, że tym razem oparta jest na dość chwiejnych podstawach. Boli mnie głowa i świat jawi mi się dość mętnie.

— Być może.

Wiem, że tak naprawdę jest to tylko mój kłopot i wątpliwe, by któreś z nich znalazło jakieś rozwiązanie, wobec czego zmieniam temat.

— Przyszła jakaś poczta?

— Wszystko jest na kominku.

Dwa rachunki, podatek lokalny i opłata za wodę — cudownie. Trzy ulotki reklamujące pizzę z dostawą do domu. Jest jeszcze jedna gruba biała koperta.

— Niech to szlag, kolejne wesele — mówię z westchnieniem. — Na miłość boską to już prawie wrzesień. Czy ludzie nie mają za grosz przyzwoitości? Nie dość, że prześladowają mnie przez

całe lato, to jeszcze jesienią nie dadzą człowiekowi spokoju. — Mówię to półzartem, ale z przyjemnością zauważam niepokój w spojrzeniu Issie.

— Kto tym razem? — pyta.

— Jane Fisher wychodzi za Marcusa Phillipsa — czytamy. — Mieliśmy zaszczyt go poznać?

— Owszem. — Josh kiwa głową. — W zeszłym tygodniu był na ślubie Lesley i Jamesa jako starosta. Taki blondyn, w czerwonej kamizelce. Jane nie mogła przyjść, miała jakieś wcześniejsze zobowiązania. Pewnie inny ślub.

Issie i ja zamieramy.

— Drań — stwierdzamy chórem.

Podaję Issie zaproszenie, niech się naocznie przekona o jego zdradzie. Issie delikatnie gładzi palcami biały kartonik, po czym wzdycha rozdzierająco. Najwyraźniej żadna z nas nie może uznać tego dnia za udany.

— To tłumaczy, dlaczego tak niechętnie dawał mi swój numer telefonu.

— Czy któraś z was wyjdzie za mnie? — pyta Josh, wyczuwając, że Issie spotkało jakieś rozczarowanie, nie wie tylko, o co dokładnie chodzi.

— Nie — odpowiadam.

— Tak — mówi Issie. — Ale tylko ze względu na suknię.

Wybuchamy śmiechem. Przerabialiśmy to już z milion razy. Po skończeniu studiów Josh obiecał ożenić się z tą z nas, która w wieku dwudziestu pięciu lat wciąż jeszcze będzie wolna. Dwadzieścia pięć lat nadeszło i minęło. Żadnemu z nas nie udało się znaleźć życiowego partnera, musieliśmy jednak przyznać, że w owej chwili nie byliśmy sobą zainteresowani. Postanowiliśmy więc przełożyć ostateczny termin do czasu, aż skończymy trzydziestkę, zakładając, że w tak posuniętym wieku sytuacja stanie się nagląca, może więc będziemy mniej wybredni. Przyjęcia z okazji trzydziestych urodzin odbyły się, Josh jednak stwierdził, że nie jest w stanie zdecydować się na żadną z nas, a jako że bigamia jest przestępstwem karanym w Sądzie

Najwyższym, uzgodniliśmy, iż z ostatecznym rozstrzygnięciem zaczekamy do 2005 roku. Mimo to Josh regularnie prosi nas o rękę, co bardzo poprawia nam samopoczucie. Często stara się, aby jego oświadczyzny zbiegły się z naszą menstruacją, albowiem z biegiem lat — choć niechętnie — zmuszony był poznać bliżej nasze cykle miesięczkowe.

— Dacie wiarę, że ten cały Marcus miał czelność iść ze mną do łóżka dosłownie kilka dni przed tym, jak wysłał nam zaproszenie na swój ślub?

— Wcale mnie to nie dziwi — odpowiadam.

— Jasne — mruczy Issie z gniewnie zmarszczonym czołem. — Ale ty po ludziach spodziewasz się tylko tego, co najgorsze. — Zwraca się do Josha: — Tobie mieści się to w głowie?

Ma irytujący zwyczaj zakładać, że w tego rodzaju sprawach istnieje męski i damski punkt widzenia. Często, nie zgadzając się ze mną, zwraca się do Josha, ponieważ „on jest mężczyzną i wie, jak mężczyźni rozumują”. Nigdy jednak się nie zdarzyło, żeby Josh nie przyznał racji mnie.

— To zupełnie normalne. Ostatni skok w bok i takie tam — mówi Josh.

Dobrze wiem, że jego słowa wkurzają Issie, czuję się pomszczona.

— Sam nieraz świadomie spotykam się z byłymi dziewczynami, zanim wyjdą za mąż, zakładając, że każda będzie miała ochotę zaszaleć po raz ostatni — dodaje nasz przyjaciel.

— Naprawdę? — wykrzykuje Issie z nieskrywanym przerażeniem.

— Naprawdę? — pytam, po raz kolejny nie mogąc się oprzeć podziwowi, jakim go darzę.

Josh stara się przybrać wyraz twarzy satysfakcjonujący nas obie, będący subtelną mieszanką poczucia winy i dumy. W końcu jednak się poddaje i wyszczerza do mnie zęby w uśmiechu.

— Opowiadaj — błagam go.

Josh jest wspaniałym przyjacielem i szczerze go uwielbiam z wielu bardzo różnych powodów, między innymi także dlatego, że jest kompletnie pozbawiony skrupułów, co pozwala nam wymieniać się doświadczeniami.

— Jeszcze nigdy się nie zawiodłem. To coś w rodzaju takiego na wpół legalnego grzeszenia. Kobiety uważają, że skoro raz się z człowiekiem przespały, równie dobrze mogą to powtórzyć.

Unoszę brwi. Osobiście nie przepadam za powtórkami — można je błędnie zinterpretować. Josh zauważa moje spojrzenie i doskonale rozumie, skąd bierze się mój sceptycyzm.

— Oczywiście generalizuję — wyjaśnia. — Mówię tu o normalnych kobietach. Każdemu marzy się zaszaleć po raz ostatni, byle było to szaleństwo w miarę bezpieczne. Były nadaje się do tego najlepiej. W moim przypadku zadziałało to nie raz. Ostatnia noc pozamałżeńskiej namiętności, lecz bez groźby komplikacji, które Marcus ryzykowałby, pakując się w nowy romans.

Issie siedzi z ponurą miną, co Josh kwituje wzruszeniem ramion. Cóż innego jednak mu pozostaje? Pół życia przeproszał Issie za połowę ludzkości, której sam jest przedstawicielem, i za to, za co wcale nie ponosi odpowiedzialności. Ten gest jest odpowiedzią na rozczarowanie naszej przyjaciółki.

— To jest to! O to właśnie chodzi! Genialne! — Moje gratulacje są jak najbardziej szczerze. — Jesteś geniuszem! — krzyczę i z całej siły ściskam Josha. Mój zachwyt przyjmuje z zadowoleniem, chociaż nie ma pojęcia, dlaczego aż tak się ucieszyłam. — To jest właśnie pomysł na pieprzony, zachwycający, wynoszący oglądalność na orbitę program. Połączenie *Randki w ciemno* z *Truman Show*.

— Co takiego? — Josh jest wyraźnie zaskoczony. Issie patrzy na mnie bez słowa, nawet nie usiłując dojść, co dzieje się w moim pokrętnym umyśle.

— Reality show do kwadratu. Zaprosimy pary na tydzień przed ich ślubem, żeby w programie opowiedziały, dlaczego się pobierają. — Chcę Issie i Joshowi wszystko wytłumaczyć, ale nie nadążam z artykułowaniem myśli. Wątpię też, czy to, co mówię, ma dla nich jakiś sens. — Takie tam cliwe bzdury jak to, że od pierwszej chwili wiedzieli, że właśnie znaleźli swoją drugą połówkę i mieli stuprocentową pewność, że odtąd nie chcą być z nikim innym. Potem się dowiemy, które z nich miałyby ewentualnie ochotę na jeszcze jeden mały skok w bok...

— Ale... — usiłuje wejść mi w słowo Issie.

— Któreś na pewno się złamie — mówię z absolutną pewnością. — Następnie zorganizujemy niby to przypadkowe spotkanie niepewnej strony z byłym lub byłą. A potem... potem pozwolimy działać naturze.

— Myślisz, że coś z tego będzie?

— Jasne, że będzie. Nie ma nic bardziej kuszącego niż były chłopak czy była dziewczyna.

Issie przygląda mi się sceptycznie.

— No, może z wyjątkiem Gucciego — ustępuję. Jestem niewyobrażalnie podekscytowana. — W tym jest wszystko! Oglądarka, trywializacja seksu, manipulacja.

— To obrzydliwy pomysł — woła Issie. Jestem szczerze zdumiona.

— Coś ty? Jest fenomenalny.

— Sama zasada jest dla mnie wstrętne — dodaje.

— Nie zajmuję się zasadami — ich nie da się sprzedać.

— Wielka szkoda.

Już zaczynam obmyślać marketing i PR.

— Może przytył parę kilo, tu i ówdzie prześwituje mu łysina, ale poza tym nic się nie zmienił. Kiedy miałaś dwadzieścia jeden lat, był miłością twojego życia. Od tego czasu upłynęło dziesięć lat, ale wciąż ma ten sam, pełen uroku chłopięcy uśmiech, pamięta, że kupowałaś żel do włosów w wielkich słojach w Superdrug, i zwraca się do ciebie tak samo, jak robił to, kiedy byliście razem. Czy można się temu oprzeć? — Coraz bardziej podoba mi się ten pomysł.

— Igranie z nostalgią może być niebezpieczne — ostrzega Issie.

— O to właśnie chodzi. To się sprzeda — zapewniam ją.

— Możesz zrujnować komuś życie. Będziesz odpowiedzialna za odwołane śluby — kracze.

— Pokryjemy koszty, jeżeli do tego dojdzie.

Josh spogląda na mnie, jakbym właśnie wypęzła z kibla, co — przyznaję — trochę mnie dziwi.

— O co chodzi? — pytam go. — Zaoszczędzę na podatkach. Twoich w pocie czoła, ciężko wypracowanych podatkach.

— Mam nadzieję, że to go przekona. Josh osiągnął czterdziestoprocentowy próg. Leczy się prywatnie i kończył prywatne szkoły, zawsze więc trafiały mu do przekonania moje nadzwyczaj rozsądne uwagi, że podatki nie mają służyć budowaniu i dekonstrukcji naszych dróg, lecz budowaniu i rekonstruowaniu opieki zdrowotnej i przyszłości w ogóle. I całe szczęście.

— Jeżeli ci ludzie się pobiorą prędzej czy później postanowią się rozwieść i będą włóczyć piątkę swoich dzieci po sądach. Dzieci zostaną emocjonalnie okaleczone i z całą pewnością powtórzą w przyszłości napisany przez ich rodziców scenariusz nieudanego małżeństwa. Koszty postępowania prawnego pójdą w setki tysięcy.

— Chryste, Cas, powinni ci przyznać medal — mówi z sarkazmem Josh.

— Wiedziałam, że zrozumiesz mój punkt widzenia. — O sarkazmie postanowiłam zapomnieć.

Jestem tak podekscytowana, że nie mogę zasnąć. Wciąż obmyślam szczegóły. Zastanawiam się, czy nie oczekuję zbyt wiele, zakładając, że każda para, na kilka zaledwie tygodni przed ślubem, będzie chciała doszukiwać się rys w swoim związku. Dochodzę do wniosku, iż chyba jednak nikt z własnej i nieprzymuszonej woli nie przyzna się, że go nosi i ma chcięć. Rzadko kiedy stać kogoś na podobną emocjonalną szczerłość czy świadomość własnych potrzeb. Wiem o tym — w końcu od szesnastu seksualnie aktywnych lat funkcjonuję w tak zwanym dorosłym świecie i jeszcze nie udało mi się spotkać nikogo, kto potrafiłby nazwać rzeczy po imieniu. Ale jest być może inny sposób. Być może da się do tego podejść z innej strony. Na swojej drodze spotkałam niezliczone przypadki paranoi, zazdrości, braku poczucia bezpieczeństwa i zaufania. To jest to! Powinnam poszukać ludzi, którzy nie do końca ufają swoim partnerom i chętnie poddaliby ich ostatecznemu sprawdzianowi, zanim wypowiedziane zostanie sakramentalne tak. TV6 będzie musiała jedynie zaaranżować sytuację, w której nie obdarzana bezwzględny zaufaniem strona niby to przypadkiem spotyka byłego chłopaka bądź dziewczynę, a potem... A potem! Obejmuję się czule ramionami. Oczywiście wszystko opiera się na założeniu, że poddawana testowi strona nie ma zielonego pojęcia, iż wszystko jest starannie wyreżyserowane. Konieczna jest absolutna dyskrecja, co jednak w praktyce wcale nie musi się okazać aż takie trudne. Doświadczenie uczy mnie, że rzadko spotyka się pary, które nie mają przed sobą czegoś do ukrycia. Och, czuję, że trafiłam w dziesiątkę. Już to widzę — reakcja oszukanego, hipokryzja winnych zdrady. I to wszystko na żywo w telewizji. Po prostu kryształ! Jakież to okrutne. I jakie do bólu uczciwe. Wyczuwam nieuchronny sukces, co z kolei budzi we mnie apetyt na seks.

Zapalam nocną lampkę i próbuję pod łóżkiem wymacać swój elektroniczny notes. Chwilę się waham. Każda powtórka z rozrywki może pociągnąć za sobą niepotrzebne komplikacje. Facet może sobie pomyśleć, że mi zależy albo że zależy jemu, o wszystkim może się też dowiedzieć jego

żona i uznać, że zależy nam obojgu. Lecz zew natury to siła wyższa. A ja naprawdę nie mam ochoty zwlekać się z łóżka, ubierać i iść do klubu na połów świeżego mięska. Brzęczy mój elektroniczny notes. Steven Arnold? Nie, chyba dopiero co się ożenił. Mało odpowiednia pora. Keith Bevon? Nie, to psychol, może mnie potem prześladować. Phil Bryant? Czy nie wyjechał za granicę? George Crompton albo jego brat Jack? O nie, pora jest zbyt późna, by chciało mi się zmagać z kompleksem na punkcie brata: „Dlaczego zadzwoniłaś do mnie, a nie do niego?” „Mam większego niż on?” Chryste, już na samą myśl boli mnie głowa. Miles Dodd? Dobry pomysł, niezbyt nachalny, angażuje się niechętnie. No i potrafi wytrzymać, dopóki ja nie jestem gotowa. Tak, z Milesem chętnie bym pofiglowała. Niestety, linia jest zajęta. Cóż, szczęśliwie nie on jeden ma telefon. Joe Dorward. Chwilę trwa, zanim udaje mi się go umiejscowić. Ach tak, to ten inspicjent z teleturnieju na Channel 4. Kilka miesięcy temu poznaliśmy się na warsztatach. Z początku nie wydał mi się szczególnie seksowny — przystojny, owszem, ale nie na tyle błyskotliwy, by mnie zainteresować. Uznałam, że mogę go dosłownie omotać słowami, a to mnie raczej nie kręci. Jednak po trzech czy czterech lampkach szampana stałam się zdecydowanie mniej wybredna. I poszło nam całkiem nieźle. W końcu, jak powiada Josh, nie o werbalną stymulację chodzi w łóżku. Wykręcam numer i on osobiście odbiera.

— Witaj, Joe — mruczę do słuchawki.

Kiedy się budzę, Joe już nie śpi. Słyszę, jak krząta się po kuchni, gdzie pogwizdując, przygotowuje śniadanie. Przynosi kawę i informuje mnie, że wyskoczył do 7-11 po świeże rogaliki, które zaraz poda. Oświadczam mu, że śniadań nie jadam, i z trudem się podnoszę.

— Wody?

Gna do łazienki, skąd po chwili wraca ze szklanką wody. Jestem tak odwodniona, iż staram się nie pamiętać, że przede mną z tejże właśnie szklanki musiał napić co najmniej z pięć osób. Joe wraca do łóżka i zaczyna ślinić mi ramię. Widząc go w chłodnym świetle poranka, dochodzę do wniosku, że jednak pierwsze wrażenie nigdy człowieka nie zawodzi. On faktycznie jest tępy. Nie da się ukryć, że to samiec klasy alfa i w sposób oczywisty seksowny. Ale jak mogłam przeoczyć te psie oczy spoglądające na mnie z pełnym oddaniem? Te wybuchy pełnego zachwyty śmiechu, którymi kwituje wszystko, cokolwiek powiem, nawet rzeczy tak mało zabawne jak moje imię? Albo to, jak radośnie kiwa głową, zgadzając się ze mną we wszystkim. Aż mnie mdli. Nadal nieźle pachnie i — to mu trzeba przyznać — pieprzyć się potrafi. Nie da się jednak ukryć, że najwyraźniej się we mnie zadurzył. Na gwałt staram się wymyślić coś, co by mu mnie obrzydziło. Może ucieknę, kiedy zademonstruję mu swój cellulitis albo nie wygolone bikini (mało prawdopodobne). Albo zacznę oglądać Oprah. A może by tak wydłubać sobie paznokciem włosy łonowe spomiędzy zębów? Niestety, obawiam się, że nie ma nic na tyle odrażającego, co on

uznałby za wystarczająco odrażające. Chyba będę musiała udać, że się w nim zakochałam — tylko w ten sposób mogę go odstraszyć. Na to jednak może nie starczyć mi energii. Jego wielkie oczy, tak pełne erotyzmu wczoraj wieczorem, dzisiaj są dla mnie nie do zniesienia. Odpycham go, wychodzę z łóżka i rzucam w niego spodniami, gdy tylko udaje mi się je zlokalizować.

— Ubieraj się. Czeka mnie dziś wielki dzień.

— Bale, mam rozwiązanie.

Wpadam do gabinetu mojego szefa, jednym miażdżącym spojrzeniem zmiatając ze swojej drogi jego sekretarkę. Nie przyjmuję zaproszenia, bym usiadła, odmawiam też cygara, które mi podsuwa. Słowo daję, straszny ciul z niego. Lecz ten ciul jest moim szefem i bardzo chcę wyrzucić na nim wrażenie.

— Mam pomysł.

— Cały zamieniam się w słuch — mówi szyderczo.

W jego przypadku to nic trudnego, bo uszyska ma jak słoń. To spostrzeżenie zachowuję jednak dla siebie, zaczynam natomiast przedstawiać mu zarys programu. Do jego biura wtargnęłam co prawda dopiero o 10.50 — chciałam bowiem dać mu do zrozumienia, że jako pracownik znam swoją wartość i nie pozwolę sobą pomiatać — ale w pracy zjawiłam się już o 8.15 i przez cały czas starannie przygotowywałam się do spotkania. Do perfekcji opracowałam taktykę, która miała go oszołomić, jednocześnie sprawiając wrażenie, że działam całkowicie spontanicznie. Zamierzałam wypaść bardzo przekonująco i przede wszystkim jak ktoś, kto jest absolutnie pewny swego. Poza taktyką z najdrobniejszymi szczegółami obmyśliłam, jak będę wyglądać. Mam na sobie prostą, wkładaną przez głowę, białą bawełnianą sukienkę od Dries Van Notena, a całości dopełniają ciężkie buciory włożone na boscie stopy. Wyglądam jak ucieleśnienie pełnego naiwności czaru, buty jednak sugerują, że tak naprawdę jestem o wiele bardziej twarda. Odpowiednio duży dekolt ma dodatkowo przykuć uwagę starego satyra.

— OK. — Biorę głęboki oddech. — Mieliśmy obmyślić program, który przyciągnie widzów, reklamodawców i prasę. — Bale ostrożnie przytakuje skinieniem głowy. — Chodziło ci o niezdrową sensację za bardzo małe pieniądze.

— Nigdy nie wspominałem o niezdrowej sensacji.

— Ale nie zaprzeczysz, że chcemy być zauważeni. — Znowu przytakuje, lecz ruch głowy jest ledwo zauważalny. Wiem, skąd ta ostrożność: jeśli kiedykolwiek dojdzie do debaty kolegium redakcyjnego nad programem, Bale zaprzeczy, jakoby wyraził na niego zgodę. Chrzanić go. Opowiadam dalej.

— Trochę to mało prawdopodobne, nie uważasz? — pyta z rezerwą gdy wszystko mu już wyłożyłam.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Cóż, opierasz się na założeniu, że są ludzie, których od ołtarza dzieli zaledwie jeden krok, ale mają na tyle pomieszane w głowie, żeby nie uważać swoich wybrańców za koszernych w stu procentach, i podejrzewają, że skusiliby się na kawałeczek wieprzowinki w postaci dawnego ukochanego.

Cóż za odrażająca analogia. Obrażliwa dla niejednej religii, wegetarian i kobiet, nie da się jednak ukryć, że zasadniczo Nigel trafił w sedno. Usilnie staram się go do pomysłu zachęcić.

— Posłuchaj. Wszystko sprawdziłam. W Zjednoczonym Królestwie na tysiąc osób przypada sześć przecinek sześć małżeństw. Co średnio daje jedenaście tysięcy ślubów tygodniowo. Jest to jeden z najwyższych współczynników na świecie, konkretnie dwudziesty dziewiąty. Ale mamy też jeden z najwyższych współczynników rozwodów...

— No cóż, nie można się rozwieść, jeśli najpierw nie zawarło się związku małżeńskiego — kwituje pieprzony Einstein.

Uśmiecham się lodowato.

— Na tysiąc osób przypadają trzy przecinek dwa rozwody. To nam daje dziewiąte miejsce na świecie.

— Do czego zmierzasz?

— Masz pojęcie, w ilu sprawach rozwodowych pada w sądzie nazwisko byłego lub byłej? To trzydzieści siedem procent. Co roku niezliczone rzesze ludzi wracają do swoich dawnych miłości i powtórnie biorą z nimi ślub. Były lub była — jest w nich coś fascynującego, doprawdy trudno im się oprzeć. Proszę bardzo, weźmy na przykład taką Liz Taylor i Richarda Burtona, Fergie i księcia Andrzeja, Melanie Griffith i Dona Johnsona.

Zainteresowanie Bale'a rośnie. Ma nosa do dobrych pomysłów.

— Czy to nie ta sama Melanie, która teraz jest z Banderasem?

Ignoruję tę oczywistą wątpliwość.

— Bale, to musi wypalić.

— Myślisz, że naprawdę są ludzie, którzy na to pójdą? Nie do wiary — Bale wątpi, że świat pełen jest ekshibicjonistów/paranoików/zazdrośników.

— Zaczniemy od pilotażowej serii sześciu odcinków. Dwie pary na program. Potrzebujemy więc zaledwie sześciu par, a wybierać możemy z całej populacji Brytyjczyków.

Bale kiwa głową.

— Ludzie potrafią być odrażający. I kto to mówi.

— Tak się robi dobrą telewizję — mówię z udawaną serdecznością. — Przypomnij sobie rok siedemdziesiąty czwarty, dokument Paula Rogersa *Rodzina*. Wiesz, o czym mówię? — W

historii TV ten program ma status gwiazdy. Wszyscy go znają. Był to pierwszy z rodzaju reality show.

— Aha, ten, w którym Rogers miesiącami siedział z kamerą w salonie jakiejś rodziny na przedmieściach? O ile pamiętam, małżeństwo w konsekwencji się rozpadło.

— Owszem, ale wyłącznie dlatego, że pan Wilkins pałał wyjątkową niechęcią do sprzętu audio. Pani Wilkins przyznała natomiast przed kamerami, że jej mąż nie jest ojcem ich ostatniego dziecka.

— Prawda. — Bale chichocze, łypiąc chytrze. — Wredna suka.

— Pytanie dlaczego, Bale. Dlaczego wyjawia coś takiego na oczach całego świata? Może spowodował to stres, który dzięki niej zawitał u nich w domu. Dlaczego to zrobiła? Chciała się wypowiedzieć? Oczyszczyć duszę z grzechu? A może uznała, że zanim odejdzie z tego świata, chce mieć jeszcze swoje pięć minut sławy?

— Może po prostu chciała dać mu nauczkę? — dodaje Bale. — Zranić go? Lub błagać o przebaczenie na forum zbyt publicznym, by go jej odmówił?

— Właśnie. Tego nie wiemy. Jest miliard powodów, którymi ludzie się kierują. Przypomnij sobie małżeństwo zawarte na antenie radiowej kilka lat temu. Ludzie gotowi są podreptać główną nawą do ołtarza w towarzystwie kogoś całkowicie obcego, byle tylko mieć te swoje pięć minut. Chociaż w przypadku tej pary z Birmingham nie było to pięć minut, lecz całe siedem i pół miesiąca, sto osiemdziesiąt pięć minut telewizyjnego czasu antenowego, dwieście siedem radiowego i pięćdziesiąt osiem szpalt w prasie.

Bale stuka długopisem w biurko. Jest wyraźnie podekscytowany. Zmierzam do wielkiego finału.

— Jest milion programów o małżeństwach: o okresach poprzedzających oświadczyzny, o samym ślubie, pierwszym roku wspólnego pożycia. Słyszałam, że w Channel 4 przygotowują coś o konsumowaniu związku. — To już zmyśliłam, ale chcę, żeby Bale dał pieniądze. Na ogół jestem niemoralna, a tam, gdzie w grę wchodzi interes, wręcz amoralna. — Proponuję zmienić nieco ustaloną formułę. Wszyscy zainteresowani mają być obecni w studiu, kiedy będziemy pokazywali, co każde z nich robiło. Kluczem do wszystkiego jest żywa publiczność. To będzie powalające. Wszystko opiera się na tym, że byli partnerzy tak naprawdę nigdy nie odchodzą. Nawet ci, o których nie myślało się przez dziesięć lat i których nie widziało się od czasu rozstania. Zawsze człowieka korci, by się dowiedzieć, co się stało z tym, który odszedł albo kogo się rzuciło.

Bale, biznesmen z krwi i kości, od razu potrafi dostrzec możliwości.

— Ty naprawdę uważasz, że to wypali. — Jest to raczej stwierdzenie niż pytanie.

— Oczywiście — nie kryję entuzjazmu. — Przyznaję, że wszystko zależy od łatwości, głupoty i próżności Brytyjczyków. — Oddycham głęboko. — A to nas nie zawiedzie.

— No dobrze, a jeśli wszystko faktycznie się tak rozkręci, jak twierdzisz, że musi, skąd będziemy brali nowych ludzi do następnych programów?

— Zanim zaczniemy lecieć na żywo, nakręcimy wystarczająco dużo materiału. Tak sformułujemy zgodę na publikację, żeby goście nie mogli się wycofać. Bale, dopracuję każdy szczegół. Nic się nie martw. — Jestem tak zdesperowana, że łagodnie klepię go po ramieniu.

— OK, Cas. — Mój szef kiwa głową. — Idź do finansowego i opracujcie budżet.

Mam ochotę skakać z radości. Bale bezbłędnie odczytuje mój radosny nastrój.

— No, no, nie ekscytuj się tak. Nie jestem milionerem. Jeszcze jedno kłamstwo, któremu Bale nie może się oprzeć.

Ale co mnie to obchodzi. Mam program, i to przebojowy!

4

— Cześć, Josh, to ja. Zgadnij, co się stało? Bale to kupił! Program o zdradzie z byłym.

— I mam to uznać za dobrą wiadomość.

— Och, daj spokój, Josh. — To nie w jego stylu nie pochwałać tego, co robię. — Znowu jestem na topie.

— To znaczy tam, gdzie lubisz być najbardziej — śmieje się Josh wbrew sobie.

— Dosłownie i w przenośni — dodaję bezczelnie.

— Czyżbyś ze mną flirtowała, Cas? — pyta Josh, ale wiem, że to żart.

— Z każdym, tylko nie z tobą — zapewniam go.

— Cóż za ulga.

— Program będzie się nazywał *Seks z eks*. Co o tym myślisz?

— Staram się nie myśleć w ogóle. Wzdycham zawiedziona jego brakiem entuzjazmu.

— Słuchaj, muszę kończyć, mam strasznie dużo roboty. Chciałam ci tylko przekazać dobrą wiadomość. W końcu ten pomysł zawdzięczam poniekąd tobie.

— Brr, aż mi się zimno robi. To na razie.

Odkładałam słuchawkę, starając się nie myśleć o pełnej rezerwy reakcji Josha. Wolę pamiętać o wdzięczności Bale'a, na którą zresztą liczyłam. Obiecał mi premię, której wysokość zależy od wyników oglądalności, jakie zdołamy osiągnąć. Istnieje duża szansa, że zarobię krocie. Mój

sukces znacznie popsuł nastrój Fi, postanawiam więc, że będę wspaniałomyślna. Nie ufam jej, ale w końcu jest moją asystentką i musi pracować z pełnym zaangażowaniem — tyle jest do zrobienia.

Najpierw musimy wymyślić reklamę.

Czy wkrótce stajesz na ślubnym kobiercu? Czy darzysz wybrańca/wybranę swojego serca stuprocentowym zaufaniem? Czy w jego lub jej przeszłości był ktoś, kto w dalszym ciągu mógłby wpłynąć na waszą wspólną przyszłość? Napisz do nas. Zapewniamy całkowitą dyskrecję. Skrzynka pocztowa...

Tak niewiele trzeba, by zacząć.

— Czy to chwyci? — powątpiewa Fi.

— O ile wiem coś na temat ludzkiej natury, to tak.

— Gdzie umieścimy to ogłoszenie?

— Na początek w jakimś dziadostwie. — Rzucam kilka czasopism. Mam o niej na tyle dobre zdanie, że nie podejrzewam, aby były jej znane. Fi zaczyna je przeglądać.

— Mój Boże, przecież to okropne. Czy ci ludzie nie mają za grosz szacunku dla samych siebie?

Nawet nie podnoszę wzroku znad kosztorysu.

— Nie.

Fi czyta spis treści.

— „W ciągu trzech lat uprawiałam seks ze stu mężczyznami”. „Zabawiałam się w trójkącie z moim kumplem i jego dziewczyną”. „Majtki bez kroku — praca w sex shopie”. „Jesteśmy seks-pertami — kobiety, które naprawdę cenią się w łóżku”!

— Nadają się idealnie — przerywam jej. — Czytelnicy tych szmatławców gotowi są obnażyć ciało i duszę za parę nędznych funciaków i miejsce na stronie z listami. Szukają sceny, na której mogliby wystąpić. Są darem od losu. Tylko pamiętaj, Fi, nie chcemy być repliką Jerry'ego Springera. Nie szukamy cudaków. Mamy tak postępować, żeby zachęcić i przyciągnąć normalnych ludzi. Fi jęczy przerażona.

— O wiele łatwiej przyjdzie nam znaleźć dziwołagi. Brakuje im samoświadomości, no i nie mogą na zbyt wiele liczyć.

Wbijam w nią wzrok. „Łatwo” (chyba że mowa o mojej seksualnej moralności) nie zalicza się w moim słowniku do ulubionych słów. Dobrze wiem, że sukces programu zależeć będzie od tego, czy u przeciętnego widza wywoła uczucie skrępowania. Telewizja pełna jest programów, do których zaprasza się współczesne upiory. A widz siedzi sobie spokojnie, wygodnie rozparty na kanapie. Nie utożsamia się z bohaterami talk-show, bo uważa ich za bezwartościowych, uciekających od codzienności ludzi. Tego rodzaju programy to swoista służba na rzecz

społeczeństwa: oglądając je, ludzie mogą dziękować Bogu, że ich tak nie pokarał. Mój *Seks z eks* ma być inny. Chcę, żeby zadowolone z siebie pary w czasie jego oglądania zaczynały się czuć niezręcznie. Chcę, żeby rozmowa w czasie przerw na reklamy przychodziła im z trudem. I żeby, powodowani nagłym zwątpieniem w siebie nawzajem, zwiększali choć odrobinę dzielącą ich przestrzeń. Ten program ma być o nich, o ich życiu, bez względu na pochodzenie, wiek, rasę czy religię.

— Kto to ma więc być? — pyta Fi.

— Pan Nowak i pani Kowalska. Ludzie, którym ufamy. Policjanci, pielęgniarki, bibliotekarki, nauczyciele, faceci z Carphone Warehouse.

Fi spogląda na mnie sceptycznie.

W końcu postanawiamy zamieścić ogłoszenie na stronie internetowej TV6, na wewnętrznej elektronicznej stronie ogłoszeniowej, wysłać ludzi do klubów i centrów fitnessu, żeby tam bezpośrednio wyszukiwali kandydatów.

Decydujemy się też uruchomić linię telefoniczną tuż po naszym programie *Nie próbuj tego sam*, który ma całkiem niezłą oglądalność w paśmie wieczornym.

Szybko okazuje się, że obawy Fi były przedwczesne i nieuzasadnione. Minęło zaledwie kilka dni od umieszczenia reklam, a nas zalewają odpowiedzi; przychodzi mnóstwo listów. Wygląda na to, że świat roi się od ludzi mających lada moment przysięgać sobie miłość aż do grobowej deski, ale tak naprawdę żyjących w obawie przed rozstaniem o znacznie bardziej ziemskim charakterze. Tego się właśnie spodziewałam. Natomiast lektura tych listów może człowieka wpędzić w głęboką depresję.

Moja dziewczyna, Chrissie, jest najcudowniejszą, najśłodszą, najbardziej kochającą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Za prawdziwy zaszczyt poczytuję sobie fakt, że przyjęła moje oświadczyzny i zgodziła się zostać moją żoną. Mamy się pobrać za cztery tygodnie. To będzie wielkie wydarzenie, na niczym nie oszczędzamy. W końcu człowiek żeni się tylko raz. Planujemy mieć dużą rodzinę i któregoś dnia zamieszkać nad morzem. Kocham ją i ona kocha mnie. Zawsze mi to powtarza.

Czy myślicie, że mogłaby mi kiedyś nie dochować wiary?

Pytam dlatego, że mój najlepszy kumpel twierdzi, iż widział ją w pubie z jednym z jej byłych. Jestem przekonany, że nic się za tym nie kryło, kiedy jednak ją zapytałem, odparła, że musiała zająć jakąś pomyłkę...

Za siedem tygodni biorę ślub. Bardzo kocham swojego narzeczonego i jestem przekonana, że on kocha mnie także, w co w zasadzie wierzę, choć nie tak do końca. Była jedna dziewczyna, z którą studiował w college'u. Rzuciła go dla jakiegoś wioślarza z Ameryki. Wczoraj na przyjęciu

moja najlepsza koleżanka upiła się i nagadała mi jakichś potwornych rzeczy. Powiedziała, że przyłapała go na gorącym uczynku, że on nie jest mnie wart. I teraz się zastanawiam — czy gdyby mógł wybierać, wybrałby mnie?

... Chodzi o to, że znalazłem listy. Po co miałyby je trzymać?

Kiedy człowiek wychodzi za mąż, przeszłość zostawia za sobą. Tak trzeba. I ja jestem na to przygotowana. Ale on? Zawsze miał słabość do kobiet. Niby nic nie robi, tylko z nimi flirtuje. Chyba nic nie może na to poradzić. Nie ma nic złego na myśli. To mi nie przeszkadza. Przynajmniej nie tak bardzo. Ale moja mama mówi, że tacy mężczyźni jak on nigdy się nie zmieniają. Chodzi o to, że nie obawiam się jakiegś konkretnej bylej dziewczyny. Jeśli mam być szczerą, to były ich dziesiątki...

Trafiają się też listy od psycholi. Ludzi, którzy piszą, że prędzej zabiją swojego partnera, niż dopuszczą do jego zdrady. Wierzę im na słowo i przekazuję ich listy policji.

Zatrudniłszy specjalny zespół, który ma za zadanie czytać całą tę korespondencję, ale bywa, że dopada nas z Fi niezdrowa ciekawość i czasem musimy przeczytać co nieco osobiście. Chociaż listy bardzo się od siebie różnią łączy je pewna wspólna cecha. Piszący je desperaci za wszelką cenę muszą się przekonać, że dla swoich partnerów są absolutnie i bezdyskusyjnie jedyni i najważniejsi.

— A może oni wszyscy są jacyś ułomni albo obrzydliwi?

— Skąd to przypuszczenie, Fi?

— Żeby być do tego stopnia zdesperowanym, czuć się aż tak niepewnie?

Podaję jej zdjęcie, które nadeszło wraz z jednym z listów. Uwieczniona na nim kobieta wygląda na jakieś trzydzieści dwa lata, jest szczupłą, elegancką blondynką. Dołączyła też swoje CV, z którego wynika, że ukończyła Cambridge i ma tytuł profesora Harvardu. By dobić Fi ostatecznie, pokazuję jej zdjęcie narzeczonego — wygląda na przemądrzałą miernotę. Fi jest autentycznie oszołomiona.

— Boże, co za przeciętniak.

— Owszem, ale dla ciebie. Ona uważa go za bóstwo.

— Nie rozumiem tego. — Potrząsa ze znużeniem głową.

— Ja też nie, kotku. Może Londyn tak na nią działa. — W co osobiście nie wierzę, ale może trochę jej ulży. — W każdym razie zaprosz ją do programu.

Cały zespół zbiera się wokół góry listów zdającej się emanować jakąś przedziwną mocą przyciągania. Korzystam z nadarzającej się okazji, że mam ich wszystkich razem pod ręką.

— OK, status prawny. Jaki, rozmawiałś z prawnikami?

— Tak. Musimy postępować nadzwyczaj ostrożnie, ale warunki nie są niemożliwe. W przypadku tych, którzy wiedzą, że są filmowani i biorą udział w spisku, materiał filmowy możemy wybierać wedle własnego uznania, przynajmniej dopóki gość jest poinformowany, że taśma się kręci. „Poinformowany” oznacza, że wystarczy wysłać mu zawiadomienie o uruchomieniu kamer. Żeby zabezpieczyć się z każdej strony, musimy poprosić naszych gości o podpisanie tego. — Macha nam przed nosem potężnym plikiem dokumentów, opasłym jak książka telefoniczna. — Drobnym druczkiem odstraszy większość i bez zbędnych ceregieli podpiszą. Korzystać możemy z CCTV*, o ile władze lokalne wyrażą zgodę. Te kamery są wszędzie: w sklepach, warsztatach, na latarniach w ciemnych uliczkach

- najbardziej mi się podoba, że potrafi myśleć wielowątkowo
- w bibliotekach, na parkingach, w holach hotelowych.

* CCTV — sieć telewizyjna zamknięta.

— Jakoś nie bardzo mi się widzi, żeby władze i właściciele tych lokali się zgodzili. Co wy na to? — pyta Fi.

— Jak już mówiłam, staram się o pozwolenia i myślę, że kiedy zbierzemy wszystkie potrzebne dokumenty, nikt chyba nie będzie nam przeszkadzał. Dla hoteli i restauracji to będzie darmowa reklama. Ale z nagrywaniem naiwniaka sprawa przedstawia się gorzej. Jeżeli ktoś nie jest świadomy, że się go filmuje, nie wolno go pokazywać w materiale filmowym, chyba że popełnia przestępstwo i pokazanie go ma pomóc wymiarowi sprawiedliwości.

— Och — wzdycham. Nie jest to dobra wiadomość. Cały program opiera się na przyłapaniu winowajców na gorącym uczynku.

Jaki mówi dalej:

— Jedyne rozwiązanie tego to zatajenie ich tożsamości. Możemy tylko zasugerować, kim są. Pokażemy, dajmy na to, zdjęcia naiwniaka i aktualnego narzeczonego/narzeczonej, na publikację których narzeczony/narzeczonej wyraził zgodę. Potem pokażemy zdjęcia „kusiela”, a pokazując materiał już z samego uwiedzenia, będziemy musieli wykorzystać te cwane czarne paski, którymi przesłania się twarz lub inne części ciała. Oczywiście będzie widać, czy nasz naiwniak dał się złapać czy też nie, ale przynajmniej nie zostanie to powiedziane wprost.

Muszę to przemyśleć. Jeżeli pokażemy materiał po raz pierwszy przed żywą publicznością i wszystkimi zainteresowanymi stronami, naiwniak nie będzie mógł się wyprzeć, że to on faktycznie został przyłapany na zdradzie. A nawet gdyby tak zrobił, kłótnia, która niechybnie musi wybuchnąć, i tak wypadnie świetnie. Nie może się nie udać.

— Myślę, że to jest do zrobienia. Coś jeszcze?

— Poza tym nie wolno nam pokazywać żadnych lubieżnych aktów, nawet zamazanych. Musimy zagłuszać wszystkie nieparlamentarne słowa i niektóre obelgi, jeżeli chcemy uniknąć jakichkolwiek kontrowersji.

— Na czym wcale mi nie zależy. Jaki wzrusza ramionami.

— Twój wybór. Podsumowując, prawo bardzo fragmentarycznie chroni prywatność państwa Kowalskich.

— Fantastycznie. Chcę mieć wszystkie dokumenty. Nie zapominajcie o złotej zasadzie. Jaki przytakuje skinieniem głowy.

— Dałam ją sobie wytatuować na czaszce: „Będziecie chronić wasze tyłki”.

— Otóż to właśnie. OK. Ricky, co mówi szef od ramówki?

— No wiesz, plecie jak zwykle: że muszą kontrolować napięcie, zdawać się na ślepy los, jak w grze — manewrować pomiędzy przewidywalnym i niewyobrażalnym, tym, co da się kontrolować, i spontanicznością — bo to właśnie dostarcza rozrywki, ple, ple, ple... Mówić dalej?

— Nie. Kiedy możemy dostać czas antenowy?

— Zaproponowali nam dziewiętnastą trzydzieści w sobotę, równoległe z Cillą.

— Czysty idiotyzm. *Randka w ciemno* leci od szesnastu lat i wciąż przyciąga siedem milionów widzów. Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby stawać z nimi w szranki. Chyba że dopiero pod koniec pierwszej edycji. Jakiś inny termin? Myślałby kto, że mamy taką fascynującą ramówkę.

— W poniedziałek o dwudziestej drugiej.

— Bierzemy. Gray, jak się mają sprawy ze sponsorami i reklamą?

— Nieźle. Reklama idzie zgodnie z planem. Przyczepy telewizyjne są już rozstawione, potwierdzenie na reklamę w prasie i plakaty będziemy mieć kilka tygodni przed pierwszym programem. Co do sponsorów, zgłosił się jeden sklep z ciuchami dla nastolatków. Są zainteresowani umową barterową — oni dają kasę, my ubieramy gości w ich zestawy. Przesłali nam kilka przebojowych propozycji.

Gray z pewną obawą rozkłada projekty na stole. Można je określić raczej mało subtelnie jako „wyjątkowo kurewskie”. W moich ludziach wkurza mnie niejedno. Kiedy coś im zlecam, niezmiennie jęczą, jak to są przepracowani, co jest oczywistą bzdurą, zważywszy na to, że nasza stacja ma kłopoty z wymyśleniem nowych programów; przerwa na lunch trwa u nich godzinami; wyłączają swoje telefony komórkowe; nigdy nie słuchają rad, nie korzystają ze słowników, nie uczestniczą w zebraniach. Z dumą wszem wobec głoszą, że są stałymi czytelnikami „Sportu”, i z

lubością dyskutują o cyckach swoich koleżanek. I wreszcie najgorsze: ich pomysły są na ogół infantylne. Gray zdaje się czytać w moich myślach.

— Uważasz, że są infantylne, prawda?

— Owszem — nie zaprzeczam. — Nie nadają się. Komisja do spraw Niezależnej Telewizji nie będzie chciała o nich słyszeć. A nawet gdyby je zaakceptowała, nie nadają się do naszego programu, bo nasuwałyby złe skojarzenia. Niech Mark i Tom spróbują znaleźć coś z wyższej półki.

Otwieram drzwi do pubu i uderza mnie znajomy, miły sercu zapach przesiąkniętych piwem dywanów, dymu papierosowego i chipsów. Jest połowa września i choć słabe promienie słoneczne usiłują pokonać jesienne powiewy wiatru, cieszy mnie, że Josh zdecydował się usiąść w środku, a nie w ogródku piwnym. Dostrzegam go natychmiast. Siedzi w kącie i zaczytany w „Private Eye” nie zauważa zachwyconych spojrzeń, jakimi obrzucają go grupki urzędniczek biurowych. Podchodzę i całuję go na powitanie w policzek. Odkłada gazetę i z uśmiechem wskazuje na czekającą już na mnie wódkę z sokiem pomarańczowym.

— Zdrówko. — Stukamy się szklankami. — Skąd wiedziałeś, że dzisiaj marzyłam o wódce?

Zwykle pijam gin z tonikiem, chyba że w pracy mam wyjątkowo gorący okres — wtedy przerzucam się na wódkę z sokiem. Przy okazji tłumaczę sobie, że pomarańczowy kordiał rekompensuje w jakimś stopniu fakt, iż od wielu dni nie udało mi się zjeść nawet jednego porządnego posiłku.

— Odkąd zaczęłaś pracę nad *Seks z eks*, ani ja, ani Issie nie mamy od ciebie żadnych wiadomości. Uznałem, że skoro nie masz czasu do nas zadzwonić, tym bardziej nie masz go, żeby coś zjeść.

— Wybacz — bąkam skruszona.

Josh wzrusza ramionami. Nic więcej nie muszę dodawać. Wciąż jeszcze nie pozbierałam się po reprimendzie, jakiej udzielił mi, kiedy dzisiaj rano udało mu się w końcu złapać mnie w pracy. Nie owijał w bawełnę, że znudziły mu się pogawędki z automatyczną sekretarką. Usiłowałam go przekonać, że gdyby zależało to ode mnie, oczywiście wołałabym popijać w towarzystwie jego i Issie, niestety jednak praca nad nowym programem pochłania cały mój czas, czy mi się to podoba czy nie. Nie bacząc na moje opory, Josh sterroryzował mnie, bym wieczorem wyskoczyła z nim na drinka, na co — szczerze przyznaję — przystałam z ochotą.

— Gdzie jest dzisiaj Issie?

— Na jodze. Powiedziała, że być może dołączy do nas później. Chwilowo więc będę cię zanudzał opowieściami z sądu.

— Nie krępuj się — mówię z uśmiechem, bo nudny to Josh nie jest na pewno. Specjalizuje się w prawie kryminalnym i zawsze ma w zanadrzu całe mnóstwo anegdotek o swoich co-

dziennych zmaganiach z wyrzutkami społeczeństwa. Tak więc gawędzimy sobie o jego pracy i jego mieszkaniu (chce, żebym doradziła mu w sprawie kafelków do łazienki, więc obiecuję wybrać się z nim na zakupy w sobotę); potem opowiada o swoim najnowszym podboju sercowym, co czyni z dość miernym entuzjazmem, choć zapewnia mnie, iż nogi to ona ma rewelacyjne. Fajnie mi się z nim gada i czuję, jak się odprężam. Słucham go z uwagą i mimo że język aż mnie świerzbi, by opowiedzieć mu wszystko o *Seksie z eks*, powstrzymuję się. Josh zna mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, jaką walkę ze sobą toczę, i w końcu łaskawie dopuszcza mnie do głosu.

— A co u ciebie? Jak prace nad *Seksem z eks*?

Na to tylko czekałam. Wiem, że z Joshem mogę rozmawiać o wszystkich aspektach programu otwarcie, na co z nikim innym pozwolić sobie nie mogę. W biurze przez cały czas muszę zachowywać spokój i całkowitą pewność siebie. Nie wolno mi zdradzić się z żadnymi wątpliwościami, obawami, choćby nawet dotyczyły drobiazgów — jak na przykład koloru dekoracji. Natomiast przy Joshu w jednej chwili z całkowicie pewnej siebie szefowej mogę stać się pełną obaw i strachu dziewczynką, by zaraz wrócić do poprzedniego wcielenia, nie bojąc się, że zmieni o mnie zdanie. Wzdycham.

— Nie chcę, żeby mój program był tandetny, ale na każdym kroku napotykam same trudności. Jak pomysł jest kiepski, musimy zatrudniać najdroższych aktorów i budować pełną przepychu dekorację. W ten sposób próbuje się odwrócić uwagę widzów — tłumaczę mu. — *Seks z eks* to strzał w dziesiątkę, więc guzik w niego inwestujemy. Widziałam dekorację. Wystarczy, że ktoś kichnie, a ona trzęsie się cała, jakby lada chwila miała runąć. Czemu ten Bale nie chce sięgnąć głębiej do kieszeni? Wiem, że nie jest bez dna, ale i tak wystarczająco głęboka.

— To znaczy, że skąpi na wszystkim?

— Przynajmniej zgodził się na wodzireja — no wiesz, kogoś, kto będzie zabawiał publiczność w czasie przerw na reklamy.

— No, zawsze to coś.

— Rzeczywiście, uosobienie szczodrości. Wymyślił, że ma to być ktoś z Covent Garden, komu zapłacilibyśmy trzydzieści kawałków — dodaję z nieskrywanym sarkazmem.

— Kto poprowadzi program?

— Chciałam, żeby to była Zoë Ball, Yasmin Le Bon albo Nigella Lawson, ale Bale kazał mi znaleźć Jakaś świeżą krew", najlepiej dopiero po szkole aktorskiej. W ten sposób nie będzie musiał zapłacić więcej niż kilka patyków za edycję.

— Cały Bale — śmieje się Josh.

— Właśnie. No, ale staram się nie tracić optymizmu. Po nie kończących się przesłuchaniach udało nam się w końcu znaleźć idealną prezenterkę. Jest cycata, ma krótkie sterczące włosy i

osobowość. Nosi obcisłe bluzeczki i workowate spodnie. Jest młoda. — Nie dodaję, że wiek to dodatkowa zaleta. Dziewczyna jest na tyle młoda, żeby nie ulegać emocjom.

— A szczegóły programu już dopracowałaś?

— Aha. Daliśmy ogłoszenia i dosłownie utonęliśmy pod nawalem listów od świrów i zazdrośników. Nagraliśmy z nimi rozmowy. Odszukaliśmy byłych kochanków, których tak się obawiają, i ich także nagraliśmy. Tak zwani byli chcą się albo zemścić (jeżeli to oni zostali rzućeni), albo kieruje nimi próżność bądź ciekawość (jeżeli rzucali sami). Potem przez tydzień towarzyszyliśmy wszystkim trzem stronom (w tym także nie podejrzewającemu niczego naiwniakowi), uczestnicząc w przygotowaniach do ślubu i ewentualnej zdradzie. Gwóźdź programu polega tym, że w studiu pojawiają się wszystkie zainteresowane strony, a my pokazujemy na żywo cały nakręcony materiał. Nie podejrzewający niczego naiwniak do końca jest przekonany, że ma wystąpić w *Kto chce zostać miliarderem*. Na żywo pokażemy, czy autor listu mdleje z ulgi czy też odkrywa, że ziściły się jego najgorsze obawy. — Przerwywam, bo jestem ciekawa, co Josh o tym sądzi. Wygląda blado i poci się obficie. Może wypił za dużo. — Myślisz, że się uda?

— Cóż, ze smutkiem muszę stwierdzić, że chyba jesteś skazana na sukces.

Bardzo zadowolona wstaję i idę po następną kolejkę. Tymczasem Issie dzwoni do Josha, by powiedzieć, że nie przyłączy się do nas, bo nie ma ochoty na wizytę w pubie po zajęciach z medytacji. Zostajemy z Joshem aż do zamknięcia i bawimy się naprawdę świetnie.

Kiedy wsiadam do taksówki, Josh życzy mi powodzenia z programem i każe powtórzyć obietnicę, że w sobotę wybiorę się z nim na poszukiwanie kafelków do łazienki. Kiwam głową, posyłam mu całusa i opadam na skórzane siedzenie. Jako że znajduję się w stanie lekko wskazującym, czuję się wyśmienicie i kocham cały świat. Naprawdę powinnam trochę bardziej się postarać i częściej spotykać się z przyjaciółmi.

Wywiady z wybranymi parami napawają mnie odrazą, fascynując jednocześnie, i robię wszystko, by jak najwięcej z nich przeprowadzać osobiście.

— Cóż, Jenny, napisałaś do nas po przeczytaniu artykułu w „Gas”. Porozmawiajmy raz jeszcze o szczegółach twojego listu, chciałabym bowiem wszystko dobrze zrozumieć. — Roześmiałam się w stylu „ale-ja-jestem-głupia-że-tak-ciężko-mi-coś-zapamiętać”. Zdążyłam się już przekonać, że dzięki temu łatwiej jest mi do nich trafić. — Nie masz nic przeciwko temu?

Jenny kręci głową. Robi to znacznie gwałtowniej, niż sytuacja wymaga. Bardzo się stara grać pewną siebie i opanowaną. Jednak pali jednego za drugim najmocniejsze bensonys, zapalając następnego, zanim zgasi poprzedniego — pewna siebie kobieta raczej się tak nie zachowuje. Jest bardzo chuda, ale nie w modnym anorektycznym stylu obowiązującym w studiu. Jest chuda, ponieważ nie potrafi jednocześnie palić i jeść. Cóż, wszyscy musimy dokonywać wyborów. Z

moich notatek wynika, że Jenny ma dwadzieścia trzy lata. Wygląda jednak na czterdzieści pięć i podejrzewam, że już w chwili narodzin nie wyglądała młodziej. Może to i dobrze, bo zapewne mając lat sześćdziesiąt pięć, dalej będzie wyglądała jak czterdziestopięciolatka. Ma ściągniętą twarz, co upodabnia ją do balonu następnego dnia po imprezie, pomarszczonego i skręconego jak węzeł. Ciągnie się za nią historia fatalnych stopni w szkole, braku jakichkolwiek szans i ani cienia sławy, z którego to powodu znalazła się u nas.

— Jenny, na pewno bardzo się cieszysz, że będziesz mogła wystąpić w telewizji?

— No tak, jasne.

— I wiesz dokładnie, na czym polega nasz program? — Co ma oznaczać: „Zdajesz sobie sprawę z upokorzenia, jakie prawdopodobnie cię spotka?”

— Tak.

— Napisałaś do mnie, gdyż podejrzewasz, że twój narzeczony, Brian Parkinson, zdradza cię. Albo przynajmniej zrobiłby to, gdyby taka okazja mu się nadarzyła. — Przekrzywiam głowę i cmokam bezgłośnie.

— Tak.

— W swoim liście wspominasz, że masz pewne podejrzenia do osoby, która mu się podoba.

— No tak, dokładnie. To moja najlepsza przyjaciółką Karen.

— Karen Thompson. — Sprawdzam w swoich notatkach. Jenny kiwa potakująco głową i zamienia niedopałek na świeżego papierosa. — Czy mogłabyś mi w skrócie o tym opowiedzieć?

— Kiedy poznałam Briana, chodził z Karen.

— Kiedy to było?

— Miałam siedemnaście lat.

Ponura historia. Brian od sześciu lat kursował pomiędzy Karen a Jenny. Trudno zrozumieć, co powodowało zmianę jego chwilowych preferencji. Podejrzewam, że decydującą rolę odgrywało tu, która z nich miała akurat pracę i mogła sponsorować jego wydatki na fajki i gorzałę. Wiarę w ludzkość podtrzymywał jedynie fakt, że niezdecydowanie Briana nigdy nie poróżniło obu dziewczyn i przeważnie całą trójką zgodnie chodzili do miejscowego pubu. Nie należę do osób szczególnie wrażliwych, a jednak zastanawia mnie, jak mogły żyć, nigdy nie wiedząc, na którą z nich w danym dniu łaskawca się zdecyduje.

— Lepiej by jej było z Royem, bratem Briana. Poza tym, ona ma być moją druzną a Roy jego świadkiem. Tak powinno być, no nie? To tradycja. — Wybucham śmiechem i klepie mnie poufale w udo.

Śmiech jednak brzmi niepewnie i słyhać w nim strach. Nagle milknie i nachyla się ku mnie. Podobnie zachowuje się Issie i wiele moich koleżanek, gdy chcą wyznać coś szczególnie ważnego. W czasach bardziej religijnych zanosłaby modły do Maryi Dziewicy, pocieszycielki strapionych.

— Nie chcę go stracić, złotko. Ja go kocham. Ale jeśli ma się tak stać, to lepiej, żeby to było przed ślubem.

Odsuwam się, uciekając przed unoszącymi się wokół niej oparami dymu i jej pełnym napięcia spojrzeniem.

Rozmowa z Karen przebiega niemal identycznie, tyle tylko, że Karen jest tak gruba, jak Jenny była chuda. Gdy unosi do ust szklanekę z piwem, jej ramiona falują. Życie Karen to nieustająca konsumpcja gorących, zapakowanych w gazetę frytek i ciastek z kremem. Ubrana jest w kwiecisty namiot. Odciągam Fi na stronę.

— Fi, czy ona dostała pieniądze na ubranie? — pytam z przerażeniem.

Są programy, w których zaproszeni goście mają nosić jaskrawe ubrania, aby wyglądali jak tłuste migdały w cukrze. Nam jednak nie o to chodzi.

— Tak, ale u Harveya Nicsa nie mogliśmy nic dla niej znaleźć — odpowiada szeptem Fi.

— A w sklepach w centrum?

— Nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby tam pójść i poszukać czegoś odpowiedniego.

Wzdycham z rezygnacją. Namiot musi zostać. Ciekawe, jak wypadnie na tle naszych dekoracji.

Karen, „ta druga”, wyjaśnia, że ma do Briana takie samo prawo jak Jenny. Tak uważa.

— W końcu ja byłam z nim pierwsza. — Ludzie jednak to nie to samo, co meble czy ubrania. Stwierdzenie „ja zobaczyłam go pierwsza” nie wystarczy, żeby rościć sobie do kogoś prawo. Zwracam jej uwagę, że być może Brian kocha Jenny, skoro jej się oświadczył. Okazuje się jednak, o czym Karen skwapliwie mnie informuje, że to Jenny mu się oświadczyła, a nawet sama kupiła sobie obrączkę. Dodaje też, że ona nadal sypia z Brianem. Z dumą potrząsa obfitym biustem przed kamerą.

— Lubi mieć za co złapać. Wychodzę z pokoju.

— Jezu, ależ to przygnębiające — zauważa Fi.

— Co takiego? — pytam.

— To, jak obie pragną tego samego mężczyzny, a za tydzień o tej porze któraś przekona się, że została odrzucona. Czy to nie okropne?

— Myślę, że o to właśnie chodzi w programie. Tutaj masz dalszy plan. Chcę, żebyś wzięła kamerzystę i towarzyszyła Jenny. Nakręćcie mi mnóstwo materiału z przymiarki sukni ślubnej,

porozmawiajcie z jej matką — niech coś powie, ile się natrudzili, żeby przygotować najlepsze wesele, na jakie ich stać. Sfilmujcie też ją samą, najlepiej w kościele.

— To znaczy, że według ciebie Brian wybierze raczej Karen.

— Nie wiem, czy to dobre słowo. Należałoby chyba powiedzieć, że jego kutas wyskoczy ze spodni po prostu z przyzwyczajenia. Trzeba też ustalić, gdzie powinny być kamery w chwili wielkiego uwiedzenia. Karen planuje, że odbędzie się to przy kuflu piwa i talerzu żeberek w ich pubie.

— Nadzwyczaj wytwornie — kwituje sucho Fi.

— Karen nie jest wytworną dziewczyną. Tak jak on nie jest wytwornym chłopcem. Wszystko powinno odbyć się jak zwykle, na ich terytorium. Nie chcemy, żeby zaczął coś podejrzywać. Nie wspominając już o tym, że budżet mamy raczej skromny. No, bierz się do roboty.

Następnie rozmawiam z Timem Barrettem. Jestem przekonana, że czeka go piękna kariera kryminalisty. Nie dlatego, że jest szczególnie bestialski, niemoralny czy nieuczciwy. Po prostu nikt by go nie rozpoznał w czasie okazania. Nie jest ani wyjątkowo chudy, ani porażająco gruby. Jest przeciętny: przeciętnej budowy ciała, przeciętnego wzrostu, wygląda przeciętnie, o intelekcie nawet nie wspominając. Włosy ma nijako brązowe; oczy brązowe/szare/zielone. Nie udało mi się zapamiętać ich koloru. Poznawszy go bliżej, stwierdzam, że jedyne, co go wyróżnia, to fanatyczna, obsesyjna zazdrość o narzeczoną, Lindę. Szczególnie podejrzliwy jest w stosunku do trzech jej byłych chłopaków, jak sądzę zupełnie bezpodstawnie. To jednak nie ma znaczenia. Gdy mówi, wierci się niespokojnie na krześle, siadając to na jednym, to na drugim pośladku. Jego ręce zdają się wieść własne, niezależne od jego woli życie. Podnosi filiżankę z kawą, odstawia ją z powrotem, bierze do ręki pióro, ołówek, popielniczkę, notes, herbatnik. Wszystko, z wyjątkiem herbatnika, trafia do jego ust. Po piętnastu minutach, w czasie których zadreślał mnie swoją obsesją i brakiem poczucia bezpieczeństwa, dochodzę do wniosku, że nieszczęsna Linda w pełni zasługuje na skok w bok. Jeżeli uda nam się ich poróżnić, będzie to dobry uczynek, przynoszący społeczeństwu korzyść. Zlecam prywatnemu detektywowi, aby jak najszybciej namierzył kilku z byłych facetów Lindy.

Kolejną moją rozmówczynią jest drobna brunetka, Chloe.

Pracuje jako szefowa do spraw reklamy w niewielkiej firmie reklamowej w Bristolu. Właśnie takich jak ona gości chciałabym móc przedstawiać w swoim programie. Bez wątpienia atrakcyjna, ma długie do ramion, kręcone włosy, ujmujący uśmiech i zgrabne, smukłe ciało, z którego wyraźnie i w pełni uzasadnienie jest dumna. Ma dwadzieścia pięć lat, jest błyskotliwa i zabawna. I niepewna siebie.

Myślę, że bardzo dobrze to ukrywa. Jestem przekonana, że gdyby zapytać jej znajomych i kolegów z pracy, opisaliby ją jako osobę świadomą swej wartości. Lecz zapewne wiele też mieliby do powiedzenia o jej rzucającej się w oczy przywarze. Wystarczy bowiem pięć minut rozmowy z nią, by dla każdego, kto kiedykolwiek przeczytał choć jedną z popularnych książek psychologicznych (a ja przeczytałam je wszystkie), stało się jasne, że należy do kobiet, które kochają zbyt mocno. Żyje w przekonaniu, że staje się pełną osobą dopiero, kiedy ma chłopaka. Mężczyźni, których poznaje, wierzą, że jest pełną osobą, dopóki nie zostaną jej chłopakami. Z chwilą, gdy wyczują tę jej całkowitą od nich zależność, ich penisy kurczą się, a oni sami ją porzucają. Kiedy jednak słucham jej opowieści, odnoszę wrażenie, że jej aktualny narzeczony, Rod, jest w tej kwestii wyjątkiem. Najwyraźniej odpowiada mu, że ona jest tak całkowicie zależna od niego; zapewne czuje się w ten sposób dowartościowany. Niestety, dotychczasowe nieustanne porażki nadwreżyły jej wiarę, że coś takiego jak wierność w ogóle istnieje. Zamiast więc cieszyć się, że spotkała Roda, i przyjąć to z pokorą, Chloe postanowiła uruchomić mechanizm samoznisczenia, decydując się poddać go próbie.

W telewizji o zasięgu ogólnokrajowym.

Pod koniec rozmowy, kiedy mam już wszystkie potrzebne mi szczegóły dotyczące byłych dziewczyn Roda, pytam ją, czy na pewno chce wystawić na próbę jego wierność przed kamerami telewizyjnymi. Musi mieć świadomość, że w ten sposób ryzykuje osobiste upokorzenie i powszechne potępienie.

Wzrusza ramionami i z brawurą, o której obie dobrze wiemy, że jest tylko pozą odpowiada:

— Uważam, że jeżeli czeka nas porażka, należy zrobić wszystko, aby była jak najbardziej spektakularna. Jaki pożytek z porażki przeżywanej w samotności?

Mój Boże, cóż za złota myśl. Brytyjska opinia publiczna koniecznie musi ją poznać. W każdym z nas drzemie Arystoteles.

— Liczba chętnych do udziału w programie jako publiczność jest porażająca, kolejka ciągnie się przez cały parking — śmieje się podekscytowana Fi. To dobry znak. Reklama najwyraźniej odniosła świetny skutek.

— Jak wyglądają? — pytam. Odpowiednia widownia to sprawa zasadnicza. Mnóstwo jest rzeczy, których dopuszczamy się w zaciszu własnych domów, a na które publicznie nie odważylibyśmy się nigdy. Potrafimy się na przykład cieszyć z czyjejś niepewności, odrzucenia, strachu, zachęcać do okrucieństwa i nielojalności, z przyjemnością spoglądać na cudze upokorzenie i przykrości. Mnie potrzebni są na tyle uczciwi lub głupi, by na podobne reakcje zdobyć się w studiu, przed kamerami.

— Ogólnie dość biedni i nędznie wyglądający. Chyba jednak nie przeszkadzają im te estetyczne braki, aż dyszą z podniecenia — mówi Fi.

To właśnie chciałam usłyszeć.

— Proszę państwa, próba przed wejściem — rozlega się anonimowy okrzyk. Nikt nie ma pojęcia, co on oznacza — jeżeli coś w ogóle — ale zamierzony skutek zostaje osiągnięty i publiczność zaczyna wiercić się w pełnym napięcia oczekiwaniu. Trudno im się dziwić. To doprawdy jest porywające. By dolać oliwy do ognia, na ich użytek odgrywamy małe przedstawienie. Biper inspicjentki brzęczy bez przerwy; ona jednak ignoruje wszystkie coraz bardziej nagłać wezwania. Reżyser (z definicji długowłosa i strasznie ważny), kierownik produkcji (gburowaty dupek — w tym zawodzie cecha wymagana) i kierownik planu (znękanym i na granicy wyczerpania) w kącie debatują wściekle nad jakimś niezwykle ważnym problemem technicznym. Asystentka producenta biega po planie, jak gdyby od tego zależało jej życie. Wszędzie wkoło stoją kamerzyści — ubrani całkowicie na czarno, w workowate bojówki, koszule od Teda Bakera i adidasy od DKNY — przybierając pozy swobodnej obojętności, jak gdyby ich życie i spokój duszy od tego zależały. Scenografia, choć marnie wykonana, prezentuje się nieźle. Tło stanowi zdjęcie ukazujące w zbliżeniu mnóstwo wielkich czerwonych serc. Na pierwszy rzut oka wygląda to niezwykle romantycznie, wystarczy jednak zmiana oświetlenia, by osiągnąć efekt piorunujący — do złudzenia przypominający operację na otwartym sercu. Środek planu obowiązkowo zajmują wygodne sofy, ustawione tak, by z każdego miejsca widok na mającą się na nich odbyć egzekucję był idealny.

— Skąd ten się tu wziął? — pytam, mając na myśli artystę zabawiającego publiczność. Jest nim gruby komik, bez wątpienia dłużej okupujący tor wyścigowy niż Schumacher. Wygląda tak, jakby grywał stare baby w pantomimie, a jego wysiłki, by rozbawić publiczność, wywołują tu i ówdzie zaledwie zakłopotane chichoty.

— Świetnie sobie radzi w *Kin's Kismet*. — Fi wzrusza ramionami.

Przysłuchuję się kilku opowiedzianym przez niego dowcipom, z których tylko on sam się śmieje.

— Odbiło ci? Mówiłam przecież wyraźnie, że wszystko ma być z wysokiej półki. Którego z tych słów nie rozumiesz?! — wściekam się. Skądś dobiega mnie głos mówiący: „Trzydzieści sekund do wejścia na wizję”.

— Miałam się zająć szczegółami — broni się Fi. Nie jestem w nastroju do kłótni.

— Ma zniknąć z programu do przyszłego tygodnia, Fi.

W słuchawce słyszę: „Dwadzieścia sekund”. Odwracam się do grubasa plecami.

— Dzisiejszy program nadawany jest na żywo, jeżeli więc siedzicie obok osoby, obok której nie powinniście, przesiądźcie się. — Publiczność nareszcie zaczyna się uśmiechać. „Dziesięć sekund”.

— Fi, widziałaś, żeby ktoś się poruszył? — pytam. Nigdy nie przestaję myśleć o potencjalnie cudzołożnych związkach. „Osiem, siedem, sześć”. Pełne napięcia wyczekiwanie staje się wręcz namacalne.

— A teraz powitajmy gorącymi oklaskami Katie Hunt, gospodynię dzisiejszego wieczoru.

Widzowie zaczynają klaskać jak szaleni, w złudnej nadziei, że choć na jedną nanosekundę znajdą się w polu widzenia kamery. Grubas chwyta Katie i próbuje nią zakręcić niczym współczesną Antheę. Oto dowód — jeśli taki w ogóle był potrzebny — że najlepsze czasy dawno ma już za sobą. Katie, która nie dałaby się okręcić samemu Robbiemu Williamsowi, "obrzuca grubasa miażdżącym spojrzeniem. Oddycham z ulgą — przynajmniej ona chwyta, jakiego rodzaju program robimy.

— Trzy, dwa, jeden — jesteśmy na wizji.

Ramię kamery przesuwają się majestatycznie, ukazując najpierw całą publiczność, a potem robi najazd na dekorację. Ruch kamer działa na publiczność jak afrodyzjak — wszystkie twarze się rozjaśniają, każdy robi się o kilka centymetrów wyższy, uśmiecha się odrobinę szerzej.

— Dobry wieczór państwu, witam w naszym pierwszym programie *Seks z eks*.

Kierownik planu daje publiczności znaki, by oklaski były jeszcze głośniejsze. Wszyscy natychmiast posłusznie reagują i zaczynają wiwatować. Katie uśmiecha się do kamery, zachwycona ich zachwytem.

— *Pachniesz tak samo.*

— *Pachnę? Czym pachnę? — Jest odrobinę zirytowany. Zawsze przesadnie dbały o czystość, dzisiaj dołożył jeszcze większych starań.*

— *Moją młodością — odpowiada ona z uśmiechem.*

Nachyla się bliżej, by móc lepiej poczuć jego zapach. Zauważa, że on drży. Spostrzega, że i ona także. On obraca się odrobinę i zagląda jej w oczy. Głęboko, prosto w jej myśli i duszę. Ona znowu ma szesnaście lat. On w związku z tym osiemnaście. Nagle znalazła się na progu rodzinnego domu. Pora roku nie ma znaczenia; jest jej ciepło i czuje się bezpiecznie. Jest późno, bardzo późno, bo choć nie zapomnieli o godzinie policyjnej narzuconej przez jej rodziców i zjawili się przed domem o 22.45, można powiedzieć, że ona jest w domu i jednocześnie jeszcze w nim nie jest. Północ minęła już dawno, a oni wciąż jeszcze siedzą na schodach przed drzwiami. Do środka wejść nie mogą, czeka tam bowiem jej matka w nylonowym szlafroku. Będzie się dopytywać, jak podobał im

się film, zaproponuje im kawę i nie zostawi ich, tylko usiądzie, by wypić ją z nimi. A oni nie chcą rozmawiać z nikim innym, tylko ze sobą. Jak zawsze.

Kiedyś. Czas przeszły jest jak najbardziej odpowiedni, ponieważ ona nie ma już szesnastu lat, tylko dwadzieścia sześć, i nie siedzi przed drzwiami domu rodzicielskiego w Croydon. Właśnie przed chwilą wpadła na Declana przed sklepem z sukniami ślubnymi w Pronuptia.

— Ale wielkie pudło — uśmiecha się Declan. Jest taki sam jak przed dziesięciu laty. Ma ten sam uśmiech, na widok którego miękną jej kolana i robi jej się ciepło w żołądku, a także troszkę niżej.

— Ach, tak — odpowiada z wahaniem. Teraz powinna powiedzieć: „to moja suknia ślubna”, lecz Abbie jakoś nie potrafi się zmusić do wypowiedzenia tych jakże zupełnie naturalnych — zważywszy na okoliczności — słów. Mówi natomiast coś zupełnie innego:

— Rany, tyle czasu minęło.

— Tak, całe dziesięć lat. — Milknie na chwilę, po czym dodaje: — Cztery miesiące, dwa tygodnie i jakieś osiem dni.

Zachwycona i poruszona Abbie rozgląda się na boki. Nie jest pewna, czego szuka. Z ulgą jednak stwierdza, że w pobliżu nie zauważa nikogo znajomego.

— Nie chce mi się wierzyć, że tak dokładnie policzyłeś.

— I słusznie. Miesiące i tygodnie wymyśliłem na poczekaniu.

Oboje wybuchają śmiechem, ale też jemu zawsze udawało się ją rozśmieszyć.

— Masz ochotę na drinka? — pyta Declan swobodnie.

W sumie czemu nie? Przecież to tylko drink. Nie ma żadnych innych planów, poza spędzeniem wieczoru w domu z maseczką na twarzy. Lawrence wybiera się na trening rugby.

Idą do pobliskiego pubu, który Declan zna. Sposób, w jaki przejął inicjatywę, robi na Abbie wrażenie, wybór lokalu także nie mógł być lepszy. Gdy otwiera drzwi, zalewa ją woń papierosów i alkoholu, hałas i morze ciemnych garniturów. Pieniądze i swoboda, dwa najpotężniejsze afrodyzjaki. Przy barze kłębi się tłum. Piękne, zadbane ciała próbują się do niego dopchać, tak samo jak torują sobie drogę do cudzych serc i łóżek. Garnitury są od Armaniego, bielizna pościelowa będzie z egipskiej bawełny. Takie puby Abbie lubi, pełne atrakcyjnych i aroganckich ludzi mediów, o nie ograniczonych niczym dochodach i stylach życia. W takim miejscu nie była od wieków. Co prawda, właśnie w jednym z nich poznała Lawrence'a, odkąd jednak oficjalnie się zaręczyli — co stało się kilka miesięcy temu — odwiedzanie podobnych gniazd rozpusty stało się niepotrzebnym zbytkiem. Znacznie łatwiej jest przecież grzeszyć na kanapie u niego w mieszkaniu.

Muzyka dudni w umysłach Abbie i Declana, rozgrzewając jej majtki i jego penis. Muzyka to właśnie ma do siebie. Nikt nie tańczy, w końcu to pub, a nie klub, i choć Abbie korci, by wyskoczyć

na środek eleganckiej drewnianej podłogi, jest zbyt nieśmiała, by porwać się na coś takiego. Poza tym wciąż taszczy pod pachą wielkie pudło ze ślubną suknią i długim na trzy metry welonem. Gdzie miałyby je odłożyć? Co też jej przyszło do głowy? Jak mogła przyjść ze swoją suknią do tego zadymionego pubu? Zdumiona spostrzega, że przytupuje nogą w takt muzyki. Prawdę powiedziawszy, nie potrafi nad nią zapanować. Chce jej się tańczyć. Chce kręcić się i wirować. Nagle rozumie, czym jest striptiz. Muzyka działa podobnie jak seks. Muzyka rozgrzewa, porywa, wciąga, wypełnia, by w końcu całkowicie uwolnić. Abbie woli kochać się przy muzyce niż w ciszy. Muzyka pomaga jej wczuć się w nastrój. Zależy od tego, czy jest szybka i gwałtowna, czy też raczej powolna i uwodzicielska. Abbie potrząsa głową. Co też za myśli ją nachodzą? Czyżby myślała o seksie? Nie przyszła tutaj ze swoim narzeczonym; towarzyszy jej Declan. To niemożliwe, żeby myślała o seksie.

— Drinka? — przekrzykuje muzykę.

Dla niego zamawia Becksa, dla siebie dwa giny z tonikiem. Jednego wypija duszkiem przy barze, z drugim wraca do stolika. Normalnie nie próbuje się uspokajać za pomocą alkoholu, ale też normalnie nie denerwuje się w towarzystwie mężczyzn. Jest z Lawrence'em od trzech lat i nie pamięta już, kiedy ostatnio była w nastroju do flirtowania czy czuła się podniecona. Teraz jednak przy Declanie wyraźnie się denerwuje.

Ma ochotę flirtować.

Czuje się seksy.

— Widzę, że nie pijesz już Bacardi z colą? — uśmiecha się Declan.

— Nie. — Odwzajemnia uśmiech. — Pomyślałam też, że i ty przestałeś być smakoszem jabłecznika. Zdrowie.

Stukają się szklankami. Milczą, bo mają sobie zbyt dużo do powiedzenia. Chciała go zapytać, czemu ani razu nie napisał, odkąd poszedł na studia. Dlaczego nie odpowiedział na żaden z jej listów? Pamięta, jak bez końca czekała na listonosza, łudząc się bezcelową nadzieją. Prawda jest taka, że w czasie otrzęsin spotkał dziewczynę z Nottingham. Przez pierwsze dwa semestry wydawało mu się, że łączą ich miłość.

— Nigdy nie byłem zbyt mocny w pisaniu listów — mówi Declan, jakby czytając w jej myślach.

On z kolei chciałby ją zapytać, kto był jej pierwszym mężczyzną i czy było jej dobrze. W odpowiedzi mógłby usłyszeć, że wściekła i zmęczona bezowocnym czekaniem na list czy telefon od niego wskoczyła do łóżka z własnym kuzynem zaledwie kilka godzin po tym, jak zdmuchnęła siedemnaście świeczek na swoim urodzinowym torcie. O tak, było jej dobrze, bardzo dobrze. Teraz ona czyta w jego myślach.

— No wiesz, całkiem przeciętnie — odpowiada. — Jak zawsze za pierwszym razem.

Oboje zaczynają się śmiać, rozbawieni łączącą ich więzią, nie zniszczoną przez lata niewidzenia się. Zawsze świetnie im się gadało. Bez końca potrafili mówić o wszystkim, zwierzać się sobie z myśli, poglądów, marzeń, uczuć. Teraz wymieniają przypuszczenia, opinie, historie, wspomnienia. Nic się nie zmieniło. Wciąż iskrzy między nimi znajome, lecz jakże trudne do nazwania poczucie, że wszystko jest możliwe. W jego obecności zawsze miała wrażenie, że przeżywa wspaniałą przygodę. Abbie bardzo kocha Lawrence'a, przy nim jednak nigdy nie odczuwa, że przyszłość niesie ze sobą nieograniczone możliwości; przyszłość z nim to pewność stabilizacji. Myślała, że czuć się szesnastolatką można tylko w wieku lat szesnastu, teraz jednak, gdy obok niej jest Declan, powróciło wszystko — przemożna pewność, że jest tak, jak być powinno. Po tych kilku pierwszych drinkach wpadła w wyśmienity nastrój. Szybko minęła pora, gdy wypada pić gin z tonikiem, przerzucili się więc na czerwone wino.

— Nie jest ci za gorąco? — Declan przekrzykuje hałas panujący w pubie.

— Gorąco? — pyta z udawaną nonszalancją.

— Nie zdjąłeś rękawiczek.

Zdejmuje je powoli, ukazując zaręczynowy pierścionek.

— Kiedy? — pyta Declan.

— Za dwa tygodnie — odpowiada. Tym razem jednak nie odczuwa żadnego podniecenia wyczekiwaniem na wielką chwilę, które jeszcze dzisiaj rano odczuwała, sprawdzając datę w kalendarzu.

— Szczęściarz z niego — mówi Declan, nie patrząc przy tym na Abbie. — Powinniśmy to uczcić. Zamówię szampana.

Zdarzało się, że podczas wędrowek po sklepie z meblami lub w czasie przyjęcia, na którym była z Lawrence'em, Abbie zastanawiała się, czy jeśli kiedykolwiek w przyszłości spotka Declana, znowu będzie dla niej Tym Jedynym. Czasami wyobrażała sobie, jakby to było kochać się z nim. Frontowe schody domu jej rodziców nie stwarzały odpowiednich ku temu warunków. Gdy teraz, w pubie, spogląda na niego, dochodzi do wniosku, że nic by się przecież nie stało, gdyby to sprawdziła.

Kiedy w hotelowym łóżku Abbie odsuwa prześcieradła i kładzie się na Declanie, znowu ma szesnaście lat. A trzy godziny później, opuszczając hotel pod osłoną ciemności, czuje się na swoje dwadzieścia sześć lat i przyznać trzeba, że bardzo jej się to podoba. Declan był cudowną częścią jej przeszłości i tam powinien zostać. Idzie pewna siebie, dumnym krokiem pewnej siebie młodej kobiety, która wie, że poślubia właściwego mężczyznę.

Gdy Lawrence ogląda taśmę, całkowicie błędnie odczytuje krok Johna Wayne'a, którym kroczy jego narzeczona, i czuje, jak przepelnia go obrzydzenie.

W studiu przez moment panuje kompletna cisza. Wyczuwa się w niej zdradę, żal i strach. Lawrence patrzy na Abbie. Rozdziawił usta, z czym nie jest mu specjalnie do twarzy. Wygląda jak tępe zwierzę, którym się stał dzięki Abbie. Muszę przyznać, że sprawa jest złożona. Gorączkowo macham do realizatora, aby dał zbliżenie. Bliżej, jeszcze bliżej. Chcę, żeby było widać każdy drgający mięsień, najmniejszy nawet cień szalejących emocji. Abbie dygocze tak gwałtownie, że zaczynam się obawiać, czy nagle samoczynnie nie wybuchnie. Podejrzewam zresztą, że skrycie o tym marzy. Rozsądek instynktownie podpowiada jej, aby nie odrywać wzroku od podłogi. Zbyt upokorzona i zawstydzona, by myśleć o czymkolwiek innym, niż tylko o tym, jak wymknąć się ze studia, nawet nie próbuje popatrzeć na Lawrence'a. Zupełnie zapomniała, że ktoś taki jak Declan w ogóle istnieje. Ten z kolei stara się przybrać postawę jak najbardziej obojętną. Siedzi rozparty na krześle, długie nogi skrzyżował niedbale. Przytupuje sobie nawet. Nikogo jednak nie oszuka, tym bardziej że kamera trzecia robi na niego najazd i widać wyraźnie, że z taką siłą wbija paznokcie w dłoń, iż skóra wokół nich jest bielusiańka jak śnieg. O mój Boże, ależ oni teraz żałują. Stali się jedną wielką masą spoconych dłoni, drżących warg, ściśniętych żołądków. Na twarzach mają wypisane tylko jedno: co myśmy zrobili?

Po co ja w ogóle napisałem ten list?

Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

Niech to szlag.

Milczenie przerywa Lawrence.

— Dlaczego to zrobiłaś? — pyta wstrząśnięty.

— Dlaczego mi nie ufałeś? — rzuca oskarżycielsko Abbie.

— Niech to szlag — mamrocze Declan.

To sygnał dla publiczności. W zgromadzonych budzą się dzikie bestie. Krzyczą, wyją, pohukują, gwizdzą, pluja. Łączą się we wspólnej uldze, że tym razem ktoś inny spieprzył sprawę. Wpadają w niczym niekontrolowany szał. Słyszą wyzwiska i przekleństwa. Myślę, że gdyby mieli pod ręką zepsute owoce, bez wahania zrobiliby z nich użytek. Pogardzają Lawrence'em, że okazał się rogaczem. Nienawidzą Abbie, że taka z niej dziwka. I wybaczą Declanowi, bo ma ujmujący uśmiech i taki z niego przystojniak. W studiu rozlega się wesola muzyczka z syntezatora. Nieważne, że Abbie szlocha tak histerycznie, iż trzeba ją wynosić ze sceny. Nie może ustać na nogach. Żałośnie smutny widok. Mam nadzieję, że kamera pokazała odpowiednie zbliżenie.

— Świetna robota, Cas.

— Dzięki.

— Tylko tak dalej, Cas.

— Spisałaś się na piątkę, Cas.

— Chyba raczej na szóstkę. — Przyjmuję gratulacje z godnością i wędruję korytarzami jak człowiek mający do spełnienia misję. Bo rzeczywiście mam. Serce mi wali, krew gwałtownie krąży w żyłach. Program skończył się zaledwie kilka minut temu, a już wiem, że odniosłam wielki sukces. Gigantyczny. Publiczność nie chciała wychodzić i musieliśmy zaprząć do pomocy ochronę. Lawrence przyłożył Declanowi. Na żywo przed kamerami! Jestem zachwycona. Nie mogłoby być lepiej, nawet gdybym wszystko to ujęła w scenariuszu. Później byli Jenny, Brian i Karen — cóż za potworność! Brian nie bardzo wiedział, czy był to najlepszy, czy też raczej najgorszy dzień jego życia. Publiczność była zachwycona jego bezwstydnym tupetem.

Wchodzę do swojego biura, które dosłownie tonie w kwiatach, wszędzie też stoi szampan. O tak, dobre wieści rzeczywiście szybko się rozchodzą. Spodziewałam się gratulacji i życzeń powodzenia. W końcu w TV6 boją się mnie prawie wszyscy, stąd też teraz bardzo starają się mi przypochlebić. Jednak nawet w najśmielszych snach nie marzyłam o sukcesie tak wspaniałym. Jestem półprzytomna, ale na zewnątrz muszę zachować kamienny spokój.

— Co mam zrobić z tymi kwiatami? — pyta Fi.

— Cokolwiek.

Z udawaną obojętnością czytam dołączone do bukietów karneciki. Jeden jest od Josha i Issie. „Jesteś pozbawioną skrupułów, chorobliwie ambitną, myślącą wyłącznie o jednym wyzyskiwaczką. Świetna robota. Ściskamy, Twój przyjaciele”, napisali w nim.

Uśmiecham się radośnie. Kolejny bilecik jest od Bale'a: „Duże rzeczy bardzo szybko robią się jeszcze większe”.

— Cóż za pełne głębi spostrzeżenie — mruczę pod nosem.

— Może spróbujemy tych bąbelków? — pyta Fi, trzymając butelkę świetnego Veuve Clicquot.

— Dobrze, jeśli masz ochotę. Pamiętaj tylko, że na razie niczego jeszcze nie świętujemy.

Uśmiech na jej twarzy gaśnie.

— Czemu? — Jest prawdziwie zdumiona.

— Bo nie. Zanim przyjdzie pora na świętowanie, najpierw musimy sprawdzić wyniki sondaży i rejestr rozmów telefonicznych. Chyba nawet pójde teraz pogadać chwilę z redaktorem dyżurnym.

— Ale ja już zarezerwowałam Bibendum. Cały zespół nie może się doczekać. W końcu harowali jak woły przez ostatnie dwa miesiące.

To prawda, pracowaliśmy po czternaście godzin na dobę.

— Kto płaci?

To pytanie ją dobiło. Milczy.

— W porządku — ulegam. — Wy idźcie, ja dołączę później. Jeżeli wieści będą dobre, ja stawiam. Jeżeli nie, też ja stawiam.

Czasem bywam dla nich w ten sposób miła, ale tylko dla zmylenia przeciwnika.

Zagłębiam się w labirynt korytarzy, zostawiając za sobą odgłos strzelających korków. Przeciskam się obok stosów papieru formatu A4 i piętrzących się stert segregatorów (biuro wolne od papierów to mrzonka zrodzona w wyobraźni konsultantów ds. zarządzania). Mijam dziesiątki plastikowych skrzyń, które nie rozpakowane stoją tu od początku, to znaczy od dwóch lat. Zastanawiam się, czy jest ktoś, kto wie coś, czego ja nie wiem. Zbliżając się do zazwyczaj będącego oazą spokoju działu kontaktu z widzami, gdzie załatwia się wszelkie skargi i przyjmuje pochwały, słyszę panujący w nim ożywiony ruch.

Budzę się z obolałymi plecami i głową niesmakiem w ustach i otępiałym umysłem. Nie wyspałam się. Choć wiele mnie to kosztuje, próbuję się skoncentrować. Ustalam następujące fakty: nie znajduję się w łóżku — ani własnym, ani cudzym; nie mam kaca, ale na biurku, gdzie spoczywała moja głowa, widnieje wielka kałuża śliny. Oto jeden z powodów, dla których tak sobie cenię prywatność. Jak bym się czuła, budząc się obok wymarzonego mężczyzny — jeśli coś takiego w ogóle istnieje — a na poduszce apetyczna kałuża śliny. Trudno mi sobie wyobrazić, by to go ode mnie nie odrzuciło. Zbyt ludzkie. Na szczęście podobne spekulacje są zupełnie bezzasadne, jako że za poduszkę służył mi segregator, a za towarzystwo miałam przenośny komputer. Muszę się nad tym zastanowić. Jestem tu, ponieważ...

Dzwoni telefon. Podnoszę słuchawkę i z przyzwyczajenia świergoczę:

— TV6, Cas Perry przy telefonie. Dzień... — Waham się i spoglądam na zegarek. Jest 7.15 rano. — ...dobry — kończę pewna, że rzeczywiście nastał nowy dzień. Nie bardzo jednak wiem, po co ktoś dzwoni do mnie o tak wczesnej porze.

— Dzięki Bogu — oddycha z ulgą Josh.

— O, cześć — mamroczę, sięgając po paczkę z fajkami. Zapalam papierosa i zaciągam się głęboko. Nikotyna uderza mi do głowy. Od razu lepiej się czuję.

— Aleśmy się o ciebie martwili. Gdzie ty się podziewałaś?

— Hej, nie baw się w moją mamusię — śmieję się. — Byłam tu przez całą noc. Widziałeś program?

— Tak.

— Był super, no nie? — Produkty smoliste i inne świństwa rozjaśniły mi w głowie. Już wiem, dlaczego zasnąłam przy własnym biurku. — Przez całą noc urywały się telefony. Ostatni

odebrałam za piętnaście piąta rano. Linie dosłownie się gotowały. W TV6 coś podobnego zdarzyło się po raz pierwszy!

— Same skargi? — pyta Josh ze współczuciem.

— Skargi też — odpowiadam niedbale. — Ale i gratulacje, i zgłoszenia do udziału w programie. — Sprawdzam dane w rejestrze. — Dwieście czterdzieści siedem telefonów! — Szybko obliczam w głowie. — Z czego sto trzydzieści skarg! Dasz wiarę? Wystarczy tylko piętnaście, żebym musiała zwrócić się do ITC o ponowną ocenę programu.

— I ty się z tego cieszysz? — pyta Josh z wahaniem. Niczego nie pojmuję. — Chcesz powiedzieć, że taka liczba skarg to dobra wiadomość?

— Poruszyliśmy cały naród. To po prostu fantastyczne. To... Słuchaj, nie mam teraz czasu na pogawędki. Muszę dzwonić do public relations — trzeba zwołać konferencję prasową. Ciekawe, czy któraś z gazet coś o tym napisała.

— Naprawdę szkoda, że nie udało ci się wpaść wczoraj do Issie. Mielśmy ricotta i risotto z bazylią zgodnie z planem.

Słowa Josha tłumią moją euforię. Nagle przypominam sobie, że obiecałam prosto po programie przyjść do Issie. Prawdę powiedziawszy, sama błagałam ich o to spotkanie. Wymogłam na Issie, żeby zrezygnowała ze swoich zajęć z ceramiki, a Josh nie poszedł na trening rugby. Martwiłam się, że program okaże się klęską. Wszyscy wiedzieliśmy, że gdyby faktycznie tak się stało, jedynymi ludźmi, którym mogłabym spojrzeć w twarz, byłiby właśnie Issie i Josh.

— O jasna cholera. Josh, tak mi przykro. Kurwa, przepraszam was, naprawdę. Wszystko wam wynagrodzę. Po prostu utknęłam tu, odbierając te cholerne telefony. Psiakrew. Tak mi przykro. — Jestem absolutnie szczerą. Czuję się wyjątkowo podle. Zdarzało się, że moi przyjaciele mnie zawodzili, ale wyłącznie z przyczyn, na które nie mieli wpływu. Siedziałam wtedy godzinami, gapiąc się na zegarek i zastanawiając, gdzie się podziewają. Dlaczego nie zadzwonili? Początkowa wściekłość, że kolację szlag trafił, przeradzała się w strach, czy nie zostali napadnięci, zamordowani, ranni w wypadku samochodowym. Lub, co jeszcze gorsze, czy przypadkiem nie umówili się z kimś zupełnie nieodpowiednim. Wiadomo, że wystawianie się nawzajem do wiatru jest grzechem niewybaczalnym.

— Powinłam była zadzwonić — przyznaję pokornie.

— Owszem, powinnaś. Martwiliśmy się. — Josh nie potrafi się długo na mnie gniewać. — Risotto szlag trafił. Musiałem namoczyć garnek, ale te cholerne kawałki sera za nic nie chcą się odlepić.

Już wiem, że mi się upiekło.

— Spróbuj supermocnym Cillitem do usuwania kamienia — śmieję się. — Słuchaj, naprawdę muszę lecieć. Zadzwoń wieczorem.

— Spróbuj nie.

W ekranie komputera widzę swoje odbicie. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinnam wyglądać jak z krzyża zdjęta. W końcu udało mi się złapać tylko kilka godzin snu. A w ciągu ostatnich dwóch miesięcy w najlepszym razie sypiałam nie więcej niż sześć godzin na dobę, nawet w weekendy. Ani razu nigdzie nie wyskoczyłam wieczorem. Egzystowałam głównie na kanapkach z biurowej kantyny i podwójnych espresso z pobliskich włoskich delikatesów za rogiem. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz oglądałam dzienne światło, o witaminach nie wspominając. W tabletkach czy w postaci naturalnej.

A mimo to wyglądam fantastycznie.

Cóż, nie ma sensu bawić się w fałszywą skromność. Emanuje ze mnie energia, oczy błyszczą mi zżywieniem, po prostu promienieję. Można by pomyśleć, że właśnie się zakochałam. A tajemnicy mojego piękna nie trzeba szukać daleko — wystarczył prosty fakt, że mój program okazał się sukcesem. Przekopuję zawartość szuflady w swoim biurku w poszukiwaniu szczoteczki do zębów i innych niezbędnych przyborów toaletowych. Otwieram szafkę z papierami biurowymi. Na podobne nagle wypadki trzymam w biurze pełną garderobę. Kilka podstawowych ubrań: spodnie z Jigsaw, T-shirt z Gapa, białe płócienne tenisówki z M&S. Plus kilka spodniów od Nicole Farhi i koszul z Pink — to na wypadek, gdybym nagle musiała stawić się na ważnym spotkaniu. Trochę bielizny od Agent Provocateur i kilka części garderoby w różnych rozmiarach i o różnym stopniu przezroczystości, obowiązkowo w czarnym kolorze. Te wkładam, gdy szczęście się do mnie uśmiecha. Nic z tego jednak nie nadaje się na taki dzień jak dzisiaj. Za plastikowymi przegródkami leży coś jeszcze. Ostatecznie mój wybór pada na spodnie od Miu Miu, rozcięty pod szyją wełniany sweter od Christiny Ortiz i buty od Bally'ego. Z szafki na dokumenty wygrzebuje czyste majtki i maleńki koronkowy biustonosz. Wiem, że dziś jest mój wielki dzień, muszę więc prezentować się odpowiednio. Idę zrobić szybką gimnastykę, potem biorę prysznic w łazience przy salce gimnastycznej. O 8.45 siedzę z powrotem przy swoim biurku.

Fi także się już zjawiała. Zdaje się, że w Bibendum mój budżet został mocno nadszarpnięty, by nie rzec zrujnowany.

— Wyglądasz makabrycznie — mówię na powitanie i troskliwie podaję jej puszkę Red Bulla.

— Wielkie dzięki. Ty za to jesteś świeżutka jak poranek.

Przyjmuję komplement z wdziękiem. W końcu mówi szczerą prawdę.

— Warto było? — pytam. Uśmiecha się.

— O tak, bawiliśmy się fantastycznie. Albo przynajmniej tak mi się wydaje. — Stara się trzymać głowę nieruchomo, wyraźnie próbując przywołać mgliste wspomnienia. Wreszcie się poddaje.

— Cóż, w końcu o to chodzi — dodaje jej otuchy.

— Poszliśmy do Leopard Lounge. Do domu nie zdążyłam wrócić — przyszłam prosto do pracy.

Jestem pod wrażeniem tak ogromnego poświęcenia. Staram się nie zauważać odoru piwska, jaki wokół siebie roztacza, i opowiadam jej o burzliwej, wspaniałej nocy spędzonej w dziale kontaktu z widzami.

— No, rzeczywiście musiało być gorąco — mówi, tłumiąc ziewnięcie. — Fajnie, że wszystko poszło tak dobrze.

Zaczyna opowiadać mi zabawne historyjki, jak to Di wyrwała Graya, a Ricky próbował poderwać transwestytę. Miło, że tak dobrze się bawili. Ale specjalnie mnie to nie interesuje. Wiem, że większość dnia trzeba będzie spisać na straty. Wydajność zespołu znacząco spadnie z powodu konieczności przyjmowania Alka-Selzer i podawanej dożylnie czarnej kawy. Godzinami będą dyskutować nad wadami i zaletami przeróżnych kuracji na kaca. Zastanawiać się, co lepsze: Bloody Mary, kufel guinnessa czy smażone jajka z ginem. Przede wszystkim zaś zżerać ich będzie poczucie przemożnego wstydu, jutro więc mogę oczekiwać więcej niż pełnego zaangażowania. Mój telefon znowu dzwoni.

— TV6, Cas Perry. Dzień dobry.

— Jocasta?

— Mama.

— Jak się masz, kochanie?

— Cudownie. Mamo, dzwonisz z powodu programu? — Aż drzę z podniecenia.

— Programu?

— Mojego programu. Chyba go oglądałaś? — Jestem zdruzgotana. Nie mogę uwierzyć, że moja rodzona matka zapomniała o programie. Nawet kiedy w pracy wszystko stawało na głowie, panował zamęt i nerwowa bieganina, ani razu w ciągu tych gorączkowych tygodni poprzedzających emisję programu nie zaniedbałam coniedzielných wizyt u matki. Zjawiałam się u niej ciałem, choć — to trzeba przyznać — duszą nie zawsze. Większość czasu wisiałam na telefonie komórkowym. Kiedy jednak przez niego nie rozmawiałam, opowiadałam jej wszystko o programie. A teraz matka zachowuje się tak, jakby w życiu o nim nie słyszała.

— Ach, tak. Ten... ee... *Najlepiej z byłym*. — Celowo nie wypowiada słowa na „s”. Muszę przyznać, że wymyślony przez nią tytuł nawet dość mi się podoba. Powinnam była z nią o tym

porozmawiać przed emisją. *Najlepiej z byłym* brzmi znacznie subtelniej niż *Seks z eks.* Zastanawiam się, czy nie dałoby się jeszcze wprowadzić zmiany. Mama jednak zakłóca tok moich myśli, gładząc o czymś.

— Oglądałam początek, ale potem Bob, ten, który mieszka po drugiej stronie ulicy, wpadł, żeby naprawić zacinającą się szufladę. No wiesz, tę trzecią od dołu w kuchni.

Bob to jedno z niewielu imion, które matka regularnie wymienia podczas naszych rozmów. „Pani Cooper powiedziała mi, że w tej chwili w Bootsie jest promocja — jak kupisz dwa szampony, trzeci dostajesz za darmo”; „W sobotę przypada czterdziesta rocznica ślubu Alberta i Dorothy — wydają z tej okazji kolację”; „Pytał o ciebie pan Dean”. Boże, jakie to nużące wysłuchiwać wciąż o tych nudziarzach.

— Nie mogłam przecież oglądać telewizji w czasie, kiedy on był u mnie w domu — stwierdza moja matka.

Czuję się bardzo zawiedziona, spławiam ją więc możliwie jak najszybciej. Ponieważ jednak nie chcę, aby poczuła się urażona, poświęcam się i przyrzekam, że w sobotę wybierzemy się razem na zakupy. Jeszcze nie dopowiedziałam tych słów do końca, a już zaczęłam ich żałować. To będzie prawdziwa klęska, jak zresztą zawsze. Na początek będzie chciała sprawdzić, czy w sklepie z rzeczami z demobilu nie ma przypadkiem jakiejś przeceny, podczas gdy ja gotowa będę wydać majątek na Bond Street. Jeśli wybór padnie na Bond Street, będzie mi towarzyszyć z miną — jak przypuszczam jej ulubioną — wyrażającą przerażenie lub złość. Przerażenie cenami i złość na życie w ogóle. Dostaję szału, gdy wybucha w butikach:

— To aż tyle kosztuje?! Za co oni chcą tyle pieniędzy? Popatrz tylko, jak to jest wykończone. Równie dobrze sama mogłabym ci coś takiego uszyć.

Nieco to dziwne stwierdzenie, zważywszy na to, że w życiu niczego nie uszyła. Znacznie gorsze niż wypowiedziane na głos słowa będzie jej milczące potępienie mojej frywolności i nieustanne, pełne oburzenia cmokanie przy kasie, gdy wyciągnę jeden ze swoich magicznych kawałków plastiku. Dlatego też na ogół lądujemy w sklepie z demobilu, gdzie psuję jej całą przyjemność, co i rusz wynajdując „śliczne” rzeczy i dla jasności dodając: „W sam raz dla ciebie, mamo”. Koniec końców, to i tak ona zawsze jest górą, gdyż w akcie zemsty daruje mi na Boże Narodzenie bądź urodziny każde okropieństwo, które osobiście wybrałam. Godząc się jednak na nieuniknione, regularnie skazujemy się nawzajem na ten prawdziwy czyściec na ziemi. Cóż innego mi pozostaje? Było nie było, to moja matka.

Kiedy w końcu odkładam słuchawkę, w biurze są już prawie wszyscy. Z wyjątkiem Toma i Marka. Jako zespół kreatywny mają niepisane prawo nie stawić się w pracy, jeżeli akurat męczy ich kac. Wszystko wygląda tak, jak się spodziewałam: znajduję się w otoczeniu chodzących

trupów. Są bladzi i nie ogoleni, śmierdzą wodą potem i seksem. Co chwilę wybuchają sprzeczki, rzekomo z powodu braku śmietanki w automacie do kawy, a tak naprawdę dlatego, że łupie im w głowach. Kiedy jednak do biura wpada Ricky, atmosfera od razu się oczyszcza.

— Widzieliście wyniki?! — krzyczy od wejścia.

Psiakrew, wyniki. Chyba się upiłam od tych oparów, skoro coś tak ważnego jak wyniki oglądalności kompletnie wyleciało mi z głowy. Liczby odebranych rozmów, skrzętnie odnotowane w rejestrze, wskazywałyby, że sukces mamy murowany. Ale nie wolno chwalić dnia przed zachodem słońca. Dopiero po wynikach oglądalności można się zorientować, ile osób naprawdę obejrzało program. To prawdziwy sprawdzian.

Ricky nie może złapać tchu. Wiem, że przynosi dobre wieści.

— No?

Uśmiecha się. Rozkoszuje chwilą.

Ja też się uśmiecham, odrobinę szerzej niż on.

— No?

Ricky wciąż zwleka. Chyba go zwolnię. Tylko kobietę stać na podobną cierpliwość.

— O dziesiątej wieczorem było jeden przecinek cztery miliona widzów.

Rozlega się zwycięski wrzask. Zapominając o dręczących ich kacach, wszyscy krzyczą wiwatują i klaszczą szaleją jak ćpuny na ecstazy. Co zresztą nie jest chyba takie dalekie od prawdy. Ja zachowuję stoicki spokój.

— Zasluga marketingu. — Posyłam uśmiech w stronę Di i Debs.

Dobrze wiem, że liczba widzów na początku pierwszego programu w dziewięćdziesięciu pięciu procentach zależy od kampanii reklamowej. Natomiast od jakości programu zależy, czy uda się zatrzymać ich uwagę dłużej niż przez pięć minut. Jestem na łasce pilota do telewizora. Jakież to poniżające.

— A oglądalność w czasie środkowej przerwy? — pytam.

— Jeden przecinek sześć miliona! Teraz krzyczę i ja.

Naprawdę głośno.

— To zupełnie niewiarygodne — mówię do Fi chyba czternasty raz z rzędu. — Oglądalność skoczyła w górę, a to oznacza, że ludzie naprawdę dzwoniли po znajomych, żeby nas oglądali!

— Albo coś dobrego skończyło się właśnie na innym kanale — dodaje Fi.

Ależ ona mnie wkurza.

— Też mi to przyszło do głowy i sprawdziłam program. Nic takiego nie było. Chyba że według ciebie film dokumentalny o hibernacji pasożytujących na jeżach insektów to dobra telewizja.

— Słuszna uwaga.

— Masz pojęcie? Wywiad z Declanem w „Sun”. To mu trzeba przyznać — do brukowców nadaje się idealnie. A teraz błagają nas o nazwiska gości w następnych programach. Nie możemy dopuścić, żeby coś z tego, co mamy już nagrane, przedostało się do prasy. Cały wic polega na tym, żeby nasze „cele” były za każdym razem zaskakiwane. — „Cel” to oficjalne określenie osoby wodzonej na pokuszenie. Mamy też inne: Groucho, ofiara, obiekt. — Jezu, to naprawdę niewiarygodne. Taki sukces! — powtarzam w kółko swoją diatribę.

— Faktycznie niewiarygodne — uśmiecha się Fi. Spoglądam na nią, więc szybko się poprawia. — To znaczy, pomysł rzeczywiście jest wyśmienity. Od początku wszyscy wiedzieliśmy, że program będzie super. Ale publiczność czasem reaguje nie tak, jak byśmy sobie życzyli. Ryzyko istnieje zawsze.

Trochę mnie udobruchała tym jawnym pochlebstwem.

— Święta racja. To właśnie chciałam powiedzieć. Jeszcze jednego drinka? — Omiatam wzrokiem pobojowisko na stole. Jest dopiero pół do siódmej. No, nie wiem. Wskazówki mojego zegarka dziwnie się skurczyły i co chwila któraś się zgina. Siedzimy w tym pubie od dwóch godzin. Świętujemy. Wypiliśmy mój tygodniowy limit kalorii i wypaliłyśmy chyba całe pole tytoniu. Zaczynam dostrzegać w Fi dobre strony. Zdecydowanie kupię jej w tym roku prezencik na Boże Narodzenie.

— W sumie nie powinnam, ale niech będzie. Gin z tonikiem. Bez przesady z tonikiem. Najlepiej tylko odrobinę — mówiąc to, Fi sięga do miseczki z orzeszkami. Podsuwa mi ją, ale odmawiam.

— Jestem uczulona.

Co nie jest prawdą. Jestem bardzo szczupła i w doskonałej formie. Ilekroć mnie pytają, jak to robię, odpowiadam z uśmiechem, że to genetycznie uwarunkowane i nie muszę nic robić. Co

również jest bzdurą wiem jednak, że jeśli jest coś bardziej wkurzającego niż szczupła kobieta, to szczupła kobieta, która nie musi ograniczać się z jedzeniem. Nie ma czegoś takiego jak chudość bez wysiłku. Żeby być chudym, trzeba się trochę pomęczyć i konsekwentnie stosować przynajmniej jedną z następujących metod: z pełnym poświęceniem poddać się reżimowi intensywnych ćwiczeń, zostać niewolnikiem licznika kalorii, ćpać albo zafundować sobie chłopaka drania. Ja chodzę na salę gimnastyczną pięć razy w tygodniu — przynajmniej. Jestem też wytrawną kick bokserką chociaż nie startuję w zawodach; robię to dla własnej przyjemności. Posiadam BMW Z3, ale do pracy jeżdżę rowerem, sześć mil codziennie tam i z powrotem. Do klubów chodzę raz na tydzień, ale nigdy nawet nie tykam żadnych gazowanych świństw. Poza tym z upodobaniem stosuję każdą kurację oczyszczającą znaną żeńskiej części ludzkości. Regularnie też można mnie spoćkać zanurzoną w kąpieli błotnej lub w kąpieli z dodatkiem alg morskich w Champney's albo w Sanctuary.

Stawiam na drewnianym stoliku dwa podwójne giny z (minimalnym) tonikiem. Fi w zamyśleniu ssie kostkę lodu.

— Czy jest coś, czego nie próbowałaś?

Czyżby telepatycznie odczytała, że właśnie myślałam o oczyszczaniu? Zanim jednak zdążyłam jej wyjaśnić, że nigdy nie stosowałam irygacji okrężnicy — jakoś nie wyobrażam sobie siebie z rurą wetkniętą w tyłek — sprowadza mnie na ziemię.

— Mam na myśli z mężczyznami? Odpowiedź na to pytanie jest znacznie łatwiejsza.

— Nigdy nie próbowałam w łóżku trójkąta.

— Nie?

— Nie. Uważam, że każdemu należy się całkowite oddanie, nawet jeżeli ma to trwać od dwudziestu minut do paru godzin. — Przyznaję, że nie wiem, czy można to uznać za moralność, ale ja twardo się tej zasady trzymam.

— A czy w twojej przeszłości jest jakiś były, Cas?

— Nie — odpowiadam bez wahania.

— I mam rozumieć, że małżeństwo również cię nie interesuje?

— Ani teraz, ani prawdopodobnie nigdy.

— Skąd w takim razie wiedziałaś, że program tak wypali? Na jakiej podstawie doszłaś do wniosku, że i Brian Parkinson, i Abbie ulegną? Podobnie jak wszystkie pozostałe pary, które do tej pory nagraliśmy?

— Nie wiedziałam, nie na sto procent, ale uznałam, że okoliczności przemawiają na moją korzyść.

— Jesteś okropnie cyniczna.

Szybko nawiązała się pomiędzy nami zażyłość. Całkowita w tym zasługa hektolitrów alkoholu, który w siebie wlałyśmy; mimo to nie potrafię jej nie ulec, choćby była nie wiem jak złudna. Ja mówię o pracy, Fi jednak znacznie bardziej interesuje rozmowa o niedostatku, jaki cierpi na polu podbojów sercowych, zwłaszcza w porównaniu z moimi — nie czarujmy się — rekordowymi wynikami. Trochę mnie to dziwi. Ona naprawdę jest niesamowicie ładna — domieszka krwi skandynawskiej czyni jej urodę wręcz egzotyczną. Gdybym była facetem, nie mogłabym się powstrzymać. Sprawa się wyjaśnia, gdy Fi wyznaje, że w skrytości ducha marzy jedynie o wielkiej rodzinie i chacie z bali. Faceci prędzej wyczują, że kobieta pragnie stałego związku niż to, że używa perfum Poison. Ten pierwszy zapach jest wyjątkowo silny i zdecydowanie odpychający.

Fi przegląda *Czarną książeczkę* z „Tatler's”. Odrzuca ją i sięga po *Przewodnik po londyńskich restauracjach*. Nie szuka dobrej knajpy, po prostu ogląda zdjęcia kucharzy. Marzy jej się upolowanie twórczej, pełnej temperamentu kuchennej diwy. Sposób wybrała raczej mało skuteczny.

— Na twoim miejscu trzymałabym się metod bardziej sprawdzonych — radzę jej.

— Na przykład?

— Supermarkety albo książka telefoniczna. Skąd mam wiedzieć. Ja nigdy nie miałam kłopotu z poznawaniem facetów.

— Pewnie, tobie by się poszczęściło nawet w klasztorze.

— Odrzuca przewodnik na bok. — Co za marnotrawstwo. Ty nawet nie jesteś wdzięczna.

Wybałuszam na nią oczy. Przecież o to właśnie chodzi.

— Dlaczego nic nigdy nie robi na tobie wrażenia? — pyta. Alkohol zdecydowanie dodaje jej odwagi. — Twój pierwszy!

— Staje się pomysłowa. — Opowiedz mi o nim.

Szukam wytłumaczenia. Normalnie nie daję się naciągać na takie zwierzenia, ale nie wiadomo skąd pojawia się przed nami butelka Merlota i musimy o czymś rozmawiać, zanim ją opróżnimy. Opowieści Fi szybko się wyczerpały, czuję się więc w obowiązku podtrzymać konwersację.

— Mój pierwszy. — Grzebię w zakamarkach pamięci, brnąc przez niezliczone pogniecione prześcieradła i emocje, jakie zaliczyłam po drodze. — Może gdyby nie wywinął mi numeru, mniej sceptycznie odnosiłabym się do męskiej wierności, mimo że mój tatuś w tym względzie wybitnie się nie spisał.

— Zdradził cię?

— A jak myślisz?

— Cóż, wszystko zdecydowanie za tym przemawia — przyznaje Fi. Dolewa mi wina do kieliszka. — Jaki był?

— Piękny. Ja byłam zwykłą, przeciętną siedemnastolatką. Moi rodzice co prawda nabrali kształtów gruszki, ale ja miałam siedemnaście lat. Byłam pełna nadziei. Nie siedziałam przy stole i nie wbijałam sobie widelca w rękę, żeby sprawdzić, ile bólu potrafię znieść, jak jakaś świruska. — Wzdycham. — Miał dwadzieścia sześć lat. Był piękny i powierzchowny. I żonaty, jak się okazało.

— Poważnie? — Fi jest zszokowana.

Uśmiecham się kwaśno. Pamiętam, że i ja czułam się wtedy podobnie. Dzisiaj żadne, choćby najbardziej naganne, zachowanie mnie nie szokuje; nie jest w stanie nawet mnie rozczarować — uważam je za rzecz nieuniknioną.

— Aha. Po prostu zapomniał mi powiedzieć. Dopóki jego żona nie zjawiła się na progu domu mojej matki. By przytoczyć słowa wielkiej Holly Golightly: „*Quel Rat*”.

Fi siedzi w milczeniu, trawiąc moje słowa. Cóż, trudno to nazwać typową historią o pierwszej wielkiej miłości. Ona powinna się była wydarzyć na tylnym siedzeniu rodzicielskiego volvo albo w cudzym domu, w którym się pracowało jako opiekunka do dzieci. A jej głównym bohaterem winien być krostowaty młodzian, równie niedoświadczony, co zadurzony, jak ja.

— W ten sposób zostałam siedemnastoletnią kochanką — silę się na żart. Wtedy jednak wcale do śmiechu mi nie było.

— Nieodwracalnie — stwierdza lojalnie Fi.

— Do nadal. — Zaciągam się głęboko.

— Do nadal — potwierdza, pociągając potężny łyk wina.

Plakałam przez wiele miesięcy, a kiedy wreszcie przestałam, obudziła się we mnie nienawiść. Kilku następnym miesięcy trzeba było, by nienawiść się wypaliła, przemieniając w zimną odrazę.

— Doszłam do wniosku, że muszę to obrócić na swoją korzyść. Żadnych więcej wstrząsów. Żadnych niespodzianek. Wyzaczyłam sobie bardzo niski próg oczekowań wobec tego, czego mogę się po związku spodziewać. Nie wierzę, aby możliwa była miłość bezwarunkowa, o prawdopodobieństwie nie wspominając, a to daje mi pewność, że już nigdy nie przeżyję rozczarowania.

Fi, skupiona na moich słowach, stuka paczką papierosów w takt muzyki płynącej z szafy grającej.

— Z grubej rury zaczęłaś. Nie mogłaś się po prostu umawiać z kimś w swoim wieku i... — urywa na chwilę — ...no nie wiem, obmacywać się, jak cała reszta?

Unoszę brew, a ona wzrusza ramionami. Być może zdała sobie właśnie sprawę, jak mało zachęcająco to brzmi.

— Cóż, prawdę powiedziawszy, chodziłam kiedyś z chłopakiem w moim wieku. Takim fircykiem. Ale o ile pamiętam, słodkim. — Chyba po raz pierwszy w życiu myślę o tym. — Tak, na pewno. Tyle tylko, że tak bardzo starał się mnie zadowolić. Na początku mi się to podobało, ale szybko zaczęło mnie nudzić. Dlaczego nigdy nie potrafimy docenić tych, którzy na to zasługują? — Spoglądam na Fi, ale ona ze skupieniem rysuje z rozlanych kropli wina na stoliku serce. — Odpowiedzi prosimy nadsyłać na kartach pocztowych. Zanim się obejrzałam, miałam na koncie całą serię jednonocnych przygód, przeważnie z żonatymi mężczyznami, facetami panicznie bojącymi się zaangażowania, raz nawet z homoseksualistą.

To wzbudziło jej zainteresowanie.

— Skąd wiedziałas? Kazał ci się przebierać i wyczyniać cuda w uprząży?

— Nie, Fi. Robił uwagi na temat mojej tapety.

Przypominam sobie po kolei wszystkie niezbyt udane seksualne przygody i — być może pod wpływem alkoholu — wspomnienia te wpędzają mnie w przygnębienie. Przywołuję się do porządku i na powrót przybieram pozę twardej i niewzruszonej osoby publicznej, która niewątpliwie przystoi mi bardziej.

— Posłuchaj rady doświadczonej koleżanki i uwierz mi, że o wiele łatwiej jest cieszyć się chwilą i nie oczekiwać niczego więcej, bo tak naprawdę nie ma się czego spodziewać. Z całego serca polecam ci facetów żonatyh. — Dopijam resztę wina i napełniam od nowa nasze kieliszki.

— Nie jest ci czasem przykro, że to, co najlepsze, przypada w udziale jakiejś innej?

— To, co najlepsze? — Naprawdę chcę usłyszeć, co też Fi ma na myśli.

— Towarzystwo, stabilizacja, wspólna przeszłość i przyszłość?

— Brudne gary, pierdzenie, klótnie, wieczne wyniki meczów piłkarskich.

— Przecież to nie ma sensu. Cierpiałaś, bo twój ojciec miał kochankę. Dlaczego chcesz komuś innemu sprawić podobny ból?

Cóż, muszę przyznać, że to bardzo dobre pytanie. Zwłaszcza, gdy się weźmie pod uwagę ilość alkoholu wypitego na pusty żołądek. Sama je sobie zadaję, od czasu do czasu. Mój pierwszy raz z żonatym mężczyzną zdarzył się przez czysty przypadek. I wcale nie nastawiałam się na powtórkę. Już sama myśl o „drugiej kobiecie” wzbudza we mnie nienawiść. Odrzucają mnie kobiety pokornie przystające na nie kończące się nigdy cierpienie. W końcu gdyby nie panna Hudley, nigdy bym nie poznała, co znaczy ojciec, który odchodzi, i porzucona matka.

Porzucona córka.

Problem w tym, że nawet gdyby nie było panny Hudley, pojawiłaby się panna Budley bądź panna Woodly. Wybór nie pozostawia wątpliwości: lepiej być panną Hudley, gdyż alternatywa — bycie porzuconą żoną — jest znacznie gorsza. Moja matka, choć straciła męża, dom, nazwisko, tożsamość, za wszelką cenę starała się zachować resztki dumy i wyraz jej twarzy, zbolalej i udręczonej, na zawsze wypalił mi się w pamięci. Strach każe mi szukać mężczyzn związanych z kim innym. Gdy po raz pierwszy złamałam to tabu, Pan Bóg powinien był mnie pokarać rażeniem pioruna. Czasem żałuję, że tak się nie stało. Z przerażającą łatwością złamałam wszelkie reguły i nigdy nie spotkała mnie za to żadna kara. A nawet mogę powiedzieć, że los mnie wynagradzał. Zupełnie jak gdyby moje postępowanie było w pełni usankcjonowane. Ja kolekcjonowałam komplementy i biżuterię od Cartiera, starannie unikając zaangażowania, moje koleżanki tymczasem, marżące o „I żyli długo i szczęśliwie”, przekonywały się, że droga do rajy jest długa, kręta i niejednokrotnie łamiąca serce.

Jakoś tak się składa, że najwyraźniej wysyłam tajemne sygnały, które mężczyźni wolnych bądź tych ze skłonnością do angażowania się zdecydowanie odstrasza, przyciągają natomiast tych, którzy mają żony, lub których poza seksem nic nie interesuje. A może po prostu na moją korzyść przemawiają statystyki. Tego jednak Fi nie mówię. Wracam do jej pytania, a moja odpowiedź jest bardzo uproszczona.

— Widzisz, ja nikomu nie zagrażam. Nie mam zamiaru być niczyją dziewczyną czy — co nie daj Boże — żoną. Dlatego też nie jestem niebezpieczna. Nigdy niczego nie żądam. Nie dzwonię o nieodpowiednich porach; nie krytykuję żony — łamane przez — dziewczyny. W zamian jednak oczekuję, że on nie będzie pytał, dokąd się wybieram czy o której zamierzam wrócić. Po prostu możliwość, że się w nim zakocham, nie istnieje.

Fi wpatruje się we mnie. Być może jest pod wrażeniem. A może zwyczajnie ją przerażam. Albo wkurzam.

— Chryste, jakie to smutne — jęczy.

— To udowodnij mi, że się mylę — rzucam jej wyzwanie.

Obie przez długą chwilę milczymy.

— Jeszcze jedną butelkę? — proponuje w końcu Fi.

Z baru wracam z butelką winą i — ponieważ obu nam przyda się coś na poprawienie nastroju — dwoma bankierami.

— Fi, pozwól, że ci przedstawię Ivora Jonesa i Mike'a Clarka. Są bankierami.

Fi zaczyna chichotać.

— Zachowuj się, głupia — syczę przez zaciśnięte zęby.

Ivora i Mike'a widywałam już w tym pubie wcześniej. Od paru miesięcy kiwamy sobie na powitanie głowami, zdarzało mi się też kilka razy przyjąć od Ivora drinka. Dzisiaj obserwowali nas przez cały wieczór. Potem ja zaczęłam się przyglądać, jak oni przyglądają się nam. Gdy doszło do tego, że oni obserwowali, jak my obserwujemy ich obserwujących nas, uznałam, że pora się przywitać. Obaj są dobrze i identycznie ubrani. Ciemne garnitury od Bossa, koszule w paski, prawdopodobnie szyte na miarę, a nie kupowane na Savile Row, szafranowe krawaty od Hermesa. Zapewne nawet pojęcia nie mają, że są szafranowe — głowę dam sobie uciąć, że określiliby je jako żółte. Ivora wyróżnia zabójczy walijski akcent, który sprawia, że nie sposób zrozumieć, co mówi, lecz dodaje mu seksapilu. Nie przeszkadza mi, że go nie rozumiem. Istotne jest natomiast, że nosi na palcu obrączkę, wobec czego Mike'a zostawiam Fi.

Trudno wdzięki Ivora określić jako klasyczne. Jego blada, usiana piegami twarz z małym kartoflowatym nosem przypomina mi porządnie zbity tyłek. Z drugiej strony jest wysoki (metr dziewięćdziesiąt), zabawnie inteligentny i przerażająco arogancki. A przede wszystkim całą swoją postawą wyraża takie błaganie, że chamstwem z mojej strony byłoby nie przespać się z nim. Zasypuje nas prawdziwą lawiną obrzydliwie seksistowskich kawałów, ani na chwilę nie przestając przewiercać mnie na wylot pożądliwym spojrzeniem.

— Ilu facetów potrzeba, żeby otworzyć piwo? — pyta, wręczając każdemu po butelce Becksa. I nie czekając na reakcję, sam udziela odpowiedzi: — Ani jednego. Powinno być otwarte w chwili, gdy ona mu je przynosi.

Obaj z Mike'em śmieją się do rozpuku. Wtóruję im, chociaż słyszałam już ten kawał wcześniej. Fi krzywi się z niesmakiem. Ivor przeprowadza kontrolne rozpoznanie terenu. Sprawdza, na ile poważnie gotowa jestem podejść do naszej znajomości. Jeśli żarty potraktuję zbyt poważnie, będzie to dla niego nieomylny znak, że wkroczył na grząski teren. Jeżeli natomiast nie dam się złapać i na dodatek zrewanżuję się kilkoma równie głupawymi kawałami z seksualnym podtekstem, będzie wiedział, że może poruszać się bezpiecznie. Ivor dostrzega skwaszoną minę Fi.

— Och, bez obrazy. Nie ma nic gorszego niż męska szowinistyczna świnią, prawda? Chyba tylko z wyjątkiem kobiety, która nie robi tego, co się jej karze. — Znowu wybucha śmiechem.

Ale na Fi najwyraźniej nie zrobiło to wrażenia. Jak miło spotkać faceta na tyle uczciwego, że nie boi się wyrażać własnych poglądów. Jednak mam nadzieję, że Mike — dla własnego dobra — potraktuje Fi nieco bardziej konwencjonalnie. Na jego miejscu zafundowałabym jej czekoladki okraszone miłymi komplementami.

Ivor znudził się zabawianiem całego towarzystwa i skupił się na wciągnięciu mnie w bardziej intymną rozmowę. Korzystając z tego, że Fi wyszła do toalety, a Mike poszedł kupić w automacie papierosy, zajął się naruszaniem mojej przestrzeni osobistej. Siedzi z prawej strony i

nachyla się coraz bliżej. Nie mam jak przed nim uciec, nawet gdybym chciała. Kładzie rękę na oparciu wytartej kanapy. Czuję się tak, jakbym cofnęła się w czasie i jako trzynastolatka siedziała z chłopakiem w kinie.

— Ile masz lat, Cas?

— Trzydzieści trzy. — Z odpowiedzią na to pytanie nie waham się nigdy. Dumna jestem ze swojego wieku. Uważam, że jako trzydziestotrzyletnia kobieta mam do zaoferowania znacznie więcej niż jako dwudziestosześcio- czy osiemnastolatka. W tej chwili czuję się zdecydowanie lepiej niż wtedy. Tylko kobiety z biologicznym timexem mają problemy z wypowiedzeniem na głos, że przekroczyły już magiczny próg trzydziestu lat. To przecież kompletnie bez sensu — ukrywanie swojego wieku nie jest w stanie cofnąć wskazówek. Zresztą wiem, że nie wyglądam na swoje lata. Na dowód czego — i zgodnie z moimi oczekiwaniami — zaskoczony Ivor unosi brwi. Zamiast jednak silić się na tani komplement, że to niemożliwe — dobrze wie, że słyszałam to setki razy — kontynuuje naszą błyskotliwą rozmowę.

— Kiedy więc planujesz się ustatkować i uczynić ze swojego chłopaka uczciwego mężczyznę?

— Cóż, szczerze mówiąc, nie interesuje mnie to. Nie mam chłopaka i nie zamierzam być niczyją żoną. — Uśmiecham się wymownie. W ten sposób Ivor osiągnął coś niezwykłego: za jednym zamachem dowiedział się o mnie trzech najważniejszych rzeczy. Poklepał mnie po nodze.

— Jesteś złą kobietą, Cas.

Nie jest to tak do końca prawdą. Tymczasem jednak pozostajmy przy takim spojrzeniu na mój charakter jako całość.

— Czego pragniesz?

Mogę mu oczywiście powiedzieć, że pokoju na świecie. I żeby Issie znalazła wreszcie mężczyznę swoich snów. A Joshowi żeby przestały się śnić zbieralne rzeczy. I żeby matka odnowiła swój dom, a dla siebie — dla siebie pragnę gigantycznej oglądalności następnego odcinka *Seksu z eks*.

— Ja wiem, czego pragnę, a ty sam musisz się tego domyślić — szepczę, przysuwając się do niego bliżej, tak aby moja pierś oparła się o jego ramię.

Cóż, typowa nieśmiała kobietka nie zachowuje się w ten sposób, ale odgrywanie nieprzystępnej ma sens tylko wtedy, gdy chce się faceta przy sobie zatrzymać na dłużej, czego ja zawsze staram się uniknąć. Naprawdę jestem z całego serca za papierowymi majtkami, kubkami, serwetkami, nożami i widelcami. Uwielbiam rzeczy jednorazowego użytku. Uśmiecham się szeroko. Ivor jednym haustem pochłania całe swoje szpanerskie piwo. Właśnie cierpi na

gwałtowny atak amnezji. Chwilowo na śmierć zapomniał o wszystkich tych wielkich słowach „na dobre i na złe” itd.

— Wiesz, zanim się do nas przyłączyliście, rozmawialiśmy właśnie z Fi o tym, jaka to byłaby ze mnie świetna kochanka. — Mój głos jest tak całkowicie pozbawiony emocji, jakbym mówiła o jesiennej pogodzie. Kontrast pomiędzy niedwuznacznie gorącymi słowami a lodowatym tonem sprawia, że interes Ivora przyjmuje pozycję na baczność. Tak dobrze się bawię, że trudno mi się oprzeć i spoglądam na jego przyrodzenie, potem jemu w oczy i znowu w dół na wymowne wyrzucenie. Jego wzrok podąża za moim. Czerwieni się i krzyżuje nogi. Lecz jest, biedak, bez szans. — Po prostu to uwielbiam. Wszystko. Lubię przebieranki i jak mój mężczyzna je ze mnie jak z talerza. Nie przeszkadza mi, że czekolada może pobrudzić pościel.

— Spotkajmy się na zewnątrz za dziesięć minut — mówi i wybiega, zostawiając niedopite piwo. Ciekawe, czy zamierza przez cały ten czas utrzymać swoją erekcję — wątpliwe, by mu się udało, bo wygląda, jakby lada moment miał eksplodować. — Muszę zadzwonić do żony. Tylko jej powiem...

Uciszam go gestem.

— Zachowaj to dla niej.

Jest bardzo chętny, powiedziałabym nawet, że trochę za bardzo. Entuzjazm, który przejawia, stacza krótką bitwę z absurdalnym wyobrażeniem supermężczyzny, jakie ma o sobie. Entuzjazm zwycięża. Udaje mu się jakoś zapanować nad sobą w czasie krótkiej przejażdżki taksówką do hotelu, później także w hotelowej recepcji. Chociaż nie wiem, czy określenie „zapanować nad sobą” może się odnosić do kogoś, kto przez cały czas liże mnie w koniuszek ucha. Niestety, ku rozczarowaniu nas obojga, w windzie traci kontrolę i pozbywa się całego swojego cennego ładunku. Mój udział w tym doprawdy jest znikomy. Bardzo to przygnębiające, ale cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak się z tym faktem pogodzić. Pewnie nabił sobie głowę zdjęciami Pameli Anderson z jej strony internetowej. Przedwczesna ejakulacja mojego wybrańca otrzeźwiła nas oboje. Czuję się głęboko sfrustrowana. Nie taką kulminację wieczoru na cześć wspaniałej oglądalności sobie wymarzyłam. Patrzę na Ivora, który nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy. Winda staje.

— Nie odezwałem się do żony od półtora roku. — Wzdycham w głębi duszy. Gdybym wcześniej o tym wiedziała, nie tknęłabym go nawet pogrzebaczem. Widzę, że uśmiecha się szeroko. — Nie lubię jej przerywać.

Kolejny z jego żartów. Rozluźniamy się oboje i zaczynamy chichotać jak para nastolatków. Uratowało nas jego poczucie humoru. Nie twierdzę, że nie można mu się oprzeć, ale zawsze podziwiałam ludzi, którzy potrafią śmiać się na przekór wszystkiemu. Chociaż odechciało mi się

już z nim stosunków cielesnych, nie zapominam, że właśnie wybulił 185 funtów za pokój. Mogę przynajmniej pomóc mu w przypuszczeniu ataku na minibarek. Wchodząc do pokoju, wiemy już, że żadne z nas nie ma ochoty na seks, lecz pragniemy odbudować zachwianą nieco wiarę w siebie. Wcześniej ani razu nie przyszła mi do głowy Pamela Anderson, teraz jednak nie mogę się odpędzić od myśli o niej.

— Nigdy wcześniej tego nie robiłem — jednocześnie tłumaczy się, usprawiedliwia i przeprasza.

— Nie... — Chcę powiedzieć: „Nie pleć bzdur”, ale widzę, że siada na brzegu łóżka, ujmując głowę w obie dłonie. Być może to skutek działania alkoholu, podejrzewam jednak, że naprawdę jest załamany. Zmieniam więc taktykę. — Nie musisz przepraszać. Zawsze jest ten pierwszy raz.

— Chodzi o to, że ostatnio nie układa nam się z żoną najlepiej.

— Od dawna jesteście małżeństwem?

— Cztery lata.

Ach, gdzie się podział kryzys po siedmiu latach? W Londynie wszystko odbywa się zdecydowanie za szybko. Oddycham głęboko.

— Przeprowadzamy się i staramy o dziecko.

— Och.

Skupiam uwagę na zawartości minibarku. Ostatecznie przedwczesny wytrysk mogę wybaczyć, lecz jeśli liczy na doradztwo małżeńskie, lepiej niech się zwróci do specjalisty. Nalewam sobie brandy i podejmuję próbę zmiany tematu.

— Znasz jeszcze jakieś kawały?

Niestety, wygląda na to, że źródło seksistowskich i zuchwałych dowcipów wyschło. Nagle za wszelką cenę stara się mi udowodnić, jaki to z niego porządny gość. Traci czas; to czysty oksymoron, a poza tym zrobiło się późno. Sięga po portfel i wyciąga z niego zdjęcie szanownej małżonki.

— To Julie. — Obrzydliwe imię, podobnie jak gęba. Zapalam papierosa i w tym samym momencie zdaję sobie sprawę, że nie dopaliłam jeszcze poprzedniego. Wściekła gaszę go w popielnicze.

— Bardzo ładna — stwierdzam, jeszcze raz rzucając na zdjęcie przelotne spojrzenie. Julie wygląda na całkiem miłą kobietkę, krągłą, wesołą, nieskomplikowaną. Typowa żonka.

— Naprawdę ją kocham — przyznaje się Ivor.

Żał mi go, a to rzadki przypadek. Czyżby zbliżał mi się okres? Być może. Kiedy zaczynają we mnie szaleć hormony, nawet *Heartbeat** potrafi mnie wzruszyć.

* *Heartbeat* — popularny w latach dziewięćdziesiątych serial telewizji ITV, rozgrywający się w fikcyjnej miejscowości północnego Yorkshire.

— Słuchaj, naprawdę nie ma o czym mówić.

Siadam obok niego na łóżku i zaczynam gładzić po głowie jak labradora. Mam wieloletnią praktykę w spławianiu facetów. Zwykle jednak odbywa się to po stosunku, przed prawie nigdy. Na ogół w ten łagodny sposób skutecznie pozbywam się ich ze swojej sypialni.

— Nic się nie stało — zapewniam go. Zastanawiam się, czy nie zapoznać go ze swoją teorią na temat Pamme, jednak aż tak wielkoduszna nie jestem. Ciekawe, czy zdołałby się mi oprzeć, gdybym była jego eks. Wysoce wątpliwe. Przestraszył się nie znanych sobie wód.

— Po prostu wszystko się na to złożyło — łatwość i alkohol. Moja łatwość i twój alkohol. To się często zdarza. — Próbuję się uśmiechnąć. — A teraz wracaj do domu, do żony.

Chętnie przystaje na moją propozycję i gramoli się z łóżka. Wkłada ramię do rękawa marynarki, której — jak dopiero teraz zauważyłam — nawet nie zdjął do końca. Trochę mnie zabolalo, że tak bez chwili wahania zbiera się do odejścia, więc zanim jeszcze zdążył zamknąć za sobą drzwi, wrzeszczę:

— A na przyszłość nie bierz się do czegoś, co cię przerasta. Przyda mu się ta rada.

Lepszego efektu nie mogłabym sobie wymarzyć. Declanowi tak bardzo zasmakowało jego pięć minut sławy, że nabrał apetytu na więcej. Wykazuje wyjątkowy talent do dzielenia się opowieściami ze swoich kontaktów z innymi. Ogólnie rzecz biorąc, nie jest to godna pochwały cecha, niestety często spotykana, a z punktu widzenia mediów nadzwyczaj pożądana. Ledwie minął tydzień od programu, a już zdążyły o nim napisać wszystkie brukowce, drukując smakowite szczegóły o różnych aspektach jego związku z Abbie, zarówno tych stosunkowo niedawnych, jak i odległych. Niektóre z nich bez wątpienia nie mijają się z prawdą. Declan udzielił wywiadów lokalnemu radiu i telewizji, zatrudnił agenta i, jak wieść niesie, czyta kilka scenariuszy. Te plotki prawdziwe nie są. Wiem najlepiej, bo rozpuścili je moi ludzie od public relations.

Lawrence poprosił swojego szefa o przeniesienie do jakiejś zagranicznej placówki, co jednak nie na wiele się zdało, albowiem stał się smakowitym kąskiem dla europejskich paparazzich, którzy maniakalnie śledzą każdy jego krok.

Abbie znikła. Trudno jednak powiedzieć, by była to bolesna strata, gdyż kilku jej przyjaciół, krewnych i znajomych bardzo chętnie rozmawia na jej temat z mediami. Kobieta, która sprzedała jej suknię ślubną, opowiedziała prasie piękną historyjkę, podobnie jak ksiądz, który miał udzielić jej ślubu. Pokusie nie oparło się kilku byłych chłopaków Abbie i — co chyba najdziwniejsze — jej fryzjerka.

— Wyobrażasz sobie, Fi, że nawet jej fryzjerka ją zdradziła? — pytam wstrząśnięta.

Jenny, Brian i Karen posunęli się jeszcze dalej. Radośnie dostarczyli prasie listy, które nawzajem do siebie pisali, wraz z rodzinami pozwali do zdjęć, a na koniec zaprosili dziennikarzy na swój ślub, choć do końca jeszcze nie wiadomo, kto stanie przed ołtarzem.

Stworzyliśmy mydlaną operę na żywo. W drugim tygodniu oglądalność wyniosła 1,8 miliona. W trzecim w poważnej prasie pojawiły się dwa artykuły poświęcone naturze i powodom zdrady. Oglądalność sięgnęła 2 milionów.

— Z czego tak się cieszysz? — zwracam się do Jaki, podnosząc wzrok znad czytanych właśnie listów na temat programu. — Dostałaś awans, tylko ktoś mnie o tym nie poinformował?

Jaki wybucha śmiechem.

— Nie, chociaż powinnam. — Uwielbiam ją, zawsze w mig łapie, o co chodzi. — Chodzi o coś innego. W sobotę byłam na kolacji.

— No proszę. A co jadłaś?

Przysiada na moim biurku. Fi przestaje walić w klawiaturę swojego laptopa. Nic nie sprawia nam takiej przyjemności, jak dobra pogawędka o jedzeniu. Rozmowy o nim są znacznie lepsze niż samo jedzenie. Można się bez reszty zaangażować, nie ryzykując utraty linii. Rozmowy o jedzeniu są też lepsze od rozmów o seksie, które często trącą perwersją a poza tym są frustrujące. Nie mogę powiedzieć, co wolę: rozmawiać o jedzeniu czy uprawiać seks. Jedno i drugie smakuje równie dobrze.

Jaki dokładnie zdaje relację z menu, szczególnie długo i dokładnie rozwodząc się nad czekoladowym sufletem. Z cieknącą ślinką wsłuchujemy się w opis podwójnej porcji śmietany i sosu jagodowego. Gdy dodaje, że były miętowe benedyktyнки, wracam do punktu wyjścia.

— Cóż więc jest równie ekscytującego jak awans?

— Po kolacji na ogół gramy w różne gry. Żeby chłopcy mogli oficjalnie stawać w konkury.

— A dziewczyny otwarcie kręcić tyłkami! — wykrzykuje entuzjastycznie Fi.

— No właśnie. Czasami gramy w *Randkę w ciemno* albo coś w tym rodzaju, najbardziej jednak lubimy *Prawdę albo fant*. Ale w tym tygodniu ktoś — nie ja — zaproponował zabawę w *Seks z eks*.

— Neeeeeeeeee! — wykrzykujemy z Fi chórem. Z miejsca rozumiemy doniosłość faktu, że nasz program wpisał się w prawdziwe życie. Ale żeby aż tak szybko?

— Było super. Każdy musiał podać imię byłej lub byłego. Miałaś rację, Cas: zawsze znajdzie się ktoś, na myśl o kim robi się człowiekowi ciepło w sercu albo trochę niżej. Potem musieliśmy powiedzieć, czy zaryzykowalibyśmy niezobowiązujący jeden szybki numerek, przez wzgląd na stare dobre czasy.

— Przecież tam były same pary — oburzam się. Stanowimy niewielki zespół i jeżeli czegoś o sobie nie wiemy, oznacza to, że są to rzeczy, o których wiedzieć nie warto. Możecie mi wierzyć.

— Zgadza się. Ellie i James, Daisy i Simon, Nigel i Ali oraz ja z Tobym. Na tym właśnie polegała cała atrakcja. Publiczna spowiedź.

— I co się stało? — dopytuje się Fi, w podnieceniu bawiąc się zszywaczem. Odbieram go jej w obawie, że zrobi sobie krzywdę.

— Na początku wszyscy kłamali jak najęci. Ci, których podejrzewałam najbardziej, nagle stali się strasznie skromni. Reszta udawała, że już próbowała — co było oczywistym kłamstwem. Jednak z każdym wypitym drinkiem prawda wychodziła na jaw.

— I? — znowu pytamy z Fi chórem. Obie wiemy, jaki wynik odpowiadałby nam najbardziej.

— Wybuchły gigantyczne awantury. Ali wyszła, Ellie zaczęła płakać, całą imprezę Daisy i Simona szlag trafił.

— Juuu-huuu — wiwatuje Fi. — Nasza pierwsza kłótnia.

— Pomyśl tylko — dodaje Jaki. — Skoro do czegoś takiego doszło u nas, w Clapham, ile podobnych awantur zdarzyło się po obu brzegach rzeki, w całym kraju! To się stało przedmiotem narodowej debaty.

— Jaki, idź do działu marketingu i powiedz im, żeby załatwili prawa autorskie na grę planszową, jeżeli jeszcze tego nie zrobili. Powinni ubiec innych w rozmowach z producentami gier. Może udałoby się nam załatwić to jeszcze przed świętami?

— Przecież święta są już za cztery tygodnie! — protestuje Jaki.

Uciszam ją jednym spojrzeniem. Wybiega. Jej ciemne kręcone włosy i łobuzerski koński ogon podskakują wesoło.

— Zauważyłaś, Fi, że ani słowem nie zająknęła się, jak ona i Toby zakończyli ten wieczór?

Pod koniec listopada, w czwartym tygodniu emisji programu, oglądalność wyniosła 4,5 miliona widzów i Bale kazał rozpocząć nagrania do drugiej serii. Seria pilotażowa miała się składać z sześciu odcinków. Materiału mam dość na dziesięć.

— Dziesięć! — wydziera się Bale. — Jesteś zdecydowanie zbyt konserwatywna. Masz przeprowadzić wywiady z tyloma parami, żeby wystarczyło na dwadzieścia programów.

Próbuję mu wytłumaczyć, że program ma sens jedynie wtedy, gdy ofiara niczego nie podejrzewa. Dlatego właśnie nagrałam tyle materiału jeszcze przed puszczeniem programu na antenę.

Wszystkie moje obiekcje Bale przyjmuje, obrzucając mnie wściekłym spojrzeniem.

— Cas, widziałaś wczorajsze wyniki oglądalności?

W odpowiedzi wruszam ramionami, co ma oznaczać, że zbyt absorbuje mnie życie towarzyskie, praca nad kilkoma nowymi projektami i aktywna działalność na rzecz społeczeństwa w organizacjach charytatywnych, bym miała czas na podobne banały jak wyniki oglądalności. Naprawdę jednak sprawdziłam je z samego rana, jeszcze przed pójściem na salę gimnastyczną. Szybko obliczyłam należną mi w związku z nimi premię i wydałam ją w marzeniach na dziesięć różnych sposobów.

— Masz pojęcie, co one oznaczają? Takiej oglądalności nasz kanał nie miał jak dotąd ani razu. Taką samą mają w ITV. — Tu padają tytuły kilku koronnych programów, jakie ITV ma w swojej ramówce. — To lepsza oglądalność niż — wymienia parę konkurencyjnych stacji — kiedykolwiek mieli.

Nie mówi mi nic nowego. Sama wiem o tym najlepiej.

— Mam propozycje wykupu nas przez inne kanały. Tu mnie zaskoczył. O tym nie miałam pojęcia.

— Rzecz jasna, nie przyjąłem ich — uspokaja mnie. — Nasi prawnicy pracują nad sprzedażą pomysłu do Stanów, Australii i Azji. Murdoch chce się ze mną spotkać!

— Miło mi to słyszeć — odpowiadam chłodno. Biorę z jego biurka kilka chusteczek, żeby otrzeć z twarzy obrzydliwą ślinę, którą jak zwykle mnie opluł. — Świetnie. Myślę, że Melvin Bragg i Sue Lawley bardzo nam się przysłużyli, odsądzając program od czci i wiary.

— To dobrze. Naprawdę wyśmienicie — uśmiecha się Bale. Jest ze mnie bardzo zadowolony. I słusznie. Czyż w końcu nie uratowałam jego stacji? Co więcej, prawdopodobnie zapewniłam mu świetlaną przyszłość w zawodzie. Z czarującym uśmiechem wręczam mu szkic swoich żądań i warunków. Nie domagam się w nich boxtera kabrioletu ani sześciocyfrowych zarobków, chociaż jestem pewna, że dzięki premiom szybko do nich dojdę. Bale bierze ode mnie kartkę i trzyma ją z daleka od siebie. Przygląda mi się podejrzliwie. Biedak, nie wie, że nie ma się czego obawiać. Najbardziej wygórowane żądanie, jakie postawiłam, to zaproszenie mojej mamy na spotkanie z Tomem Jonesem w programie *Tom Jones i jego publiczność*, który mamy emitować w Wigilię. Poza tym proszę o tymczasową pracę kamerzysty dla brata Issie w czasie letnich wakacji i sześć biletów na finał Pucharu dla Josha. Bale, nie wiedząc o tym, zakłada naturalnie najgorsze. Czuje się w obowiązku potraktować mnie po chamsku.

— Tak, jesteś dobra. Ale nietrudno wspiąć się na wyżyny w twojej profesji komuś wyzbytemu moralności i współczucia.

— Ty wiesz o tym najlepiej, Bale — odpowiadam i opuszczam jego gabinet. Niech sobie w spokoju przestudiuje moje warunki.

Po wizycie prywatnego detektywa Kirsty długo i poważnie się nad tym zastanawiała. Z początku wydawało jej się to idiotyczne. Przypuszczała, że któraś z jej kumpeli robi sobie z niej jaja. Potem jednak wszystko stało się jasne. Chodziło o nowy program. Coś tam o zaufaniu i wierności. A konkretnie Eva Brooks zgłosiła się do stacji telewizyjnej i powiedziała, że ma pewne wątpliwości co do swojego narzeczonego, Martina McMahona. Czy któreś z tych nazwisk jest Kirsty znane? Owszem. Są jej znane oba i na ich dźwięk w jej ustach pojawia się gorzki smak metalu.

Prywatnym detektywem była kobieta, na dodatek wcale nie nosiła długiego prochowca i beretu, lecz przypominała jedną z tych dziewczyn, które zaczepiają człowieka w wielkich centrach handlowych i pytają, czy może im poświęcić kilka minut, bo chcą z nim przeprowadzić badania rynkowe. Pani detektyw o imieniu Sue piła mocną herbatę z dwoma kostkami cukru.

Przez dwa dni Kirsty bardzo poważnie rozważała propozycję. Za żadne skarby nie mogła skupić się na pracy i doprowadzała lekarzy do szału, podając im niewłaściwe karty pacjentów. Złościli się na nią i narzekali. Jak na ironię to ich złość, a nie pragnienie zemsty na Martinie,

sprawiła, że postanowiła się zgłosić. Czemu niby nie miałyby wystąpić w telewizji? Taki występ na pewno jest o wiele bardziej elegancki niż praca recepcjonistki w nędznej małej przychodni, w równie nędznym i małym miasteczku. Miasteczku, w którym się urodziła, wychowała i w którym — jeśli się zagapi — przyjdzie jej umrzeć. Sue obiecała Kirsty fryzjera i makijaż na koszt stacji, fundusz na ubranie do programu i zdjęcia reklamowe. Uważała też, że Kirsty idealnie nadaje się na modelkę, ostrzegła jednak, że czas gra rolę zasadniczą.

Martin w ogóle już Kirsty nie obchodził. Ze zdumieniem usłyszała, że Eva jej się obawia. Przecież wolał Evę od niej, więc o co chodzi? Bodaj go. Dlaczego Kirsty myśli, że tym razem będzie wolał ją od Ewy? Aż się pod nią kolana ugięły. Upokorzenie, jakie wtedy przeżyła, było bolesne — gorzkie, szarpiące rozczarowanie, gdy powiedział jej, że fajna z niej dziewczyna, ale na żonę to ona się nie nadaje. Za to Eva, ze szpanerskim uniwersyteckim wykształceniem i w zielonych kaloszach nadawała się, i owszem. Kirsty pocieszała się myślą, że przynajmniej ich dzieci będą miały końskie gęby. Co jednak nie wystarczało, by ogrzać ją w nocy. No, ale to było dawno temu, a Kirsty była zbyt rozsądna, by nie przejść nad tym do porządku dziennego. Przez ostatnie dziesięć miesięcy rzadko myślała o Martinie, na przykład wtedy, kiedy jej siostra urodziła dziecko, były urodziny Kirsty albo któryś z pacjentów wywinął jakiś komiczny numer. To jednak zupełnie naturalne — na pewno za nim nie tęskniła. Chryste, a jeśli znowu ją odrzuci? No, ale stacja nie oczekiwała jego oświadczeń; mieli się po prostu trochę zabawić. Tak, żeby on się skompromitował. Uznała, że z tym nie powinno być kłopotu.

Kirsty czeka na Martina na głównej ulicy przed bankiem, w którym on jest zastępcą kierownika. Kirsty rzadko przyjeżdża do Londynu — panuje tu zbyt duży ruch i jest zimno.

— Martin.

Kirsty przeciska się przez tłum. Martin idzie w towarzystwie kolegów i koleżanek z pracy. Wszyscy ubrani są jednakowo, nawet kobiety.

— Kirsty, jak rany. Co ty tu robisz? Boże, jak się cieszę, że cię widzę.

A Kirsty zna go na tyle dobrze, by wiedzieć, że mówi jak najbardziej szczerze. Oddycha z ulgą, i to nie tylko dlatego, że stacja dostanie, czego chce, ale też dlatego, że robi jej się jakoś tak miękko na sercu. Obchodzi go. Niezbyt mocno, nie przez cały czas, ale go obchodzi. Martin kiwa znajomym głową na pożegnanie, mówiąc, że dołączy do nich w pubie.

— Ee, przyjechałam, bo umówiłam się z koleżanką na lunch. Słyszałam, że się zaręczyłeś, więc pomyślałam, że wpadnę i podrzucę pocztówkę z gratulacjami. — Wyciąga kartę i uśmiecha się promiennie. — Gratuluję.

— Dziękuję. — Gdy bierze od niej kartę, ich palce niechcący się stykają.

— *Bardzo się cieszę, że się żenisz — uśmiecha się odrobinę szerzej swoim cudownym uśmiechem.*

— *Jasne, dzięki.*

Martin wydaje się mocno zakłopotany i szybko chowa kartkę z gratulacjami do kieszeni, nawet jej nie czytając.

— *Może się czegoś napijemy? Nie marnuje czasu.*

— *Może dołączymy do twoich przyjaciół? — proponuje Kirsty.*

— *Nie. Znam bar, do którego poszli. Okropnie hałaśliwy. Człowiek nie słyszy tam własnych myśli, więc tym bardziej nie da się rozmawiać. Poszukajmy jakiegoś spokojniejszego miejsca.*

— *Znam takie — mówi Kirsty.*

Martin jest zdumiony, że Kirsty zna miejscowy pub, który okazuje się po prostu idealny, tym bardziej że raczej rzadko bywa w mieście. Tu Martin wzdycha w duchu. Może jednak teraz bywa tu częściej. Niewiele wie o jej życiu. Zawsze uważał, że utrzymywanie kontaktów z byłymi dziewczynami jest pozbawione sensu, a już zwłaszcza z tymi, których ambicje i oczekiwania wobec życia tak bardzo różniły się od jego. Poza tym Eva na pewno by mu na to nie pozwoliła.

Myślał, że wypiją po jednym szybkim, a już siedzą przy trzecim. Fajnie jest wyjść z dziewczyną, która jak człowiek lubi wypić sobie piwko, a nie obowiązkowo gin z tonikiem. Podoba mu się, że sama także stawia kolejkę; nie uważa, że wyprawa do baru jest poniżej jej godności. Chryste, ależ ta Kirsty ma cycki. Zdażył już zapomnieć, jakie były wspaniałe. I w dalszym ciągu plecie jak nakręcona. Jak zwykle trochę bez sensu. Bez przerwy gędzi coś o jakichś kamerach. No, ale on też nie mówi najmądrzej. Według psychologów ślub jest równie stresujący jak żałoba; pod wpływem stresu ludzie robią różne dziwne rzeczy. On na przykład w tej chwili marzy tylko o tym, żeby zacząć Kirsty całować.

Każdy dzień przynosi nowy triumf. W „Evening Standard” pojawia się artykuł o ślubach odwołanych przez pary uczestniczące w programie i o tym, jakie to pociągnęło za sobą skutki finansowe. „Express” idzie tym śladem i pisze o liczbie ślubów, do których nie doszło na terenie całego kraju, odkąd program pojawił się na antenie.

— *Sto dwadzieścia procent więcej niż w tym samym okresie w zeszłym roku! — krzyczy Debbie.*

Wszystkich nas ogarnia euforia. „Express” nie obarcza wprost odpowiedzialnością za taki stan rzeczy *Seksu z eks*, ale nikt nie ma co do tego wątpliwości. Jeżeli program jest odpowiedzialny, dla nas oznacza to jedno — trafiliśmy do wszystkich, do całego narodu. Wywołaliśmy odzew większy niż *Free Deirdre Campaign*, program emitowany w ITV jako reakcja na serial *Coronation Street*.

„Mail” trafia na ślad historii podobnej do tych, które opowiadamy w naszym programie. Odnajdują parę, która niedawno odwołała swój ślub, i pytają, co było tego powodem. Ludzie w żaden sposób nie związani z programem, którzy nigdy się w nim nie pojawili, nie mieli nawet takiego zamiaru i dla których sama myśl, że mogliby w nim wystąpić, jest przerażająca, przyznają, że podczas szczerzej rozmowy na temat atrakcyjności seksualnej byłych partnerów wyszła na jaw „fundamentalna rozbieżność zdań, niemożliwa do zignorowania”.

Debs czyta poranną gazetę.

— To jest to. Oto cytat, który musimy wykorzystać w najnowszej informacji dla prasy. — Dosłownie skacze ze szczęścia.

— Co piszą? — pytam.

— „»Bardzo żałuję«, mówi niedoszły pan młody. »Jestem absolutnie przekonany, że bezpośrednią przyczyną naszego rozstania było to, że postanowiliśmy w poniedziałek obejrzyć program«. — Debbie przerywa czytanie. — Dlaczego ludzie używają takiego górnolotnego języka, kiedy rozmawiają z prasą? Dam sobie głowę uciąć, że normalnie nie powiedziałaby „bepośrednią przyczyną naszego rozstania”.

— Nadzwyczaj trafna uwaga, Debs. Co jeszcze powiedział? — pytam w obawie, żeby nie zmieniła tematu.

— „»Żałuję, że nie poszliśmy do pubu, jak chcieliśmy początkowo. Ale widzi pani, chcieliśmy trochę zaoszczędzić. Wielka szkoda, że w ogóle dowiedziałem się o *Seksie z eks*«. — Debs teatralnym gestem odkłada gazetę.

— Boże, gada jak ostatni kutas. A tak przy okazji, Kirsty świetnie sobie radzi. Widziałam ją w „B Magazine” i zdaje się, że podpisała kontrakt z jakąś agencją modelek.

Cały ten medialny szum sprowadza się do jednego — element zaskoczenia dało się utrzymać góra przez dwa pierwsze odcinki programu. W tej chwili, gdy nieomal wszyscy nasi obywatele wypowiedzieli wojnę niewierności, zwabienie chętnych do udziału w nim staje się w zasadzie niemożliwe. Musimy więc postawić na prestiż, jaki niesie ze sobą występ w telewizji, by móc kontynuować emisję kolejnych odcinków. Dzwoni mój telefon i Debs musi odłożyć na później przegląd prasy.

— Cześć, nieznajoma kobieto.

— Och, Issie, cześć. — Czekam na w pełni uzasadnione pretensje. Ostatnio nie dzwonię ani do niej, ani do Josha. Praca pochłania mnie bez reszty. Czy odwiedzałam ostatnio matkę? Issie na szczęście daje sobie spokój z wyrzutami.

— Masz ochotę wyskoczyć gdzieś wieczorem?

— Jasne, tylko że wciąż przeprowadzam wywiady. Bał zlecił przygotowanie następnej emisji programu.

— A potem? Następnej i następnej?

— Chyba takie ma plany. Ja podchodzę do tego raczej sceptycznie. Czy on naprawdę ma ludzi za takich idiotów?

— Uważam, że tak czy owak powinnaś zrobić sobie wolne na jeden wieczór. Nie możesz przecież pracować w tym tempie *ad infinitum*.

— Co proponujesz?

— Wskoczyć na drinka? Przekąsić coś z włoskiej kuchni? Gdzieś, gdzie mogłybyśmy pogadać. Mam wrażenie, jakbym cię nie widziała od roku.

Czy chce przez to powiedzieć, że czuje się przeze mnie zaniedbana?

— OK, możemy wpaść do Papa Bianchi — proponuję. — Niezłe zarcie, knajpa może nie figuruje w przewodniku Michelin, ale jest przynajmniej tanio i miło, a co najważniejsze, kelnerzy wiedzą że czasem trzeba się zabawić i ubzdryngolić. — Nie dodaję, że restauracja jest o rzut kamieniem od studia i zaraz po kolacji będę mogła wrócić do pracy. Wiem jednak, że kiedy podam jej adres, od razu się domyśli.

— Dobra, zaczekaj chwilę, tylko znajdę coś do pisania.

Słyszę dochodzącą z radia Issie muzykę. I słyszę też, jak miota się w poszukiwaniu długopisu. Dobrze wiem, gdzie próbuje go znaleźć. Zacznie od szuflady w stoliku, na którym stoi telefon. Potem przejdzie do szuflad w kuchni, słoika po dżemie na parapecie i w końcu do przewracania poduszek na kanapie. Znajdzie kilka długopisów, z których żaden nie będzie pisał, a wszystkie ołówki będą połamane. Jak na naukowca, Issie jest potwornie niezorganizowana. Wraca do telefonu.

— Długopisu nie znalazłam, za to znalazłam kolczyk, którego od dawna szukałam, numer telefonu i przepis, ale długopisu ani śladu.

— Poszukaj w torebce.

— Dobry pomysł. — Znowu odchodzi od telefonu. Tym razem łowy zakończyły się sukcesem.

Zapisuje sobie, gdzie i kiedy mamy się spotkać, i rozłącza się. Dzięki temu zapobiegłam katastrofie, że się spóźni, bo pomyliła drogę, albo pójdzie nie tam, gdzie trzeba, i nie zjawi się w ogóle. Moje życie składa się z całej serii drobnych przysług ułatwiających życie innym. Szkoda tylko, że nikt tego nie docenia.

Mogę wrócić do Fi i problemu wzrostu moralności w narodzie. Wiadomo, że nadmierna wrażliwość to zwykła hipokryzja, i wątpię, by długo się utrzymała, ale chwilowo jest i tak irytująca.

— Wiesz co, Fi?

— Co?

— Ten nagły wzrost moralności wśród Brytyjczyków — nawet nie próbuję ukryć pogardy w głosie — może okazać się dla nas przydatny.

— Ciekawe jak?

— Cóż, tak jak przewidywałam, wszyscy po kolei ulegali. Naprawdę żyjemy w społeczeństwie wyzbytym wiary. Wierność, albo raczej jej brak, nie zna granic. Jednakowo dotyka i niszczy każdego, kto jej zaufał.

— Ale dzięki temu robimy wspaniałą telewizję — protestuje Fi, nie rozumiejąc, do czego zmierzam.

— Nie uważasz, że to przygnębiające?

— No, trochę na pewno — przyznaje. — Dzisiaj właśnie dostaliśmy list z gospodarstwa hodującego jedwabniki w Irlandii.

— Serio? — Na chwilę zapominam, o czym mówiłam.

— Aha. W zeszłym roku hodowla — nie pamiętam nazwy — zdobyła Nagrodę Królowej w dziedzinie przemysłu i coś tam jeszcze za osiągnięcia w eksporcie. A w tym roku ich zamówienia gwałtownie spadły.

— Nie wytrzymam. — Jestem zachwycona. Fi nie bardzo rozumie, skąd ta radość.

— To wielka odpowiedzialność, nie uważasz?

— E tam, do diabła z odpowiedzialnością. To świetna historia. — Słowo daję, Fi potrafi mnie czasem rozczarować. — Ale o czym to ja mówiłam? Ach, tak. Jak będziesz w przyszłym tygodniu przesłuchiwać kandydatów, masz szukać takich, którzy według ciebie oprą się pokusie.

— Wydawało mi się, że według ciebie nie ma takich — przypomina mi Fi.

— Udowodnij mi więc, że się myliłam.

Chyba trochę ją przestraszyłam. Próbuję jej więc pomóc.

— Wybieraj takich, którzy nie wierzą że mogą podobać się jednej osobie, o dwóch już nie wspominając. Albo takich, którzy dla pięciu minut sławy zaryzykują publiczne upokorzenie.

— Jak na przykład początkujący politycy?

— Właśnie, albo masoni.

— Jesteś niesamowita! Kurewsko fantastyczna!

— Dziękuję, Nigelu.

— Gdzieś ty ich znalazła?

— Wierz mi, nie było to łatwe.

— Trafiłaś po prostu idealnie. Wyemitowaliśmy sześć odcinków i kiedy wszystko wskazywało na to, że wynik jest z góry przesądzony, ty wyskakujesz z parą, która nie uległa.

Uśmiecham się do niego. Usiłuję nie okazywać zbyt podniecenia, ale muszę przyznać, że i ja jestem w siódmym niebie. Znaleźliśmy ludzi, którzy choć wodzeni byli na pokuszenie, nie ulegli. Naprawdę mnie zadziwili. Wytrwali nie dlatego, że były okazał się nudny jak flaki z olejem lub znał na pamięć słowa wszystkich piosenek Duran Duran, nie dlatego też, że leżała im na sercu przyszłość przemysłu tekstylnego, ani dlatego, że bali się wpadki. Wytrwali, ponieważ wierzyli w nią. W wierność.

W miłość.

Umiłowanie drugiej osoby. Chcieli być sobie wierni. Na zawsze.

— Frajerzy — stwierdzam.

— Ale program wyszedł świetny — dodaje Fi.

I o to chodzi. Publiczność to uwielbia i nagradza hucznymi oklaskami. W to ludzie chcą wierzyć. To kusi i mami. Dzięki mnie „I żyli długo i szczęśliwie” znowu stało się możliwe. Teraz zrobimy wielki program o dalszych losach szczęśliwie zakochanych. Zapłacimy za huczny ślub i wesele. Próbujemy na tę okazję zarezerwować Westminster Abbey. Czasu zostało niewiele, jeżeli jednak opactwo nie jest zarezerwowane dla jakiegoś mało znanego członka zagranicznej rodziny panującej czy kogoś z pomniejszej arystokracji, myślę, że powinno nam się udać. Mam zamiar dać naszym widzom wszystko, czego pragną.

— W przyszłym tygodniu możemy wrócić do wiarołomnych.

Jest Wigilia i zrobiło się już późno. Rozglądam się i widzę, że poza sprzątaczem w biurze nie ma nikogo. Nosi czapkę Świętego Mikołaja i ma wielki czerwony nochal. Nochal jest prawdziwy. Zamykam komputer i po namyśle chowam w biurku — po co mam go zabierać do domu na święta? Dzwoni mój telefon.

— Cas Perry, dobry wieczór.

— Cas, ty głupia stara torbo. Co robisz w biurze w Wigilię?

— Cześć, Josh — wzdycham. Jestem zbyt zmęczona, by powiedzieć mu, jak bardzo się cieszę, że zadzwonił. — Prawdę mówiąc, właśnie skończyłam.

— Doskonale. Jesteśmy „Pod Gęsią i Koroną”. Wpadnij.

— Z kim?

Josh wymienia kilku naszych przyjaciół. Spoglądam na zegarek. Jest za piętnaście dziewiąta — nie za późno, żeby do nich dołączyć. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio zalałam się z prawdziwymi kumplami.

— Z przyjemnością. Będę za dwadzieścia minut.

Nagle ogarnia mnie radosny świąteczny nastrój i obdarowuję sprzątacza butelką whisky, prezentem od jakiegoś reklamodawcy. Jego radość jest nieproporcjonalnie wielka w stosunku do prezentu. Trudno mi go zrozumieć, bo z okazji tych świąt dostałam już kilkanaście podobnych podarunków. Wzywam windę i ze zdziwieniem stwierdzam, że cieszy mnie perspektywa opuszczenia budynku. Ostatnio mi się to nie zdarzało. Winda jest cała ze szkła, bardzo podobna do tej z *Willy Wonka's Chocolate Factory*; porusza się w górę i w dół z gracją i zupełnie bez wysiłku. Zjeżdżając na parter, przebiegam myślą plan następnego programu. Robię to chyba już po raz setny — wiem, że wszystko zapięte jest na ostatni guzik, ale zawsze lepiej się upewnić. Taki nawyk. Budynek jest prawie zupełnie ciemny, palą się tylko światła awaryjne. Mijam sale konferencyjne. W jednej, zawsze pustej, stoi fotokopiarka. W drugiej jest automat z batonikami i ekspres do kawy. W tej z kolei zawsze jest tłoczno. Nie ma lepszego miejsca do podsłuchania rozmów o męskiej menopauzie. W tej chwili świeci pustką. Wszyscy już się wynieśli, by zacząć piec indyka lub nadziewać własne żony. Jak zwykle w święta, zamieniam kilka słów z recepcjonistką. Zgodnie wyrażamy zdziwienie, że wydaje się, jakby poprzednie Boże Narodzenie dopiero co było. Tym razem jednak naprawdę odnoszę takie wrażenie. Byłam tak zajęta, że nawet nie zauważyłam, kiedy minęła jesień. A szkoda, bo to moja ulubiona pora roku. Kiwam głową ochroniarzowi i kieruję się ku wielkim obrotowym drzwiom ze szkła. Już niemal czuję smak pierwszej wódki z sokiem pomarańczowym.

— Jocasta Perry. — Czyjś głos wdziera się w moje myśli. Nie mam nawet czasu, by odpowiedzieć czy choćby się zorientować, skąd dochodzi.

— Czy wie pani, co to upokorzenie? Zdrada? Czy potrafi pani zrozumieć ból? Wątpię, zwłaszcza jak się ma takie piersi.

Kobieta, która drze się do mnie w ten sposób, ma trzydzieści parę lat. Zapewne siedziała w recepcji, czekając na mnie, ale ja zauważyłam ją dopiero, kiedy zaczęła krzyczeć. Ma ładne, rozjaśnione włosy, sięgające ramion, niestety niezbyt szczęśliwie obcięte. Ubrania nosi chyba w rozmiarze 44 lub 46. Nie sądzę, bym miała okazję poznać ją osobiście, ale jej twarz wydaje mi się dziwnie znajoma. Idzie przez hol i zatrzymuje się tuż przede mną. Celuje we mnie pulchnym palcem — jest tak zdenerwowana, że cała aż dygocze i uchwyt torebki cały czas zsuwa jej się z ramienia. Za każdym razem milknie i gwałtownie ją poprawia. Ładny płaszcz. Torebka od Gucciego. Skąd ja tę babę znam?

— Wszyscy ci ludzie, którzy piszą listy... Wie pani, co nimi kieruje? Czy ma pani choć cień pojęcia? — Spoglądam w stronę ochroniarza, dając mu do zrozumienia, że chcę, by czekał w pogotowiu. Kimkolwiek owa dama jest, bez wątpienia dała się porwać atmosferze świąt, tej z procentami. — Nie wydaje mi się. Przypuszczam, że jest pani zbyt zakochana w sobie, by móc pokochać kogoś innego i w ten sposób stać się podatną na zranienie.

Ponieważ jestem prawie pewna, że jej nie znam, prawdopodobieństwo, że ona zna mnie, jest znikome. Nawet moi najbliżsi przyjaciele nie śmieją twierdzić, że mnie znają. Jakim więc prawem ona dochodzi do takich wniosków? Rzuca podobne oszczerstwa?

Nie da się jednak ukryć, że trafiła w sedno.

Nie krzyczy ani nie grozi, nie można jednak nie zauważyć, jak bardzo jest zła. Panuje nad sobą, lecz nie ukrywa, że może okazać się niebezpieczna. Szybko przebiegam w myślach moje kartoteki i po chwili już wiem, kim jest.

— Znam cię. Jesteś Libby, prawda? — Wyciągam do niej rękę.

Libby wystąpiła w jednym z naszych pierwszych programów. Podejrzewała, że jej narzeczony wciąż czuje miętę do swojej byłej. I nie myliła się. Utkwiła mi w pamięci, bo wyróżniała się doskonałym gustem. Pamiętam, jak pokazywała mi suknię ślubną i sukienki druhen. Były przepiękne. Tak, gust miała wyśmienity, szkoda, że nie do mężczyzn.

Grzecznie kiwa głową.

— Bałam się, ale przynajmniej byłam z nim. Teraz dalej się boję i jestem sama.

Dotykam jej ramienia. Unosi się wokół niej zapach perfum dla młodych dziewczyn, chyba Fairy Liquid. Wątpię, by używała ich stale, nie pasują do jej wyczucia smaku. Podejrzewam, że wyskoczyła po pracy na jednego i rozkleiła się pod wpływem ginu i świątecznych piosenek z szafy grającej. Pewnie znajomi napuścili ją, żeby mnie namierzyła i wygarnęła, co o mnie myśli. Być może kilka prawdziwych przyjaciółek próbowało ją powstrzymać, ale widząc, że im się nie uda, zrobiły to, co uznały za najlepsze — skropiły ją swoimi perfumami.

— I tak by cię zostawił — staram się ją pocieszyć. Zaczyna szlochać.

— Naprawdę tak myślisz? Zrobiłby to?

Recepcjonistka podaje jej filiżankę z herbatą, a ochroniarz pomaga usiąść na sofie. Opowiada im, jak bardzo jest samotna. Co prawda powinno się ją usunąć z budynku, ale w końcu są święta, nie doniosę więc na opieszałość recepcjonistki i ochroniarza. Ruszam ku wyjściu.

— Wesołych Świąt, Libby — wołam. Czekam, by odpowiedziała: „I szczęśliwego Nowego Roku”.

Nie robi tego jednak. Chwyta mnie natomiast za ramię.

— Czy spoglądasz czasem w lustro i jesteś rozczarowana swoim odbiciem, które w nim widzisz? — pyta. — Bo ja się swojego brzydzę.

L R

Jest sylwester. Mam dwa powody, by świętować ten ostatni wieczór starego roku. Po pierwsze, święta Bożego Narodzenia szczęśliwie się skończyły. Wraz z mamą obejrzałam *The Sound of Music* i na rok uwolniłam się od Julii Andrews. Po drugie, nie jest to początek nowego tysiąclecia. Boże, to był koszmar. Milenijnego sylwestra zaczęłam planować w lutym 1997 roku, umierałam bowiem ze strachu, że na tę jedyną trafiającą mi się w życiu okazję wybiorę niewłaściwą opcję i — jak można się było spodziewać — nie potrafiłam się zdecydować. Czy mam tę noc spędzić w wiejskim domu w Cotswolds? A może na uroczystym balu w Vegas? Czy też raczej na plaży na Mauritiusie? Tyle możliwości i za każdą coś przemawiało. Problem nie ograniczał się jedynie do tego, że chciałam się dobrze bawić. Zakładałam, że bez względu na miejsce jakoś sobie z tym poradzę, szybko jednak doszłam do wniosku, że jego wybór świadczyć będzie o mnie. Czy bardziej zależało mi na Vegas, czy też wolałabym Cotswolds? Bardziej pociąga mnie blichtr czy może odpowiadają mi spokój i cisza? Skończyło się na tym, że wraz z Joshem i Issie urządziliśmy sobie wytworną kolację w domu Issie. Josh gotował, ja zajęłam się dostawą szampana, Issie zaś — poza zapewnieniem lokalu — miała się postarać, by nowe tysiąclecie powitać z nie złamanym sercem. O ile pamiętam, byłby to pierwszy taki sylwester w jej życiu. Później, zalani w trupa, wędrowaliśmy brzegami Tamizy, narażając się na zmiżdżenie w tłumie i podziwiając sztuczne ognie oraz plecy kilku milionów hulaków. Było super. I oto, jakby od poprzedniego minęła zaledwie chwila, mamy kolejnego sylwestra, wraz z całym tym diabelstwem, które ta szczególna noc nieuchronnie za sobą pociąga. Wystarczy sama myśl o małej czarnej, w którą muszę się wbić, by szlag trafił całą moją radość ze świątecznego obżarstwa i leniuchowania, którym z upodobaniem się oddawałam, a jakby tego nie dość, nie będzie ze mną Issie ani Josha. Issie wybiera się do Marlow na przyjęcie wydawane przez jej rodziców, Josh zaś wyjeżdża do Szkocji z rodziną swojej najnowszej dziewczyny.

Skoro nie mogę witać Nowego Roku z Issie i Joshem, mam do wyboru elegancki bal, na który się wobec tego wybieram. Każdy, kto jest kimś w TV, będzie dziś w Gloucester Hotel w Mayfair. Muszę tam być też i ja. Zwłaszcza w tym roku, gdy moje akcje stoją wysoko. Chyba jak dotąd najwyżej. Obecnie w moim fachu mówi się wyłącznie o *Seksie z eks*. W tej sytuacji jest raczej wątpliwe, by nie udało mi się kogoś ustrzelić. Jestem gotowa. Było nie było, ostatnio w tej sferze mojego życia panowała raczej posucha. Pod koniec sierpnia był Joe, później niewypał z Ivozem, który się nie liczy. Odsuwam od siebie te niezbyt wesołe myśli, pocieszając się jednocześnie, że dzięki memu niekwestionowanemu sukcesowi i faktowi, że jest sylwester, oraz

niezwykle swobodnemu podejściu do kwestii moralności wśród ludzi mediów mogą dzisiejszej nocy liczyć na wyjątkowo udany seks. Już w hotelowym foyer powietrze jest gęste od testosteronu. Aż mi się włosy jeżą. Żądza czai się wszędzie, choć wszyscy — z miernym skutkiem — staramy się ukryć ją pod zapachem perfum Calvina Kleina i wody po goleniu, muszkami i eleganckimi kreacjami. Napięcie jest niemal fizycznie wyczuwalne. Tylko nie myślcie sobie, że jest w tym jakiś szpan. Wręcz przeciwnie. To podniecające. Zabawne. Kurewsko fantastyczne. Dosłownie.

Interesujące mnie cele dzielę na dwie kategorie: ofiary i sparingpartnerzy. Tych ostatnich zdecydowanie wolę, lecz cóż, wszystko zależy od czasu i miejsca. Zauważam go z chwilą, gdy zasiadamy do kolacji. Zajmuje miejsce przy sąsiednim stoliku. Cały aż lśni w blasku świec. Nie nosi obrączki. Przeprowadzam dyskretne dochodzenie i dowiaduję się, że od dawna jest z tą samą dziewczyną, niestety dzisiaj nie mogła przyjść. Układ najlepszy z możliwych — wyzwanie, lecz do pokonania. Mam ochotę na jednonocną przygodę i wielotygodniowe przygotowania nie wchodzi w grę. Wiele wskazuje na to, że łatwo mi to nie przyjdzie. Zawsze jest podobnie. Będzie mi opowiadał, że to dlatego, iż jego dziewczyna go nie rozumie. I jak zawsze, prawda będzie zupełnie inna.

Kolacja przebiega w wesołej, podsycanej szampanem atmosferze. Bale puszy się jak zwykle, ale przynajmniej nie udaje mu się przyłapać mnie pod jemiolą. Biedna Di miała mniej szczęścia. Razem z Fi i Rickym wciąż się śmiejemy, plotkujemy jak wściekli, pijemy i tańczymy do upadłego. Bawię się tak wyśmienicie, że nieomal zapominam, iż planowałam łowy. Gdy jednak zegar wybija dwunastą, a Fi i Ricky znikają by się obściskiwali ze swoimi chłopakami, namierzam wybrany wcześniej cel. Stoi zaledwie kilka metrów ode mnie, co oczywiście nie jest żadnym przypadkiem. Nie mógł pozostać obojętny na uwodzicielskie spojrzenia, które mu posyłałam ponad kulkami z melona; nie wzdragał się też przed ich odwzajemnieniem.

Nie całuję go na parkiecie, bo przecież ma dziewczynę. Niepotrzebne mi plotki i afera, nieuniknione po tak jawnej demonstracji naszych zamiarów. Ale tańczę przytulona tak blisko, że moje usta niemal dotykają koniuszka jego ucha, a jego włosy łaskoczą mnie w wargi. Choć to w zasadzie niemożliwe, przysuwam się jeszcze bliżej, pozwalając, by moja pierś ocierała się o jego ramię. Drży. A mnie gorąco aż rozpiera.

— Masz pokój?

Potakuje skinieniem głowy. Powietrze jest gęste od pożądania.

— Jaki numer?

Odpowiada natychmiast. Czuję się wszechmocna.

— Idź do swojego pokoju. Tylko niezbyt szybko, bo muszę odczekać odpowiednio długo, zanim pójde za tobą, ale nie chcę, żebyś mi się zgubił.

Ściskam jego ramię. Rozumiemy się doskonale. Szczęśliwy, kiwa po pijacku głową, zachwycony, że może ściśle zastosować się do moich instrukcji.

Zachowuję przyzwoitą odległość, ale na korytarzu go doganiam. Jestem koszmarnie zmęczona, więc akrobatyczne wyczyny przy ścianie nie wchodzą w grę, choć przydałyby się w czasie, gdy on mocuje się z kluczem, desperacko usiłując trafić nim do dziurki. Nie wiem, czy wypił zbyt dużo, jest taki zdenerwowany, a może podniecony, ale rokuje to nie najlepiej. W końcu udaje mu się sforsować drzwi. Nagle mój nastrój zmienia się diametralnie. Chyba nudzi mnie ta jego niezdarność. Przeszła mi cała ochota. No, ale już się tu znalazłam. On ma nadzieję i chyba postąpiłabym nie fair, wycofując się w takiej chwili. Zachowałabym się niegrzecznie. Wiele można mi zarzucić, ale na pewno nie to, że najpierw chłopca podpuszczam, a potem niezadowolonego porzucam. Postanawiam załatwić wszystko jak najszybciej. Naprawdę jestem wykończona i chyba powinnam położyć się spać.

Proponuje mi drinka, co zbywam wzruszeniem ramion.

— Ale ty się nie krepuj.

Nalewa sobie whisky. Potem próbuje zapalić papierosa, co mu się jednak nie udaje i wszystkie zapalki lądują na podłodze. Jest tak zdenerwowany, że nieomal budzą się we mnie macierzyńskie instynkty. Czyżby był za młody na takie numery? Czując narastające we mnie uczucie litości, postanawiam mu nieco pomóc. Męskie ego to sprawa niezwykle delikatna. Zawsze przychodzi mi na myśl mydlane bańki, które robi się, wdmuchując ciepłe powietrze przez plastikowe urządzonek. Łatwo się nadymają, łatwo pękają, by po chwili bez problemu napęcznić znowu.

— Hej, tygrysie. — Wyjmuję mu z ręki szklaneczkę z whisky i całuję go. Świetnie. Naprawdę nieźle, ale to w końcu tylko całowanie. Rzuca się na mój zamek błyskawiczny i zaczyna go szarpać. Sukienka jest od Versacego i kosztowała mnie prawie tysiąc funciaków. Taktownie wyslizguję mu się z rąk i odstawiając ministriptiz, zrzucam z siebie cenną kreację. On jest zachwycony, a sukienka uratowana. Muszę być sprawiedliwa: stara się, tylko brak mu subtelności. Atakuje moje piersi, jakby chciał mi rozmasować skurcz mięśni. Leżymy na łóżku i nagle wsuwa we mnie głęboko palce. Lepiej. Jeden w porządku, dwa też ujdą ale — Jezu! — mam nadzieję, że cała pięść to tylko przenośnia.

— Czy chcesz, żebym się na tobie położył?

A to coś nowego — dotąd nikt mnie nie pytał w tej kwestii o zdanie.

— A ty chcesz? — uśmiecham się.

— Nie mam nic przeciwko, jeśli naprawdę tego chcesz. Wolę inaczej, ale jeżeli tak ci będzie dobrze, z radością się dostosuję.

Cóż, na swój sposób to urocze. Ale urocze niekoniecznie znaczy seksy. Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy rzeczywiście mu zależy, żeby mnie w pełni zaspokoić. Chyba jednak go oleję, choć to nie w moim stylu.

Uwalniam się z jego objęć i idę do łazienki. Wychodzę z niej owinięta w szlafrok i z wyszorowanymi zębami. Rozsiewam wokół siebie aurę Mary Ellen à la rodzina Waltonów. Na pewno nie mam w sobie nic z Sue Ellen, kusicielki z rodu Ewingów.

— Dobranoc — uśmiecham się i całuję go przelotnie w policzek. Owijam się szczelniej szlafrokiem, gaszę światło i celowo kładę się jak najdalej od niego. Guzik mnie obchodzi, że nie wygląda na specjalnie zawiedzionego.

*

Z głębokiego snu, podczas którego nic mi się nie śniło, budzi mnie ostry sygnał mojej komórki. Sięgam po nią niezdarnie. Dzwoni Issie.

— Szczęśliwego Nowego Roku! Gdzie jesteś? — W jej głosie słychać niezwykłą mieszaninę podekscytowania, frustracji, złości i niepokoju.

— W hotelu w... — Chwytam notes leżący na stoliku przy łóżku. — ...w Mayfair.

— Z kim?

Spoglądam na puste miejsce obok. Dotykam pościeli, wciąż jeszcze ciepłej. Pachnie męskim potem. Z łazienki dobiega szum wody.

— Ma na imię Ben. — Słyszę, jak Issie cmoka. Wiem, co sobie myśli, ale nie mam siły wyprowadzać jej z błędu. Pozostaje mi więc tylko potwierdzić jej domysły. — Był sylwester. Chodziło o czysto fizyczną przyjemność.

— Jak zwykle. W tym cały problem — wzdycha. Najwyraźniej nie zrobiłam na niej wrażenia. — W końcu wpakujesz się w kłopoty. Za szybko żyjesz. Za dużo pracujesz. Kiedy po raz ostatni byłaś w domu?

— Nie wiem na pewno. A jaki dziś dzień?

Okazuje się, że niedziela. Nie spałam ani nie kąpałam się we własnym mieszkaniu od pierwszego dnia świąt, w tygodniu je poprzedzającym udało mi się to we wtorek. U mamy zostałam na drugi dzień świąt, poza tym korzystałam z łazienki w pracy.

— Musisz odpocząć — oświadcza Issie.

Jednak nie ma racji — energia aż mnie rozpiera. Najlepiej mi się pracuje i mam najwięcej pomysłów, kiedy muszę działać na najwyższych obrotach. Innym po okresie tak wytężonej pracy odpoczynek jest niezbędny, ale ja jestem silna. Nic mi nie będzie.

Chyba zaraz się rozplacę.

— Jestem taka zmęczona — jęczę. — To było potworne. Nawet nie pamiętam, kiedy po raz ostatni uprawiałam udany seks. Jestem taka spięta. Idę prosto do mojego masażysty. Szyję mam tak zeszywniałą, że prawie nie mogę się ruszać.

— Nie możesz iść do masażysty. Jest Nowy Rok. Wszystko pozamykane. Słuchaj, dzwonił Josh. Stęsknił się za nami i wraca do domu samolotem. Jadę po niego na lotnisko. Najpierw zatrzymam się u ciebie. Pójdziemy sobie na spacer, podleczymy kaca.

Dzięki, Issie. Naprawdę jesteś kochana.

Zimno panuje tak przeraźliwe, że nigdzie nie widać nawet jeleni, które powinny hasać po Richmond Park.

— Na pewno zapadły w sen zimowy — podejrzewa Issie. Josh obejmuje nas obie.

— Zimno wam? Trzeba było pojechać do Szkocji. Tam dopiero byście zamarzły.

— No właśnie, jak było w Szkocji? — Gdy mówię, widzę unoszący się przede mną obłoczek oddechu. Otulam się szczelniej kurtką.

— Świetnie. Alkohol. Szkocka krata — stwierdza obojętnie.

— To znaczy, że ci obrzydła?

Mam na myśli Katherine, ostatnią dziewczynę Josha. Nawet ją z Issie polubiłyśmy. Od paru miesięcy kręcili z Joshem, co Issie i mnie napawało nadzieją, lecz teraz, wnioskując z tonu jego głosu oraz z faktu, że przyleciał do nas, zamiast spędzać czas w St Andrews razem z nią i jej rodzicami, najwyraźniej powinniśmy zacząć mówić o niej w czasie przeszłym.

— Skończyłem z tym — potwierdza moje przypuszczenia Josh. Wymieniamy z Issie znaczące spojrzenia.

— Niezłą sobie chwilę wybrałaś — mówimy chórem. Josh wzrusza przepaszająco ramionami.

— A ty, Issie, jak spędziłaś sylwestra? — pytam.

— W sumie nieźle. Rodzinka ma się świetnie, a poza tym na przyjęciu u rodziców poznałam kogoś naprawdę sympatycznego.

— Sympatycznego w rodzaju męskim? — Upewniam się, bo trochę to nieprawdopodobne.

Issie radośnie potakuje. Pod wpływem zimnego wiatru zaróżowiły się jej policzki. Widząc ją, zaczynam rozumieć, dlaczego poeci elżbietańscy pisali o różanych policzkach swoich heroin. Issie promienieje.

— Wyglądasz fantastycznie. Zaliczyłaś go? Uśmiecha się głupkowato.

— Przecież byłam u rodziców. — Racja, nie miała jak. — Ale dałam mu swój numer telefonu.

— Do domu czy do pracy? — dopytuje się Josh.

— I tu, i tu. I jeszcze telefon komórkowy. Także e-mail i faks — odpowiada Issie. Tym razem wymiana spojrzeń następuje pomiędzy mną a Joshem.

— Tylko że jak na razie nie zadzwonił. — Wyciąga z kieszeni komórkę. Sprawdza, czy nie dostała jakiejś wiadomości. Skrzynka jest pusta.

— Chyba jeszcze za wcześnie, żeby dzwonił — pociesza ją Josh.

W głębi duszy jednak żadne z nas nie wierzy, żeby facet się odezwał. Na pewno zdążył się zorientować, że podczas gdy Issie jedną ręką podawała mu numery swoich telefonów, drugą przerzucała już strony „Panny młodej” i „Jak urządzić dom”.

— Może ja zadzwonię? — pyta Issie,

— Masz do niego numer?

— Tak, jego matka podała go mojej.

Stąпам mocno po zmrożonym śniegu, z przyjemnością wsłuchując się, jak skrzypi pod moimi butami. Nie mam ochoty stawiać czoła kolejnej katastrofie, ku której — według mnie — Issie nieuchronnie zmierza. Wszystko wskazuje na to, że z tego gościa musi być wyjątkowy nieudacznik, skoro matka musi mu organizować randki. Lecz zachowuję tę uwagę dla siebie. Issie tymczasem świergoli o równouprawnieniu płci.

— To bez znaczenia, kto do kogo dzwoni, prawda? W końcu oboje jesteśmy dorośli i nie musimy bawić się w żadne gierki.

Josh i ja wolimy milczeć.

Zatrzymujemy się przy przyczepie i kupujemy sobie gorącą czekoladę, zdziwieni, że coś może być czynne w Nowy Rok. Sprzedawca tłumaczy nam, że woli zamarać w Richmond Park, niż tkwić w domu ze starą, teściową i bachorami. Pozostawiamy to jawne potępienie rodzinnego życia bez komentarza, za to z przyjemnością popijamy gęsty napój.

— Jestem pewna, że nie przestanie mnie szanować, jeśli do niego zadzwonię — ciągnie Issie.

Wierzy w popularny w latach siedemdziesiątych pogląd, że mężczyzna nie przestaje szanować kobiety, kiedy ona do niego dzwoni, i tak się tym zachwyca, że natychmiast marzy, by się z nią związać. Staram się jej wytłumaczyć, że pogląd ten przestał obowiązywać trzydzieści lat temu. W latach siedemdziesiątych żadna samotna kobieta nie posłuchałaby rady członkini Women's Land Army. Skąd więc u Issie przekonanie, że zasady wyznawane przez pałace staniki oddziały sprawdzają się w sprawach sercowych i seksualnych kobiet dwudziestego pierwszego wieku?

— Zadzwoni do niego, jeśli chcesz. Ale on od razu się domyśli, że wcale nie przez przypadek masz akurat dwa bilety do opery — takie coś na ogół się nie zdarza.

— Może więc zaproponuję mu wyjście do tej nowej tureckiej restauracji, którą właśnie otworzyli na Romilly Street?

— Jak uważasz, ale on i tak będzie wiedział, że to oznacza: „Podobasz mi się”. W ten sposób się odślonisz, a on jak nic weźmie nogi za pas.

— Ty ciągle wydzwaniasz do facetów.

— Owszem, ale mi na nich nie zależy. I oni o tym wiedzą. — Issie mierzy mnie wściekłym spojrzeniem, nie próbuje jednak się ze mną spierać. — Posłuchaj mojej rady i poczekaj, aż on sam się odezwie.

Issie oddaje Joshowi swój telefon i wymusza na nim obietnicę, że najwcześniej pozwoli jej zadzwonić 3 stycznia.

— A ty jak się bawiłaś? — zwraca się Josh do mnie.

— Nieźle — mówię bez entuzjazmu. — Dobre jedzenie.

Fajne towarzystwo. Moja sukienka od Versacego powaliła wszystkich na kolana. Seks do dupy.

Uroczy, serdeczny śmiech Josha niesie się echem po parku.

— Twój problem polega na tym, że jesteś z Marsa i wciąż spotykasz facetów z Wenus.

Uśmiecham się.

— Marzyłam tylko o udanym seksie na zakończenie udanego wieczoru, ale najwyraźniej odkąd zafascynowało mnie życie seksualne innych, moje własne idzie jak po grudzie. Po prostu brak mi energii. Dalej sypiam z mężczyznami, ale zaczyna mnie to nużyć. Dzisiaj rano na przykład jedyne, na co miałam ochotę, to się wynieść. Nie była mi potrzebna żadna sekcja zwłok, Ben jednak chciał, abyśmy przeprowadzili rozmowę o naszym spotkaniu na miarę dwudziestego pierwszego wieku. Uważał, że powinniśmy się zastanowić, co oznacza. Usłyszał ode mnie, że nic.

Issie jęknęła.

— Dlaczego mu to powiedziałaś?

— Bo to prawda — odparłam bez ogródek.

— Nie można iść do łóżka z obcym facetem, nie ryzykując cierpienia czy emocjonalnej masakry. Łatwo jest uprawiać przypadkowy seks, ale trudniej uciec przed jego konsekwencjami — beszta mnie Issie.

Winą za ten wybuch obarczam Josha. Na święta podarował Issie książkę *Odpowiedzialność za siebie, życie w zgodzie z innymi*. Myślę, że była przeznaczona dla mnie, natomiast książkę *Kobiety, które kochają za mocno* miała dostać Issie. Po prostu źle podpisał paczki. Uważam, że to komiczne.

— Ale ja nie ponoszę żadnych konsekwencji. Nie cierpię, nikt mi nie łamie serca, nie odczuwam żadnych wyrzutów sumienia — przypominam Issie.

— A mężczyźni, z którymi idziesz do łóżka? — pyta.

— Tak samo — odpowiadam bez wahania.

Issie i Josh zatrzymują się gwałtownie i spoglądają na mnie z niedowierzaniem.

— Naprawdę — upieram się przy swoim, usiłując nie myśleć o zboliałym spojrzeniu Bena, żalonych wiadomościach, które Joe bez przerwy zostawia na mojej automatycznej sekretarce czy niezliczonych kartkach ze świątecznymi życzeniami od mężczyzn, w których pytają, czy nie moglibyśmy „tego jeszcze kiedyś powtórzyć”. Kłopot w tym, że w zasadzie nie pamiętam już, kiedy zrobiłam to po raz pierwszy. Wszystkie moje podboje wyglądały podobnie i zlewają się w moich wspomnieniach w jeden zamazany obraz.

— W twoim przypadku możliwości są dwie. Albo godzisz się na cierpienie, albo jesteś zwierzęciem. Ale ja wiem, że zwierzęciem nie jesteś! — wykrzykuje nagle śmiertelnie poważna Issie, puszcza ramię Josha i podbiega, by mnie uściskać.

Moja biedna Issie. To jej nieustanne dopatrywanie się we mnie głębi i uczuć wyższych zaczyna być męczące. Dlaczego nie potrafi zaakceptować mnie taką, jaka jestem? Osobą, która kieruje się hedonizmem, erotyzmem i podstawowymi zwierzęcymi instynktami. Milczę i Issie musi się w końcu — choć ze smutkiem — pogodzić z faktami. Nie ma już siły walczyć ze mną.

— Niech ci będzie — śmieje się niechętnie. — Jesteś potworem.

Wracamy do mnie. Josh natychmiast wędruje do kuchni, by sprawdzić, co mógłby upichcić. Zadziwiające, ale moja lodówka jest wyjątkowo dobrze zaopatrzona. To dlatego, że mama ma klucze do mojego mieszkania i musiała dzisiaj wpaść. Są świeże warzywa, resztki indyka i całe tony mince pie*. Na stoliku do kawy zostawiła nawet ciasto świąteczne. Josh bierze się do krojenia jarzyn, Issie otwiera butelkę wina, a ja dzwonię do mamy, żeby jej podziękować i życzyć szczęśliwego Nowego Roku. Zanim skończyłam, Josh zdążył już przygotować wielki garnek gęstej zupy jarzynowej. Z miseczkami na kolanach zasiadamy przed telewizorem.

* *Mince pie* (ang.) — okrągłe ciasteczka ze słodkim nadzieniem, wypiekane w małych foremkach, podawane do herbaty w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia.

— Czemu nie zaprosiłaś mamy? — pyta Josh.

— Zaprosiłam, ale powiedziała, że ma wpaść jakiś sąsiad i zamierzają w spokoju pooglądać telewizję.

— Bob? — domyśla się Issie.

— Być może. — Wzruszam ramionami. Czasem mam wrażenie, że Issie wie więcej o mojej matce niż ja sama.

To mój wielki wieczór. W telewizji puszczają wydanie specjalne *Seksu z eks.* W pierwszej części jest reportaż z wesela, w drugiej normalny program. Jestem bardzo zadowolona, że udało mi się załatwić godzinną emisję w najlepszym czasie antenowym, i to w Nowy Rok. Josh i Issie nie ukrywają, że nie pochwalają mojego programu (co tylko świadczy o hipokryzji Josha, tym bardziej że to jego postępowanie naprowadziło mnie na pomysł), oboje jednak zgodnie twierdzą że jest fra-pujący. Nie przegapili ani jednego odcinka.

— Dlaczego ona ma na sobie dres w lamparci wzór? — dziwi się Issie.

— Pasuje do jej włosów — wyjaśnia Josh. — Po co oni to robią? — dodaje z niedowierzaniem.

— Dla sławy — mówię rozradowana. — Za bardzo ich pociąga.

— Ta baba jest koszmarna — zauważa Issie. — Cały czas się poklepuje. Dlaczego?

— Jako dziecko piła za dużo soku pomarańczowego — żartuję.

Rozlega się nastrojowa muzyka, po chwili osiągając crescendo. Cała publiczność stoi po stronie Toma. Pragną, by się oparł. Na próżno. Słychać krzyki protestu, po czym niewierny Tom broni się:

— To nie miało żadnego znaczenia. Potwierdza tylko, że musieliśmy się rozstać.

Jego dziewczyny jednak nie wzruszają płaczliwe słowa i wymierza mu silny cios.

— Uuuuuuuuu, uuuuuuu — reaguje publiczność.

Sympatia widzów natychmiast zwraca się ku komuś innemu. W ułamku sekund decydują, po czyjej są stronie, a kogo nienawidzą. Wiedzą, że powinni popierać ludzi wyglądających sympatycznie — osobę o najmilszej osobowości. Oni jednak niezmiennie oklaskują dziewczynę z największymi cyckami albo faceta o najbardziej urzekającym uśmiechu. Między jedną przerwana reklamę a drugą gwizdzą wiwatują śpiewają i podpuszczają. A wszystko to podszyte jest strachem.

— Coś niesamowitego — kręci głową Issie. — Faceci usprawiedliwiają się, twierdząc, że ich skoki w bok nie mają nic wspólnego z miłością, kobiety wręcz przeciwnie.

— Cóż w tym niesamowitego? Według mnie to było do przewidzenia. Chciałabym, żeby któraś kobieta oświadczyła przed kamerami, że po prostu miała ochotę się pieprzyć — protestuję.

— To chyba raczej mało prawdopodobne, nie uważasz? Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która przeszła emocjonalną lobotomię w wieku siedmiu lat.

— Ciii. — Uciszam ją nie dlatego, że wprawia mnie w zakłopotanie, ale dlatego, że właśnie skończyły się reklamy i swoją paplaniną może zagłuszyć program.

Twarz ma poszarzałą i ściągnięte usta. Pot zalewa mu całą twarz. Strzela oczami na lewo i prawo. Nie wie. Nie jest pewny. Przespał się ze swoją byłą czy nie?

— Wiecie, jak można by urozmaicić program? — pytam retorycznie.

— Zdjąć go z anteny? — domyśla się Josh. Miażdżę go spojrzeniem.

— Nie. Powinniśmy wprowadzić dwa podkłady muzyczne, w zależności od wyniku. Jeden radosny, drugi...

— Upokarzający? — wchodzi mi w słowo Issie.

— Zawstydzający? — dodaje Josh.

— Po prostu smutny, jak porzucenie.

Nie boję się tego. Wracam myślą do wigilijnego wieczoru i opuchniętej, zapłakanej twarzy Libby. Sądziła, że mówi mi o czymś, czego nie znam. Myliła się. Wyglądała dokładnie tak samo jak moja matka w dniu, w którym odszedł ojciec. Wiem wszystko o porzuceniu. Znam uczucia, które obnażam przed kamerami, i nie boję się ich. Nie ja jestem ich powodem i nie uważam, że powinnam się czuć nieswojo. Wszyscy zdradzeni przez swoich partnerów czują się odrzuceni, przerażeni, oszukani, rozczarowani. Ale to nie trwa wiecznie. Żywię niezachwiane przekonanie, że wyświadczam im przysługę. Lepiej, żeby doświadczyli tego teraz niż po złożeniu podpisów w urzędzie stanu cywilnego.

Kończymy jeść zupę i idę podgrzać mince pie. Kroję też ciasto świąteczne. Issie z jękiem oświadcza, że nie przełknie już ani kęsa, po czym pyta, czy nie zostało trochę sosu do ciasta. Josh przejmuje obowiązki barmana i równie szczerze szafuje alkoholem jak swoją spermą. Kwadrans po dziewiątej jesteśmy równo ululani.

Bawimy się cudownie.

— Dzięki za skarpetki — mówi Josh, całując mnie w policzek. Siada koło mnie na kanapie. Uśmiecham się radośnie i obejmuję go ramionami.

— Proszę bardzo.

Oprócz skarpetek dostał ode mnie kilka innych, znacznie cenniejszych prezentów — typowych zabawek dla dużych chłopców, jak szwajcarski nóż wojskowy i telefon komórkowy, za pomocą którego można przysyłać zdjęcia. Najbardziej jednak ucieszył się z zestawu komputerowego, dzięki któremu można wchodzić na ulubione strony internetowe, wydając komputerowi polecenia głosem. Nawet się nie zdenerwował, gdy moja matka zapytała go naiwnie: „Nie można po prostu nacisnąć odpowiedniego guzika?” Wybór takich właśnie prezentów potwierdził tylko moje głębokie przekonanie, że najmilsi nawet faceci nigdy nie dorastają. Skarpetki kupiłam mu dla żartu. Zawsze robimy sobie prezenty w stylu starego, dobrego małżeństwa, wierząc, że dalej się względem siebie nigdy nie posuniemy. Josh sprezentował mi symboliczny wałek do cia-

sta. Nie żaden tam jakiś wykładany ślicznie marmurem, tylko najzwyklejszy pod słońcem, drewniany. Josh dobrze wie, że w życiu nie posłużyłam się podobnym narzędziem, i póki ktoś nie wymyśli, jak można je spożytkować w sypialni, jest mała szansa, że kiedykolwiek to nastąpi. Do naszej zabawy zaprosiliśmy również Issie, byłoby bowiem jeszcze wiarygodniej, gdyby Josh kupił dwa typowo babskie, żonine prezenty. Issie jednak stanowczo odmówiła, twierdząc, że zbyt boleśnie by się jej to kojarzyło. Myślę, że boi się kusić los. Jak na ironię wierzy, że w końcu nadejdzie dzień, kiedy będzie mogła podobne prezenty wymieniać naprawdę.

— Czy podjęliście jakieś noworoczne zobowiązanie? — pyta Issie, wciskając swój chudy tyłeczek pomiędzy Josha i mnie. Kręci nim przez chwilę, żeby usadowić się wygodniej. Dolewam każdemu z nas brandy.

— Och, no wiesz, takie jak zawsze — schudnąć trzy kilo, ograniczyć alkohol do połowy zalecanej dawki i palić nie więcej niż dwadzieścia dziennie. A ty?

— Ja postanowiłam tak nie świrować na punkcie facetów.

Jesteśmy z Joshem zbyt zalani, żeby próbować ukryć rozbawienie. Obydwoje parskamy śmiechem i opluwamy się brandy. Mnie udało się trafić nią z powrotem do szklanki; Josh jednak, jako mniej dbały o porządek, ochlapuje całą kanapę. Tak się śmieję, że nie mam nawet siły go ochrzanić.

— Co was tak śmieszy? — pyta Issie obrażona. Dobrze wie, co.

— Cóż, przynajmniej jesteś wierna swoim zasadom. Takie samo postanowienie podjęłaś w zeszłym roku, podobnie jak i przez ostatnie pięć lat — zauważam.

Josh nie jest aż tak brutalny.

— Szczerze mówiąc, na tym właśnie polegają noworoczne postanowienia. Ty zawsze obiecujesz sobie, że będziesz mniej jadła, piła i paliła, Issie chce mniej się zakochiwać, a ja...

— Ty zawsze chcesz pieprzyć się jeszcze więcej — wykrzykujemy z Issie zgodnym chórem.

Wszyscy wybuchamy śmiechem. Taka jest prawda i trudno się z tego powodu obrażać.

— A może w tym roku spróbowałibyśmy dotrzymać słowa? — proponuję.

— Naprawdę mam nadzieję pieprzyć się jeszcze więcej — oświadcza Josh poważnym tonem. Średnią ma dość wysoką i wątpię, by znalazł czas na dodatkowe podboje. Jego zachowanie to kwintesencja męskości. Dla mnie jest przykładem modelowego faceta.

— Nie, chodzi mi o to, żebyśmy w tym roku przyrzekli sobie coś innego i wytrwali w postanowieniu.

— Może na przykład wystartujemy w maratonie? — wpada na pomysł Issie.

— Proszę bardzo, jeżeli tylko masz ochotę — zachęcam ją.

— Czy tam można poznać jakichś facetów? — dopytuje się. Pozostaje mi tylko westchnąć.

Pijemy dalej. Brandy się skończyła, teraz kolej na whisky. A wszystko to na wino, które wypiliśmy do zupy. Wiem tylko, że już złamałam jedno ze swoich noworocznych postanowień. Cała reszta jest niewyraźna. Wyciągam przed siebie rękę, ale nawet jej kontury są zamazane. Issie i Josh zarykują się ze śmiechu, wymyślając coraz to nowe idiotyczne postanowienia na Nowy Rok, ja jednak nie mogę dotrzymać im w tym kroku. Jestem otumaniona i chociaż bardzo się staram, jakoś nie potrafię zapanować nad własnymi myślami. Wciąż widzę, jak Ben z poważną i przejętą twarzą opowiada mi o swojej dziewczynie, martwiąc się, czy wybaczy mu zdradę. Poradziłam mu, żeby nie był głupi i po prostu trzymał gębę na kłódkę. On jednak, jakby mnie nie słysząc, wyglądał przez okno i głośno się zastanawiał, jak sam może sobie wybaczyć. Chyba jestem kompletnie pijana, bo nagle twarz Bena zmienia się w twarz Ivora, a błagalne oczy Ivora okazują się oczami Joe. Potrząsam głową. Ta cholerna whisky — diabelskie szczyzny — zawsze mam po niej omamy.

— Codziennie będziemy się uczyć jednego nowego słowa.

— To proste.

— I będziemy go używać.

— Co powiesz na trzy dziennie?

— Nie ma mowy.

Issie nie trafia popiołem z papierosa do popielniczki. Nie zauważa tego, lecz ja widzę, jak popiół w zwolnionym tempie rozsypuje się po podłodze. Patrząc na to, ale wyobraźnia podsuwa mi obraz rozsypujących się zapalek Bena, gdy nerwowo próbuje zapalić papierosa. Nagle zewsząd otaczają mnie spadające lamety i sosnowe igły.

— Przez cały tydzień będziemy mówili prawdę, całą prawdę i nic poza tym — wpada na pomysł Josh.

Odkąd go znam, wszystkich i przy każdej okazji raczy małymi, nieszkodliwymi kłamstewkami; jak każdy bałamut potrzebuje ich niczym ryba wody. Przychodzą mu równie naturalnie jak oddychanie.

— Nie, to głupie, wszyscy by się od nas odwrócili.

— Chcecie jeszcze whisky? — odzywam się.

— Jasne, lej — bełkoczą i podsuwają mi chybotające się szklanki.

— A co powiecie na takie postanowienie: ożenię się.

— Co takiego? — Obie z Issie wybałuszamy oczy na Josha. Osłupiałyśmy.

— Ty głupku, przecież to niemożliwe. Dopiero co puściłeś kantem swoją dziewczynę, zapomniałeś już? A była super, najlepsza, jaką nam od jakiegoś czasu przedstawiłeś. Poza tym jak ognia unikasz zaangażowania — masz na tym punkcie fobię.

— To nieprawda — obrusza się Josh.

— Issie, jesteś niesprawiedliwa — staję w jego obronie. — Nie ma nic przeciwko zaangażowaniu, przynajmniej na początku. Trudniej mu tylko w tym wytrwać.

Josh dobrodusznie marszczy brwi. Przyznaje się bez bicia.

— Co do zaangażowania, to jestem bez reszty oddany tobie, Cas. Tobie także, Issie — dodaje szybko. — Po prostu nigdy nie spotkałem odpowiedniej dziewczyny.

Czegóż on szuka?

Josh i ja mamy wiele wspólnego. Oboje mamy na koncie niezliczone podboje seksualne. Różni nas to, że Josh naprawdę wierzy w trwałe związki i ma nadzieję ustatkować się któregoś dnia. Zawsze mi to powtarza. Nie wiem tylko, dlaczego z taką przeszłością wciąż na to liczy. Od osiemnastu lat zawsze jest tak samo — Josh albo jest szaleńczo zakochany, albo szaleńczo nienawidzi. Jedyna różnica polega na tym, jak długo dany stan trwa. Mój przyjaciel szybko się nudzi. Zamiast jednak przyjąć do wiadomości, że sama idea „I żyli długo i szczęśliwie” jest z gruntu poroniona (co dla mnie jest zrozumiałe samo przez się), twierdzi uparczywie, że po prostu jak na razie nie trafił na odpowiednią kobietę. Z uporem maniaka powtarza w kółko, iż w i e , że taka istnieje.

— No dobra, może faktycznie takie postanowienie jest nieco na wyrost, przynajmniej w tym roku. I tak wszystkie najlepsze domy weselne są już na pewno zarezerwowane. Podejdę do tego racjonalnie. Zobowiązuję się znaleźć tę jedyną i oświadczyć się.

— Mogę być druhną? — pyta Issie.

— Jasne.

— A ja drużbą? — pokpiwam sobie z niego.

— Zobaczymy.

Jednym haustem wypija swoją whisky i nalewa sobie nową porcję. Kołysze w szklance diabelskimi siuškami, a my w milczeniu przyglądamy się, jak on się temu przygląda.

— Ty nie żartujesz, prawda? — pytam w końcu.

— Najwyższy czas — mówi z przekonaniem.

Czuję, jak po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Zaczynam dygotać — czyżby ogarniał mnie strach? Stracę go. Albo raczej przestanę być w jego życiu *numero uno*. Teraz dzielę się nim z Issie, ale to co innego. Z Issie nie rywalizujemy, ona jest po prostu dopełnieniem całości. Będzie mi go brakowało.

— Urznąłeś się. Wcale tak nie myślisz. Coś ci powiem, rano masz prawo to odwołać. — Uśmiecham się do niego i czekam, by odpowiedział tym samym. On jednak nadal jest poważny. Zwracam się wobec tego do Issie.

— No dobra, a co ty postanowiłaś?

— Podoba mi się ten pomysł z maratonem. A ty?

— Zaczyna mnie to wszystko nudzić i czuję się podle.

Issie z przekrzywioną na bok głową czeka na ciąg dalszy, ale jakoś nie potrafię mówić dalej. Samą mnie zaskoczyło, że powiedziałam aż tyle. Przecież wcale tak nie myślę. A może jednak? Oj, chyba tak.

— Kończę z tym.

— Z czym?

— Przypadkowym seksem, bezmyślnym pieprzeniem się, seksem pod wpływem impulsu, po pijanemu, z byle kim dla uczczenia awansu, wyników oglądalności czy nowej szmaty od Armaniego. — Urywam, by sprawdzić, czy wymieniłam wszystkie okoliczności. Jak najbardziej.

— I co zrobisz? — pyta Issie z przerażającą szczerością, na którą tylko najbliżsi przyjaciele potrafią się zdobyć.

— A bo ja wiem? — odpowiadam tym samym tonem. — Będę żyć w celibacie?

8

— Co się stało? Susie, dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego? — Zważywszy na okoliczności, Jed zachowuje się z niezwykłą godnością. Jakkolwiek by na to spojrzeć, jedna czwarta dorosłych Brytyjczyków była właśnie świadkiem, jak jego narzeczona całuje się ze swoim byłym kochankiem nieomalże w samej zakrystii kościoła, zaledwie piętnaście minut przed próbą jej ślubu z Jedem i na tydzień przed samym ślubem. Na filmie widać wyraźnie, jak poprawia spódnicę, wyłaniając się zza grobowca. Bale obawiał się procesu, nie pokazaliśmy więc wszystkiego, ale nie trzeba należeć do Mensy, by odgadnąć, że na samych pocałunkach się nie skończyło.

Twarz Susie bielsza jest od sukni ślubnej, którą z taką dumą prezentowała widowni tuż przed przerwą na reklamy. Ale to było w innym życiu. Zanim wszystko wyszło na jaw. Wtedy Susie była jeszcze szczęśliwą narzeczoną, Jed żył w błogiej nieświadomości, a Andrew czał się za kulisami, czekając, aż cały świat przekona się o wiarołomności Susie.

— Tak mi przykro — szepcze Susie.

Uważam, że taktykę obrała właściwą. Jediną szansą na zaskarwienie sobie przychylności widzów jest natychmiastowa i całkowita skrucha. W końcu Jed jest taki przystojny, więc zrozumiałe, że sympatie są po jego stronie.

Oto najbardziej interesujący moment — cała trójka biednych jeleni stoi na środku studia, szykując się do rozwiązania na forum publicznym problemu jak najbardziej osobistego. Do tego

momentu Jed był przekonany, że nad wszystkim panuje. Tak naprawdę ani przez chwilę nie wierzył, że Andrew może być dla niego jakimkolwiek zagrożeniem. Po prostu doszedł do wniosku, że fajnie będzie wystąpić w telewizji, by później mieć co opowiadać wnukom. Wierzył, że Susie wybierze jego, na przekór temu, co szeptali między sobą znajomi — że Susie i Andrew byli wspaniałą parą, że byli zakochani w sobie do szaleństwa. Nie mam wątpliwości, że teraz pluje sobie w brodę, iż zachciało mu się czegoś więcej niż zwykłego filmu ze ślubu.

Andrew myślał, że to tylko zabawa, zwykle wygłupy. Nie miał nic do stracenia, tym bardziej że jego romans z Susie zakończył się przed laty w powodzi łez i wzajemnych oskarżeń. (Tu należy odnotować, że rozstali się, gdy Susie nakryła go w łóżku z inną kobietą). Andrew z radością przystał na propozycję uwiedzenia swojej byłej dziewczyny. Gdyby odmówił, wyszedłby na zwykłego tchórza, a ta seksowna pani detektyw, która z nim rozmawiała, wzięłaby go za zwykłego dupka, a nie stuprocentowego faceta, którym przecież był.

— Dlaczego to zrobiłaś, Susie? — pyta żałośnie Jed.

— Nie mogliby zadawać jakichś bardziej dociekliwych pytań? — denerwuje się Fi. Obie stoimy za kulisami, na żywo śledząc rozwój akcji.

— Nie, bo w tym właśnie tkwi sedno sprawy — odpowiadam szeptem. — To jest najbardziej interesujące: dlaczego partner uległ? A lista możliwości nie ma końca. Zaborczość, zemsta, szukanie pocieszenia, oportunizm.

Susie wreszcie odzyskała mowę.

— Wybacz mi, Jed. Ale nie mogłam się oprzeć. Przez ostatnie trzy lata, odkąd zerwałam z Andrew, widziałam go wszędzie. Przypominała mi go każda kwadratowa szczęka i szerokie bary. Czasem miałam wrażenie, że jedzie przede mną ruchomymi schodami w metrze, i rzucałam się, by go dogonić. Serce mi waliło, podchodziło do gardła. W takich chwilach nawet się nie zastanawiałam, co ci powiem, jak ci to wytłumaczę. Ani też dlaczego wybaczałam jemu. Chciałam go tylko zobaczyć. Miałam nadzieję, że wtedy przestanę w końcu za nim tęsknić. Ale to nigdy nie był on. Zawsze jakiś obcy facet, nie taki. Bo nikt nie jest taki. Nawet ty. Proszę, proszę.

Widzowie wiedzą że Andrew nie zasługuje na takie oddanie i poświęcenie, ale są zachwyceni. W studiu słychać tylko szloch Susie; poza tym panuje cisza jak makiem zasiał.

Po twarzy Fi lży spływają strumieniem.

— W ogóle cię to nie wzrusza, Cas?

— Owszem, bardzo się cieszę, że cała widownia płacze. Wspaniała telewizja. Co teraz?

Wręcza mi podkładkę z papierami.

— Wywiady do programu w przyszłym tygodniu.

Ruszam w stronę pokoju przesłuchań, natykając się po drodze na chichoczące dziewczyny z działu zbierania informacji, które tłoczą się przy drzwiach.

— Co z nimi? — zwracam się do Fi.

— Nie słyszałaś? Twój mądry facet, wygląda jak grecki bóg.

— To znaczy, że niezbyt wysoki i ma kilka głów? — żartuję. Gdy jednak otwieram drzwi i moim oczom ukazuje się Darren, cała ochota do sarkastycznych żartów mi przechodzi. Już wiem, czego obawia się Marcus. Poznałam go dzisiejszego ranka. Jest w porządku. W miarę bystry, nieco bardziej interesujący niż większość, dość przystojny i nieprzyzwoicie bogaty. Claire wprost uwielbia. Ona zdaje sobie sprawę, że nieźle trafiła, i według mnie jego uwielbienie jest w pełni odwzajemnione. A jednak, bez względu na moje przekonanie, że przy sprzyjających okolicznościach nikt nie oprze się pokusie, Darren jest oszałamiający.

Wysoki, prawie metr dziewięćdziesiąt, o długich, sięgających brody cygańskich włosach. Na ogół nie przepadam za długimi włosami, tym bardziej że najczęściej towarzyszy im dzinsowy strój od stóp do głów i pełna płytoteka zespołu Meat Loaf. Teraz jednak marzę wyłącznie o tym, by zanurzyć palce w jego czuprynie. Więcej, pragnę wraz z nim zanurzyć się w swoim drewnianym łożu w kształcie łodzi. Jest szeroki w barach, wąski w biodrach i ma najbardziej uroczy tyłek pod słońcem. Ubrany jest w jasnoszary sweter i stare levisy. Wszystko w sam raz, nic dodać, nic ująć. Oczy ma wielkie, ciemnobrązowe, ocienione niesamowitymi rzęsami, jak sarenka Bambi. A ze wszystkiego najpiękniejszy jest jego uśmiech. Tak uroczy, że rozświetla mu całą twarz. Oczy, policzki, zmarszczki w kącikach oczu.

Chodzący cud natury.

Przez chwilę jestem kompletnie ogłupiała. Nie wiem, co powiedzieć, jak się zachować, w jakiej pozycji stanąć. Zniknął gdzieś cały mój zdrowy rozsądek, zapomniałam o trzydziesto-trzyletnim doświadczeniu, podstawach dobrego zachowania. Nie nasuwa mi się żadne słowo, od którego mogłabym zacząć... Boże, nic mi się nie nasuwa. W głowie mam kompletną pustkę. Uśmiecha się do mnie, a w moich uszach rozbrzmiewają anielskie pienia. Sytuacja jest tak banalna, że najchętniej strzeliłabym sobie w łeb. Twardnieją mi brodawki, co z ich strony uważam za podłą zdradę. Czy on się domyśla? Dosłownie ślinię się jak pies na widok smakowitego kąska. Hej, do kurwy nędzy, upominam się w duchu, weź się w garść.

— Jocasta Perry — odzywam się bardzo pewnym siebie tonem, w stylu tylko-sobie-nie-wyobrażaj-że-robisz-na-mnie-wrażenie-mnie-nic-nie-rusza. Co jest oczywistą bzdurą.

— Jocasta, jak w królu Edypie.

Uśmiecha się, ujmuje moją dłoń i energicznie nią potrząsa. Jednak nie mocny uścisk mnie zaskakuje, a porównanie.

— Jocasta albo Ca...

— Cas — potwierdzam. Czy ten facet potrafi czytać w myślach?

— Darren Smith.

— Tak, wiem. — Pokazuję na wręczone mi przez Fi papiery, gdzie mam wszystkie jego dane. Numer telefonu, adres, datę urodzenia. Przychodzi mi do głowy, czy przypadkiem kwestionariusz nie powinien zawierać pytań bardziej osobistych. Dotyczących na przykład ulubionych pozycji seksualnych lub strony, po której woli spać. Szczypię się w myślach. Przecież to tylko facet. Postanawiam skupić się na brakach. Oboje powinniśmy być ich świadomi.

— Daz, czy też raczej Dazza? — pytam z lodowatym uśmiechem.

— Darren — odpowiada spokojnie, wcale nie wyglądając na urażonego. Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, że staram się być niegrzeczna? Na głupiego nie wygląda. Znowu się uśmiecha, ukazując rząd zębów, których nie powstydziliby się Osmondowie. Jak facet może być tak wspaniały?

— Cóż, Darrenie, przejdźmy do rzeczy.

Siadam obok niego i niechcący trącam go kolanem. Dosłownie podskakuję, gdyż jego dotyk przeszywa mnie niczym prąd, parzy mi skórę przez materiał spodni od Josepha. Drżącą ręką sięgam po szklankę wody.

— Dobrze się czujesz? — Reaguje natychmiast: chwyta szklankę jeszcze przede mną i podaje mi ją, szczerze zaniepokojony. Nie mam siły powiedzieć mu, że nic mi nie jest. Szklanka nieomal wysuwa mi się z ręki, a on w obawie, że rzeczywiście spadnie, łagodnie podsuwa mi ją do ust, ani na chwilę nie spuszczając ze mnie wzroku. Dosłownie mnie nim przewierca. Czyżby czytał w moich myślach? Czy wie, że lada chwila majtki staną mi w ogniu? Upijam łyk wody i Darren odstawia szklankę na stolik.

— Gorąco tutaj — mówi i wstaje, by podkręcić klimatyzację. Jest taki pewny siebie, opanowany. A ja...? Ja kompletnie straciłam głowę. Pewnie jestem chora. Patrzę na Fi i widzę, że się uśmiecha. To w ułamku sekundy sprowadza mnie na ziemię.

— Fi, co cię tak bawi? — pytam, wbijając w nią mordercze spojrzenie.

W odpowiedzi tylko potrząsa głową i wycofuje się w kąt pokoju. Z pewnym wysiłkiem wracam do swoich notatek i Darrena. Tylko jedna z tych czynności przychodzi mi z niejakim trudem.

— Jak zapewne wiesz, Marcus Ailsebury ma się niedługo ożenić z twoją byłą dziewczyną, Claire Thomson. Ślub odbędzie się w walentynki, co przypada za jakieś dwa i pół tygodnia.

Marcus napisał do nas, gdyż czuje — poprawiam się — podejrzewa, że Claire w dalszym ciągu czuje do ciebie miętę.

Rumienię się. Scenariusz, zazwyczaj nie robiący na mnie wrażenia, nagle jawi mi się taki, jaki jest w rzeczywistości. To znaczy, koszmary. Mam nadzieję, że Darren nie pomyśli, że normalnie posługuję się słownictwem w stylu: „czuć miętę”. No trudno, muszę ciągnąć to dalej.

— Marcus chce się upewnić, czy jego obawy są uzasadnione. Wiesz, na czym polega program *Seks z eks?* — Spoglądam na niego.

— *Seks z eks?* Przykro mi to stwierdzić, ale wiem. — Z powagą kiwa głową. Grzywka opada mu przy tym na lewe oko. Nigdy w życiu nie widziałam niczego równie atrakcyjnego. Odsuwa włosy, dmuchając w ich kierunku kącikiem ust. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki włosy posłusznie wracają na miejsce.

— Świetnie. W tej sytuacji chcemy jedynie, żebyś...

— Posłuchaj. Wybacz, że ci przerywam, ale nie chcę niepotrzebnie marnować twojego czasu.

Uśmiecham się szczęśliwa, że mogę z nim rozmawiać. Odpowiadać na pytania, wyjaśniać wątpliwości. Możemy to robić przez cały wieczór. Chcę usłyszeć wszystko, co ma do powiedzenia.

— Ja się na to nie piszę. Tego nie chcę słyszeć.

— Nie zamierzam wystąpić w waszym programie.

Spoglądam na niego zdumiona. Co za duppek.

— Bardzo mi przykro, że muszę ci odmówić. Zapewne narobię tym mnóstwo kłopotu różnym ludziom, ale kiedy wasze studio się do mnie zwróciło, nie miałem pojęcia, że chodzi o *Seks z eks*. — Wymawia tytuł z jawnym obrzydzeniem.

— Czy nasz detektyw ci o tym nie powiedział? — pytam z goryczą.

— Nie. Powiedział tylko, że trzeba pomóc Marcusowi w przygotowaniach do ślubu. Sądziłem, że zapraszacie mnie do programu *A to niespodzianka*.

Hm. Całkiem możliwe, że nasi ludzie celowo wprowadzili Darrena w błąd. Albo przynajmniej nie wyjaśnili mu wszystkiego do końca. Dla nich także musiało być od razu oczywiste, że Darren może wspaniale przyczynić się do podniesienia wyników oglądalności.

— Nie ma takiej siły, która zmusiłaby mnie do wzięcia udziału w *Seksie z eks*.

— Dlaczego?

Naprawdę mnie zaskoczył. Odmawia, ot tak, po prostu mówi nie. Odmawia sobie możliwości wystąpienia w telewizji. Odmawia sobie możliwości uwiedzenia byłej dziewczyny. Odmawia mnie.

— Ponieważ wasz program jest zaprzeczeniem wszystkiego, w co głęboko wierzę. Bruka miłość, małżeństwo, wierność, stałość. Nie mogę tego zrobić.

Coś niesamowitego. Facet, który wygaduje takie rzeczy, musi być pedałem. Lecz ja wiem, że on nim nie jest. W duchu otrząsam się z zaskoczenia. Kurwa. Niech to szlag. Nie mam czasu na takie bzdety. Jestem zajęta. Żaden przeciętniak o wygórowanej opinii na swój temat nie będzie mi chrzanił sprawy. Patrzę na niego i biorę głęboki oddech.

— Ale dlaczego, Darrenie? Marcusowi na tym zależy — próbuję przemówić mu do rozsądku.

— To znaczy, że jest w błędzie.

— Chce ją sprawdzić.

— Lepiej by było, gdyby jej po prostu zaufał.

— Żartujesz, prawda?

— Wręcz przeciwnie, jestem śmiertelnie poważny.

Patrzę na zegarek. Muszę się pospieszyć. Czeka mnie jeszcze rozmowa z kolejnymi gośćmi. Pierwsze przesłuchanie w nowym roku i od razu przeszkoda. Gdybym była przesadna, wzięłabym to za omen. Szczęśliwie nie jestem.

— Darren, a może chodzi o pieniądze? Widzisz, problem w tym, że nie możemy naszym gościom proponować żywej gotówki, nie pozwalają nam na to prawnicy. Ale możesz liczyć na rekompensatę w formie wydatków na ubrania, podróże, rozrywkę itd. — Szybko obliczam w myślach, ile mogę mu zaproponować. Zwykle przeznaczamy sześćset funtów na jednego gościa.

— Pieniądze nie mają tu nic do rzeczy. — Darren zakłada ręce za głowę i opiera się wygodnie o oparcie kanapy.

— Możemy ci zaproponować osiemset funtów.

— Dla mnie to zwykła podłóżka.

— Tysiąc pięćset.

Kręci głową. I swobodnie zakłada nogę na nogę. Ależ ma je długie. Znowu muszę głęboko odetchnąć.

— Dwa tysiące.

Moja oferta pozostaje bez reakcji. W myślach dokonuję błyskawicznych obliczeń. Facet jest wyjątkowo inteligentny, wrażliwy, niesamowicie przystojny. Nawet na mnie — przez c h w i l ę — zrobił wrażenie. Przynajmniej dopóki nie zaczął się wygłupiać. Dzięki temu zrozumiałam, że tak naprawdę to zwykły palant. Na ogół jednak mało kto potrafi przejrzeć innych tak dobrze jak ja. Publiczność będzie nim zachwycona. Bale także. Ile?

— Cztery tysiące funtów.

Słyszę, jak Darren wstrzymuje oddech i uśmiecha się przyjaźnie. Jest zbyt przebiegły, by się obrazić. Jest bardzo pewny siebie. Potrząsa głową. Nachylam się w jego stronę. Moje wargi niemal dotykają jego ucha.

— To ostateczna oferta — szepczę.

Uśmiecha się. Przyglądam mu się baczniej i widzę, że nic nie jest w stanie zmienić jego postanowienia. Niech to wszyscy diabli.

— Co za kutas — mówię do Fi, wybiegając z pokoju. Nawet się nie oglądam, by sprawdzić, czy drzwi się za mną zamknęły.

— Też zauważyłam — stwierdza.

— Nie o tym mówiłam — syczę, patrząc na nią z wściekłością. — Tylko o jego manierach.

— Mnie wydał się wyjątkowo ujmujący — wyznaje z rumieńcem na policzkach.

Wzdycham z irytacją.

— A cóż jest takiego ujmującego w tym, że schrzanił nam cały plan? — gorączkuję się. — Uważasz, że Bale będzie zachwycony?

— Chyba nie.

Ruszam korytarzem w stronę kolejnych pokoi przesłuchań. Terminy mamy napięte do granic możliwości. Emisję *Seksu z eks* przenieśliśmy z poniedziałku na sobotę, przez co stres staje się nieomal nie do zniesienia. Jeszcze dzisiaj musimy uporać się z przesłuchaniami do obydwu epizodów, wybrać lokalizację scen kuszania. Jutro trzeba opracować strategię postępowania wszystkich uczestników. W środę i czwartek kręcimy, w piątek montujemy. Cały zespół regularnie pracuje w weekendy. Żadne zawałdki nie są nam potrzebne. Nie mamy czasu na pomyłki, wątpliwości czy błędy w ocenie.

— Kogo mamy w zapasie? Daj mi notatki. — Wyciągam rękę, czekając, by podała mi odpowiednie teczki.

— To znaczy... — Fi spogląda na mnie skruszona. — Nie mamy nikogo.

Zatrzymuję się gwałtownie.

— Słucham?!

— Mieliśmy. Ale już nie mamy. Mieliśmy w rezerwie pana P. Kenta, który miał się ożenić z panną L. Gripton, ale on odwołał ślub. Wydaje mi się, że udział w programie miał być pretekstem, żeby się jej pozbyć. Ale zdobył się na odwagę i załatwił sprawę bez naszego udziału. — Fi uśmiecha się radośnie, a ja mam ochotę ją zamordować. Nie mam na to czasu. Od kiedy aż tak zdumiała?

— Dla niego wspaniale. Gorzej dla panny Gripton, ale dla nas to totalna katastrofa. — Nie krzyczę. Zbyt jestem wściekła, żeby podnosić głos. — Zawsze mamy w rezerwie dwie opcje. Poproszę o tę drugą.

— Cóż, z tym także może być pewien problem — bąka Fi. — Przyszła panna młoda właśnie złamała nogę. Wątpliwe, czy z gipsem od kostki do uda będzie miała ochotę na jakiegokolwiek romanse.

— Co za pech — warczę.

— Prawda? Zdjęcia ze ślubu będą do niczego.

— Pech dla nas. Fi, wracaj do biura i przejrzyj wszystkie listy, co do jednego. Znajdź kogoś, z kim możemy się skontaktować jeszcze dzisiaj. Kogo mamy na przyszły tydzień? Może dałoby się przesunąć? Zajrzyj w każdą dziurę. Jeśli w listach nikogo nie znajdziesz, wejdź do Internetu i uruchom specjalną linię telefoniczną; ma być podłączona jeszcze dzisiaj.

Fi natychmiast rusza korytarzem.

— Fi, znasz kogoś, kto jest zaręczony? — wołam za nią. — Sprawdź w notesie. Ja sprawdzę u siebie.

Fi chce zaprotestować, ale nie ma czasu na żadne skrupuły.

— To ważne.

Patrzę na zegarek: jest wpół do szóstej. Wzywam biperem inspicjentkę. Jak zawsze będę musiała chwilę poczekać, zanim uda się zlokalizować Trixxie, jako że polityka zatrudniania inspicjentów w naszej firmie podlega strategiom ekonomicznym stosowanym przez Bale'a. Jakby zapominając, że inspicjent to podpora każdego programu i wobec tego musi być sprytny, chętny, energiczny i szybki, TV6 zatrudnia do tej pracy niedorozwinięte potomstwo naszych największych reklamodawców.

A to jedynie stanowi kolejny dowód, jakim wrednym lizydupem jest Bale. Z jednej strony obciąża swoim najważniejszym klientom, z drugiej płaci ich dzieciom najniższe z możliwych stawki, dobrze wiedząc, że ukochany tatuś i tak nie będzie oszczędził na kieszonkowym. Mija całe dziewięć i pół minuty, zanim Trixxie reaguje. Zapewne zatrzymują ją jakieś niezwykle ważne sprawy — musi na przykład zapalić skręta, poprawić makijaż albo zdecydować, jaki tym razem kawałek metalu powinna sobie wbić w brew. Gdy w końcu się pojawia, dochodzę do wniosku, że określenie „reaguje” nie jest zbyt adekwatne.

— Mam coś zrobić? — pyta nie dość, że beztrąsko, to jeszcze głupawo.

Ma dwadzieścia sześć lat, ale wygląda najwyżej na sześć, jest chuda jak anorektyczka, włosy nosi upięte w kretyńskie kucyki, a jej nogi pokrywają liczne siniaki. Nie nabawiła się ich jednak na placu zabaw; są one wynikiem NOPP — niezidentyfikowanych obrażeń po piwie. Uważa, że

nieograniczony udział w imprezach należy do zakresu jej obowiązków. Płacą jej grosze, ale nie jest warta nawet tyle. Mówię jej, że natychmiast ma iść do Darrena i zatrzymać go.

— Zatrzymać? — powtarza, przeciągając głoski. Widzę po jej tępej minie, że nie bardzo rozumie.

— Tak. Chce wyjść.

— Przecież nie może, ma w tym tygodniu kręcić i coś tam.

— Nie chce niczego kręcić — tłumaczę, wydobywając z siebie resztki cierpliwości, jakie jeszcze mi zostały.

— To niefajnie.

Wzdycham, aż nadto świadoma, wśród jakiej niekompetencji przychodzi mi pracować. Trixxie nie bardzo wie, jak ma pokonać ewentualne przeszkody.

— Przecież nie mogę go zmusić, żeby został wbrew swojej woli czy co tam.

— Wiem o tym. Musisz go jakoś przekonać, zrobić coś, żeby nie chciał wyjść.

— Przespać się z nim?

Przyglądam się stojącemu przede mną cudakowi. Nie, na coś takiego Darren się nie połasi. Myślę intensywnie. Darren musi wystąpić w programie. Wypadłby świetnie, a poza tym, co znacznie ważniejsze, przez niekompetencję Fi jest naszą jedyną szansą. Choć to trudne, muszę się go trzymać, przynajmniej dopóki nie znajdziemy innego rozwiązania.

— Nie, tego mu nie proponuj. Rozegramy to inaczej. Powiedz mu, że szanuję jego decyzję i chciałabym go później zaprosić na kolację; niech nie myśli, że chowam urazy, ple, ple, ple.

Temu nie odmówi. Jest na to zbyt dobrze wychowany.

— Ale z ciebie klasa babka — mówi zachwycona Trixxie. — Słowo. W końcu mogłabyś się wkurzyć czy co tam.

Nie będę jej tłumaczyć, że najchętniej posiekałabym Darrena na drobne kawałeczki i nakarmiła nimi lwy w londyńskim zoo za wszystkie kłopoty, jakie ściągnął na moją głowę. Wątpię, by Trixxie potrafiła to zachować dla siebie. Nie wiem nawet, czy jest w stanie właściwie przekazać Darrenowi wiadomość ode mnie. O jeszcze jednej rzeczy nie wspominam. Chociaż Darren doprowadził mnie — co chyba oczywiste — do białej gorączki, udało mu się także niezwykle mnie zafascynować. Odmówił. I to mnie. I gdy mówił „nie”, z całą pewnością nie miał na myśli „mimo wszystko tak” czy chociażby „może”. To było zdecydowane i ostateczne „nie”. Choć bardzo bym chciała, jakoś nie mogę myśleć o nim jako o moralnym dupku, którym niewątpliwie jest.

Przeprowadzam rozmowy z dwoma kolejnymi kandydatkami do programu w przyszłym tygodniu, co pozwala mi nieco ochłonać. Podejrzewam, że facet, który ma zostać poddany próbie, ulegnie. Faceci na ogół znacznie łatwiej dopuszczają się zdrady, co z kolei wcale nie oznacza, że

kobiety są z natury wierniejsze, po prostu ich zaangażowanie w przygotowania do ślubu jest zazwyczaj na tyle duże, że dwa razy się zastanowią, zanim zaryzykują, że do wielkiego dnia nie dojdzie. Patrę na zegarek — jest kwadrans po ósmej. Dzwonię do Fi, obawiam się bowiem, że nie uda jej się w tak krótkim czasie znaleźć jakiegoś zastępstwa. Grożę, przypochlebiam się, sięgam nawet po przekupstwo, byle tylko zgodziła się pracować całą noc. Mówię, że może sobie policzyć nadgodziny i wziąć do pomocy, kogo uzna za stosowne.

— A ty co zamierzasz zrobić? — pyta.

— Zabieram Darrena na kolację. Po drugiej stronie zapada cisza.

— Przykra sprawa — odzywa się w końcu. — Ale ktoś musi to zrobić.

— To naprawdę służbowe wyjście — przekonuję ją. — I pewnie wynudzę się jak mops. — Chciałabym wierzyć w to, co mówię, ale moja kobiecość zupełnie się z tym nie zgadza. — Nie mam zamiaru męczyć się z nim dłużej, niż to absolutnie konieczne, ale program *m u s i m y* mieć. Spróbuję go przekonać, żeby spojrzął na to z naszego punktu widzenia.

— Bardzo chętnie odwalę to za ciebie — zgłasza się Fi na ochotnika, z entuzjazmem, którego jeszcze przed chwilą nie dało się u niej zauważyć.

— Jesteś za mało przebiegła. Poza tym masz ochotę się z nim przespać.

— Podobnie jak ty.

— Ale ty mogłabyś się zaangażować emocjonalnie. A mnie się to nigdy nie zdarza. — Na to nie ma żadnych argumentów. — Myślę, że to ma coś wspólnego z jego pochodzeniem — ciągnę. — Nie chce tego zrobić, ponieważ wie, co z tego wyniknie: ktoś może zostać zraniony i upokorzony. Co za bezsens. Uważam, że trzeba mu pokazać, jak chybione i przesadzone jest jego poczucie przyzwoitości. Mam zamiar wyjaśnić mu, że nasz program ma wpływ nie tylko na tych, którzy w nim występują. Reklamodawcy zostaną narażeni na straty, widzowie będą zawiedzeni, a ty i ja stracimy pracę.

Do tego, mam nadzieję, nie dojdzie, ale Bale jest kompletnie nieprzewidywalny. Boli mnie głowa. Uciskam dłońmi skronie.

Tak bardzo pragnę ujrzeć Darrena jeszcze raz. Ale wyłącznie dlatego, że muszę zrobić program. Uważam, że przesadza z tą swoją moralnością. Podoba mi się to. Cholernie wkurza.

— Fi?

— Tak?

— W co mam się ubrać?

Umawiamy się w Oxo. Trixxie udaje się zarezerwować restaurację, a nie na przykład zamówić stanik. Dobra dziewczynka. Miękkie, wyściełane skórą krzesła, karta win pełna wymyślnych nazw, biało-niebieskie lniane obrusy, ogromne eleganckie kieliszki do wina, zaprojektowane

tak, by nawet dziesięcotonowy mastodont poczuł się przy nich kruchy i maleńki — chociaż z tym może dziewczyny mają problem — muszą zrobić na nim wrażenie.

Zjawiam się w restauracji przed nim. Jest dziewiąta wieczorem i w lokalu roi się od ludzi radośnie rozpoczynających sercowe podróże. Około drugiej nad ranem ulice zapelniają się pogrążonymi w żalu ofiarami. Podobne sceny rozgrywają się w każdej londyńskiej knajpie.

Na dzisiejszy wieczór włożyłam czarny sweter z wywijanym golfem i sięgającą kolan czarną wełnianą spódnicę. Całości dopełniają czarne trapery, tak masywne, że moje nogi wydają się w nich chudziutkie jak zapalki. Uznałam, że taki strój bardziej odpowiada gustom Darrena niż głębokie dekolty i spódniczki wysoko odsłaniające uda. Strój pełen prostoty, aczkolwiek aktualnie zaliczam go do najbardziej seksownych w swojej kolekcji. Trzymam go w biurze, może nie konkretnie na tę właśnie okazję, ale na podobne. Problem w tym, że nie bardzo potrafię zdefiniować spotkanie z Darrenem. Wiem tylko, że chcę go zdobyć, przekonać, przeciągnąć na swoją stronę. Muszę zrobić program.

Ale.

Czy też raczej i. Tak więc, chociaż wciąż nie wiem dlaczego, wiem na sto procent, że pragnę ujrzeć go znowu.

Widzę, jak wchodzi, i cieszy mnie, że on także się przebrał. Ma na sobie jasnoszary garnitur i białą koszulę z miękkim kołnierzykiem, rozpiętym pod szyją, wspaniale kontrastującą z jego oliwkową skórą. Wygląda bosko. Pewnym krokiem podchodzi do stolika i nachyla się, by mnie pocałować.

Pocałować.

W policzek.

O mało nie przewracam butelki z wodą mineralną, którą zamówiłam, co wielu uznałoby za wyjątkowy brak opanowania. W miejscu pocałunku pali mnie skóra. Pewnie widnieje na niej znak jak u ocechowanego zwierzęcia. Muszę wykrzesać z siebie odwagę i opanowanie, by się na niego nie rzucić. Boże, w środku cała wręcz płonę. Poczynając od ud, poprzez kiszki, płuca aż do gardła ogarnia mnie ogień. Co się ze mną dzieje? Nie po raz pierwszy facet pociąga mnie seksualnie, ale tak jak teraz... Tak jak teraz nie czułam się nigdy dotąd.

Nie dam się zastraszyć.

Póki będzie obrzydliwie nudny albo arogancki, nic mnie nie ruszy.

Niestety, zdążyłam się już przekonać, że ani jedno, ani drugie tym razem nie wchodzi w grę.

Siada i uśmiecha się do kelnerki. Biedulka, o mało nie zemdląła. Darren zamawia wino, pytając mnie, na co mam ochotę, ale decyzję podejmuje on.

— Bardzo się cieszę, że zaproponowałaś to spotkanie, Cas. Trochę mnie zaskoczyłaś, bo nie spodziewałem się, że tak dobrze przyjmiesz mój punkt widzenia. Wasza „inspicjentka” — gdy wypowiada to słowo, nie mam wątpliwości, że ujął je w cudzysłów, podobnie jak zwykle ja to robię — poinformowała mnie, że chciałabyś zaprosić mnie na kolację. Na to nie mogę się zgodzić. Doskonale zdaję sobie sprawę, że swoją odmową naraziłem cię na kłopoty, dlatego nalegam, abym to ja płacił.

— Ale ja mogę wpisać to w koszty — protestuję bez przekonania. Zdumiewa mnie moja słabość, tak rzadko mi się zdarza. Ostatnio przytrafiła mi się, gdy mama przyuczała mnie do korzystania z toalety. Darren jednak zdaje się łamać wszelkie reguły. Nie jest ani przestraszony, ani przytłoczony moim towarzystwem, nie zachowuje się też buńczucznie. Wszyscy mężczyźni, z którymi dane mi było do tej pory się spotykać, zawsze zaliczali się do którejś z tych kategorii.

— Tak, wiem, ale naprawdę nie chcę czerpać żadnych korzyści z twojego programu, a poza tym — tu milknie i unosi jedną brew — naprawdę mam ochotę postawić ci kolację.

Mówi cichym, aksamitnym głosem i aby nie uronić ani jednego słowa, muszę przysunąć się bliżej. Nachylam się i czuję, jak bosko pachnie. Gdybyśmy się spotkali w innych okolicznościach, zastanawiałabym się, czy go nie przelecieć.

Nie, nawet bym się nie musiała zastanawiać.

To jednak jest bez znaczenia, zważywszy na to, że sprawa w tej chwili dla mnie najważniejsza wcale nie jest zabawna. Na przygotowanie następnego programu zostały mi tylko cztery dni.

Chyba używa wody Issey Miyake.

Aż nadto dobrze zdaję sobie sprawę, że przewaga sił wcale nie jest po mojej stronie. Po raz kolejny upominam samą siebie — przyszedłam tu, bo muszę przekonać go do wzięcia udziału w programie. I nawet jeśli jest obezwładniająco boski, to co z tego?

Jest obezwładniająco boski.

Udaję, że z zainteresowaniem studiuje menu — do wyboru mam pieczoną na węglu drzewnym kałamarnicę nadziewaną chilli lub barwenę w sosie z białego wina, czosnku i pietruszki. Nie, tylko nie czosnek. Naprawdę najwyższy czas, bym przeszła do sedna sprawy.

— Dlaczego chcesz mi postawić kolację? Rumieni się lekko i spogląda mi prosto w oczy.

— Chyba każdy mężczyzna tego chce. Jesteś oszałamiająca.

Trafiony zatopiony.

Dreszczyk zadowolenia przenika mnie do szpiku kości. O tak, słyszałam to już wiele razy, i zapewne nie raz jeszcze usłyszę, nigdy jednak podobna deklaracja nie podziałała na mnie w ten

sposób. Nigdy tak mnie nie ucieszyła. Ani nie przerażyła. Jego bezpośredniość stawia mnie w wyjątkowej sytuacji. W zamian postanawiam odpłacić podobną szczerością.

— Posłuchaj, Darrenie. Karty na stół. Nie przyszedłam tu w celach towarzyskich. Przyszedłam, żeby namówić cię do wystąpienia w programie. Jesteś mi potrzebny. Bardzo to dla mnie kłopotliwe, ale zmuszona jestem przyznać, że muszę mieć ten program i muszę mieć w nim ciebie. — Przerwywam, żeby zaczerpnąć tchu. Podają nam pieczywo. Darren milczy i zastanawia się nad wyborem chleba. Decyduje się na orzechowy. Choć z wysiłkiem, idę w jego ślady.

— Przykro mi, że nie chciałaś zjeść ze mną kolacji.

— Nie powiedziałam...

— Nie wystąpię w twoim programie.

— Dlaczego?

— Ponieważ gdybym to zrobił, nigdy już bym nie mógł spokojnie spojrzeć na siebie w lustrze. Odwróciliby się ode mnie rodzice, rodzeństwo, przyjaciele, siostrzeńcy i siostrzenice.

Nie wspomniał o dziewczynie.

— Dlaczego?

— Ponieważ frymarczysz destabilizacją wartości rodzinnych.

Wzdycham. Ileż to już razy musiałam tego wysłuchiwać? Nie wiadomo dlaczego ludzie dali sobie wmówić, że odpowiedzialność za rozpad rodziny ponosi telewizja. W ten sposób unikają odpowiedzialności. To nieuczciwe.

— Jest miliard powodów, dla których rodzina boryka się z problemami. Telewizja jest tylko jednym z nich — przekonuję go. — Przeprowadzono niezliczone badania, które miały na celu ocenić wpływ, jaki telewizja wywiera na społeczeństwo, i cóż się okazuje? Psychologowie, specje od edukacji, moraliści jakoś nie potrafili dojść do tego, czy wywiera jakikolwiek wpływ. Dlaczego więc żądasz, by taka płotka jak ja znała odpowiedź? — Staram się wypaść bardzo dziewczęco i spolegliwie.

— Lansujesz stopniowy upadek przyzwoitości. Nawołujesz do trywializacji miłości i seksu. — Gwałtownie smaruje swoją kromkę masłem. Ma cudowne dłonie. Takie silne. Sięgam po kieliszek z winem.

— Darren, to się nie zaczęło ode mnie. Pocztówki Blackpool wymyślono dawno temu, kiedy o telewizji nikomu nawet się nie śniło.

— To znaczy, że zgadzasz się, aby twój program był w złym guście, nieprzyzwoity i przyczyniał się do erozji ogólnie obowiązujących norm?

Przerwywa nam kelnerka, która zjawia się, by przyjąć zamówienie.

— Gust to sprawa względna. Zmienia się w zależności od mody. Każde kolejne wydanie „Vogue” uczy nas od nowa, co to znaczy „w dobrym guście”. Przez przyzwoitość z kolei rozumie poszanowanie zasad kulturowych i religijnych, to znaczy wysyłanie kartek z kondolencjami, kiedy jakiś kochany staruszek postanowi kopnąć w kalendarz. — Wracam na znajome tereny, sarkazm. — Czy normy lokują się gdzieś między nimi? Czy normą jest ustąpienie miejsca ciężarnej w metrze, czy też niekorzystanie z publicznych środków transportu w ogóle? I kto te normy ustala? Prawo? Rada do spraw Telewizji? Opinia społeczna? Ty? Czy ferujesz w tej dziedzinie wyroki, Darrenie? — Zaczynam mówić podniesionym głosem. Doprowadził mnie do wściekłości, ale nie mogę sobie pozwolić na atak hysterii; za dużo tu ludzi. Zniżam więc głos, próbując nad sobą zapanować. — Zawsze unikałam rasizmu, nigdy nie traktowałam ułomnych z politowaniem. Nie lansujemy przemocy, słowa wulgarne zagłuszamy i nie pokazujemy samego aktu.

— Cóż za wspaniałomyślność.

Trudno mi ocenić, czy mówi poważnie. Oddycham głęboko. Nie w takim kierunku miała się nasza rozmowa rozwinąć. Zmierzymy dokładnie w przeciwną stronę, a przecież to nie Issie siedzi za sterami. Chciałam go urzec, oczarować, poflirtować, pokokietować, co na ogół odnosi pożądany skutek. Zamiast tego zachowuję się jak wściekła starsza siostra Huna Attylli. Najbardziej zaś zaskakujące jest dla mnie to, że naprawdę zależy mi, aby ten facet zrozumiał mój punkt widzenia. I nie tylko dlatego, żeby zgodził się na udział w programie; chcę zaskarbić sobie jego szacunek. A flirtując z nim, nie mam co na to liczyć. Czy nie za dużo wypłam? Oboje milkniemy, sącząc wino. To Puligny-Montrachet, rocznik '96. Bardzo wytrawne.

— Niezłe wino, wybrałaś doskonale — mówię.

— Dziękuję. — Nie udaje mi się jednak odwrócić jego uwagi, dalej draży temat. — Telewizja wywiera nieoczekiwany i nie spotykany dotąd wpływ. Nic nie może się z nią równać od czasu wynalezienia koła.

Ktoś nagle wrzucił mi do majtek Alka-Selzer. Choć jego argumenty wcale mi się nie podobają, cieszę się, że jest świadomy znaczenia telewizji. Niewielu ludzi się nad tym zastanawia, a mnie, jako pasjonatce swojego zawodu, wyjątkową radość sprawia spotkanie kogoś mającego na ten temat swoje zdanie, nawet jeśli nie jest ono zbyt pochlebne. Z entuzjazmem wdaję się z nim w ożywioną dyskusję, a napięcie — intelektualne, emocjonalne, seksualne — jest wręcz namacalne. Darren nie odrywa ode mnie wzroku; wwierca się we mnie tymi swoimi boskimi oczami i choćbym nie wiem jak się starała, nie jestem w stanie zmusić go, by przestał.

— Na pewno rozumiesz potęgę telewizji i w związku z tym musisz zdawać sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką ponosisz. Twoje programy wyrażają świat, w którym żyjemy. Pokazujesz w nich, że zdrada jest OK, niewierność jest czymś najzupełniej naturalnym.

Siedzimy naburmuszeni i milczący. Zasłuchani w pobrzękiwanie butelek i sztućców, w szum głosów niemożliwych do odróżnienia — z wyjątkiem tych dochodzących z sąsiedniego stolika, gdzie jakiś nieszczęśnik stara się przekonać dziewczynę, by go nie rzucała. Kelnerka przynosi nam zamówione dania. Powoli jem zupę z marchwi i kolendry. Specjalnie za nią nie przepadam, ale była pierwsza w menu, a ja nie miałam czasu zastanawiać się nad wyborem. Darren ściga po swoim talerzu cieniuteńkie kawałeczki cukini. Chyba, podobnie jak ja, nie jest specjalnie zainteresowany jedzeniem. Panujące między nami milczenie jest ciężkie jak chmura gradowa.

— A poza tym co porabiasz, Cas?

Szokuje mnie tą nagłą zmianą tematu. Poza tym? Poza tym? Ee. Zmęczenie tak mnie otępia, że nie potrafię wymyślić niczego błyskotliwego, uwodzicielskiego czy choćby interesującego, nie pozostaje mi więc nic innego jak prawda.

— Mam przyjaciół, Josha i Issie, siłownię i facetów. Och, i mamę — w niedzielę.

Darren parska śmiechem.

— Nic niekonwencjonalnego, jak zbieranie znaczków czy zapasy w błocie?

— Tego ostatniego kiedyś próbowałam — mówię z uśmiechem.

Znowu się śmieje.

— Opowiedz mi w takim razie o mężczyznach.

W moich łędźwiach budzi się delikatne pulsowanie. Czyżby ze mną flirtował? Błagam.

— Dzielę ich na trzy kategorie. Tych, z którymi bym się przespała, tych, z którymi za nic bym tego zrobiła, i Josha.

— Z którymi więc byś się nie przespała? Flirtuje ze mną!

A może próbuje mną manipulować? Czemu nie potrafię odgadnąć? Nigdy nie miałam problemu z rozszyfrowaniem faceta.

— Z chłopakami i mężami moich koleżanek, z brzydkimi albo głupimi, i z tymi, z którymi już spałam. — Delikatnie kiwa widelcem, dając mi znak, że słucha z zainteresowaniem, i prosi, żebym kontynuowała. — Faceci moich koleżanek są bezpieczni, bo chociaż świat tonie w powodzi zdrad i niewierności, nie robię tego moim przyjaciołom. — Jest to szczerą prawdą, mogąca uchodzić za coś w rodzaju mojego kodeksu moralnego. — Poza tym oni mnie i tak nie ruszają.

Ponownie unosi nieco brew. Jakie to banalne i — co tu dużo mówić — nieeesaaamooowiicie seksowne.

— Tylko nie myśl sobie, że ci, z którymi chodzą moje kumpele, są mało atrakcyjni, wręcz przeciwnie. Chodzi o to, że mówimy sobie z koleżankami w s z y s t k o . A kiedy dowiem się, co ich faceci wyczyniają ze szczotką klozetową, jak obgryzają paznokcie u nóg, puszcza ją pod kołdrą baki, a potem pod nią włożą, żeby powąchać, ich atrakcyjność seksualna dla mnie zdecydowanie spada. — Darren słucha z uśmiechem, ale ja jestem jak najbardziej poważna. — Zbyt bliska wywołuje w końcu obrzydzenie. Powód, dla którego nie sypiam z facetami brzydkimi czy głupimi, jest chyba oczywisty. Faceci, z którymi już spałam, przestają mnie pociągać. Rzadko zdarza mi się iść z kimś do łóżka dwa razy. — Milknę. Ciekawe, czy zdążył się zorientować, że z definicji zalicza się do kategorii mężczyzn, z którymi bym się przespała?

— Wygląda na to, że wszystko dokładnie sobie przemyślałaś. — Kiwam potakująco głową. Co tylko sprawia, że uśmiecha się jeszcze szerzej. Ironizuje? — Czy mogę cię o coś zapytać?

— Pytaj, a ja zdecyduję, czy ci odpowiem.

Z doświadczenia wiem, że pytanie zdradza, jakiej odpowiedzi pytający oczekuje.

— Czy zdarzyło ci się przeżyć, jak to się mówi, nieszczęśliwą miłość? — Rumieni się lekko. — Pytam, bo zastanawia mnie, skąd u ciebie takie wyrachowane podejście do miłości.

Postanawiam, że tym razem się nie obrażę.

— Oczywiście, że mi się zdarzyło. Jeśli kiedyś spotkasz kobietę, która nie przeżyła nieszczęśliwej miłości, sprawdź, czy przypadkiem nie ma za uchem wszytego elektronicznego chipa. — To moje stałe hasło. Uśmiecham się i biorę do ust spory kęs jedzenia. Chciałabym wiedzieć, czy podniecają go kobiety o wilczym apetycie.

— Kto to był? — Stare jak świat pytanie, które wszyscy faceci zadają. Odpowiedź na nie mam doskonale przeciwiczoną.

— E, mój pierwszy kochanek — blefuję. Widelec z jedzeniem zatrzymuje się w połowie drogi między talerzem a moimi ustami.

Daję w ten sposób do zrozumienia, że wspomnienie jest tak bolesne, iż na chwilę odbiera mi apetyt. Mężczyźni lubią wierzyć, że kobiety są zbyt wrażliwe, by ich raz złamane serce mogło zagoić się całkowicie, co zgadza się z przekonaniem, że jesteśmy niczym delikatne kwiaty.

— Czy to był dłuższy związek?

Te nie kończące się nigdy pytania. Waham się.

— Kilka tygodni — odpowiadam w końcu.

— Kilka tygodni — powtarza za mną tonem, w którym pobrzmiwa niedowierzenie wymieszane z wesołością. Tego w moim scenariuszu nie ma. Miał być poruszony intensywnością moich uczuć. — Mówiłaś, że był twoim pierwszym kochankiem. — Zdaje się nie do końca rozumieć. — To musiało być...

— Bardzo dawno temu. Owszem. Nie radzę sobie z rozczarowaniem. Jestem bardzo wrażliwa.

Patrzy na mnie. Dopiero co się poznaliśmy, ale oboje wiemy, ile w tym nieprawdy. Grzeczność jednak nie pozwala Darrenowi wytknąć mi jej otwarcie.

— Przecież to niemożliwe, żebyś wciąż cierpiała z powodu czegoś, co wydarzyło się dziesięć lat temu i trwało zaledwie kilka tygodni.

Słuszna uwaga. Spotkałam się z nią po raz pierwszy, a to oznacza jedynie, że ci faceci, którym dotąd o tym mówiłam, po prostu mnie nie słuchali.

— Co naprawdę cię zraniło?

Pytanie wyjątkowe i nie mam na nie gotowej odpowiedzi.

Spoglądam na Darrena i wyraz jego twarzy zdumiewa mnie jeszcze bardziej niż pytania, które zadaje. Wydaje się autentycznie zaniepokojony, tak jak ja jestem autentycznie zakłopotana. Co mam mu powiedzieć? „Mój pierwszy facet mnie wkurzał, ale tak naprawdę wcale nie złamał mi serca. Jestem po prostu zwykłą suką”. Rozwiązanie zdecydowanie kiepskie. Cóż z tego, że powiedziałabym prawdę? Nachyla się ku mnie. Jest teraz bardzo blisko. Długie włosy opadają mu na oczy i choć nie dotykają mojej skóry, czuję, jak muskają mi grzywkę. W moich majtkach wybucha pożar, w gardle mi zasycha, a piersi sztywnieją i unoszą się do góry, pewnie w nadziei, że nachyli się jeszcze bardziej i zaczną je całować. Witaj, podniecenie seksualne. Potrząsam głową.

— Hmm? — zachęca mnie.

— Co? — Umysł mam wyprany ze wszystkiego i nie pamiętam nawet, o co mnie pytał. Ma cudowne oczy. Brązowe. Głęboko, intensywnie brązowe, jak jesienne liście usypane pod drzewem. Nagle widzę, że jest zmieszany.

— Wybacz, nie powinienem był o to pytać. Cóż... — Nerwowo szuka tematu, by podjąć przerwana rozmowę. — Opowiedz mi o Joshu.

Przyjmuję to z ulgą.

— Josh to jedyny mężczyzna, z którym łączy mnie całkowicie platoniczna przyjaźń. Znamy się od dziecka. Wie o mnie tyle, że każdy inny układ byłby dla mnie zbyt ryzykowny. O wszystkim mógłby opowiedzieć prasie, kiedy będę już sławna i bogata.

— O tym właśnie marzysz? O sławie?

— Jak chyba każdy. Chociaż z drugiej strony jestem pewna, że Josh nigdy by tego nie zrobił. Znamy się jak łyse konie, bywa, że się kłócimy, oboje mamy swoje dziwactwa i chociaż miłość platoniczna potrafi być uciążliwa, mogę bez cienia wątpliwości powiedzieć, że się z Joshem wprost uwielbiamy. Ufamy sobie i nigdy byśmy się nawzajem nie skrzywdzili. — Milknę, by zastanowić się nad tym, co właśnie powiedziałam.

— Może właśnie dlatego, że tak długo się znamy, kłócimy się i czasem jesteśmy znużeni naszą platoniczną miłością. — Uśmiecham się do Darrena. Nagle ogarnia mnie zażenowanie. Czemu ja to wszystko mówię? Opowiadam mu o sobie. Jestem szczerą i bezpośrednią. Co mnie opętało? Nie znoszę, kiedy ktoś wie o mnie więcej niż ja o nim. Nigdy się tak nie zachowuję. Staram się tę nagłą zażyłość obrócić w żart. — A poza tym mam jedną jego fotografię, niezwykle krępującą, na której ma na sobie podwiązki i baskinkę. Twierdzi, że szedł wtedy na bal przebierańców, ale ja mu nie wierzę. Darren zaczyna się śmiać.

Rozmowa toczy się ostro, roi się w niej od błyskotliwych ripost i jest szczerą. Wypiliśmy już jedną butelkę wina i prawdę powiedziawszy, drugą — do połowy. Poruszamy najróżniejsze tematy. Z przeprowadzonego wcześniej rozpoznania wiem, że jest chirurgiem drzewnym, co w praktyce oznacza, iż pracuje na Uniwersytecie Londyńskim, gdzie ma gabinet i laboratorium, ale także wiele podróżuje, wszędzie tam, gdzie chore drzewo potrzebuje akurat jego pomocy. To takie niezwykle — bardzo indywidualne — a jednocześnie do przewidzenia. Jest wręcz stworzony do takiej pracy. Wyobrażam sobie, jak pracuje na świeżym powietrzu, posługując się tymi swoimi niesamowitymi rękami. Nasuwa mi się niezwykle, nieco krępujące skojarzenie — widzę nas oboje tarzających się po parku. Widzę siebie, jak ze zmierzwionych włosów wyciągam liście, a z potarganego ubrania usuwam gałązki. Darren nie może wiedzieć, co za bzdury roją się w mojej głowie, bo i skąd, ale kiedy patrzy na mnie w taki sposób, zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem jednak moje marzenia tylko dla dorosłych nie są dla niego tajemnicą. Gorączkowo szukam w myślach czegoś, co mogłabym powiedzieć.

— Nigdy dotąd nie znalazłam żadnego chirurga drzewnego.

Znowu się śmieje. Nie jest to chyba najmądrzejsza uwaga, jaką udało mi się zrobić. Próbuję dalej.

— Stąd jest cudowny widok na rzekę, nie uważasz?

— Owszem, to jeden z moich ulubionych budynków w Londynie — kiwa głową Darren.

— Naprawdę? — Strzał w dziesiątkę.

— Tak, widok jest oszałamiający, jak sama zauważyłaś, a poza tym podoba mi się murarka.

— Powiedziałaś jeden z twoich ulubionych budynków. A inne? — Jak by mnie to cokolwiek obchodziło.

— W pewnym sensie najbardziej lubię Muzeum Historii Naturalnej. Wszystko mi się w nim podoba. Jak i dlaczego został zbudowany. Konstrukcja, murarka, oświetlenie, to, co znajduje się w środku, pomysł.

Jak można się tak podniecać jakimś tam budynkiem pełnym śmiecia? Na dodatek takiego, którego nie można nawet kupić.

— A który budynek ty lubisz najbardziej? — pyta.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. I chyba nikt mnie o to nigdy nie pytał. — Myślę przez chwilę. — Bibendum. No wiesz, ta restauracja w południowym Kensington.

— Dlaczego?

Mogłabym mu powiedzieć, że uwielbiam witrażowe okna i niezwykle kafelki zaprojektowane przez François Espinasse w 1911 roku, ale nie chcę, żeby odniósł wrażenie, że mimo wszystko nie jestem aż taka płytka.

— Jest jak Golden Gate. Jak wrota do sklepowego rajku — Josepha, Paula Smitha i Conrana. A poza tym podają tam wyśmienite ostrygi. — Uśmiecham się z wyższością, co znowu prowokuje go do śmiechu.

Wieczór płynie, a ja wciąż jeszcze nie zaczęłam tak naprawdę rozmawiać o tym, co dla mnie najważniejsze — żeby jednak zdecydował się wziąć udział w programie. Martwi mnie ta moja beztroska, powinnam się trzymać planu. Pora wracać do sedna sprawy, choć nie przychodzi mi to łatwo.

— Dlaczego ty i Claire rozstaliście się?

Naprawdę tego nie rozumiem. Darren jest inteligentny, przystojny i obrzydliwie wręcz seksowny. Jak dotąd, znam jedynie wersję Marcusa, a nie jest on źródłem zbyt wiarygodnym.

O wszystkim dowiedział się od Claire, która przedstawiła mu wersję korzystną dla siebie, on zaś pod wpływem neurotycznej paranoi odpowiednio ją sobie upiększył. Jeżeli teraz uda mi się wydusić z Darrena prawdziwą przyczynę ich rozstania, będę mogła tak wykorzystać fakty, by jego udział w programie stał się wręcz konieczny.

A poza tym interesuje mnie to osobiście.

— Staliśmy się ofiarami wolnego związku.

— Nie rozumiem?

— Jak to ujęłaś? Zbyttna bliskość wywołuje obrzydzenie? Cóż, w naszym konkretnym przypadku była to irytacja. Lubiliśmy się, a nawet kochaliśmy bardzo, kiedy jednak" zamieszkaliliśmy razem, zaczęło się coś psuć.

— To znaczy? Uważaliście, że wasze bycie razem jest czymś oczywistym? Zaczęliście się lekceważyć?

— Och, aż tak dramatycznie nie było. Jej się nie podobało, że trzymam filmy w lodówce. Ja miałem wrażenie, że jej kosmetyki mnożą się na stole. Ona nie znosiła Sky Sport.

Oszołomiona, nie wiem co powiedzieć.

— Nienawidzę oper mydlanych.

Jestem przerażona. Przez co ta biedaczka musiała przejść.

— Lubię czytać w łóżku. Ona musi natychmiast zgasić światło. I tak to narastało. Przestali jej odpowiadać moi przyjaciele. Ja dostawałem szału, kiedy w wannie znajdowałem jej włosy. Ją wkurzał mój śmiech. Potem w ogóle zacząłem ją wkurzać, podobnie jak moja matka. O tym wszystkim przypomniałem sobie dopiero dzisiaj, po rozmowie z Marcusem. Powiedział mi, że Claire poszła na zakupy, a ja wiedziałem, że będzie kupować wielkanocne jajka, chociaż jest dopiero styczeń. Zawsze była koszmarnie zorganizowana. Nie mogłem tego znieść. Nie miała w sobie za grosz spontaniczności. Tak więc rozstaliśmy się, ponieważ zupełnie nie pasowaliśmy do siebie. Nie jesteśmy razem, bo się nam nie układało i nie powinniśmy być razem. Dlaczego inni się rozstają? Łatwo wspominać stary związek i idealizować go.

Bogu niech będą dzięki. Przecież na tym właśnie opiera się cały mój program.

— Nigdy wcześniej nie spotkałem tak idealnej dziewczyny, jak Claire, co jednak nie zmienia faktu, że nie była idealna w stu procentach.

— Nawet dziewięćdziesiąt procent to wystarczająco dużo.

— Trochę jej do tego brakowało.

— Osiemdziesiąt pięć procent? — podsuwam.

— Raczej jakieś sześćdziesiąt pięć. — Robi mi się ciepło w środku. Ma rację, sześćdziesiąt pięć procent to dość dalekie od ideału.

Jeśli się w ten ideał wierzy. Ja nie wierzę na pewno.

— To znaczy, że skończyłeś z nią na dobre? — Wyczekuję odpowiedzi z przesadną niecierpliwością. I nienawidzę się za to.

— Tak.

— W takim razie kto może ucierpieć, jeżeli wystąpisz w programie? Nie możesz po prostu spróbować, żebyśmy się przekonali, czy byłaby skłonna ulec i nie posunąć się dalej?

Usta Darrena wykrzywają się w kpiącym uśmiechu. Chyba nie myśli, że żartuję?

— Ty nic nie rozumiesz, prawda, Cas? Twój program to farsa. Ale pomijając nawet to, ja ją kiedyś kochałem. Dlaczego teraz miałbym ją krzywdzić? Zresztą wątpię, bym zdołał ją uwieść...

— Och, myślę, że z tym nie miałbyś problemu — przerywam mu z entuzjazmem.

— Wielkie dzięki. — Po raz pierwszy tego wieczoru widzę u niego tak promienny uśmiech. Chyba w ogóle po raz pierwszy.

Arogancki gnojek!

— To nie miał być komplement — mamrocę ponuro do swojego talerza.

On, niewzruszony, uśmiecha się jeszcze odrobinę szerzej.

— Tak czy owak, dziękuję.

Jestem wściekła, ale udaję opanowanie, wodząc palcem po obrzeżu kieliszka tak delikatnie, jakby to był nowiuteński kaszmir.

— Skoro jesteś przekonany, że Claire wytrwa, to program tylko wyjdzie jej i Marcusowi na korzyść. Mieliśmy przed świętami parę, która wyszła z tej próby zwycięsko.

— Owszem, czytałem o tym. TV6 zrobiła z ich ślubu medialną fetę — powiada Darren z wyraźnym obrzydzeniem. — Założę się, że działało to cuda dla waszej oglądalności. Cas, czy ty mnie w ogóle nie słuchałaś? Tu nie chodzi o to, czy ona mnie zechce, czy też odrzuci. Wszystko, co ma jakiś związek z *Seksem z eks*, jest obrzydliwe. Jeżeli uważasz, że musisz „sprawdzić” kogoś, kogo teoretycznie kochasz, to znaczy, że coś jest nie tak z waszym związkiem. Nie chcę stawiać Claire, ani w ogóle nikogo, w niezręcznej sytuacji. Nie chcę, żeby wiedziała, jak niepewnie czuje się jej narzeczony. I nie mam ochoty wywlekać na światło dzienne tego, co nas łączyło, nawet po to, żeby dostarczyć rozrywki waszym — ilu, mówiłaś? — ośmiu przecinek dziewięciu milionom widzów. Kochałem ją co w dalszym ciągu jest dla mnie sprawą ważną i osobistą.

On w to wszystko wierzy. Patrzę na ten siedzący naprzeciwko mnie, wysoki na metr dziewięćdziesiąt okaz czystego seksu i nie rozumiem go ani za grosz. Chyba uciekł z jakiejś innej epoki, nieco bardziej dystyngowanej, w której zaufanie coś jeszcze znaczyło.

Tylko jaki w tym sens?

Może powinnam wrócić do strategii, o której myślałam na początku.

— Posłuchaj mnie, Darrenie. Nasz program to nie tylko dostarczanie rozrywki widzom. W grę wchodzi także inne, poważne kwestie.

— Na przykład?

— Moja praca, praca trzydziestu pięciu innych osób, dochody z reklamy.

— Bardzo mi przykro.

Kiwa na kelnerkę i prosi ją o rachunek. Pora się zbierać. Bardzo jestem rozczarowana. Co mnie obchodzi, że restauracja jest prawie pusta; nie mam jeszcze ochoty wychodzić. Myślę o tym, co również przypadnie, jeżeli program się nie ukaże — o mojej premii, uzależnionej od wyników oglądalności. Chyba jednak nie najmądrzej byłoby o tym wspominać. Wzdycham zrezygnowana. Spokojny i zdecydowany sposób, w jaki przedstawia mi swoje zdanie, nie pozostawia cienia wątpliwości, że dzisiaj już go nie zmieni. I trudno zaprzeczyć, że w pewnym sensie jest w tym jakaś moralność, choć dla mnie nieco koszmarna. Nigdy więcej nie spróbuję zaprosić do swojego programu żadnego myślącego mężczyzny. Lepiej trzymać się neandertalczyków.

Wychodzimy z restauracji i ruszamy w stronę metra, po drodze mijając National Theatre, Royal Festival Hall, Hayward Gallery, Queen Elizabeth Hall. Mimo że jest styczeń, sweter klei mi się do pleców od potu. Mam nadzieję, że nie złapałam gdzieś grypy. Napotykanne pary tulą się do

siebie, łudząc się, że głupawy mit, jakim jest wzajemna bliskość, ochroni je przed nocnym chłodem. Chyba faktycznie musi być zimno, gdyż samotni przechodnie otulają się szczelnie płaszczami. Moja torba waży tonę. Niosę w niej całe swoje życie: notesy, dyktafony, materiały, harmonogramy. Uginając się pod jej ciężarem, idę pochylona nieco w prawo i co jakiś czas objam się o Darrena. Za każdym razem odskakuję gwałtownie, jasno dając mu do zrozumienia, że dzieje się to zupełnie przypadkowo i wcale nie sprawia mi przyjemności.

Zmysły mam wyczulone do ostatnich granic. Zimne powietrze nie muska mojej skóry, lecz lodowatymi mackami dotyka mojego czoła, obłapuje za ramiona. Przez most Charing Cross z hukiem przelatuje pociąg, nieprzyjemnie wdzierając się w nocną ciszę. Jaskrawe światła migocą wzdłuż ulic i mostów. W ustach czuję posmak metalu. Wszędzie unosi się zapach potu, świeżego i starego. Świeży miesza się z wonią wody po goleniu Darrena, drażniąc moje nozdrza. Krzywię się z obrzydzeniem na widok kręcących się przy National Film Theatre marzycieli, pogrążonych w nostalgii lub przepelnionych pozbawioną sensu nadzieją.

— Popatrz na nich — mówię ze złością. — Co za frajerzy. Czemu nie ruszą tyłków i nie zaczną żyć naprawdę?

Jego śmiech mnie zaskakuje.

— Naprawdę tylko w ten sposób na nich patrzysz?

— Jasne. — Przyglądam się zonglerom i pseudointelektualistom, ludziom, którzy wolą oglądać sztuki o życiu innych, niż wieść życie własne. — A jak inaczej mogłabym?

— Przypatrz się — nalega. Kładzie mi ręce na ramionach i obraca, abym mogła widzieć tłum. — Na wszystko trzeba spojrzeć pod każdym możliwym kątem. Na różne sposoby. No, spróbuj zobaczyć coś innego.

Patrzę i widzę kupę wałęsających się ludzi. Niektórzy popijają kawę sprzedawaną w teatralnych barach. Inni grupkami otaczają ulicznych artystów. Jeszcze inni zawzięcie nad czymś dyskutują albo z ożywieniem rozmawiają o właśnie obejrzanej sztuce. Są i tacy, którzy po prostu się całują. Wzruszam ramionami.

— Czy nie widzisz, ilu ludzi po prostu świetnie się bawi, rozwija, miło spędza czas? Cząsteczka ludzkości ciesząca się, że może tu być?

— Nie.

— No dalej. Przypatrz się raz jeszcze — zachęca mnie.

Jakiś starszy gość rzępoli na skrzypcach. Ma chyba ze sto lat; jego twarz zdobi długa, biała broda. Gra *Wiosnę* Vivaldiego. Podskakuje z zadziwiającą lekkością, jeszcze dobrze nie zdąży wylądować, a już wznosi się znowu, jego wychudzone kończyny podrygują do rytmu. Niechętnie

wrzucam kilka monet do rozłożonego na ziemi zniszczonego kapelusza. Ma talent. Darren uśmiecha się do mnie, a ja do niego.

Przechodzimy na drugą stronę rzeki i docieramy do stacji metra Embankment. Panuje na niej dziki tłok. Pełno tu pijaków w garniturach i pijaków w łachmanach. Jedyne, co ich różni, to ile pieniędzy zarabiają. Darren toruje sobie drogę wśród maruderów i świrów do automatu z biletami. Kupuje dwa bilety, jeden dla mnie do wschodniego Londynu, drugi dla siebie na południe. Jedziemy innymi liniami, w dwóch różnych kierunkach.

— Dasz radę sama dojechać do domu?

— Jasne. Jestem weteranką metra. — Kłamię jak najęta ponieważ normalnie jeżdżę taksówką. Jeżeli jednak się do tego przyznam, będę musiała jakoś wyjaśnić, czemu zdecydowałam się na przeszło kilometrowy spacer do stacji metra. A tego nie potrafię, nawet przed samą sobą.

— Cóż, cieszę się, że się poznaliśmy, Cas. To był bardzo miły wieczór. — Odwraca się twarzą do mnie.

— Załóżę się, że przez cały czas okrutnie cierpiałeś.

— Ani trochę. — Waha się przez chwilę, po czym dodaje. — Wręcz przeciwnie.

Uśmiecham się szeroko, z ulgą.

— W takim razie, dobranoc.

— Dobranoc.

Żadne z nas się nie rusza. Nagle przychodzi mi do głowy, że zachowujemy się tak, jakbyśmy byli na randce. Pocałuje mnie. Czy też raczej uściśnie mi tylko rękę? Nachyla się, a ja myśląc, że chce mnie pocałować w policzek, poruszam gwałtownie głową. Okazuje się jednak, że celował w moje usta, a ponieważ się poruszyłam, trafił gdzieś pomiędzy brodą a kolczykiem. Odskakujemy od siebie i Darren rusza w stronę barierki. A więc stało się. Odchodzi z mojego życia i wraca do swoich drzew.

Nic w tej chwili nie mogłoby mnie bardziej zasmucić.

Czemu tak cierpię, że on odchodzi? To na pewno wynik nadmiernej ilości wypitego wina. Nie może być inaczej Boże, naprawdę boję się, że kryje się za tym coś więcej.

— Darren! — krzyczę, a mój głos bez trudu przebija się przez hałas.

On jakby tylko na to czekał. Odwraca się natychmiast i zaczyna iść ku mnie. Odciągam go od tłumu wypełniającego stację metra, w stronę rzeki. Gorączkowo układając w myślach plan, staram się zyskać na czasie.

— Muszę przynajmniej przekonać szefów, że naprawdę zrobiłam wszystko, abyś zgodził się wystąpić w programie.

— Ależ zrobiłaś — zapewnia mnie.

— Chyba jednak nie. Jest zaskoczony.

— Czyżbyś miała zamiar...? Czytam w jego myślach.

— Nie. Nic z tych rzeczy — przerywam mu, z miejsca domyślając się, iż podejrzewa, że gotowa jestem iść z nim do łóżka. Nie kryję oburzenia. Darren rumieni się zmieszany.

— Całe szczęście — oddycha z ulgą, rumieniąc się znowu. — Nie, żebym miał coś przeciwko temu, ale w tych okolicznościach...

Przerywam mu, oszczędzając w ten sposób nam obojgu jeszcze większego zakłopotania. Zanim zdążę pomyśleć, co zamierzam powiedzieć i dlaczego zamierzam to powiedzieć, o możliwych konsekwencjach nawet nie wspominając, budzi się we mnie urodzona bajerantka.

— Nie, moja propozycja jest całkowicie odmiennej natury. Chciałabym jednak mieć szansę zaprezentowania ci w pełni mojego punktu widzenia, ale do tego muszę spędzić z tobą nieco czasu, to znaczy przynajmniej przez jeden dzień towarzyszyć ci jak cień. — Rzykuję, ale jestem w końcu zawodową hazardzistką. Darren przygląda mi się z powątpiewaniem.

— Nie uda ci się zmienić mojego zdania.

— Może i nie, ale daj mi przynajmniej szansę się wykazać. W ten sposób będę kryta przed szefami TV6.

Kompletna bzdura, ponieważ tak naprawdę powinnam jak najszybciej wracać do studia i pomóc Fi w pracach nad scenariuszem zastępczym.

Jednak wieczór spędzony z Darrenem przekonał mnie ostatecznie, że gdyby udało mi się namówić go do udziału w *Seksie z eks*, byłby to jak dotąd najlepszy program. Jest superprzystojnym facetem, wygadany, seksowny, o niezłomnych zasadach moralnych. Ukazalibyśmy jego obiekcje, które udało nam się przewyciężyć, a wówczas cały naród jak jeden mąż opowiedziałby się za *Seksem z eks*. W końcu pojawiały się głosy oburzenia i protestu przeciwko naszemu programowi, co prawda niewiele i z rzadka, ponadto w większości wynikające — według mnie — z czystej hipokryzji. Ci jednak, którzy zzymali się, że liczba zawieranych małżeństw spada jak walący się domek z kart, widząc, iż Darren zgodził się związać swój los z TV6, bez wahania ruszyliby w jego ślady. Któż zdołałby się mu oprzeć? Chociaż więc nie mam pewności, że uda mi się go przekonać, muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy. Zaczynam w myślach reorganizować swój harmonogram i zastanawiać się, ile Fi zdoła pociągnąć sama, jeżeli mnie w studiu nie będzie. W czasie, gdy ja gorączkowo kalkuluję, starając się przewidzieć rozwój wypadków i ewentualne konsekwencje, Darren spokojnie rozważa moją propozycję, biorąc ją dosłownie.

— Wziąłem sobie tydzień wolnego, ponieważ sądziłem, że będę zajęty programem. Teraz jednak postanowiłem odwiedzić moich rodziców i resztę rodziny. — Wzdycha, nieomal z nie-

chęcią. — Nie sędzę, żeby udało ci się mnie przekonać, ale jeżeli ma ci to pomóc obronić się przed szefami, myślę, że możesz się wybrać ze mną na kilka dni.

— Wspaniale — uśmiecham się. Wyrażam zgodę, nie zastanowiwszy się nawet, czy rzeczywiście traktuję to poważnie. — Gdzie mieszkają twoi rodzice?

— W Whitby.

— Gdzie? Parska śmiechem.

— Whitby, no wiesz, w północnym Yorkshire.

Nie, nie wiem. Ale to chyba dość daleko, w jakimś odmiennym, niecywilizowanym świecie. Lecz przedstawienie musi toczyć się dalej. Chyba nie będzie aż tak tragicznie? Kiwam głową, udając, że jestem świetnie poinformowana.

— OK, Cas, możesz mi towarzyszyć jak cień, jeśli tak się to oficjalnie nazywa, ale sędzę, że obojgu będzie nam przyjemniej, jeżeli w końcu zaczniesz mi ufać i po prostu dobrze się bawić.

Nie jestem tu po to, żeby się bawić, ani tym bardziej ufać. Gryzę się jednak w język i nie zdradzam mu tych jakże oczywistych faktów.

— Zaufanie to prosta droga do rozczarowania — mówię po prostu.

— Oj, Cas, czy ty nie słyszysz, co wygadujesz? Naprawdę myślisz, że nabierzesz kogoś na tę gadkę supertwardej suki?

Myli się, i to bardzo. Niejeden się nabrał, w tym ośmiu moich nauczycieli z podstawówki, dwunastu z liceum, dziesiątki kolegów ze studiów, niezliczone koleżanki, dokładnie pięćdziesięciu trzech kochanków i moja matka. Nawet Issie, choć z bólem, musi od czasu do czasu przyznać, że „potrafię być taka bezwzględna”. Skąd ta obsesja, że trzeba być miękkim? Przecież w ten sposób człowiek wręcz prosi się o kłopoty i z pewnością skończy jako samotna, zraniona, wykorzystana osoba. Ja wolę pozostać nieczuła i twarda.

Darren milknie i patrzy na rzekę, która połyskuje i migocze. Dziwne, do tej pory zawsze myślałam o niej nie inaczej, jak o ścieku pełnym odpadków i podpasek higienicznych.

— Wiesz, co sobie myślę?

— Nie, oświeć mnie — wzdycham.

— Pragniesz, żeby ktoś cię wreszcie odkrył. Chcesz, żeby znalazł się ktoś, kto odważy się zrobić rysę w tej skorupie, w której się zamknęłaś. Chcesz być kochana, ale nie chcesz, żeby to przyszło zbyt łatwo. Takie współczesne wyzwanie Agamemnona. Niczym nie różnisz się od innych znanych mi kobiet.

Coś podobnego. W życiu bym nie przypuszczała, że stać go na podobną bezczelność.

Patrzę na niego i nie mogę się nadziwić, jaki jest wspaniały. W rzece odbija się światło ulicznych latarni. Ich odbity blask oświetla jego twarz, sprawiając, że wygląda jak anioł. Uśmiecha

się i wręcz ocieka seksem. Wygląda jak diabeł. Nigdy przez całe moje życie nie zetknęłam się z czymś równie skomplikowanym i frapującym. Dociera do mnie, że tym razem muszę bardziej niż kiedykolwiek pamiętać, by zachowywać się jak supertwarda suka. Może się to okazać nie tylko ważne, ale i wyjątkowo trudne. I podczas gdy mój umysł napomina mnie, bym ani na chwilę nie spuściła gardy, zdradza mnie nielojalny język.

— Och, pieprzyć to — mówię. — Niech ci będzie, pokaż mi, co to znaczy dobrze się bawić. Chociaż wątpię, żeby ci się udało.

Uśmiecham się wyzywająco. Problem w tym, że nie bardzo sobie wierzę.

9

Umawiamy się na dworcu King's Cross. Zauważam Darrena od razu po wyjściu z taksówki. RzUCA się w oczy, choć trudno się chyba dziwić, skoro oprócz niego peron okupują głównie prostytutki, żebracy i podróżujący do pracy. Podchodzę do niego, a on bierze ode mnie torbę i całuje mnie przelotnie w policzek. To miłe. I wkurzające.

— Ślicznie wyglądasz — bąka, uśmiechając się z zachwytem.

— Coś ty, w tych starych szmatach? — Wzruszam lekceważąco ramionami.

„Te stare szmaty” wybrałam po trwającym dziewięć godzin przeglądzie szafy Issie i mojej. Nie ukrywam, że jestem bardzo zadowolona z efektu. Mój strój to mieszanina w stylu gwiazdka rocka i wiejska dziewczyna w jednym. Uważam, że wyglądam super, choć Issie miała pewne wątpliwości. Spytała, czy skórzana spódnica za sześć stówek na pewno jest odpowiednia na wólcę po północnym Yorkshire. Zignorowałam ją jednak; w końcu to nie ona jest na bieżąco z modą. Ciągle też marudziła, że będzie mi zimno w sweterku z krótkimi rękawkami, na co usłyszała, że moje ramiona są akurat pięknie umięśnione i jędrne, więc koniecznie muszę się nimi pochwalić. Westchnęła tylko i bez słowa upchnęła do torby dodatkowy sweter, za co powinnam jej być wdzięczna, bo na peronie jest przeraźliwie zimno.

W ogóle Issie wyjątkowo działała mi na nerwy przez cały czas, kiedy pakowałam się na tę służbową podróż.

— Północne Yorkshire — powiedziała. — Jak to romantycznie brzmi. Czy nie stamtąd właśnie pochodziły siostry Brontë?

— Czyżby? Mnie się wydawało, że z Lancashire. Zdaje się, że wszystkie umarły jako stare panny? — udawałam niewiedzę. — Poza tym my jedziemy odwiedzić jego rodzinę. Czy słyszałaś kiedyś, żeby jakaś rodzina była romantyczna?

Issie przypomniała mi o facecie, którego poznała u swojej matki w sylwestra. Odwdzięczyłam się, zwracając jej uwagę, że jak dotąd się nie odezwał.

— Po co w takim razie jedziesz do Whitby, skoro sądzisz, że będziesz umierać z nudów?

— Już ci tłumaczyłam, Issie. Muszę go przekonać, żeby zgodził się wystąpić w programie. To sprawa zawodowej i osobistej dumy.

— Chodzi wyłącznie o dumę?

To samo pytanie zadawałam sobie nieustannie przez całą noc.

— To też starałam się ci wytłumaczyć. Dzięki niemu program wypadłby wspaniale. Dzięki temu zamknęlibyśmy usta tym niedobitkom, którzy wciąż jeszcze nas krytykują.

— Ach, więc chodzi tylko o to, żeby program wypadł wspaniale? — zapytała Issie.

Zabrzmiało to jednak tak, jakby mi nie wierzyła. Cóż, nie da się ukryć, że Darren jest interesujący, zabawny i nieprzyzwoicie wręcz przystojny. Tak jak nie da się ukryć, że gdyby to Issie postanowiła wyruszyć na koniec świata, by odwiedzić rodzinę jakiegoś faceta, nie miałabym cienia wątpliwości, że najzwyczajniej w świecie się w nim zadurzyła. Ale przecież nie można tego samego powiedzieć o mnie, prawda? Robię to wyłącznie dla dobra TV6.

— A o cóż innego? — zapytałam, upychając do torby liliowe szpilki w wyciętych palcami od Manolo Blahnika. Bardzo bym chciała, żeby Issie знаła odpowiedź; ona jednak tylko zrobiła rozzłoszczoną minę.

— Nie sądzę, żeby udało ci się zmienić jego zdanie.

— Kto wie, może akurat mi się powiedzie. W końcu zgodził się, żebym z nim pojechała.

— No właśnie. Ciekawe czemu? Podobasz mu się? Pewnie tak.

— Bardziej chyba liczy na to, że zbawi moją duszę.

— O rany. Ma na to jeszcze mniejsze szanse niż ty — roześmiała się Issie, odprowadzając mnie do czekającej już taksówki.

O tak, Issie wkurzała mnie przez cały czas.

— Kupiłem ci bilet. Chodźmy, pociąg już stoi. Peron trzeci, musimy biec — ponagla mnie Darren.

Chociaż wybieramy się do oddalonej o miliardy mil (niemal) Szkocji, z rozkładu jazdy wynika, że do Darlington dotrzemy za dwie i pół godziny. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć, ale Darren uspokaja mnie, że to linia elektryczna. A jednak w dalszym ciągu mu nie wierzę. A co z obowiązkowymi postojami w szczerym polu i właściwym bądź niewłaściwym rodzajem śniegu? Robi mi się słabo. Nawet jeżeli jakimś cudem pociąg przyjedzie o czasie, te dwie i pół godziny ciągnąć się będą jak dziesięć i pół. O czym ja będę z Darrenem rozmawiać? Wczoraj w restauracji gawędziło nam się całkiem miło, ale też wypięłam niemało. Teraz jednak w chłodnym świetle dnia

zaczynam pomału żałować, że tak ochoczo zgodziłam się mu towarzyszyć. Nie mam złudzeń, że moje szanse na przekonanie go do wystąpienia w *Seksie z eks* są mierne. Porwałam się z motyką na słońce! Co ja pocznę z dala od Londynu? Jak poradzą sobie beze mnie w studiu? Czy Bale kupi moje tłumaczenie, dlaczego postanowiłam nie odstępować Darrena na krok? Wreszcie, pomijając to wszystko, niezbyt mi się uśmiecha wyprawa pociągami w towarzystwie moralistycznego zbawiciela świata. Nawet jeżeli jest tak piekielnie przystojny. Umieram ze strachu.

Darren nie tylko kupił bilety; wpadł również i na to, by zaopatrzyć nas w czasopisma i słodycze. Nie pamiętam już, kiedy po raz ostatni ktoś kupił mi słodycze.

Nie mam tu na myśli wielkich, eleganckich bombonierek; te dostaję bez przerwy i z miejsca prezentuję je mamie. Część z nich zjada sama, resztę oddaje miejscowej geriatrycznej społeczności (cellulitis nie spędza im już snu z powiek). Darren jednak nie kupił bombonierki, tylko słodycze naszego dzieciństwa: Jelly Babies, Liquorice Allsorts, Flying Saucers i Sherbet Dib-dabs. Na pewno ciężko się pochoruję, zanim podróż dobiegnie końca. Mimo to sprawił mi frajdę. I choć bardzo się tego obawiałam, rozmowa wcale nie jest sztywna ani nudna. Z ożywieniem i bez końca wspominamy nasze dziecięce lata. Jakie słodycze lubiłaś w dzieciństwie najbardziej? (On pamięta Spangles, Space Dust i Cream Soda, przyznaje też, że Snickersy były bez wątpienia o wiele większe, a poza tym nazywały się Marathony). Którą książkę przeczytałaś pierwszą? (Żadne z nas nie przypomina sobie zbyt dokładnie, ale — co bardzo mnie cieszy — on wie o wiele lepiej, co lubił oglądać w telewizji; doskonale pamięta każdy odcinek *Mr Bena*; zarzeka się też, że jego siostra wyglądała dokładnie tak samo jak dziewczynka, która siedziała razem z klaunem, gdy w telewizji niczego nie było). Powiedz mi w takim razie, który program lubiłaś najbardziej. (Oboje jesteśmy zgodni, że Mark z *Eastendersów* na zawsze pozostanie Tuckerem z *Grange Hill*). Kiedy nauczyłaś się pływać? (On po obejrzeniu reklamy z wróżką, ja — kiedy zobaczyłam *Szczęki*). Oddając się z zapalem wszystkim tym wspominkom, kompletnie zapominam, że miałam zachowywać się z lodowatą rezerwą. Takie niby nic, ale dzięki temu i czasopismom podróż mija jak z bicza strzelił.

Aczkolwiek niechętnie, muszę jednak przyznać, że świetny z niego kompan do pogaduszek.

I choć z oporami, nie mogę zaprzeczyć, że to i owo mamy ze sobą wspólnego.

Ale z całą pewnością nie w sprawach zasadniczych.

Patrzę na zmieniający się krajobraz. Parki południa przechodzą w lesiste tereny środkowej Anglii, których miejsce niespodziewanie zajmują poszarpane, gotyckie wzgórza północy. Choć zbliża się dwunasta, niebo północnego Yorkshire jest fioletoworóżowe od zasnuwających go chmur w kolorze ciemnej śliwki. Nie kłębiastych, jak w książkach, lecz przypominających wielkie,

grube smugi, jakby namalowane wielkim pędzlem przez dziecko. Tworzą widok tak piękny, że aż zapierający dech w piersiach.

Lecz cóż, można popatrzeć i tyle. Włożyć się tego nie da.

Dzwonię z komórki do Bale'a, by wytłumaczyć się ze swojego postępowania. Nie jest to łatwa rozmowa, jako że przeprowadzam ją z miniaturowej ubikacji brytyjskiego pociągu, cuchnącej uryną i z drzwiami zamykanymi na dający wątpliwe zabezpieczenie zamek, co tylko pogłębia moje zdenerwowanie.

— Jeżeli zdobędziemy go do programu, postawię każde pieniądze, że po tygodniu jego zdjęcia będą wszędzie, a po miesiącu będzie miał własny show w telewizji — próbuję zarazić swoim entuzjazmem szefa.

— Aż taki dobry?

— Aż taki — zapewniam go.

— Myślisz, że Fi sobie poradzi?

Wychwalam ją pod niebiosa w nadziei, że wyzbędzie się wątpliwości (nie do końca mi się udaje — jest podejrzliwy, co zrozumiałe). Waha się, nie bardzo wiedząc, czy jakikolwiek gość wart jest mojej nieobecności w pracy. Wyczuwam to, zmieniam więc taktykę na czarującą. Obiecuję, że nie zabawię dłużej niż dwa dni i wrócę nocnym pociągiem we wtorek, by zdążyć na zaplanowane na środę zdjęcia. Do tego czasu, uspokajam go, w każdej chwili może do mnie dzwonić na komórkę.

Na stacji w Darlington czeka na nas brat Darrena, Richard. Jest młodszy od niego o trzy lata, ale znacznie bardziej postawny (zawdzięcza to pewnie rybie z frytkami i puddingowi z Yorkshire), przez co wygląda na nieco starszego. Darren opowiedział mi szczegółowo o swojej rodzinie. Jest więc Sarah, trzydziestosiedmioletnia mężatka z trójką dzieci. Potem Darren, mój rówieśnik, co oznacza, że ma lat trzydzieści trzy. Następny w kolejce jest trzydziestoletni Richard, zaręczony z Shelly, i wreszcie najmłodsza Linda, której przyjście na świat było dla państwa Smith niejakim zaskoczeniem. Jedynie Darren wyprowadził się tak daleko od domu. Muszę spytać, dlaczego. Richard i Shelly kupują dom oddalony o kilka zaledwie ulic od domu jej rodziców. Sarah z rodziną mieszka w pobliskiej wiosce. Staram się wszystko to dokładnie zapamiętać, by sprawić mu przyjemność i jak najbardziej zbliżyć się do jego rodziny.

Dwaj mężczyźni klepią się na powitanie po plecach, co jest bardzo chłopięce, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Choć w przyływie uczuć nie rzucają się sobie w ramiona, widać, jak bardzo cieszą się na swój widok.

— Richard, to jest Cas. — Darren waha się przez chwilę. — Przyjaciółka — dodaje po chwili.

Nie wiem czemu, ale sprawia mi przyjemność, że przedstawił mnie w ten sposób, uśmiecham się więc do Richarda ujmująco. Jest oczywiście zachwycony i z gorliwą usłużnością oferuje mi swoją pomoc w niesieniu bagażu. Rzucam okiem na Darrena; chcę sprawdzić, czy zauważył, jakie wrażenie wywarłam na Richardzie. Trudno zgadnąć, śmieje się pod nosem.

Marzę, by opuścić wreszcie dworzec w Darlington. Nie, żeby był jakiś szczególnie odrażający — w zasadzie niczego mu nie brakuje; jest niewielki sklepik WH Smitha, kawiarenka i cuchnące klozety — lecz jest to dworzec, a ja staram się unikać jak ognia wszelkich publicznych środków transportu. Mimo to, gdy Richard wskazuje swój samochód, nie szaleję zbyt z radości.

— Ten escort? — pytam w nadziei, że może to pomyłka.

— Tak, z czerwonymi drzwiami — odpowiada Richard.

— A poza tym cały niebieski — dodaje Darren na wszelki wypadek, gdyby jednak nie było to do końca jasne.

Staram się ukryć rozczarowanie i pokornie ładuję się na tylne siedzenie, które zajmować mam wspólnie z zabawką w kształcie futrzanej kostki (nie żartuję) i całą furą opakowań po słodyczach.

Przez całą drogę z Darlington do Whitby odzywam się niewiele. Darren z Richardem natomiast wymieniają wszystkie najświeższe wiadomości. Już jako dziecko z zainteresowaniem przyglądałam się, jak rodzeństwo reaguje na siebie nawzajem. Richard nie kryje zadowolenia z niespodziewanej wizyty Darrena. Nie sędzę, by moje przybycie dokądkolwiek było witane z równą radością. No, może gdy zjawiam się u Harveya Nicsa, w moim osobistym sklepie, zawsze są uszczęśliwieni. Richard pyta, jak Darrenowi udało się wyrwać na niespodziewane wakacje, a ja z ulgą słucham nieco wykrętnej odpowiedzi, podobnie jak wyjaśnień Darrena, że mnie poznał „podczas wywiadu”. Richard najwyraźniej martwi się, że nie uczestniczę w rozmowie, stara się więc jakoś mnie w nią wciągnąć, racząc szczegółowym opisem drogi, jaką mamy do przebycia.

— Jesteśmy na drodze A66 i kierujemy się na wschód. Moglibyśmy pojechać nową drogą. Obie łączą się przy A171 do Whitby.

Nie potrafię zgadnąć, czy oczekuje ode mnie jakiejś odpowiedzi. W swojej fascynacji drogami, innymi możliwymi drogami i „drogami, którymi moglibyśmy jechać” przypomina mi młodego chłopca. Kiwam głową i nie podejmując tematu, zaczynam wyglądać przez okno.

Znajduję się na obcej ziemi. Nie tylko akcent Richarda jest dziwny, równie niesamowicie przedstawia się widok za oknem. Stanowi eklektyczną mieszaninę współczesności (nowiuteńkie, wielkie stadiony, architektonicznie wymyślne mosty), uroczej, staroświeckiej biedy (sale do gry w bingo, zabite deskami sklepy) i urzekającego krajobrazu (owce). Zauważam, że wyczekujące na przystankach kobiety w każdej wiosce wyglądają podobnie. Są grube i zmęczone — nie uprawiają

żadnych ćwiczeń? Richard zatrzymuje samochód na czerwonym świetle, mogę więc przyjrzeć się wszystkiemu dokładniej. Widzę na przystanku autobusowym kobietę; inna, stojąca trzydzieści metrów dalej, coś do niej krzyczy. Pierwsza zatrzymuje autobus, podczas gdy druga taszczy do niego swoje wielkie cielsko i torby z zakupami. Kierowca autobusu, jowialny i wesoły, nie wydaje się zdenerwowany przymusową zwłoką. Gdy kobiecie udaje się w końcu włączyć do autobusu, pozostali pasażerowie krzyczą i machają na powitanie. Co tu się dzieje? Czy ta kobieta jest kimś sławnym? Nie rozpoznaję jej, ale musi być kimś, jakżeby bowiem wszyscy odnosili się do niej z taką sympatią? Na widok serdeczności, jaką sobie nawzajem okazują, robi mi się dziwnie ciepło.

To chyba cud, zwłaszcza że temperatura panuje co najmniej arktyczna.

Mężczyźni na ulicach, jak w czasie wojny, są albo bardzo starzy, albo całkiem młodzi. Wszyscy wyglądają na jednakowo niedożywionych. Młodym dodaje to tylko uroku, starzy natomiast wyglądają żałośnie. Próbuję przypomnieć sobie wiedzę zdobytą w czasie przygotowań do matury z geografii, a także to, co działo się w latach osiemdziesiątych. O ile pamiętam, północne Yorkshire nie padło przecież ofiarą likwidacji kopalń. Nie, tutaj katastrofą ekonomiczną był upadek przemysłu stocznioowego. Ciekawe, gdzie podzieli się wszyscy mężczyźni w wieku produkcyjnym. Czyżby odjechali na swoich rowerach? A może bawią w Cargo Fleet Social Club, udzielając poparcia dynastii Bassów?

Wzdycham znudzona tymi przemyśleniami. Kolejny etap znużenia. Na pewno tak działa na mnie to miejsce. Zapalam papierosa. Richard spogląda na mnie we wstecznym lusterku. Nie chcąc okazać się niegrzeczna, uchylam na milimetr okno, co należy uznać za szczególny gest z mojej strony w panujących tu minusowych klimatach.

— Czy mogłabyś nie palić? — pyta Richard.

Speszona poprawiam się na siedzeniu. Przez moment kusi mnie, by powiedzieć, że nie, nie mogłabym. Muszę zaspokoić swoje codzienne zapotrzebowanie na trzydzieści papierosów i pobudzić swój metabolizm do pracy. Zamiast tego jednak uśmiecham się — sztucznie — i wyrzucam papierosa przez okno. Richard nie gratuluje mi, nie dziękuje, tylko kiwa grzecznie głową. Dziwne, wydawało mi się, że wpadłam mu w oko. Na ogół pożądanie, jaki mój widok wzbudza w mężczyznach, jeśli nawet nie każe im starać się o licencję na druk pieniędzy, to przynajmniej sprawia, że przymykają oko, gdy łamię obowiązujący zakaz palenia. Co jest z tymi Smithami? Czy oni w ogóle pozbawieni są hormonów?

Miasto pozostawiamy za sobą, wkrótce też wsie pojawiają się coraz rzadziej. Znikają posępne magazyny i pokryte graffiti przystanki autobusowe, na których ktoś wypisał, że na przekór wszystkiemu JEZ + BREND = WM, a ich miejsce zajmują rozległe błotniste pola, z pojawiającymi

się gdzieniegdzie łątami śniegu, lodu i wyrastającymi nie wiadomo skąd farmami. Niebo w dalszym ciągu ma barwę lawendową rozjaśnioną srebrzystymi smugami światła.

— Widzę morze! — wykrzykują jednocześnie Darren i Richard, po czym obaj wybuchają śmiechem.

— To taka rodzinna tradycja — wyjaśnia Darren. — Może niezbyt wyjątkowa. Na pewno znasz te sprawy.

Nie znam, ale podążam za ich wzrokiem.

— Boże, ależ jest piękne — wzdycham wbrew sobie. I natychmiast tego żałuję. Typowy miejski frazes w najmniejszym nawet stopniu nie oddaje urody zatykającego dech w piersi widoku, a ja solennie sobie przyrzekam nigdy więcej nie powiedzieć niczego, co nie byłoby oryginalne bądź błyskotliwe. Niestety, jakoś nic odpowiedniego nie przychodzi mi do głowy. We wstecznym lusterku dostrzegam odbicie twarzy Darrena. Uśmiecha się, jak gdyby mój kretyński komentarz był całkowicie na miejscu.

— Nie boisz się, że cię tu zanudzimy na śmierć? — pyta.

Co do diabła, na jarmarku zabawia się w czytanie cudzych myśli?

— Wręcz przeciwnie, spodziewam się samych przyjemności — odpowiadam jak najbardziej szczerze, z ledwie tylko dostrzegalną kokieterią.

Richard chrząka, chyba trochę zmieszany.

Whitby jest miasteczkiem pozbawionym ładu i składu. Zbudowane na falistym wybrzeżu domy i herbaciarnie (pozamykane) sprawiają wrażenie, jakby stały na słowo honoru. Lawirujemy w gęstwinie wąskich i stromych uliczek, a mnie się wydaje, że gram w dramacie z epoki. Nareszcie zatrzymujemy się w uliczce z rzędem szeregowych domków. Gdyby ktoś odważył się głośniej kaszlnąć, z całą pewnością runęłyby do morza. Darren uspokaja mnie, że to tylko pozory, w rzeczywistości domy są całkiem solidne. I stoją tu od ponad stu lat. Zapewne ma rację; mimo to jednak, gdy już znajdę się wewnątrz, postaram się unikać gwałtowniejszych ruchów. Z ulicy domek sprawia wrażenie mikroskopijnego i zastanawiam się, jak udało się państwu Smith wychować w nim czwórkę potomstwa. Czy ceny nieruchomości na północy nie są znacznie niższe? Już mam o tym wspomnieć, by nawiązać rozmowę, w ostatniej jednak chwili rezygnuję. Nie wchodzimy frontowymi drzwiami, lecz alejko-ścieżką kierujemy się ku kuchennemu wejściu.

— U nas to się nazywa dróżka — mówi Darren, znowu czytając w moich myślach.

Wolałabym, żeby przestał, zaczyna mi to działać na nerwy.

Dom okazuje się znacznie większy, niż wydawał się z zewnątrz, i składa się z pozornie nie mającego końca szeregu pokoi. Przy tylnym wejściu oczekują nas pani Smith i Linda. Pani Smith bez przerwy wydziera się do „ojca”, że Darren i jego przyjaciółka właśnie przyjechali. Ojcem

okazuje się pan Smith, jej mąż. Nie wstaje z fotela, macha jednak wesoło ręką. Cóż, zrozumiałe, że nie opuszcza swojego fotela; ogląda właśnie powtórkę *The Waltons* — bardzo wciągające widowisko. Pani Smith mierzy mnie podejrzliwym wzrokiem. Życie nauczyło mnie, że kobiety generalnie, a matki w szczególności, witają mnie z niepokojem. Z doświadczenia wiem też, że jeżeli chcę zbliżyć się do Darrena, muszę zaskarbić sobie sympatię jego matki. Zabawne, że w przypadku mężczyzn zabiegających o kobietę jest dokładnie odwrotnie. Gdy moja matka kogoś aprobuje, dla mnie to nieomylny znak, że powinnam faceta niezwłocznie sobie odpuścić. Pani Smith nie może oderwać wzroku od mojej spódniczki i coś tam mamrocze o „londyńskim rozpasaniu”. Linda natomiast wita mnie w sposób, do którego w znacznie większym stopniu przywykłam — pełen zachwytu i przywilności. Wychwala moje włosy, torebką jest zachwycona, podobnie jak spódnicą a za buty dałaby się posiekać. Jej matka cmoka zniecierpliwiona, ja jednak odpowiadam na każde pytanie dziewczyny, pozwalam jej nawet dotknąć materiału. Biedulka, pewnie dotąd widziała tylko ludzi w ortalionowych dresach. Proponuję, że wybiorę się z nią do B&B, jeżeli oczywiście pani Smith nie będzie miała nic przeciwko temu, ona jednak nie chce o tym nawet słyszeć, a nawet wygląda na nieco urażoną moją propozycją. Oznajmia mi, że Darren będzie spał z Richardem, wobec czego ja mogę zająć jego pokój. Linda radośnie proponuje, że natychmiast mnie tam zaprowadzi, na co chętnie przystaję. Od przyjazdu do Darlington ani razu nie miałam okazji wyjąć choćby szminki.

Linda jest przeurocza. Na plus trzeba jej policzyć, że nie kryje swojego mną zachwytu, poza tym ma w sobie wszystko to, co nieodłącznie towarzyszy młodości — jest pełna życia, na świat spogląda bez cienia cynizmu, jej twarzy nie szpeci żadna zmarszczka i nie wie, co to znaczy niewolniczo podążać za modą. Poza tym — jak Darren — wygrała główny los na genetycznej loterii. Zdecydowanie wolę przebywać w towarzystwie ludzi urodziwych. Linda ma gęste czarne loki do ramion, oczy i rzęsy sarenki Bambi równie piękne jak jej starszy brat i jest szczupła. Najbardziej zaś ujmuje mnie jej zupełna nieświadomość własnej urody. Wielka szkoda, że mieszka na końcu świata, gdzie nie ma szans zostać doceniona. W Londynie zrobiłaby furorę. Mogłaby pracować w mediach jako modelka lub nawet w City, gdzie sam piękny umysł to zdecydowanie za mało. Tutaj jednak pisane jej jest małżeństwo z jakimś młodzieńcem, wydanie na świat drużyny piłkarskiej i liczenie przybywających rozstępów. Szczęśliwie nieświadoma swego losu, z ożywieniem i bez przerwy papla, prowadząc mnie do pokoju Darrena.

Dom, podobnie jak cała okolica, łączy w sobie nowoczesność ze śladami minionych epok. Liczby urządzeń elektronicznych nie powstydziliby się niejedna hurtownia: trzy telewizory, dwa odtwarzacze wideo, komputer, niezliczone gry komputerowe, wieże stereo, radia, sprzęt gospodarstwa domowego. Lecz tapety i dywany pamiętają chyba czasy sprzed wojny (mam tu na

myśli wojnę krymską). Na każdym kroku natykam się na mosiężne wieszaki i papierowe serwetki o koronkowym wzorze. Muszę sobie zapamiętać, że kiedy następnym razem będziemy robić program z epoki, dom państwa Smithów powinien rekwizytorom posłużyć za wzór. Instalacja i wyposażenie są stare i — co tu dużo mówić — brzydkie, ale utrzymane w idealnym stanie. Moja matka z powodzeniem mogłaby przesunąć palcem po szczycie szafy i wątpię, żeby miała się do czego przyczepić.

Z początku poczułam się skrępowana zaproszeniem pani Smith do zatrzymania się u niej w domu. Na ogół źle znoszę pobyt w rodzinnych domach. Czasem zdarza mi się zatrzymać u Josha, ale domy jego rodziców (podkreślam liczbę mnogą) są tak wielkie, że niebezpieczeństwo natknięcia na którekolwiek z nich na schodach w zasadzie równa się zero. Z drugiej jednak strony, trudno nazwać domy Josha „rodzinnymi”. Jego rodzice są razem jedynie nominalnie, stanowią zaprzeczenie pojęcia rodziny. Tak samo jak pojęcia dom. Oboje wykorzystują liczbę i gabaryty swoich posiadłości, by skutecznie się nawzajem unikać. Jeżeli matka Josha przebywa akurat na wsi, pewne jest jak amen w pacierzu, że ojciec „bawi w mieście”; gdy ojciec zjeżdża na wieś, matka wybywa do hiszpańskiej willi. Małżeński raj. Jednak mimo oporów, jakie odczuwam wobec zaproszenia pani Smith, prześladuje mnie niewytłumaczalne i jednocześnie przemożne zainteresowanie wszystkim, co ma związek z Darrenem, stąd perspektywa spędzenia nocy w łóżku jego dzieciństwa sprawia mi niekłamaną przyjemność. Niby od niechcienia próbuję wy badać, czy pokój, do którego prowadzi mnie Linda, zawsze należał tylko i wyłącznie do Darrena. Linda zapewnia mnie, że owszem:

— Ten pokój widział wszystko, poczynając od nocnego moczenia łóżka na... — tu waha się przez moment — na, hm, nocnym moczeniu łóżka kończąc.

Zdecydowanie za dużo informacji.

Otwiera ciężkie drewniane drzwi i obie z wysiłkiem wnosimy moją (wyjątkowo okazałych rozmiarów) walizkę do (wyjątkowo niewielkiego) pokoiku. Jak wiele matek, pani Smith z miłością zachowała świątynię dzieciństwa pierworodnego. Czuję się, jakby ktoś podał mi jego pamiętnik. Pokój wygląda niczym odcisk palca. Znajduje się w nim wąskie, wyglądające na twarde łóżko, dociśnięte do ściany pod oknem, co sprawia wrażenie, jakby młody Darren niezbyt dużą wagę przykładął do snu. Ciekawe, czy nadal jest podobnie. Poza tym dostrzegam antyczną szafę i stolik na wieżę, pełniący jednocześnie funkcję toaletki. Dziwnie nie pasuje do reszty wystroju i zastanawiam się, czy Darren upierając się przy jego wyborze, nie manifestował w ten sposób sprzeciwu wobec wszechobecnych w latach pięćdziesiątych mebli sypialnianych. Ściany ozdabiają plakaty typowe dla facetów dorastających w latach siedemdziesiątych: oryginalne Star Treki, Drużyna A, Starsky i Hutch, wreszcie Debbie Harry i Pam Ewing. Jedynie one należą do typowego wystroju

chłopięcej sypialni. Reszta wygląda, jakby w jednym miejscu spotkały się jaskinia Aladyna, Wyspa Skarbów i kryjówka Batmana. Książek są chyba tysiące. Stoją na parapecie, wypełniają niezliczone półki, a te, dla których nie wystarczyło już miejsca, piętrzą się chwiejnymi, w każdej chwili grożącymi zawaleniem stosami wzdłuż ścian. Jest tu wszystko począwszy od „Beano Annuals”, poprzez kolekcje Reader's Digest, na dziełach Charlesa Dickensa kończąc. Upodobania czytelnicze Darrena były wszechstronne, wszystkie jednak pozycje łączy jedno — widać, że były czytane po wielokroć. Na książkach stoi kilka modeli, bez wątplenia wykonanych przez młodego Darrena. Jego matka ustawiła je chyba w porządku chronologicznym, te bowiem znajdujące się najbliżej drzwi są dziecinne (choć urocze w swojej prostocie) — rakiety i łodzie podwodne, zrobione z rolek papieru toaletowego i opakowań po płatkach kukurydzianych. Później Darren musiał włączyć do zasobu materiałów gumki i pudełka po margarynie i stworzył helikoptery i kombajny zbożowe. Modele stopniowo stawały się większe i bardziej skomplikowane, aż wreszcie powstał — ustawiony w kącie naprzeciwko drzwi — ogromny model Meccano, wysoki na półtora, szeroki na metr.

— To replika NASA — wyjaśnia Linda.

Widząc jednak, że niewiele mi to mówi, wrzuca do wiaderka niewielkie kulki, które zaczynają obracać koło, co uruchamia pompę, przez co włącza się silnik, a ten z kolei odpala rakietę itd. Doprawdy fascynujące i znacznie bardziej skomplikowane niż pułapka na myszy.

— Zbudowanie tego musiało mu zająć mnóstwo czasu.

— Owszem.

— Czy miał jakichś przyjaciół?

— Setki — uśmiecha się wesoło, nieświadoma, że próbowałam być złośliwa. — Ale zawsze interesowała go ekologia i jeszcze więcej, kosmos i...

— Powód, dla którego się tu znaleźliśmy — wchodzę jej w słowo. Z trudem udaje mi się powstrzymać kąśliwy ton.

— No właśnie — przytakuje rozradowana. Przypomina mi Amerykanów, oni także nie dostrzegają sarkazmu.

Uśmiecha się wyczekująco, a mnie nieoczekiwanie robi się wstyd.

— To jest naprawdę dobre — mówię niechętnie. Ale szczerze.

Na suficie dostrzegam *pièce de resistance*: namalowane przez Darrena nocne niebo. Przyjrząwszy się uważniej, zauważam, że jest to swobodna wizja Drogi Mlecznej. Pomijając naukowe nieścisłości, malowidło przedstawia się wspaniale. Linda spogląda na nie z uśmiechem.

— Mama nie pozwalała tego zamalować. Darren miał wtedy trzynaście lat i mama uważa, że to jest piękne.

Nie mogę się zdecydować, czy ten wystrój wnętrza dowodzi, że Darren jest najsmutniejszym facetem na świecie, czy też raczej...

Czy też najbardziej niezwykłym. Nie, to frajer. Bez wątpienia.

Wyglądam przez okno, w którym wisi nieskazitelna siatkowa firanka, powieszona dokładniej niż u Issie.

— Czy to jego domek na drzewie?

— Tak, mój. Sam go zbudowałem — mówi Darren.

Obracam się zaskoczona i staję z nim twarzą w twarz. Linda jest najwyraźniej wściekła, że tak bezceremonialnie przerwał nam nasze babskie pogaduszki. Mnie natomiast jego widok bardzo ucieszył.

— Śliczny — mówię. — Ludzie na ogół ograniczają się do jednego piętra i nie zawracają sobie głowy kanalizacją — pokpiwam sobie, ale mój uśmiech mówi wyraźnie, że jestem pod wrażeniem. Darren odwzajemnia uśmiech, a ja zapominam języka w gębie.

Wracamy do kuchni, która najwyraźniej jest epicentrum życia rodzinnego Smithów. Pani Smith wręcza mi ogromny kubek gorącej, słodkiej herbaty. Zbieram się, by jej powiedzieć, że wolę kawę, albo przynajmniej Earl Greya, lecz niestety nie udaje mi się. W kuchni panuje ruch jak w ulu. Radio ustawione jest na jakąś lokalną stację, której prezenter mówi z przedziwnym akcentem. Poza tym włączone są pralka, suszarka i zmywarka — wszystkie jednocześnie. Mimo to w zlewie piętrzą się stosy brudnych naczyń, a na suszarce suszą się inne, już umyte. Co najmniej dwa krzesła zajęte są przez przygotowane do prasowania wielkie stosy ubrań. Na innych także nie można usiąść, okupowane są bowiem przez ogromne, śpiące tłuste kocury. Od czasu do czasu ze swego legowiska zrywa się pies, podstarzały labrador, i głośnym szczekaniem reaguje na jakieś dochodzące z zewnątrz hałasy. Jak on w ogóle coś słyszy w tym rejwachu? Ja nie słyszę własnych myśli. Rozmowa nie ustaje ani na chwilę, aczkolwiek trudno nazwać to rozmową; Odnoszę wrażenie, że wszyscy mówią jednocześnie, każdy o czym innym, nie zwracając najmniejszej uwagi na pozostałych. Mimo to nikt, chyba z wyjątkiem mnie, nie stara się nikogo przekrzyczeć ani nie sili się, aby odpowiedzieć na temat i we właściwym czasie. Linda i pani Smith na przemian starają się zmusić mnie do zjedzenia czegoś, przeciwko czemu, wbrew staraniom, nie udaje mi się obronić. Szybko orientuję się, że o wiele łatwiej jest przyjąć ciasteczko, herbatnik czy kanapkę i po prostu nie zjeść. W milczeniu pijam herbatę, zdumiewająco smaczną. Na scenę z hukiem wkracza Sarah z mężem i dziećmi. Sarah bezceremonialnie pakuje niesione dziecko na kolana pani Smith i chwyta brata w objęcia. Pozostałe dzieci, dwie dziewczynki, chyba trzy- i dziewięcioletnia (trudno to ocenić komuś, kto z dziećmi ma niewiele wspólnego), idą w jej ślady i wspinają się na Darrena. Mąż Sarah po prostu znika, dołączając do oglądającego w pokoju telewizję pana Smitha.

Kuchnia, już przedtem pełna życia, teraz wręcz kipi. Marzę o kieliszku szampana, w najgorszym razie wystarczyłaby rozpuszczalna aspiryna — i to możliwie natychmiast. Od tego całego hałasu głowa dosłownie mi pęka. Siostrzenice Darrena domagają się, żeby wujek zrobił im „samolocik”, a on nie daje się prosić. Siostra żąda filiżanki herbaty i wypytuje, czy matka coś dzisiaj upiekła. Pani Smith zapewniają że owszem, upiekła, co potwierdza unoszący się smakowity zapach. Jednocześnie huśta malca na kolanie, karmiąc go jedną ręką, podczas gdy drugą w tym samym czasie ustawia deskę do prasowania, by wyprasować Lindzie spódnice. Zjawiają się Shelly z Richardem. Przy wtórze jeszcze większego hałasu następuje kolejna seria pocałunków i uścisków. Shelly przyniosła ciasto z czekoladą, które natychmiast zostaje pokrojone, bez oglądania się, czy nadeszła już pora na posiłek. Richard pyta, czy Darren „ma ochotę pokopać trochę w ogródku”. Shelly pokazuje swoim przyszłym siostrzenicom próbki materiału na ich sukienki druchen. Małe krzyczą z zachwytem. Sarah rozpakowuje zakupy, opowiadając o jakimś incydencie z nauczycielką starszej córki (okazuje się, że to Charlotte). Przez cały ten czas wszyscy wypytują mnie, kim jestem i po co przyjechałam.

Pani Smith, Sarah i Shelly zgodnie uznają czemu trudno się w zasadzie dziwić, że jestem dziewczyną Darrena. Trudno się dziwić, skoro nie miały okazji poznać mnie bliżej. Nigdy nie byłam niczyją dziewczyną i nie mam zamiaru tego zmieniać. Jeżeli jednak na coś podobnego by się zносиło, na pewno nikt taki jak Darren nie będzie brany pod uwagę. Cóż z tego, że jest przystojny, seksowny, zabawny i inteligentny, skoro zupełnie nie w moim typie.

Lecz tę, która go dostanie, uczyni na pewno szczęśliwą.

Będzie z niego wspaniały chłopak, taki, o jakim marzy każda dziewczyna, która chce mieć chłopaka.

Chwilowo jednak wolę, aby klan Smithów tkwił w przekonaniu, że faktycznie jestem dziewczyną ich syna. Lepsze to niż tłumaczenie, że w rzeczywistości chcę, aby Darren uwiódł swoją byłą ku zadowoleniu i zachwytowi 8,9 milionów widzów. Gdy Richard i Darren wychodzą, kobiety Smithów mają okazję, by dać upust swej ciekawości.

— A więc ty i Darren jesteście przyjaciółmi? — Sarah zawiesza na parę sekund głos nad słowem „przyjaciółmi”.

Koncentruję się na wyborze herbatnika z pełnego talerza, który podała Linda. Ledwo kiwam głową.

— Długo się znacie? Pytam, bo jakoś nie pamiętam, żeby o tobie wspominał — mówi pani Smith.

Co za szczęście, że jej syn mnie nie interesuje. Życie z wtrącającą się we wszystko rodziną musi być koszmarne. Najwyraźniej uważają że żadna nie jest wystarczająco dobra dla „ich”

Darrena. Już widzę, jak przez całe lata pani Smith wraz z Sarah dokładnie sprawdzają czy oblubie-oblubienica Darrena potrafi sprawić, aby białe pranie było jeszcze bielsze. Brr, aż mnie ciarki przechodzą. Zapewne zanim go jej oddadzą będzie musiała zdać egzamin z robienia ciasta. Biedna Shelly, ciekawe, jak się czuła, znosząc wszystkie te upokorzenia, gdy Richard po raz pierwszy przedstawił ją rodzinie. Spoglądam na nią, spodziewając się ujrzeć blizny po tragicznych przeżyciach, ona jednak uśmiecha się do mnie pogodnie, po czym bez wahania zgania z krzesła kocura, by samej wygodnie się na nim rozsiąść.

— Rusz się, Tabby. Hmmm.

Charlotte nie jest tak subtelna w swych dociekaniach, co jednak mogę jej wybaczyć, jako że wciąż jeszcze nosi kompleciki z Kubusiem Puchatkiem. Bez zbędnych ceregieli przechodzi prosto do rzeczy.

— Jesteś dziewczyną Darrena?

— Hm, cóż, nie, nie jestem.

Czemu się rumienię? Przecież spodziewałam się tego pytania.

— Och. — Nie zrobiło to na Charlotte wrażenia. Pozostałe panie są wyraźnie zdumione. — A masz jakiegoś chłopaka? — docieka dalej mała.

— Nie.

W życiu bym tu nie przyjechała, gdybym miała choć cień podejrzenia, że będę w ten sposób upokarzana.

— Żal mi cię — mówi Charlotte. — Bo ja mam. Nazywa się Alan Barker i śpiewa dla mnie. — Uśmiecham się do niej zachęcająco. — Mam sześć i pół roku. Lucy ma cztery. A Ben nie jest już dzidziusiem. Ma prawie dwa latka. A ile ty masz?

— Charlotte, jesteś niegrzeczna. Nie wypada pytać damy o wiek — upomina córkę Sarah. Mimo to wyraźnie czeka na moją odpowiedź.

— Trzydzieści trzy. — Nie trzymam ich w niepewności.

Zauważam, że pani Smith, Sarah i Shelly wymieniają ukradkowe spojrzenia. Według nich trzydziestotrzyletnia samotna kobieta ma w sobie coś podejrzanego. Chciałabym, żeby Darren przestał gonić po ogrodzie za piłką i przyszedł mi z odsieczą.

— Masz siostrę? — Krzyżowy ogień pytań Charlotte nie ustaje. Odkąd poddała mnie przesłuchaniu, cały czas patrzymy sobie w oczy. Wiercę się na krześle, żeby móc dokładnie przyjrzeć się czubkowi jej głowy, jestem bowiem absolutnie przekonana, że dostrzegę tam wytatuowane trzy szóstki.

— Nie.

— A brata? — pyta Lucy.

— Niestety nie.

Lucy wdrapuje się na moje kolana, jak gdyby chciała mnie pocieszyć. Trochę się denerwuję — chyba nigdy dotąd nic równie małego nie siedziało na moich kolanach, nawet żaden kociak ani szczeniak. Czy nie spadnie? Lucy jednak najwyraźniej ma sporą wprawę. Umiejętnie wtula się we mnie i zaczyna ssać kciuk. Na szyi czuję jej ciepły oddech. Rozglądam się w oczekiwaniu pochwał, najwyraźniej jednak widok dziecka na moich kolanach nikogo nie dziwi. A jest to rzecz niespotykana. Ludzie mnie nie dotykają, chyba że im za to płacą. Albo gdy w grę wchodzi seks. Dotyka mnie fryzjerka, masażysta, akupunkturzystka i osobisty trener — za co dostają ciężkie pieniądze, i mężczyźni — za gratyfikację nieco innego rodzaju. A to dziecko tutaj siedzi sobie na moich kolanach, trzyma mnie za rękę, niczego w zamian nie oczekując. Bardzo dziwne.

— Czym się zajmujesz? — pyta Sarah.

Już chcę powiedzieć, że chętnie wypełnię kwestionariusz, ale właśnie wraca Darren z Richardem, więc gryzę się w język.

— Pracuje w telewizji — wrywa się Linda. Jest chyba jedyną tu obecną, na której moja kariera zawodowa robi wrażenie.

— O? A cóż ty tam robisz, kochanie? — pyta pani Smith.

Opowiadam jej w skrócie i uproszczeniu, mając nadzieję, że ją to zadowoli. Ludzie rzadko kiedy rozumieją w jaki sposób inni zarabiają na życie.

— Wymyślam programy.

— Oooooch — rozlega się w kuchni.

— Na przykład *Przyjaciół*? — domyśla się Sarah.

— Nie, to amerykański serial.

— *Niebieskiego Piotrusia*? — pyta Charlotte.

— Nie, wtedy jeszcze nie pracowałam.

— To może ten teleturniej z tym przemiłym panem Tyrantem? Ten, w którym ludzie wygrywają tyle pieniędzy? — Tym razem pytanie zadaje pani Smith.

— A może *Cold Feet*? — podsuwa Linda z nadzieją w głosie.

— Nie, to nadaje inna stacja — mówię przepaszająco. Wygląda na to, że na nikim nie udało mi się zrobić wrażenia.

— Och. To co w takim razie wymyśliłaś? — niecierpliwi się Sarah.

Na szczęście w tym momencie ktoś dzwoni do drzwi, co wzbudza powszechne poruszenie i wszyscy z wyjątkiem Darrena i Lucy wybiegają z kuchni.

— Tutaj nikt nigdy nie dzwoni do drzwi frontowych — wyjaśnia Darren. — Wszyscy wchodzi od tyłu.

Kiwam ze zrozumieniem głową jakby te dziwaczne obyczaje były dla mnie czymś zupełnie oczywistym.

— Dlaczego nie powiedziałaś im, jak się nazywa twój program? — pyta Darren.

Spoglądam na niego z ponurą miną.

— Bo doszłam do wniosku, że ich to nie interesuje.

— Ach, uznałaś, że one nie zaliczają się do prawie dziewięciu milionów twoich widzów. Bardzo mądrze.

Patrzę na niego.

Jest taki zadowolony, pewny siebie. Taki seksowny. To chyba przez usta.

10

Jak ja się w to wpakowałam? Nie przypominam sobie, bym wyraziła chęć pójścia na basen razem z Darrenem, Charlotte, Lucy i małym Benem. Hałas i zamieszanie nieustannie królujące w domu Smithów tak musiały mnie ogłupić, że całkiem możliwe, iż chociaż się nie zgodziłam, nie byłam w stanie odeprzeć zmasowanego ataku sprzymierzonych sił całej rodziny.

Nie chadzam na ogólnie dostępne baseny kąpielowe. Preferuję farmy piękności i prywatne kluby gimnastyczne. Fizycznie wyczuwam czające się w popękanych kafelkach grzybice stóp i inne paskudztwa, i choć miejscowe władze nie szczędziły chloru, jestem przekonana, że pływam w czystych dziecięcych siuśkach. Jakby tego było mało, widok, jaki jawi mi się w lustrze, jest przerażający. Ponieważ nie zabrałam swojego kostiumu, zostałam zmuszona, aby wystąpić w stroju pożyczonym od Sarah. Swego czasu Sarah bez wątpienia była niezwykle atrakcyjną kobietą od tamtej pory jednak zdążyła urodzić trójkę dzieci, co niezbyt korzystnie wpłynęło na jej figurę. Ponadto odnoszę wrażenie, że elegancja w ubiorze nie zajmuje pierwszego miejsca na liście jej priorytetów. Kostium kąpielowy, którym mnie uszczęśliwiła, pochodzi chyba z targu; na pewno nie z eleganckiego butik. Staralam się wytłumaczyć Sarah i Shelly, że poza czernią niczego nie noszę, one jednak uśmiechnęły się tylko i wręczyły mi to paskudztwo. Zdaje się, że początkowo zdołał je bajecznie kolorowy wzór w odblaskowe kwiaty, który z czasem szczęśliwie się sprął. Fason także ma beznadziejny. Psiakrew, czemu nie przywiozłam swojego kostiumu od Calvina Kleina? Uszyty jest tak, by maksymalnie wydłużać nogi, a talię wyszczuplić. Miseczki mają wkładki, co daje efekt wyjątkowo korzystny. Kwiecisty wzór Sarah porozciągany jest w kroku i na biodrach, na dodatek ramiączka przez cały czas opadają. Można by pomyśleć, że poza możliwością iż w najmniej odpowiednim momencie zgubię kostium, nic gorszego spotkać mnie już nie może. Niestety, z

przerażeniem stwierdzam, iż jestem w przebiegalni sama jedna, jeżeli nie liczyć dwójki małych kobietek.

Czuję, że wpadam w panikę. I bynajmniej nie dlatego, że przez ponad tydzień nie goliłam nóg. Paraliżują mnie pełne oczekiwania spojrzenia, których nie spuszczają ze mnie tak Charlotte, jak Lucy. Najwyraźniej wszyscy — Darren, jego mamuska, Sarah, Shelly i te dwie małe — uznały, że ja zajmę się nimi na basenie.

I że poradzę sobie z tym bez problemów.

Co jest, oczywiście, prawdą. Jestem szefową programu tydzień w tydzień przyciągającego przed telewizory miliony telewidzów, kontroluję budżet wart setki tysięcy funtów, zapewniam swojej stacji milionowe dochody. Chyba więc potrafię rozebrać, a potem ubrać z powrotem dwie małe dziewczynki.

Bez wątpienia.

Nie chcą stać spokojnie. Kręcą się i skaczą po całym pomieszczeniu jak frygi. Nie mają najmniejszej ochoty włożyć kostiumów, o skrzydełkach do pływania nie wspominając. Mam wrażenie, że ledwo uda mi się wepchnąć odpowiednią kończynę we właściwy otwór, natychmiast jest wyciągnięta z powrotem. W końcu udaje mi się jakoś je przebrać, okazuje się jednak, że jedna ma kostium na lewą stronę, a druga tyłem do przodu. Przede wszystkim muszę zachować spokój. Jak przy każdej konfrontacji, adwersarz nie może się zorientować, że czujemy się zagrożeni bądź wpadamy w panikę. Nie ma sprawy — cztero- i sześciolatka nie są dla mnie żadnymi przeciwnikami. Gdyby tylko stały przez chwilę bez ruchu.

— Charlotte, nie biegaj. Podłoga jest śliska. Zrobisz sobie krzywdę. — Staram się, by zabrzmiało to jak stanowcza rada lub ostrzeżenie. Niestety, mój głos dobitnie świadczy, że grożę albo sama czuję się zagrożona.

— Lucy, nie wzięłyśmy twojego różowego kostiumu. Musisz nałożyć ten niebieski. Proszę, nie płacz. Jeszcze tylko jedna rączka. Proszę.

Obie dziewczynki zalewają się łzami (choć podejrzewam, że Charlotte tylko krokodylimi). Sama jestem tak bliska płaczu, jak mi się nie zdarzyło od dwudziestu pięciu lat. Nie wiem, co by się stało, gdyby nie zjawiała się odsiecz w postaci innej matki.

— To chyba nie pani córeczki?

— Nie. — Odczuwam jednocześnie złość i ulgę.

Jej także nie są. Mimo to, w mgnieniu oka udało jej się włożyć obydwu potworom kostiumy dokładnie tak jak trzeba. Czemu ja sobie z tym nie poradziłam? Czyżby istniały jakieś matczyne geny, które ułatwiają podobne sprawy, gdy zostaje się matką? Co nie oznacza, że ja kiedykolwiek

chciałabym być matką; nawet w najgorszych snach mi się to nie śniło. Lubię jednak właściwie wywiązywać się z powierzonych sobie zadań. Nie znoszę przegrywać.

Ze strachu, by nie wygadały się przed wujkiem Darrenem, że musiała je przebrać miła obca pani, posuwam się do przekupstwa. Obiecuję każdej po jednym funcie, Charlotte jednak informuje mnie, że za coś takiego należy jej się nowy strój dla jej Barbie i wyprawa do McDonalda. Powinam się zezłościć, lecz podziwiam zmysł do interesów tej małej i jestem przekonana, że daleko zajdzie.

Darren milczy na temat faktu, że spędziłyśmy w szatni czterdzieści pięć minut. Widząc nas, macha radośnie z brodzika dla dzieci, gdzie spokojnie podtrzymuje gulgoczącego ze szczęścia Bena.

Zanurzam się w wodzie, starając się nie myśleć o siuškach. Podaję Darrenowi skrzydełka do pływania dziewczynek. Nie pozostawiam cienia wątpliwości, że teraz jego kolej.

— Potrzymasz Bena?

Kiwam tylko głową, nie mając odwagi otworzyć ust, nie mam bowiem pewności, co mogłoby się z nich wydobyć. Darren uśmiecha się szeroko i podaje mi dziecko. Całe szczęście, że mały nie zaczyna płakać. Uśmiecham się do niego ujmująco w nadziei, że mój talent do postępowania z mężczyznami nie zawiedzie przy kimś tak małym. Darren wychodzi z basenu.

Jezu, jest boski.

Musi dużo ćwiczyć. Mięśnie ma sprężyste i wspaniale rozwinięte. Na udach i ramionach połyskują mu kropelki wody. Na ich miejscu także bym połyskiwała. Z dreszczykiem podniecenia dostrzegam, że pierś i nogi ma owłosione, ale plecy gładkie. Brodawki mi twardnieją, rysując się wyraźnie przez cienki materiał kostiumu. Cholerna taniocha, bez wkładek.

Darren nakłada dziewczynkom skrzydełka i wpuszcza je do brodzika obok mnie. Sam siada na brzegu i macha sobie nogami. Bezmyślnie zgina i prostuje nogi w kolanach. Moje kolana mięknią jak plastelina, a ciało płonie. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Jest całkowicie, skończenie piękny. Poczynając od opalonych stóp, poprzez zadbane kwadratowe paznokcie — nie, żółte i zawijające się, jakie większość facetów z upodobaniem hoduje — długie, umięśnione nogi, na płaskim, twardym brzuchu kończąc. Żaden tam sześciopak, skądże znowu — to cała półka w sklepie monopolowym. Marzę, by zanurzyć palce we włosach porastających jego pierś. Zgubić je tam i nigdy więcej nie odnaleźć. Ramiona ma potężne i kwadratowe. Wyglądają jak wypolerowane. Obserwuje dzieci nieświadomy, że pożeram wzrokiem każdą kropelkę chloru spływającą po jego ciele.

Lśniące włosy kręcą mu się niesfornie u nasady szyi, a mnie zżera zazdrość. Chcę być jednym z jego loczków; chcę być kroplą chloru, wodą w basenie i siuškami.

Ponieważ nie spuszcza oczu z chlapiących się i baraszkujących dzieci, zdobywam się na odwagę, by zlustrować jego kąpielówki.

HOOOOO-HOOO-HOOOO.

Witaj, Wielkoludzie.

— Mam wziąć Bena?

— Słucham?

O mało nie puszczam chłopca, tak jestem zmieszana. Lepszego momentu do rozpoczęcia rozmowy nie mógł sobie chyba wybrać. Unikając jego wzroku, podaję mu Bena. Czuję się jak dzieciak przyłapany z ręką w słoju z cukierkami. Zmuszam się, by na niego popatrzeć, i widzę, że znowu się uśmiecha. Cieszę się, że jestem taka zabawna. Wściekła i zawstydzona, z ponurą miną gramolę się z brodzika, podczas gdy on do niego wskakuje. Próbuje coś do mnie mówić, ale na darmo się wysila. Dopiero kiedy zauważam, że taksuje wzrokiem moje cycki, humor mi się poprawia. I to znacznie.

Po wyjściu z basenu idziemy do McDonalda. Darren jest nieco zdziwiony, że wybieram takie miejsce, ja jednak uśmiecham się tylko tajemniczo. Dopiero kiedy Lucy zabiera się do drugiej porcji czekoladowego shakera, a ja dwukrotnie odwiedziłam z Charlotte toaletę (bez niczyjej pomocy), przypomina mi się, że powinnam sprawdzić, czy nie mam nagranych żadnych wiadomości na komórce. Nie mogę uwierzyć, że zapomniałam zadzwonić do Fi i Bale'a. Niemożliwe, żebym aż tak świetnie się bawiła. Przecież nie jestem ani na zakupach, ani nie siedzę w klubie. Normalnie, gdy wychodzę ze studia, sprawdzam swoją skrzynkę odbiorczą co dwadzieścia pięć minut.

Mam sześć wiadomości.

Cześć, Cas. Tu Fi. W nocy przejrzałam akta i wybrałam trzy możliwe scenariusze na przyszły tydzień. Mam zorganizować przesłuchania? Jeżeli tak, musisz zatwierdzić nowy budżet. Zadzwoń.

Cześć, Cas, tu Josh. Issie powiedziała mi, że uganasz się nie wiadomo gdzie za jakimś facetem. Co jest grane? Czy to transwestyta? Świetnie wypadłby w programie. Zadzwoń, jak odsluchasz.

Cas. Tu znowu Fi. Ponieważ się nie odzywałaś, sama postanowiłam przeprowadzić przesłuchania. Chyba znalazłam zastępstwo. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Przy tak napiętych terminach w zasadzie nie miałam wyboru. Możesz do mnie zadzwonić? E, pozdrów ode mnie Darrena. Powiedz mu, że ja jestem ta w niebieskim kaszmirowym sweterku. Nie, olej to.

Cas, tu Issie. I coooooooooo? Jak się mają sprawy z panem Byczkiem z Północy?

Jocasto, mówi twoja matka. Boże, jak ja nienawidzę tych urzędzeń. Słyszysz mnie?

Cas, tu Bale. Zadzwoń.

Nic pilnego. Wyłączam komórkę.

Kiedy nareszcie odwozimy dzieci do Sarah, jestem tak wykończona, że nie mam siły nawet odmówić zaproszenia na kolację. Normalnie zrobiłabym to bez problemu i w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości.

— Zostań, mamy dzisiaj lasagne. Tata z mamą wyszli do pubu, Richard jest u Shelly, Linda jest u nas. W domu nie ma nikogo. Chcesz się sama objąć po pustych pokojach?

Gdy tylko to usłyszałam, doznałam nagłego przyływu energii. Nieomal wyłamując Darrenowi ramię ze stawu, wyciągam go z kuchni Sarah i wpycham do samochodu. Śmiejąc się, przekręca kluczyk w stacyjce.

— Masz dość dzieci jak na jeden dzień?

Ogarnia mnie poczucie winy. Może chciał zostać, tylko jest zbyt dobrze wychowany, by mi się sprzeciwić; było nie było, mieszka w Londynie i nie ma zbyt wielu okazji spotykać się z rodziną. Lecz ramiona mam obolałe od zdającej się nie mieć końca zabawy w „raz, dwa, trzy, kręcącymi się”, cuchnącymi dziecinnymi rzygowinami, mózg mam wyprany od nieustannego wymyślania odpowiedzi na miliardy pytań zaczynających się od „dlaczego” (z których większość zadawał Darren). A co najważniejsze, odkąd wyszłam z basenu, nie miałam czasu pomalować się od nowa.

— Szczerze mówiąc, tak. Nie przywykłam do dzieci. Nie mam żadnych bratanków ani siostrzeńców.

— Musisz mieć jakichś znajomych z dziećmi — mówi Darren.

Niech się zastanowię. Nie, raczej nie. Pracujące w telewizji kobiety z rzadka oddają się prokreacji, a znajomi z innych firm dziwnie znikają z chwilą gdy rodzą im się dzieci. Zapewne zmienia im się rozkład dnia.

— Nie — odpowiadam z uśmiechem. — Prawdę powiedziawszy — wyznaję w przyływie szczerości — nie przyszło mi dotąd do głowy, że kiedykolwiek będę jakieś dziecko trzymać, ubierać, czesać, prowadzić do ubikacji, zmieniać mu pieluchy czy karmić.

— Serio?

— Serio — potwierdzam.

Czuję się lekko zawstydzona i nie wiem, jak Darren to przyjmie. Z całą pewnością wysoko sobie ceni talenty matczyne u swoich kobiet. Faktem jest, że faceci na ogół lubią, gdy kobiety potrafią sobie radzić z dziećmi. Większość kobiet zaś lubi sobie wyobrażać, że potrafią być cierpliwe, pełne troski i miłości. Większość, ale nie ja. Nic mnie to nie obchodzi. Cóż, zależało mi, żeby właściwy but trafił na odpowiednią nogę, ale wyłącznie dlatego, że lubię wszystko robić jak należy. Już jako dziecko nie znosiłam przegrywać w grze w krzesła. Drugie miejsce to żadne

miejsce. Jeżeli warto się do czegoś zabierać, trzeba dać z siebie wszystko. Oto moje życiowe motto. I nie ma nic wspólnego z chęcią wywarcia na nim odpowiedniego wrażenia. Nie obchodzi mnie, co o mnie myśli. Spoglądam na niego ukradkiem, by sprawdzić, jak przyjął moje wyznanie. Samochód Richarda jest tak mikroskopijny, że Darren siedzi w nim poskładany jak scyzoryk. Z uwagą wpatruje się w krętą drogę. Włączył długie światła, a wycieraczki walczą z zalewającymi przednią szybę strugami deszczu. Obawiam się, że jest to z góry przegrana bitwa.

— Jesteś niesamowita — mruczy, nie odrywając wzroku od drogi.

Jestem niesamowita! Chce mi się śpiewać i tańczyć. Jestem niesamowita? Jasne, ileż to już razy słyszałam wcześniej?

Jestem niesamowita! Chce mi się śpiewać i tańczyć.

Jestem niesamowita. Pewnie każdej to powtarza.

Udaję, że nic nie słyszałam, i zamykam oczy, postanawiając krótką drogę do domu państwa Smithów wykorzystać na drzemkę.

Budzę się i widzę przed sobą uśmiechniętego młodego Kevina Keegana. Gdzie ja jestem? Leżę na wąskim, jednoosobowym łóżku z gryzącą nylonową pościelą w różnych odcieniach brązu. Rany boskie — przespałam się z kimś o bardzo niewybrednym guście. Słyszę śmiejące się w ogrodzie dzieci i wyglądam przez okno.

Darren.

I Charlotte, i Lucy. Dzień jest szary i ponury. Szara trawa, szare niebo. Lecz Darren i dziewczynki, ich śmiech i kolorowe ubrania stanowią wesołą barwną plamę na tle ponurego horyzontu. Wiedziona nagłym impulsem zaczynam bębnić w okno i jak szalona wymachiwać do nich rękami. Wszyscy w trójkę podnoszą do góry głowy i także machają. Nagle przypominam sobie, że dopiero co wstałam z łóżka i nie mam makijażu, daję więc nura pod kołdrę, by nie mogli przyjrzeć mi się dokładniej. Rozlega się pukanie do drzwi i zanim zdążę odpowiedzieć, do pokoju wpada pani Smith. Od jej serdecznego uśmiechu robi mi się ciepło na sercu. Może dowiedziała się, jak świetnie radziłam sobie wczoraj z dziećmi, i zaczyna spoglądać na mnie przychylniejszym okiem. Na czym i tak nic a nic mi nie zależy. Nie potrzebuję i nie chcę jej aprobaty. W zasadzie.

Podaje mi filiżankę herbaty tak mocnej, że łyżeczka stoi w niej na baczność. Przyjmuję ją z podziękowaniem.

— No, no, zdaje się, że byłaś porządnie zmęczona.

Robi mi się trochę nieswojo, miłe uczucie pryska jak bańka mydlana. O, psiakrew, teraz sobie przypominam. Wczoraj wieczorem rzeczywiście byłam zmęczona. Zbyt zmęczona, żeby przekonująco argumentować za moim programem, i na tyle zmęczona, by dać się prowokować. Bawiliśmy się świetnie. Ponieważ nie mieliśmy pod ręką wina ani ginu, postanowiliśmy

przypuścić atak na barek rodziców, wykładany drewnem orzechowym koszmarek, pamiętający chyba czasy Arki, słusznie ukrywany w „pokoju frontowym”. Oboje byliśmy zgodni, że tequila idealnie pasuje do tostów z serem. (Desperacki wybór w godzinie potrzeby. Wszystko inne było w odblaskowych kolorach i wyglądało na radioaktywne). Uznałam, że skoro mamy cały dom dla siebie, nikt z rodziny nam nie przeszkadza, możemy swobodnie porozmawiać o programie. Darren odnosił się do mnie z coraz większą serdecznością miałam więc nadzieję, że chętnie przystanie na szczerą rozmowę. Myliłam się. Rozmowa była krótka, zdecydowana i raczej chłodna.

Darren odwrócił się do mnie plecami i zajął ucieraniem sera. Włoski na karku mu się podniosły, a ja walczyłam z pokusą by na nie dmuchnąć.

— Nie twierdzą, że masz iść z Claire do łóżka. — Boże uchowaj. — Po prostu sprawdź, co by się stało. Zdaj się na los.

— Ale twój program nie jest o tym. Los czy przypadek nie mają tu nic do rzeczy, nic nie dzieje się w nim naturalnie. Celem twojego programu jest wypaczenie, zniekształcenie. Budzi w ludziach to, co w nich najgorsze. — Spoglądał na moje odbicie w oknie na tle nocnego nieba.

— To, co w nich najgorsze, na ogół jest normą.

Cmoknął zniecierpliwiony. Ale przynajmniej odwrócił się do mnie przodem. Może jednak zrobił to tylko po to, by ułożyć grzanki w opiekaczu.

— Nieprawda. To ty uważasz, że wszystko, co nienormalne, jest normalne, ponieważ na tym opiera się całe twoje życie.

To już szczyt bezczelności. Cóż on wie o moim życiu? Poza tym, o czym rozmawialiśmy w Oxo, w pociągu i dzisiaj. To jednak zdecydowanie za mało. Dowiedział się jedynie, jaki koktajl uwielbiałam w dzieciństwie. Aha, i dzisiaj po południu poflirtowaliśmy trochę, prowadząc pełną aluzji i niedomówień — były z nami dzieci — rozmowę na temat różnorodności zapachowej kondomów. Z drugiej jednak strony połowa facetów w TV6 wie, że najbardziej odpowiadają mi prezerwatywy o zapachu bananowym.

Żaden jednak nie ma pojęcia, że przepadałam za koktajlem czekoladowym.

— Niewierność to fakt niezaprzeczalny — powiedziałam, patrząc mu w oczy. — Podobnie jak nielojalność.

— OK. Być może. Ale fakt przerażający i taki powinien pozostać. Ale neutralizuje się go, bez przerwy pokazując zdradę jako ogólnie akceptowaną formę rozrywki. Czyżbyś była aż tak zepsuta, że tego nie dostrzegasz?

Byłam zmęczona i miałam dość tej jego świętoszkowatej postawy. Nagle zorientowałam się, że krzyczę.

— Kogo dokładnie pragniesz chronić przed kulturowymi i moralnymi normami Zachodu?!
— wyrzeszczałam, zamiast mu odpowiedzieć. — Przecież ja nie mówię o niczym innym, jak tylko o tym, czemu wszyscy wokół i tak na co dzień z pasją się oddają.

Umilkliśmy oboje. Darren z uwagą zajął się wyjmowaniem grzanek z serem z opiekacza. Postawił je przede mną i spytał, czy mam ochotę na sos Worcester. Odmówiłam. Nalałam mu tequili, nie tknął jej. Zjedliśmy w ciszy, po czym pokonana poszłam samotnie do łóżka.

Teraz próbuję znaleźć swój zegarek.

— Jest pół do czwartej, kochanie — mówi wesoło pani Smith.

— Po południu? — Zrywam się gwałtownie. Pani Smith mierzy wzrokiem mój koronkowy negliż.

— Tak, po południu. Bardzo musiałaś być zmęczona, kochanie. Nawet nie zauważyłaś, że tu jest strasznie zimno. Gdybym wiedziała, że masz do spania tylko tę haleczkę, pożyczyłabym ci jedną z moich koszul nocnych.

Porządnie zawstydzona wracam do łóżka i przykrywam się kołdrą pod brodę, uciekając przed jej pełnym jawnej dezaprobaty wzrokiem. Haleczka, też coś! Specjalnie wybrałam na ten wyjazd najskromniejszą i najbardziej praktyczną z moich koszulek nocnych. Normalnie sypiam nago. Jeśli według pani Smith jest to „haleczka”, ciekawe, jak nazwałaby moje majtki?

— Darren chciał cię obudzić, ale powiedziałam mu: „Niech śpi”. Widać, że było ci to potrzebne. Właśnie wybiera się z dziećmi na karuzelę. Pomyślałam, że pewnie zechcesz się wykapać, a potem zastanowimy się, co by tu zjeść.

Grzecznie przytakuję, chociaż na samą myśl o zjedzeniu czegokolwiek mój żołądek od razu się buntuje. Wszystkie te słodczy, ciastka z czekoladą, babeczki, hamburgery i na koniec tosty z serem, które wczoraj pochłonęłam, stanowią ilość większą, niż normalnie zjadam w tydzień. Na pewno świeże powietrze tak zaostrzyło mój apetyt.

— Która jest godzina?

— Teraz już prawie za dwadzieścia czwarta.

— Jaki dziś dzień? — Na ogół nie jestem tak zdezorientowana, ale też na ogół nie zdarza mi się spać siedemnaście godzin bez przerwy, nigdy też nie sypiam w nylonowej pościeli.

— Wtorek.

— Psiakrew.

— Słucham? — Pani Smith patrzy na mnie wstrząśnięta, nie mam jednak czasu na przeprosiny.

— Psiakrew. Psiakrew. — Rozpaczliwie przekopuję torbę w poszukiwaniu telefonu. — Psiakrew. Czternaście wiadomości.

Pani Smith cmoka z dezaprobatą i wychodzi, pozostawiając mnie samą sobie. Przypuszczam, że spokojnie mogę założyć, iż nawet jeżeli pani Smith zaczynała — choć z pewnymi oporami — odnosić się do mnie nieco przychylniej, teraz szansę na jej aprobatę zaprzepaściłam ostatecznie. A co mnie to obchodzi. Biorę się do odsłuchiwania wiadomości.

Pierwsza jest od Issie. Kochana przyjaciółka przypomina o moim noworocznym postanowieniu, że kończę z przypadkowym seksem. Ha, ha, jakbym w ogóle miała na to szansę. Darren nie ma nawet ochoty na wymianę zwyczajowych grzeczności, cóż więc tu mówić o płynach ustrojowych. A zresztą, o czym ona w ogóle mówi? Przecież nie po to tu jestem. Przyjechałam, żeby zjednać sobie Darrena, tak by zgodził się wystąpić w programie. Nic ponad to. Zdawało mi się, że wytłumaczyłam jej to wystarczająco jasno.

Wszystkie pozostałe wiadomości dotyczą pracy.

Cas, błagam, zadzwoń do mnie. Jest wtorek rano. O której wracasz? Czy przekonałaś Darrena, żeby wziął udział w programie?

Fi jest wyraźnie zdenerwowana i czuję się winna, że tak ją pozostawiłam na pastwę losu. Jest świetną asystentką, ale jak dotąd nigdy nie musiała podejmować żadnych decyzji. Cóż, może za bardzo staram się wszystko kontrolować i pora, by nieco odpowiedzialności przekazać Fi. Prawdopodobnie radzi sobie świetnie. Przeskakuję kilka następnych wiadomości, aż dochodzę do kolejnej od Fi. Są od niej jeszcze trzy. Tak w pierwszej, jak i w drugiej nie kryje narastającej złości. W trzeciej natomiast w sposób opanowany i pewny siebie zawiadamia mnie, że znalazła kogoś na miejsce Darrena, a Claire i Marcus zgodzili się na zmianę harmonogramu. Ze szczegółami wyjaśnia, w jaki sposób wykorzysta jednocześnie dwóch producentów. Jeden będzie w studiu montował, drugi filmował w szkole, a następnie role się odwrócą. Pomysł jest dobry i pozwoli zyskać na czasie. Na koniec dodaje, że spodziewa się mnie w środę rano, mówiąc z naciskiem: „Tak jak obiecałaś”. Bale nie bawi się w takie subtelności.

Cas, gdzie ty się, kurwa, podziewasz? Zresztą gównu mnie to obchodzi. Zadzwoń.

Pozostałe trzy wiadomości od niego są w podobnym tonie. Nagrały mi się także Di, Debs i Ricky. Jakiś biskup napisał do „Timesa” list, w którym potępia program. Co jest wiadomością po prostu wspaniałą. Di i Debs chcą wiedzieć, jak mają sobie radzić z prasą. Idiotki. Czy bez przerwy mam ich wszystkich prowadzić za rączkę? Ricky zabiega o zmianę ramówki, tak aby program mógł być wyemitowany w walentynki. I natknął się na mur nie do przebiccia. Lub raczej na kierownika homofoba, władnego podobne zmiany zablokować lub wprowadzić je w życie. Szczególny wrodzony urok Ricky'ego w tym przypadku może okazać się jedynie przeszkodą. Ja uporałabym się z tym błyskawicznie, zapraszając faceta na lunch. Dzwonię do Ricky'ego i każę mu umówić nas na piątek. Następnie dzwonię do Fi i dopiero, gdy informuję ją że wbrew

wcześniejszym obietnicom nie wracam dzisiaj, lecz nazajutrz rano — wieczorem najpóźniej — dociera do mnie, że właśnie tak postanowiłam.

— Cas, nie musisz już tam siedzieć, znalazłam zastępstwo.

— Zgadza się, ale mam wrażenie, że Darren mimo wszystko może się poddać, a ja w dalszym ciągu uważam, że program z nim byłby prawdziwym hitem. — Wierutne kłamstwo, ale do mnie to nie dociera.

— O tak, on jest fantastyczny. — Fi przytakuje entuzjastycznie.

— Zależy co kto lubi.

— Dobrze się bawisz?

— Nie bardzo. On jest okropnie humorzasty. W jednej chwili uroczy i czarujący, po czym nagle wściekły jak osa. No i jeszcze ta jego upiorna rodzinka. Poza tym to okropne zadupie i zimno tu jak w psiarni. — Zawsze twierdzę, że każdemu, kto pyta, należy się prawda, cała prawda i tylko prawda.

— Ależ ty się potrafisz poświęcić dla pracy.

— Jakżeby inaczej. Fi, posłuchaj, myślę, że lepiej będzie, jeśli na razie nie wspomnisz Bale'owi, że mamy już zastępstwo. On nie widział Darrena, więc nie zrozumie, dlaczego tak się na niego uparłam. — Fi chichocze, żeby więc nie było żadnych niedomówień, szybko dodaje: — Ze względu na program.

— Jasne — mówi, a ja słyszę w jej głosie wyraźną drwinę. Głupia krowa. — Uważaj, żebyś się w nim nie zabujała.

— To nie wchodzi w grę. Ktoś taki jak Darren nie ma u mnie żadnych szans. Czy ja się nazywam Kylie albo Sharon?

Fi parska śmiechem.

— Bale'owi nie pisnę słówka, ale najpóźniej w czwartek rano musisz być w pracy. Dłużej nie możemy już czekać. Sama sobie nie poradzę, jesteś tu potrzebna.

Jasne, że jestem.

Po kąpieli przychodzi mi ochota, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zieleń awokado nigdy nie była moim ulubionym kolorem do łazienki. Postanawiam przyłączyć się do Darrena i dzieci. Zresztą i tak nie mam nic innego do roboty. Wchodzę na molo i dostrzegam ich, jak idą plażą, w zasadzie pustą jako że jest styczeń i zimno panuje wręcz arktyczne. Każdy z odrobiną zdrowego rozsądku siedzi teraz przy kominku lub — w wersji mniej romantycznej — przed telewizorem, przy włączonym grzejniku. Wołam do nich i macham, a Lucy i Charlotte, ku mojemu zdumieniu, zaczynają biec ku mnie, starając się jak najszybciej przebierać małymi nóżkami. Jak w reklamie

Calvina Kleina ruszam im na spotkanie, także biegiem. Ale wyłącznie dlatego, że wiem, iż doskonalenie się zaprezentuję.

— Cześć — uśmiecha się Darren.

Wczorajsza sprzeczka puszczona w niepamięć? Nie mając pewności, całą uwagę skupiam na dziewczynkach. Wiem, że bacznie obserwuje, jak oglądam ich jabłuszka toffi i plastikowe koszmaki, na które go naciągnęły.

— Jak widzę, zaczynasz przywykać do dzieci. I do kaloszy — mówi.

Kalosze należą do pana Smitha. Dopiero co przeżyłam chyba najgorsze pół godziny w swoim życiu. Pani Smith autorytatywnie stwierdziła, że moje spodnie z Mulberry z szerokimi nogawkami stanowczo są zbyt porządne na uganianie się po plaży, i uparła się, że pożyczy mi swoje „galoty”. Na widok moich szpilek wybuchła śmiechem i poszła poszukać jakichś kaloszy. Buty noszę w rozmiarze 40, co zostało przyjęte z niekłamanym zdziwieniem przez wszystkich mieszkańców Whitby, których pani Smith obdzwoniła, usiłując znaleźć dla mnie odpowiednie gumowce. Nikt takich nie miał. Najwyraźniej w północnym Yorkshire nadal krępuje się kobietom stopy. Wielkim upokorzeniem było dla mnie odkrycie, że jestem najbrzydszą z sióstr Kopciuszka, gdy usiłowałam wepchnąć stopy w kalosze Shelly, rozmiar 39. Nie omieszkałam zauważyć, że tanie modele na ogół wypadają mniejsze, niż powinny. Pani Smith skwitowała to wesołym śmiechem i wręczyła mi kalosze pana Smitha. Są na mnie za duże i noga mi się z nich wyślizguje, ale przynajmniej dałam radę je nałożyć. Nie udało mi się wyjść z domu bez rękawiczek z kożuszkami, skafandra z kapturem, szala i budrysówki, w rodzaju tych, które większość dziewczynek nosiła w szkole. Większość, ale nie ja. Zawsze się przeciwko nim buntowałam. Na pani Smith jednak moje protesty nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Powtarzała w kółko, że u nich w styczniu jest zimno, a ja nawet sobie nie wyobrażam jak bardzo. Subtelna aluzja do mojego południowego pochodzenia. Tłumaczyłam jej, że na północ przyjechałam nie po raz pierwszy — w końcu studiowałam w Manchesterze. Prychnęła, dając wyraz szyderstwu połączonemu ze współczuciem.

— Trudno to nazwać północą, nie uważasz, kochanie?

No i teraz wyglądam jak pracownik Michelina. Oni przynajmniej mają strój dopasowany kolorystycznie. Darren obrzuca wzrokiem mój wyszukany zestaw. Jak to możliwe, że on nie marznie, a mimo to ubrany jest elegancko i z klasą?

— Widzę, że mama odpowiednio cię wystroiła.

Nie zamierzam zaszczycać go odpowiedzią. Ciekawe, czy uważa, że jest zabawny, czy też chce mnie wkurzyć? Najgorsze, że nie jestem pewna, czy ja jestem wkurzona. Bardzo dziwne.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam niepewna tylu rzeczy naraz. Chcę powiedzieć Darrenowi, że czuję się lepiej po maratonie snu, jaki sobie zafundowałam. Co więcej, nie potrafiłabym powiedzieć, kiedy czułam się tak wyśmienicie. Chcę mu też powiedzieć, że po przebudzeniu wszystko stało się dla mnie zdumiewająco jasne i chociaż nie podzielałam jego zdania, przyjmuję je do wiadomości. I, chociaż niechętnie, szanuję. Lecz nie mogę tego zrobić, bo jak wytłumaczę mu wówczas, że postanowiłam zostać jeszcze na jeden dzień? I jak miałabym mu powiedzieć, że wbrew temu, czego się spodziewałam, podoba mi się tutaj? Jest tak spokojnie.

I przerażająco. Próbuję być szczerą, przynajmniej ze sobą. Wydawało mi się, że toczę bitwę z Darrenem, teraz jednak widzę, że jeśli rzeczywiście tak było, przegrałam ją.

Lubię go.

Jest seksowny, dowcipny i inteligentny, ale takich zdarzało mi się spotkać nie raz. Ale jest też dobry, porządny i bezpośredni, a z tym spotykam się po raz pierwszy. Lubię go, i to bardzo, i kiedy sobie to uświadamiam, dociera do mnie, że czeka mnie zupełnie nowa wojna. Obawiam się, że mam do czynienia ze znacznie potężniejszym, twardszym, złym i bezwzględny przeciwnikiem niż Darren. Wojna, którą przyjdzie mi stoczyć, będzie wojną z samą sobą. Jego lubię, lecz siebie za to nienawidzę. Bo czyż nie tego właśnie starałam się przez całe życie unikać? Wiem, że powinnam natychmiast się spakować i wsiadać do pierwszego pociągu do Londynu. Uciekać jak najszybciej z tej strefy zagrożenia. Ale nie mogę.

Wiem, że gdybym tak postąpiła, nigdy nie uwolniłabym się od Darrena. Zastanawiałabym się, czy rzeczywiście istniał. Wyobrażałabym sobie, że jego spojrzenie na życie — otwarte, szczerze, pełne optymizmu — jest mimo wszystko możliwe. I w ten sposób zniszczyłabym siebie.

Jeżeli natomiast zostanę, istnieje szansa, że Darren w końcu ukaże mi swoje prawdziwe oblicze, które nie może być przecież tak doskonałe, jak mi się w tej chwili wydaje. Pozostaje mi więc tylko udawać spokój i opanowanie, do perfekcji wypracowane przez dwadzieścia sześć lat, i nie tracić nadziei, że spędzając z Darrenem więcej czasu, w końcu się nim znudzę. Nie jest to może najlepsza strategia, ale zastosuję się do niej, choćby dlatego, że aktualnie nie mam żadnej innej do wyboru.

Zaczynamy iść brzegiem morza. Ze strachem wyczekuję, że zapadnie między nami niezręczna cisza. Darren jednak rozprawia z ożywieniem. Jego wiedza na temat lokalnej historii i ciekawych miejsc jest obrzydliwie wręcz dokładna i obszerna.

— Powiada się, że Lewis Carroll napisał większość swojej *Alicji w Krainie Czarów*, siedząc na tych właśnie piaskach.

— Poważnie? — Nie bardzo wiem, do czego zmierza.

— W czasach rzymskich prawdopodobnie w tym właśnie miejscu wznosił się punkt sygnalizacyjny.

— Niesamowite. — Podoba mi się ton, w jaki udało mi się uderzyć. Słowo wybrałam odpowiednie, wypowiedziałam je jednak w sposób sugerujący, że lepiej bym się bawiła, czyszcząc piekarnik.

— Chodźmy w stronę Flowergate. Możemy zajrzeć do Sutcliffe Gallery.

W galerii musimy podziwiać miliard zdjęć w kolorze sepii. Po obejrzeniu czterech milionów siedmiuset czterdziestu pięciu tysięcy jego upór zaczyna wzbudzać mój podziw. Zdjęcia są niezwykle ciekawe, staram się jednak, by nie zauważył, że mnie interesują. Darren udaje, że nie zauważa mojego udawanego braku zainteresowania. Ta zabawa w kotka i myszkę jest niezwykle męcząca, nawet dla takiej starej wyjadaczki jak ja. Idziemy dalej, przechodząc na drugą stronę rzeki. Darren pokazuje widniejący w oddali kościół.

— Pochodzi ze sto dziesiątego roku naszej ery. Widzisz ten cmentarz? Legenda głosi, że tam jest pochowany Dracula.

Uśmiecham się, by sprawić mu przyjemność.

— A to chyba opactwo Świętej Hildy? — pytam. Wytrzeszcza na mnie oczy ze zdumienia.

— Jak najbardziej.

Cieszę się, że nie pyta, skąd o tym wiem, tylko zakłada, że należę do tych godnych podziwu ludzi, którzy wiedzą przeróżne rzeczy na każdy niemal temat. Jak na przykład on sam. Jest tym tak zachwycony, że nie mogę oprzeć się pokusie.

— Wiedziałeś, że pierwotne opactwo zamieszkiwali mężczyźni wraz z kobietami, ale zniszczyli je Duńczycy? — chełpię się swoją wiedzą.

— W osiemset sześćdziesiątym siódmym roku. — Kiwa głową z entuzjazmem.

Zimno panuje tak przeraźliwe, że widzę szron na jego włosach, jednak jego uśmiech zdaje się ogrzewać całe miasto. W tym także moje majtki. Zastanawiam się, czy nie powinnam wskoczyć do rzeki i odpłynąć, najdalej jak się da. Wybierając opcję mniej dramatyczną, mówię dalej.

— Hilda była krewną króla Oswta, prawda?

— Masz całkowitą rację. — Jest bliski orgazmu.

Wiedza to potęga. Na szczęście nie docieka, skąd posiadam tak szczegółową wiedzę o Smallsville, jego rodzinnym mieście. Jego radość jest wręcz śmieszna. Jakaś cząsteczka mnie wzdragałaby się przed sprawieniem mu zawodu. Prawda zaś jest taka, że Fi przysłała mi na komórkę SMS z wszystkimi tymi danymi oraz jeszcze kilkoma innymi na temat Whitby. Do każdego tematu przygotowujemy się zawsze z największą starannością.

— Chcesz obejrzyć opactwo? — pyta.

Opactwo wznosi się na szczycie klifu i choć niespecjalnie marzy mi się wspinaczka, kiwam głową, że owszem.

— Podoba ci się Whitby?

Uważam, że jest zimne i prowincjonalne. Nigdy bym nie przypuściła, że na widok Woolworthsa ucieszę się tak, jakbym zobaczyła dział z jedzeniem u Harrodsa. Odwracam się do Darrena, by mu to powiedzieć, i widzę, że wpatruje się w morze. Woda lśni turkusowo, a spienione fale rozbijają się o piasek w barwie brzoskwini. Gdzie się podziała wszechobecna wcześniej szarość?

— Co za niezwykły widok — mówię cicho. Darren uśmiecha się uszczęśliwiony.

— To prawda. Wiedziałem, że ci się spodoba. Ta mieszanina kolorów, zapachów i dźwięków. Niesamowicie pobudza zmysły.

Skórę ma chłodną i przejrzystą, pięknie opiętą na silnie zarysowanych kościach policzkowych. Moje zmysły także są pobudzone, nie wiem jednak, czy tylko pod wpływem rybiego zapachu sieci i smaru. Idziemy brukowanymi uliczkami. Zadziwiające, że dzieci nie jęczą iż muszą się wspinać na kilkaset stromych schodów; wręcz przeciwnie — wydają się zachwycone, chcą bowiem obejrzeć wiekowe nagrobki. Darren przyjmuje to jako rzecz oczywistą mogę więc tylko zakładać, że tu, na północy, to coś zupełnie naturalnego. Spacer zajmuje nam nieco czasu, jako że staram się robić co w mojej mocy, by nie zbliżyć się zanadto do żadnej mewy. Dam sobie głowę uciąć, że mewy w Whitby to małe słońtka w przebraniu. Ich nieustanny, głodny krzyk jest wręcz ogłuszający. Wyglądają też groźnie, i choć ludzie mówią, że dla tego, kogo potraktują jako swoją toaletę, oznacza to szczęśliwą wróżbę, osobiście wolałabym, by mnie ten zaszczyt został oszczędzony. Dzieciom i sobie funduję lody. Darren jest zdecydowany zachowywać się stosownie do swojego wieku i odmawia, dając nam do zrozumienia, że jest za zimno na podobne ekstrawagancje. Charlotte spogląda na niego ze szczerym współczuciem, jak na zbłąkaną duszę. Dolatuje mnie zapach ryby z frytkami, a dokładniej — przesiąkniętej octem gazety. Gdy wchodzimy wyżej, powietrze przesycone jest dymem z komina.

Wreszcie docieramy do kościoła i dziewczynki wyruszają na poszukiwanie grobu Draculi, a ja wściekle zaciągam się papierosem, nie zważając na to, że w ten sposób przyspieszam moment, gdy dołączę do słynnego wampira.

— Miałaś jakieś wiadomości ze studia? — pyta Darren.

— O, tak. Dzwonili z kilkanaście razy. Najwyraźniej tęsknią tam za mną.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Nie zdradzam mu, że Fi znalazła zastępstwo za niego, jeśli bowiem to zrobię, bez wątpienia zapyta, czemu jeszcze w takim razie nie wyjechałam.

— Jestem przekonany, że kiepsko sobie bez ciebie radzą, Cas. Tak ambitny program bez wątpienia wymaga twojego wyjątkowego intelektualnego wsparcia.

Czuję się dotknięta do żywego. Wydawało mi się, że miło spędzamy wspólnie czas, nawet wśród całej tej tandety. Ja się przynajmniej staram — czemu on nie może?

— Za co ty mnie tak nienawidzisz? — pytam wprost.

— To nieprawda. Lubię cię. Po prostu nie znoszę twojego programu.

Hmmm. Lubi mnie.

Hmmm. Najwyraźniej jednak nie dość. Najchętniej zmieniałabym temat, porozmawiała o rybołówstwie lub wydobywaniu gagatu, co nagle wydaje mi szczególnie interesujące. Nie mogę jednak. Darren rzucił mi rękawicę, skalał moje gniazdo. Muszę zareagować.

— Ale to mój program. Ja go wymyśliłam.

— I jesteś z tego dumna?

— Jestem. I to bardzo. TV6 miała poważne kłopoty, ludzie mogli stracić pracę.

— Nie mogłaś wpaść na coś lepszego, bardziej pouczającego?

— Uważam, że mój program jest bardzo pouczający — odpowiadam ze złością. — To ostrzeżenie, jeśli ktoś ma dość rozsądku, by go posłuchać. Pomagam dojść cywilizacji do ładu ze sobą.

Jezu, przerabialiśmy to już wczoraj. Po co znowu do tego wracać? Nigdy nie przyznam mu racji, ani on mnie. Ja miałam powód, by przekonać go do swojego punktu widzenia — zgodziłby się wtedy wystąpić w programie. Czemu jednak on z takim uporem stara się, bym ja spojrzała na to tak, jak on to widzi? Co mu z tego przyjdzie? Czego on chce ode mnie?

— Twój program nikomu nie pomaga. On tylko oszukuje cywilizację. — Zaczyna podnosić głos. Wobec tego ja postanawiam zachować irytujący spokój. Uwielbiam być górą.

— Ogląda go prawie dziewięć milionów widzów, a dokładnie — dziewięć milionów sto tysięcy w zeszłym tygodniu. Di dzwoniła, żeby mi o tym powiedzieć.

— Och, nie da się ukryć, że przykuwa uwagę i zużywa energię, ale jednocześnie ignoruje to, co w życiu najważniejsze. — Tupie nogą, a ja nie wiem, czy z zimna, czy też daje w ten sposób upust złości. Macha ręką co przyciąga uwagę spacerującej z psem kobiety.

— I co z tego?

— Twój program dociera do widzów, ale wyłącznie powierzchownie. — Gapię się na niego, nic nie rozumiejąc. — Kiedy oglądasz telewizję, za nic nie ponosisz odpowiedzialności. Wszyscy twoi widzowie, którzy mieli nadzieję, że jednak dojdzie do zdrady, zdradzili w jakiś sposób

pryncypia. Ale żaden, z wyjątkiem tych biednych frajerów, którzy występowali, nie poniósł żadnych konsekwencji.

Dotykam dłońmi skroni. Wiem, o czym mówi, lecz jest w błędzie.

— Nie, Darrenie. Telewizja tylko pokazuje i obserwuje społeczeństwo. Nie ją należy winić za degenerację. Może i nie jest to piękne, ale ja tylko o tym opowiadam. Dlaczego tak cię to rozwściecza? — pytam z westchnieniem.

— A dlaczego ty nie przyznasz, że cię to doprowadza do furii?

Wzruszam ramionami i liżę swoje lody.

— Chcesz trochę? — proponuję mu.

Przystajemy i Darren kosztuje lody. Musi przytrzymać moją rękę, która drży gwałtownie. Musi być bardzo zimno. Miał rację — nie powinnam objadać się lodami w styczniu. Język ma różowy i gładki.

— Jakoś nie kupuję tego twojego gadania o zbiorowej odpowiedzialności, społeczeństwie, wyższym dobru, ple, ple, ple. Chrzanić to. Im więcej ludzi poznaję, tym więcej rozczarowania widzę.

— Za co w takim razie jesteś odpowiedzialna?

— Za siebie. I kiedy tylko mogę, za swoją mamę, Issie i Josha.

Milkniemy. Patrzę na niego. Spoglądam mu prosto w oczy, co zdarza się rzadko, przynajmniej wtedy, kiedy jego wzrok skierowany jest na mnie. Dopada mnie krótki atak czkawki. To przez stres.

— Nie wystąpię w twoim programie. — Kiedy to mówi, wygląda na szczerze zasmuconego.

— W ten sposób nie mogę ci pomóc.

Zbywam to wzruszeniem ramion. Nawet nie jestem już pewna, czy nadal chcę, żeby mimo wszystko wystąpił — nie, zdecydowanie nie.

— Nie przejmuj się. Przywykłam do pomagania samej sobie.

Odchodzę szybkim krokiem, nie sprawdzając nawet, czy moja odmowa zabolęła go tak, jakbym sobie życzyła. Nie musi wiedzieć, że już go nie potrzebuję. Bo jest znacznie gorzej. Ja go pragnę.

Dzwonię do Bale'a i z ulgą dowiaduję się, że jest na zebraniu. Jedyne, co mogę zrobić, to zostawić mu wiadomość. Która jest kłamstwem. Informuję go, że jeszcze trochę, a Darren na pewno się zgodzi na udział w programie, co jest w tej chwili absolutnie najważniejsze, Bale zaś nie może do mnie oddzwonić, ponieważ bateria w moim telefonie się wyczerpała. Dobrze wiem, że prawda wygląda dokładnie odwrotnie — i to we wszystkich trzech wypadkach. Nie wierzę jednak w piekło.

Gdy jakieś dziesięć minut po mnie do domu wracają Darren i dziewczynki, emanuje ze mnie sama słodycz i czar. Często w ten sposób pogrywam sobie z facetami. W jednej chwili jestem wściekła jak osa, by już w następnej zachowywać się jak ucieleśnienie anielskości. To sprawia, że są mi wdzięczni. Zrobiło się późno i spóźniliśmy się na podwieczorek — przede wszystkim spóźniły się dziewczynki, co jest wręcz niewybaczalne. Pani Smith proponuje, że zrobi kanapki, lecz ja nie mogłabym niczego przełknąć, jestem zbyt wzburzona. Sarah zabiera dzieci do domu, bo nadeszła pora ich kąpieli, natomiast państwo Smith wraz z Richardem i Shelly postanawiają wybrać się do pubu. Pytają, czy mam ochotę im towarzyszyć. Koniecznie muszę napić się czegoś mocniejszego. Ledwo wyrażam swoją gotowość, gdy Darren chwyta kurtkę i oświadcza, że on także idzie. Najwyraźniej nie dość mu zęciana się nade mną jak na jeden dzień.

Pub wypełniony jest po brzegi. Wśród gości przeważają ogorzali, o marsowych twarzach rybacy. Co dziwne, mimo roboczych strojów wyglądają bardzo seksownie. Noszą niewielkie, przylegające do głowy czapeczki i sztormiaki, autentyczne, nie schlebiające żadnym nakazom mody. Chcąc zrobić na moich gospodarzach dobre wrażenie, proponuję, że postawię im drinki. Posuwam się nawet do tego, że dla siebie także zamawiam gęstego, lepkiego portera, w którym najwyraźniej się lubują. Pub jest cuchnący, brzydki, zniszczony i powszechnie uwielbiany. Ku swojemu zdumieniu szybko przestaję zauważać lepkie od brudu, odłóżące linoleum, spod którego wyziera jeszcze bardziej lepiąca się drewniana podłoga, wytarte siedzenia, podartą tapetę i wystrzępione chodniki, pogrążając się w alkoholowym zamroczeniu. Przy drugim kuflu, choćbym nie wiem jak się starała, nie widzę już żadnej szpetoty, wiem za to, że zewsząd otacza mnie śmiech, ciepło i serdeczność. Osnuwa mnie jak dym z papierosa, lepi mi się do włosów, czepia ubrania, przepelnia całe moje jestestwo. Przy trzeciej kolejce uznaję, że pan Smith (senior) jest najmądrzejszym człowiekiem, jakiego zdarzyło mi się kiedykolwiek spotkać. Jego opowieści o Whitby są fascynujące, a milczenie głęboko wymowne. Znikają moje obawy, że miejscowi nadal urządzają walki kogutów, i nawet mówię o tym panu Smithowi. Przyznaję, że moje uprzedzenia były niczym nie uzasadnione.

— Jak na ogół wszystkie uprzedzenia — stwierdza pan Smith.

Shelly i pani Smith są w świetnych nastrojach. Rozgrywam z nimi kilka partyjek domina i wygrywam wszystkie, zaspokajając swoją potrzebę odnoszenia zwycięstw. Richard okazuje się niezwykle towarzyski i doskonale poinformowany. Dowiedział się od Darrena, że „tak dużo wiem o okolicy”. Ku mojemu rozbawieniu od razu domyślił się źródła moich informacji.

— Ktoś ze studia powiedział ci o opactwie, no nie? Przytakuję, zdenerwowana nieco, że wyda mnie przed Darrenem. On jednak mruga do mnie konspiracyjnie, stuka się palcem po nosie i dodaje:

— Mama wyniuchała.

Z wdzięczności mam ochotę go uściskać. A Darren? Darren jest niesamowity.

Przewyższa wszystkich. Żaden z rybaków nie jest nawet w połowie tak seksowny. Jego anegdotki są bardziej błyskotliwe, zabawniejsze i bardziej interesujące niż te, którymi raczy nas jego ojciec. Dowcipem i poczuciem humoru przewyższa matkę i przyszłą bratową. Jest też znacznie bardziej dyskretny niż Richard — wątpię, by ktokolwiek poza mną zauważał jego rękę spoczywającą na moim kolanie. Podobnie jak w miłej atmosferze panującej w pubie, zanurzam się cała w jego bliskości. I chcę, by trwało to jak najdłużej — doświadczenie całkowicie dla mnie nowe. Które mnie przeraża.

Jestem pijana. Nie na tyle jednak, by nie tracić nadziei, że wraz z kacem powróci właściwe wycucie porcji.

Za kwadrans dziewiąta oznajmiam wszystkim, że muszę wracać, by się spakować. Darren mówi, że mnie odprowadzi, i z ulgą przyjmuję, że pani Smith również zgłasza gotowość powrotu do domu. Mimo lekkiego zamroczenia, pozostało mi na tyle świadomości, by wiedzieć, że jeżeli Darren zechce dotknąć czegoś więcej niż tylko mojego kolana, nie będę protestować. Po powrocie do domu Darren udaje się wprost do frontowego pokoju. Pani Smith zostaje w kuchni, by poskładać pranie przygotowane do prasowania, a ja wlewam w siebie hektolitry wody.

— Dobrze się bawiłaś, kochanie? — pyta mnie. Przytakuję entuzjastycznie. — To widać. Ładna jesteś, kiedy się uśmiechasz. Naprawdę śliczna.

Razem z komplementem zostawia mnie w kuchni. Czuję się wspaniale. Wciąż słyszę, jak powiedziała „naprawdę śliczna”. Śliiiiiczna. Śśśśliczna. Ślicznaaaaa.

Ciągle ktoś prawi mi komplementy — mężczyźni, którzy chcą mnie przelecieć, dziewczyny z pracy, które boją się mnie na tyle, że nie odważyłyby się nie powiedzieć mi czegoś miłego, mama, Issie i Josh. Mama to mama, Issie i Josh na pewno słodzą mi szczerze, ale innym także tego nie szczędzą. Uważam, że bezkrytyczna życzliwość traci na wartości. Lecz komplement z ust pani Smith to coś wyjątkowego. Nie wiem czemu, ale przeczuwam, że nie szafuje nimi zbyt szczerze.

Drzwi kuchenne otwierają się z hukiem i wpada Linda, po uroczym wieczorze spędzonym w zaciszu przystanku autobusowego. Jej pojawienie się przerywa moje rozmyślenia.

— Wyglądasz jak kocur, który dobrał się do śmietanki.

— Tak też się czuję — mówię z uśmiechem. — Herbaty? — proponuję i nie czekając na odpowiedź, stawiam czajnik na gazie. Teraz uśmiecha się i ona.

— Spędziłaś tu raptem dwa dni, a czujesz się jak u siebie.

— Rzeczywiście. Może dlatego, że się wyspałam albo przez to powietrze czy też morze...

— Albo przez Darrena.

O co jej chodzi? Strasznie jest zuchwała jak na nastolatkę. Chociaż nie, chyba jednak jest całkiem normalna. Powstrzymując się od komentarza, całą uwagę skupiam na wykładaniu na talerzyk czekoladowych herbatników.

— Zawsze tak działa na kobiety. Oczywiście.

— Zawsze? — podpuszczam ją. Linda przewraca oczami.

— Wystarczy na niego popatrzeć. — Słuszna uwaga. — Kobiety oglądają się za nim na ulicy. Wszystkie go uwielbiają koleżanki Charlotte, moje, Sarah. Nawet przyjaciółki mamy,

— Nagle jestem kompletnie trzeźwa, zupełnie jak gdyby ktoś solidnie mi przyłożył. — Tak samo w Londynie. Zauważyłam, jak pojechałam do niego na wakacje w lecie. Po prostu nie mógł się opędzić. „Darren, masz ochotę na drinka?“, „Darren, mógłbyś mi to odkręcić? Och, jaki ty jesteś silny!“, „Boże, facet, który umie gotować. Darren, jesteś wyjątkowy“.

Niezbyt mi się podobają opowieści Lindy, ale robi to w tak zabawny sposób, że nie mogę się nie śmiać. Poza tym, nie mówiłaby mi tego wszystkiego, gdyby nie uznała, że jestem nieco inna. A może jednak? Cóż, pewnie tak. Ma w końcu tylko siedemnaście lat. Może po prostu nie potrafi subtelniej dać mi do zrozumienia, że oboje (ona i Darren) wszystko to już widzieli.

— Rzeczywiście dobrze gotuje — zgadzam się z nią — Wczoraj zrobił mi tosty z serem i były doskonałe.

— Doskonale! — wykrzykuje kpiąco i ma do tego prawo, zważywszy na to, co właśnie powiedziałam. Chwytam jej wzrok, co należy mi zapisać na plus, gdyż odwraca go błyskawicznie.

— Nie mów mi, że ty też! Myślałam, że ciebie to nie rusza!

— Co ja też? — Ledwie to powiedziałam, już zaczęłam żałować. Jest na tyle młoda, że mi powie.

— Zabujalaś się w nim.

— Nie zabujalam.

— Poważnie, nie lecisz na niego?

— Poważnie.

— E, szkoda, bo wydaje mi się, że on się w tobie zakochał. Hip, hip, hurra.

Linda chwyta jabłko, wgryza się w nie łapczywie i wychodzi ze wzruszeniem ramion, pozostawiając mnie sam na sam z moimi myślami.

Gdzie są sery? Świeże zioła? Awokado? Lodówka pęka w szwach, a ja nie mam co jeść. Mogę co najwyżej uraczyć się Rowntree lub Cadbury. Lecz romantyczna kolacja we dwoje, którą sobie wymarzyłam, nie miała składać się z paluszków rybnych, frytek i sosu Heinza. Gdzie jest jakieś jedzenie dla dorosłych?

Co ja wygaduję? Romantyczna kolacja? Nigdy nie jadłam romantycznych kolacji.

Strategiczne, i owszem, ale romantyczne?

Tak czy owak, zawsze chodzi o to samo: seks. To tylko kwestia semantyki.

Koniecznienie muszę iść z Darrenem do łóżka. Przecież to oczywiste — czemu wcześniej o tym nie pomyślałam? To jedyny i stuprocentowo pewny sposób, by zapomnieć, że mógł mi się przez chwilę spodobać, a co inaczej mogłoby się ciągnąć w nieskończoność: Prześpię się z nim, co zrówna go w mojej ocenie ze wszystkimi facetami, których zaliczyłam. Wiadomo już na pewno, że w programie nie wystąpi, nie muszę się więc martwić, że zaciągając go do łóżka, wykażę się brakiem profesjonalizmu. Wysoce również wątpliwe, bym miała go jeszcze kiedykolwiek zobaczyć, wobec czego nie grożą mi żadne nudne sceny czy pretensje. A że jest tak cholernie pociągający, nie widzę powodu, bym nie miała sobie pofolgować. Z takim samym brakiem skrupułów, z jakim rokrocznie zapominam, że obiecywałam sobie ograniczyć picie czy palenie, przekreślam swoje tegoroczne postanowienie na Nowy Rok.

Mimo to jestem zdenerwowana. Po mistrzowsku uwodziłam zarówno najbardziej oszłamiających, jak i koszmarne nudnych facetów. Darren nie może się zbyt od nich różnić. Musi pasować do którejś z kategorii moich typów, a kiedy już będę wiedziała do której, obiorę najskuteczniejszą strategię. Na pewno nie będzie to żadne z prymitywnych zagrań, które stosuję wobec lalusiów, podobnie jak w grę nie wchodzi nic nieuczciwego, do czego posunęłabym się w przypadku gościa pozbawionego skrupułów. Nie mogę też udawać kogoś innego — na to zdążył mnie poznać aż za dobrze. Przeglądam ubrania, jakie mam do dyspozycji: ciuchy pożyczone od Shelly i Sarah, kilka praktycznych sztuk, które Issie uparła się przemycić do mojej walizki. Wyglądam koszmarne, odpadają więc zagrania uzależnione od doboru zestawu. Wszystko muszę załatwić w jedną noc, co wyklucza wszelkie postępowanie zakrojone na dłuższą metę. Zastanawiałam się, czy czegoś nie ugotować osobiście — taki akt poświęcenia. Świece i — gdyby wszystko inne zawiodło — wino na pewno odniosłyby zamierzony efekt. Mając jednak na uwadze zawartość lodówki oraz fakt, że gotowanie w cudzej kuchni zasłużenie cieszy się niechlubną sławą przedsięwzięcia karkołomnego, z tej opcji rezygnuję również. Ale jutro wyjeżdżam. I to możliwie najwcześniejszym pociągiem. Jeśli nadal będę zwlekać z powrotem, Bale wpadnie w wojowniczy nastrój, aczkolwiek uważam, że zupełnie niepotrzebnie. Przecież Fi może wszystkiego dopilnować sama, póki się nie zjawię.

Spoglądam na zegarek. Jest kwadrans po dziewiątej. Teraz albo nigdy.

Nigdy nie wchodzi w grę. Muszę to załatwić. Nakrywam Darrena we frontowym pokoju, gdzie słucha radia.

— Chodźmy gdzieś. Chyba jest w Whitby jakaś restauracja czynna o tej porze?

— Do wyboru, do koloru. Bierz płaszcz.

Nazywając to „restauracją”, Darren trochę przesadził. Ja byłabym ostrożniejsza. W końcu zjeść można także i na ulicy, przy kiosku z hot dogami, wątpię jednak, czy taki na przykład A.A. Gill zdecydowałby się to powtórzyć. W naszej „restauracji” jest kilka stolików, wokół których ustawiono byle jak po sześć krzeseł, każde z innej parafii. Są obrusy w biało-czerwoną kratkę, ale z ceraty, są i kwiatki, lecz z plastiku. Jest też muzyka, co prawda z szafy grającej. Jednak świece są jak najbardziej prawdziwe, a jedzenie dobre, choć do wyboru nie ma zbyt wiele — spag. bol. lub nic — decydujemy się więc na spag. bol., do którego Darren zamawia karafkę czerwonego domowego wina. Żadnemu z nas nie przychodzi nawet do głowy zapytać o kartę win. Poza nami są tam jeszcze trzy inne pary, a jakaś kobieta przysła ze swoim psem. Otaczają mnie same obwisłe cycki i wydęte brzuszyska. Nie w takich miejscach zwykłam spędzać czas. Dzięki Bogu, w tej dziurze nie natknę się chyba na nikogo znajomego. Niesamowite, ale wygląda na to, że Darren czuje się tu równie swobodnie jak wcześniej w Oxo. Ja nie wiem, jak się zachować. Przeraza mnie myśl, że mogłabym przesiąknąć tą prowincjonalną burością. Na przykład zacząć się ubierać na zielono i niebiesko albo z utęsknieniem wyglądać wieczoru spędzonego w podrzędnym pubie. O mój Boże, przecież już tak jest. Muszę działać szybko i wracać do cywilizacji, zanim spotka mnie coś nieodwracalnego.

Podają nam jedzenie i wino. Darren mówi niewiele, mnie też — ku mojej irytacji — nic mądrego nie przychodzi do głowy. Na ogół słów mi nie brakuje. Czemu więc właśnie teraz, gdy powinnam być oszałamiająca? Przecież wiem, do czego zmierzam. Czy to prawdopodobne, żeby zwabienie go do łóżka okazało się ponad moje siły? W tej chwili mam wrażenie, że to wręcz niemożliwe. Z westchnieniem rozglądam się po sali. Jakaś starszawa para prosi kelnera, by zrobił im zdjęcie. Ze zdumieniem spostrzegam, że nie okazuje śladu obrzydzenia czy choćby współczucia, które musi przecież odczuwać. Dziadki uśmiechają się radośnie i ze sztuczną swobodą wznoszą kieliszki. Mam już na końcu języka jakąś kąśliwą uwagę, gdy spostrzegam, że Darren przygląda im się także, a twarz rozpromienia mu uśmiech.

Pełen serdeczności.

— Czyż to nie wspaniałe? — mówi, wskazując na żalostną parę. Zdaje się nie widzieć, jacy oboje są paskudni, zaczyna natomiast z zachwytem się rozwodzić, jak wspaniałe jest widzieć ludzi w tym wieku, szczęśliwych w małżeństwie, wciąż zakochanych. Wchodzę mu w słowo i zauważam, że pewnie zorganizowali sobie skok w bok, a że wszystkie miejsca w Blackpool i

Brighton były zajęte, wylądowali w Whitby. Uśmiecha się i jakby wcale mnie nie słysząc, plecie dalej o swojej głębokiej i niewzruszonej wierze w przyjaźń, wzajemną bliskość, wierność.

— I pieprzenie — dodaje. Pora przejść do konkretów.

— Owszem, miłość fizyczna także się do tego zalicza. Jest ważna, to oczywiste.

On naprawdę wierzy w te bzdury, a co najdziwniejsze, gdy tak przysmuca na liryczną nutę, ja nieomal także zaczynam w nie wierzyć. Jego optymizm jest zaraźliwy, ale pewnie dlatego, że znowu wypiliśmy za dużo wina. Ani się obejrzę, jak wróci mi zdrowy rozsądek.

— Chryste, ale ty jesteś ckliwy — cedzę złośliwie. Czemu to robię? Zapewne z przyzwyczajenia.

Darren wciąż się uśmiecha, najwyraźniej wcale nie urażony.

— Być może, ale lepsze to niż wyrachowany cynizm.

— Nie jestem cyniczna — warczę. — Jestem...

— Realistką — kończy za mnie. — Jak rozumiem, nie wierzysz w wieczną miłość?

— Wieczna miłość! — pryham z pogardą. — Coś takiego nie istnieje. Ludzie wzajemnie się wykorzystują, biorą, co się da, i bez oglądania się idą dalej. Widać to na każdym kroku. Założę się, że wierzysz także w potwora z Loch Ness i Świętego Mikołaja.

Widzę, że zaciska szczęki. Nie wiem tylko, czy go rozzłościłam, czy też raczej zraniłam. Okazuje się, że i jedno, i drugie.

— Czemu jesteś taka niegrzeczna? Nie zapominaj, że to ja robię ci przysługę. Wprosiłaś się do mojego domu. Czy aż tak nie znosisz mnie i mojej rodziny?

No pięknie. Strzał był celny. Wzdycham, upijam łyk wina i zdobywam się na szczerą odpowiedź.

— Nie, prawdę mówiąc, jest dokładnie odwrotnie. Ja... — Waham się przez chwilę. — Naprawdę bawiłam się wspaniale. Masz cudowną rodzinę.

Moje słowa przynoszą mu wyraźną i natychmiastową ulgę. Uśmiecha się promiennie.

— Liczyłem na to, ale nie byłem pewny. W jednej chwili się śmiałaś, a sekundę później...

— Co?

— Warczałaś niczym wściekły pies.

Znowu wzdycham, ale w zasadzie nie mogę się z nim nie zgodzić.

— Cóż, wierzę, że ludzie się zakochują albo przynajmniej pożądamy czy coś w tym stylu. Generalnie rzecz biorąc, jesteśmy dość słabym gatunkiem. Ale między innymi z tego właśnie powodu nie potrafimy wytrwać w miłości. Zawsze ktoś zostaje zraniony. A ja uważam, że lepiej unikać podobnego, jak i wszelkiego innego zamieszania.

— Nie uważasz, że podchodzisz do tego z krańcowego punktu widzenia?

— Jakoś nie potrafię znaleźć złotego środka. A zakochać się na pół gwizdka to trochę bez sensu.

— Tu całkowicie się z tobą zgadzam. — Milknie na chwilę. — Pamiętasz wieczór w Oxo? — pyta wreszcie.

Czy możliwe, że byliśmy tam zaledwie trzy dni temu? Wydaje mi się, jakby minęło sto lat.

— Spytałem wtedy, co naprawdę cię zraniło. — Przytakuję skinieniem głowy. — Zaraz jednak sobie uświadomiłem, że nic mi do tego, i zmieniłem temat. — Znowu kiwam głową. — Zastanawiam się, czy nie mogłabyś mi jednak odpowiedzieć? Bo naprawdę chciałbym wiedzieć, co sprawiło, że tak się w sobie zamknęłaś. — Zadając to pytanie, siedzi ze spuszczonego wzrokiem i żeby nie patrzeć na mnie, bawi się przyprawami.

Zdumiona jego troską chciałabym mu wytłumaczyć. Nie wiem tylko, czy potrafię.

— Rzecz w tym, że nie potrafię pogodzić się z życiowymi rozbitkami. — Nie bardzo rozumiejąc, podnosi na mnie wzrok. — Przerażają mnie wraki eufemistycznie określane mianem związków. — Z gardła wyrywa mi się jęk, tak bardzo jestem tym wszystkim znużona. — Słuchaj, coś takiego w ogóle nie istnieje. Ta ekscytująca, wspaniała miłość, której wszyscy tak usilnie poszukujemy. Wiem, że uprawiałam seks z ponad pięćdziesięcioma facetami, ale nie kochałam się nigdy.

Milknę w oczekiwaniu na jego reakcję. On jednak nie wydaje się wstrząśnięty czy choćby poruszony moim wyznaniem. Co — nie wiadomo dlaczego — działa mi na nerwy. Chciałabym wzbudzić w nim obrzydzenie. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby teraz po prostu wstał i odszedł. Albo gdybym zrobiła to ja. Jednak nie miałabym chyba na to siły, on zaś siedzi i czeka na ciąg dalszy.

— Z doświadczenia — a jak już wspomniałam, jest ono rozległe i różnorodne — wiem, że ludzie nawzajem się wykorzystują, a gdy już dostaną wszystko, o co im chodziło, po prostu odchodzą. — Biorę do ręki nóż i zaczynam oskrobywać nim krawędź plastikowego obrusa. Zauważam, że jak na ironię w tle naszej rozmowy brzmi utwór *Nie odchodź w ten sposób*.

— Kto odszedł?

Zadaje to pytanie w taki sposób, że odpowiedź sama ciśnie mi się na usta.

— Mój ojciec. — Nie wiadomo skąd napływają mi do oczu głupie, pełne złości łzy. Przez dwadzieścia sześć lat udawało mi się je powstrzymać. Czemu nadeszły właśnie teraz?

Darren ociera mi jedną kciukiem i przez ulotną chwilę jego dłoń dotyka mojej brody. Drażni, lecz jednocześnie łagodzi moją skórę. Patrzę na niego i na przekór wieloletniemu doświadczeniu, na przekór temu, że znam go zaledwie od kilku dni i że jest tak powalająco przystojny — co zawsze należy traktować jako znak ostrzegawczy — pragnę mu zaufać. Sądzę nawet, że już mu ufam. A to oznacza niebezpieczeństwo. Muszę wziąć się w garść.

— Och, przepraszam. Nie moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? — Powstrzymuję łzy i odpycham jego kciuk. — Mam za sobą ciężki tydzień, a twoja rezygnacja z programu narobiła mi trochę kłopotu.

Jest wyraźnie dotknięty. I o to chodzi. Chcę, by poczuł się winny. Rozglądam się po restauracji, rozpaczliwie zastanawiając się nad zmianą tematu. Jeżeli jednak Darren nie ma wyrobionego zdania na temat odłóżącej tapety lub kompozycji z plastikowych kwiatów, jestem ugotowana. Wieczór spalił na panewce. Byłam pewna, że przy deserze (herbatniki w opakowaniu, co sprawia, że nazwa „deser” jest czystą filantropią) będziemy flirtować na całego, a rozmowę stanowią będą same dwuznaczności o wiadomym podtekście. Stało się jednak tak, że szarpia mną gwałtowne emocje, poczucie zdrady, ale też — co niesamowite — zaufania i nadziei. A tego zawsze i niezmiennie staram się unikać jak ognia.

— Szczęściarz z ciebie, że masz tyle rodzeństwa — mówię. Co prawda nie o taką zmianę tematu mi chodziło, wciąż rozmawiamy na tematy osobiste, ale przynajmniej o nim, nie o mnie. A to oznacza, że wkroczyłam na grunt znacznie bezpieczniejszy. — Tak się ściskacie i całujecie, że mam wrażenie, jakbym występowała w amerykańskim talk-show.

Darren uśmiecha się.

— Tak chyba jest w każdej rodzinie. — Nie odpowiadam, dodaje więc: — W ten sposób przynajmniej święta mamy fajne.

— W naszym domu zawsze panowała cisza. Kiedy odszedł, zabrał ze sobą — oprócz regularnego napływu pieniędzy i walizek z imitacji krokodylej skóry — płomień, który nas rozgrzewał. Skończyły się awantury, za co byłam wdzięczna. Moja matka przestała płakać i krzyczeć. Ale także śmiać się i żartować. Ogarnął ją dziwny, niesamowity spokój.

No i proszę, znowu mówimy o mnie. Spoglądam na swój pusty kieliszek. Darren z miejsca się domyśla i nalewa mi wina. Nie protestuję.

— Gotowała, prała, prasowała moje ubrania, chodziła na wywiadowki, wiązała koniec z końcem. Nie mogę jej niczego zarzucić. Ale często myślałam, że z chwilą, gdy odszedł ojciec, straciłam też matkę. Zupełnie jakby doszła do wniosku, że miłość do kogoś to zbyt wielkie ryzyko, wobec czego ograniczyła się wyłącznie do opieki nade mną co było znacznie prostsze i bezpieczniejsze. Ale to takie nie fair, przecież ja nigdy bym jej nie zostawiła. — Boże, czemu nie mogę zamilknąć. Nudzę samą siebie, o Darrenie nie wspominając. Raczej mało zabawną anegdotkę postanowiłam mu opowiedzieć. Lecz jakoś nie potrafię przestać. — Nie obwiniam jej. A nawet rozumiem. Szkoda tylko, że ani razu nie udało jej się przeczytać mi bajki, żeby na koniec nie zauważyć, że zanim minie rok, księżę znajdzie sobie nową królową.

Darren uśmiecha się smutno, a i mnie udaje się wymusić na twarzy grymas mający być ponurą wersją uśmiechu.

— Ramię w ramię przebrnęliśmy przez kolejne Boże Narodzenia, urodziny, wakacje w Devon, egzaminy do liceum, potem maturę, wreszcie studia. Mama prasowała i śpiewała swoje hymny: *Czy ktoś za mną tęskni?* i *Jeśli odejdziesz*. Przez te wszystkie lata, kiedy kształtował się mój charakter. Jest wspaniałą matką i wiem, że zawsze robiła dla mnie wszystko, co mogła. Czasem jednak żałuję, że ojciec nie zostawił jeszcze jakichś moich braci i sióstr, żeby zapełnić nasze mieszkanie i zagłuszyć syk żelazka oraz szum kaloryfera.

Oboje w milczeniu czekamy, aż kelner ustawi przed nami filiżanki z kawą. Na pewno rozpuszczalną; podał ją nam w filiżankach do herbaty, z rodzaju tych, które rozdają na stacjach benzynowych razem z plastikowym pojemnikiem mleka UHT. Mimo to kelner wdzięczy się, jak gdyby sam wyhodował ziarenka i napar z nich podawał w srebrnej zastawie z siedemnastego wieku. Normalnie zezłościłabym się, że przeszkodził nam w rozmowie, ale podoba mi się, kiedy ludzie z oddaniem wykonują swoją pracę.

— Czy z wyglądu przypominasz mamę lub tatę? — pyta Darren.

— Mam dwa zdjęcia ojca i odkąd pamiętam, cierpię, bo wyglądam jak chodząca kopia tego obrzydliwego drania. Pierwsze, z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku to zdjęcie ślubne; uratowałam tę połowę, którą mama odcięła. Drugie zostało zrobione w siedemdziesiątym piątym.

Darren jest lekko przerażony. Nic dziwnego, pochodzi z kochającej się rodziny — co może wiedzieć o przecinaniu zdjęć na pół? Muszę mu to jakoś wytłumaczyć.

— Och, nie denerwuj się — uspokajam go. — To nie był gwałtowny czyn w afekcie. Podeszła do tego nadzwyczaj spokojnie. Po prostu chciała zachować swoje zdjęcia, bo rzeczywiście pięknie na nich wyglądała, przecięła je więc bardzo ostrożnie, wzdłuż swojej sukni. Pamiętam, że zrobiła to okrągłymi nożyczkami, z mojego zestawu do haftowania. Przez dwa dni siedziała przy kuchennym stole. Usunęła go ze ślubnych zdjęć, ze zdjęć z moich urodzin, ze wszystkich wakacyjnych. Po kolei z każdego. Była to dokładna, systematyczna eksterminacja wszelkich dowodów, że kiedykolwiek istniał. Zdjęcie z siedemdziesiątego piątego roku ukradłam, zanim do niego dotarła.

— Darren nie przerywa, sprawdzam więc, czy w ogóle słucha. Słucha. Odstawił swoją filiżankę. Ja celowo ujmuję swoją. — W tym roku od nas odszedł. Na zdjęciu pomaga mi zdmuchnąć siedem świeczek na moim urodzinowym torcie.

Jak mógł zostawić nas, mnie — postąpić tak podle?

— Tęsknisz za nim?

— Tęsknię? Przecież go nawet nie pamiętam.

Znowu oboje popadamy w milczenie. Pracowicie żują czekoladki. Chcę pokazać, że jestem ponad to. Tylko nie bardzo potrafię je przełknąć.

— Przez całe lata próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda jego życie. Kiedy utknęłam w ulicznym korku, zastanawiałam się, czy on tkwi w nim także, a może w podobnym. Słuchałam radia i myślałam, czy on słucha tej samej stacji. Ale nie wiedziałam, i nie dowiem się nigdy, bo prawie nic o nim nie wiem.

— Mogłabyś go odnaleźć — podsuwa łagodnie Darren.

— Nie chcę. Jasno określił, gdzie jest dla mnie miejsce w jego życiu — to znaczy nigdzie. Nigdy nie zapłacił grosza alimentów, nie przysłał kartki na moje urodziny. Ale dał mi jedno, i za to jestem mu wdzięczna. Nauczył mnie, co to znaczy stracić kogoś. Dzięki niemu nikt nigdy nie złamie mi serca.

— Próbuję się uśmiechnąć. — Zamieniłam swoje serce w kamień. Prawdę powiedziawszy, nawet moi najbliżsi przyjaciele pytają czasem, czy w ogóle je mam. — Zawsze w to wierzyłam.

— Cas, masz serce, które można złamać, tak samo jak wszyscy.

Jestem oburzona. Czemu mnie obraża?

— Nie mam — stwierdzam wyzywająco.

— Na jakiej podstawie uważasz, że jesteś inna? Bo zjadasz wyjątkowo dużo dojrzewających w słońcu pomidorów? Ponieważ pomijając to, jesteś dokładnie taka sama jak my wszyscy.

— Naprawdę? — pytam przerażona.

— Może trochę bardziej seksy, odrobinę inteligentniejsza.

— Swoimi komplementami zapędza mnie w kozi róg. Moja wściekłość ustępuje, a jej miejsce zajmuje czysta radość. — Niczym się nie różnisz, Cas. I równie łatwo możesz się zakochać.

— Nie, nie mogę — warczę, rozżłoszczona na nowo. — Nie potrafię być z kimś blisko. Nie lubię ludzi. Są głupi i mogą tylko rozczarować.

— Nie przesadzaj. Mnie lubisz.

— Strasznie jesteś próżny. — I ma wyjątkową rację.

— Myślisz, że potrafisz żyć bez innych ludzi? Nie możesz się schować, czuć bezpiecznie tylko dlatego, że się nie angażujesz, nie podejmujesz ryzyka.

— Tak zrobiłam. I robię.

— To, że twój ojciec porzucił twoją matkę, nie oznacza, że ty nie możesz się zakochać i że ktoś nie pokocha ciebie.

— Jeżeli on nie potrafił, to komu się uda, kto będzie mógł? — Śmieję się, ale mój głos brzmi nienaturalnie piskliwie.

— Słucham?

— Jeżeli rodzony ojciec nie potrafił mnie kochać, to gdzie znajdę mężczyznę, który będzie umiał? — Zmierzam ku zakończeniu.

— Na przykład ja chętnie bym spróbował. Bingo.

Kurwa, nie.

Nie o to mi chodziło. Chcę się z nim przespać. Co nie znaczy, że musi mnie okłamywać. Po co karmi mnie tymi cikliwymi gadkami o miłości? Niesamowite. Sądziłam, że jest ponad takie rzeczy. Plecie tak zapewne dlatego, że wcale nie uważa, iż mógłby się ze mną związać. Przez trzy dni opowiadałam mu, jak to w nic nie wierzę, na niczym mi nie zależy i tak dalej. Nie po raz pierwszy spotykam się z tego rodzaju deklaracją. Faceci ciągle mi powtarzają, jak to strasznie są we mnie zakochani. Robili to, odkąd pamiętam. Ale ja wiem, że naprawdę wcale tak nie myślą; zdarza się też, że i oni o tym wiedzą. To po prostu część rytuału. No i znacznie lepiej brzmi, niż najwyczejniej pod słońcem spytać, czy nie miałabym ochoty się z nimi pieprzyć. Rzadko łąduję w łóżku z facetami, którym chodzi o miłość, chyba iż wiem na pewno, że nie mówią tego poważnie. Jeżeli podejrzewam, że jest odwrotnie, unikam seksu i zapewniam sobie ich przyjaźń — wykorzystuję ich oddanie, ilekroć muszę mieć skoszony trawnik albo wysprzątnany garaż. Lecz Darren jest inny.

Nie sądzę, by wspominał o miłości, gdyby nie traktował tego poważnie. Jak jednak może traktować poważnie po tym wszystkim, co mu naopowiadałam? Chcę pójść z nim do łóżka, bo podoba mi się jak jasna cholera. Ale nie mogę tego zrobić, podejrzewając, że chodzi mu o coś więcej niż tylko sam seks. To by wszystko skomplikowało. A ja nie chcę go zranić, zbyt miły z niego facet. Muszę jak najwyraźniej dać mu do zrozumienia, co do niego czuję.

Gdybym tylko sama to wiedziała.

— Nie uważam, Darrenie, żebyś był właściwym mężczyzną, który spróbowałby mnie pokochać — uśmiecham się radośnie. Lecz tak uśmiech, jak i radość są sztuczne.

— A to czemu?

— Cóż, nie jesteś w moim typie.

— Dlaczego?

Dlaczego! Dlaczego? Chryste, cóż za arogancki gość!

— Hm, jak na mój gust podchodzisz do wszystkiego nieco zbyt poważnie i jesteś — jak by to powiedzieć — nieco zbyt rodzinny.

Darren wpatruje się w pustą filiżankę. Wreszcie czuję się wredną suką, za jaką wszyscy mnie uważają. Może powinnam swoje wystąpienie nieco złagodzić.

— Nie twierdzą, że mi się nie podobasz. Podobasz mi się, i to bardzo. Z wielką ochotą poszłabym z tobą do łóżka.

— Nie powinno się seksu oddzielać od miłości. — Darren patrzy na mnie z przerażeniem i tak, chyba widzę to w jego oczach, z obrzydzeniem. Cóż, to powinno nam wszystko ułatwić.

— Aaaach, ale ja nie raz uprawiałam wspaniałą seks bez żadnych implikacji.

— No dobrze, ale czy kiedykolwiek się kochałaś? Zasmakowałaś wszystkiego? Fascynacji, romansowania i tych innych cudownych, trudnych do nazwania rzeczy? — Macha ręką, przekreślając wszystkich moich byłych facetów, tak samo jak ja zawsze robię. — Nie, ty nie kochałaś się nigdy. Bo tak jest najprościej.

— Po prostu nie potrzebuję tego — stwierdzam obojętnie.

— I myślisz, że jesteś bardzo dzielna, prawda, Cas?

Z zasady nie daję się wciągać w podobne rozmowy, bo one prowadzą donikąd. Prowadzą do...

— Problem w tym, że wcale nie jesteś dzielna. Odwaga to zaufanie. Wyobcowanie jest łatwe.

Powstrzymuję ziewnięcie. No dalej, Einsteinie. Tłumaczę sobie, że przemawia przez niego zraniona duma.

— Twoi rodzice i kariera to tylko wymówka przed bliskością, ponieważ ty się jej po prostu boisz.

— Jakie studia trzeba skończyć, żeby na to wpaść?

Mierzymy się wzrokiem ponad flakonikiem z plastikowym kwiatkiem i pustą butelką po winie, pełniącą funkcję lichtarza. Wystarczająco dobrze znam mężczyzn, by wiedzieć, że taki scenariusz to tylko strata czasu. Darren zanadto się przejmuje i ktoś w tym starciu odniesie poważne rany. To prawda, że wprost idealnie nadaje się do łóżka, niezaprzeczalnie jest przystojny, ale nie warto. Widać, że naprawdę mu na mnie zależy, ma to wypisane na twarzy, ale ja nie mogę sobie pozwolić na podobne uczucia wobec niego. Przyznaję, wizja, że coś może być prawdziwe, szczerze i trwałe, jest kusząca, ale niestety złudna. A jeśli zacznę czuć podobnie? Jeśli rzeczywiście... będzie mi na nim zależało? Dokąd mnie to zaprowadzi? Donikąd. Muszę być brutalna przez wzgląd na jego dobro.

— Masz fioła na punkcie miłości. To nie twoja wina. Po prostu ulegasz ogólnej modzie. I masz rację, telewizja ma tutaj duże pole do działania. Wszystkie te idiotyczne ideały, które tak

naprawdę nie istnieją, a o których pełno w każdej piosence, na plakatach, w książkach. Dam sobie głowę uciąć, że gdyby Beatlesi śpiewali o pokoju na świecie, dzisiaj świat byłby wolny od wojen.

— Przecież śpiewali.

— Och, w takim razie nie tylko Beatlesi, ale w ogóle wszyscy. — Staram się obrócić wszystko w żart, on jednak zachowuje śmiertelną powagę. Nie popuszcza ani sobie, ani mnie.

— Chcesz wiedzieć, co ja myślę? Szukanie miłości, tej Jedynej, to zwykle marnotrawstwo energii. Na dodatek głupie i krępujące. Wstydzę się za ludzkość. Uważam, że powinniśmy iść naprzód. To wszystko przez Szekspira! Miłość, co za kretyństwo. Proś o rachunek.

Prawdziwa tortura. Wracaliśmy z Darrenem do domu w kompletnej ciszy. Po przyjeździe od razu poszłam do łóżka. Rano zjadłam śniadanie z Lindą. Darren w tym czasie był na spacerze z psem. Na dworze lało jak z cebra. Spakowałam się, a on wrócił ze spaceru, żeby odwieźć mnie na stację. Całą drogę odzywaliśmy się do siebie jedynie półsłówkami. Totalna klęska. Cały ten mój przyjazd tutaj to klęska. Podobnie jak moje drwiny z Darrena. Pocięłam się, że lada moment znajdę się w pociągu wiozącym mnie na King's Cross, skąd udam się wprost do studia, by zawrzeć pokój z coraz bardziej wkurzonym Bale'em. Skończę zdjęcia, przygotuję program na ten tydzień, a w weekend nie będę już nawet pamiętać imienia Darrena. Jestem pewna, że ani się obejrzę, jak przejdzie do historii.

Przyjeżdżamy na dworzec w Darlington. W samochodzie słychać jedynie szum pracujących wycieraczek. Darren wysiada z samochodu razem ze mną. Idzie sprawdzić, o której ma przyjechać pociąg, ja czekam na peronie. Kiedy wraca, wygląda na jeszcze bardziej nieszczęśliwego i przybitego niż dotąd.

— Musimy czekać prawie godzinę. Przepraszam, powinienem był sprawdzić rozkład jazdy, zanim wyjechaliśmy z domu.

— Nic się nie stało. To ja powinnam była się tym zainteresować. — Znowu milczymy. — Nie musisz zostawać. Mogę poczekać w bufecie.

Darren postanowił resztę tygodnia spędzić u rodziny. W Londynie musi się stawić dopiero w niedzielę wieczorem. Dla mnie to ulga — nie wiem, jak zniosłabym jego towarzystwo w pociągu przez całą drogę do Londynu.

— Zaczekam, aż bezpiecznie wsiądziesz.

— Chcesz się upewnić, że na pewno wyjechałam, co? — siłą na dowcip.

Nagle, czego zupełnie nie rozumiem, dociera do mnie, że nie chcę tego tak zostawiać. Nie chcę wsiadać do pociągu ani wracać do swojego mieszkania. Nieprawdą jest też, że nigdy więcej nie chcę Darrena oglądać. Przez cały czas sama siebie oszukiwałam. I wcale nie chodziło o to, czy Darren zgodzi się wystąpić, w programie, czy też nie. Oczywiście, gdyby wystąpił, program

wypadłby znakomicie. Jest tak cholernie przystojny, że osobiście włączyłabym *Generation Game**, nietrudno mi więc sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarłby na reszcie brytyjskiej populacji, a mimo to nie jest, tak jak nigdy nie był, aż tak dla mojego programu ważny. W końcu od czego są zastępstwa. Przyjechałam do Whitby, ponieważ chciałam być z nim. Nie wiem dlaczego, ale chciałam.

* *Generation Game* — popularny teleturniej emitowany przez BBC w latach siedemdziesiątych, po prawie dwudziestoletniej przerwie pojawił się ponownie.

I nadal chcę.

Zostawi mnie tu, na tym peronie, samą? Jeżeli tak, zacznę krzyczeć. Stoi, wpatrując się w ziemię. Podążam za jego wzrokiem i staram się zrozumieć, co do mnie mówi.

— Jako dziecko wierzyłem, że kałuże benzyny to tęcze, które padły ofiarą jakiegoś koszmarnego wypadku. — Uśmiecha się nieśmiało i sprawdza moją reakcję na tak intymne wyznanie. Zapewne spodziewa się, że wyskoczę z czymś ciętym i złośliwym, co położy kres podobnym wynurzeniom. Wszak wspomnienia tylko ludzi zbliżają, sprawiają, że wiemy o nich więcej, i niebezpieczeństwo, że ich polubimy, rośnie. Nagle jednak dociera do mnie, że chcę się o tym mężczyźnie dowiedzieć jak najwięcej. Chcę wiedzieć o nim wszystko. Jak miała na imię pierwsza nauczycielka, w której się zadurzył? Musiała być przynajmniej jedna taka. Kim są jego przyjaciele? Skąd ma tę niewielką bliznę nad okiem? Czy lubi pesto? A może nie znosi purée z groszku? Co sądzi o wesołych miasteczkach? Czego boi się najbardziej? Jaki jest w łóżku? Kim jest ta, w której się teraz zakocha?

Czy istnieje choć cień szansy, że będę nią ja?

Słucham?

— Może skoczmy na kawę? Zgadzam się bez wahania.

Darren nie chce iść do dworcowego bufetu, proponuje Włoską, kawiarnię prowadzoną przez irańskich uchodźców. Ich włoski akcent jest jeszcze gorszy niż mój, ale cappuccino, które podają, smakuje całkiem nieźle. Siadamy na lepkich od brudu drewnianych ławkach, po przeciwnych stronach małego, krytego laminatem stolika. Jest tak maleńki, że nasze głowy nieomal się stykają. I całe szczęście, bo maszyna do cappuccino straszliwie hałasuje, więc i tak muszę się jeszcze nachylać, by słyszeć, co mówi.

— Chciałam cię przeprosić... za wczorajszy wieczór. — Wyciągam rękę do zgody. W zasadzie nie bardzo wiem, za co powinnam przeprosić; po prostu czuję się fatalnie. Chcę mu

powiedzieć, że żałuję, iż bawiłam się z nim w kotka i myszkę, udawałam taką twardą, wredną sukę. A przede wszystkim żałuję, że nie potrafiłam mu zaufać.

— Nie, to ja powinienem przeprosić ciebie. Chciałem, żeby wszystko stało się za szybko. — Słowa są pełne ciepła, lecz wypowiada je tonem oziębłym.

— Po prostu prawie wcale się jeszcze nie znamy. — Brzmi to jak kolejny przytyk, a ja chcę tylko wyjaśnić, czemu zachowywałam się z rezerwą.

— Cas, ja ci się nie oświadczałem. Ja tylko proponowałem żebyśmy się właśnie lepiej poznali. Przyznaję, byłem może zbyt obcesowy, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia. Wyraźnie nie dałaś mi do zrozumienia, co czujesz.

Czy to możliwe? Jakże mogłam, skoro nie mogę. Dać do zrozumienia, co czuję. Wszystko jest takie zagmatwane. Pragnę go. Podoba mi się. Szanuję go. Lubię. Intryguje mnie. Oj, znalazłam się w poważnych tarapatach. Milkniemy, a do mnie dociera, że od samego początku nasza znajomość to jedno pasmo kłótni i milczenia, na przemian. Co tylko zdaje się potwierdzać moją teorię, że zbyt bliska wywołuje jedynie okrucieństwo i złość. Spoglądam na Darrena. Jest taki przygnębiony i słodki. Nie mam pojęcia, co się wokół mnie dzieje, wiem tylko, że cała w środku pulsuję z pożądania, piersi mnie bolą, a usta drżą. Jedyne, co by mi przyniosło ulgę, to jego pocałunki. Nie robi tego jednak, a ja już dłużej nie znoję tej tortury. Wstaję i ziemia się pode mną rozstępuje. Dla utrzymania równowagi chwytam się stolika. Boże, co za zaduch panuje w tej kawiarence.

— Cóż... do widzenia... i... dziękuję za kawę.

Wszystko dzieje się znienacka, gwałtownie, cudownie. Dotyka mojej dłoni. Nie stara się mnie zatrzymać. Ale ja czuję, jak nogi wrastają mi w podłogę. Jego palce delikatnie dotykają mego nadgarstka. Stoję jak przykuta. Cała płonę. Całuję go. On całuje mnie. Mocno i namiętnie. Nigdy się dotąd nie całowałam. A jeśli nawet, była to tylko nędzna, nieudana próba kostiumowa. To jest to. Wszystkie słowa, które między nami padły, znikają są bez znaczenia. Zostało tylko nagie milczenie. Sprowadzone do pożądania. Rzuca kilka funtów na stolik i nie czekając na resztę, wybiegamy z kawiarni, w deszcz. Darren pokazuje jakąś uliczkę za stacją, ale ja już nią idę. Budzi się we mnie przedziwny mechanizm, który pomaga mi odnaleźć ciemne ulice i wszelkie możliwe zakątki zdatne do uprawiania cudzołóstwa. Deszcz leje jak z cebra, jego krople walą w chodnik i odbijają się. Są zimne, przenikliwe i kłujące, ale nie zwracam na nie uwagi. Nawet się cieszę, bo deszcz wszystkich wystraszył i ulice są puste. Drzę w oczekiwaniu tego, co będzie. Darren chwytam mnie mocno za ramię. Nie oglądając się na samochody, przechodzimy na drugą stronę. Darren przyciska mnie do muru, nie bacząc, czy w pobliżu nie ma nikogo. Otulam go swoim płaszczem. Nachyla się i całujemy się tak gwałtownie i mocno, że nie wiem, gdzie kończą się jego usta, a

zaczynają moje. Darren mocuje się przez chwilę z rozporciem i wchodzi we mnie. Patrzymy sobie w oczy, ani na chwilę nie odwracając wzroku. Nawet na ułamek sekundy. Jest cudownie. Niesamowicie. Dzieje się coś ważnego. I właściwego.

Jest we mnie, coraz głębiej i pełniej. Wypełnia mnie całą.

Kończymy w mgnieniu oka.

Już zaczynam się bać, że nie skończymy nigdy.

12

Ktoś trzyma palec na przycisku mojego dzwonka do drzwi. Jedną z niewygód mego wyszukanego w każdym calu mieszkania jest brak zwykłego, staroświeckiego judasza. Jeśli chcę sprawdzić, kto stoi za drzwiami, muszę się odezwać, co z kolei uniemożliwia mi udawanie, że nie ma mnie w domu, gdy gość okazuje się nieproszony.

Marzę, by to była Issie. Nie miałabym też nic przeciwko Joshowi, ale zdecydowanie wolę Issie. Jednocześnie jednak drzę na myśl o spotkaniu z nią. Co ja jej powiem? Jak mam wytłumaczyć swoje postępowanie przez ostatnie dwa tygodnie?

Bzyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyy.

Ten ktoś jest wyjątkowo uparty, muszę więc zareagować. Gdybym go zignorowała, przez resztę dnia zadreślałabym się, kto to mógł być. Wlokę się do domofonu i modlę w duchu, by nie nawiedził mnie Bale albo Fi.

— To ja — rozlega się głos Issie. — Gdzieś ty się, do cholery, podziewała?! Otwieraj w tej chwili.

Oddycham z ulgą i naciskam przycisk. W mgnieniu oka staje w drzwiach. Jest na mnie tak wściekła, że nawet nie całuje mnie na powitanie. Wiem, że udawanie obrażonej jest najlepszą formą ataku, pytam więc:

— Nie mogłaś otworzyć sobie kluczem?

— Gdzieś mi się zgubił. — Skruszona wzrusza ramionami.

Cmoknięciem wyrażam swoją dezaprobatę i zaczynam się rozwodzić, jakie to pociąga za sobą niebezpieczeństwo i ile kłopotów będę miała z dorobieniem jej nowego.

— Sprawdzałaś w szufladzie komody? — pytam, gdy jest już dostatecznie pogiębiona.

— Nie.

— Cóż, przypuszczam, że tam go znajdziesz. W skarpetkach.

— Niby czemu miałabym trzymać klucze w skarpetkach?

— Zabij mnie, nie wiem, ale tak właśnie robisz.

W trakcie tej wymiany zdań zdążamy do kuchni. Jest niedziela, pół do piątej po południu. Idealna pora na przygotowanie może nie najzdrowszego, ale bez wątpienia bionicznego ginu z tonikiem. Nie ma wątpliwości, że tego właśnie mi potrzeba. Niestety, afera z kluczem nie zbiła Issie z pantaląku.

— Cas, co się dzieje? Zdarzało ci się już znikać, ale dotąd miało to związek z pracą. Dzwoniłam do studia, ale tam mi powiedzieli, że masz zapalenie gardła. Dzwoniłam tu, ale nikt nie odbierał. Byłaś w szpitalu?

Po raz pierwszy odkąd weszła, przyglądam się Issie dokładniej i czuję się podle. Jest wyraźnie przestraszona i zmartwiona. I to z mojego powodu. Ale tak samo zamartwia się zaginionymi szczeniętami, wycinanymi drzewami i brakiem czystej bieżącej wody w Indiach. Zważywszy na wagę problemów, którymi Issie zajmuje się na co dzień, moja samowolna tygodniowa absencja to pestka. Spoglądamy na siebie, Issie milknie, a na jej twarzy pojawia się podejrzliwy wyraz.

— Wcale nie wyglądasz na chorą. Wręcz przeciwnie, wyglądasz świetnie.

Cóż, nie da się ukryć — mówi prawdę. Wyglądam jak bóstwo. Moje włosy, normalnie czarne i błyszczące, teraz wręcz promienieją blaskiem. Uśmiech, wcześniej wyłącznie wyrachowany, teraz na stałe zagościł na mojej twarzy. Cerę zwykle miałam bladą, interesująco przezroczystą, w tej chwili jednak policzki mam pięknie zaróżowione.

— Dlaczego nie dzwoniłaś ani do mnie, ani do Josha, ani do mamy? Nie wiedzieliśmy, co robić. Co się, do diabła ciężkiego, dzieje?!

Nie milknie ani na chwilę. Jedno pytanie goni następne. Niektóre pominęłabym milczeniem, inne, na które chętniej udzieliłabym odpowiedzi, są zbyt skomplikowane. Przerywa wreszcie ten potok słów, co witam z ulgą, ale okazuje się, że to tylko chwilowe. Widzę, że przygląda się brudnym naczyniom po śniadaniu. Zwykle jestem przesadnie wręcz dbała o porządek, tym razem nie posprzątałam. To, podobnie jak fakt, że widoczne resztki dobitnie świadczą, że śniadanie było pełne nasyconych tłuszczów (normalnie wypijam szklankę soku ze świeżych pomarańczy i przekazam garstkę płatków), sprawia, że Issie nie posiada się ze zdumienia.

— To tam to nie tylko dlatego, że stłukły ci się jajka? — W jej tonie podejrzliwość miesza się z zachwytem.

Potrząsam głową, wpatrując się w resztki bekonu. Zastanawiam się, czy nie udałoby mi się odwrócić jej uwagi, pokazując na brud pod lodówką. Wątpliwe.

— Mamy tu do czynienia z precedensem, co? Nigdy nie częstowałaś mężczyzn śniadaniem. Kim jest ten uprzywilejowany szczęśliwiec?

— To Darren. — Tak po prostu. Co dziwniejsze, nie mam siły mydlić jej oczu. Więcej, ja chcę o nim rozmawiać.

— Darren? — Jest wyraźnie zaskoczona. — Kiedy rozmawiałam z tobą ostatnio, właśnie się z nim potwornie pokłóciłaś. Miał cię odwiedzić na stację i miałaś wracać do Londynu sama. Co się stało?

Wydawało mi się, że już jej wyjaśniłam — stał się Darren. Opowiadam Issie o podróży pociągami do Darlington, wyprawie na basen, spacerach po plaży i cmentarzu. Zdaję sobie sprawę, że chichoczę, rumienię się, zachowuję się egzaltowanie (nawet jednak w tym bliskim hysterii stanie z radością zauważam, że i jej spacer wśród nagrobków wydaje się nieco dziwaczny). Opowiadam jej o pubie, restauracji i wreszcie o syczącej maszynie do cappuccino. Mówię, jak to niespodziewanie, ponad laminowanym stolikiem, dotarło do mnie. Nagle zrozumiałam, lepiej niż cokolwiek dotąd w życiu, że go pragnę. Wbrew rozsądkowi i wszelkim argumentom.

— Hej, hej, zwolnij trochę. — Issie wznosi swoje kościste łapki, starając się zahamować nieco ten zalewający ją potok niezrozumiałych danych. Robiła tak samo, gdy uczyłyśmy się rosyjskiego na wieczorowych kursach. Staram się mówić możliwie przejrzyście, oczywiste jest jednak, że Issie czuje się, jak gdyby brodziła po szyję po nieznanym, błotnistym wodach. Znając mnie, zakłada, że gdy mówię, iż go pragnę, mam na myśli jedynie pożądanie czysto fizyczne.

I tu się myli.

Bez pytania zapala jednego z moich papierosów.

— Podziękowałam mu za kawę i próbowałam odejść, ale...

— Ale?

— Położył rękę na mojej i powiedział: „Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie, Cas”. — Powtarzam całą tę rozmowę, idiotycznie przeciągając głoski, choć Darren wcale tak nie mówił. Po prostu mam świadomość, że mówię teraz o naprawdę poważnych sprawach i sędzę, że siląc się na wygłupy, ujmę im nieco wagi.

— Nieeeee. — Issie podchwytuje mój idiotyczny ton, łudząc się, że to koło ratunkowe. Zakłada, że dla mnie jego zachowanie było niedorzeczne. Każdy facet, który zamierza się dobrać do moich majtek, nigdy, przenigdy nie powinien uderzać w sentymentalny ton. Nie znoszę tego.

Zazwyczaj.

— I wymawiał twoje imię Kez. — Mówi to, udając pijanego Davida Nivena, który stara się naśladować Jimmy'ego Tarbucka. Dziwne, ale jej kpiny wprawiają mnie w zakłopotanie. Zawsze uważałam, że złośliwości i cynizm są jak najbardziej na miejscu; tym razem wydają mi się nieznośne. Darren nie zasługuje na to.

— Cóż, szczerze mówiąc, nie.

— Ale na pewno miał spoconą dłoń. — Issie jest niewzruszona, wciąż przekonana, że to moja kolejna opowieść z serii jak to „spokojnie frajera spławiłam”, którymi nieraz ją raczyłam. Te opowieści bardzo poprawiają jej samopoczucie, tym bardziej że sama wiecznie jest spragniona wielkiego uczucia i nie zraniłaby nikogo, choćby za cenę własnego życia. Bezwzględność i okrucieństwo, z jakimi traktuję płęć przeciwną, to dla niej swoista rekompensata. Niestety. Bardzo chciałabym jej pomóc, ale nie mogę kłamać.

— Nie, chłodną i gładką.

Issie krztusi się, niemal opluwając ginem z tonikiem podłogę, gdy pod wpływem szoku źle ocenia rozmiary mojego stolika.

— Uważaj — mityguję ją, mając na uwadze dywan od Purves and Purves.

— Kiedy mówiłaś, że go pragniesz...? Biorę głęboki oddech. Wyrzucam to z siebie.

— Po prostu nie mogłam odejść.

Najlepiej jak potrafię, staram się jej to wyjaśnić. Mówię, że naczynia wciąż są brudne, bo nie mogłam pozmywać śladów jego bytności. Z tego samego powodu nie zmieniłam jeszcze pościeli.

— Pościel? Od kiedy to mówimy o pościeli? — skrzeczy piskliwie.

Mogłabym jej opowiedzieć o pierwszym razie. Kiedy nie było żadnej pościeli, tylko brudna, wilgotna ściana, a wszystko rozegrało się błyskawicznie, jak w gorączce. O moim wilgotnym, zapaskudżonym płaszczu, który muszę oddać do czyszczenia. O zaschniętych resztkach na szaliku, którym wytarłam jego penisa.

Wiem jednak, że gdybym jej o tym opowiedziała, nie widziałaby w tym nic dziwnego, gdyż tego właśnie można było się po mnie spodziewać. Mogłabym jednak dodać, że choć sam akt był rzeczywiście czysto zwierzęcy, miał w sobie coś surrealistycznego. Spowijało nas czyste światło, w którym tworzyliśmy jedność. Oddzieleni od reszty świata, unosiliśmy się we własnej czasoprzestrzeni, nieznanej i niedostępnej dla reszty świata. Była w tym tajemnica, milczące przyznanie, że mimo wszystko serca i kwiaty, wraz ze wszystkim, co symbolizują są jednak możliwe, nawet dla mnie. Byłam tam. Duszą ciałem i sercem.

Tam, pod tym brudnym murem, Darren sprawił, że stałam się całością.

Co ona sobie pomyśli? Jest tylko jeden sposób, by się przekonać.

Opowiadam jej to wszystko, co przysięgałam sobie przemilczeć. Inaczej nie mogę; słowa same cisną mi się na usta. Cała jestem przepelniona Darrenem. Myślami o nim, wspomnieniami, wyobrażeniami. I wcale nie jestem tym zdenerwowana. Jestem podekscytowana, upojona.

Przerażona.

Issie słucha mojej chaotycznej relacji ze wszystkiego, co wydarzyło się do dzisiaj. Nic nie mówi, lecz przez cały czas po jej twarzy błąka się złośliwy uśmieszek. Stopniowo jednak przeradza się w szczerą uśmiech, który staje się wręcz promienny, gdy opowiadam jej, jak to nie wsiadłam do pociągu do Londynu ani w tamten czwartkowy poranek, ani w piątek, ani też w sobotę. Wynajęliśmy natomiast pokój w niewielkim wiejskim zajeździe. W miarę jak moja opowieść się rozwija, obraz Darrena, towarzyszący mi nieustannie, z wolna staje się znowu trójwymiarowy.

Jesteśmy w łóżku; skotłowana pościel, splątane ręce i nogi, wszystkie zmysły oszalałe. Gdy jednak pyta: „Hej, podoba ci się tutaj?“, odczuwam całkowitą pewność, wszystko jest jasne i klarowne. Podoba mi się, i to bardzo. Pamiętam swoje palce (które nigdy nie były tak szczupłe i smukłe) zanurzone w jego gęstych, czarnych włosach. Leżę na plecach i spoglądam na swoje ciało i jego głowę, która porusza się lekko, gdy delikatnie muska mnie językiem, z rozkoszy doprowadzając niemal do utraty przytomności. Teraz zrobiliśmy to bardzo powoli, ale też był to już czwarty raz. A może piąty? Issie jest jak zwykle oniemiała.

— Nie wychodziliśmy z łóżka przez trzy dni. Potem w zasadzie dostaliśmy nakaz eksmisji.

Na wspomnienie zrozpaczonej pokojówki, błagającej nas, żebyśmy opuścili pokój, bo chciałyby go w końcu posprzątać, uśmiecham się do siebie.

— Kiedy już nasłuchaliśmy się nawzajem swoich oddechów, snów, myśli, staliśmy się... staliśmy się sobie potrzebni. — Przez chwilę walczę ze sobą, w końcu się przemagam. — Nie mogłam pozwolić, żeby wracał do domu sam.

Straciłabym jakąś część siebie.

— Więc zaprosiłam go do siebie.

Gdybym tego nie uczyniła, nie miałabym okazji słyszeć, jak śpiewa w łazience. Nie mógłby mnie całować w koniuszki włosów, głowę, uszy, wzdłuż linii szczęki, by na koniec dotrzeć do moich ust. Nie wiedziałabym, jak brzmi jego mocz uderzający o muszlę klozetową.

— Wyszedł dzisiaj rano. Musiał jechać do Cotswolds — jakieś drzewo zachorowało na odrę.

Issie szybko wszystko składa sobie w całość. Na palcach liczy dni. Jest lekko zdezorientowana. Musiała dodać dwa do dwóch i — co jak na nią jest dość niezwykle — wyszło jej cztery.

— Spędził u ciebie cały tydzień?

— Tak.

— Przecież nigdy nie pozwoliłaś żadnemu facetowi zostać dłużej niż dwanaście godzin. Taką masz zasadę. Co wyście tu robili przez cały tydzień?

— Cóż, poza tym, co się rozumie samo przez się, a na co poświęciliśmy zdecydowaną większość czasu, poszliśmy do pubu, poznałam jego współlokatora, Jocka. Byliśmy na curry, oglądaliśmy wideo.

— Jak na randkach.

— Nie. — Po czym po namyśle dodaję: — OK, można powiedzieć, że chyba tak.

— A co z pracą?

— Pracą? — Cóż za dziwaczne pytanie.

— Co powiedziałaś Bale'owi?

— Przecież wiesz, że mam zapalenie gardła. — Wkurza mnie, że chce rozmawiać akurat o pracy.

— Cas, tobie chyba odbiło. Kiedy miałaś atak wyrostka robaczkowego, na własną prośbę wyszłaś ze szpitala wcześniej, bo nie pozwalali ci korzystać z komórki. Żadna choroba nie mogła cię oderwać od pracy. Bale w życiu nie uwierzy w tę bajeczkę o zapaleniu gardła. Dlaczego akurat to? Nigdy nie miałaś zapalenia gardła. Masz pojęcie, na czym to polega? Jak długo trwa? Czy jest zaraźliwe?

Issie wpada w panikę.

Podbiega do biblioteczki i zaczyna w niej szukać leksykonu zdrowia. Na pewno chce sprawdzić stosowne hasło. Bardzo mnie ta jej troska wzrusza, tylko po co aż tak się przejmuje? Mnie to nic nie obchodzi.

— Możesz wylecieć z roboty. W poważne kłopoty się wpakowałaś.

Walczę z atakiem śmiechu, więc myślę o Darrenie. Uśmiecham się szeroko na wspomnienie jego wahania przy drzwiach. Oboje przez cały ten tydzień próbowaliśmy zmusić się do powrotu do pracy. I przez tydzień nie mogliśmy się od siebie oderwać.

— W ogóle cię to nie obchodzi?! — krzyczy zdenerwowana Issie, widząc mój stoicki spokój.

Cóż mam jej odpowiedzieć? Skoro nie rozumie, mam dowód na to, co podejrzewałam już od dawna — Issie nigdy nie była... nigdy nie czuła niczego podobnego. Po co mam jej tłumaczyć, że pozwalał mi ogrzać moje lodowate (wiecznie) stopy na jego (wiecznie) gorących goleniach, pośladkach, jądrach. Na nic by się to nie zdało. Stało się tak, że od tamtego pierwszego pocałunku głowa drży i chyba mi się nieustannie, za to moje życie przestało. Dotąd nawet nie miałam pojęcia, że jest takie niestabilne i chybotałe. Wiem, jak pachną jego włosy. I gdzie ma łaskotki. Wsuwałam mu język do nosa. Kochałam się z nim, aż wszystko mnie bolało, ale po raz pierwszy była to prawdziwa miłość. Nie czuję się, jak gdyby moje ciało było żetonem w kasynie, fantem na loterii albo karuzelą w wesołym miasteczku.

I wszystko to dotyczy mnie! Kobiety o sercu z kamienia. Biedna Issie, nie może tego zrozumieć. Z nas dwóch zawsze siebie uważałam za bardziej spostrzegawczą rozsądniejszą, o lepszej intuicji, a mimo to nie mam pojęcia, jak do tego wszystkiego doszło.

Ruszam do kuchni, by przygotować dwa kolejne gigantyczne giny z tonikiem. Byle jak wlewam do szklanek gin, dodaję nieco toniku. Issie przygląda się temu, nie wierząc własnym oczom.

— Bez lodu?

— Jest w zamrażarce — odpowiadam, wracając na kanapę.

— I cytryny?

Nie zwracam na nią uwagi. Normalnie nalegam, żeby drinki przygotowywać starannie. Najpierw trzy kostki lodu, potem gin, po plasterku cytryny i limonki (receptura mojego pomysłu). Gin z tonikiem przygotowuję z takim samym nabożeństwem, z jakim inni gotują trzydaniowy obiad. Dzisiaj jednak nie w głowie mi takie drobiazgi. Szczerze mówiąc, gin z tonikiem mnie nie interesuje. To nie Darren.

Poklepuję miejsce obok siebie na kanapie i Issie siada. Sadowimy się wygodnie przed płonącym kominkiem. Ogień nie jest prawdziwy. Świetnie udaje go gazowy płomień, czystszy i łatwiejszy w obsłudze. Co prawda, nie rozsiewa tak upojnego zapachu jak prawdziwy, lecz różnica jest minimalna i uważam, że warto poświęcić nieco autentyczności dla ułatwienia sobie życia.

— Odkąd wyszedł, próbuję się czymś zająć. Oglądam wideo, ale każdy film jest o miłości. — Doprowadzona do rozpaczki wyrzucam w górę ramiona. — Próbowałam obejrzyć cztery filmy. Puściłam sobie kilka płyt i przeczytałam pierwszą stronę całej sterty książek. Gdziekolwiek się obróczę, ciągle coś mnie wzrusza.

Na twarzy Issie znowu gości złośliwy uśmiešek.

— W życiu bym nie pomyślała, że masz w domu romanse.

— W tym właśnie problem, Issie. Póki nie znałam Darrena, to były tylko książki i filmy. Teraz to są książki i filmy o miłości. Dziwaczne. Już sam fakt, że w ten sposób teraz do nich podchodzę, oznacza, że...

— Że jesteś zakochana.

— Ależ z ciebie cholernie głupia idiotka! — warczę wściekła. Nie patrząc na mnie, Issie popija swojego drinka. — Wcale nie jestem zakochana. — Nic nie mówi. — Nie jestem — powtarzam z uporem. — Czemu wszyscy tak ulegają masowej kulturze?

W milczeniu przyglądamy się migoczącym płomieniom. Przypominam sobie, jak tarzaliśmy się przed nimi, zachowując się jak bohaterowie oper mydlanych.

— Cas, czego ty się tak boisz? Proszę, proszę, cóż za troska o mnie.

— Zakochałam się.

Słowa echem odbijają się od ścian pokoju. Z hukiem i łoskotem wdzierają się w nasze życie. Wypowiedzenie ich na głos przynosi ulgę, choć jednocześnie jest to najbardziej przerażający moment w moim życiu.

— Zakochałam się w nim.

— Serio! Serioserioserioserio?! — Issie zrywa się z kanapy i tym razem rozlewa gin z tonikiem. Zirytowana wstaje, by przynieść z kuchni szmatę. Bez słowa wycieram plamę.

— Tak — wzdycham. Szarpiące mną uczucia po raz setny dają mi się dzisiaj we znaki. Obie jesteśmy oniemiałe, ale i uradowane tym wyznaniem. Issie jest wniebowzięta, zupełnie jakbym wygrała w totka albo jakby to ona wygrała.

— Skąd wiesz? Od kiedy? Boże, Cas, jakie to cudowne. Uśmiecham się, napawając się chwilą.

— Zrozumiałam to, kiedy wynajmowaliśmy pokój w zajeździe. Miejsce koszarne, dywan w kwiatki, zagracona recepcja, pełna ulotek reklamujących zawody w rzutki i prowincjonalne wystawy rękodzieła. Darren miał ze sobą torbę.

Ponieważ mina Issie wyraża niepewność, wyjaśniam.

— Spakował do niej prezerwatywy, szczoteczkę do zębów i czyste bokserki. Nie dość więc, że jest inteligentny, interesujący, o wysokim morale, zabawny, a na jego widok człowiek wręcz się ślini (cechy godne podziwu, ale niekoniecznie dla mnie najważniejsze), to jeszcze przewidujący i sprytny.

— Słowem: nic dodać, nic ująć — uśmiecha się Issie.

— Otóż to. — Klaszczę w dłonie (jakoś nie potrafię się powstrzymać), zgadzając się z nią entuzjastycznie.

Podczas gdy Issie rozważa wszelkie ewentualności, ja z rozkoszą oddaję się wspomnieniom.

— Myślałeś choć przez chwilę, że tu wylądujemy? — spytałam.

Na chwilę musiałam umilknąć, ponieważ Darren napoił mnie ze swoich ust szampanem (miejscowym — ale kto by tam na to zważał).

— Absolutnie, nawet do głowy mi nie przyszło — mówi z szelmowskim wyrazem twarzy.

— Ale się spodziewałeś? — W moim głosie słychać było zdegustowanie.

Zaczął całować moją pierś, wypuszczając z ust resztki szampana, który spłynął mi na brzuch, gromadząc się w pępku. Darren sunął teraz pomalutku ku powstałemu w ten sposób miniaturowemu jezioru alkoholu, całując i pieszcząc moje ramiona, obojczyki, talię. Gdy dotarł do pępka, spił z niego szampana, a ja w duchu dziękowałam osobistemu trenerowi

— warto było się katować i robić po dwieście brzuszków dziennie.

— Wcale nie. Miałem nadzieję. Mówiłem ci już, że jestem urodzonym optymistą — uśmiechnął się. Usta miał wilgotne od szampana i moich miłosnych soków.

Zręczna zuchwałość jest jak lukier na torcie. Nagle Darren wydał mi się niebezpieczny. Kiedy to udało mu się przechytryć mnie w naszej seksualnej grze w szachy? Czyżby wygrał? A może to ja byłam zwyciężcą? Czy możliwe, że wygraliśmy oboje?

Mało prawdopodobne.

Zimne jak stal palce strachu chwytają mnie za gardło, zaciskają się coraz mocniej, tłamsząc przepelniające mnie uczucie szczęścia. Serce, jeszcze przed chwilą gotowe ze mnie wyskoczyć, skurczyło się i skryło głęboko. Co ja najlepszego zrobiłam? Co ja zrobiłam? Stoję w obliczu katastrofy, przed którą skutecznie umykałam przez ostatnie dwadzieścia sześć lat. Nie mogę ot, tak sobie, zapomnieć o ostrożności z powodu raptem dwóch tygodni.

To byłoby kompletnie pozbawione sensu.

Nie zrobię tego.

Nie mogę tego zrobić.

Nic gorszego nie mogło mnie spotkać. Ponieważ zaczęłam wierzyć we wszystko, co opowiadają w telewizji, radiu, kinie, książkach. To prawda. Człowiek przekonuje się o tym, gdy spotka tego Jedyne.

Swoją muzę, swój cel, sens całego życia.

Które nagle nabiera uroku, blasku, okazuje się coś warte. Jeżeli jednak prawdą jest to, co piosenki i filmy opowiadają o kochaniu, równie dobrze mogą nie mylić się, gdy mówią o drugiej stronie związanych z nim emocji.

O bólu.

Ogromnym.

Czyż moja matka nie jest tego żywym przykładem? Każda spędzona z Darrenem sekunda była kwintesencją szczęścia. Gdy teraz przypominam sobie wszystko po kolei, serce mi pęka, nie mogę bowiem przestać myśleć o tym, co mogłoby pójść nie tak. Kiedy mówił, że mnie kocha, czułam się bosko, teraz umieram ze strachu. Gdy był przy mnie, wierzyłam każdemu jego słowu. Wierzyłam we wszystko, w „i żyli długo i szczęśliwie”, w wieczną miłość. Teraz jednak nie jestem już tego taka pewna. Nie mogę oczekiwać, by Darren spędzał ze mną każdą chwilę, dzień po dniu. Kiedy jednak nie ma go przy mnie, nie mam siły walczyć z dręczącymi mnie demonami. W Whitby, gdzie wciąż byliśmy razem, wszystko było w porządku — nie mógł nie dochować mi wierności ani mnie porzucić. Lecz teraz... gdzie on jest? Może wcale nie pojechał do Cotswold, lecz jest z inną kobietą. W prawdziwym świecie miłość nie ma prawa przetrwać; gdy człowiek się zakochuje, na własne życzenie naraża się na ból, zdradę, oszustwo. Czuję się obnażona. Patrzę na

Issie, ale ona zdaje się nieświadoma chłodu, który nagle pojawił się w powietrzu. Wiem, co myśli — skoro coś takiego przytrafiło się mnie, wszystko staje się możliwe. Jakże bardzo się myli.

— Oczywiście nie mogę tego ciągnąć — oświadczam. Z chwilą, gdy wypowiadam te słowa, jestem już zdecydowana.

— Słucham?

Bilet wygrany przez Issie na loterii wylądował właśnie na śmietniku. Wielka szkoda.

— To niemożliwe. — Mówię to tonem zdecydowanym w głębi ducha jednak wcale nie jestem tego aż tak pewna.

— Przecież dopiero co powiedziałaś, że go kochasz! — wykrzykuje Issie.

— Bo kocham — rzucam oschle. — W tej chwili kocham go całkowicie, bez reszty, rozpaczliwie, banalnie. Jeśli dalej tak pójdzie, ani się obejrzę, jak zacznę mówić do niego „Misiaczkę” i marzyć, żeby mieć z nim dzieci. — Na pozór jestem bardzo pewna siebie i pozbawiona skrupułów, choć wcale się tak nie czuję. Mam nadzieję, że uda mi się przekonać samą siebie, moje własne serce.

— Czy to takie okropne?

Chyba się nie mylę, widząc w jej oczach łzy, ale może to z powodu szkieł kontaktowych. Biedna Issie.

— Spróbujmy podejść do tego logicznie. A co, jeśli on nie czuje tego samego? Jeżeli mnie zależy na nim bardziej niż jemu na mnie?

— Ale z tego, co mówiłaś, wynikało, że kompletnie stracił dla ciebie głowę.

— Cóż, z facetami zawsze tak jest na początku. — Nawet Issie powinna o tym wiedzieć. A może zwłaszcza ona. — A kiedy dziewczyna się na to złapie, ni z tego, ni z owego przestają dzwonić. W każdym związku górą jest ten, komu mniej zależy.

— I tu się mylisz. W związkach wcale nie chodzi o to, kto jest górą.

— Ja się nie mylę, Issie. — Specjalnie kładę nacisk na „ja”. — Nigdy by do tego nie doszło, gdybym została w mieście. Po prostu całe to Whitby było takie — sama nie wiem — piękne, romantyczne. — Zastanawiam się nad najlepszym słowem. — Inne.

— Cas, na pewno mówisz o otoczeniu, a nie o nim? — Gapię się na nią zaskoczona. — Wydaje mi się, że był szczery — mówi płaczliwie.

— No dobra, scenariusz numer dwa. Zakładając, że czuje to samo, co ja...

— Przecież czuje, no nie? Wiem, że tak właśnie myślisz — jęczy Issie.

Nie mam odwagi przyznać tego na głos. Przypominam sobie, jak całował moje palce, pieścił włosy, oglądał moje zdjęcia z dzieciństwa.

— OK, powiedzmy, że tak jest. I co dalej?

— Możecie się pobrać i żyć długo i szczęśliwie.

Gdyby tylko to było takie proste. Cóż za naiwność! Najwyraźniej — mimo że znamy się od tak dawna — Issie niczego się nie nauczyła. Tłumaczę jej wolno i dobitnie, choć zaczynam podejrzewać, że cierpi na jakiś defekt słuchu.

— Coś. Takiego. Nie. Istnieje. Owszem, moglibyśmy się pobrać, ale prędzej czy później (prawdopodobnie prędzej, gdyż gwałtowna miłość wypala się najszybciej) on mnie zawiedzie. Albo ja jego. I wtedy zacznie się piekło. Skoro potrafił sprawić, że poczułam się tak wspaniale — jakbym się narodziła na nowo z chwilą, gdy jego ptaszek zanurkował we mnie — pomyśl, jak koszmarnie bym się czuła, gdyby odszedł. Issie zakrywa twarz rękami.

— Kogo ty próbujesz przekonać?

— Nikogo.

Siebie. Siebie. Staram się przekonać samą siebie, z drugiej jednak strony Issie nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić, jaka bym była szczęśliwa, gdyby udało jej się dowieść, że się mylę. Lecz tego zrobić nie może, ponieważ wiem na pewno, że mam rację. Muszę to skończyć, i to jak najszybciej.

— Cas, nie masz siedmiu lat, tylko trzydzieści trzy. Nie możesz wiecznie tkwić w przekonaniu, że tylko dlatego, iż małżeństwo twoich rodziców okazało się pomyłką, innym także musi się nie udać.

Wbijam w nią wzrok. Chociaż Issie wie wszystko o rozwodzie moich rodziców, zawarłyśmy niepisaną umowę, że nigdy nie będziemy o tym rozmawiać. Biadolenie jak u Oprah to nie w moim stylu.

— Issie, co trzeci człowiek żyje sam. Na cztery mieszkające razem pary, trzy się rozchodzą. Prawie co drugie małżeństwo kończy się rozwodem. To są fakty. — Gdy już raz wspomniałam o tych „faktach” (wcale nie celowo), wiem, że za nic w świecie nie uda mi się o nich zapomnieć.

— Ale pomyśl o Nicole Kidman i Tomie Cruisie. Są małżeństwem od zawsze i żyją jak w raju.

— To tylko jeden przykład.

— A królowa i księżę Filip?

Prycham z pogardą. Tonący brzytwy się chwyta.

— Są także państwo Brown z *Teddington Crescent*.

— Oni są wymyśleni.

— I moi rodzice.

— Ale twoja mama nienawidzi ojca.

— Wcale nie. Tylko tak udaje. A ta para z twojego programu, która nie uległa pokusie?

— To tylko kwestia czasu. Issie wznosi oczu ku niebu.

— Och, Cas, moje ty biedactwo.

A cóż to niby ma znaczyć? Popełniłam błąd i pozwoliłam, by Darren mnie urzekł. Nie jest to jednak błąd nie do naprawienia, zwłaszcza jeśli będę działać szybko i zdecydowanie. Od razu.

— Issie, czy mogę dzisiaj spać u ciebie?

— Jasne. A czemu?

— Bo wiem, że jeśli go zobaczę, nie będę miała dość siły, a on na pewno wpadnie dzisiaj wieczorem, kiedy wróci z Cotswold.

— Och, zobacz się z nim, blaaaagam.

— Nie mogę, Issie. I nie jest to żadna gra. Nie chcę, żeby w ten sposób zaczął się mną bardziej interesować. Muszę natychmiast zerwać wszelkie kontakty. To nie może trwać dalej. Nie mogę się narażać.

Po prostu nie mogę. Nie mogę.

Zaczynam miotać się po sypialni, wrzucając do torby ubrania i kosmetyki. Nawet się nie zastanawiam, co pakuję. Muszę jednak choć na chwilę wtulić twarz w pościel, poczuć go po raz ostatni. Dla niego urodziłam się kobietą, lecz on nigdy, przenigdy nie może się o tym dowiedzieć, skoro bowiem tak trudno jest mi od niego odejść, jego odejście byłoby dla mnie wprost nie do zniesienia.

Ten prymitywny stan „zakochania” — to nie może trwać długo. Im szybciej wrócę do swojego dotychczasowego życia, tym lepiej się poczuję.

To tylko kwestia czasu.

I to zapewne bardzo krótkiego.

Mam nadzieję.

Ściągam brudną pościel i upycham ją w koszu na brudną bieliznę.

Do Issie dociera, że nie uda jej się wpłynąć na zmianę mojej decyzji, postanawia więc zmienić temat. Gdy ja wkładam do torby szczotkę do włosów i świeże majtki, opowiada mi, że zadzwonił do niej ten frajer, którego poznała w sylwestra. Spotkali się już kilka razy. Issie jest zachwycona, bo grali razem w Connect 4. Ja natomiast nie mogę mu wybaczyć, że pozwolił, aby poznała ich jego matka. Issie papie z ożywieniem, lecz ja słucham jej jednym uchem. Bez wątplenia jest w siódmym niebie, ja natomiast nie jestem pewna, czy w ogóle mnie to obchodzi. Jak mogło spotkać mnie coś tak koszmarnego? Jak mogło spotkać mnie coś tak cudownego? Dlaczego jest to jednocześnie przerażające i wspaniałe? Dość w życiu widziałam, więc wiem, że w najbardziej odpowiednim momencie — to znaczy wtedy, gdy człowiek pragnie się zakochać — jest to najgorszy z możliwych, najtrudniejszy, najbardziej zagmatwany stan rzeczy. Taki moment

właśnie nadszedł. Zawsze myślałam, że jestem odporna. Uważałam się za lepszą, inną — z całą pewnością mądrzejszą. Teraz już wiem, że nikt nie jest odporny.

— Wcale mnie nie słuchałaś, prawda? — wzdycha Issie z rezygnacją, gdy wkładamy płaszcze.

— Wybacz. Przez cały ten czas próbowałam zapomnieć o Darrenie.

— Dlaczego to robisz? Nie boisz się, że właśnie przechodzi ci koło nosa szansa na prawdziwe szczęście?

— Nie, po prostu staram się ograniczyć do minimum szkody.

— Zupełnie cię nie rozumiem, Cas.

— Czyżby? Bardzo dziwne. Wydawało mi się, że jaśniej wyrazić się nie mogłam.

Sęk w tym, że kłamię. Ja także siebie nie rozumiem. Rozumiem jedynie, że jestem zakochana, co tylko wprowadza w mojej głowie dodatkowy mętlik.

Zamykam drzwi na klucz i przyklejam do nich kopertę. Jest adresowana do Darrena, a list zawiera tylko dwa słowa:

Nie dzwoń.

13

W pracy jest dokładnie tak, jak się spodziewałam, to znaczy beznadziejnie. Bale nie kupił mojej bajeczki o zapaleniu gardła, ponieważ Fi, ta suka, pokazała mu zdjęcie Darrena.

— Zapalenie gardła, akurat.

— Nie, w zasadzie to zwykła infekcja — odpalam. Kiepska odpowiedź, ale wyszłam z wprawy. Na miłość boską, w końcu przez całe dwa tygodnie byłam miła dla ludzi.

— Jocasto, widziałem zdjęcie. Po prostu się pieprzyłaś. Najzwyczajniej w świecie zabrałaś dupę w troki, podczas gdy my tu wszyscy harowaliśmy jak dzikie osły. To było wredne. Niedopuszczalne. Co masz na swoją obronę?

Bale postanowił dokonać na mnie publicznej egzekucji, wybrał więc miejsce jak najbardziej odpowiednie, to znaczy swój przeszklony gabinet. Wiem, że zły jest naprawdę, jednak na użytek publiczności stara się wyglądać jeszcze groźniej.

— Nigelu, patrzysz na to ze złej perspektywy. — Zwracam się do niego w ten sposób jedynie w sytuacjach podbramkowych. Zastanawiam się, czy nie powinnam nachylić się nad biurkiem i dotknąć jego ramienia, by wytworzyć złudzenie bliskości, ale jakoś nie potrafię się do

tego zmusić. — Masz rację, pojechałam za kandydatem do programu i — tu znowu muszę przyznać ci rację — dość kiepsko to wygląda, bo nie udało mi się go przekonać, żeby wystąpił, ale gra warta była świeczki. Gdyby wystąpił, mielibyśmy program najlepszy pod słońcem.

— A to czemu? Wiedziałaś, że na to się złapie.

— Facet ma wątpliwości natury moralnej: ze społecznego i osobistego punktu widzenia. Jest niesamowicie przystojny i wygadany. Gdyby zgodził się na udział, nie byłoby człowieka, który zakwestionowałby jego decyzję. Nie mówiąc już o producentach koronek, szefie działu prezentów ślubnych Johna Lewisa czy tym biskupie. — Rzucam na biurko najnowszą listę skarg. — Widzowie by się zjednoczyli. Jego udział rozwiałby ostatni cień wątpliwości na temat programu. Ludzie cisnęliby się do nas drzwiami i oknami.

— Ale nie udało ci się go przekonać?

— Niestety — odpowiadam, spuszczać wzrok.

— Próbowалаś wszystkiego? — Szczególny nacisk kładzie na „wszystkiego” i oboje wiemy, o co pyta. Czy przespałam się z Darrenem, żeby wymusić na nim udział w programie? Tak i nie. Lecz jest to odpowiedź zbyt subtelna, by Bale mógł ją w pełni pojąć.

— Wszystkiego. — Czuję, że twarz mi płonie.

Bale nachyla się ku mnie tak blisko, że wyraźnie widzę wągry w bruzdzie pomiędzy jego nosem a policzkiem.

— Może zaczynasz tracić jaja?

— Co za dupek! — użalam się przed Fi. Niestety, nikogo innego nie ma pod ręką. Reszta zespołu uznała, że tymczasem lepiej zejść mi z drogi. Albo Fi jest bardziej odważna, albo zwyczajnie głupsza.

— Pomyślałam, że przyda ci się towarzystwo — mówi i podaje mi podwójne espresso. Pociągam łyk i aż się krzywię. Trochę czasu upłynęło, odkąd po raz ostatni piłam tak mocną kawę. Smakuje jak kreozot.

— Nie bój się, podczas twojej nieobecności wszystko szło gładko — niby to uspokaja mnie Fi.

Strasznie wredna z niej suka. Myślę, że najwyższy czas przypomnieć jej, kto tu naprawdę rządzi.

— Tak. Dobrze się spisałaś, Fi. Widziałam wyniki oglądalności. Ustabilizowały się na poziomie dziewięć przecinek jeden. Nie przejmuj się, że nie wzrosły podczas twoich programów. Uważam, że były przygotowane bardzo kompetentnie i nie ma znaczenia, co sobie myślą klienci. — Uśmiecham się do niej, ona zaś nie bardzo wie, czy także powinna się uśmiechnąć, czy też lepiej nie.

— To znaczy, że jesteś zadowolona?

— Trwałaś na posterunku. Dobra robota. — Słowa to jedno, mój ton zdradza coś zupełnie innego.

— Złóścisz się na mnie?

Wzdycham. Wiem, że zachowuję się jak świnia. Fi wyprodukowała dwa dobre programy. Gdyby nie ona, nie miałabym nawet co marzyć o wyjeździe do Whitby, nie mówiąc już o tym, by zabawić tam przez tydzień, a potem jeszcze przez następny symulować chorobę. Zawaliła trochę papierkowej roboty, nie odpowiedziała na żadne telefony i nie pomogła Rickowi czy Di przy podjęciu żadnej decyzji w kwestii terminów czy marketingu. Poza tym jednak spisała się świetnie. I nie jej wina, że chce mi się śmiać, płakać, krzyżeć, tańczyć, wyć i jednocześnie stłuc i wycalać wszystko i wszystkich w zasięgu wzroku. Cała aż wrę. I nikt mnie nie rozumie. A przede wszystkim ja sama siebie nie rozumiem.

— Nie, słowo daję, spisałaś się na medal — zapewniam ją, tym razem starając się, by zabrzmiało to bardziej entuzjastycznie. Jej twarz rozświetla radosny uśmiech.

— Miałam nadzieję, że będziesz zadowolona. A teraz wszystko mi opowiedz. I to ze szczegółami.

Przysuwa sobie krzesło i obie nachylamy się nad moim komputerem. Na ogół nie wdaję się w tego typu babskie pogaduszki, ale minęły już całe godziny, odkąd nie wypowiedziałam na głos imienia Darrena. I jeśli szybko tego nie zrobię, wybuchnę. Opowiedziałam jej nieco z tego, o czym wcześniej mówiłam Issie. O jeździe pociągiem, jego rodzinie, wyprawie na basen, spacerach i „restauracjach”. Mówię już od ponad dwudziestu minut bez przerwy, gdy nagle zauważam, że Fi siedzi z dziwną miną.

— Co jest? — pytam.

— Skończ już z tą grą wstępną i przejdź do konkretów. Chcę usłyszeć, jak się pieprzyliście.

Spoglądam na nią niewidzącym wzrokiem i myślę o tym, jak się kochaliśmy. Nie mogę jej tego powiedzieć. Po pierwsze, niektóre słowa mogłyby zaszokować nawet zagorzałego skandalistę, po drugie, to zbyt osobiste. Coś, co należy tylko do Darrena i do mnie. Jakoś nie wyobrażam sobie, żebym mogła mówić o nim jako bohaterze jakiejś historyjki. Dzwoni telefon i Fi sięga po słuchawkę.

— Linia Jocasty Perry, Fi Spencer przy telefonie.

Otwieram swoją pocztę elektroniczną, pozwalając, by Fi zajęła się rozmową. Zauważam, że się rumieni. Po chwili zaczyna chichotać.

— Sprawdź — mówi wreszcie.

Przysłania ręką słuchawkę i zachowuje się jak aktorka pantomimy.

— To onnnnnn — odczytuję z ruchu jej warg.

— Ktoooo? — pytam w ten sam sposób; najwyraźniej jest mocno zaraźliwy.

Fi zaczyna wymachiwać rękami i robi głupie miny. W czasach mniej oświeconych nie za takie rzeczy skazywali na pławienie w wodzie.

— Darren.

— Nie ma mnie.

Jest wyraźnie zaszokowana. Przeprasza Darrena, po czym starannie notuje jego numer telefonu. Odkładając słuchawkę, podaje mi karteczkę, na której go zapisała.

— To znaczy, że rzeczywiście z nim spałaś. — Mówi teraz zupełnie innym tonem niż ten, którym rozmawiała ze mną, zanim zadzwonił Darren. Nie zaprzeczam; wzruszam tylko ramionami. — I przestał cię interesować — dochodzi do wniosku. Ciekawe, czy Darren wysnuł podobny. — Chryste, Cas, jak widzę twoje podejście „pieprz się z nimi i rzuć”, zastanawiam się, czy przypadkiem nie przysłałaś na świat jako mężczyzna, a potem po prostu zmieniłaś płeć. Możesz mu się oprzeć? Biorę od niej kartkę z telefonami i wyrzucam ją do kosza.

— Jeżeli jeszcze zadzwoni, powiedz mu, że odeszłam z firmy.

Z powodu listu od biskupa zmuszeni byliśmy z Bale'em przez cały dzień pracować razem. Metaforycznie rzecz ujmując, dyrektorzy sikali w swoje skórzane fotele i to wcale nie dlatego, że tacy z nich wielcy bogowie — rzekłabym, iż wręcz przeciwnie. Lecz jeden czy dwóch ma nadzieję, że królowa wymieni ich w następnej Honours List*, a obrazę Kościoła od obrazy rządu dzieli jeden tylko maleńki kroczek. Wraz z Bale'em przeprowadzamy rozmowy z redaktorami dyżurnymi i dokładnie analizujemy wszystkie skargi i pochwały, jakie program zebrał od początku swego istnienia. Redaktorzy podchodzą do sprawy lojalnie oraz pragmatycznie i starają się zapewnić Bale'a, że wszystko jest w porządku. Podejrzewam, że do lojalności zachęcił ich George, ich szef, który cały czas przemawia do mojego biustu.

* Honours List — lista wyróżnionych honorowymi tytułami, ogłaszana dwa razy do roku.

— Ludzie zawsze wolą krytykować, niż chwalić. Wielka Publiczność Brytyjska krytykuje i skarży się na wszystko. — George wzrusza ramionami; mój biust milcząco pozwala mu kontynuować. — Ta cała afera z biskupem... nie ma się czym przejmować. Świry zawsze się skarżą. Dostawałem listy, w których zarzucali nam, że jesteśmy uprzedzeni do palaczy albo że komuś nie odpowiada kolor sukienki prezydentki wiadomości. — Nie przerywam mu, choć język mnie świerzbi, by powiedzieć, że z tym się w sumie zgadzam: nasi prezydentzy generalnie mają

problem z ubiorem. — A w czasie Pucharu Świata w rugby mieliśmy skargi, że kamery pokazują flagę brytyjską do góry nogami.

— A było tak?

— Nie wiem. Mówili, że Shirley Bassey pokazuje na migi, co było oczywistym kłamstwem. I że cała akcja była nieodpowiednia dla epileptyków i cierpiących na migrenę. Z narodu sklepikarzy przemieniliśmy się w naród biadolących.

Super — wszystkie te przykłady stawiają krytykujących w nie najlepszym świetle, jako ludzi o niezbyt szerokich horyzontach. Dziękuję George'owi za czas, jaki nam poświęcił, i posyłam mu uśmiech przeznaczony tylko na specjalne okazje. W sumie niepotrzebnie, bo choć jest szeroki, do biustu nie sięga.

Bale i ja rozmawiamy również z działami marketingu i programowym. Do południa przekonująca odpowiedź dla szefostwa jest gotowa i choć zebranie ma trwać przez całe popołudnie, wiem, że minie zaledwie godzina, gdy zostanie przerwane i ktoś je opuści. Jest to nieuniknione przy takiej liczbie rozdmuchanych ego zgromadzonych w jednym pokoju. Z radością stwierdzam, że moje przewidywania okazały się jak najbardziej słuszne. Jedyne dyrektora, który rzeczywiście był przeciwny mojemu programowi, został na tyle upokorzony i pogiębiony, że zniesmaczony opuszcza salę po godzinie. Naszą odpowiedź postanawiamy opublikować w „The Times”. Właśnie chowam do torby swój elektroniczny notes, gdy Gary, dyrektor handlowy, klepie mnie w ramię.

— Dobra robota, dziewczyno.

Uśmiecham się. Gary entuzjastycznie kiwa głową i widok jego kręconych blond loków przywodzi mi na myśl cherubina. Uświadamiam sobie, że zanim stałam się sentymentalna, podobne porównanie nigdy nie przyszło mi do głowy. Brzydzą się sobą. Próbuję skupić się na tym, co do mnie mówi.

— Bardzo optymistyczne. Gramy razem. Do dwunastu. Pierwsze uderzenie i mamy sześć. W polu prawdziwa gwiazda. Wszystko idzie w górę. Kredyt, żadnych długów. Wyłącznie dzięki kilku ambitnym penisom. Dobra robota, mała.

Nie mam zielonego pojęcia, o co mu chodzi. Celowo chyba mówi tak niejasno. Ale uśmiecha się do mnie, a ponieważ dotąd uśmiechał się wyłącznie wtedy, gdy dyskutował o piłce nożnej, mogę założyć, że nasz dyrektor handlowy jest naprawdę uradowany.

Po zebraniu przeglądam elektroniczną pocztę, której nagromadziło się całkiem sporo. Ciężko jest mi się skupić, bo chociaż poleciłam Jaki, żeby odbierała wszystkie telefony do mnie, podskakuję nerwowo za każdym razem, gdy ktoś dzwoni na moją bezpośrednią linię. Pod koniec

dnia Jaki przekazuje mi wszystkie wiadomości. Mimo że wyraźnie mu tego zabroniłam, Darren dzwonił dwukrotnie.

Późnym popołudniem zabieram się do przeglądania nagranych materiałów. Do następnego programu muszę wybrać wyłącznie to, co najlepsze, i nie zamierzam zostawiać tego montażysty. Pracuję ze zdwojoną skrupulatnością żeby odkupić swoją nieuzasadnioną nieobecność w pracy.

I żeby nie myśleć o Darrenie. Gdy skupię się na pracy, może uda mi się choć na chwilę zapomnieć o tym jego uśmiechu, od którego miękną mi kolana.

— Nieźle sobie radzisz z tymi jeleniami — zauważa Ed, montażysta.

— Tak uważasz? — Nie odrywam wzroku od monitora.

— Aha, nie traktujesz ich protekcjonalnie, mówisz krótkimi zdaniami i monosylabami. Prawdziwy dar — takie bezpośrednie podejście.

— Wcześniej nikt mi nigdy o tym nie mówił — stwierdzam obojętnie.

— Nikt też nigdy by się nie domyślił, że potrafisz być przerażająca.

Patrzy na mnie wyraźnie zdenerwowany, nie mając pewności, jak przyjmę jego żarty. Uśmiecham się do niego lekko i z powrotem skupiamy się na wywiadzie. Jest to materiał, który nakręciłam dzień przed poznaniem Darrena. Chodzi w nim o to, że jakiś gość zostawił żonę dla innej dziewczyny. Dziewczyna jednak nie jest pewna, czy uda jej się go przy sobie zatrzymać, mimo że ślub planowany jest na przyszły miesiąc. Podejrzewa, że on chce wrócić do żony. Co, jak przypuszczam, przeczy teorii, jakoby jedna żona była równie dobra jak każda następna. Rozmawiam z żoną, nieśmiałą Szkotką o surowej urodzie. Mówi chrypliwie, szorstko wypowiadając samogłoski.

— Mogę być sławna, co mi tam. Teraz mam poplamiony dywan i odłóż listwy przypodłogowe. A on może sobie wybrać ją.

— Być może uda nam się załatwić jedno i drugie.

To moje słowa, karmiące ją fałszywą nadzieją. Wtedy naprawdę myślałam, że odrobina sławy i splendoru rzeczywiście może uczynić ją szczęśliwszą. No i była też szansa, że wiarołomny małżonek ostatecznie wybierze jednak ją. Lecz gdy dzisiaj, po upływie dwóch tygodni oglądam tę taśmę po raz wtóry, czuję się jakoś dziwnie. Czy postępuję właściwie...? — Zduszam myśl w zarodku i chyba po raz milionowy przeklinam Darrena.

— Nienawidzą mojego akcentu — lamentuje Szkotka.

— Nieprawda, nienawidzą twoich długich nóg i wielkich cyczków. Tylko to nimi powoduje. Naśmiewanie się z twojego akcentu to zwyczajna zmyłka — zapewniam ją.

— Prawdziwa z ciebie profesjonalistka — zachwyca się Ed. — Takie hasła jak nic przeciągają ich na twoją stronę. Masz pewne, że załatwi twojego faceta.

— Widzisz, Ed, ja mówiłam całkiem szczerze — oświadczam, zamykając za sobą drzwi.

Decyduję się na powrót do domu autobusem. Zwykle mi się to nie zdarza, ale jakoś nie mam ochoty jechać samotnie taksówką. Nie chcę być ze sobą sam na sam. Nie chcę być sobą. Nigdy w życiu nie czułam się taka nieszczęśliwa i skołowana. Ale też za nic w świecie nie chciałabym czuć się inaczej. I to jest w tym wszystkim najgorsze.

Spoglądam na zegarek i pozwalam sobie na dziesięciominutowe rozmyślenia o Darrenie. Dwadzieścia minut później nadjeżdża autobus. Na jego boku widnieje wielka reklama płynu po goleniu. Model bardzo przypomina Darrena. Ma podobne oczy, ale nawet w połowie nie tak piękne.

Podróż autobusem okazuje się pomysłem chybionym, ponieważ kierowca nie chce przyjąć ode mnie banknotu pięćdziesięciofuntowego i parska śmiechem, kiedy tłumaczę mu, że nie noszę drobnych, bo od nich zniekształcają mi się kieszenie. W końcu jakiś chudzielec ofiarowuje mi jednego funta. Bardzo to krępujące. Już mam skarcić go za impertynencję wymownym spojrzeniem, ale dostrzegam, że i on wygląda na zmęczonego. Może wcale się do mnie nie dostawia, tylko zwyczajnie chce wyświadczyć mi przysługę. Bezinteresownie. A może po prostu chce, żeby autobus wreszcie ruszył.

— Dzięki — bąkam pod nosem.

W odpowiedzi lekko kiwa głową, chyba nawet nie zdając sobie sprawy, że właśnie spełnił dobry uczynek. Zapewne jednak ma świadomość, że zachował się bardzo nie po londyńsku.

Wchodzę na górny pokład i siadam z przodu. Tak bardzo bym chciała, żeby Darren był tu ze mną — udawalibyśmy, że prowadzimy autobus. Wraz z tą myślą odczuwam do siebie nienawiść. Proszę. Bardzo. Oto skutki błazeństw. Żałosny sentymentalizm! Skąd mogę wiedzieć, że Darren udawałby, że prowadzi autobus? Zachowuję się jak ostatnia kretyńska.

Zwykle korzystanie z publicznego transportu wiąże się z anonimowością. Dlatego właśnie godzimy się płacić gigantyczne pieniądze za nieprawdopodobnie krótką jazdę — na tym polega układ. Nikt z nikim nie rozmawia i gdyby tylko było to możliwe, nikt na nikogo by nie patrzył. Z wyjątkiem pijaków, którzy korzystają ze środków masowego transportu z przyczyn dokładnie przeciwnych. Zwykle nawet nie zauważam współtowarzyszy podróży, dzisiaj jednak spoglądam na wszystko innymi oczami. Ani śladu anonimowości, niczyje zachowanie nie wydaje mi się obojętne. Na przykład siedzący obok mnie facet poza tym, że cuchnie niemiłosiernie, drażni mnie także z innego powodu. Ma na głowie słuchawki i śpiewa sobie na głos. Naturalnie śpiewa o wiecznej miłości, co jest nie do zniesienia. I nie tylko z powodu jego głosu. Przesiadam się i mam przed sobą dwie nastoletnie smarkule czytające „Cosmo”. Rozwiązują test, jak znaleźć idealnego faceta. Ha, gdybyż to było takie proste. Gdy one na głos czytają pytania, ja odpowiadam na nie w

myśli. W większości wybieram odpowiedzi B. Na koniec testu okazuje się, że chłopak jednej to maminsynek, drugiej mizoginista. Stwierdzam, że Darren nie mógłby okazać się lepszy, niż jest w rzeczywistości.

Po powrocie do domu widzę, że mam wiadomości na automatycznej sekretarce. Odsłuchuję je, czekając, aż naleje mi się woda na kąpiel.

— Cas, to ja — świergoli Issie. — Dzwonię, żeby zapytać, jak ci dzisiaj poszło z Bale'em. Zadzwoń, jeśli będzie ci się chciało. Wracam z sali koło dziesiątej.

Uśmiecham się, wiedząc, że o sali napomknęła, żeby zrobić na mnie wrażenie. Ku mojemu i Josha zdumieniu Issie wytrwale trzyma się swojego noworocznego postanowienia. Zgłosiła się do udziału w Londyńskim Maratonie i teraz z zapalem trenuje. Druga wiadomość jest od Josha.

— Cześć, kotku. Jak tam było na Północy? Idę dzisiaj do kina. Jakies dziadostwo z napisami, które Jane koniecznie chce obejrzeć. Na pewno będzie bardzo wartościowe i przygnębiające. Grają to w jednym z tych ambitnych kin, w których nawet nie sprzedają popcornu. Zadzwoń jutro.

Biedna Jane — wydaje się, że już należy do historii. Zaczynam się rozluźniać. Trzecia nagrała się moja matka z pretensjami, że nie odwiedziłam jej w niedzielę. Ogarnia mnie chwilowe poczucie winy. Tak więc na froncie bez zmian — zwykle podobne wiadomości czekają na mnie, kiedy w poniedziałkowy wieczór wracam do domu. Jestem znowu na znajomym terytorium. Darren był chwilowym i niewygodnym odstępstwem od reguły, ale teraz wszystko wróciło do normy. Jestem bezpieczna.

— Cas, to ja. — Jego głos wdziera się do mojego sanktuarium i robi mi się słabo. Obrzydliwość. — Pewnie ciągle jesteś w pracy. Ale jeżeli jesteś w domu, proszę, odbierz. — Chwila przerwy. — Chyba cię jednak nie ma. Mam twój liścik.

— Wydaje jakiś dziwny dźwięk, coś pośredniego między śmiechem a westchnieniem. — Spodziewałem się czegoś takiego. Wiedziałem, że wpadniesz w panikę. Ale jeżeli będę mógł z tobą chwilę porozmawiać... — Głos mu się załamuje i musi odkaszląć. — Słuchaj, te dwa tygodnie były fantastyczne. Ty także tak myślisz. — Mówi teraz ostro, słyszę, że jest zły i smutny (do tego zwykle facetów doprowadzam), ale także wyczuwam w jego słowach czułość. To dla mnie coś nowego.

— Jeżeli cię to pocieszy, ja także się boję.

Tu taśma się skończyła. Stoję zupełnie nieruchomo, starając się zrozumieć, co czuję. Wielki Boże, to się doigrałam — ja czuję. Nie myślę, jak jeszcze kilka tygodni temu. Nagle czuję!

Chyba mówił szczerze. Co to miało znaczyć, że on także się boi? Jak kto?

Odsłuchuję wiadomość jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze. Odsłuchuję ją dwanaście razy. Przy dwunastym wszystko jest jasne. Przegrałam. Kasuję wszystko i idę do łóżka. Jaki Darren? Smith.

14

Tak jak się spodziewałam, ciężko jest być zakochanym. Budzę się rano i pierwsza myśl jest o Darrenie. Prawdę powiedziawszy, kiedy śpię, także śnię o nim i coraz trudniej jest mi odróżnić, co jest snem, a co jawą. Wszystko zlewa się w jedno. Jadę do pracy i widzę go w każdym samochodzie, na każdej ulicy. Cała drzę na myśl, że w każdej chwili mogę go naprawdę gdzieś dostrzec. A gdy się okazuje, że to nie on, cierpię okrutnie. Wchodzę do budynku TV6 i rozglądam się, czy przypadkiem nie ma go w recepcji, co jest z założenia idiotyczne, zważywszy na to, jak bardzo nienawidzi studia i wszystkiego, co ono sobą reprezentuje. Słucham prognozy pogody dla Whitby, mimo iż wiem, że jest przecież w Londynie. Jak to możliwe, że kiedyś uważałam Whitby za Smallville? Teraz jest wszędzie, gdziekolwiek się obrócę. TV6 kręci tam nowy program; wczoraj w wiadomościach była krótka wzmianka o legendzie o Draculi i pokazywali cmentarz, który razem zwiedzaliśmy. Rodzice Issie kupili sobie właśnie przyczepę i pierwszym miejscem, do którego się wybrali, było Whitby. Niespodziewanie Whitby stało się centrum wszechświata. Ilekroć dzwoni telefon, podskakuję nerwowo, i chociaż zawsze odsłuchuję wszystkie wiadomości od Darrena, sama nie zadzwoniłam do niego ani razu.

Początkowo dzwonił często i zostawiał długie wiadomości. Jaki błagała mnie, żebym oddzwoniła.

— Zadzwoń do niego, Cas. On naprawdę nie wierzy, że odeszłaś z firmy.

— Nie mam mu nic do powiedzenia.

— To przynajmniej powiedz mu to! Nie chodzi nawet o ciebie, ale o mnie. Odkąd zaczęłam odbierać telefony od niego, mam właściwie dwa razy więcej roboty.

— W takim razie wcześniej się objaśałaś — odpalam, nie odrywając wzroku od ekranu komputera. — Załatw mi nowy numer, a kiedy on zadzwoni znowu, powiedz mu, że doniosę na policję, że mnie prześladowuje.

Darren dwukrotnie był u mnie w domu. Za każdym razem zostawiał informację, kiedy przyjdzie znowu, więc chwilowo przeprowadziłam się do Issie. Zrozumiał i więcej nie przyszedł. Przestał też dzwonić. Tylko raz, późnym wieczorem, kiedy bez wątplenia był pijany. „To ja”, usłyszałam. Nadal jednak dostaję od niego e-maile. Lecz nie prosi już, bym się z nim

skontaktowała; teraz tylko przysyła mi linki do stron internetowych, które według niego mogą mnie interesować. Artykuły o Audrey Hepburn, badania na temat tego, co ludzie zwykle oglądają w telewizji. Wczoraj były to najnowsze dane dotyczące statystyk rozwodowych opublikowane przez rząd. Ciekawe, co chciał przez to powiedzieć? Trudno się domyślić, tym bardziej że w żaden sposób nie opisuje nadsyłanych artykułów, nie dodaje też niczego od siebie. Za co pozostaje mi chyba tylko dziękować Bogu. Co by się działo, gdyby napisał „pozdrawiam” albo „ściskam” czy „całuję”. Zaraz bym zaczęła zamećzać Issie, analizując znaczenie każdego słowa, podczas gdy tak naprawdę nie znaczyłyby one nic.

Przychodzi mi na myśl w chwilach najmniej oczekiwanych. Na przykład sprawdzam listy dialogowe wywiadów, a tu nagle zaczynam się zastanawiać nad tym, co kiedyś powiedział o zbiorowej odpowiedzialności za programy.

Co jest przecież kompletną bzdurą.

Ale swoich racji dowodził z wdziękiem.

Gdybym tylko potrafiła myśleć wyłącznie o tym, co mówił. Ale co wieczór kładę się do łóżka i wspominam dotyk jego ust na moich piersiach, a rano budzę się z uśmiechem. Lecz trwa to tylko przez ułamek sekundy, zanim mój mózg nie przypomni sercu, że coś podobnego nigdy już się nie powtórzy.

Przenigdy.

Z pozoru wiem o Darrenie milion przeróżnych rzeczy, bezustannie bowiem nad czymś się zastanawiam, coś sobie przypominam, układam. Z drugiej jednak strony wiem o nim tak niewiele. Przyglądam się drzewom i myślę, czym tak naprawdę zajmuje się chirurg drzewny. Co prawda rozmawialiśmy o jego pracy, ale chciałabym mieć o niej nieco jaśniejsze wyobrażenie. Chciałabym móc sobie wyobrazić każdą część jego dnia. Myślę, jak wygląda jego mieszkanie i jakim samochodem jeździ. Zaraz jednak tłumaczę sobie, że lepiej, abym wiedziała jak najmniej, bo wtedy będę musiała mniej zapomnieć. Wszak tylko kwestią czasu jest to, że w końcu zniknie z moich myśli na zawsze. Pocięszam się świadomością, że jedynie na początku wszystko wydaje się takie fascynujące. Sposób, w jaki czeszą włosy, jak wydmuchują nos, co myślą o polityce rządu wobec zadłużenia Trzeciego Świata i jak przyrządzony stek z tuńczyka smakuje im najbardziej. Kuszące jest wszystko, każdy najmniejszy szczegół, gdybyśmy jednak byli razem, bardzo szybko zaczęłoby mnie to nużyć. Niemożliwe, bym cały czas zauważała wszystkie te rzeczy, obcując z nimi na co dzień. Powszedniość nie ma w sobie nic wyjątkowego, jest wyzbyta piękna. Nie ma w niej nic interesującego. Ani cennego. Przeciwnie niż w moich wspomnieniach. Lepiej więc, że mogę je pielęgnować, niż patrzeć, jak powszednieją w szarej rzeczywistości.

Wiem, że myślę jak Issie. Ale panuję nad tym.

Przepisuję sobie zwykle antidotum i pracuję jak oszalała. Wokół mnie rozpacz, zdrada, wściekłość, przygnębienie, spocone dłonie i suchość w gardle, ale cierpią na to inni, nie ja. Śluby wyzwają w ludziach najgorsze instynkty, co wręcz idealnie służy moim celom. Potęga zazdrości i paranoi, do której zdolna jest brytyjska publiczność, nigdy mnie nie zawiedzie; uczestnicy pchają się drzwiami i oknami, świadomi, jak cudowną okazją do zemsty jest ślub. Czyż można prosić o więcej? Wielka scena, po brzegi wypełniona najbliższymi i najdroższymi z moich frajerów (plus 10,6 milionów widzów, która to liczba stale rośnie), niecierpliwie czekającymi, by być świadkami upokorzenia. Faktem jest, że w czasie przygotowań do ślubu drobne z pozoru problemy narastają jak lawina. Decyzja, jaki kwiatek włożyć do butonierki — fiołek czy lepiej goździk — może zbliżyć, ale też i poróżnić. Nic dziwnego więc, że nie wolno lekceważyć faktu, iż zamieszanie wywołane dokonaniem wyboru pomiędzy Carol a Lily może doprowadzić do katastrofy.

Nasza odpowiedź na list biskupa pojawiła się w całej poważnej prasie. Co wywołało oburzenie, dokładnie jak się spodziewałam. Ludzie dzwonili do rządu, domagając się, by wydawać programom telewizyjnym podobne certyfikaty jak filmom wyświetlanym w kinach. Propozycja niezwykle rozsądna, z którą nikt przy zdrowych zmysłach nie może się nie zgodzić. Na szczęście jednak brukowce jak zwykle wywróciły kota ogonem i rozpętały ogólnonarodową debatę o wolności mediów i cenzurze w stylu „wielkiego brata”. Kłótnia rozgorzała na dobre. Co prawda prasie brukowej nie udało się wysunąć rozsądnej kontrpropozycji na pomysł klasyfikowania programów, lecz emocje osiągnęły taki pułap, że sprawa (a co ważniejsze, sam program) nie schodziła z nagłówków przez wiele tygodni. Powstała kontrowersja to balsam dla mojej duszy. Korzyści płyną z tego wielorakie, nie mówiąc już o narastającej lawinowo liczbie chętnych do udziału w programie. Dostałam polecenie, by nakręcić materiał wystarczający na kolejne odcinki *Seksu z eks* aż do lipca. Reklamodawcy nabrali zaufania i gotowi są przeznaczyć wielkie sumy na reklamy, co pozwoliło mi rozszerzyć ramówkę programową stacji. Kupiliśmy cztery kasowe filmy, dzięki czemu zapewnimy sobie wielką oglądalność. Zainwestowaliśmy grube pieniądze w operę mydlaną *Teddington Crescent*, zatrudniając lepszych scenarzystów i budując dekoracje, tym razem już nie z chusteczek do nosa. Poza tym wprowadziliśmy kilka zupełnie nowych programów — teleturnieje, sitcomy i reality show. Jestem jak król Midas.

Niestety, niekwestionowany sukces *Seksu z eks* ma też swoje ciemne strony. Bale postanowił osobiście włączyć się w nadzór programowy. Jak każdy dobry szef, potrafi przewidzieć, co będzie kurą znoszącą złote jaja, po czym ukraść ją temu, kto ją stworzył. Jak dotąd nigdy nie udało mu się pograć ze mną w ten sposób — normalnie jestem dla niego za dobra, zawsze kilka kroków do przodu. Tym razem jednak sama, choć bez zamiaru, podałam mu taką możliwość na tacy. Moją wyprawę do Whitby przedstawił jako „okres pogoni za dziką gęsią” i często służy mu ona jako

przykład złej oceny sytuacji i nieodpowiedzialności. Chce w ten sposób oczywiście dać do zrozumienia, że skoro już raz zdarzyło mi się postąpić w sposób tak karygodnie głupi i irracjonalny, istnieje realne niebezpieczeństwo, że w przyszłości może się to powtórzyć; a nawet, rzecz by można, że przy tak napiętej ramówce podobne ryzyko rośnie w dwójnasób. Mój dwunastoletni, wzorcowy wręcz przebieg kariery nie ma tu nic do rzeczy. Mogłabym się oburzać na takie traktowanie, ale znam w końcu zasady działania tego biznesu — sama wykorzystywałam je bez skrupułów; nie pozostaje mi nic innego, jak godzić się na wszystko z pokorą.

Przynajmniej publicznie.

Prywatnie natomiast spiskuję, by puścić w obieg zdjęcia Bale'a w damskiej bieliźnie, które dostałam od jego ostatniej zranionej, bo już odrzuconej zdobyczy. Z radością mi je wręczyła, tym bardziej że dogadzała mu przez trzy tygodnie, wierząc jego obietnicom, iż „widzi dla niej znaczące miejsce w firmie”. W rzeczywistości jednak dopilnował, by szybko z niej wyleciała, za wysiłki wynagradzając ją mniej niż skromnie. Zdjęcia zrobiła podczas jednego z ich bardziej wyuzdanych spotkań. Dała je mnie, w zamian otrzymując list rekomendacyjny, w którym podkreślam jej talenty inne niż te, z których korzystał Bale. Zasugerowałam jej również, by skupiła się na doskonaleniu stenografowania, nie zaś umiejętności, w których sprawna ręka jest równie ważna. Obawiam się jednak, że moje rady nie trafią do niej. Jak już człowiek raz wylądował na plecach, ciężko jest mu się podnieść. Nie wiem kiedy ani czy w ogóle rozpowszechnię moje piękne fotki w Internecie, ale dobrze mi ze świadomością, że je mam.

Pozornie niewinna obecność Bale'a nie pozostaje bez wpływu na realizację programu, głównie dlatego, że nie ma on pojęcia, w czym rzecz. Sukces *Seksu z eks* bierze się przede wszystkim ze spontaniczności. Natomiast wszelkie przewidywania są dla niego zabójcze.

Uruchomiliśmy linie telefoniczne dla wszystkich tych, którzy pragną w programie wystąpić. Obsługują je psycholodzy. Sama rzadko już teraz przeprowadzam wywiady, mając do tego zespół specjalistów. Stacja bierze czynny udział w przygotowaniach do ślubów naszych frajerów, angażując się w bardzo wczesnym stadium, często już przy wyborze obrączek. Uczestniczymy w przymiarkach ślubnych strojów, czuwamy nad ustalaniem listy gości. Ponosimy wszelkie koszty, jeżeli jakiejś parze uda się mimo wszystko dokuśtykać do ołtarza, lecz jesteśmy wtedy gorsi niż cała armia rodziców, roszcząc sobie prawo do doradzania we wszystkim, poczynając od tortu, na skonsumowaniu kończąc. Mamy ludzi — wybranych specjalnie ze względu na ich życzliwość lub umiejętność udawania takiej życzliwości — którzy zaskarbiają sobie przyjaźń naszych ofiar. Stajemy się wręcz niezbędni dla wszystkich tych nieszczęśników, tak chętnych do wystawiania siebie i swoich wybrańców na próbę. Bo o to w tym właśnie chodzi — o współzawodnictwo. Kogo on wybierze? Czy kocha tylko mnie? Nic nie jest pozostawione przypadkowi. Coraz rzadziej się

zdarza, by uczestnicy nagle tracili pewność siebie i gdy światła przygasają, zaczęli mieć wątpliwości typu: „co ja tutaj robię?” W zasadzie tego typu reakcje stały się niemożliwe, ponieważ wszystko jest wyreżyserowane, uczestnicy są pouczeni i wyszkoleni w najdrobniejszych szczegółach. Wiedzą, jak mają się zachować, gdy na oczach milionów spotyka ich upokorzenie. (Najlepiej, gdy kobieta płacze, a mężczyzna staje się agresywny, czasem jednak wprowadzamy pewne zmiany dla osiągnięcia wyjątkowego efektu). Wiedzą, co robić, gdy okazuje się, że partner dochował wierności (rozczulające poczucie ulgi połączone z poczuciem pewności siebie). Ćwiczą, jak mają siedzieć, chodzić, trzymać się za ręce, płakać, uderzać i kopać. Osobiście uważam, że program stracił przez to sporo ze swej autentyczności, Bale jednak ma takiego bzika na punkcie rekinów reklamy sponsorujących program, że nie chce nawet słyszeć o swobodniejszym podejściu. Mogłabym dowodzić swoich racji, jednak nie zależy mi już na programie tak jak kiedyś. Ważniejsze stało się dla mnie wprowadzanie nowych pozycji do ramówki.

Zwołuję zebranie, by przedyskutować nowe pomysły. Przez szklaną przegrodę obserwuję, jak zespół zbiera się powoli. Już nie przypominają zdenerwowanych krewnych ciężko chorego, jak działo się to w sierpniu ubiegłego roku. Zdumiewające, czego może dokonać sześć miesięcy i dziesięć milionów widzów. Są szczęśliwi, pewni siebie, dumni i podekscytowani. Tak, Darrenie Smith, powinienesz to zobaczyć.

— Cześć, co tam u was?

— Jakoś leci — odpowiada Tom.

Spoglądam na niego z przyganą. Widziałam, jak wchodził na zebranie, i doprawdy, nawet największy sceptyk nie określiłby go jako kogoś, komu zaledwie Jakoś leci".

— Super.

— Świetnie.

— Elegancko — odpowiadają po kolei Mark, Jaki i Gray. Mam nadzieję, że świadomi są, komu powinni dziękować za ten euforyczny stan.

— Miło słyszeć. A teraz do pracy.

Wzrokiem nakazuję Ricky'emu zwolnić krzesło u szczytu stołu i zajmuję je sama, by przejąć dowodzenie. Każdy z członków zespołu zdaje pobieżne sprawozdanie z poczynań swego działu. Gray mówi o kolosalnym wzroście dochodów ze sponsoringu i reklam. Spodziewałam się tego; reszta z zachwytem słucha oszołomiona. Di ma kolejne dobre wieści, kierownictwo podniosło nam budżet o dwieście pięćdziesiąt procent. Tom i Mark od razu zaczynają dyskutować, dokąd powinniśmy pójść na lunch.

— Quo Vadis?

— Nie, do Ivy.

— Hej, dorośnijcie — mityguje ich Fi. — Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. — Szybko się uczy.

— Na przykład?

— Na przykład, co dalej — odpowiadam. — Musimy kuć żelazo póki gorące.

Padają różne propozycje.

— Ciąg dalszy *Seksu z eks.* No wiecie, jak sobie radzą nasze pary. Czy dokonały właściwego wyboru? — podsuwa Jaki.

— To się chyba rozumie samo przez się — niecierpliwi się Fi.

— Ale przynajmniej tanio wyjdzie — broni się Jaki, wiedząc, że to na mnie, a nie na Fi powinna zrobić wrażenie.

— Masz rację, idziemy na to — mówię. — Zapisz to jako propozycję. Musi być seksy. Przygotuj materiały.

— A może jakiś cykl o seryjnych mordercach? — wpada na genialny pomysł Tom. — Porównamy Rozpruwacza z Yorkshire, Księżycowych Morderców i tego doktora Śmierć.

Całą siłą woli skupiam się, by nie okazać obrzydzenia.

— Lepiej coś o szerszym zasięgu, na przykład tyrani i despoti. Stalin, Hitler, Pinochet. Publiczność mogłaby decydować, który z nich był najgorszy. — Mark myśli jeszcze bardziej twórczo.

— E, to zbyt ponure — krzywi się Gray, a ja jestem mu wdzięczna, że wyręczył mnie w zgaszeniu niewczesnego zapалу Marka. — Trzymajmy się lepiej tego, co nam wychodzi najlepiej, to znaczy upokarzania i wystawiania na pośmiewisko zwykłych śmiertelników.

— No właśnie — przytakuje mu Ricky. — Na przykład moglibyśmy towarzyszyć facetom podczas wieczoru kawalerskiego. No wiecie, podglądać ich, jak wylizują guinnessa z piersi prostytutek albo jak ich nagich przywiązują do latarni.

— Świetny pomysł — entuzjazmuje się Fi. — I laski w czasie wieczorów panieńskich, jak rzygają do torebek i podśpiewują *Let Me Entertain You*, ściągając staniki.

— Nie, nie. Powinniśmy wymyślić coś z wyższej półki — protestuje Di.

Mam ochotę ją ucałować.

— Pokażmy na przykład, jak się prywatnie zabawiają politycy i inne ważne szczy. Sfilmujmy ich, jak stoją na barze i wylizują guinnessa z piersi prostytutek.

Teraz najchętniej sprzedałabym jej kopniaka w tyłek.

— Co powiecie na sylwetki znanych ludzi? — włączam się do dyskusji.

— Kapitalne! — woła Di. — Odsłonimy ich brudną przeszłość. Pokażemy całą masę fotek, o których najchętniej by zapomnieli.

— Nie! — krzyczę, może nieco głośniejszy, niżbym sobie życzyła. — Coś, z czego — waham się, niepewna, jak odniosą się do mojego pomysłu — płynęłyby jakieś korzyści.

— Cóż, szkielety w szafie zawsze przynoszą korzyści. Reklamodawcy dobrze o tym wiedzą i chętnie wyłożą większą kasę — zauważa Di.

— Miałam na myśli korzyści emocjonalne. Może powinniśmy zrobić program o tym, jak sławni ludzie wywiązują się z danych sobie obietnic na nowe tysiąclecie, a jeśli ich nie mają, moglibyśmy im podsunąć coś szlachetnego.

— Może — mruczy pod nosem Ricky. Niestety, nie słyhać w jego głosie zbytniego entuzjazmu. Spoglądam na pozostałych, lecz nagle, nie wiadomo dlaczego, wszyscy z zainteresowaniem oglądają pajęczynę pod sufitem w prawym kącie pokoju. Trochę mnie to zbija z pantałyku, ale brnę dalej.

— No dobra, chyba to nie najszcześniejszy pomysł, chciałabym jednak, żebyśmy zaproponowali coś bardziej kształcącego niż ten chłam, który teraz dajemy.

— Oczywiście.

— Całkowita racja.

— Zgadza się w stu procentach — oznajmiają chórem obserwatorzy pajęczyny.

— Naprawdę? — uśmiecham się zachwycona.

— No, na przykład program o tych, co lubią się przebierać. Bardzo kształcący.

— Albo o chirurgii plastycznej. Mrożące krew w żyłach opowieści o kobietach pragnących za wszelką cenę zatrzymać przy sobie mężów, gotowych poświęcić wszystko — najlepiej byłoby, gdyby ich operacje się nie udały.

— Co jesteś taki stereotypowy?! — wrzeszczy Fi. — Czemu nie historie o operacjach plastycznych facetów? Przedłużanie penisa... niejedno można na ten temat opowiedzieć.

Wszyscy zaczynają mówić jednocześnie. Tylko ja milczę. Oddycham z ulgą gdy ktoś wreszcie wpada na pomysł, żeby wyskoczyć do pubu „trochę się wyluzować”. Modlę się w duchu, by skupili się nad wyższością chrupek z bekonem nad tymi z cebulą i serem, zapominając o pierwotnym celu naszego zebrania.

Nigdy w życiu tak ciężko nie pracowałam jak przez te kilka ostatnich miesięcy. Lub raczej — bądźmy szczerzy — praca nie była tak ciężka. Nie zauważyłam, kiedy nadeszła wiosna. Ta cząsteczka mnie, która z zachwytem spoglądała na zielone pączki i błękitne niebo, w tej chwili została kompletnie przytłoczona nawalem harmonogramów, ostatecznych terminów, planowanymi dochodami, notowaniami telewizyjnymi. Lecz to wciąż za mało; jeszcze mam nie dość zajęć. Dochodzę do wniosku, że moje życie towarzyskie musi nabrać nowego impetu, nie opuszczam więc żadnej imprezy, przyjęcia, premiery, kolacji, na jakie jestem zaproszona. Ostatnio zdobyłam nowe życiowe doświadczenia, wybierając się do Le Cirque du Soleil, spędzając weekend w siodle i biorąc udział w dwóch wieczorach panieńskich (ani jeden, ani drugi nie obył się bez obowiązkowego striptizera w stroju policjanta). Raz nawet poszłam z Issie na jej zajęcia z ceramiki. Lecz mimo tych wszystkich błahostek nie mogę powiedzieć, bym się dobrze bawiła.

Czas mam więc wypełniony po brzegi, co jednak pociąga za sobą pewne konsekwencje. Po pierwsze odkryłam, że moje wcześniejsze zdanie na temat rodzaju ludzkiego (przez wielu uważane za mało delikatne) tak naprawdę było wyjątkowo życzliwe. Generalnie rzecz biorąc, ludzie są znacznie bardziej nudni, niż sądziłam. Kobiety, dokładnie wszystkie, mają obsesję na punkcie centymetrów w talii, obsesja nielicznych dotyczy jakiegoś frajera. Co do mężczyzn natomiast raczej się nie myliłam. Albo są nieszczerzy i panicznie boją się zaangażowania, albo są żonatymi, pozbawionymi kręgosłupa słabeuszami. I chociaż sama, powodowana rozsądkiem, staram się zaangażowania unikać, u innych cecha ta mnie razi. W przeszłości jakoś udawało mi się znosić banały, którymi mnie karmili, i wilgotne dłonie — przynajmniej do następnego ranka. Teraz jednak wytrzymuję najwyżej tyle czasu, ile potrzebują by przebić się przez tłum do baru. Issie jest zachwycona moją wytrwałością z jaką trzymam się swojego noworocznego postanowienia.

— Poza Darrenem ani razu w tym roku nie wylądowałaś z nikim przypadkowym w łóżku. — Patrzy na mnie zarumieniona. — A jego chyba nie można uznać za przypadek.

Pozostawiam to bez komentarza.

Jest też i druga konsekwencja mojego aktywnego uczestnictwa w życiu towarzyskim. Ponieważ przyjmuję każde zaproszenie, moja atrakcyjność znacznie spadła. Obawiam się, że niedługo zasłużę sobie na opinię osoby, która z radością uczestniczyć będzie w otwarciu słoika z dżemem. Z tego też powodu w tym tygodniu nie przyjąłam żadnego zaproszenia na weekend. Jeden facet zaprasza mnie na weekendowe zakupy w Nowym Jorku, „aż padnę”. Miał chyba na myśli, że padnę, ale z nim, na łóżko. Odmówiłam. Dzisiaj nie pójdę na przyjęcie w Tate Modern,

podobnie jak na drinki z moimi współpracownikami. Jutro nie skorzystam z zaproszenia na kolację i bal przebierańców, w niedzielę na lunch. Issie w czasie weekendu będzie intensywnie trenować z grupą biorącą udział w Maratonie Londyńskim, Josh natomiast zabiera Jane na wieś. Nie po to, by spędzić z nią romantyczne chwile, lecz by z nią zerwać. Błędnie sądzi, że w ten sposób zachowa się jak prawdziwy dżentelmen. Próbowaliśmy mu z Issie wytłumaczyć, że Jane zapewne wolałaby, by złamał jej serce na jej własnym terytorium, na co usłyszałyśmy, że jeśli nie pojedą, Joshowi przypadnie zaliczka za hotel. Skoro więc oboje moi przyjaciele wyjeżdżają z miasta, ja spędzę ten weekend, nie kontaktując się z ludźmi.

Czekam na to z niecierpliwością, pełna nadziei. Już nie mogę się doczekać, kiedy za jedyne towarzystwo będę miała maseczkę do twarzy, lodówkę i pilota. Zasiadam z mazakiem w rękę, programem telewizyjnym i butelką ginu. Zakreślam programy, które sobie obejrzę. *Coronation Street*, program o Brooklynie Beckhamie (nasz), *Brookside*, *Przyjaciele*, potem obejrzę film na kablówce. Zauważam datę i automatycznie obliczam, że minął miesiąc, trzy tygodnie, pięć dni i osiem godzin, odkąd po raz ostatni widziałam Darrena.

Został już tylko kwadrans do *Corrie*.

Trzydzieści minut.

Jeszcze dziewięć.

Wciąż jeszcze mam trochę czasu. Chyba zadzwonię do mamy.

— Cześć, mamó.

— Och, witaj, Jocasto. Kochanie, co u ciebie? Właśnie rozmawiam o tobie z Bobem.

— Z kim?

— Z Bobem, no wiesz...

— Twoim sąsiadem.

— Właśnie!

— O czym rozmawialiście?

— Słucham?

— Co mu mówiłaś? — zaczynam żałować, że zadzwoniłam.

— Że zastanawiam się, co słyhać u Jocasty.

— Cóż, u mnie wszystko w porządku.

— Miło mi to słyszeć.

— A co u ciebie?

— Och, świetnie, gdyby nie ten stary kłopot.

Nie mam pojęcia, o jaki „stary kłopot” chodzi, choć z całą pewnością mówiła mi o tym nie raz; jakoś jednak nie mam ochoty się dowiedzieć. Z trudem ciągnę naszą rozmowę.

— Dzwonię, żeby zapytać, czy nie wybrałybyśmy się jutro na zakupy. Jest sobota, a ja nie muszę iść na żaden ślub.

Nie wiedziałam, że po to dzwonię; spędzony w samotności kwadrans musiał mi chyba poważnie zaszkodzić. Czekam na zmieszane podziękowania, że tak wspaniałomyślnie zaproponowałam jej wspólne spędzenie całej soboty, mimo że nie są to ani jej urodziny, ani Boże Narodzenie. Spotyka mnie jednak niespodzianka.

— Wydaje mi się, że ludzie boją się ciebie zapraszać na swój ślub przez ten cały twój program i w ogóle. Cóż, kochanie, z radością poszłabym z tobą na zakupy, ale wybieramy się z Bobem na targi rzemiosła. Planujemy to już od dawna i nie mogę go teraz zawieść. Wiem, że zrobiłabym mu wielką przykrość, a poza tym sama o tym marzyłam.

Nie pytam nawet, co za facet lubuje się w targach rzemiosła, bez odpowiedzi pozostawiam też jej pełne nadziei pytanie:

— Może wybierzemy się w przyszłym tygodniu? Odkładam słuchawkę i puszcza telewizor głośniej.

Chociaż weekend spędziłam nad wyraz pożytecznie (pomalowałam paznokcie u rąk i nóg, zrobiłam porządek w szufladzie ze sztucami, usunęłam kamień z czajnika i prysznic), w niedzielę po południu zaczynam żałować, że nie przyjąłam zaproszenia na lunch. Przeczytałam od deski do deski niedzielne gazety, nie pomijając nawet drobnych ogłoszeń o usuwaniu zbędnych zmarszczek, tłuszczu i włosów ani tych o powiększaniu penisów i piersi. Obejrzałam milion nagranych na wideo programów i serialowych tasiemców. Cała moja rozrywka, tak jak i jedzenie, pochodzą z radioaktywnych skrzynek. Chociaż czasu mam aż nadto, jakoś nie potrafię zmusić się, by wyjść do Tesco czy choćby Cullen'sa. Po jakiego diabła mam kupować świeże zioła i warzywa, siekać i pichcić dla jednej osoby? W poszukiwaniu inspiracji zabieram się do przeglądu szafek w kuchni. Nic mnie nie inspiruje. Nie przychodzi mi do głowy żaden przepis, w którym mogłabym wykorzystać masło orzechowe, herbatniki i otręby. Zawartość mojej lodówki nie jest przydatna do niczego, nie jest też interesująca. Są w niej: stary słoiczek z kaparami, drugi z anchois (kupiłam go na jakąś prośzoną kolację), Tabasco, jogurt i Red Bull. Jest też oczywiście butelka szampana, ale jakoś nie mam ochoty pić Veuve Clicquot w samotności. Rozmrażam więc podejrzenie wyglądające jedzenie. Mdłe żarcie w kartonowych opakowaniach — pożywienie osób samotnych.

Z pobliskiego parku dochodzą mnie krzyki bawiących się dzieci. O ile mogę się domyślać, ich zabawa polega na sprawdzeniu, kto potrafi wydać z siebie bardziej przeraźliwy wrzask. Wspaniała rozrywka, jeśli ma się osiem lat. Ciekawe, co słychać u Charlotte i Lucy? Nad moim domem przelatuje samolot. Słyszę nieustanny szum ciężarówek kursujących między fabryką a magazynami. Jestem w depresji. Nie ma co do tego wątpliwości. Ciężarówki doprowadzają mnie

do szafu. Rozglądam się za czymś, co mogłoby mi posłużyć za popielniczkę. Wszystkie popiel-popielniczki, spodki, filiżanki, doniczki znajdują się o rzut kamieniem od kanapy i wszystkie wręcz kipią od niedopałków.

Wiele można się nauczyć, spędzając czas sam na sam ze sobą, i ja podczas tego weekendu czegoś się nauczyłam — a mianowicie, że kompan ze mnie żaden. Nie podniósł mnie na duchu nawet fakt, że sobotnia emisja programu okazała się bezapelacyjnym hitem i przyciągnęła przed telewizory 10,4 milionów widzów, o czym dział programowy zdążył mnie już poinformować. Najgorsze zaś w tym wszystkim jest to, że tak naprawdę wcale nie jestem sama.

Gdy tak błąkam się po mieszkaniu, widzę rozciągniętego na brzuchu Darrena, jak czyta niedzielne gazety. Spotykam go w kuchni, gdzie wyciska sok z pomarańczy, wpadam na niego, gdy wychodzi spod prysznica. Nagi i muskularny, z białym ręcznikiem owiniętym wokół bioder, opryskujący dywan wodą kapiącą mu z włosów. Lecz teraz dywan jest suchy, bo tak naprawdę Darren istnieje tylko w mojej głowie — na pewno nie ma go w moim łóżku.

Pamiętam, jak po raz pierwszy wszedł do mojego mieszkania.

— Niezła chata. Zamówiłaś wszystko prosto z magazynu „Dom i wnętrze”? — Uśmiecha się i obraca, by mnie pocałować. Niedbale rzucam płaszcz na kanapę i nawet na myśl mi nie przyjdzie, żeby powiesić go w szafie. Ani trochę nie urażona całuję Darrena.

— Zabawne. Issie także uważa, że to miejsce pozbawione jest osobowości. A mnie się wydaje, że jest wręcz przeciwnie. Że można mu zarzucić wszystko, tylko nie to. Kupiłam je w stanie surowym i sama zrobiłam wszystko od początku do końca. Czy w tej sytuacji może być pozbawione osobowości?

Darren obejmuje mnie ramionami i mocno tuli. Wdycham jego zapach. Pamiętam, że cała aż dygotałam porażona tą całkowicie nową dla mnie sytuacją. Nowością było dla mnie to, co i jak mówię. Podobnie jak obecność w moim domu mężczyzny, z którym dzieliłam życie, choć zaledwie przez tydzień.

Siedzę zapatrzona w okno i obserwuję wyścig kropli deszczu po szybie. Nauczył mnie tego Darren. Każdy wybiera sobie po jednej kropli, mniej więcej na tej samej wysokości, najlepiej u samej góry. Wygrywa ten, którego kropla pierwsza dociera na dół. Wygrywam. Nic dziwnego — gram sama ze sobą. Nic mnie nie cieszy, nie urzeka, nie bawi. Nawet świadomość, że dziewczynę Josha czekają prawdopodobnie jeszcze mniej przyjemne chwile. Co tylko dowodzi prawdziwości mojej teorii, że trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby się angażować uczuciowo. Liczę na to, że już niedługo Josh zadzwoni i zda mi relację — muszę się czymś zająć.

Postanawiam zagłuszyć cikliwą melodyjkę wygrywaną przez moje trzeszczące kaloryfery i mruczącą lodówkę. Zwlekam się z wygodnego siedziska pod oknem i zaczynam przeglądać ko-

lekcję płyt i kaset. Niespodziewanie przypomina mi się, jak Darren odkrył, co trzymam w swojej płytotece.

— Puść jakąś muzykę, a ja przygotuję drinki — poleciłam mu, zмирzając ku stojakowi z winami.

— Hm, bardzo interesujący zbiór — zauważył.

— Zwykle określany mianem eklektycznego. I pamiątka po byłych kochankach.

— Ach, rozumiem. — I pewnie rzeczywiście tak było, ponieważ rozumiał we mnie wszystko, moją przeszłość i terażniejszość. I tu właśnie jest pies pogrzebany.

— Jak sądzę, the Smiths i the Cure pochodzą z młodzieńczego okresu buntu i naporu.

— Zgadza się. W zasadzie ja byłam wtedy dość pogodna, za to mój facet był chodzącą kupą złości, udawałam więc niezwykle zainteresowaną. Czerwone czy białe? — Uniosłam butelki, starając się zignorować swoje ostatnie zdanie. Dotarło bowiem do mnie, że udawanie niezwyklego zainteresowania weszło mi niejako w krew i zdominowało całe moje dotychczasowe życie.

— Czerwone. Najlepiej bardzo wytrawne, jeżeli takie masz.

Nie mogę się nadziwić, że Darren potrafił w Whitby tak grzecznie przełknąć sikacza, nie obnosząc się ze snobizmem czy niesmakiem, tym bardziej że jeżeli chodzi o wino, smak miał najwyraźniej wyrobiony. Może niepotrzebnie narobiłam tyle zamieszania z „Błękitną zakonnica”, którą na dodatek pani Smith kupiła specjalnie dla mnie. Teraz to już i tak nie ma znaczenia. Nic już nie ma znaczenia. Tyle że boli.

— A Lloyd Cole, Tom Waits, Lou Reed, Pet Shop Boys i Scott Walker pochodzą zapewne z twoich czasów studenckich?

— W rzeczy samej. Phil, Paul, Iain, Greg i... chyba Mark. Po kolei.

Rozlałam wino i podałam mu kieliszek. Do odegrania tamtej scenki posługuję się teraz filiżanką. Bez sensu.

— Twoje gusta muzyczne są bardzo zróżnicowane i rozległe. REM, Blur, Red Hot Chilli Peppers, Ruben Gonzalez. — Popijał wino i uśmiechał się do mnie. Jego uśmiech trafił mnie prosto w serce i eksplodował, a uderzenia szrapneli poczułam w gardle, kolanach i łądźwiach. Nigdy nie czułam się wspanialej. Bolało mnie całe ciało. Teraz jest dokładnie tak samo.

— Nie muzyczne. Takich sobie wybierałam facetów. Te płyty mam dzięki Nathanowi, Andy'emu, Tomowi, Dave'owi.

— A the Judds!?! — Wymownie uniósł brwi.

— Wiem, koszmar. Nazywał się Peter. Ale słowo daję, jego obrzydliwe upodobania muzyczne całkowicie rekompensowały mi talenty w łóżku. Wtedy byłam skłonna wybaczyć mu nawet białe skarpetki.

— Nie wytrzymam tego! Jestem wściekle zazdrosny o nich wszystkich. — Obrócił się i pocałował mnie gwałtownie, tak że niewiele brakowało, a rozlałabym wino. Zaczął odpinać mi guziki w bluzce. Gładził palcami moją skórę. Najpierw na szyi, potem coraz niżej, sunąc w dół.

Muszę, bezwzględnie muszę wrócić do rzeczywistości.

Ponurej. Dotąd wydawało mi się, że o utracie kogoś bliskiego wiem absolutnie wszystko, lecz brak Darrena jest tak dotkliwy i ostateczny, że nie wiem, jak rano mam wstać z łóżka. Czuję się jak Dorotka, tyle że w filmie puszczonej od tyłu. Zamiast wyruszyć żółtą drogą i trafić do krainy Oz w technicolorze, wylądowałam w szarym, pozbawionym barw świecie. Nie cieszą mnie imprezy, bary, kluby. Nie lubię przebywać wśród ludzi, ale samotność mnie zabija. Nie błyszczę, nie bryluję, nikt nie pada ofiarą mojego ciętego języka. Nawet praca straciła swój urok. Zastanawiam się, jak to możliwe, że jeszcze nie tak dawno wydawało mi się, iż żyję pełnią życia. Teraz wszystko mnie nuży i drażni. Samotność przyprawia mnie o mdłości. Pochłania mnie cała.

Żałuję, że w ogóle go poznałam.

Nie, wcale tak nie myślę. Nie chciałam być nielojalna. Wiem, że postąpiłabym tak znowu. I tak wsiadłabym do tego pociągu.

Sprawa była przegrana w chwili, gdy spojrzeliśmy na siebie w pokoju przesłuchań. Myślałam, że jestem taka cwana. Wyjątkowa. Nietykalna. I choć tak bardzo boli, że tylko jego duch — a nie on sam, o uroku nie do odparcia — siedzi ze mną w pokoju, on w moim szlafroku, ja w jego swetrze, oboje unurzani w miłosnych sokach — całkowicie panują nad sytuacją.

Och, dobrze już, przyznaję.

Ja odeszłam od niego. Nie on ode mnie. On nie ma pojęcia, co ja czuję. I nie wie, jaka jestem słaba. O tym wiem tylko ja.

Dzwoni telefon, wdzierając się w moją przepelnioną samotnością ciszę. Chwytam słuchawkę. To Josh. Wiem o tym, jeszcze zanim słyszę jego głos w słuchawce.

— I jak poszło? — dopytuję się z chorobliwą wręcz ciekawością, lecz oddam wszystko, byle tylko wyrwać się z ogarniającej mnie apatii.

— Koszmarnie — jęczy.

— Ojej — mówię ze współczuciem, i to całkiem szczerym.

— Bardzo źle to przyjęła?

— Płakała.

Josh jest przybity, ale gdzieś w głębi serca triumfuje.

— Och.

— Rzucać kogoś jest o wiele trudniej, niż być rzucanym. Wątpię, by mówił to szczerze.

— Ja raczej niewiele o tym wiem — przypominam mu.

— No tak, jasne. Ciebie nikt nigdy nie rzucił.

— I po co wiązać się z kimś na dłużej? Żeby potem cierpieć? — Podpuszczam go wesołym głosem, choć czuję się wręcz odwrotnie. Ale nie mogę pozwolić, żeby rozmowa zesłała na mój temat. Dziwne, lecz nie powiedziałam Joshowi prawdy o Darrenie. Według niego był to kolejny epizod bez znaczenia w moim życiu. Nie mogę mu się jednak zwierzyć, bo gdy o tym mówię, wszystko staje się zbyt rzeczywiste. Muszę pogrzebać uczucia, które żywię do Darrena. Muszę.

— Co jej powiedziałaś?

— Och, no wiesz, to, co zwykle się mówi.

— Że to była pomyłka?

— Właśnie — przytakuje radośnie.

Kocham Josha, ale czasem potrafi mnie wkurzyć. Wzdycham, myśląc o tych wszystkich kobietach, które płakały, słysząc: „To była pomyłka”. Czemu mężczyźni dochodzą do takiego wniosku z chwilą, gdy ściągną lepkiego durexa?

— Wiem, co sobie myślisz, ale ja naprawdę nie chciałem jej skrzywdzić.

Muszę ustąpić. W końcu znam go od czasów, gdy on bawił się Action Menem, a ja lalkami Sindy. Teraz role się odwróciły i nie mogę go opuścić. Zaczyna mi opowiadać wszystko od początku. Nie trwa to zbyt długo, w końcu jest facetem. Gdyby to Issie opowiadała mi, jak puściła kantem jakiegoś klienta, rozmowa zajęłaby nam całe godziny. Zaczęłybyśmy od opisu strojów obu stron. Potem przeszłybyśmy do charakterystyki miejsca, w którym akcja się rozgrywała. Wybór odpowiedniej lokalizacji ma znaczenie niebagatelne. Dobrze jest to załatwiać u niego, gdyż wtedy można wyjść wedle własnego uznania, on zaś nie musi skąpany we łzach wlec się później do domu. Miejsce neutralne — jak bar czy impreza u kogoś — także nieźle się nadaje. Natomiast nigdy nie wolno tego robić u jego matki. Po prostu wtedy nie będzie zdolny spojrzeć na wszystko z naszego punktu widzenia. I nigdy — pod żadnym pozorem — nie wolno takich rozmów przeprowadzać u siebie. On może na przykład nie zechcieć wyjść, upierając się, że może jednak macie jeszcze jakąś szansę. A to nigdy nie jest możliwe. Wzywanie zaś w takiej sytuacji policji jest po prostu obrzydliwe. Wiem, bo sama to raz przerabiałam. Gdyby więc relację miała mi zdać Issie, wszystko wyglądałoby inaczej. Issie opowiedziałaby mi o wszystkim ze szczegółami. Wciąż by powtarzała: „A wtedy on powiedział” i „wyglądał, jak gdyby miał...”. Jesteśmy sobie z Joshem bardzo bliscy, on jednak ma w sobie za dużo chromosomów Y, by spisać się jak należy. I udaje twardziela, którego to nic a nic nie obchodzi. Odslania się dopiero, gdy pyta, czy mogłabym wpaść.

— Będę o dziesiątej.

Jasne, że pójdę. Dla niego przeszląbym po rozżarzonych węglach.

Josh lubi powtarzać, że mieszka w Islington, ale tak naprawdę mieszka przy King's Cross. Jego mieszkanie na parterze jak najbardziej adekwatnie i właściwie określić można mianem „męskiego”. Odkąd skończył trzynaście lat, z uporem godnym lepszej sprawy nie interesuje się wystrojem wewnątrz, porządkiem czy choćby wygodą. Mieszka w brudzie i nędzy, czego jednak zdaje się w ogóle nie zauważać. Czasem zdarza mu się żartować, że brud i bałagan to jego najlepsi przyjaciele. Nigdy nie wiem, czy przypadkiem nie ma wtedy na myśli odpowiednio mnie i Issie. Zmywa tylko wtedy, gdy w sklepie na rogu zabraknie jednorazowych talerzy, a pościel zmienia znacznie rzadziej niż kobiety. Jego łazienka nigdy nie poznała Ajaxu, Cifa czy Domestosa. Dla Josha równie dobrze mogłyby to być nazwy greckich wysp. Meble w jego mieszkaniu należały kiedyś do mojej matki, która przeprowadzając się, nie miała już fizycznie miejsca, by je pomieścić. Ta bylejakość nie wynika bynajmniej z biedy, lecz z typowo męskiego niechlujstwa, równie niewytłumaczalnego jak to, że gdy facet zaczyna się w końcu interesować tym, jak mieszka (bo właśnie skończył trzydziestkę albo zamierza się ożenić — kolejność nie gra roli), cały ten dotychczasowy bajzel pokrywa błękitem.

Błękitne ściany, błękitne kafelki, błękitne obicia, błękitne naczynia, sztuce, papier toaletowy, serwetki i kółka do serwetek (używane tylko raz, w czasie przyjęcia z okazji trzydziestych urodzin), błękitna kanapa, błękitne łóżko i pościel, błękitna zmiotka i mop, i wreszcie błękitna szczoteczka do zębów. Ilekroć odwiedzałyśmy Josha w jego mieszkaniu, gdy właśnie je remontował, bałyśmy się stanąć przez chwilę w jednym miejscu, bo istniało duże prawdopodobieństwo, że i nas pomaluje na niebiesko.

Gdy teraz wchodzę do niego, przychodzi mi na myśl, że gdyby przemalował hol na żółto, a salon na kolor ciemnoczerwony, efekt byłby znacznie lepszy.

— Josh, czemu siedzisz prawie po ciemku? — pytam i nie czekając na odpowiedź, zapalam wszystko, co się da. Wybucham śmiechem. — Och, rozumiem, chciałeś się pochwalić świeczkami. Czyżbyś zamierzał odbyć sesję pod tytułem „nienawidzę siebie” w stylu druidów?

Całuję go w czoło i macham mu przed oczami butelką, z którą przyszedłam.

— To Château La Croix de Mouchet rocznik '94. Trzymałam je na specjalną okazję, ale ponieważ nie wiem, kiedy taka się nadarzy, pomyślałam więc, że równie dobrze możemy ją wypić dzisiaj.

Idę prosto do kuchni po kieliszki.

Po drodze wpadam na największy bukiet kwiatów, jaki w życiu widziałam.

— A te kwiaty to dla kogo? Albo może raczej od kogo? Chryste, Josh, to wygląda jak scenografia do sceny uwiedzenia wszech czasów... — Nagle dociera do mnie, o co w tym wszystkim chodzi. — Hej, chyba nie kupiła ci tego, zanim ją spławiłeś? — Doprawdy, głupota

niektórych kobiet nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. — A ty przyjałeś. — Wredna męska natura nie dziwi mnie już tak bardzo. — Drań z ciebie — uśmiecham się. Domyśli się, że to żart.

Josh nie odpowiada, lecz bierze kieliszek, który mu podaję, i wznosząc toast, stuka nim lekko o mój. Nie przestaję paplać uszczęśliwiona, że wreszcie mam się do kogo odezwać, choć Josh zdecydowanie nie jest w swojej szczytowej formie.

— Boże, ależ się czułam samotna przez ten weekend.

— Naprawdę?

— I z czego się tak cieszysz? Wiesz, że ciebie i Issie nikt mi nie zastąpi. I nie musicie mi tego przypominać, wyjeżdżając w tym samym czasie. Zaczynałam już świrować. Nawet żałowałam, że nie ma żadnego ślubu, na który mogłabym się wybrać. To chyba o czymś świadczy, nie sądzisz?

Joshowi humor wyraźnie się poprawia.

— Mówisz poważnie?

— O czym?

— Że marzy ci się jakiś ślub?

— Cóż, mając do wyboru ślub albo zjedanie w samotności dania z mikrofalówki, rękami, prosto z opakowania, zdecydowanie wolę ślub. — Klepię miejsce na kanapie obok siebie. — Chodź, usiądź tu koło mnie. Opowiadaj, jak było z biedną Jane. — Przyglądam mu się z uwagą. — Hej, kiepsko wyglądasz. Czyżbyś zaczynał żałować?

— Nie. — Zdecydowanie kręci głową.

— O co więc chodzi?

Milczy uparcie. Cholera, naprawdę coś go gryzie.

— Wielki Boże, Josh. Chyba nie jesteś chory? — pytam, nagle bardzo zaniepokojona.

— Nie. Chory nie jestem.

— No to co się dzieje? — Ujmuję go pod ramię. Wierci się, niezgrabnie uwalniając rękę.

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

— Po prostu powiedz, nieważne co to jest — dodaję mu odwagi.

Skąd to nagłe wahanie? Dotąd mówiliśmy sobie z Joshem wszystko bez żadnego skrzepowania.

— OK, skoro chcesz. Cas, wyjdiesz za mnie?

— Ha, ha. — Popijam swoje wino.

— Ja nie żartuję.

Patrzę na niego. Oczy błyszczą mu szczerością.

Rzeczywiście, nie żartuje.

Kurwa.

— Cóż, trochę mnie zaskoczyłeś. Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

Pewnie cokolwiek, byle nie to. Zabrzmiało to dość żałośnie. Koszmarnie. Całe szczęście, że Josh jest zbyt zdenerwowany, żeby zwracać uwagę na moje chybione uwagi. Sięga pod poduszkę i wyjmuje pudełeczko od Tiffany'ego. Drugą ręką nie wiadomo skąd wyczarowuje kremową różę.

— Jasny gwint, oświadczają mi się sam Paul Daniels — śmieję się, lecz mój śmiech brzmi dziwnie pusto. Nie wypełnia sobą zapadłej ciszy. Uwagi Josha także ona nie uchodzi.

— Psia kocha, zapomniałem o muzyce.

Zrywa się i włącza kompakt. Rozlega się *Ground Control to Major Tom*, co mnie rozśmiesza, a Josha tak rozwściecza, że klnie. Domyślam się, że przez cały dzień paradował w słuchawkach na uszach i wyśpiewywał ile sił w płucach.

— Kurwa, źle trafiłem.

Zmienia na Franka Sinatra i jego *I've Got you under my Skin*. Bardzo mi ta niewielka odmiana odpowiada.

— Josh, ty nie żartujesz, prawda? — zwracam się do jego pleców.

— Nie żartuję — odpowiada ścianie. Chwilę ustawia basy i głośność, po czym wraca i siada obok mnie. Jednak nie tak blisko, jak zwykł był to czynić dawniej. Nawet mnie nie dotyka, co nie przeszkadza mi zauważyć, że cały drży, a nad jego górną wargą pojawiły się kropelki potu.

— Ten pierścionek kupiłeś dla mnie czy dla Jane? — pytam.

— Jasne, że dla ciebie! — wykrzykuje oburzony.

— Tak tylko pytałam — uśmiecham się zdenerwowana. — Zastanawiam się, czy pod wpływem impulsu, czy też zastanowiłeś się nad tym poważnie. — Widzę, jak kurczy mu się twarz. — No jasne — mówię pospiesznie. — Oczywiście, że się zastanowiłeś, nie byłam tylko pewna, czy właśnie mnie miałeś na myśli. — Patrzy na mnie z jeszcze większym przerażeniem. Boże, gadam jak ostatnia krowa. — Jezu, Josh, przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć. Po prostu jestem zdenerwowana. — Próbuję się roześmiać. — Nigdy dotąd nie denerwowałam się w twojej obecności.

— No tak, ale też ja ci się nigdy dotąd nie oświadczałem, Cas. — Milknie na chwilę. — Nikomu się nie oświadczałem.

— Więc dlaczego?

— Pasujemy do siebie. Jesteśmy tacy sami. Znamy się od zawsze. Żadna inna kobieta nie potrafi mnie tak rozśmieszyć jak ty. Wszystkie inne mnie nudzą.

Wciąż próbuję zyskać na czasie.

— To znaczy, że jesteś gotowy na monogamię? Bo zakładam, że rozegramy to konwencjonalnie?

— Tak, jestem gotowy. Znudziło mi się uganiać za wszystkim, co się napatoczy i zwróci moją uwagę. Wszystkie kobiety wydają mi się takie do siebie podobne. Ty jesteś inna. — Znowu przerywa i widzę, że walczy ze sobą. — To chyba zawsze miałaś być ty. I myślę, że między innymi dlatego każda inna wydawała się nieodpowiednia. I dlatego też skakałem z kwiatka na kwiatek.

— Jesteś pewny, że sam na to wpadłeś? Bo jakoś podejrzenie przypomina mi to teorię wyznawaną przez moją matkę. Czy to ostatecznie nie ona urobiła cię, żebyś mi się oświadczył?

Uśmiecha się głupkowato. Nie odpowiada na moje pytanie, tylko mówi dalej.

— I tak sobie pomyślałem, że tymczasem nie masz żadnych planów. — Uśmiezek przechodzi mu w uśmiech od ucha do ucha. — Przecież z żadnym facetem nie zadajesz się nawet na tyle długo, żeby poznać jego nazwisko.

Smith.

— To prawda, że nasze małżeństwo bardzo by twoją matkę uradowało. Słuchaj, zamążpójście to logiczny następny krok — pomyśl, co będzie, kiedy rząd zmieni podatki.

— Bardzo romantyczne — parskam śmiechem. Nagle robi się bardzo poważny.

— Cas, ze mną będziesz szczęśliwa. Przecież się kochamy, prawda?

— Tylko że to stało się tak niespodziewanie. Śmieje się.

— Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie. Czekałem całe lata, żeby ci powiedzieć, co czuję. Pewnie mógłbym podejść do tego konwencjonalnie — zacząć się z tobą całować, zapraszać cię na drinka.

— Przecież zawsze chodzimy razem na drinka — przypominam mu.

— No właśnie. Nie miałem pojęcia, jak ci powiedzieć, co czuję. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdobyłbym się na odwagę, ale ostatnio się zmieniłaś. Spoważniałaś. Wiedziałem, że nadeszła właściwa pora. I co ty na to, Cas? Czy potrafisz sobie wyobrazić, że jesteś moją żoną?

Josh jest moim przyjacielem. Jest moim kumplem Joshem. I oto nagle on, mój kumpel Josh pada przede mną na kolana, z różą w jednej ręce i z brylantowym pierścieniem w drugiej. Ma rację — małżeństwo to ceremonia usankcjonowana przez logikę, zmianę rządowej polityki podatkowej, prawo i tysiącletnią historię. Josh jest dobry, bogaty, wybitnie inteligentny, uwielbia mnie, nie przeszkadzają mu moje humory, czy nie umalowana twarz, a jeśli jeszcze mi mało, jest przystojny.

Żadna z tych cech nie przekonuje mnie, żeby za niego wyjść. Patrzę na niego i nagle pojawia mi się przed oczami twarz Darrena.

Josh to bezpieczeństwo. Przy nim nic mi nie grozi. Nigdy nie wylądujemy w sądzie, by znosić męki i tortury rozvodu. Ponieważ chociaż zależy mi na Joshu, nie mam na jego punkcie świra. Nigdy nie przyprawi mnie o wariackie bicie serca, nigdy więc nie uda mu się mi go złamać. Pochłonie nas burżuazyjny styl życia. Kolacyjki ze wspólnymi przyjaciółmi, zainteresowanymi i interesującymi. Wieczory w domu, spędzane na grze w Trywialności i na szaradach w Boże Narodzenie. Później przyjdzie czas na szukanie przedszkola dla dzieci i egzotyczne wakacje. Podoba mi się ta wizja. Ugrzecznione poczucie bezpieczeństwa jawi się jak coś wielce prawdopodobnego.

Na tysiąc sposobów starałam się wypełnić dni bez Darrena. Nie udało mi się. Gdybym jednak była z Joshem, gdybym za niego wyszła — ta myśl wciąż kołacze mi się po głowie — byłabym bezpieczna. Poślubienie go powstrzymałoby mnie przed zrobieniem czegoś strasznego. Na przykład pijana w sztok nie wpadłabym na pomysł, żeby zadzwonić do Darrena i powiedzieć mu o swoich uczuciach. Małżeństwo z Joshem stałoby się dla mnie pancierzem ochronnym. Trochę to skomplikowane. I ryzykowne, ale czy mam inne wyjście?

— Tak.

— Co tak? Tak, kochamy się... czy tak, wyjdę za ciebie?

— Tak i tak.

— Achhhhhhh. Boże, jestem najszcześniejszym człowiekiem na świecie. O mój Boże. Zadzwońmy do Issie?

Podskakuje śmiesznie, a lądując, kręci zabawnie biodrami, klaszcze w ręce i robi gest Kevina.

— Nie, nie, najpierw powinniśmy zadzwonić do twojej mamy albo może do moich rodziców — jak uważasz?

Miota się jak szalony po mieszkaniu, bezowocnie poszukując swojej komórki, chociaż z powodzeniem może zadzwonić z telefonu stacjonarnego.

— Szampana? Masz ochotę na szampana? — Co chwilę do mnie podbiega, cmoka mnie i boksuje powietrze.

W życiu nie widziałam, żeby był tak szczęśliwy. Nie miałam pojęcia. Nie miałam pojęcia, że ja mogę go aż tak uszczęśliwić. A ja... ja też jestem szczęśliwa. Spokojnie szczęśliwa.

— Hm, czy zgodnie z tradycją nie powinienesz mnie pocałować? Żeby przypieczętować naszą umowę — pytam.

— Chryste, jasne. Wybacz, Cas. Chciałem to zrobić od dwudziestu sześciu lat.

Udaję, że nie widzę, jak potężnie zaczął się pocić. Nie zwracam też uwagi na to, że niezdarnie uderza mnie w zęby, choć przez moment mam wrażenie, jakbym znowu stała za szopą z

Barrym Carterem. Niedługo mi minie i niedługo polubię jego pocałunki. Oboje mamy zbyt dużą wprawę, by groziły nam jakieś techniczne niedociągnięcia.

Zjawiam się wcześniej i siadam twarzą do ściany, by Issie mogła mieć widok na całą salę restauracji. Zdejmuję pierścionek i chowam go pod serwetkę, żeby zrobić jej niespodziankę. Zaraz jednak wsuwam go z powrotem na palec — chyba lepiej wykrzyknąć „taaadddaamm” i wyciągnąć przed siebie rękę, jak tylko się zjawi. A może jednak nie. Pierścionek wraca pod serwetkę. Denerwuję się, bo nie wiem, jak Issie to przyjmie. Jakkolwiek by na to patrzeć, Josh był dla niej jedyną prawdziwą szansą, że któregoś dnia wyjdzie za męża. Nie, to żart. Wiem, że nie o to chodzi, ale nasz ślub nieodwracalnie zmieni układ sił. Czy jednak musi?

Nie, nie musi.

Owszem, musi.

Issie będzie zachwycona.

Czy na pewno?

Oczywiście.

Już jest. Całuje mnie, zamawia Krwawą Mary i z miejsca przechodzi do rzeczy.

— Co to za nowina? Biorę głęboki oddech.

— Wychodzę za męża za Josha.

Wszystko wokół zamiera. Nie brzęknie żaden kieliszek, nie spadnie ani jeden talerz. Przynajmniej ja nic nie słyszę. Wpatruję się w twarz Issie, czekając na jej reakcję.

— Wychodzisz za męża za Josha? — powtarza szeptem.

Milknie i pije łyk wody z mojej szklanki. Jest zaskoczona, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ale się cieszy. A może nie?

No, na pewno nie jest nieszczęśliwa. Czy aby na pewno?

— No, chyba tak właśnie powiedziałam. — Uśmiecham się, ponieważ zaręczone kobiety uśmiechają się bez przerwy, o czym Issie wie doskonale.

Zamawiam wino. Issie bawi się serwetką. Zaczynam czytać menu, w przeciwieństwie do Issie. Zastanawiam się, która z nas pierwsza zmieni temat. Zawsze byliśmy ze sobą w stu procentach szczerze. No, może raz przemilczałam, że podoba się Joshowi. Ale to było tysiąc lat temu i uznałam, że tak będzie najlepiej. Jak by to wyglądało, gdyby się ze sobą przespałi? Zresztą teraz chodzi o to, że Issie zawsze była w stu procentach ze mną szczerza. Nie chciałabym, żeby nie powiedziała czegoś, co leży jej na sercu.

Tylko że jakoś się nie palę, by już dzisiaj stawić czoło jej brutalnej prawości.

Ale modlę się też do Boga, by nie zaczęła mówić o pogodzie.

Błagam, Issie, nie opuszczaj mnie.

— Cas, muszę być z tobą szczerą. Jestem w szoku.

— Czemu? — udaję głupią.

Ale wiem doskonale, czemu. Bo Josh nigdy nie interesował mnie jako mężczyzna i zawsze byłam zagorzałą przeciwniczką małżeństwa.

— Bo Josh nigdy nie interesował cię jako mężczyzna i zawsze byłaś zagorzałą przeciwniczką małżeństwa.

Posyłam jej gniewne spojrzenie. Kelnerka przynosi Issie jej Krwawą Mary (która zostaje jednym haustem pochłonięta) i opowiada nam o specjalnościach restauracji. Proszę, by powtórzyła wszystko od nowa. Issie oświadcza, że weźmie „To”. Ja zamawiam „to samo”. Żadna z nas nie ma zielonego pojęcia, co zamówiliśmy.

— Przecież zawsze powtarzałaś, że Josh będzie idealnym mężem — mówię błagalnie.

— Owszem — przyznaje.

— Więc w czym problem?

— Nie mówiłam, że to jakiś problem.

— Ale najwyraźniej tak jest.

— Czyżbyś się broniła? A może ty widzisz w tym jakiś problem?

— Nie, żadnego.

— To dobrze.

— Nawet bardzo.

Kelnerka wraca z winem, wodą i chlebem. Uradowana witam ją jak nie widzianą od dawna siostrę. Szybko jednak okazuje się, że nie przystawi sobie krzesła i nie przysiadzie się do nas. Z rozpaczą patrzę, jak znika w kuchni, zostawiając mnie sam na sam z Issie i jej przesłuchaniem.

— A co z Darrenem?

— Darrenem? — Kęs chleba rośnie mi w ustach. Żuję go i żuję, ale przełknąć nie mogę. Popijam wodę. — Jakim Darrenem? — Woda nie pomaga. — Darren wiele mnie nauczył. — Oddycham głęboko. — Mnóstwo mu zawdzięczam. Uświadomił mi, że jednak mogę być z kimś naprawdę blisko.

— Nie rozmawiaj ze mną, jakbym była jednym z twoich szefów — mówi gniewnie. To takie niepodobne do Issie złościć się na mnie. Zastanawiam się nad tym, co właśnie powiedziałam. Fakt, zabrzmiało to jak pretensjonalny bełkot. Ale nie zdążyłam się jeszcze nauczyć, jak powinno się mówić o tym, co człowiek czuje. Zawsze szczyciłam się tym, że potrafię mówić, co myślę, a jak się okazuje, jest to bez porównania łatwiejsze.

— Darren był ważny — przyznaję.

— Zakochałaś się w nim.

Nie mogę powiedzieć jej prawdy. Nie mogę jej powiedzieć, że małżeństwo z Joshem ma być moją zbroją. Kocha Josha równie mocno jak mnie i nigdy by mi tego nie wybaczyła. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak zmyślić wszystko od początku.

— Nie, Issie. To było zwykłe zadurzenie. Zdecydowanie.

Och, jakże boli, że muszę się go wyprzeć.

— Powiedziałaś, że się zakochałaś. Sztywno.

— Pomyliłam się. Rozsądnie.

— Mówiłaś, że nigdy się nie mylisz. Wkurza mnie.

— W tym także się pomyliłam — nieomal krzyczę. Oddycham głęboko i z trudem odzyskuję panowanie nad sobą. — Nikt poza Darrenem nie mógł mi powiedzieć tego, co on powiedział. Darren nauczył mnie też, że na wszystko można spojrzeć inaczej, ale to nie oznacza, że się w nim zakochałam.

Patrzy na mnie z jawnym niedowierzaniem.

— Och i nie jesteś w stanie zacytować każdego jednego słowa, które do ciebie wypowiedział? Nie śmialiście się razem? I wcale bez przerwy o nim nie mówisz?

Trafia w sedno.

— Darren był... — Walczę ze sobą. — Zapierał mi dech w piersiach, był cudowny, ale był kimś obcym. Kobiety nie zakochują się w facetach, których właśnie poznały.

— Bzdury gadasz!

— Dlaczego rozmawiamy o Darrenie? To przy Joshu czuję się bezpiecznie. Josha znam od zawsze.

— Nie wiem czemu, ale to mi na miłość nie wygląda, tylko na bezpieczny wybór.

Zjawia się kelnerka z naszym jedzeniem i zawieramy z Issie chwilowy rozejm. W ponurych nastrojach jemy sałatkę z kozim serem i w milczeniu popijamy wino. Nie o to mi chodziło. Chciałam, żeby Issie cieszyła się wraz ze mną.

— No dobra, przyznaję, że Josh nie przyprawia mnie o skurcz żołądka.

— Przeciwnie niż Darren.

Nie zwracam uwagi na ten wtęt.

— Ale należało się tego spodziewać. W końcu znam go od zawsze.

Co ja mam powiedzieć?

To zrozumiałe, że Issie nie podobają się te zmiany, ale nic przecież nie może trwać wiecznie. Choćbym nie wiem jak bardzo tego chciała. Gdy poznałam Darrena, wszystko się zmieniło. Stałam się samotna w tłumie. Ale przetrwam — jak zawsze — i małżeństwo z Joshem ma mi właśnie w tym pomóc.

I chociaż naprawdę mi przykro, że Issie przyjmuje to nie najlepiej, innego wyboru nie mam. Próbuję dalej.

— Darren pociągał mnie seksualnie. Dałam się ponieść. Wiem, że kiedyś wygadywałam różne kretyństwa. — Spoglądam na Issie, by sprawdzić, czy uda mi się ją nareszcie przekonać. Z jej miny wyczytuję, że bardzo chce mi uwierzyć. Prawie tak samo, jak ja chciałabym uwierzyć sobie. — Josh chce się ze mną ożenić. Kocham go. Jest dla mnie jak brat. — Issie chce coś powiedzieć, ale powstrzymuję ją ruchem ręki. — Może na razie Josh kocha mnie nieco inaczej, ale rzadko się zdarza, żeby dwoje ludzi kochało się tak samo, jednakowo i jednocześnie. Mamy przed sobą całe lata wspólnego życia i w końcu się dotrzemy. — Przerывam dla uzyskania efektu, po czym przyrzekam: — Będę dla niego dobrą żoną. — Szczerze w to wierzę. Naprawdę zamierzam być idealna. Spróbuję wynagrodzić Joshowi, że go nie kocham. Zrobię dla niego wszystko, jego potrzeby będą dla mnie najważniejsze. Będzie mógł sobie wybrać, po której stronie łóżka chce spać. Będę mu towarzyszyć we wszystkim, nie opuszczę żadnej imprezy, na którą będzie musiał iść ze względów zawodowych. Nawet nauczę się zasad rugby. Nasze małżeństwo naprawdę mu się opłaci.

Issie w milczeniu zastanawia się nad tym, co właśnie usłyszała. Wydaje mi się, że trwa to całą wieczność.

— Jakoś nie chce mi się wierzyć, że zabawiasz się kosztem Josha — mówi w końcu cicho. — Muszę więc wierzyć, że mówisz to wszystko szczerze.

Przygląda mi się i mija kolejne dwieście lat.

— Bo tak jest.

Na jej twarz wypływa szeroki, szczęśliwy uśmiech. Uwierzyła mi. Uśmiecham się z trudem, ale i z ulgą. Zawsze jej zarzucałam, że traktuje świat ze zbyt wielką ufnością i aż się prosi, żeby ludzie zdeptali jej duszę swoimi Manolo Blahnikami. W tej chwili cieszę się, że stać ją na taką szczodrość.

Mamy to za sobą. Odtąd wszystko będzie szło jak z płatka.

Pokazuję jej swój pierścionek. Zachwyca się nim, wydając odpowiednie w takim momencie ochy i achy. Uprzedza mnie, że za nic w świecie nie wystąpi w żadnych różach, fioletach ani falbankach. Wyciągam z torebki broszurę ślubnej kolekcji Amandy Wakeley. Chichoczymy obie przeraźliwie i generalnie ekscytujemy się zdecydowanie ponad miarę. Ale od czego ma się przyjaciółki?

Otwiera się przede mną całkiem nowy świat. Prowadzę rozmowy o rzeczach, o jakich wcześniej nawet nie myślałam. Wszyscy wokół — mama, matka Josha, ciotki, sąsiedzi, kobiety spotykane na przyjęciach, w restauracjach, galeriach sztuki, na siłowni — pomagają mi w zbieraniu materiałów do doktoratu na temat „Panny młode i zakładanie domu”. O czym ja rozmawiałam, zanim na moim palcu zagościł pierścionek? Ze zdumieniem i zachwytem odkrywam, że przygotowania do ślubu są całkiem przyjemnym substytutem seksu. I całe szczęście, ponieważ na razie postanowiliśmy z Joshem nie iść do łóżka.

— Ale dlaczego? — nie potrafi zrozumieć Issie.

— Ponieważ okazało się, że obojgu ciężko nam jest przekroczyć granicę dzielącą przyjaciół od kochanków.

— Nie uważasz, że to dość ważny szczegół, skoro niedługo planujecie się pobrać? Czy małżonkowie nie powinni być jednocześnie kochankami?

— Owszem, i przyjaciółmi — mówię obronnym tonem. — Myśleliśmy już, czy nie zrobić tego po pijaku, może wtedy czulibyśmy się mniej skrępowani. W końcu z całkiem dobrym skutkiem przetrenowaliśmy to nie raz z innymi. Ale doszliśmy do wniosku, że byłoby to niesmaczne. Zdałam sobie sprawę, że nie chcę niczego przyspieszać, bo chciałabym, żeby to było coś wyjątkowego. A kilka miesięcy celibatu wyjdzie mi tylko na dobre.

— Żebyś tylko nie przywykła — kpi Issie.

Rzucam w nią poduszką, ale musimy zamilknąć, bo właśnie wchodzi Josh, niosąc tacę z winem i Pringlesami.

— Dlaczego mam wrażenie, że rozmawiałyście o mnie? Siada między nami. Wymieniamy z Issie spojrzenia.

— Wychwalałyśmy cię pod niebiosa — mówi Issie.

Nie da się w życiu obejść bez drobnych, nieszkodliwych kłamstewek. Issie przecież nie mogła powiedzieć: „Och, właśnie rozmawiałyśmy z Cas o waszym postanowieniu wytrwania chwilowo w celibacie”.

Dawniej jednak rozmawialiśmy o każdym, najmniej nawet ważnym aspekcie naszego życia. Takie tam sobie pogaduszki, nie tylko o upadku moralności, ale także o sracze w czasie podróży do Indii.

Dzisiaj, kiedy Issie już sobie pójdzie, powiem Joshowi, o czym naprawdę rozmawiałyśmy. Cóż, układ sił uległ zmianie, choć jest ona prawie niezauważalna i z całą pewnością nieistotna.

Brat Issie projektuje nasze ślubne zaproszenia i Issie przyszła dzisiaj, żeby pomóc nam ułożyć tekst. I jest to kolejna drobna zmiana — Issie nie wpada już ot tak, po prostu. Przychodzi wyłącznie wtedy, kiedy ma konkretny powód. A jest ich całe mnóstwo — wybór sukni i kwiatów, odnowienie mieszkania Josha, oddanie naczyń do zapiekanki. A zatem przychodzi równie często jak dawniej, nie ma więc żadnego problemu.

— Issie, zdecydowałaś się już? Będiesz druhną czy družbą?

— Druhną. Strój mi się bardziej podoba.

— Ha, mnie lubisz bardziej — piszczę dla żartu.

Nie uchodzi mojej uwagi, że nie odpowiada, zadaje natomiast pytanie:

— No więc gdzie w końcu się pobieracie? Odpowiadamy jednocześnie, ale bynajmniej nie zgodnie.

— W Londynie — mówię.

— W domu — mówi Josh.

— W domu — poprawiam się natychmiast.

— W Londynie — upiera się Josh.

— Nie uzgodniliśmy jeszcze szczegółów — uśmiecham się przepraszająco do Issie. Zachowuje się bardzo mądrze i nie komentuje tego.

— Ale uzgodniliśmy datę — mówi Josh. Przytulam się do niego.

— To świetnie — cieszy się Issie. — Kiedy?

— W czerwcu — odpowiadam.

— W lipcu — mówi Josh dokładnie w tej samej chwili. Oboje wybuchamy śmiechem. — Zresztą wszystko mi jedno. Zrobimy, jak zechcesz. Ale na pewno będzie to najlepsza impreza pod słońcem. — Nachyla się, żeby mnie pocałować. Odsuwam się, nie chcę bowiem, aby Issie poczuła się skrępowana.

Josh wychodzi na trening rugby, a my z Issie rozpoczynamy pracę nad projektem: „Ślub”. Podchodzę do tego jak do wszystkich projektów w pracy.

— OK, musimy zrobić listę.

Issie zrywa się po papier i długopis. Ja sięgam po plik ślubnych czasopism i otwieram butelkę chardonnay.

— Jak rozumiem, wciąż jeszcze zastanawiacie się nad gdzie i kiedy — mówi cicho Issie i pisze „Ślub Josha i Cas” u góry kartki papieru. Pismo ma okrągłe, dziecinne i tak bardzo znajome.

— Lipiec, w Esher, rodzinnym domu Josha.

— Dobrze nam idzie — uśmiecha się Issie. — W którym kościele?

— Kościele? Nie myślałam o kościele.

— Zwykle tam się takie rzeczy odbywają.

— Myślałam o ślubie cywilnym. Może w ogrodzie albo w jakimś eleganckim hotelu? —
Podwijam pod siebie nogi.

— Rozmawiałś o tym z Joshem? — dopytuje się ostrożnie Issie. — W końcu jest bardzo pobożny.

— Aha, zwłaszcza kiedy gra w rugby — dodaję.

Śmiejemy się. Trudno nazwać Josha świętoszkiem, ale w Boga wierzy i chodzi do kościoła w Wielkanoc, Boże Narodzenie i przynajmniej jeszcze dwa, trzy razy do roku. Pamiętam, że kiedy został ojcem chrzestnym dzieci szefa izby adwokackiej, swoje obowiązki traktował bardzo poważnie. Wtedy myślałam, że po prostu chciał się szefowi podlizać, ale może jednak nie miałam do końca racji. Muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

— Przecież to oczywiste, Issie, że jest pobożny. W końcu chodził do ekskluzywnej szkoły, gdzie udział w mszy był obowiązkowy. Dobra, porozmawiam z nim o tym.

— Tylko musisz się pośpieszyć, jeżeli chcesz mieć ślub w lipcu. Mamy już kwiecień. Bo jak rozumiem, mówimy o lipcu tego roku? — Na brzegu kartki rysuje bezmyślnie serduszka i dzwoneczki.

— Oczywiście.

Idziemy dalej i bierzemy się do sporządzania listy wydatków. Z pewnym niepokojem odkrywam, że zgodnie z tradycją to rodzice panny młodej powinni zapłacić w zasadzie za wszystko; wydatki rodziców pana młodego ograniczają się do nędznego bukietu kwiatów i obrączek. Szczerze wątpię, by moja matka w tajemnicy przed światem ustanowiła jakiś fundusz powierniczy, w czarodziejski sposób mający się pojawić, gdy ja spotkam swojego księcia. Podejrzewam, że matka musiałaby pokładać we mnie bardzo głęboką wiarę, aby zbierać fundusze na mój ślub; moje zachowanie świadczyło bowiem dobitnie, że materiał na pannę młodą raczej ze mnie kiepski. Jeżeli więc chcę swoich gości podjąć czymś więcej niż tylko kielbaskami na patyku, serem i kawałkami ananasa, za wesele będziemy musieli zapłacić wspólnie z Joshem. Mam nadzieję, że nikogo w ten sposób nie urazimy. A ostatnio ludzie zachowują się co najmniej dziwnie. Gdybym dostawała funta za każdym razem, kiedy padną słowa: „zgodnie z tradycją”, „jak należy” i „wszyscy oczekują”, byłabym już milionerką. Częstotliwość, z jaką słyszę ostatnio te i podobne wyrażenia, zdumiewa mnie, tym bardziej że wcześniej, przez całe swoje dotychczasowe życie, stykałam się z nimi nader rzadko.

— Dobra, co jeszcze powinniśmy ująć w naszym planie? — pytam.

— Trudno ci zarzucić, że masz romantyczną duszę — zauważa zgryźliwie Issie.

— Po prostu lubię być zorganizowana.

Wzrusza ramionami i zaczyna wertować ślubne czasopisma. Mnie chwilowo znacznie bardziej interesuje butelka z winem.

— Słuchaj, bez względu na to, czy ślub będziesz miała kościelny czy cywilny, potrzebne ci będą obrączki i musisz wiedzieć, jak chcesz, żeby wyglądała sama ceremonia. Trzeba wybrać muzykę i czytanie, załatwić samochody, fotografów i zakwaterowanie dla gości. Jest całe mnóstwo rzeczy, o których trzeba pamiętać. Musisz mieć listę gości, ustalić menu, co będziecie pili, zrobić listę prezentów. Trzeba znaleźć firmę cateringową. Zamówić fotografa i kogoś, kto będzie kręcił na wideo. Na twoim miejscu delikatnie odmówiłabym mojemu tacie, który się zaofiarował, że przyniesie swoją kamerę. Ma więcej lat niż ja. Jakie chcesz mieć przyjęcie?

— Tu chyba nie ma się nad czym zastanawiać? Jest tylko jeden rodzaj przyjęcia — po ślubie.

Issie przewraca oczami.

— Boże, możliwości jest tysiąc. Normalne przyjęcie przy stołach, bufet, kulki z melona i kurczak albo coś mniej tradycyjnego — w stylu azjatyckim, sushi, kuchnia włoska, meksykańska. A co z zastawą stołową, serwetkami, menu dla każdego gościa, kwiatami? Chcesz zaprosić dzieci? Jeśli tak, to musisz przygotować specjalne jedzenie dla nich i załatwić kogoś, kto się nimi zajmie. A upominki, balony, plan rozmieszczenia gości? Stoliki mają być okrągłe czy kwadratowe? Kto będzie siedział na miejscu, na którym tradycyjnie siedzi ojciec panny młodej? Czy będą przemówienia? Kto je wygłosi? — Wreszcie kończy tę wyliczankę.

— No tak, rozumiem. A jak ty uważasz?

Przez całe swoje życie Issie czekała, aż ktoś zada jej to właśnie pytanie.

— Ja chciałabym mieć tradycyjne przyjęcie, z planem rozmieszczenia gości. Nie mieszałabym starszego pokolenia z młodymi — to się sprawdza tylko w książkach. Gości, którzy mają ze sobą coś wspólnego, posadziłabym razem. Chiałabym carpaccio z tuńczyka, potem tempurę* z sałatką chilli i polentą z parmezanem, na koniec letnie jagody, ułożone w wielkie stosy na środku stołów. Zrezygnowałabym z tradycyjnego tortu, a zamiast chciałabym profiterolki z gorzkiej czekolady.

* Tempura — japońskie danie z ryb, skorupiaków i jarzyn.

Słucham tego po części z przerażeniem, po części z niekłamanym podziwem. Kiedy Issie miała czas, żeby to wszystko obmyślić? Potem mi się przypomina, że zamiast trenować t'a i chi wolała wyobrażać sobie własne wesele.

— Brzmi nieźle. Tak właśnie zrobimy.

— Nic z tego! To będzie moje wesele!

Gryzę się w język, żeby nie przypomnieć jej, że o ile się orientuję, nie spotyka się z nikim regularnie. Nie byłoby to specjalnie miłe.

— No tak, hm... — Nie bardzo wiem, co powiedzieć. — W zasadzie wszystko mi jedno i jak sądzę, Josh też specjalnie się tym nie przejmuję, więc najlepiej będzie, jak zapytam mamy. Uwielbia, kiedy proszę ją o pomoc. Zaplanowanie mojego wesela rozerwie ją trochę i ubarwi jej szare życie.

— Wątpię, by uważała je za szare.

— Och, Issie, dajże spokój! A jakżeby inaczej? Zanim wyszła za męża, wiodła przykładne cnotliwe i niewinne życie — wątpliwe, by świetnie się bawiła. Potem zakochała się bez pamięci w swoim mężu, który zszedł ze sceny, a ona sobie postanowiła, że nigdy o nim nie zapomni.

— Rzeczywiście tak uważasz?

— Jasne.

Już wykręcą numer do matki, nie jestem więc pewna, ale wydaje mi się, że Issie mówi coś o trzech grzechach, od których jestem wolna. Patrząc, jak czytając, sunie palcem w dół po stronie. Ten gest śmieszy mnie i rozczula. Nagle palec nieruchomieje.

— A co z ubezpieczeniem? — pyta.

— Ubezpieczeniem? A na co mi ubezpieczenie?

— No, jakby ci ukradli prezenty, zniszczyła się sukienka albo namiot.

— Rany, przecież to ślub, a nie pijacka biba.

— Przepadek zaliczki na wypadek, gdyby ślub został odwołany.

Zapada wymowne milczenie.

— No dobra, obliczmy to.

Matka podejmuje wyzwanie. Przez całą wiosnę pracuje systematycznie i osiąga wspaniałe efekty, nadając wszystkiemu kształt. Pełna zapału, zajmuje się każdym najdrobniejszym szczegółem — poczynając od kościoła, na firmach cateringowych kończąc. Za każdym razem niezwykle taktownie pyta o zdanie matkę Josha. Przygotowania do ślubu sprawiają prawdziwe cuda — matka Josha jest ożywiona jak nigdy dotąd, pije mniej i uśmiecha się więcej. Ponieważ nie mam ojca, który poprowadziłby mnie do ołtarza, tata Josha z radością podejmuje się spełnienia tej funkcji. Wszystkich znajomych zaprasza na wesele, bez przerwy plecie o „nadciągającej szczęśliwej chwili” i — jak Boga kocham — zaczął chodzić dumnym krokiem pawia. Byłoby to wkurzające, gdyby nie fakt, iż uznał, że posiadanie kochanki nie pasuje do aktualnego stanu rzeczy. Zrezygnował też — przynajmniej jak na razie — z uganiania się za spódniczkami. Josh wariuje ze szczęścia. Issie chwilowo nie zgłasza żadnych obiekcji. Wszyscy są zadowoleni jak świnie w

blócie. A ja się cieszę, że nie muszę aktywnie uczestniczyć w całym tym bajzlu i mogę ponownie skoncentrować się na pracy. Co czynię z wielkim zapałem.

Jak dawniej, zaczęłam chodzić na siłownię pięć razy w tygodniu, o 8.30 każdego ranka wyruszać do pracy na rowerze i pracować w czasie przerwy na lunch. Nie mogę jednak siedzieć do późna, ponieważ mama organizuje obowiązkowe spotkania z krawcową/księdzem/firmą cateringową/fotografem/florystką itd. Ale nie przeszkadza mi to, bo cieszę się, że wciąż jestem zajęta. Żyję otoczona zapachem bibułki, wstążek i płatków róż.

— Ktoś zaparkował rower na moim miejscu. Zajmij się tym — rzucam oschle polecenie Jaki. — Ricky, masz wyniki z wczorajszego programu? Di, Debs, czy któraś z was widziała dzisiejsze gazety? „Guardian” pisze o *Teddington Crescent*, „Sun” o dokumencie o dzieciach gwiazd, a „Star” o *Seksie z eks*. Całkiem niezły plon jak na jeden dzień, przyznacie chyba. Chcę mieć odpowiedź dla wszystkich trzech redaktorów do dziesiątej.

Jaki stawia na moim biurku podwójne espresso.

— Co oglądałaś wczoraj w telewizji? — pyta.

— Nie miałam czasu, byłam na przymiarce welonu. — Uśmiechamy się do siebie.

— Dzień dobry, kochanie — woła od drzwi Tom, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

— Dobry wieczór — odpowiadamy chórem, gdyż jest już 8.45.

Tom udaje, że jest urażony — chyba nigdy dotąd nie zdarzyło mu się zjawić w pracy o tak wczesnej porze.

Zebranie przebiega zgodnie z planem. Gray informuje mnie, że z ITC nadeszły dwie skargi na obraźliwy język, lecz — a może właśnie dlatego — oglądalność większości naszych programów osiągnęła poziom przez nas oczekiwany. Wszyscy dyskutują z nim na temat przewidywanej oglądalności w następnym sezonie. Jako dyrektor do spraw reklamy i sponsoringu musi zakładać „na wyrost”. Dla reszty moich ludzi jest to cel niemożliwy do osiągnięcia. Kładę kres temu sporowi, dyplomatycznie optując za liczbą mieszczącą się mniej więcej pośrodku. Ricky informuje mnie o najnowszych ustaleniach programowych. Słucham go tylko jednym uchem, widzę bowiem, że Debs nie słucha go wcale, tylko z rozmarzeniem wpatruje się w swój wygaszacz ekranu, na którym widnieje George Clooney. Wkurza mnie jej brak zainteresowania. Na powrót skupiam uwagę na słowach Ricky'ego.

— ...wobec czego zaproponowali przesunięcie *Seksu z eks*. Mam się zgodzić, tak? — Gdyby tak szybko nie zamknął swojego notesu i nie próbował dać nogi szybciej niż Struś Pędziwiatr, być może niczego bym nie zauważyła.

— Chwileczkę, co mówiłeś?

Widząc, że nie uda mu się wywinąć, Ricky wzdycha ciężko. Nie pozostawiam mu wyboru, musi więc powiedzieć mi wszystko od początku.

Jak na ironię, dzięki sukcesowi *Seksu z eks* na TV6 spadła prawdziwa ulewa pieniędzy i mogliśmy zainwestować w najlepsze kasowe filmy, na co w pełni świadomie się zgodziłam. Teraz dział programowy chce w ramach walki z konkurencją puszczać je w paśmie dotąd zarezerwowanym dla *Seksu z eks*, co automatycznie wiąże się z przesunięciem mojego programu na inną, gorszą porę. Czy nie widziałam, że wszystko do tego zmierza?

— W zasadzie niewiele możemy zrobić. — Ricky wzrusza przeprasza ramionami. — Na pewno nie zmienią zdania. Oglądalność *Seksu z eks* ustabilizowała się. Teraz możemy przyciągnąć widzów, puszczać filmy z Arnie Schwarnie. Więcej w nich przemocy.

Ma rację. Z ciężkim westchnieniem kiwam głową.

— OK. Powiedz, że się zgadzamy.

— Co, tak po prostu? — dziwi się Fi. — Nie chcesz nawet spróbować poprawy oglądalności *Seksu z eks*?

— Słuchaj, Fi, musisz się jeszcze nauczyć, które bitwy należy staczać. Na to trzeba spojrzeć z szerszej perspektywy. Ponosimy odpowiedzialność za cały kanał, a nie za pojedyncze programy.

— Ale ten program to był twój pomysł.

— Fi, pomysłów to ja mam całą masę. Dziesięć milionów widzów jest wynikiem naprawdę doskonałym dla takiego programu. Kiedy zaczynaliśmy, nikt o takim wyniku nawet nie marzył. Nie bądźmy chciwi. Odpowiednie filmy przyciągną dwanaście milionów widzów. A poza tym nikt nie chce zrezygnować z *Seksu z eks*. Chcą go tylko przesunąć na mniej kasowe pasmo.

— Gdyby to był mój program, walczyłabym jak lew, żeby został w porze najlepszej oglądalności — wścieka się Fi. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby dawała się tak ponieść emocjom.

— Ale to nie jest twój program.

By utrudnić Bale'owi próby odstawienia mnie na boczny tor, postanawiam wzmocnić swój wizerunek publiczny. W wywiadach dla prasy ogólnokrajowej jasno i wyraźnie podkreślam swój osobisty, kolosalny wkład w rozwój TV6. Na każdym też kroku staram się zrobić jak najlepszy użytek ze swoich innych niż intelektualne atrybutów. Mam nadzieję, że Bale będzie się ze mną bardziej liczył, gdy stanę się ulubienicą mediów i publiczności. Jestem właśnie w trakcie udzielania wywiadu dziennikarzowi jednego z największych kobiecych magazynów, gdy Jaki informuje mnie, że w recepcji czeka moja matka.

— Bardzo mi przykro, ale będziemy musieli skończyć. Idziemy z mamą na lunch. — Uśmiecham się przeprasza.

Wywiad okazał się znacznie trudniejszy, niż przewidywałam. Wdaliśmy się z dziennikarzem w swoistą wyrefinowaną grę. Wiem, że mu się podobam, choć bardzo się stara, aby to wyglądało odwrotnie; stawką jest tu jego profesjonalna duma. Ja z kolei udaję, że staram się zaskarbić sobie jego sympatię, chociaż wiem, że tak naprawdę je mi z ręki.

Uśmiecha się sztywno, niepewny, czy przypadkiem zawczasu nie zaplanowałam niespodziewanego najścia mamy w nadziei, że wspomni o lunchu z nią w swoim artykule. Jeśli zaplanowałam, nie napisze o tym. Jeżeli nie, zrobi to ochoczo. Będzie to akcent osobisty, którego jak na razie wyraźnie mi brakuje. W rzeczywistości doszło do tego przez przypadek. Nie spotkałby się, gdyby mama nie była takim tyranem, gdy w grę wchodzi pośpiech, a dziennikarzyna zachowywał się z mniej stereotypową opieszałością.

— Jeszcze tylko jedno, góra dwa pytania. Przyzwałam z czarującym uśmiechem.

— Otrzymujecie mnóstwo listów ze skargami dotyczącymi natury waszego sztandarowego programu *Seks z eks*. Piszą do was nauczyciele, rodzice, lokalne samorzady. Nawet Kościół was potępia...

— Jestem agnostyczką — wchodzę mu w słowo, uśmiechając się ujmująco.

Pozostawia moje stwierdzenie bez komentarza.

— Jak reaguje pani na zarzut, że jesteście orędownikami zdrady?

— To proste. Ten zarzut nas nie dotyczy. Oglądalność jest równie wysoka, gdy pary dochowują sobie wierności. Uważam telewizję za kulturę o mandacie ogólnonarodowym. Nikogo nie zmuszam, by oglądał czy uczestniczył w naszym programie. — Jak papuga powtarzam po raz setny to samo zdanie, z trudem tłumiąc ziewnięcie. Teraz nie przekonuje mnie ono tak jak niegdyś. Mam nadzieję jednak, że jego przekona. — Publiczność brytyjska jest zbyt inteligentna, by można jej było coś narzucać. Czy może pan to przytoczyć jako dosłowną wypowiedź? — Kiwa nieśmiało głową. Wiem, że jest wściekły na siebie, iż tak ochoczo zgadza się na wszystko.

— Ostatnie pytanie. Co pani sądzi o opinii, że jest pani „głosem swojego pokolenia”?

— Pierwszy raz się z nią spotykam. — Robię, co mogę, by go przekonać, że jestem zupełnie nieszkodliwa. — Szczerze? Tylko do pańskiej wiadomości? — Boję się, że za chwilę zabraknie mi cierpliwości i przestanę być tak ckliwie urocza. Kosztuje mnie to bardzo wiele wysiłku. Dziennikarz kiwa głową.

— Nie jestem głosem swojego pokolenia, ponieważ jestem znacznie bardziej bystra, pełna współczucia i daleko bardziej okrutna.

Widzę, jak przeżuwa moje słowa, i podejrzewam, że żałuje, iż zgodził się zachować je dla siebie. Byłaby to najlepsza wypowiedź w całym wywiadzie.

Gdyby tylko wiedział, co naprawdę ona oznacza.

Wstaję, dając mu do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Jaki wyprowadza go z biura i wraca z mamą.

— Przepraszam cię, ale wszystko się przeciągnęło.

Na przeprosiny posyłam jej całusa, w locie chwytam płaszcz i torbę z oparcia krzesła.

— Jaki, idę z mamą na lunch, a potem będziemy szukać dla niej sukienki na mój ślub. Nie będzie mnie przez całe popołudnie.

Codziennie spędzam w pracy tyle czasu, że z powodzeniem mogę sobie pozwolić na kilka godzin wolnego i nikt nie powinien zgłaszać żadnych pretensji. Z wyjątkiem mojego zespołu, większość pracowników TV6 zjawia się w pracy nie wcześniej niż koło jedenastej; dla wielu praca tak naprawdę zaczyna się dopiero po lunchu, gdy zdążą wreszcie wytrzeźwieć.

— Sprawdzaj moje maile, bo czekam na ważną decyzję z dyrekcji dotyczącą budżetu na przyszły rok. Komórkę będę miała włączoną, ale nie dzwoń do mnie, chyba że sprawa będzie naprawdę pilna. I nie łącz nikogo z wyjątkiem Darrena.

— Darrena? — powtarza ogłupiała kompletnie Jaki.

A ja mam wrażenie, że poraził mnie prąd o mocy dwóch tysięcy watów.

— Powiedziałaś Darrena? Nie, chodziło mi o Josha.

Wiem, że twarz zalał mi purpurowy rumieniec, udaję więc, że na gwałt poszukuję w torebce chusteczki, aby wytrzeć szminkę, a przecież dzisiaj nawet nie pomalowałam ust.

— Dlaczego powiedziałaś „Darrena”?

— Och, to pewnie przez tego dziennikarza. Zadawał mi te same pytania o program, co wtedy ten cały Darren. No wiesz, czy nie czuję się odpowiedzialna, że wszyscy nagle zaczęli się zdradzać? Czy nie ponoszę winy za to całe zamieszanie?

Moje ręce nagle zaczynają żyć własnym życiem. Drapią mnie po nosie, wsuwają za ucho kosmyk włosów, szczypią w nogę. Za nic nie chcą tkwić nieruchomo na biodrach czy przynajmniej zwiśać po bokach. Jaki i mama przyglądają mi się nad wyraz uważnie.

— Mieli ze sobą wiele wspólnego, dziennikarz i ten, jak mu tam, Darren. Jeden i drugi to pozbawiony poczucia rzeczywistości, nie mający rozeznania, moralistyczny kutas. O, przepraszam, mamó. — Przepraszam ją, że użyłam słowa „kutas”, zanim sama zdąży się o to upomnieć.

Darrenie, wybac. Gdzieś w głębi duszy czuję się ohydnie, jak podła zdrajczyni.

— Kto to jest ten Darren? — pyta mama.

— Nikt. Facet, który nie zgodził się wystąpić w moim programie.

— Chodzący seks na dwóch nogach — stwierdza obojętnie Jaki.

— Słucham, kochanie? — Moja ukochana mamusia udaje, że nie zrozumiała.

— Taki wykapany Jude Law, tylko trochę bardziej niebezpieczny, bardziej wciąga — dodaje Jaki. Mama wciąż udaje głupią. — Podobny do Retta Butlera.

— Och, teraz rozumiem.

Mama i ja z ulgą opadamy na krzesła w restauracji Selfridges. Taszczymy ciężkie torby i lekkie portmonetki, co tłumaczy nasz euforyczny stan. Dokonałyśmy doprawdy cudu. Udało nam się kupić dla mamy sukienkę na ślub, która obu nam się podoba. Na dodatek załatwiłyśmy to bez obrażania się, zżymania, wściekłych spojrzeń, szantażu i płaczu. Jesteśmy na fali, chociaż więc zjadłyśmy już lunch, zamawiamy teraz tradycyjny podwieczorek z ciasteczkami i bułeczkami. Ja, rzecz jasna, nawet nie tknę śmietany czy ciasteczek. Zawsze miałam świra na punkcie diety, lecz teraz, gdy wkrótce mam wystąpić jako panna młoda, wręcz się głodzę. Mama jest tak zachwycona, że tylko przez chwilę wyrzuca sobie naszą ekstrawagancję. I robi to, co ostatnio czyni nieodmiennie, gdy tylko się spotkamy — sięga do torebki i wyjmuje książkę *Jak zaplanować wesele*.

— Rozmawiałaś już z fryzjerką?

— Tak. Jestem z nią umówiona dwa razy. Najpierw ma przećwiczyć moją fryzurę. Drugi raz idę do niej w dniu ślubu. Ale zastanawiam się, czy nie obciąć włosów.

— Och nie, tylko nie twoje piękne włosy.

Mama wygląda, jakbym właśnie zaproponowała, żeby poświęcić westalskie dziewice pogańskim bogom.

— Za stara już jestem na takie długie włosy. Co powiesz na ostrego boba albo fryzurę w stylu Zoë Ball?

Najwyraźniej niewiele, ponieważ mama jak gdyby nigdy nic odhacza pozycję „fryzjerka” i przechodzi do następnej sprawy.

— Zawiadomiłaś już swój bank i spółdzielnię mieszkaniową o zmianie nazwiska? Zamówiłaś nowe karty kredytowe?

— Chyba nie zmienię nazwiska.

— Och.

— Jedna sprawa mniej do załatwienia — mówię, popijając Earl Greya.

Milczenie mojej matki jest bardziej wymowne niż milion słów. W końcu przechodzi do następnego punktu na liście.

— Musisz wybrać kwiaty.

Nie wiem skąd, ale nagle uświadamiam sobie, że nie będzie to zwykły wybór po prostu czegoś świeżego i ładnego.

— Zastanawiałam się nad hortensjami i...

— Hortensje są wykluczone.

— Dlaczego?

— Bo przynoszą pecha. Symbolizują chępliwość i pozerstwo.

— W takim razie które przynoszą szczęście?

— Doskonale są róże. Oznaczają miłość, niewinność i wdzięczność, w zależności od koloru. Może być też coś delikatnego, jak heliotropy, symbol oddania i zaufania, w połączeniu z kwiatami cytryny, które z kolei symbolizują wierność w miłości.

— Brednie. Jakie ty miałaś kwiaty?

— Cytryny.

— Właśnie.

Mama odwraca wzrok. A ja mam świadomość, że sprawiłam jej ból. W sumie nie wiem, czy jest mi z tego powodu przykro.

— Och, niech ci będzie. Bierzemy heliotropy i kwiaty cytryny.

Uśmiecha się z ulgą. Głupio się czuję, widząc, jak łatwo ją zadowolić.

— Myślałaś już o podróży poślubnej?

— To zostawiam Joshowi. Może niezbyt mądrze, ale przynajmniej zgodnie z tradycją. Mogłabyś z nim dyskretnie o tym porozmawiać, mamo? Boję się, że wpadnie na jakiś kretyński pomysł i na przykład zarezerwuje wyprawę trekkingową na biegun północny albo spływ kajakowy. Wolałabym, żeby była plaża i miłe bary.

Matka wszystko skrzętnie notuje.

— Czy Josh zdecydował się już na drużbów? Patrzę na nią z niedowierzaniem.

— Nie patrz tak na mnie, nie ja to wymyśliłam. Tak piszą w tej książce. O, tutaj, popatrz: „Sprawdź, czy twój narzeczony wybrał już drużbów”. — Pokazuje mi odpowiednią stronę.

— Boże, czy oni zakładają, że wszystkie wychodzimy za mąż za półgłówków? Z tej książki wynika tylko, że nasi przyszli mężowie nie wytrą sobie nosa bez naszej pomocy.

Matka i ja z oburzeniem i niedowierzaniem rozglądamy się po sąsiednich stolikach.

— No więc wybrał sobie drużbów czy nie?

— Nie — odpowiadam, co sprawia, że jednocześnie wybuchamy niepohamowanym śmiechem.

Fajnie, że mama zachowuje się tak swobodnie.

— Och, mamo — mówię, gdy nieco się uspokajamy. — Jestem ci taka wdzięczna. Dziękuję, naprawdę bardzo ci dziękuję. Wiem, ile wysiłku cię to kosztuje.

Mama promienieje, posyłając mi kokieteryjny uśmieszek. Starannie kroi swoją słodką bułeczkę na pół, potem na ćwiartki. Tyloma sprawami trzeba się zająć, że doprawdy nie wiem, jak

poradziłabym sobie bez niej. Nigdy nie przypuszczałam, że dzień mojego ślubu będzie mnie aż tak obchodził, gdy jednak zbliża się coraz bardziej, czuję, że chciałabym, aby wszystko wypadło idealnie. Panna młoda, fryzura, suknia, makijaż. Idealna mama w idealnie dobranym kapeluszu wraz z przyjaciółmi. Idealni goście, zachwyceni jedzeniem i przydzielonymi im miejscami. O idealnym mężu, którym Josh bez wątpienia będzie, nawet nie wspominając.

— Świetnie się dzisiaj bawiłyśmy, prawda? — pyta mama.

— Owszem — zgadzam się z nią całkowicie. Mama mówi dalej.

— Issie wspominała mi coś o Darrenie. Kochanie, podaj mi, proszę, dżem. — Rozpaczliwie próbuje być nieszczera, ale brak jej wprawy. Ja przeciwnie, w tych sprawach jestem weteranką. Sięgam do torby i ze zwojów bibułki wyjmuję buty, które kupiłam sobie na ślub. Całe pokryte są maleńkimi paciorkami, są ich miliony. To najpiękniejsze buty, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć.

— Mamo, jak ci się podobają?

— Są przepiękne. Czy Darren nie był tym mężczyzną z północy? Zdaje się, pojechałaś z nim na wakacje?

Ależ z tej Issie papla.

— To nie były wakacje, tylko służbowy wyjazd.

Mama ucieka się do etykiety, którą tak skutecznie posługujemy się od początku świata. Dolewa mi herbaty i kroi dla mnie kawałek ciasta. Robi to z precyzją gejszy. Staram się zachować cierpliwość, póki nie dopełni małej ceremonii. Dociera do mnie, że podobne rytuały pomagają jej zyskać na czasie. Ma mi coś ważnego do powiedzenia i rozważa w myślach, jak to ująć.

— Josh to uroczy chłopiec.

Uśmiecham się. W końcu obie o tym wiemy.

— W pewnym sensie zawsze traktowałam go jak syna, a dla ciebie był prawie jak brat. Jestem pewna, że bardzo cię kocha.

— Mamo, to żadna rewelacja. Jesteśmy zaręczeni, w przyszłym miesiącu mamy się pobrać. Czy nie tak właśnie się to na ogół odbywa?

Mama nachyla się nad stołem i kładzie rękę na mojej dłoni.

— Kochasz Josha?

— Mamo! — Jestem zaszokowana.

Kiedy mój ojciec oświadczył jej, że ma romans, nie była w stanie mu uwierzyć. Dosłownie. Stojąc w drzwiach do kuchni, patrzyłam, jak podbiega do niego i zarzuca mu ręce na szyję. Uśmiechała się do niego słodko, pełna nadziei i pytała, czy to możliwe, aby jakąś inną kobietę kochał tak samo, nie bardziej, niż własną żonę i córkę. Spodziewała się, że okaże rozsądek i powie:

„Nie, oczywiście, że nie”. W ten sposób mogliby szybciej zapomnieć o całej tej głupiej sprawie. Na nieszczęście ojciec nie znał tego scenariusza. I odpowiedział, że owszem, choć z żalem, ale musi przyznać, że tak właśnie jest. Dla matki był to taki wstrząs, że z trudem ustała na nogach. Wtedy właśnie zaczęła tkać wokół siebie siatkę bezpieczeństwa, która na przyszłość miała ją ochronić przed podobnymi strasznymi przeżyciami i upokorzeniami. Siatka składa się głównie z komponentów, które nie pozwalają jej okazywać czułości (na palcach jednej ręki mogę policzyć sytuacje, w których dotknęła mnie świadomie). O miłości nie mówi nigdy. Tak jak nigdy nie zadaje pytań, na które nie zna odpowiedzi. Jestem przerażona, że podczas jednego popołudnia, siedząc w restauracji Selfridges, moja matka złamała wszystkie zasady, których dotąd sztywno się trzymała.

Chyba jednak trochę zbyt późno postanowiła odgrywać rolę doradcy. To, że pozwoliłam jej wybrać kwiaty i menu, wcale nie oznacza, iż pragnę zasięgać jej opinii w każdej życiowej kwestii. Jest moją matką i dlatego nic nie rozumie, a wie jeszcze mniej. Zawsze pozwalała, bym uczyła się na własnych błędach. Czemu teraz nagle postanowiła się wtrącać? A poza tym, u r a z i ła mnie tym pytaniem. Małżeństwo z Joshem nie jest błędem, lecz decyzją jak najbardziej słuszną. Josh jest dobry, porządny, miły, wszyscy go lubią, ma przed sobą wspaniałe perspektywy zawodowe i fenomenalnie gotuje. I nie jest Darrenem.

Patrzę z wściekłością na mamę, ona jednak wcale nie jest zrażona i nie zamierza zamilknąć.

— Boję się, że jedyne, czego cię nauczyłam, to zdolności do poświęceń — mówi.

Wsadzam mamę do taksówki, o mało nie psując miłego nastroju, który przez cały dzień nam towarzyszył, według mamy bowiem taksówki są niepoważne i jako takie stanowią kolejny przykład mojej dekadencji i „dziwaczego zachowania”. Ja po prostu uważam, że jadąc taksówką, nie zniszczy sobie w metrze pudła z kapeluszem. Jesteśmy już o krok od kłótni, sytuację jednak ratuje chamski taksówkarz, którego odzywka „Albo, kurwa, wsiadacie do tej cholерnej taksówki, albo nie” jednoczy nas na powrót. Zatrzymuję kolejną taksówkę, po czym na złamanie karku gnam do studia, by ledwo zdążyć na rozmowy z kilkoma kandydatami na uczestników programu w przyszłym tygodniu. Kończymy za piętnaście ósma i kiedy wracam do siebie, stwierdzam, że poza Fi wszyscy już sobie poszli.

— Zasiedziałaś się — mówię.

Nie odpowiada, tylko mruczy coś wściekle pod nosem. Przypominam sobie poranne zajście, kiedy to łagodnie, ale publicznie zwróciłam jej uwagę, i dochodzę do wniosku, że zapewne wciąż jeszcze się na mnie bocy. Starając się przywrócić dobre, koleżeńskie stosunki, zaczynam jej opowiadać o przeprowadzonych właśnie rozmowach.

— Była taka klasyczna dziewczyna z Essex... Dziewczyna wcale nie musiała być z Essex, tylko z Edynburga, Exeter czy skądś pomiędzy. Ale jest to skrótowe określenie, które powinno przypaść Fi do gustu. Dziewczyna opisywała swojego byłego faceta. Jego życiorys brzmiał jak żywcem wyjęty z podręcznika dla starających się o przyjęcie do klasztoru. Nałogowy hazardzista, kobieciarz, któremu dni upływały na pałętaniu się po miejscowym centrum handlowym, gdzie tylko kombinował, co by tu zwędzić. Drań w każdym calu, lecz ona wszystko mu wybaczała, gdyż w jej oczach był jak „prawdziwa sól”.

Niezbyt zrozumiałam, o co jej chodzi.

— Czy tak się mówi w Essex?

— Sól. Sól ziemi. Prawdziwy facet. Pieprzy jak nikt na świecie — pospieszyła z wyjaśnieniem.

— Czyżby? — Uśmiechnęłam się, wiedząc, że dziewczyna sprzeda się w telewizji fantastycznie, a na wstępie będzie okazja do poczęstowania publiczności serią kawałów o Essex.

— Hej, Fi, co mówi dziewczyna z Essex po jedenastym orgazmie? — Fi wzrusza ramionami. — Ilu facetów jest w drużynie piłkarskiej?

Kawał jest stary jak świat, ale Fi w końcu docenia moje wysiłki i zdobywa się na krzywy uśmiech.

— Właśnie się zbieram — mówi. — Masz ochotę na drinka? Mogłybyśmy skoczyć do „Dzielnego Lwa”.

Już wiem, że udało mi się ją przekabacić.

Zgodnie ze zwyczajem zamierzam jej odmówić, wymawiając się setką nie przeczytanych maili, kiedy nagle przypomina mi się niespokojny wyraz twarzy matki w restauracji Selfridges. I wiem, że jeżeli zostanę w pracy, będzie mnie prześladować nieustannie, wobec czego zamykam komputer i chwytam torbę.

— Dobrze się czujesz?

— Jasne, nic mi nie jest.

Kłamię, ale co innego mam powiedzieć? Jak mam to wytłumaczyć Fi, właśnie jej? Stukamy się szklankami i popijamy gin z tonikiem.

Co ona miała na myśli, kiedy mówiła o poświęceniu?

Fi trzymanym w rękę papierosem wymachuje w takt muzyki płynącej z szafy grającej. Leci właśnie *Zawsze coś mi przypomina*. Bardzo adekwatnie. Cholera, tylko patrzeć, jak zacznę czytać horoskopy. Szkoda że w pubach nie grają bardziej pasującej do otoczenia muzyki. Ckliwe słowa i alkohol to mieszanka śmiertelna. Zmuszam się, by myśleć o pracy; zapomnieć o matce, Joshu, ślubie.

— Powiedz mi, Fi. Gdyby *Seks z eks* był twoim programem, co byś zrobiła, żeby jeszcze bardziej zwiększyć jego oglądalność?

Jest wyraźnie zmieszana.

— Przepraszam cię za mój poranny wyskok. Poniosło mnie. Zachowałam się jak idiotka. Miałaś rację, trzeba wiedzieć, które bitwy staczać.

— Niepotrzebnie przepraszasz — uśmiecham się do niej.

— Dobrze, że praca tak cię pasjonuje. — Tak mi się przynajmniej zdaje. — Powiedz mi, co sądzisz w tej chwili o programie? — Pytam, bo chcę, by pomyślała, że liczę się z jej zdaniem. Nauczyłam się na kursie, że należy w ten sposób motywować pracowników. Fi ssie plasterek cytryny z drinka.

— Mam mówić szczerze?

Nagle rzeczywiście liczę się z jej zdaniem.

— Owszem, jak najbardziej.

Poczułam się dotknięta jej pytaniem, ponieważ sugerowała, że może mnie interesować raczej coś innego niż szczerą opinią. Przypomina mi się jednak, że nieraz przyjmowałam półprawdy, nie przeszkadzało mi, gdy ktoś przesadzał, prawil nieszczerze komplementy czy wygłaszał niczym nie uzasadnioną krytykę, wiedząc jednocześnie, że wygaduje wierutne kłamstwa. Wszystko to był smar zmniejszający tarcie trybów, które nazywam swoim życiem. Przesada we wszystkim — poczynając od wielkości sprzedaży, na kwalifikacjach w życiorysie kończąc — stała się rutyną. Nieszczerze komplementy i nie uzasadniona krytyka biorą się stąd, że władzę dzierży ktoś inny: decyduje o awansie (pilnuje swojego, mojemu zagraża), podwyżce (sobie ją zapewnia, moją negocjuje) lub jedno i drugie.

Półprawdy.

Są wygodniejsze.

Są przerażające.

Wypijam do dna swój gin z tonikiem. W tej chwili obie z Issie operujemy wyłącznie półprawdami. Szczerść wobec niej jest całkowicie niemożliwa, podobnie jak wobec mamy czy Josha. Gdybym chciała być wobec nich szczerą, najpierw musiałabym przestać okłamywać samą siebie i choć przez chwilę się nad tym zastanawiałam, ostatecznie doszłam do wniosku, że byłoby to kompletne wariactwo.

— Chcesz jeszcze jednego drinka? — Fi wstaje i zanim zdążę kiwnąć głową w odpowiedzi, jest już w połowie drogi do baru.

Cała prawda wygląda tak, że nie zapomniałam o Darrenie. Spodziewałam się, że po tak długim czasie, jeśli ktoś wymieni jego imię, nie zrobi to na mnie żadnego wrażenia. Że będę się

musiała chwilę zastanowić, gdzie go umieścić, a gdy to nastąpi, pozostaną obojętne, spokojne, jakby to był epizod bez znaczenia.

Myślę o nim w zasadzie bez przerwy, a każde wspomnienie przepełnia mnie uczuciem... uczuciem... szczęścia.

Pełnego, czystego szczęścia. Cieszę się, że gdzieś stąpa po tej ziemi. Nawet jeżeli dzieli nas wielka odległość. A mimo to za cztery tygodnie wychodzę za mąż za innego. Z wysiłkiem wracam do Fi. O czym to myśmy rozmawiały? A tak, o szczerości.

Stawia drinki na stole.

— Tak. Szczerze, co myślisz w tej chwili o programie?

— Cóż, jest niezły. — Unoszę brew. — Bardzo dobry — poprawia się szybko. Unoszę drugą brew. Efekt może nie jest najlepszy, ale przynajmniej oddaje to, co myślę. Fi wzdycha. — Trochę jakby stracił. Przestał zaskakiwać.

Słusznie mówi.

— Masz jakiś pomysł?

— Nawet kilka. — Ciekawe, czy mi je zdradzi. Chyba właśnie po to zaprosiła mnie na drinka. Żeby mi powiedzieć: „Zrobiłam szkic pomysłów i biznesplanu”, po czym sięgnąć do torby. Czekam. Nic takiego się nie dzieje. Dziwne, ale przyjmuję to z ulgą. Szczerze powiedziawszy, dziesięć godzin pracy dziennie wystarczy aż nadto.

— Jest coś jeszcze. — Fi jakby się waha i przygląda się swoim paznokciom. Zauważam, że ma je obgryzione, co dziwnie do niej nie pasuje. Ciekawe, czym się tak denerwuje. A może zawsze je obgryzała? Nie pamiętam.

— No, mówże wreszcie, o co chodzi? Albo poczekaj, pójdę po drinki, a potem wszystko mi opowiesz.

Ze zdziwieniem stwierdzam, że nasze szklanki znowu są puste. W drodze do baru muszę wdać się w zwykłą przepychankę z innymi nadmiernie agresywnymi, dobrze ubranymi londyńczykami. Szczęście mi sprzyja, zostaję bowiem obsłużona natychmiast. Rzadko się zdarza, żeby barman mnie ignorował (podobnie jak rzadko obsługuje mnie barmanka). Przepycham się z powrotem do Fi. Mam wrażenie, jakbym przeszła właśnie sześciotygodniowe szkolenie w wojsku. Rozsądek podpowiedział mi, żeby zamówić po dwa giny z tonikiem — dokładniej rzecz biorąc, po dwa podwójne. Dzięki temu przez najbliższe piętnaście minut żadna z nas nie będzie musiała stać czoła kolejnej wyprawie do baru.

— No, mów. Co jeszcze?

— Ty.

— Ja?

— Tak, ty. Zmieniłaś się.

— Pomalowałam sobie dzisiaj oczy cieniem — może dlatego. Przeczytałam, że to znowu modne — bronię się.

Fi przygląda mi się, nie bardzo wiedząc, czy celowo udaję głupią, czy też faktycznie nie chwytam, o co jej chodzi. Prawda zaś jest taka, że się boję. Wypijam obydwie drinki do dna, jakby to była zwykła woda. Fi podsuwa mi jeden ze swoich.

— Może to z powodu zaręczyn, ale... — Zbiera się w sobie. Zastanawia, czy może być brutalnie szczerą. Brnie dalej. Szczerze podziwiam jej głupotę. — Wygląda, jakby przestało cię obchodzić.

— Jestem potwornie zajęta — warczę, nie kryjąc oburzenia.

— Oczywiście — skwapliwie przyznaje mi rację.

— Trudno oczekiwać, żebym robiła wszystko — mówię obronnym tonem.

— Jasne. — Brzmi to raczej nieszczerze.

— Świetnie sobie radzisz. — Zaczynam być rozdrażniona.

— Rzeczywiście. — Nagle stała się protekcyjna.

— Przestało mnie obchodzić — wyznaję wreszcie.

Psiakrew. Powiedziałam to. Pierwszy raz coś podobnego mi się zdarzyło. Wlewam w siebie kolejny wielki łyk ginu.

— Jasna cholera, Fi, co ja wygaduję?!

Fi przekrzywia głowę i kiwa nią w milczeniu. Bardzo chcę coś powiedzieć. Zwierzyć się jej. Naprawdę ją lubię. Trochę to nieoczekiwane, dotąd broniłam się przed zażyłością. Może sprawił to gin wypity w nadmiarze w ciągu kilku zaledwie minut, ale naprawdę marzę, żeby się przed kimś wygadać. Kimkolwiek. Przed sobą mam Fi. Dokładnie dwie. Nagle naprzeciwko mnie siedzą dwie Fi. A na stoliku stoi mnóstwo szklanek. Łagodnie potrząsam głową na boki.

— Może dlatego, że niedługo wychodzisz za mąż, stałaś się mniej cyniczna, a program przestał ci się podobać? — podpowiada mi.

Może.

Rzeczywiście, może tak właśnie jest. Chciałabym, aby tak właśnie brzmiała odpowiedź.

— A może po prostu masz na głowie za dużo innych spraw. Zanim się zaręczyłaś, praca liczyła się dla ciebie przede wszystkim. Przyjaciele, rodzina — wszystko stało na drugim miejscu. Może zmieniły ci się priorytety.

O tak, tę listę można by ciągnąć bez końca. Nagle czuję, że wpadam w panikę. Czy zaniósłam organiście listę hymnów?

Co to znaczy: „praca liczyła się dla mnie przede wszystkim”?

Fi stale coś mówi. Staram się skupić. Wszystko wokół mnie wiruje. Dotykam głowy, ale jej wciąż się wydaje, że jest czubkiem kręcącego się szaleńczo bąka.

— Kiedy się zaręczyłaś? W marcu, prawda? — Nie czeka, aż potwierdzę. Zaciąga się głęboko papierosem. — Ale wydaje mi się, że przestało cię obchodzić dużo wcześniej. — Zamierzam. — Jeszcze w styczniu. Czy w Nowym Roku postanowiłaś sobie mniej pracować?

Mierzę ją wściekłym spojrzeniem. Obie wiemy, że doskonale udało jej się złożyć wszystko do kupy. Nie mówi tego wprost, a powodów ku temu może być wiele. Albo nie jest dość pijana, albo wciąż ma świadomość, że nieźle potrafię się odgryźć i jestem jej szefową. A może po prostu cierpi na chwilowy brak kasy i nie chce mnie obrazić, bo boi się, że nie postawię jej kolejnego drinka. Zastanawiam się, które z tych przypuszczeń jest prawdziwe. Fi wykorzystuje moje milczenie i idzie do baru po następne giny z tonikiem. Z tego wniosek, że pieniędzy ma dość.

Gdy siada, wyrzucam z siebie:

— Chodzi o Darrena.

— Jakiego Darrena?

— Darrena Smitha. — Powstrzymuję się, by nie dodać „oczywiście”. Jak ona może nie wiedzieć, o jakiego Darrena chodzi? Czy to możliwe, że jego imię nie wryło jej się w pamięć? Czuję się jak wypatroszona w środku.

Spoglądam na nią krzywo. Smith to potężne nazwisko. Znaczący „kował”, a czym byłaby Anglia bez tych wszystkich kowali, złotników, wszystkich im podobnych? Niejasno przypominam sobie coś wstydlivego. Zdaje się, że kiedyś nazwisko Smith (i imię Darren) wydawały mi się głupie. W ciągu zaledwie kilku miesięcy wszystko uległo diametralnej zmianie. Nazwisko Smith (i imię Darren), a konkretnie Darren Smith stało się synonimem siły, dobroci, niczym nie skrępowanej namiętności. Na pewno przestało mi się kojarzyć z pseudonimami cudzołóżników wymykających się w weekend na potajemną schadzki. Gdzie się podziała tamta, bliższa mi strona mojej natury, zdolność do makiawelicznego knowania?

— Darren. No wiesz, ten uparty koziół, którego starałam się namówić, bezskutecznie zresztą do udziału w programie — naprowadzam ją. Staram się, aby nie wyglądało na to, że Darren aż tak liczy się w moim życiu. Czysta głupota. Cała ta rozmowa o nim to głupota. Po co ja to robię? Przecież to niebezpieczne. Fi nie skojarzyła mojego przewrażliwienia z Darrenem, co powinnam przyjąć z ulgą. Źle robię, że drążę ten temat. Ponieważ bez względu na wszystko w przyszłym miesiącu wychodzę za mąż za Josha.

Małżeństwo z Joshem nie niesie ze sobą żadnego ryzyka, nie jest złym pomysłem. Głupotą jest wspominać w tej chwili o innym facecie.

Nie mogę się powstrzymać.

Bo ulgę mi przynosi samo wypowiedzianie na głos jego imienia.

Zresztą i tak tylko o nim mówię. Być może rozmowa na jego temat pozwoli mi wszystko jakoś wyjaśnić, uporządkować. A muszę to zrobić, ponieważ nagle — jestem pewna, że to przez te drinki — nie potrafię sobie przypomnieć, dlaczego nie odbierałam jego telefonów.

— Był piękny? Napalony? — dopytuje się Fi.

— Hmm. Czy był? Tak, chyba rzeczywiście nie da się zaprzeczyć, że jest atrakcyjny. Ale chodzi mi raczej o to, co mówił o zbiorowej odpowiedzialności, smaku, przyzwoitości i upadku ogólnie przyjętych standardów.

Zmuszam się, by spojrzeć na Fi. Widzę, że nie spuszcza ze mnie wzroku. I nie mam wątpliwości, że nie wierzy ani jednemu mojemu słowu. W końcu nie urodziła się wczoraj. Nagle trzeźwieję i dociera do mnie, że natychmiast muszę zmienić temat. Ale w głowie mam pustkę. Nicość. Zero.

— Spałam z nim.

— Przecież wiem. — Moje wyznanie zbywa lekceważącym machnięciem podstawką pod szklankę. A jednak gdy inne kobiety przyznają się do czegoś podobnego, reakcja jest na ogół nieco inna. Fi wyjaśnia, czemu nie poczuła się w najmniejszym stopniu zaskoczona: — Sypiasz ze wszystkimi.

— Już nie. Od czasu Darrena nie spałam z nikim.

— Nawet z...

— Nawet z Joshem.

Fi ma minę, jak gdyby właśnie dowiedziała się, że na Marsie żyją istoty inteligentne. Na dodatek rodzaju męskiego. Biorę głęboki oddech.

— Próbowaliśmy, ale... no wiesz, było trochę dziwnie, uznaliśmy więc, że jesteśmy spięci. — Chyba mnie nie rozumie. — Josh twierdzi, że to bez znaczenia.

Jednak nie do końca. Na pewno dziwi się, jak to możliwe, że zaliczywszy co najmniej połowę męskiej populacji Londynu, z nim przespać się nie potrafię — z własnym narzeczoną. I ma rację. Przecież jest cudowny. Sypiałam z facetami, których ledwo znałam, nawet nie zdążyłam polubić. Skąd więc nagle te kaprysy? Nigdy o seksie nie myślałam, w moim życiu był tam, gdzie trzeba, to znaczy w łóżku. Słowne igraszki z podtekstem uprawiałam jedynie dla rozrywki. Nigdy nie byłam sentymentalna, nie rozpaczałam po utraconej miłości.

Przynajmniej jak dotąd.

Nie miałam problemów pod tytułem: „lubię go, ale mi się nie podoba”. A teraz mam same problemy. Jego zapach. Nie dlatego, że cuchnie — o nie, Josh zawsze pachnie cudownie, świeżo

umytymi włosami, dobrą wodą po goleniu. Ale ja chcę czuć jego zapach. Zapach jego palców, pach, stóp, spermy.

I jednocześnie nie chcę.

— Wiesz, to musiało być trudne, bo przecież znamy się od tak dawna i w zupełnie odmiennym kontekście. — Patrzę na nią znowu. Jej mina mówi mi wyraźnie, że tłumaczę się dość mętnie. — Uzналиśmy więc, że lepiej będzie, jeżeli zaczekamy z tym do... no wiesz...

— Do ślubu? — podsuwa Fi. Jestem jej wdzięczna.

— Właśnie, do ślubu.

— Ale tak naprawdę chodzi o to, że wciąż kręci cię Darren.

— Tego nie powiedziałam.

— Och, a mnie się wydawało, że wręcz przeciwnie.

Następna taksówka. Tym razem do Josha. Zastaję go grającego w PlayStation. Nie odrywając wzroku od ekranu telewizora, informuje mnie, że w lodówce jest piwo.

— Co za miła niespodzianka! — krzyczy za mną gdy wchodzę do kuchni. — Jaki masz problem tym razem? Jeśli chodzi ci o drużbów, to nie martw się, twoja mama już do mnie dzwoniła. Wspomniała też o podróży poślubnej. Właśnie odwołałem skakanie na bungy w Sydney.

Wracam z piwem do pokoju i nie tracę czasu na sprawdzanie, czy mówi poważnie.

— Nie chodzi o ślub. Chciałam... hej, przestań się bawić tą PlayStation. Pobawisz się teraz innymi guziczkami.

Prawie się na niego rzucam, szybko przywierając ustami do jego warg, nie dając mu czasu na skomentowanie koszmarnego tekstu, którym postanowiłam go uwieść. W pośpiechu rozpinam mu koszulę i ściągam z ramion. Gorączkowo obsypuję pocałunkami jego pierś i szyję, szamocząc się jednocześnie z paskiem przy spodniach.

— Po co ten pośpiech? — pyta i próbuje zamienić moje przypominające raczej dziobanie pieśczoły w bardziej namiętne pocałunki.

— Najwyższy czas — upieram się. — Zbyt długo czekaliśmy. Innej zachęty mu nie potrzeba. W końcu jest tylko facetem.

Zrywa się i idzie do sypialni. Podążam za nim. Rozbieramy się nawzajem pospiesznie. Josh składa swoje ubranie i wiesza je. Wskakujemy do łóżka i kochamy się.

Bardzo stara się mnie zadowolić. Gładzi mnie po głowie i po udach, pieści moje piersi. Wtulam twarz w jego szyję i z całej siły zamykam oczy. Wszystko na nic. Ktoś mi wytatuował Darrena na powiekach.

Jest wspaniale, naprawdę. Odczuwam nawet coś na kształt orgazmu, ale trudno to nazwać całkowitym spełnieniem. Z drugiej strony rzadko mi się ono zdarza.

Leżę na plecach i wpatruję się w sufit. Josh oparty na łokciu przygląda się mi. Naciągam kołdrę aż po szyję. Josh głaszcze mnie po włosach.

— Przepraszam, że było tak szybko.

— Nie, nie, było... dobrze. Wspaniale. — Marzę o papierosie.

— Naprawdę... podobało ci się? — Bardzo chce w to wierzyć. — To znaczy, czy...

— Tak, słowo daję. Miałam orgazm. No, prawie. Z ulgą sięga po papierosy.

— W takim razie wszystko w porządku.

— Tak.

Podaje mi zapalonego papierosa, a ja siadam wyżej i opieram się o wezglowie, żeby móc swobodnie wypalić. Niczym dziewica z epoki wiktoriańskiej pilnuję, by nie zsunęła mi się kołdra. W milczeniu wypalamy papierosy i w milczeniu je gasimy.

— Josh, myślisz, że postępujemy właściwie?

— Co, że zamiast czegoś skromniejszego urządzamy wielkie wesele? Jasne. To będzie huczna impreza, a poza tym oboje musimy zaprosić kupę ludzi — moją rodzinę, twoich kolegów — i te kilka osób, które naprawdę chcemy zaprosić. Nie mamy wyjścia, wesele musi być duże.

Wstrzymuję oddech. Gdy w końcu wypuszczam powietrze, bełkotliwe słowa same wymykają mi się z ust:

— Nie, chodziło mi o to, że w ogóle się pobieramy. Pięknie. Wszystko przez te podwójne giny z tonikiem i rozdrapywanie ran.

— Nawet gdybyśmy tylko razem mieszkali, i tak musiałabyś uprawiać ze mną seks — żartuje Josh.

Odwracam się ku niemu i widzę, że jest przerażony. Kaszle.

— Naprawdę było aż tak tragicznie? — pyta.

— Nie — uśmiecham się, mierzwiąc mu włosy. Całuję go serdecznie w policzek. — Rzeczywiście jesteś tak dobry, jak zawsze podejrzewałam.

Wybuchamy śmiechem, ja i mój kumpel Josh. Po raz pierwszy od czasu naszych zaręczyn czuję się w jego towarzystwie swobodnie. Wynika więc z tego, że chodziło wyłącznie o seks. Dobrze, że mamy to już za sobą. Czuję, że znowu możemy rozmawiać szczerze.

— Martwię się, że żadne z nas nie ma o tym zielonego pojęcia. Nigdy nie wytrzymaliśmy dłużej w żadnym związku...

— Dlatego, że wiązaliśmy się z nieodpowiednimi ludźmi. Jesteśmy sobie pisani.

Jakżeby inaczej.

— Ale moi rodzice się rozwiedli, a twoi są razem, żeby sobie nawzajem dokuczyć. Wzory dalekie od ideału.

Dlaczego za wszelką cenę staram się nacisnąć przycisk samodestrukcji? Przecież chcę wyjść za Josha. Czemu więc próbuję obudzić w nim wątpliwości?

— Milionom ludzi się udaje.

— I miliony wszystko pieprzą — kontrargumentuję z ponurą miną. Zaraz jednak upominam samą siebie: ci, którym się nie udaje, pobierają się z niewłaściwych powodów. Bo się pożądam, darzą namiętnością są po prostu bez sensu w sobie zakochani. Josh i ja różnimy się od nich całkowicie. Pobieramy się, ponieważ jesteśmy do siebie podobni. Kompatybilni. Nasz związek to wygoda.

Świetnie.

Josh wsuwa rękę pod kołdrę i kładzie ją na moim udzie. Kciukiem kręci mi kółka po skórze. Mam wrażenie, że naciąga mi ją w złym kierunku.

— Jeszcze raz? — pyta.

Jeszcze raz? Nawet mi to do głowy nie przyszło. Ale oczywiście będzie jeszcze raz. I jeszcze, i jeszcze.

— W sumie to jestem chyba trochę zmęczona.

— OK, mamy przed sobą całe życie.

Josh odwraca się i w sekundzie śpi jak zabity. Oddech głęboki i spokojny.

Całe życie robienia tego jeszcze raz. Stopy mam jak kawałki lodu.

17

Bale wpadł na jeden ze swoich najbardziej idiotycznych, wkurzających, niewygodnych pomysłów.

— Przyjęcie? — Własnym uszom nie wierzę.

— Tak, Jocasto, wiesz, na czym to polega — muzyka, picie, zabawa.

— Ale po co?

— Dla ludzi, rzecz jasna. Żeby im podziękować za ciężką pracę w ciężkich czasach i żeby uczcić tych najlepszych.

Bale, ten największy znany mi chodzący po świecie podlec, nigdy w życiu nie miał zapędów altruistycznych. Jakoś nie bardzo chce mi się mu wierzyć. Zastanawiam się, na którą z młodych asystentek zagiął w tej chwili parol. Musi to być ktoś, kogo ma ochotę zamrozić alkoholem. Tylko dlaczego gotów jest ponieść aż takie koszty, żeby upić jakąś naiwną biedaczkę?

— Bale, dajże spokój. O co chodzi? Sprawa się wyjaśnia.

— O podatki. Muszę wydać określoną kwotę na szkolenia i rozrywkę dla personelu.

— A, rozumiem.

Jak się nad tym zastanowić, przyjęcie to nie najgorszy pomysł. Jeżeli odbędzie się po mojej podróży poślubnej, będę pięknie opalona. Zaczynam w myślach robić przegląd swojej garderoby, bo na taką wielką okazję muszę wystąpić w czymś naprawdę wystrzałowym.

— W porządku. Zorganizujemy coś w sierpniu.

— Za późno. Wszystkie faktury muszę wystawić do końca lipca. Więc przyjęcie musi się odbyć w tym miesiącu.

— W takim razie zapomnij. — Przy Bale'u spokojnie mogę używać tego typu wyrażeń. Jemu wciąż się wydaje, że „ciao” jest powitaniem jak najbardziej odpowiednim. — Ktoś inny będzie to musiał zorganizować. Dwudziestego pierwszego wychodzę za mąż. — Muszę mu uzmysłwić to, co jest oczywiste. — To za niecałe trzy tygodnie.

— Zrobimy to jeszcze przed twoim ślubem. — Sięga po biurkowy kalendarz „Playboya”. Koncentruje się na datach pomiędzy dekoltem a udami. — Dzisiaj mamy drugiego. Zrobmy przyjęcie w następny piątek — trzynastego. Chyba nie jesteś przesądna? Nie, ty nie z tych. Zostanie ci jeszcze tydzień do ślubu, żeby załatwić wszystkie faktury. — Podnosi wzrok na mnie. — Zawsze urządzałaś świetne przyjęcia.

Mam ochotę powiedzieć mu, że to nie wchodzi w zakres moich obowiązków. Mam ochotę powiedzieć mu, że przed wyjazdem na urlop muszę dokończyć kilka ważnych projektów. Mam ochotę, żeby się pocałował gdzieś. Ale coś w jego oczach podpowiada mi, że nie pora na tego rodzaju dyskusje. Wiem, że jest to pewnego rodzaju sprawdzian. Czy potrafię działać skutecznie i czy jestem na tyle oddana swojej pracy, by zaledwie na tydzień przed własnym ślubem zorganizować wielkie firmowe przyjęcie? A może marzy mi się bezrobocie?

Kawał drania.

— Żaden problem — uśmiecham się i opuszczam jego gabinet.

— Niech to jasny szlag trafi! — krzyczę, jak tylko siadam przed swoim komputerem.

— Co jest? — pyta Fi, która właśnie przechodzi obok mojego biurka.

— Jak zwykle, Bale — jęczę. — Dokłada mi roboty, żeby sprawdzić, czy przypadkiem czegoś nie spieprzę. Mógłby mi tego oszczędzić.

— Co masz zrobić?

— Zorganizować przyjęcie.

— Przyjęcie? Super. — Fi wyraźnie się cieszy, reagując dokładnie przeciwnie, niż ja bym sobie życzyła. Widzi jednak moją wściekłą minę i szybciotko zmienia front. — Beznadziejnie.

— Otóż to właśnie — gorączkuję się. — Nie dość, że muszę dopilnować ostatnich przygotowań do ślubu, to jeszcze zamknąć kwartalny budżet, napisać raport dla dyrekcji, zająć się produkcją *Trylogii morderstwa*, zabezpieczyć kontrakt na transmisję z Tour de France, zamknąć ostatni odcinek *Seksu z eks* i zatwierdzić obsadę do rodziny Scottów w *Teddington Crescent!*

Gdy kończę wymieniać tę listę, kolor mojej twarzy wyjątkowo jest zbliżony do barwy garderoby Barbary Cartland.

— Dobrze już, dobrze, wszystko rozumiem. Uspokój się, w różowym ci nie do twarzy — mówi Fi. Kładzie mi rękę na ramieniu. — Mam teraz trochę luzu. Mogę ci pomóc.

— Naprawdę?

— Jasne — mówi to z nonszalanckim spokojem, jakby wcale nie zdawała sobie sprawy, że właśnie uratowała mi życie. Mam ochotę ją uściskać. Ograniczam się jednak do środków bardziej konwencjonalnych.

— Dziękuję ci — mówię.

— Nie ma sprawy.

Stanowimy z Fi wspaniały zespół. Ona zajmuje się organizacją przyjęcia — obmyśla tło, załatwia firmy cateringowe i alkohol. Ustala ostateczną listę gości, która znacznie wykracza poza naszych pracowników: zaproszeni są dziennikarze, pomniejszych osobistości i zwycięzcy różnych konkursów. Rozsyła zaproszenia. Pracuje nieomal na okrągło. Jej zaangażowanie i przyjaźń robią na mnie naprawdę wielkie wrażenie. Ilekroć ją widzę, tonię w stosach projektów, planów, spisów i rejestrów. Niemal nie odkłada słuchawki telefonu, starając się zebrać gości, wzbudzić zainteresowanie prasy, zapewnić konferansjerów i zastawę stołową. Nieustannie wysyła maile, faksy lub kurierów. Straszy, zachęca, rozśmiesza, czaruje wszystkich mających coś wspólnego z organizacją przyjęcia.

Dzięki temu ja mogę zająć się pozostałymi sprawami. Przed wyjazdem na urlop wszystko w pracy muszę mieć zapięte na ostatni guzik. Naprawdę nie mam ochoty prowadzić międzynarodowych rozmów telefonicznych w czasie miodowego miesiąca. Pracuję jak oszalała. Siedzę więc w pracy po kilkanaście godzin, w ciągłym napięciu, przez co boli mnie głowa, oczy pieką, a w skroniach mi pulsuje. Gdy wreszcie nadchodzi trzynasty, udaje mi się uporać ze wszystkimi napływającymi dokumentami i podpisać najważniejsze projekty. W tygodniu pomiędzy przyjęciem a ślubem pozostaje mi już jedynie zmierzyć się z kwartalnym budżetem. Potem tylko podróż poślubna i powrót do...

Do wszystkiego, co przez ten czas zdąży się nagromadzić na moim biurku.

— Załatwione! — Wykrzykuję z zadowoleniem, wysyłając ostatniego w tym dniu maila.

— Świetnie. Bałam się, że Cinders nie przyjdzie na bal — mówi Fi.

Grzebie pod biurkiem, szukając jednego buta. Obie jesteśmy w wyśmienitych nastrojach, jako że udało nam się zdążyć na czas ze wszystkim, czego od nas żądano. Mimo że niektóre z tych żądań były nieco wygórowane.

— Co ty? Miałby przegapić twoją imprezę? Za nic w świecie.

Fi ma na sobie białą, wyszywaną cekinami sukienkę od Moschino. Lodowa panienka w połączeniu z debutantką z Los Angeles. Sama bym nie wybrała lepiej. Najwyraźniej dołożyła wielu starań i postanowiła wydać cały swój posag.

— Przebierasz się? — pyta.

— Nie myślałam o tym. — Fi robi oburzoną minę. — Dobrze już, dobrze, przejrzę moją szafkę z dokumentami. Na pewno znajdzie się w niej coś odpowiedniego.

Wiem, jak ciężko się napracowała, i oczekuje teraz, że wszyscy to docenią, wkładając choć odrobinę wysiłku w odpowiedni wygląd.

Fi zdecydowała, że motywem przewodnim przyjęcia będą kolory czarny i biały. Powiedziała, że to dlatego, iż tak późno wysyłała zaproszenia; goście są głównie pupilkami mediów i dobór strojów w jednym z tych kolorów nie powinien przysporzyć im kłopotu. Mimo że zostałam pouczona, po piętnastu minutach wychodzę z toalety ze świeżo umalowanymi ustami i w purpurowej sukience od Johanny Hehir. Jest obcisła, kwiecista i bardzo kobieca. Zawsze wierzyłam, że odpowiednie entré jest najważniejsze.

Idę, kierując się odgłosem pobrzękujących kieliszków, śmiechu i ciężkim zapachem lilii. Wjeżdżam na mieszczący się na dachu taras, gdzie odbywa się przyjęcie. Kiedy drzwi windy się otwierają, wrażenie jest piorunujące. Kelnerzy w strojach od Paula Smitha roznoszą tace z szampanem. Wszędzie rozwieszono są lampiony i świeczki, i choć na dworze wciąż jest na tyle jasno, że tymczasem pełnią funkcję wyłącznie dekoracyjną, efekt jest wspaniały. Tu i ówdzie widnieją wielkie figury szachowe. Nie bardzo wiem, w jakim celu zostały ustawione, chwilowo jednak pełnią rolę popielniczek i podręcznych stolików. Ze ścian zwieszają się wspaniałe białe dywany z imitacji futra. Jedzenie prezentuje się wyśmienicie, kolorystycznie również jest dopasowane do biało-czarnego motywu przewodniego — stopy smakowicie wyglądającego kawioru, słodkie miniaturowe letnie puddingi, zrobione wyłącznie z czarnych jagód, szczerze przybrane bitą śmietaną. Fi miała rację, decydując się podać niewielkie porcje apetycznie wyglądającego jedzenia. Czy w rzeczywistości jest smaczne, nie ma znaczenia, większość bowiem zaproszonych wolałaby wyczyścić buty całej brytyjskiej armii, niż zaryzykować pochłonięcie nadmiernej ilości kalorii. Dodać trzeba, że nie zawiedli również ulubieńcy mediów; jak prozaicznie ujęłaby to moja matka: „Wyszorowali się porządnie”. W sali można znaleźć metki z nazwiskami

zaczynającymi się na każdą literę alfabetu, od Armaniego poczynając, na Versace kończąc. Efekt jest wręcz magiczny.

Częstuję się kieliszkiem szampana i rozglądam za kimś, z kim ewentualnie mogłabym porozmawiać. Zanim zdążę kogoś odpowiedniego namierzyć, nadbiega Fi.

— OmójBoże, omójBoże! — wykrzykuje.

— Co się stało? Mam szminkę na zębach? — pytam, gorączkowo wycierając zęby palcem. Przy okazji zauważam, że pobrudziłam sobie mydłem pierścionek zaręczynowy. Zdejmuję go, by usunąć zabrudzenie paznokciem. Fi wyraźnie jest czymś zdenerwowana. Wygląda, jakby cierpiała na hyperwentylację.

— Strasznie mi przykro. Naprawdę nie przypuszczałam, że tak się stanie. Słowo daję, nie mam pojęcia, jakim cudem jego nazwisko znalazło się na liście gości — bełkocze bez sensu.

— Czyje nazwisko? — pytam.

Fi jednak nie może odpowiedzieć, bo coś dzieje się za moimi plecami. Fi wygląda jak przerażony królik, złapany w światła reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki. Odwracam się.

Teraz ja jestem królikiem.

— Darren? Darren?

Niemożliwe, żeby to naprawdę był on. Przez długie miesiące wmawiałam sobie, że ponowne spotkanie z Darrenem będzie najgorszą rzeczą, jaka może mnie spotkać. I oto stało się — mam go tuż przed sobą lecz czuję, że to najlepsze, co mogło mi się przydarzyć. Otaczający nas ludzie rozstępują się i jesteśmy tylko my, on i ja. Prawdziwy koszmar, ponieważ język uwiązał mi w gardle i nie mam pojęcia, co powinnam powiedzieć. Dyskretnie wsuwam pierścionek do kieszeni.

Darren wygląda oszalamiająco. Jest spełnieniem wszystkich dręczących mnie od miesięcy marzeń, a nawet czymś więcej.

Spodziewam się awantury, ataku złości i by je uprzędzić, zwracam się do niego oficjalnie i bardzo grzecznie:

— Przyszedłeś na przyjęcie?

Powinnam sobie strzelić w łeb, co byłoby stosowną karą za tak banalny początek rozmowy, niestety jednak nie mam pod ręką żadnej spluwy.

— Tak mi się zdaje — odpowiada, posyłając mi uśmiezek i puszczając do mnie oko. Moja La Perla podskakuje.

— To wspaniale. Bardzo się cieszę.

Tym razem spisałam się lepiej. Zdołałam być szczerą i bezpośrednią, które to cechy Darren wyjątkowo sobie ceni.

— Nie spodziewałam się, że cię tu spotkam. — Szybko się poprawiam. — To znaczy, nie ja cię zapraszałam. — Boże, co ja wygaduję. — Chciałam powiedzieć, że nie ja wysyłałam zaproszenia. — Patrzy na mnie wyraźnie zmieszany. — O ile dobrze pamiętam, nie przepadasz za takimi okazjami, prawda? — Głos mi się załamuje i w końcu milknę, co chyba oboje przyjmujemy z ulgą.

Stoimy, nie bardzo wiedząc, co dalej, i przyglądamy się, jak wokół ludzie się bawią.

— Czy Trixxie także została zaproszona? — pyta w końcu Darren.

Serce przeszywa mi ból. Przyszedł tu ze względu na Trixxie, nie dla mnie. Zresztą niby czemu miałby? Przecież od pół roku skutecznie go unikałam.

Ja także nie powinnam się cieszyć z jego przybycia. Jestem zaręczona z Joshem i przestałam uprawiać przypadkowy seks. Wmawiam sobie, że zazdrość, którą odczuwam, to zwykły kac po poprzednim życiu.

— Nie mam pojęcia. Chyba nawet Fi do końca nie wie, kogo zaprosiła, sądząc po minie, jaką zrobiła na twój widok. Jeżeli Trixxie ma przyjść, pewnie się spóźni — dodaję ponuro.

Darren się uśmiecha. Jakoś nie widzę, żeby szczególnie się przejął, że Trixxie może nie zjawić się w ogóle. Pewnie pomyślał o niej, widząc moją niekompetencję.

— Goście zostali starannie dobrani.

— Bardzo mi to schlebia.

— Ty znalazłeś się tu przez pomyłkę — dodaję, żeby nie wpadł w samouwielbienie. — Listy z adresami się pomieszały.

— Ha — zaczyna rechotać. Po chwili odrzuca głowę do tyłu i zanosi się donośnym śmiechem.

Jak zwykle nie wiem, czy śmieje się ze mnie, czy ze mną. Ale nic mnie to nie obchodzi. Z przyjemnością słucham jego śmiechu. Czuję, jak humor mi się poprawia. Bez wątpienia jest to najwspanialszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam.

— Widzę, że nic się nie zmieniłaś — mówi po chwili.

Wręcz przeciwnie, zmieniłam się, i to bardzo. Na dowód czego zaraz mu powiem, że jestem zaręczona.

Milczę, jakbym miała zakneblowane usta.

Czekam, żeby sobie poszedł, ale on chyba nigdzie się nie wybiera.

— Jak ci się podobał ostatni artykuł o najnowszym hotelu Iana Schragera? — pyta.

— Słucham?

— Albo ten o kąpieliskach na Bali?

Chodzi mu o strony internetowe, których adresy przysyłał mi mailem. Ten o kąpieliskach był ostatni, przyszedł dziewięć tygodni temu.

— Nigdy nic mi na ich temat nie mówiłaś. — Spogląda na mnie wzrokiem, który mógłby roztrzaskać granit. Wszystko, co mi przysyłał, dobierane było niezwykle starannie. Każdy mail w jakimś sensie nawiązywał do rozmów, które prowadziliśmy w tamtym cudownym okresie. W ciągu tych dwóch tygodni, gdy zachowywaliśmy się jak para. W ciągu tych dwóch tygodni, gdy byliśmy parą.

Muszę odkaszląć, żeby odzyskać głos.

— Ja... ja często odwiedzam stronę Starsky'ego i Hutch'a. — Kącik ust drga mu prawie niedostrzegalnie. — I tę o historii Oscarów. Prawdę powiedziawszy, wszystkie były bardzo interesujące.

Darren kiwa głową. Jest to ciężki, pełen napięcia gest. Dla postronnego obserwatora w zasadzie niezauważalny. Muszę się napić. Nie mam jednak odwagi rozejrzeć się za tacą z szampanem, bo a nuż on wykorzysta okazję i odejdzie, kiwam więc na kelnera i proszę, aby przyniósł nam dwa kieliszki.

Darren bierze od niego kieliszek, ale widzę, że jest skrepowany.

— Za co wypijemy? — pyta.

Przez chwilę mam ochotę powiedzieć, że za moje zaręczyny. Jednak nie robię tego.

— Za... za ciebie. Świetnie wyglądasz. Tak, wypijmy twoje zdrowie — proponuję.

— O nie. To byłoby nie po rycersku. Możemy wypijemy za ciebie? Ty zawsze czujesz się i wyglądasz wspaniale, prawda?

Nie wiem, jak na to zareagować. Nie wydaje mi się, żeby mówił to w stu procentach szczerze. Z rezerwą kręcę głową.

— Toast za nas byłby dość niezręczny, nie uważasz? — mówi gniewnie.

— Chyba tak — bąkam niechętnie.

— Już wiem. Wypijemy za *Seks z eks*. Patrzę mu w oczy.

— Hm, za *Seks z eks* — mamroczę, bo rzeczywiście to niezły pomysł. Ale czy Darren mówi poważnie? Niemożliwe przecież, żeby chciał wypić za program, którym tak gardzi i którego szczerze nie znosi. A może chodzi mu o prawdziwego eks? O mnie? Czyżby flirtował ze mną? Stukam się z nim kieliszkiem. Och, żeby flirtował.

Nie wierzę własnemu szczęściu. Ciągle się spodziewam, że nagle mnie przeprosi i odejdzie, by porozmawiać z kimś innym, on jednak nie odstępował mojemu boku. Troskliwie dolewa mi szampana, przynosi kawior, krąży wraz ze mną po sali i cierpliwie pozwala się przedstawiać niezliczonym kolegom i koleżankom z pracy. Gdy czuję się znużona hałasem, wychodzi ze mną na

zewnątrz, potem ze mną tańczy, a wszystko wprawia mnie w stan tak upojnego szczęścia, że mam ochotę skakać i krzyczeć z radości. Nie odstępuje mnie na krok, z uwagą śledząc każdy mój ruch, przysłuchując się, jak rozmawiam z innymi, i wygląda na całkiem z tego powodu uradowanego. Zachowujemy się oboje tak, jak gdybyśmy przez ostatnie pół roku widywali się codziennie. Darren ani słowem nie wspomniał o moim zwiędłym liście i nagłym zniknięciu; nie robi żadnych aluzji do mojego oburzającego i bez wątpienia zaskakującego zachowania. Zupełnie nie wiem, co o tym sądzić. Czy tak niewiele dla niego znaczę, że nie interesuje go, dlaczego postępowałam tak dziwnie? Dlaczego jednak w takim razie zdecydował się spędzić ze mną cały wieczór? Gdybym była bardziej ufna, doszłabym do wniosku, że bardzo chciałby zadać te wszystkie pytania, nie chce mi jednak stawiać w niezręcznej sytuacji wobec wszystkich moich współpracowników. Jest na to zbyt dobrze wychowany. I za bardzo mu na mnie zależy.

Myśl, że mu na mnie zależy, doprowadza mnie niemal do hysterii.

Przez cały czas zachowuje się fantastycznie. Urzeka i rozbawia wszystkich. Gawędzi z Debs, Di i Jaki, oczarowanych jego wyglądem i miłym usposobieniem. Trixxie niezdolna jest wydobyć z siebie słowa, z otwartymi ustami wysłuchując jego teorii, dlaczego kobiety nie potrafią oprzeć się Robsonowi Greenowi.

— Dosłownie ją zauroczyłeś — pokpiwam sobie z niego.

— Nie, to przez narkotyki — uśmiecha się skromnie.

Przyglądam się, jak Darren podbija serca znanych osobistości, z reguły obojętnie traktujących każdego, od kogo nie zależy ich następna gaża. Ujmuje „panów” z prasy, przytaczając słowa z ich własnych artykułów i wygłaszając swoje zdanie na każdy temat — od systemu wyborczego w Indiach poczynając, na przychodzie per capita brutto w Japonii kończąc. Jego urokowi nie oparł się nawet Bale, który marząc, by poznać go osobiście, wędruje za nim po sali bankietowej i niby to przypadkiem natyka się na niego nad pisuarem w męskiej toalecie. Podczas tych dwóch spędzonych wspólnie tygodni zdążyłam przedstawić Darrenowi sylwetkę mojego szefa w sposób okrutny, lecz nad wyraz dokładny, co jak sądzę nie pozostało bez wpływu na jego zdanie o nim. I choć chętnie rozmawia ze wszystkimi — nieważne, czy to ktoś z obsługujących bar, czy sam prezes — Bale'a starannie unika, ograniczając się jedynie do niedbałego skinienia ręką na odległość. Wszyscy są Darrenem zachwyceni, na mnie zaś dosłownie rzucił urok. Jest dokładnie taki sam, jakiego zapamiętałam — zabawny, interesujący, grzeczny i szczerzy.

I jeszcze bardziej seksy.

Mam wrażenie, jakbym kąpała się w szampanie. Tam, gdzie dawniej płynęła mi krew, miałam płuca i system nerwowy, teraz wszystko wypełniają bąbelki euforii. W głowie mi wiruje, lekko mi na duszy i sercu.

Cholera, a jeżeli ktoś mnie uprzedzi i powie mu o moich zaręczynach?

Zaczynam torować sobie drogę do miejsca, gdzie stoi otoczony przez tłum kobiet. Ciężko mi to idzie i w końcu szepczę jednej z nich, że właśnie zjawił się Robbie Williams. Natychmiast wszystkie się rozpierchają i znowu mam Darrena tylko dla siebie. Przyjmuje to z widoczną ulgą.

— Dobrze się bawisz?

— Owszem, masz wspaniałych przyjaciół. — W jego głosie daje się jednak słyszeć „ale”, co bardzo mnie cieszy.

— Może pójdziemy gdzieś, gdzie jest ciszej? Zgadza się bez wahania.

Wychodzimy z przyjęcia i bez celu przechadzamy się spacerkiem wzdłuż rzeki. Idziemy drogą podobną do tej, którą szliśmy wtedy w styczniu, obok National Theatre, Royal Festival Hall, Hayward Gallery, Queen Elizabeth Hall. Przechodząc przez Westminster Bridge, przystajemy, by popatrzeć na London Eye.

— Robi wrażenie, prawda? — odzywa się Darren.

— I to jakie — przytakuję.

— Za to właśnie kocham Londyn. Za przestrzeń, za tłumy, rozwój, za jego historię. Wszystko tu przechodzi jedno w drugie.

I zaczyna mi opowiadać, jak spędza czas, gdy przebywa w Londynie, w jaki sposób tu trafił, czemu wyjechał z Whitby, które kocha tak bardzo i za którym tęskni. Pytam, co u jego bliskich, a on opowiada mi, co się wydarzyło u nich nowego. Sarah spodziewa się kolejnego dziecka, a Richard i Shelly mieli śliczny ślub. Pokazuje mi zdjęcie, na którym Charlotte odbiera dyplom za przepłynięcie dwudziestu pięciu metrów. Uśmiecham się na widok jej drobnego, mokrego i drżącego ciała, dumnie wyprostowanego. Zасыpuję go gradem pytań i wciąż mało mi wszystkiego, co mówi. Nie wiedziałam, że kiedykolwiek będę za kimś aż tak bardzo tęsknić.

— Często pytają o ciebie — mówi.

— Naprawdę? — Nie posiadam się z radości.

— Wymyśliły nawet dla ciebie przezwisko.

— Jakie? — pytam z ociąganiem, bo nie wiem, czy na pewno chcę je poznać.

— Naomi Campbell. — Szczyrzy zęby w uśmiechu.

Zaczynam się śmiać.

— Zakładam, że to z powodu mojego uwielbienia dla butów i modelowych kształtów, a nie dlatego, że taka ze mnie awanturnica.

Darren śmieje się nerwowo, zbyt szczerzy, by przyznać mi rację lub zaprzeczyć. Jego zakłopotanie rozbawia mnie jeszcze bardziej. Śmieję się sama z siebie i cieszy mnie to, ponieważ oznacza, że jestem tematem żartów rodziny Smithów. Darren opowiada mi o swoich chorych

drzewach, po czym znowu rozśmiesza mnie do łez, opisując swojego nowego współlokatora. Rozmawiamy i spacerujemy całymi godzinami. Przy Charing Cross odchodzimy od rzeki i zaczynamy iść w kierunku St James's Park; mijamy Buckingham Palace i zmierzamy ku Hyde Park.

Nie pamiętam dokładnie, w którym momencie ujął mnie za rękę. Chyba w chwili, gdy przechodziliśmy Mall. Nigdy dotąd publicznie nie trzymałam za rękę żadnego mężczyzny. To takie w złym guście. A poza tym oni zawsze mają lepkie ręce i trudno iść prosto z kimś uwieszonym u boku.

Nie puszczaj mojej ręki.

Cała płonę. Wieczór jest wyjątkowo ciepły i ulice wciąż są pełne ludzi. Nie wyłączając terrorystów zagrażających tym, którzy lubią chodzić szybko — turystom, rolkarzom i emerytom. Dzisiaj jednak ani zatrzymujący się co chwilę turyści, ani pędzący z szaloną prędkością rolkarze, ani drepczący niepewnie staruszkowie nie są w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Podobnie jak sprzedawcy „Big Issue”*, bandy rozwydrzonych nastolatków, strażnicy miejscy, spacerujący z psami, policjanci na koniach jadący Birdcage Walk czy inne szczęśliwe pary.

* „Big Issue” — gazeta sprzedawana na ulicach przez bezdomnych.

Inne szczęśliwe pary.

Inne szczęśliwe pary.

— Nogi mnie bołą — poddaję się w końcu. — Chodźmy gdzieś usiąść i napić się czegoś.

— OK. Gdzie?

— A bo ja wiem. Jest późno i to nie mój rejon. Poza tym marzy mi się pokój w hotelu.

Właśnie tak. Bo chociaż trzymamy się za ręce, rozmawiamy, śmiejemy się, chociaż taką dumą mnie napawał na przyjęciu, to wciąż za mało. Moje piersi żyją jakby własnym życiem: prężą się i sztywnieją, marząc o jego dotyku, pieszczotach, pocałunkach. A majtki, przepelnione pożądaniem, za chwilę staną w ogniu.

Taksówkę łapiemy w mgnieniu oka, co prawie się nie zdarza, i choćby dlatego powinno mi to dać do myślenia. Ja jednak, niepomna niczego, mówię taksówkarzowi, żeby zawiózł nas do hotelu.

— Którego?

— Wszystko jedno — odpowiadam zniecierpliwiona, że nam przeszkadza. Bo Darren spogląda na mnie jednoznacznie, nie starając się nawet ukryć pożądania.

Taksówka zatrzymuje się przed jakimś hotelem. Płacimy jak w transie, dając taksówkarzowi horrendalny napiwek. Jakoś udaje nam się przeżyć konieczną zwłokę przy recepcji, gdzie musimy

jeszcze się zdecydować, jaką gazetę życzymy sobie na rano. Kiedy jestem już przekonana, że oto nadeszła chwila, gdy jak szaleni runiemy na łóżko, Darren przystaje w foyer.

— Musimy porozmawiać.

— Nic innego nie robiliśmy przez cały wieczór — mówię, szarpiąc go za rękaw i nie mogąc się doczekać, kiedy nareszcie wsiądziemy do windy.

— Porozmawiać o nas.

Jedyny temat, którego starannie unikaliśmy.

— Ale jesteś — próbuję żartować.

Darren pozostaje jednak niewzruszony i prowadzi mnie do hotelowego baru. Cóż, może rzeczywiście powinniśmy się napić. Ostatniego drinka wypiałam na przyjęciu, co było około dziewiętej, a teraz dochodzi już dwunasta. Jeszcze chwila, a wytrzeźwieję kompletnie. W przeszłości nieraz lądowałam w hotelowych barach Londynu, znam więc procedurę. Pojawi się kelner, który będzie się zachowywał z ostentacyjną dyskrecją. Odwracając wzrok, będzie zwracał się do nas per szanowny panie i szanowna pani, unikając jakichkolwiek aluzji do tego, kim naprawdę jesteśmy. Upewni się, że wiemy, gdzie są toalety, świadomy, że będziemy potrzebowali prezerwatyw, jak również miejsca, w którym pozbyć się będziemy mogli dowodów nocnych ekscesów. Brudną popielniczkę zamieni na czystą, postawi przed nami miseczkę orzeszków i menu z drinkami. Będzie oczekiwał, że zalejemy się w trupa, by stłumić rodzące się poczucie winy i zapomnieć o ewentualnych konsekwencjach, na koniec zostawimy gigantyczny napiwek, po czym zataczając się, powędrujemy do pokoju. Darren przełamuje ten stereotyp i zamawia lemoniadę. Jego dziecinny wybór przyprawia mnie o atak śmiechu. Przestaję chichotać dopiero, gdy zwraca się do mnie:

— A ty, Cas? Uważam, że powinniśmy trochę otrzeźwieć.

Marzy mi się podwójna wódka i szum w głowie, zamawiam jednak wodę mineralną. Nie podejmujemy rozmowy, czekając, aż kelner pójdzie do baru, przygotowuje nasze drinki i przyniesie je nam do stolika. Tym razem żadne z nas nie proponuje toastu. Milczenie wypełnia mi mózg, dławi w nosie i gardle. Chyba zaraz się uduszę.

— Dlaczego?

Jestem wstrząśnięta tym zadaniem wręcz obrzydliwie wprost pytaniem. Naiwnie oczekuje, że udzielę równie bezpośredniej odpowiedzi. Chce poznać prawdę i w zależności od niej postanowić, co dalej. Dla mnie natomiast, gdy zastanawiam się, co powiedzieć (a zdarza mi się rzadko), jest to przeszkoda prawie nie do pokonania. Późna pora i jego wyczekujący ton to dla mnie zdecydowanie za dużo.

— Chodzi ci o ogólne „dlaczego”? Dlaczego nie dzwoniłam? Dlaczego nie odpowiadałam na twoje wiadomości? Dlaczego uciekałam, gdy do mnie przychodziłeś?

— Nie, Cas. Na te pytania znam odpowiedzi. — Naprawdę? Skąd niby? — Wiem, dlaczego uciekałaś. Boisz się zaangażowania i doszedłem do wniosku, że pozostaje mi jedynie czekać. Miałem nadzieję, że z czasem uwierzysz, że traktuję cię poważnie. Gdybym nie zdążył poznać cię tak dobrze, czy myślisz, że potrafiłbym dzisiaj z tobą rozmawiać? Myślisz, że nie szalałem z wściekłości i — milknie na chwilę — bólu? Ale zrozumiałem, że ranisz mnie nie z okrucieństwa, choć to było okrutne; ranisz mnie, bo nie wiesz, co masz zrobić. Ranisz mnie, bo zawsze wszystkich raniłaś. Dlatego też między innymi nie zaatakowałem cię dzisiaj, choć uwierz mi, wielką miałem na to ochotę.

Milknie, a ja patrzę na niego. W jego oczach niepewność miesza się z mądrością, pewność z przerażeniem. Boże, tak bardzo mi wstyd. Gdyby na mnie naskoczył, może zdołałabym odwrócić się i odejść. Schronić się na powrót w swoim sanktuarium rezerwy wobec świata i ludzi, usprawiedliwiona świadomością, że mnie nie zrozumiał i nigdy nie zrozumie. Ale on mnie rozumie.

— Ani na chwilę nie przestałem o tobie myśleć, Cas. Nie przestałem cię pragnąć. Pytam cię, dlaczego nie chcesz pozwolić sobie na okazanie mi zaufania?

Więc jednak się domyślił. Jestem pod wrażeniem — to świadczy o oddaniu. No tak, ale z drugiej strony wiem, że należy do ludzi oddanych w ogóle. Zastanawiam się, co mu powiedzieć? Było nie było, dotąd nigdy mnie nie zawiódł, nie zranił, nie rozczarował. Wręcz przeciwnie, zawsze dostawałam od niego więcej, niż się spodziewałam. Jest obdarzony cechami, które — według mnie — znikły z powierzchni ziemi wraz z Arturem i jego rycerzami Okrągłego Stołu. A przecież oni także są tylko legendą.

Naprawdę nie umiem znaleźć logicznego wytłumaczenia, czemu nie potrafię mu zaufać.

Żadne przekonujące kłamstwo nie przychodzi mi do głowy. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak wyznać mu prawdę, część prawdy, coś do prawdy zbliżonego.

— Ufam ci.

Twarz Darrena, jeszcze przed sekundą spięta i pełna niepokoju, teraz rozplywa się w szerokim uśmiechu. Ujmuje mnie pod brodę, przyciąga ku sobie i całuje. Mocno, namiętnie, do końca. Moja odpowiedź zadowoliła go całkowicie; uznał, że sześć miesięcy cierpliwego czekania odniosło skutek i przywróciło mi rozum. Idziemy więc do windy i do pokoju. Ufam mu, lecz on mnie ufać nie powinien. Jestem zaręczona z Joshem. I chociaż wiem, że przyjmując jego oświadczenia, kierowałam się z gruntu błędnymi pobudkami, zaprzeczyć się nie da, że to uczyniłam. Biedny Josh. Biedny Darren. Gdybym lubiła siebie choć odrobinę, nad sobą także bym

się uzaliła. Powinnam odsunąć się od Darrena, nie pozwolić mu się całować, przestać odwzajem-
odwzajemniać jego pocałunki i powiedzieć mu wszystko o Joshu. Ale nie mogę. Jestem tchórzem.
To prawda, że jak dotąd Darren zachowywał się niczym uosobienie rozsądku, wątpię jednak, by
potrafił zrozumieć, że ze strachu przed miłością do niego postanowiłam zaręczyć się z innym.
Sama ledwo jestem w stanie to pojąć. A pragnę go tak szaleńczo, że gdyby teraz przestał mnie
całować, umarłabym. Gdy więc on mnie całuje, rozpala mi skórę dotykiem i upaja szeptanymi
słowami, ja składam kolejną obietnicę. Tym razem sobie. To będzie ostatni raz.

Zrobię to tylko ten jeden jedyny raz, a potem wrócę do Josha. Darrenowi może i ufam, ale
nie ufam miłości. I choć zjawił się w moim życiu z zaświadczeniem o autentyczności, gwarancji na
całe życie przedstawić nie może. Przeciwnie niż Josh. Mam zamiar rozkoszować się dzisiejszej
nocy każdą chwilą, a wspomnienia o niej dadzą mi siłę i wolę przetrwania reszty moich dni.

Taki mam plan.

Oboje padamy na łóżko, a on nie przestaje mnie mocno i namiętnie całować. Moje nogi
splatają się z jego, nasze ręce błądzą po ciałach, odkrywając na nowo każdy ich centymetr,
zagłębienie, szczelinę. W ułamku sekundy uwalniamy się od lepkich od potu ubrań i nasze
rozpalone skóry stapiają się sobą. Darren całuje, gładzi, pieści, liże każdy milimetr mojego ciała.
Bada części najłatwiej dostępne — ramiona, piersi, uda — i odkrywa te najintymniejsze, pieści
palcie u stóp, zgięcie w łokciu, dłonie. Pochłaniam go. Czuję smak jego potu, zapach jego mę-
skości. Skupiam się na tym, jak go czuję, które części ciała ma gładkie, które szorstkie. Poznaję w
dotyku jego włosy, wszystkie, jakie porastają jego ciało. Lśniące, gęste loki na głowie, puszek
pomiędzy pośladkami, włosy na piersiach, które gęstnieją i stają się coraz bardziej szorstkie, im
bliżej rosną krocza, pierwszy ślad zarostu na szczęce. Wsłuchuję się w bicie jego serca i rytm
oddechu. Jedno i drugie staje się coraz szybsze, coraz bardziej gwałtowne. Czuję jego zapach.
Czuję jego smak. Widzę go.

Tuż przed tym, zanim we mnie wchodzi, ujmuję moją głowę w obie ręce i patrzy na mnie.
Przebija mnie wzrokiem.

Zna mnie. Z jego włosami łonowymi przyklejonymi do mojego policzka, z jego nasieniem
na moich ustach. Napinam mięśnie i ud, i pochwy, by poczuć go w całej pełni. I nie wypuścić,
zatrzymać w sobie na zawsze. Jak mogłam z tego zrezygnować? I jak zrezygnuję po raz kolejny?

Poruszamy się coraz szybciej i szybciej, mocniej, gwałtowniej. Moje ciało odpowiada,
reaguje z narastającą mocą. Rozkosz zaczyna się w palcach u nóg, pnie się falami w górę. Ale
zaczyna się też w dłoniach, w palcach pieścących jego włosy, kark, plecy. Uczucie jest tak
wspaniałe, że graniczy wręcz z bólem. W głowie mi szumi i wiruje. Cudowne fale szczęścia
zalewają mnie całą obejmując plecy, serce, by spotkać się w brzuchu. Nadchodzi orgazm,

gwałtowny i przeszywający. Cała jestem wypełniona miłością, a gdy on w chwili spełnienia krzykryczy, że mnie kocha, nie posiadam się ze szczęścia.

Nagle wszystko staje się jasne i przejrzyste jak kryształ. Jest jak ostatni, brakujący element układanki, szklanka lodowatej, odświeżającej wody w upalny, duszny dzień, filiżanka gorącej czekolady po jeździe na sankach w zimowe popołudnie, blask słońca na mokrym chodniku po letniej ulewie, jak to wszystko, o czym bez końca śpiewają w piosenkach. Jest tym On.

Wyczerpani i złani potem przywieramy do siebie.

Przyglądam się, jak metodycznie szykuje się do snu: załatwia się, na nocnym stoliku stawia szklankę z wodą, nastawia klimatyzację, odrzuca kołdrę i na jej miejsce przygotowuje sobie prześcieradło. Jestem zafascynowana. Patrzę, jak obraca się na bok i zasypia. Oddech mu się wyrównuje i w jego rytm ramiona unoszą się i opadają równomiernie. Przytulam się do niego całym ciałem. Moje piersi dotykają jego pleców. Jego pośladki przylegają do mojego brzucha. Moje nogi splecione z jego, z palcami obejmującymi go za kostki. Wszystko błędnie. Wściekły gniew, cynizm i brak wiary, które taszczyłam ze sobą jak niepotrzebny balast przez ostatnie dwadzieścia sześć lat. Czuję, jak mnie opuszczają. Opuszcza mnie też to straszliwe poczucie straty i przejmującego żalu, które towarzyszyło mi od stycznia. Przepelnia mnie miłość, nadzieja, przekonanie, że wszystko jest możliwe. Świadomość, że łączy nas coś więcej niż tylko zwykły fizyczny pociąg, działa na mnie jak balsam. Moja dusza śpiewa ze szczęścia, że i ja także odczuwam potrzebę, i potrafię darzyć kogoś szacunkiem, przyjaźnią, miłością i namiętnością. Ten mężczyzna jest moim przeznaczeniem. Jest moim życiem. Do diabła z tym, zaryzykuję. Czy to ważne, że nie przyszedł z wieczną gwarancją? Jednak zaryzykuję. I mam szczęście, że stać mnie na to.

— Nie śpisz, Cas? — głos Darrena przerywa moje rozmyślenia.

— Nie — szepczę, choć nie ma przecież nikogo, komu moglibyśmy przeszkadzać.

— Tak sobie właśnie myślałem.

— O czym?

— Czy wyjdiesz za mnie?

— Tak.

Wiem. Niezbyt konwencjonalnie postępuję, zaręczając się z dwoma facetami naraz.

Oto spełnia się właśnie moje marzenie, marzenie, o którym nawet nie wiedziałam, że je mam. Czuję się wspaniale. Wyśmienicie. Rany! Wszystkie te bzdury, że podobno lepsza jest sama podróż niż osiągnięcie jej celu. Frajerzy. O wiele lepiej jest zajechać z fasonem, co mnie się powiodło.

Udało mi się. Jestem pijana ze szczęścia (i tylko odrobinę ze strachu). Fajnie byłoby, gdyby udało mi się upchnąć to uczucie w butelce; trzymałabym ją sobie na toaletce. Wiem, że to on. Ten Jedyny. Wyśniony. Wymarzony. Nie wiem, jak długo pozostanę w tym stanie całkowitego upojenia. Mam jednak nadzieję, że ów stan sam się o siebie zatroszczy.

Przez cały ranek pozostajemy w hotelu, z ożywieniem dyskutując, gdzie i kiedy się pobierzemy. Darren nie posiada się ze szczęścia, gdy mówię mu, że niczego tak nie pragnę jak ceremonii ślubnej w opactwie Świętej Hildy w Whitby.

— Masz chyba na myśli kościół niedaleko opactwa. Samo opactwo jest w ruinie. Nie ma dachu.

— Nie, chodzi mi o opactwo. Chcę, żeby to się odbyło pod gołym niebem.

— No cóż, zobaczymy. Nie wiem, czy przepisy na to zezwalają. Ale wydaje mi się, że ziemia raz poświęcona zostaje taka na zawsze, nawet kiedy dach się zawali. — Przerywa, żeby ucałować pieprzyk na moim karku. — Myślałem, że nie wierzysz w Boga. Jak to z tobą jest? Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek?

— Nie, to nie tak. Po prostu uważam, że tak będzie właściwie. Opactwo jest przepiękne. Czuję się w nim taka spokojna, wyciszona.

Okazuje się, że obojgu nam marzy się ślub w zimie.

— Co prawda będzie wtedy potwornie zimno i piersi będą mi sterczeć. Nie wiem, czy to dobrze wyjdzie na zdjęciach — zastanawiam się.

— No właśnie, musimy się nad tym zastanowić. — Ale z jego tonu jasno wynika, że wcale tak nie uważa.

Już widzę siebie w długiej sukni z futrem, a jego w granatowym aksamicie. O tak, widzę to wyraźnie. Rozmawiamy o dzieciach, ile będziemy ich mieli i jakie nadamy im imiona! W końcu zgodnie dochodzimy do wniosku, że pora wstać i zacząć zawiadamiać ludzi. Robi mi się zimno. Skoro mam obwieścić światu, że wychodzę za mąż za Darrena, muszę jednocześnie poinformować, że ślub z Joshem jest już nieaktualny. Ogarnia mnie przerażenie. Wyobrażam sobie, ile bólu i cierpienia tym przysporzę. Odwracam się do Darrena z zamiarem wyznania mu wszystkiego.

Jestem pewna, że coś mi doradzi, pomoże znaleźć najlepsze wyjście z tej koszmarnej sytuacji. Nie mogę jednak wydusić z siebie ani słowa. Uzgadniamy natomiast, że spróbujemy załatwić w hotelowej recepcji, byśmy mogli zwolnić pokój trochę później. Staram się nie myśleć o Joshu. Zamawiamy szampana i wypijamy go w pokoju. Później zamawiamy lunch, „nasze danie” (bo już mamy „nasze” rzeczy) — tosty z serem, których nie jestem w stanie przełknąć. Świątujemy więc dalej, kochając się. O czwartej po południu do pokoju zaczynają dobijać się pokojówka wraz z kierownikiem. Podobno pokój trzeba posprzątać, bo jest zarezerwowany przez kogoś na dzisiejszą noc. Niechętnie zwlekamy się z łóżka i szykujemy do wyjścia.

Żegnamy się w hotelowym holu, ciężko jest nam jednak się rozstać, wobec czego Darren odprowadza mnie na stację metra, mimo że sam jedzie autobusem. Przy kasie żegnamy się znowu, postanawiamy jednak kupić bilet także i dla niego, abyśmy mogli rozstać się dopiero na peronie. Nie rozstalibyśmy się w ogóle, gdybym nie była umówiona z mamą i Issie u mnie w domu na ostatnią przymiarkę sukni ślubnej. Na ślub z Joshem, żeby nie było wątpliwości.

— Podejrzewam, że nie chciał cię spuścić z oczu, bo nie był pewny kiedy, jeżeli w ogóle, znowu cię zobaczy — złości się Issie.

— Bzdury gadasz. Wie, że mnie zobaczy. Ufa mi. Ja też sobie ufam. Do końca życia będziemy się widywali codziennie. — Chichoczę rozradowana i wykonuję kilka tanecznych ruchów. Boże, energia wprost mnie rozpiera! Mama i Issie siedzą na kanapie i przyglądają mi się. Ich miny jednak psują mi nieco humor.

— Nie cieszycie się? Wymieniają spojrzenia.

— Nie złożycie mi gratulacji z okazji zaręczyn? Issie cmoka.

— A których, Panno Niezdecydowana?

Zauważam, że mama kładzie dłoń na rękę Issie, daremnie starając się ją uspokoić.

— Cóż, wszystko to stało się trochę niespodziewanie — zauważa mama, krocząc po napiętej linie pomiędzy taktem a naganą.

— Wcale nie niespodziewanie. Wiedziałam o tym od dawna, tylko nie miałam odwagi się do tego przyznać. Nie zmieniałam zdania, tylko posłuchałam głosu serca. Wciąż uważam, że światem rządzi okrucieństwo, zdrada i powierzchowność, przestałam tylko żyć w przekonaniu, że poza tym nic innego w życiu mnie nie czeka.

— A wiesz, że masz rację. Zdradą powierzchowność i okrucieństwo rzeczywiście rządzą światem! — krzyczy Issie. — I wiesz, co jeszcze ci powiem? Ty jesteś ich uosobieniem! A co z Joshem?

Nie zapomniałam o Joshu. Przyznaję, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny robiłam wszystko, żeby o nim nie myśleć, ale i tak był ze mną nieustannie. Kładzie się to głębokim cieniem

na moim szczęściu. I sprawia mi niewyobrażalny ból, bo dobrze wiem, że ponad wszystko pragnie, abym była szczęśliwa.

— Nie mogę za niego wyjść — mówię ze smutkiem.

— Zdążyłam się domyślić, że nie zamierzasz zostać bigamistką! — wrzeszczy Issie. Usta ma szeroko otwarte i widzę, że jej twarz przybrała kolor identyczny jak jej migdałki.

Klękam przed mamą i Issie, mając nadzieję — choć wiem, że złudną — iż mnie zrozumieją. Issie cofa się gwałtownie, matka nachyla się odrobinę ku mnie. Może nie wygląda jak anioł miłosierdzia, ale jej gest biorę za zachętę.

Staram się jakoś wytłumaczyć im swoje postępowanie.

— Nie wierzyłam w miłość, nie potrafiłam pojąć, jak inni mogą. Kiedy ludzie mówili o miłości, miałam wrażenie, że czytam doniesienia z wojny w jakimś odległym kraju. Było to dla mnie równie nierealne. A potem... sama nie wiem... chyba się... — Mama i Issie nie odrywają ode mnie wzroku, co nieco zbija mnie z tropu. — Chyba się zakochałam.

— Chcesz powiedzieć, że sama znalazłaś się w strefie działań wojennych? — pyta niepewnie mama.

Nie zwracając na nią uwagi, brnę dalej.

— Ale byłam tym potwornie przerażona, więc... tego... ja... — Psiakrew, kiedy to zaczęłam się jękać? — Uciekłam. — Issie cmoka jak papużka nierozłączka. — Kiedy jednak zrozumiałam, że strefa działań wojennych istnieje naprawdę, nie mogłam jej dalej ignorować. Małżeństwo z Joshem byłoby tym samym, co posyłanie paczek z jedzeniem na front.

— Rozumiem, postanowiłaś raczej wstąpić do piechoty, niż działać w Czerwonym Krzyżu — mówi mama. Wciąż jednak nie wydaje się przekonana. Słyszac jej słowa, zdaję sobie sprawę, jak kretyńską analogię sobie wymyśliłam. Chyba lepiej będzie uciec się do środków bardziej konwencjonalnych.

— Jest mi bardzo przykro, że skazuję Josha na cierpienia. Ale czy wy naprawdę nie rozumiecie? Przecież o wiele gorzej będzie, jeśli wyjdę za niego, nie kochając go nawet w połowie tak jak on mnie.

— Tak, to rozumiem doskonale — mówi Issie. — I o to właśnie przez cały czas mi chodziło.

— Kiedy Darren się śmieje, każdy dowcip staje się zabawniejszy, a kiedy wchodzi, pokój robi się bardziej przytulny. Przy nim woda jest czystsza, noc czarniejsza, a gwiazdy jaśnieją z chwilą kiedy je zauważy. Nie chciałam przyznać, że coś takiego jak miłość naprawdę istnieje, wstydziałam się, że tak gigantycznie się myliłam. Teraz jednak nie mam wyjścia, bo go kocham. Nawet kiedy śpię. — Zaczynam chyba gadać w jakimś zupełnie obcym mi języku.

— Ja, ja, pieprzone ja. O niczym innym nie mówisz, Cas. Może dla odmiany pomyślałabyś przez chwilę o innych?

Słowa Issie dosłownie mnie powalają. Prawie nigdy nie klnie, a słowo „pieprzone” usłyszałam z jej ust chyba po raz pierwszy.

— Najpierw zraniłaś Darrena, odchodząc od niego. Potem ci się odmieniło i wróciłaś do niego...

— To nie tak, ja...

Issie macha rękami, nie pozwalając mi dokończyć. Kto by pomyślał, że te drobne, chude rączyny mają taką moc?

— Straszna z ciebie egoistka. — Wstaje gwałtownie i zaczyna krążyć po pokoju. — OK, nagle zaczęłaś wierzyć w miłość, więc bawmy się, cieszmy!

Tupie ze złości. Gdyby to był ktoś inny, pewnie chciałoby mi się śmiać, ale ponieważ jest to Issie, wściekła na mnie, nie pozostaje mi nic innego, jak siedzieć cicho i słuchać.

— Nie, jednak nie będziemy się bawić. Zastanówmy się nad twoim idiotycznym zachowaniem. — Osobiście bardziej odpowiadałaby mi opcja pierwsza, obawiam się jednak, że nie mam wyboru. Słucham więc pokornie, jak Issie zaczyna wymieniać wszystkie moje zbrodnie przeciwko ludzkości. Ze sposobu, w jaki to robi, wynika, że z Imeldą Marcos łączy mnie coś więcej niż tylko miłość do butów. — ...To, jak paskudnie traktowałaś swoich niezliczonych kochanków. Głupi i destruktywny program *Seks z eks.* I wreszcie pieprzone, wynikające wyłącznie z egoizmu zaręczyny z Joshem.

Z każdym kolejnym zarzutem głos Issie brzmi o decybel głośniej. Jeszcze chwila, a sąsiedzi z góry zaczną walić w podłogę i domagać się, byśmy zaczęły zachowywać się ciszej.

Cierpię okrutnie. Tak bardzo chciałabym jej powiedzieć, że wcale nie traktowałam obrzydliwie swoich kochanków, a zresztą większość z nich nie oczekiwała, bym zachowywała się w sposób bardziej chwalebny. Powiedzieć jej, że mój program uratował wielu ludzi przed utratą pracy. A także, że kocham ją i Josha i nigdy, przenigdy nie chciałam żadnego z nich zranić. Ale wszystko to zabrzmiałoby pusto i głupio. Bo wszystko to słyszała już setki razy. I nigdy nie robiło to na niej większego wrażenia. Zresztą i tak już sobie poszła.

Drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem.

Obracam się do matki.

— Myślisz, że się wściekła, bo nie będzie w przyszłym tygodniu druhną?

— Jocasto, nie żartuj sobie — odpowiada moja matka surowo. — Zawsze kiedy cierpiałaś, próbowałaś żartować, ale nie wychodziło ci to najlepiej.

Skarcona, pokornie wędruję za nią do kuchni, gdzie otwiera lodówkę i wyjmuję z niej butelkę Veuve Clicquot.

— Człowiek zawsze może mieć pewność, że znajdzie u ciebie w lodówce szampana — mówi. — Uważam, że to bardzo eleganckie.

— Naprawdę? — Jej słowa tak mnie zaskakują, że na moment zapominam o wybuchu Issie. Zawsze mi się wydawało, że dla mojej mamy szampan to symbol dekadencji. Jedyne flaszki, jakie trzyma u siebie w lodówce, to z majonezem i ketchupem. Jeszcze bardziej zaskakuje mnie wprawą, z jaką teraz otwiera szampana i nie roniąc ani kropelki, rozlewa go do kieliszków. Przez całe swoje życie ani razu nie widziałam matki otwierającej butelkę szampana.

— Czy według ciebie Issie ma rację? — Muszę wiedzieć, na czym stoję. Nie wiem tylko, ile brutalnej prawdy dam radę znieść.

— Owszem — odpowiada mama, nie odrywając wzroku od lejącego się do kieliszków szampana.

— Och.

W milczeniu patrzymy, jak bąbelki uspokajają się z wolna, a ja zastanawiam się, ilu przyjaciół mi zostanie, jeżeli w ogóle uda mi się jakoś przez to wszystko przejść.

— Za co wypijemy? — pytam z lękiem.

— Trochę to skomplikowane, nie uważasz? Mogłybyśmy wznieść toast za twoje nowe zaręczyny, ale w ten sposób postąpiłybyśmy trochę niedelikatnie wobec Josha. Biedaczysko.

Siedzę ze wzrokiem wbitym we własne buty.

— Gdybym tylko mogła cofnąć czas.

— Ale nie możesz. Niestety, to nigdy nie jest możliwe — stwierdza mama.

Jak gdyby na potwierdzenie jej słów jedynym rozlegającym się w kuchni dźwiękiem jest tykanie zegara.

— Ale wiesz co? — dodaje łagodniejszym tonem. — Jestem z ciebie dumna.

— Dumna ze mnie? — Własnym uszom nie wierzę.

— Tak. Doszłaś do siebie. Pozbierałaś się i nie pozwolisz, żeby twój ojciec zrujnował ci życie.

— Tak jak zrujnował tobie — bąkam ponuro. Naprawdę nie chcę, żeby właśnie teraz przypominała mi o ojcu. Aż nadto dobrze pamiętam, jak setki razy mama jęczała i zżymała się na niego. Przesłanie było dla mnie aż nadto jasne — wszyscy mężczyźni to dranie.

Nie, nie wszyscy.

Spodziewając się, że mama zareaguje na moją uwagę atakiem wściekłości i gorzkiego żalu, chwytam się tej myśli niczym tarczy ochronnej. Nie wszyscy.

— Kochanie, wcale nie zrujnował mi życia. Nie mogę narzekać. Z Bobem jest mi naprawdę bardzo dobrze.

— Z Bobem? — Nie posiadam się ze zdziwienia. Przecież to niemożliwe; życie musiała mieć do niczego. Z jakiego innego powodu żyłaby tak cicho i spokojnie? A może to właśnie jej odpowiadało?

— Tak, z Bobem — uśmiecha się, ale nie dodaje niczego więcej.

I dzięki Bogu. Niespodzianek i wstrząsów, które były moim udziałem w ciągu ostatniej doby, wystarczy mi na resztę moich dni. Odkryłam, że potrafię kochać. Dowiedziałam się, że Darren mnie kocha, i okazało się, że ja także Kocham jego. Zaręczyłam się. Po raz kolejny. Usłyszałam, jak Issie mówi „pieprzone”. Widziałam, jak matka świetnie radzi sobie z otwarciem szampana. Nie zniosłabym wiadomości, że uprawia seks.

— Jestem dumna, że tak irracjonalnie i bezmyślnie się zakochałaś. Myślałam, że nigdy nie będzie cię na to stać. Obawiałam się, że wraz z ojcem pozbawiliśmy cię przede wszystkim właśnie tego. — Milknie na chwilę, po czym dodaje: — Dobrze się spisałaś, Cas.

W pierwszej chwili spodziewam się, że klepnie mnie w plecy, jednak ku mojemu zaskoczeniu przytula mnie. Jest to krótki, mocny uścisk — niezbyt przypominający oglądane niekiedy w kinie gorące przytulenie do obfitego łona, ale też trudno nazwać łono mojej matki obfitym.

Lecz nigdy w życiu nikt mnie tak serdecznie nie przytulił.

Odsuwamy się od siebie i uśmiechamy radośnie. Czuję się tak, jakbym właśnie zajęła pierwsze miejsce w wyścigu z jajkiem na łyżce. Na pewno tak się stało, bo moja mama wprost promieniuje rodzicielską dumą.

— Issie — jęczę.

— Och, nie przejmuj się nią tak bardzo, w końcu dojdzie do siebie. To dobra dziewczyna i na pewno ostatecznie spojrzy na to z twojego punktu widzenia. — Mama uśmiecha się uspokajająco, po czym dodaje tonem, do którego jestem bardziej przyzwyczajona: — Co nie znaczy, że nie powinnaś wziąć sobie do serca wszystkiego, co ci powiedziała. Miała świętą rację. Mnóstwo mostów za sobą spaliłaś i nie wiem, czy wszystkie uda ci się odbudować.

O Boże, nawet nie mogę o tym myśleć.

— A teraz opowiedz mi coś więcej o tym Darrenie. Kiedy mi go przedstawiś? Tylko nie zapomnij przynieść szampana.

Ujmuje mnie za rękę i prowadzi do pokoju.

Issie podaje mi gin z tonikiem, który przyjmuję, nie zadając zbędnych pytań. Widzę, że mamie nalewa sherry.

— Pokażemy państwu „głos naszego pokolenia”, dosłownie na kilka dni przed jej ślubem. Przekonamy się, czy jest gotowa rozpocząć nowe życie z mężczyzną, któremu przyrzekła rękę. — Wśród publiczności rozlegają się głośnie ochy i achy. — Zaprosiliśmy naszą gwiazdę do udziału w programie, odmówiła jednak. Lecz jest z nami jej narzeczoną, Joshua Dixon. Panie i panowie, powitajmy go gromkimi brawami.

— Josh!

Szklanka z ginem wyslizguje mi się z ręki i z hukiem uderza o podłogę. Drink rozpryskuje się, nikt jednak nie zrywa się, by go wytrzeć.

— Josh, mogę tak do ciebie mówić, prawda? — wdzięczy się Katie. Josh przyzwalająco kiwa głową; ładna buźka zawsze na niego działała. — Czy możesz nam powiedzieć kilka słów o twoim związku z narzeczoną Jocastą Perry? Wyjaśnij nam, czemu się tu dzisiaj zjawiłeś.

— Znamy się z Cas od dzieciństwa.

Achhhhhhhhhh, rozlega się wśród widzów. Na pewno kierownik widowni pokazał im wielki napis: JAKIE TO UROCZE. Mamy też inne: JAKA SZKODA, CO ZA WSTYD. Na pomysł z napisami wpadł Bale.

— Kocham Cas. Zawsze ją kochałem, w szkole, na studiach i kiedy oboje zaczęliśmy pracować. — Gdy to mówi, na ekranie pokazują się zdjęcia moje i Josha. Na jednym mamy po osiem lat i Josh popycha huśtawkę, na której siedzę. Na mojej buzi widnieje głupawy, bezzębny uśmiech. Nogi mam zadarte tak wysoko, że widać mi majtki. Josh ma bardzo skupioną minę i wygląda, jakby chciał rozhuścić mnie jeszcze wyżej. Tak naprawdę to chciał mnie zrzucić, żeby zająć moje miejsce. Jakże inaczej. Byliśmy niczym rodzeństwo.

— Zawsze uwielbiałam to zdjęcie — odzywa się mama. Patrzą na nią z wściekłą miną.

Na kolejnym zdjęciu odbieramy dyplomy ukończenia studiów. Josh poprawia mi togę. Są też inne zdjęcia, na których każde z nas zajmuje się własnymi sprawami. Josh w sali sądowej, ja na różnych przyjęciach i koktajlach. Różnica polega na tym, że ja na każdym stoję w otoczeniu mężczyzn, z kieliszkiem szampana w dłoni; Josh zawsze jest sam.

— Dlaczego nie pokazali cię, jak pracujesz? — dziwi się mama. — Albo Josha na jakimś przyjęciu? Jest przecież takim wesołym, towarzyskim chłopcem, a tutaj wygląda, jakby wiódł strasznie samotne życie.

— O to im właśnie chodziło. — Nerwowym ruchem przeczesuję włosy. Dokładnie wiem, dokąd zmierza cała ta farsa, i nie mogę zrobić nic, żeby ją powstrzymać. Issie poklepuje mnie w kolano. Żadna z nas ani na chwilę nie odrywa wzroku od ekranu telewizora.

— Cas wygląda na imprezową dziewczynę — Katie podpuszcza Josha.

— Owszem, lubi się bawić — przyznaje Josh, bojąc się jednak, by nie został źle zrozumiany, szybko dodaje: — Ale to mi się w niej podoba.

— Kiedy się zaręczycie?

— W marcu tego roku.

— To znaczy, że dwadzieścia sześć lat czekałeś na Cas. Siedziałeś w domu, a ona tymczasem nie marnowała czasu. Mam nadzieję, że warto było czekać tak długo. — Katie odwraca się do kamery i wykrzywia się.

Nie jest nam dane usłyszeć odpowiedzi Josha. Nawet jeżeli zdobył się na szczerość i przyznał, że nie tak do końca cierpliwie przez dwadzieścia sześć lat stał z boku — raczej za wyjątkowe osiągnięcia zasłużył sobie na pokaźne udziały w firmie produkującej prezerwatywy — publiczność nie ma okazji się o tym przekonać, ponieważ na ekranie pojawiają się wypowiedzi moich znajomych i współpracowników. Wszystkie są mniej więcej w tym samym tonie: „Nigdy nie odmawia”, „Szalona”, „Zawsze pierwsza”, „Wesoła”, „Wyjątkowo utalentowana (śmiech), jeśli wiecie, co mam na myśli”. Publiczność nie ma pojęcia, jak brzmiały pytania ani w jaki sposób prowadzący wymusił konkretną odpowiedź. Mogli na przykład rozmawiać o moim stosunku do pracy. Równie dobrze mogli też mówić o kimś zupełnie innym. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie, bo w TV6 podchodziliśmy na ogół dość swobodnie do wywiadów i dla potrzeb *Seksu z eks* montowaliśmy je zawsze tak, aby uzyskać jak najlepszy efekt. Niezbyt zależało nam na autentyczności. Dawniej popierałam to z całego serca. Dzisiaj żałuję.

Katie prosi Josha, aby opowiedział, w jaki sposób mi się oświadczył. Publiczność zachłystuje się wizją kremowej róży, przyćmionych świateł, wielkich brylantów. Szkoda tylko, że Josh zapomina nadmienić, że w mieszkaniu wciąż jeszcze echem pobrzmiwał szloch biednej, odtrąconej Jane. Podobnie jak zapomniał o noworocznym postanowieniu i zmianach w przepisach podatkowych.

I słusznie. Na jego miejscu postąpiłabym tak samo.

Josh opowiada dalej, z jakim wysiłkiem i poświęceniem, nie szczędząc wydatków, czyni przygotowania do naszego „wielkiego, tradycyjnego wesela”. Pomija tylko fakt, że faktycznie wszystkim zajmuje się moja mama. Teraz pokazują materiał, w którym Josh rozmawia z firmami cateringowymi, florystami, facetami odpowiedzialnymi za rozstawienie namiotu. Podejrzewam, że wszystko to zostało nakręcone specjalnie, ponieważ o ile mi wiadomo, Josh ani razu z nikim się nie spotkał, by omówić kwestie związane z weselem. Co zresztą potwierdza mama, mówiąc:

— Przecież to nie nasza florystka. Po co Josh z nią rozmawia?

Jak mam jej to wytłumaczyć? Jest zbyt prostolinijna, by zrozumieć.

— Josh, z tego, co tu usłyszeliśmy i widzieliśmy, wynika, że Jocasta lubi sobie poflirtować. O, to mnie zabolalo.

— Dlaczego postanowiłeś się do nas zgłosić? Czy w jej życiu jest jakiś wyjątkowy eks, który według ciebie może zagrozić waszemu związkowi? — Katie Hunt przekrzywia wdzięcznie główkę i uśmiecha się współczująco. Nieraz widziałam, jak trenowała tę pozę przed lustrem w kłocie.

— Owszem, jest taki facet. Nazywa się Darren Smith. Boli coraz bardziej.

Teraz widzimy film nakręcony podczas przyjęcia w TV6. Choć jestem kompletnie otepiała, muszę przyznać, że montażysta spisał się nieźle. Materiał zrobiony jest super. Ponieważ kamery musiały być ukryte, a ja nie wyraziłam zgody na filmowanie, moje oczy przez cały czas przesłania czarny pasek. Skoro jednak wcześniej pokazali mnóstwo moich zdjęć, nie ma najmniejszych wątpliwości, kim jestem. Na dodatek czarny pasek dodaje pikanterii, sprawiając, że wyglądam niczym zamaskowana burdelmama. Film zaczyna się od ujęcia, na którym wyraźnie widać, jak chowam do kieszeni pierścione. Jest to pokazane czterokrotnie, następnie widać, jak witam (zamaskowana) Darrena. Zbliżenie i cięcie, i ja z miną zadowoloną jak u kota z Cheshire. Dalej pełen uwagi wobec mnie Darren przynosi mi kawior i szampana. W tym momencie film puszczony jest w przyśpieszonym tempie, wobec czego moje szybkie ruchy ręką i jego czujność zdają się świadczyć, że bez przerwy mu rozkazuję i wydaję liczne polecenia. Idź po to, przynieś tamto, idź tam, chodź tutaj. Ujęcie, na którym tańczymy z Darrenem. W rzeczywistości tańczyliśmy do *Let's Twist Again*, z ekranu jednak rozlega się zachrypnięty, drżący głos Roda Stewarta śpiewającego *Do You Think I'm Sexy*. Kamera ujmuje nas pod takim kątem, że wyglądam, jakby moje wirujące biodra znajdowały się niemal na wysokości twarzy Darrena. Następna scena, w której próbuję przedrzeć się przez tłum otaczających Darrena kobiet. To znowu puszczone jest w przyśpieszonym tempie, a obraz się dodatkowo chybotaje, co daje złudzenie, że zachowuję się agresywnie. Zupełnie jakbym rozwścieczona odpędzała potencjalne rywalki. Potem widać nas pogrążonych w ożywionej rozmowie, przy czym moje włosy zasłaniają nam twarze, więc postronny obserwator może przypuszczać, że po prostu się całujemy. Z przyjęcia wyszliśmy razem, zupełnie się z tym nie kryjąc. Wszystko jednak zostało zmontowane w taki sposób — na jednym ujęciu widać, jak Darren wychodzi do toalety, na drugim ja wychodzę na chwilę, bo zaczął dzwonić mój telefon komórkowy — że dla publiczności jasne jest, iż wyszliśmy oddzielnie, po czym spotkaliśmy się ponownie na zewnątrz. Gdyby bohaterami filmu były inne osoby, a nie Darren i ja, nie posiadałabym się z zachwytem. Darren.

Patrzę, jak idziemy z Darrenem wzdłuż rzeki. Dobrze pamiętałam, że ujęliśmy się za rękę na Mall. Potem wsiadamy do taksówki i przyjeżdżamy do hotelu. Dzięki maskom nie widać tęsknoty i obawy, malujących się na twarzy Darrena, ani chwili, w której z mojej znika czujność.

Teraz wszystko rozumiem. Dlatego z taką łatwością złapaliśmy taksówkę — była podstawiona. Taksówkarz wiedział, do którego hotelu nas zawieźć: do tego, w którego holu, barze i korytarzach zamontowano ukryte kamery. I dlatego podali nam śniadanie, mimo że wcale go nie zamawialiśmy. TV6 potrzebowała zeznania chłopca hotelowego, że zastał nas w łóżku razem. I dlatego kierownik nie chciał się zgodzić, żebyśmy zostali w hotelu na jeszcze jedną noc. Wcale nie trzeba było niczego sprzątać — musieli zebrać dowody.

I nie mylę się. Film kończy się kilkoma ujęciami krajobrazu po bitwie, a raczej sceny naszej miłości. Kamera omiata pokój, który dopiero co opuściliśmy. Puste butelki po szampanie, saszetki po płynie do kąpieli, skotłowana pościel, opakowanie po kondomach w koszu na śmieci. Na widok dwóch ostatnich ujęć wśród widowni rozlegają się chichoty. Wszystko pokazane jest bez komentarza. Nie padają żadne oskarżenia, w przeciwnym bowiem razie mogłabym zaskarżyć TV6, lecz wnioski są oczywiste i nasuwają się same. Zamaskowana kobieta, bez wątplenia znana jako Jocasta Perry, zdradziła Josha, uśmiechniętego, miłego chłopaczka siedzącego na scenie. Czuję się zdradzona. Obnażona. Zbrukana.

Katie Hunt jest w stanie upojenia graniczącego niemal z orgazmem. Zwracając się do Josha, próbuje nad sobą zapanować.

— Jak się czujesz po obejrzeniu tego filmu, Josh?

W tej grze nie ma zwycięzców.

Biedny Josh. Chociaż nie przegapił ani jednego odcinka *Seksu z eks*, nie mam wątpliwości — jako jego była najlepsza przyjaciółka — że nawet mu się nie śniło, ile upokorzenia, bólu i rozpacz przysporzy sobie, otwierając tę puszkę Pandory. To samo zresztą można powiedzieć o mnie.

Jak mogłam choć przez chwilę sądzić, że pokazywanie światu zakrwawionych prześcieradeł stanowi dobrą rozrywkę? Skąd wzięło mi się przekonanie, że nie ma niczego złego w sprowadzaniu miłości do żalonych plotek, a zdrady — ohydnej samej w sobie — do czegoś wspaniałego?

Josh wygląda jak przybity, przegrany człowiek. Próbuje — bez powodzenia niestety — przywołać na twarz swój czarujący uśmiech. Publiczność wydaje jedno zgodne, głośnie westchnienie. Josh ma minę, jakby zbierało mu się na płacz. Boże, on naprawdę płacze. Koszmarny widok.

— Jak już wspominałam, zaprosiliśmy Jocastę Parrey do udziału w naszym programie, ale niestety odmówiła.

— Kłamią w żywe oczy! Każę się tym zająć moim prawnikom! — wściekam się. Wiem jednak, że nic nie mogę zrobić. TV6 świadomie zagrała va banque. Nawet gdybym oskarżyła ich o naruszenie mojej prywatności, zważywszy na to, że w tym odcinku byli wyjątkowo wścibscy, to i tak swój cel osiągnęli. Mają prawdziwy hit.

— Udało nam się jednak nagrać z nią wywiad. Pokazują materiał, w którym na zebraniu przedstawiam

Seks z eks. Tym razem moja twarz nie jest przysłonięta, ponieważ kręciliśmy to dla telewizji, by nagłośnić nasz nowy program. Bez mrugnięcia okiem spoglądam prosto w kamerę. I gdy słyszę moje słowa: „Nic nie może się równać z *Seksem z eks.* Jest ryzykowny, sprośny, zuchwały i przede wszystkim to świetna zabawa”, de facto mówiłam o programie. Ale oglądające to w tej chwili miliony widzów są przekonane, że mam na myśli Darrena.

— Ostatnie słowo oddajemy Darrenowi Smithowi — wdzięczy się do kamery Katie Hunt.

Na ekranie pojawia się Darren wychodzący ze stacji metra, na której się rozstaliśmy. Nawet mimo czarnego paska przesłaniającego oczy nie wygląda komicznie — o wiele bardziej przypomina Samotnego Jeźdźcę. Pokonuje schody po trzy stopnie naraz. Wbiega na górę i podskakuje, boksując powietrze. Przebitka na mnie, mrugając łobuzersko i mówiąca: „Zuchwały i przede wszystkim to świetna zabawa”, znowu Darren boksujący powietrze, „przede wszystkim to świetna zabawa”, cios.

Issie i mama milczą kiedy na ekranie pojawiają się napisy końcowe. Wyłączam telewizor.

— Co miała znaczyć ta ostatnia scena? — pyta moja mama.

— Czy... czy... — Issie z trudem udaje się coś wykrztusić. — Czy myślisz, że Darren miał z tym coś wspólnego?

Rzucam jej miazdzące spojrzenie, więc milknie zmieszana, spuszczając wzrok.

— Jak oni mogli zrobić mi coś takiego? Nienawidzę ich! Nienawidzę mediów.

— Hm, to był twój pomysł. Twoje ukochane dziecko — przypomina mi Issie.

— Żadne dziecko. Dzieci są słodkie i urocze. A to jest gorszy brat potwora Frankesteina. — Mówiąc to, wiem, co sobie myśli. Że dobrze mi tak. Tak samo jak wiem, że ma całkowitą rację.

Ze zmęczenia szczypią mnie oczy, głowa pęka z bólu. Nagle zrobiło mi się przeraźliwie zimno. Idę do sypialni po jakiś sweter i skarpety. Wracam do salonu, gdzie mama i Issie wciąż siedzą tak, jak je przed chwilą zostawiłam, sztywne niczym posągi. Otulam się szczelnie swetrem. Na próżno, zimno mi jest od środka.

— Myślisz, że Darren cię wystawił? — nie ustępuje Issie.

— Skądże. — Przeraża mnie, że coś takiego w ogóle mogło jej przyjść do głowy.

— Jesteś absolutnie pewna.

— Jestem. Issie, ja mu ufam.

— Po prostu wydaje mi się podejrzane, że tak łatwo ci wybaczył. Może i jest święty, ale nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że był we wszystko zamieszany, bo chciał się po prostu zemścić.

— Mylisz się.

To niemożliwe. Nie mógł aż tak udawać. Wiem, że był w stu procentach szczery. Przez cały czas, na przyjęciu, podczas spaceru wzdłuż rzeki, w hotelu. Na miłość boską, jest moim narzeczonym. Hmmm.

Nie, mimo wszystko mu ufam. Trzymam się tego, jak ja go widzę, kiedy śpiewa do lustra w łazience, jak po wspólnej kąpieli wycieram do sucha ręcznikiem jego wciąż jeszcze namydlone plecy, jak pastuje sobie buty, korzystając z niewielkiego zestawu do czyszczenia butów należącego do wyposażenia pokoju. Nic, żaden film nie jest w stanie tego zmienić. Wiem swoje.

Zaczyna dzwonić telefon. Moja niemądra mama go odbiera. To reporter z „Mirror”. Wyjmuję mamie słuchawkę z ręki i odkładam. Telefon od razu zaczyna dzwonić znowu. Wyciągam wtyczkę z gniazdka. Issie wygląda przez okno. Nie myli się, podejrzewając spisek.

Zaczynam myśleć o ludziach zaangażowanych w całą tę aferę. Przede wszystkim jest Bale, który musiał wydać zgodę. On jednak mnie nie zdradził. Żeby kogoś zdradzić, trzeba być tego choć po części świadomym. Bale kierował się instynktem. Nigdy go nie lubiłam, ale z całym przekonaniem mogę przyjąć, że posłużył się mną tylko i wyłącznie ze względu na oglądalność. Własną matkę sprzedałby na targu białych niewolników, gdyby wiedział, że będzie miał z tego dobry program. Lecz nie jest na tyle bystry, by samemu wpaść na podobny pomysł. To musiała być sprawka Fi. Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków, ale Fi wiedziała, co czuję do Darrena. Poza tym podejrzanie chętnie zgodziła się pomóc mi w przygotowaniu przyjęcia. Założę się, że to ona wszystko sobie obmyśliła i przedstawiła Bale'owi. No jasne, skąd miała nagle tyle czasu, żeby mi pomagać? Bale dopilnował, żeby wszyscy inni mieli aż nadto pracy. Fi wysyłała zaproszenia, a ona nigdy nie popełnia żadnych błędów, niemożliwe więc, żeby nagle pomieszały się jej listy z adresami. Jak mogła? Przecież przyjaźniłyśmy się.

Czy rzeczywiście?

Czy kiedykolwiek traktowałam ją jak przyjaciółkę? Gdy zaczęła u nas pracować, starała się nawiązać koleżeńskie stosunki, ja jednak dałam jej do zrozumienia, że łączą nas wyłącznie interesy. Od razu zauważyłam, że jest inteligentna i ambitna. I poczułam się zagrożona. Zamiast więc dać jej szansę rozwoju, wykorzystać jej potencjał, wciągnąć do zespołu, chwalić za osiągnięcia, ubijałam ją na każdym kroku. Jedyne, czego ją nauczyłam, to bezwzględność, samolubstwo i egotyzm.

Najwyraźniej uczeń przerósł mistrza.

Nie tylko Fi miała w tym swój udział. Debs i Di musiały zająć się reklamą. Jaki także była we wszystko zaangażowana, bo prasa zna mój adres i telefon, a są to informacje zastrzeżone, do których tylko ona miała dostęp. Katie Hunt świetnie się bawiła, przedstawiając mnie jako wredną, wyrachowaną sukę, a przecież swoje pięć minut właśnie mnie zawdzięcza! Czym ja jej się mogłam narazić? Cóż, może po prostu uznała, że świetnie nadaję się na zwierzynę łowną. Tom i Mark mogli żywić do mnie urazę, ponieważ z obydwoma spałam i obu rzuciłam. Gray z kolei dlatego, że z nim nie spałam. Z Rickym sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Czym go zraniłam? Zapomniałam mu powiedzieć, że bardzo mu do twarzy w nowej dżinsowej koszuli? Naraz przypomina mi się, jak potrzebował mojej pomocy przy zmianie ramówki, co miał załatwiać z szefem homofobem. Zgodziłam się pójść z szefem na lunch, a potem zostałam z Darrenem. Nawet nie pamiętałam, żeby odwołać randkę. Szef nigdy Ricky'emu nie przebaczył i zatruwał mu życie na tysiąc drobnych sposobów. Najwyraźniej Ricky uznał, że go zawiodłam. A kamerzysta Jack? Montażysta Ed? Dźwiękowiec Mike? Och, aleśmy sobie na nim używali — „Mikrofonowy Mike”. Wciąż pamiętam te śmiechy. A Jen od efektów specjalnych? Zawsze dzieliliśmy się batonikami! Wszyscy oni, kiedy przyszło co do czego, zawiedli mnie, zdradzili jak jeden mąż. Przykro mi o tym myśleć, ale najsmutniejsze jest to, że wiem, iż należało mi się. Nic dziwnego, że nie zasłużyłam sobie nawet na najmniejszy odruch lojalności. Jak mantrę powtarzałam zawsze — nie ufać nikomu, z nikim nie być szczerym. Zostałam potraktowana podle, bo sama podle wszystkich traktowałam.

Matka i Issie przyglądają mi się niepewnie, oczekując wybuchu śmiertelnej mieszanki odrzucenia i upokorzenia. Oczekują że zacznę się zaklinać, iż nigdy, przenigdy nie zaufam już nikomu. Zawsze w tym względzie ostrożna, teraz stanę się wręcz niedostępna. Nie zdziwiłyby się zapewne, gdybym oświadczyła im, że wyjeżdżam za granicę, gdzie walcząc z rozmówkami, stanę się niedostępna jeszcze bardziej. Oczekują napadu szału i solennych przyrzeczeń, że już nigdy, przenigdy nikomu się nie zwierzę, nie zaufam, nikogo nie będę szanować ani kochać.

— Lepiej zadzwonię do Darrena — mówię, wprawiając je w totalne osłupienie.

— Josh.

Cisza.

— Josh, to ja, Cas. — Chyba nie musiałam tego dodawać, zważywszy na to wszystko, co wspólnie przeszliśmy.

— Hej, witaj, młoda damo.

Jego głos brzmi podejrzenie wesoło, a wiem przecież, że to niemożliwe.

— Josh, jesteś pijany?

— Owszem, a ty wciąż będziesz piękna o poranku.

Teraz w jego tonie słycać upokorzenie, ból i żal.

— Och, Josh, przepraszam. Cóż za nieadekwatne słowa.

— A za co konkretnie przepraszasz, moja droga? Za naszą dwudziestosześcioletnią przyjaźń? Za to, że zgodziłaś się za mnie wyjść? A może za to, że nie dochowałaś mi wierności na oczach dwunastu przecinek cztery milionów widzów czy też za kolor sukienek druchen?

Uśmiecham się. Kocham go za to, że nawet w takiej sytuacji, gdy serce mu pęka, stać go na żarty.

12,4 miliony. Niekwestionowany rekord programu i całej TV6. Teraz nie ma szans, żeby *Seks z eks* wylądował w gorszym paśmie programowym, by zrobić miejsce kasowym filmom. Fi świetnie się spisała. Ironia polega na tym, że osobiście pomogłam jej siebie pogrzyć. Gdybym nie starała się, aby wszelkimi sposobami umocnić swój publiczny wizerunek, nie zabiegała o wzmiankę w każdym brukowcu, czasopiśmie czy programie, moje małżeństwo nigdy nie wzbudziłoby takiego zainteresowania wśród szerokiej publiczności. Gdybym nie zraziła do siebie dziennikarzy, manipulując nimi bez skrpułów, być może nie rozdmuchaliby wszystkiego na cały kraj.

Jak sępy na padlinę, prasa rzuciła się na moją historię, z każdym dniem podgrzewając wokół niej atmosferę. Każdy talk-show przeprowadza sondę wśród widzów, prosząc, by dzwonili i głosowali, kogo powinnam poślubić: Josha czy może raczej Darrena? Bardziej ambitne programy z mojego nieszczęścia czynią współczesną moralną przypowieść. Dopadły mnie wszystkie moje zmy: przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. Josh jest zbyt słodki, nikt się więc nawet nie zastanawia, jaką on odegrał rolę w tym przedstawieniu, całą winą obarczając tylko i wyłącznie mnie. Czemu jednak wszyscy ci stróże moralności, z taką zazartością mnie potępiający, nie dostrzegają faktu, że

12,4 milionów telewidzów milcząco oczyściło mnie z zarzutu niewierności, świetnie się podczas programu bawiąc.

Co doskonale rozumiem.

Im bardziej mnie się potępia, tym pełniejsze ich rozgrzeszenie. Oni mają czyste ręce. Nie mam o to do nich pretensji. Nawet dawniej nie byłam zbyt zagorzałą zwolenniczką odpowiedzialności zbiorowej. Poza tym nie ma o czym dyskutować, wina leży po mojej stronie — sama wiem o tym najlepiej.

Kwiaciarz, u którego zamówiliśmy kwiaty na wesele, skarży mnie. Twierdzi, że w programie pokazano inną firmę, przez co pozbawiono go słusznie należnej mu reklamy. Nie uważam, by w sądzie miał zbyt duże szanse, ale pozostali dostawcy — firmy cateringowe, dekoratorzy, kierownik lokalu, w którym miało odbyć się wesele — wszyscy oni zwarli szeregi i domagają się pełnej zapłaty. Nawet ksiądz żąda publicznych przeprosin, a w trosce o bardziej doczesne interesy twierdzi, że dzwonnikom należy się zapłata. Zważywszy jednak na to, że od czasu pojawienia się *Seksu z eks* na antenie liczba zawieranych ślubów spadła o 35 procent, Kościół ma pełne prawo do oburzenia.

Również dawni uczestnicy *Seksu z eks* nie dają o sobie zapomnieć. Sprzedają swoje historie, tym razem nieco ubarwione, jak to na przykład namawiałam ich do niedochowania wierności (co jest nieprawdą — świat aż roi się od beztroskich kretynów i moja pomoc w niczym nie jest im potrzebna). Niektórzy opowiadają, że stacja proponowała im pieniądze za zdradę (znowu nieprawda), inni z kolei twierdzą jakoby obiecywała im seks w zamian za współpracę (kłamstwo). Nie ma takiej potworności, której nie dałoby mi się przypisać.

Wszyscy moi byli — a przynajmniej ci, którzy nie musieli się bać o swoje aktualne związki — powyłazili z ukrycia. Cały kraj ze szczegółami dowiedział się, jak uprawiam fellatio. Dla nikogo też nie jest już tajemnicą, do którego fryzjera chodzę, ile mam plomb w zębach, jak dużo musiałam zapłacić za swoje mieszkanie i jaki rozmiar stanika noszę. Jestem wystawiona na widok publiczny, obnażona.

— Z naszego wesela nici, co, Cas? — pyta Josh.

Czyżbym słyszała w jego głosie cień nadziei? To jeszcze gorsze niż wszystko, co dotąd na mnie spadło. Wiem, że podskoczyło mu ciśnienie i przyspieszył się oddech. W ustach mu zaschło, a w żołądku się przewraca.

— Cas, przepraszam cię za ten program. Nigdy bym się na coś takiego nie zgodził. Nie miałem pojęcia, że tak cię urządzają. Nie zgłosiłem się do nich, sami przyszli. I nie zadawali pytań, które wcześniej ustaliliśmy. Ja nie...

— Wiem — mówię z westchnieniem, przerywając mu w pół słowa.

Nie musi mi niczego tłumaczyć. Wiem, że chciał jak najlepiej, a jedyne, co mogę mu zarzucić, to naiwność. Szkoda, że zabrakło mu wiary i ufności w nasz związek, przez co wpakował nas w całą tę kabałę. Lecz miał rację, nie wierząc mi, i całą winę ponoszę wyłącznie ja.

— O nic nie mam do ciebie pretensji, Josh. Przykro mi tylko, że tak cię wykorzystali...

— Nie moglibyśmy po prostu o wszystkim zapomnieć? — pyta z nadzieją.

— Nie. Oboje wiemy, że nie mogę za ciebie wyjść. — Jestem stanowcza. — Przykro mi, że cię wykorzystali, ale jeszcze bardziej mi przykro, że ja cię wykorzystalam. — Milknę na chwilę, żeby wziąć głęboki oddech. — Kocham cię, Josh, ale nie jestem w tobie zakochana. Zgodziłam się wyjść za ciebie z całkowicie błędnych przyczyn.

Po raz pierwszy w życiu w pełni rozumiem znaczenie słów: „postąpić okrutnie dla czyjegoś dobra”. Nie mówię tego, by odepchnąć kogoś, kto mi się znudził, przestał mi być potrzebny albo po prostu przestałam go lubić. Czy odważę się mówić dalej?

— Przypuszczam też, że tak naprawdę ty nigdy nie byłeś zakochany we mnie.

Słyszę, jak głośno wciąga powietrze. Zupełnie jakbym przebiła mu płuca. A już z całą pewnością zniszczyłam w tej chwili wszystkie jego marzenia.

— Och, do kurwy nędzy, Cas, co ty wiesz?! — pyta bełkotliwie.

— Niewiele, to fakt — przyznaję. Milknę na chwilę, bo nie wiem, jak mam mu to powiedzieć. — Ale przynajmniej więcej niż wtedy, kiedy zgadzałam się za ciebie wyjść. Josh, przepraszam cię, tak bardzo jest mi przykro.

— Boże, jakie to wszystko upokarzające. Zaproszenia już zostały wysłane. — Prosi mnie, wręcz błaga, a ja nie czuję — jak niegdyś — zimnej satysfakcji, odrzucając niechcianą miłość, lecz cierpię wraz z nim.

— Josh, proszę cię, przestań.

Gdyby nie przepełniający mnie bezgraniczny smutek, pewnie śmiać by mi się chciało z jego złudzeń, że ktoś, kto już dostał nasze zaproszenie, mógłby pomyśleć, że jest ono nadal aktualne. Cała Wielka Brytania wie, że w najbliższą sobotę na pewno nie przejdę nawą kościoła, przystrojona w jedwab i koronki.

— Przecież nie wierzysz w istnienie tego Jedyne, więc co za różnica? Nie jestem lepszy niż żaden?

— Josh, jesteś cudownym facetem. I na pewno kiedyś będziesz wspaniałym mężem — mówię z pełnym przekonaniem.

— Ale nie twoim. — Cóż mam mu na to odpowiedzieć? — Chłodzisz szampana na ślub z Darrenem? — pyta z sarkazmem. — Twoim cudzołożnym przyjacielem.

Staram się zachować spokój, pamiętając, że ma wszelkie prawo do gniewu i złości. Nie powiem mu, że nie popełniłam cudzołóstwa, śpiąc z Darrenem. Cudzołożyłam z nim, z Joshem.

— Wiesz o tym, że już nigdy się nie zobaczymy? — grozi. Bardzo to trudne. Ciężka łąza spada na moją słuchawkę.

Ostatnio płacz przychodzi mi o wiele łatwiej niż oddychanie.

— Jeżeli tego właśnie sobie życzysz — mówię, wiedząc, że wcale tego nie chcę, ale muszę uszanować jego wolę.

— I wiesz, co to oznacza. Nie będzie ci miał kto naprawić pralki czy sprawdzić oleju w samochodzie. Kogo pošlesz po pizzę w środku dnia, kiedy obie z Issie zbyt jesteście zajęte oglądaniem filmu, żeby ruszyć się z miejsca? — Próbuje udawać gniew, ale jego ton zdradza, że wciąż jest na granicy płaczu.

— Będzie mi ciebie brakowało. Kocham cię. I jeszcze raz przepraszam. — Głos mi się załamuje i odkładam słuchawkę.

Mogę wezwać hydraulika, zawieźć samochód do warsztatu i zamówić sobie pizzę. Wszystko to mogę załatwić sama, bez niczyjej pomocy. Ale będzie mi go brakowało. Jego głupkowatych żartów, opowieści z sądu. Jego uścisku i jego kuchni. Wszystkiego, co razem przeżyliśmy. Naszej przyjaźni.

Darren.

Jego twarz staje mi przed oczami, serce zaczyna walić jak oszalałe, aż z trudem udaje mi się ustać na nogach. Boję się, wiem, że ryzykuję, ale dobrze mi z tym. Mam wątpliwości, ale nie waham się. Postępuję słusznie, lecz jestem spięta. Nie mogę poślubić jednego mężczyzny, wiedząc, że kocham innego.

Lecz co najbardziej zadziwiające, straciłam Darrena. I to dosłownie.

Przez ostatnie cztery dni starałam się go namierzyć, ale przepadł jak kamień w wodę. Komórkę ma wyłączoną. A kiedy poszłam do jego mieszkania, facet, z którym mieszka, powiedział mi, że nie widział go od dnia, w którym w TV6 odbywało się przyjęcie. Pytałam o niego w laboratorium i biurze. Nigdzie nikt go nie widział od kilku dni. Sugerowano, że musiał gdzieś wyjechać. Jeżeli jednak ktoś wiedział dokąd, nie chciał mi powiedzieć — jako wrogowi publicznemu numer jeden — bez względu na to, jak bardzo błagałam, przymilałam się czy groziłam. Według Issie, znikając w ten sposób, potwierdził tylko, że był we wszystko zamieszany. Mama jest bardziej ostrożna w ferowaniu wyroków, lecz wraz z upływem czasu i jego uporczywym milczeniem widzę, że coraz bardziej się martwi.

Ja jednak wiem, że nie był w zмовie z Bale'em i Fi. Nie potrafię wytłumaczyć, czemu zniknął tak niespodziewanie, ale mam całkowitą pewność, że mnie nie zdradził.

I tak lata sceptycyzmu, nieufności wobec wszystkich, samolubnego hedonizmu doprowadziły mnie do tego, czego tak starannie i za wszelką cenę starałam się uniknąć.

Jestem zakochana.

Lecz samotna.

Może jest to namacalny dowód na istnienie Boga, przynajmniej dla moich pięćdziesięciu trzech wzgardzonych kochanków.

Do biura wracam w czwartek. Droga jest ciężka, ponieważ dziennikarze nie odstępują mnie ani na krok. Jeden jest szczególnie wytrwały (albo po prostu młody) i od soboty rozłożył się obozem przed wejściem do mojego domu. Najwyraźniej niezbyt przywykł do sypiania na twardym i wygląda równie fatalnie, jak ja się czuję. Widzę, jaki jest zmarznięty i zmarnowany, więc robi mi się go żal i po wymienieniu z nim kilku uprzejmości proponuję mu filiżankę herbaty. Spogląda na mnie podejrzliwie, ale jest mu tak bardzo zimno, że nie ma siły nie przyjąć propozycji. Co prawda mamy lipiec, ale nie zapominajmy, że to angielski lipiec.

— Wiesz, nie powinieneś wierzyć we wszystko, co przeczytałeś. Żadna ze mnie Cruella Demon. — Bierze ode mnie herbatę. — Masz zamiar śledzić mnie przez cały dzień? — Potakująco kiwa głową. — Cóż, do pracy jadę samochodem. Jeśli chcesz, mogę cię podwieźć. — Nie wie, czy przystać na taką propozycję. Naturalnie stara się dopatrzeć w moim postępowaniu jakiegoś ukrytego motywu. Lecz mnie nic to nie obchodzi. Jestem zbyt zmęczona, by próbować opracować taktykę wielkiego powrotu z fasonem. Nie wiem nawet, czy chcę.

W pracy zjawiam się o 8.15 i choć nie udało mi się pójść do siłowni, do biura wkraczam z torbą sportową przewieszoną przez ramię, chcę bowiem wszystkim dać do zrozumienia, że życie dalej toczy się normalnie, a ja czuję się bardzo dobrze i jestem przy zdrowych zmysłach. Włożyłam popielaty kostium od Armaniego — emocjonalną zbroję — i ciemne okulary, by ukryć sińce pod oczami, które są rezultatem bezsennych nocy i ciągłego płaczu. Ponieważ jednak pracuję w mediach, póki okulary są firmowe, nikomu nawet do głowy nie przyjdzie się zastanowić, czemu nie zdejmuję ich w budynku.

Idę przez przeszkłone, zbudowane na otwartym planie biura i — nie po raz pierwszy zresztą — przeklinam architekta. Czy brał pod uwagę moje publiczne upokorzenie, gdy wysilał swój geniusz nad deską kreślarską? Skinieniem głowy odpowiadam na kilka powitań, ignorując złośliwe uśmiešky i szepty. Pokonuję długą jak maraton drogę do swojego biurka, siadam i włączam komputer. Dzwonię na wewnętrzny numer Jaki.

— Wróciłaś! — Nawet nie stara się ukryć zaskoczenia.

— Owszem. Lekka grypa, ale już mi przeszło.

— Hm, cieszę się, że już jesteś — bąka zmieszana.

— Dzięki, Jaki. Czy możesz mi przynieść mój terminarz? Och, i znajdź mi jakąś wolną chwilę na spotkanie z Bale'em.

— Cóż, prawdę mówiąc, nie masz dzisiaj niczego w planie.

— Świetnie, w takim razie zajmę się rachunkami, a ty bez trudu umówisz mnie z Bale'em.
— Rozłączam się.

Bale zgadza się mnie przyjąć o jedenastej. Tymczasem wszyscy skrupulatnie starają się mnie unikać. Traktując mnie jak trędowatą dają wyraz głębokiemu przekonaniu, że tak szczęście, jak i pech są zaraźliwe. Kiedy moja kariera rozwijała się jak po maśle, kochali mnie wszyscy. Dzisiaj tylko Trixxie nie ulega ogólnej fobii i podchodzi do mojego biurka, żeby się przywitać. Podejrzewam jednak, że była naćpana i nawet nie zauważyła, co się wydarzyło w ostatnim programie.

Do gabinetu Bale'a wchodzę dopiero kwadrans po jedenastej. Fi już w nim siedzi.

— Bale, znowu przytyłeś — uśmiecham się.

Na tym koniec z uprzejmościami. Zamykam za sobą drzwi. Bale przypomina mi morsa, tłusty, różowy nos przechodzi mu w usta, usta przechodzą w podbródek, z podbródka robi się klatka piersiowa i nagle już są stopy. Staram się skupić uwagę na jego dobrych stronach. Nie udaje mi się. Nawet je z otwartą gębą. Spoglądam na Fi. Ona z kolei wygląda fantastycznie. Świadoma triumfu wręcz promienieje. Jak Lady Macbeth. Ma na sobie kostium od Alberta Ferrettiego, nie znany mi dotąd, co pozwala domniemywać, że kupiła go sobie za premię przyznaną jej za rekordową oglądalność.

— Śliczny kostium, Fi — mówię. — Nigdy nie sądziłam, że u Harveya Nicsa przyjmują brudne pieniądze. Zawsze mi się wydawało, że trzeba płacić kartą.

— Och, dajże spokój, Cas. Przecież znasz zasady.

Wygląda doprawdy rewelacyjnie i dam sobie rękę uciąć, że od dzisiaj cały mój zespół zanosić będzie modły w świątyni

Fiony. Nie wiedzą, co z niej za ziółko. Są oślepieni. Nic dziwnego, blask, jaki od niej bije, zaślepić może każdego.

— Siadaj, Cas — odzywa się Bale.

Zauważam, że dla mnie zostało najniższe krzesło, i gdybym na nim usiadła, oboje górowaliby nade mną o dobre kilkanaście centymetrów.

— Dziękuję, postoję.

— Och, nie zabawisz dłużej? — pyta Bale i oboje uśmiechają się wrednie.

— Widziałaś sobotni program? — włącza się do rozmowy Fi. Teraz już oboje pokładają się ze śmiechu.

— Widziałaś wyniki? Nie pogratulujesz nam oglądalności? Zawsze twierdziłaś, że program z udziałem Darrena Smitha pobije wszelkie rekordy — podpuszcza mnie Bale.

— Oglądalności? Oglądalności?! Tylko o tym potraficie myśleć?! — wybucham. Chociaż przysięgałam sobie, że bez względu na wszystko zachowam kamienny spokój i opanowanie.

— Tak, Cas. — Wali pięścią w biurko i nagle staje się śmiertelnie poważny. — Oglądalność to jedyna rzecz, o której ja myślę. I o ile pamiętam, to jeszcze do niedawna, zanim się zadurzyłaś, ty również o niczym innym nie myślałaś.

Jakby mi ktoś w pysk strzelił. Nawet ten odrażający typ zna mnie lepiej niż ja sama. Chyba nie ma sensu starać się mu tłumaczyć, że ceną windowania oglądalności bez oglądania się na nic są cierpiący, załamani ludzie.

— Zawiodłaś nas, Cas. Najpierw uciekłaś na północ za tym cygańskim hippisem. Potem wróciłaś z głową pełną kretyńskich pomysłów na jakieś niby to inteligentne programy. Tak, bardzo nas rozczarowałaś.

— To, że Darren nie jest materialistą, hedonistą, faszystą, nie oznacza, że jest cyganem czy hippisem! — wrzeszczę. Po chwili zastanowienia dodaję: — A zresztą, co ci się nie podoba w hippisach albo cyganach?

Bale i Fi wybuchają dzikim śmiechem. Jej cycki i jego bandzioch podskakują szarpane paroksyzmami śmiechu. Ja stoję bez ruchu.

— Po tobie, Bale, można się było tego spodziewać, ale ty, Fi, zdumiewasz mnie. Jak mogłaś zrobić mi coś podobnego? — Fi patrzy na mnie bez mrugnięcia, bezczelnie, bez cienia skruchy. — Wiedziałaś, że skrzywdzisz i Josha, i Darrena, a mnie wystawisz na publiczne pośmiewisko.

— Aha, obilo mi się o uszy, że Dazza dał nogę — kpi Bale.

— Prawdziwy pech, Cas.

— Ale są też i dobre strony — wtrąca Fi. — Zrobiliśmy taką reklamę twoim talentom łóżkowym, że oprócz Darrena nie ma chyba faceta w Anglii, który nie marzyłby, żeby cię przelecieć.

— A ta dobra strona?

— Och, nie rznij się na taką świętoszkę, Cas. Nigdy nie odpuściłaś sobie dobrego dupczonka.

— Nie. — Wzdycham i pocieram dłonią czoło. — Dawniej rzeczywiście nigdy. — Rzygać mi się chce od tej głupiej gadki.

— Cóż, doprawdy niezmiernie miło mi się z wami gawędzi, ale pora przejść do sedna. Składam rezygnację.

— Przyjmuję. I tak miałem cię zwolnić za powtarzające się ostatnio absencje bez L4, ale wtedy musielibyśmy dać ci odprawę. Tak będzie o wiele prościej. Chociaż ty wyjdiesz na tym finansowo gorzej — szydzi.

Guzik mnie obchodzą pieniądze. Zwracam się do Fi.

— Muszę ci oddać sprawiedliwość. Myślałam, że aby to osiągnąć, będziesz musiała wypieprzyć Bale'a. A tak wystarczyło, że zrobiłaś to ze mną. Słuszny wybór, jestem o wiele ładniejsza.

Wychodzę i nie przejmuję się wcale, że niechcący trzasnęłam drzwiami.

Idę do wyjścia, mijając po drodze swoje biurko. Nawet nie mam zamiaru opróżnić swoich szafek. Zjeżdżam windą, mijam recepcję i wychodzę na zewnątrz.

I o dziwo, gdy drzwi za mną się zamykają, po raz pierwszy od bardzo dawna czuję się wspaniale.

Zdecydowałam się obciąć sobie włosy.

— Wielki Boże, twoje włosy! — wykrzykuje matka, gdy w czwartkowy wieczór wpadam, żeby odwiedzić ją i Boba.

— Nie martw się, to nie był akt samobiczowania. Po prostu chciałam... czy ja wiem... coś zmienić.

Mama wygląda, jakby lada chwila miała się rozplakać, więc z wdzięcznością przyjmuję słowa Boba, który mówi:

— Bardzo ci do twarzy, Cas.

Bob jest OK, całkiem przyzwoity z niego facet, pod warunkiem że nie zwraca się uwagi na jego brązowe sztruksy.

— Dzięki. — Uśmiecham się do niego z wdzięcznością ponad talerzem z paluszkami rybnymi i fasolką. Widzę, jak łagodnie trąca moją matkę.

— Cóż, w takim razie powinniśmy chyba ogłosić początek nowej ery — wydusza z siebie bohatersko mama. — Może na dzień lub dwa uda ci się pozbyć prasy.

Głowę mam lekką — moje włosy ważyły chyba z tonę — ale na sercu wciąż mi ciężko. Po kolacji mama proponuje, żebym spędziła u niej noc, ale odmawiam. Wychodzę pospiesznie, żeby zdążyć na metro.

Cały dzień spędzam, wisząc na telefonie. Wydzwaniam na komórkę Darrena, do jego mieszkania, laboratorium, biura. Bez rezultatu. Sporządzam listę parków narodowych i po kolei dzwonię do każdego, żeby sprawdzić, czy przypadkiem w którymś z nich nie pracuje. Nie. Wobec tego sprawdzam parki londyńskie, a gdy i w nich nikt o nim nie słyszał, dzwonię do kilkudziesięciu innych, rozrzuconych po całym kraju. Tyle jest chorych drzew, a Darren żadnym się nie opiekuje.

Chodzę po ulicach w nadziei, że gdzieś się na niego natknę. Próżny trud. W końcu zbieram się na odwagę i dzwonię do państwa Smith w Whitby.

Telefon odbiera jego ojciec.

— Dzień dobry panu. Pan mnie zapewne nie pamięta. — Mam wrażenie, że mój pobyt w ich domu przeszedł dla pana Smitha niezauważony. Byłam jedynie przerywnikiem pomiędzy *Countdown* a innymi talk-show. — Nazywam się Cas Perry i jestem znajomą Darrena. W pewnym sensie znajomą. — Czymś pomiędzy superwrogiem a narzeczoną.

— Witaj, złotko, oczywiście, że cię pamiętam. Kiedy pokazali cię w telewizji, powiedziałem: „Czy to nie ona była tu u nas i uganiała się za Darrenem?” Matka powiedziała, że mam rację.

Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Nie dość, że pan Smith zapamiętał mnie jako tę, która „uganiała się” za Darrenem, to jeszcze moje najgorsze obawy się potwierdziły — Smithowie widzieli program.

— I widziałem twoje zdjęcie w gazecie. Cudownie.

— Cóż, dzwonię... trochę to niezręczne, ale widzi pan, muszę porozmawiać z Darrenem, a nigdzie nie mogę go znaleźć.

— Aha.

— I... hm... tak sobie pomyślałam, że może państwo wiecie, gdzie on jest.

— Aha.

— A jeśli tak, to czy moglibyście mi powiedzieć. — Krzyżuję palce na szczęście. Prawdę powiedziawszy, trzymam je skrzyżowane od dobrych kilku dni, co zdecydowanie utrudnia mi podniesienie filiżanki z kawą, a zupełnie uniemożliwia zasznurowanie tenisówek.

— Hm, to zupełnie co innego. Nie wiem, czy mogę to zrobić. Zapytam matki.

Matka! — drze się na całe gardło.

Oczami wyobraźni widzę, jak pani Smith nadciąga korytarzem, emanując zapachem proszku do pieczenia i wściekłością. Dygoczę ze strachu i prawie odkładam słuchawkę. Jeżeli jednak to zrobię, w życiu nie odnajdę Darrena. Pani Smith przysłania dłonią mikrofon, wyraźnie słyszę jej pełne nienawiści mamrotanie: „Nieźle z niej ziółko, bezczelne dziewuszysko, dam jej za swoje”. Strach dosłownie mnie paraliżuje i choćbym chciała, teraz już nie mogę się rozłączyć.

— Tak?! — warczy do słuchawki. — Kto mówi?!

— Cas Perry — ledwie zdołałam wykrztusić.

— Kto? — udaje, że nie wie.

— Cas Perry, znajoma Darrena — mówię z wahaniem.

— Ha! Znajoma, też coś! — Nie kryje oburzenia.

— Proszę pani, mogę sobie wyobrazić, jak bardzo zła pani jest...

— Och, czyżby? — prychna pogardliwie. — Szczerze wątpię.

— Mimo to naprawdę muszę porozmawiać z Darrenem — nalegam.

Po drugiej stronie zapada cisza. Niemal słyszę, jak myśli kotłują się jej w głowie.

— Nie pomogę pani.

W telefonie zalega cisza, a ja zostaję ze świadomością, że nikt nie chce ze mną rozmawiać.

Zastanawiam się, czy Darren jest w Whitby? Może właśnie grał na podwórku w piłkę z Richardem. Nieświadomy, że pełnę po drutach telefonicznych, za wszelką cenę starając się z nim skontaktować. A może wiedział doskonale, że dzwonię, tylko jego to już nie obchodzi.

Sobota jest słoneczna i upalna. Radosne promienie słońca wlewają się przez okna. Marzyłam, że w dzień mojego ślubu właśnie przy takiej pogodzie się obudzę; lecz dzisiaj słońce kpi sobie ze mnie. Zaciągam żaluzje. Rozglądam się po mieszkaniu w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym się zająć przez następne pięćdziesiąt lat. Kilka ostatnich upłynęło mi na porządkowaniu, układaniu i planowaniu każdej najdrobniejszej dziedziny mojego życia. W kuchni opakowania płatków śniadaniowych ustawione są według wielkości, od największego do najmniejszego. Majtki w szufladzie ułożone są kolorami i według daty zakupu, kosmetyki podzielone na grupy — do twarzy, do ciała, do rąk, następnie uporządkowane zgodnie z marką. Płyty kompaktowe stoją w porządku alfabetycznym. Gdziekolwiek się obejrzę, panuje ład i porządek, dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Cóż za ironia, że w jednej sekundzie potrafię znaleźć listę osób, do których wysłałam życzenia świąteczne w 1995 roku, natomiast nie mam zielonego pojęcia, gdzie podziwiera się mój własny narzeczony.

Nadszedł czas, by posprzątać sobie to, co mam w głowie. Sporządziłam listę rzeczy, które poszły nie tak. Lub raczej rzeczy, które schrzałam. Do sprawy podeszłam metodycznie, dzieląc swoje zbrodnie na kategorie: „Darren”, „mama”, „przyjaciele”, „praca”, „kochankowie” i „ogólna”, obejmująca wszystko. Przez wszystkie przewija się w zasadzie jedno i to samo. Najważniejszy zawsze był dla mnie święty spokój i samolubnie robiłam wszystko, aby go osiągnąć, bezwzględnie nie licząc się z uczuciami innych. Co gorsza, sama przed sobą się usprawiedliwiałam, żywiąc urazę do rodziców, że mieli czelność podejmować własne decyzje i żyć tak, jak im się podobało. Przypomina mi się pytanie, które zadała kiedyś Fi, gdy w jakimś ponurym pubie obie pod wpływem alkoholu przestałyśmy się kontrolować: „Nie mogłabyś po prostu, czy ja wiem, radzić sobie jak my wszyscy?” Tak, patrząc na to dzisiaj, wiem, że mogłabym. I powinnam była. W końcu nie raz nadarzała się okazja. Dlaczego nie widziałam, że matka uczyła mnie, jak kochać, a nie panować nad sobą? Kochała mnie tak bardzo, że przez wszystkie te lata zawsze stawiała mnie na pierwszym miejscu. Dlaczego miałam do niej o to pretensje i uważałam, że wywiera na mnie presję? Miałam

cudownych przyjaciół i jak im się odwdzięczyłam? Wobec Issie byłam apodyktyczna, Josha wykorzystywałam i upokorzyłam. W tej chwili nasza przyjaźń z Issie ledwo się trzyma i jeżeli chcę, aby przetrwała, muszę nauczyć się postępować uczciwie i szczerze. Josha, najdroższego przyjaciela, straciłam na zawsze. Doprawdy nie wiem, czy i jak uda nam się kiedykolwiek z tego otrząsnąć. Za bardzo ucierpiała jego duma, mnie zżera wstyd. W pracy głupio i bezmyślnie wykorzystywałam swoją władzę. Zaślepią żądzą osiągnięcia sukcesu za wszelką cenę — a ten zależał od wyników oglądalności i wpływów z reklam — nie widziałam szkód, jakie mój program za sobą pociągał. Przypominam sobie wszystko: szlochającą w naszej recepcji kobietę i farmę jedwabników, która splajtowała, ponieważ jej eksport drastycznie spadł. Zastanawiam się, ilu ludziom bezpowrotnie zniszczyłam życie, emitując *Seks z eks*? Czy postępowałam uczciwie, wtrącając się wraz z milionami widzów w miłość i życie innych? Czy gdyby nie moje wścibstwo, stanęliby szczęśliwie przed ołtarzem? I czy rzeczywiście czekała ich nieuchronna klęska, jak zawsze z uporem twierdziłam? Może podłością było wywieranie na nich tak silnej emocjonalnej presji tuż przed ślubem? Z przerażeniem uświadamiam sobie, że *Seks z eks* miał w pokretny sposób udowodnić, iż mój ojciec był regułą, a nie odstępstwem od niej.

Chełpiłam się, że świetnie umiem sobie radzić z pustką, tak naprawdę jednak nawet mi się nie śniło, co ona oznacza.

Jest mi niedobrze. Wstaję i wychodzę do kuchni, by znaleźć się jak najdalej od przeklętej listy.

Nalewam sobie wody i przykładam zimną szklankę do czoła. Ból na chwilę łagodnieje, wiem jednak, że wszystkie moje poczynania przypominają zachowanie stewardesy, która pyta: „Stek czy pieczony kurczak?” na chwilę przed katastrofą samolotu.

Biorę do ręki pióro. Moi byli kochankowie. Większość z nich nie miała co do mnie żadnych złudzeń. Nie prowadziliśmy ekliwych rozmów o kwiatkach i serduszkach. Wszyscy byli na ogół żonaci albo mieli stałe dziewczyny. Zależało im na szybkim, pozbawionym zobowiązań seksie i ja dawałam im to, czego oczekiwali. Czy jednak żony i narzeczone były wtajemniczone w nasz układ? Wysoce wątpliwe. Zaczynam się zastanawiać, ile kobiet cierpiało, znajdując mój numer telefonu nabazgrany na skrawku papieru. I ilu mężczyzn, zwłaszcza tych samotnych, ze zdziwieniem i przykrością nie mogło się doczekać telefonu ode mnie. Czy możliwe, że Issie nie myli się jednak, twierdząc, że mężczyźni także mają uczucia? Myślę o Darrenie, myślę o Joshu. Tak, nie tylko możliwe, ale i prawdopodobne, że jednak coś czują.

Moja elegancka lista z wolna przybiera postać mapy umysłu, ze strzałkami i kółkami, jak diagramy Venna łączące ze sobą różne działania. Spoglądając na ilość tuszu, jaki w ciągu tych kilku godzin zużyłam, przestaję się dziwić, że Darren odszedł. Nie zasługuję na niego.

Tak mi przykro. Nie tylko dlatego, że ściga mnie prasa, program mnie obnażył, a wszyscy w tym kraju — z Darrenem na czele — nienawidzą mnie. Jest mi przykro, ponieważ się pomyliłam.

Nie zasługuję na Darrena, ale on zasługuje na wyjaśnienie. Muszę go znaleźć.

Dzwoni telefon i rzucaam się, by go odebrać.

— TojaIssie — mówi Issie szybko, żeby oszczędzić mi złudzeń, że to Darren. Wie, że oddałabym wszystko, byleby tylko się odezwał. — Nie wiedziałam, czy mogę zadzwonić.

— Bardzo się cieszę. — Naprawdę. Nawet sobie nie wyobraża, jak wdzięczna jej jestem, że już po dwóch godzinach przeszło jej nastawienie „wkurzyłaś-mnie-niebotycznie-pocałuj-się-w-dupeę” i przestała być na mnie aż tak wściekła. To chyba jedyna dobra strona całej tej afery. Issie nie mogła się odwrócić ode mnie w chwili, gdy potrzebuję jej najbardziej; to, że cały świat czuje do mnie pogardę i niechęć, tylko umacnia jej oddanie.

— Zadzwonił?

— Nie.

— Myślisz, że zadzwoni?

— Tak.

— Niby czemu miałby to robić?

O, zdaje się, że jestem w poważnych tarapatach. Jeżeli Issie, ostatnia stąpająca po tej ziemi romantyczka, zawsze przekonana, że tylko happy end jest możliwy, tym razem nie wierzy w szczęśliwe zakończenie, oznaczać to może tylko jedno — większą mam szansę wygrać milion w totka, niż porozmawiać z Darrenem.

— Mówiłam ci, Issie, ja mu ufam. Oświadczył mi się. W życiu by tego nie zrobił wyłącznie na użytek telewizji.

— A ja ci mówiłam, że mógł to zrobić z zemsty. W końcu spałaś z nim przez dwa tygodnie, udawałaś, że jesteś zakochana po uszy, a potem dałaś nogę. Żaden facet na świecie nie ścierpi takiego zachowania. Uraziłaś jego dumę w najczulszym miejscu. Nie sądzisz, że teraz się na tobie odgrywa?

— Issie, wiem na pewno, że nie miał nic wspólnego z programem. — Staram się nie tracić cierpliwości, ale zmiana mojej osobowości nie była aż tak całkowita, bym spokojnie mogła słuchać, jak ktoś krytykuje Darrena. — Issie, a może spytałabyś Josha, czy według niego Darren maczał w tym wszystkim palce. Josh musi wiedzieć. — Specjalnie kładę taki nacisk na „Josha”; może jeżeli uda mi się skupić uwagę na zbrodni, której dopuścił się mój niedoszły małżonek, zapomni o Darrenie.

— Chcesz, żebym to dla ciebie zrobiła? — pyta uradowana.

— Nie dla mnie, tylko dla siebie, żebyś uwierzyła w Darrena. Mnie nikt nie musi przekonywać.

Zapada wymowna cisza. W obrażaniu się Issie nie dorasta mi do pięt. Nie zdążę doliczyć nawet do trzech, gdy wyciąga gałązkę oliwną.

— No dobrze, zakładając, że masz rację i Darren rzeczywiście zupełnie nieświadomie przyczynił się do twojego upokorzenia, wytłumacz mi, czemu tak nagle przepadł bez śladu?

— Jezu, Issie, przecież to oczywiste. Myśli, że to ja jego wystawiłam.

— Och.

Issie jest zbyt prostolinijna, by udawać, że nie rozumie, skąd podobne podejrzenie mogło mu przyjść do głowy. I nawet nie ma mu tego za złe.

— Powinłam była mu powiedzieć, że jestem zaręczona! — wyrzucam sobie.

— Co w takim razie zamierzasz zrobić teraz?

— Dobre pytanie. Muszę z nim porozmawiać, ale szukałam go wszędzie. W domu, pracy, w pubach. Chodziłam po ulicach, ale wszystko na nic. Londyn to wielkie miasto, Anglia jest jeszcze większa.

— Cóż, z geograficznego punktu widzenia nie są znowu aż takie wielkie...

— Kolosalne, jeżeli szukasz kogoś, kto nie chce, żeby go znaleźć.

— Może wcale nie ma go już w kraju. Mógł wyjechać za granicę. Może być dosłownie wszędzie.

Zastanawiam się, czy posada pocieszyciela Hioba wolna jest również w innej czasoprzestrzeni, ponieważ Issie ma wszelkie niezbędne kwalifikacje.

Wzdycham. Ma rację. Nagle wydaję się sobie taka malutka, a świat ogromny.

— Issie, ktoś dzwoni na drugiej linii. Rozłączę się z tobą dobrze? — Obie wiemy, że mam nadzieję usłyszeć głos Darrena. I obie wiemy, że tak się nie stanie.

— Dobra. Zadzwoń wieczorem — mówi Issie.

— Halo. — W słuchawce rozlega się cienki głosik. Słyszac, że to kobieta, walczę z ogarniającą mnie rozpaczą starając się jednocześnie gdzieś go umiejscowić.

— Linda?

— Tak. Cześć, Cas. — Głos ma zdenerwowany i wydaje się młodsza, niż jest w rzeczywistości.

— Linda, tak się cieszę, że dzwonisz.

— Och, naprawdę? Wiem, że nie powinnam z tobą rozmawiać.

— Ależ nie, powinnaś, i to jak najbardziej — staram się ją przekonać. — Lindo, wiem, że z waszego punktu widzenia cała ta sprawa wygląda koszmarnie. Zrobiłam w życiu wiele złych

rzeczy, ale musisz wiedzieć, że nigdy bym podstępnie nie zwabiła Darrena do programu. — Mówię szybko, bo jak sądzę, mam bardzo niewiele czasu, żeby ją przekonać. Boję się, że w każdej chwili może odłożyć słuchawkę.

— Wiem — mówi cichutko.

— Naprawdę? — Odczuwam tak wielką ulgę, że przez chwilę nie mam siły mówić dalej. Boże, nareszcie ktoś mi wierzy.

— Powiedziałam mamie, że kochasz naszego Darrena. Ale mama powiedziała, że tak mówię, bo mam dopiero siedemnaście lat. Poza tym nikt nie wierzy, że możesz go kochać.

— Linda, ty masz rację. Absolutną rację. Ja naprawdę kocham Darrena — powtarzam histerycznie. Bardzo to dla mnie ważne, żeby mi uwierzyła.

— Mama powiedziała, że nie wolno mi do ciebie dzwonić.

— Rozumiem.

— Chodzi o to, że wczoraj dzwonił Darren i wspomniał, że być może dzisiaj wybierze się do Muzeum Historii Naturalnej, i pomyślałam sobie, że może mogłabyś...

— Linda, Linda, jesteś cudowna. Uwielbiam cię! — krzyczę do telefonu. No jasne, przecież to jego ulubiony budynek. Tam zawsze chodzi, gdy musi sobie coś przemyśleć. Nagle staje mi przed oczami dziecienny pokój Darrena. Jaskinia Aladyna połączona z wyspą skarbów i kryjówką Batmana. Z milionem książek, kartonowych modeli, ekosystemem Meccano i Drogą Mleczną wymalowaną na suficie. — Dziękuję ci, Lindo. Dziękuję ci z całego serca. Uwierz mi, zrobiłaś najlepszą rzecz na świecie. Kocham cię, Lindo! — Rzucam słuchawkę, chwytam klucze i jak burza wypadam z mieszkania.

Biegnę do metra, moje kroki dudnią po chodniku, serce wali mi jak oszalałe, krew pulsuje w skroniach. Biegnę przez całą drogę aż do Tower Hill Station. Mijam rozweselone grupki ludzi popijających na ulicy piwo; widząc mnie zlaną potem i bez sportowego stanika, gwizdzą i pokrzykują. Biegnę dalej. Normalnie pokonuję osiem mil dziennie na siłowni, od osławionego „programu” nie robiłam tego ani razu. Przestałam nie ze strachu przed wytykaniem mnie palcami (w naszej siłowni ziółka widziane są znacznie milej niż zwykle osoby ze świecznika — recepcjonistka dosłownie dostaje orgazmu na widok Jeffreya Archera trenującego na sztucznej bieżni); po prostu brak mi motywacji. Przez cały czas szukam Darrena. Nic dziwnego więc, że teraz sapię jak lokomotywa. Zresztą nie tylko w gwałtownym spadku kondycji należy dopatrywać się źródeł zadyszki. Jej powodem jest też podekscytowanie. Nadzieja. Że może. Niewielka szansa. Ale jest.

Na stacji okazuje się, że wybiegłam z domu w tak wielkim pośpiechu, że zapomniałam torebki. Od kiedy stałam się taka roztrzepana?

— Czy może mi pan dać bilet? Bardzo proszę. — Uśmiecham się czarująco najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.

— Dokąd?

— South Kensington.

— Funt osiemdziesiąt.

— Nie mam pieniędzy. — Uśmiech tkwi przyklejony do mojej twarzy.

Kasjer prycha lekceważąco.

— Nie jesteśmy organizacją charytatywną.

— Błaaaagam. To naprawdę bardzo pilne. Koniecznie muszę się dostać do South Ken. — Grzeczny, acz zdecydowany ton zmieniam na błagalny. Facet jest niewzruszony.

— Proszę się przesunąć. Klienci czekają. Tacy, co mają pieniądze.

Nawet nie drgnę.

— Błaaaagam.

Chyba zaraz się rozplaczę. Tyle lat powstrzymywałam łzy, teraz jednak boję się, że za chwilę utoną w prawdziwej ich powodzi. Kasjer nawet na mnie nie patrzy.

— Nie ma pieniędzy, nie ma biletu. Spadaj.

Okazuje się to przysłowiową kroplą która przepełniła dzban. Moim ciałem zaczyna wstrząsać gwałtowny, niepohamowany szloch. Nie wiem, skąd się dobywa, może z nosa albo uszu, bo z ust z całą pewnością nie.

— Muszę się tam dostać. On tam jest. On tam jest — łkam, co z wielu względów jest idiotyczne. Przede wszystkim pracownik metra nie ma najmniejszego pojęcia, kim jestem ani tym bardziej, kim jest „on”, zresztą guzik go to obchodzi. Poza tym nie mam pewności, czy faktycznie znajdę Darrena w muzeum. Rękaw mam obsmarkany, na policzkach rozmazany tusz do rzęs, oślepiają mnie łzy, strach, żal, zdenerwowanie, ból i poczucie straty. Osuwam się na ziemię. Dłużej już tego nie zniosę. Nie mam siły na nic. Latami udawałam obojętność, potem zaczęło mi zależeć, co doprowadziło mnie wprost w objęcia bezdennej rozpacz. Za wiele tego. Życie bez Darrena mi nie wystarczy.

— Ja za nią zapłacę. — Słyszę, jak ktoś mówi z przeciągłym, amerykańskim akcentem. — Wygląda na to, że jest w prawdziwej potrzebie.

Aż się boję pomyśleć, że ktoś okazuje mi życzliwość. Po ostatnich atakach, które zewsząd mnie spotykały, straciłam już nadzieję. Mogę jedynie przypuszczać, że ten facet dopiero co przyjechał do Anglii albo w ogóle nie czyta gazet. Mój dobry samarytanin klęka przy mnie, wśród niedopałków i pogniecionych puszek. Na pewno nie przychodzi mu to łatwo, bo wygląda na gościa, który ceni sobie dobre śniadanka, lunche i obiadki.

— Hej, nie jesteś przypadkiem tą dziewczyną z telewizji? — szepcze, podając mi bilet.

— To nie było tak — bronię się przez łzy.

— Nic nigdy nie jest. — Gramoli się z klęczek i wyciąga do mnie rękę. Przyjmuję ją z wdzięcznością. Nie wiem, czy sama dałabym radę wstać.

— Chyba nie jest pan dziennikarzem? — pytam z lękiem.

Kręci przecząco głową i znika wśród tłumu ludzi głodnych londyńskich widoków.

Zastanawiające. Spoglądam w górę i zauważam monitorującą kamerę. Może to kolejny podstęp. A facet był podstawiony.

Muszę się wziąć w garść. Przecież tylko Linda wie, dokąd się wybieram. A ona nigdy by mnie nie wystawiła do wiatru.

Ale ktoś mógł mnie śledzić. Wciąż jeszcze mam płytki, przyspieszony oddech. Facet wyglądał uczciwie. Choć to nieprawdopodobne, myślę, że po prostu bezinteresownie spełnił dobry uczynek. Nie ma sensu dłużej się nad tym zastanawiać. Kasuję bilet i gnam na peron.

Na widok piaskowo-szarego budynku Muzeum Historii Naturalnej serce zaczyna mi bić szybciej. Pozwalam sobie na cień nadziei, że może jednak go w nim znajdę. Dociera do mnie, że

znowu będę musiała jakoś rozwiązać problem pieniędzy. Przy kasie kłamię, że ktoś mi ukradł torbę. Pracownicy są zbyt grzeczni, by roześmiać mi się prosto w twarz.

— Czy zgłosiła pani kradzież? — pyta wielki, typowo londyński typ.

— Nie — przyznaję. — Ale na pewno to zrobię.

— Po tym, jak obejrzy pani *Tyrannosaurus rex*?

— Tak.

— Oczywiście.

Moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu, ostatnie wydarzenia mocno nadwreżyły mi jej zasoby, ale jakoś zbieram się w sobie i udaje mi się przekonać pracowników, by pozwolili mi zadzwonić do Issie. Issie podaje im numer swojej karty kredytowej i w końcu dostaję bilet.

Nieomal biegiem pokonuję obrotową bramkę i gnam w stronę galerii. Tam i z powrotem pokonuję trzy kondygnacje schodów, nieustannie rozglądając się na wszystkie strony. Przebiegam wielkie korytarze, zaglądam do każdej z sal wystawowych i restauracji. Widzę niezliczone odrażające stwory z rozpostartymi skrzydłami, widzę skamieliny, wypchane orły i tygrysy. Marzenie każdego wypychacza zwierząt. Nigdzie tylko nie widzę Darrena. Sprawdzam, czy nie ma go przy ekspozycji kryształów, w dziale ssaków, dinozaurów. Mam okazję obejrzeć każde możliwe zwierzę, warzywo i minerał w poszczególnych etapach rozwoju, dojrzałości i rozkładu, wszystko z wyjątkiem Darrena. Wszystko to oglądam dwukrotnie. Po półtorej godziny gorączkowych i bezowocnych poszukiwań wracam do głównego holu. Poza tym, że co rusz ktoś dziwnie mi się przyglądał, a uwagę przyciągam wszystkich bez wyjątku, moja pogoń za cieniem nie przyniosła żadnych rezultatów.

Czego należało się w zasadzie spodziewać.

Siadam pod szkieletami dinozaurów, otoczona gotyckimi arkadami i podekscytowanymi głosami, czytającymi w obcych językach z przewodników. To doprawdy niesamowite. Przeszukałam cały budynek, tu go nie ma. Jak idiotka chwyciłam się złudnej nadziei, że jednak będzie. Dlaczego nie wypytałam Lindy dokładniej? Na przykład o której godzinie zamierzał przyjść? Czy chciał obejrzeć coś konkretnego? Tak byłam szczęśliwa ze zdobycia tego strzępa informacji, że nie doprowadziłam sprawy do końca jak należało. Do Lindy nie mogę zadzwonić. Dziewczyna może mieć poważne kłopoty, jeśli jej matka się dowie, że kontaktowała się ze mną. Czuję się otępiała i bezsilna. Gargulce muszą wiedzieć o wszystkim, bo wyglądają tak, jakby się ze mnie naśmiewały. Muszę się spokojnie zastanowić.

Idę do toalety. Jak zwykle w kolejce czeka tłum kobiet z pęcherzami wielkości orzeszków ziemnych. Stoję pogrążona w apatii, zbyt wyczerpana, by wiercić się niecierpliwie czy kogokolwiek poganiać. Dostrzegam w lustrze swoje odbicie i doznaję głębokiego szoku.

Spuszczam wzrok i szybko wychodzę. Moja nowa fryzura nie wymaga zbyt wielu zabiegów; wystarczy tylko przeczesać ją grzebieniem, nałożyć trochę żelu i roztrzepać włosy palcami, by zlikwidować ślady czesania. Mimo to te drobne skądinąd zabiegi wyleciały mi z głowy, więc włosy mam potargane i zmierzwione. Od czasu programu rzadko też pamiętałam, że dobrze byłoby się przebrać, umalować czy coś zjeść. Zawsze byłam szczupłą, ale teraz wyglądam jak kościotrup. Do tej pory zgadzałam się w pełni z Wallis Simpson, widząc się jednak dzisiaj, zrozumiałam, że mimo wszystko kobieta może być za chuda. Żeby zabić uczucie głodu, zająć czymś ręce i uspokoić się, nieustannie paliłam. Moje ubranie i włosy przesiąknięte są zapachem petów. Skórę mam poszarzałą, a oczy głęboko zapadnięte. Wyglądam jak ludzka popielniczka. Spryskuję twarz zimną wodą po czym postanawiam wrócić do dinozaurów; one przynajmniej wyglądają jeszcze gorzej ode mnie.

Przez trzy godziny snuję się po galeriach i choć muszę przyznać, że ryby, gady i płazy bez wątplenia same w sobie są nad wyraz interesujące, z Darrenem nie mogą się równać. Dowiaduję się, że dinozaury pojawiły się na ziemi 230 milionów lat temu, wyginęły przed 65 milionami lat. W głowie mi się to nie mieści. Nie widziałam Darrena zaledwie od tygodnia, a mam wrażenie, że to cała wieczność. Dowiaduję się także, że żyły na lądzie, nie potrafiły latać i chodziły na sztywno wyprostowanych nogach. Zastanawiam się, czy nie napisać w tej sprawie do szefa redakcji filmowej w studiu, bo chyba widziałam jakiś film o latających dinozaurach, ale raczej mi się nie chce. Zwiedzam galerię poświęconą biologii człowieka, gdzie oglądam film o rozmnażaniu i rozwoju płodu, na widok czego robi mi się niedobrze — jednak nie z powodu krwi, lecz że mam oto przed sobą dowód, iż miłość, dawanie życia i samo życie to coś wyjątkowego i cudownego. Z westchnieniem spoglądam na zegarek. Pół do piątej. Jestem głodna. Postanawiam jeszcze raz zwiedzić Galerię Życia, a potem, choć niechętnie, wrócić do domu. Zrobię sobie makaron.

Galeria Życia jest naprawdę wspaniała. Chodząc po niej, człowiek uświadamia sobie, że każde jedno zwierzę, roślina czy człowiek to element składowy wielkiego, złożonego systemu. Można tu obejrzeć niesamowite hologramy atmosfery, hydrosfery i litosfery, z efektami specjalnymi. Jest odtworzony fragment lasu zwrotnikowego, z odgłosami imitującymi deszcz i świergot ptaków. Jest kawałek oceanu i wybrzeża, gdzie słychać szum fal i krzyki mew.

Whitby.

On.

Może to moja wyobraźnia, ale wydaje mi się, że czuję zapach morza.

Romantyczny nastrój psuje nieco wypchany wąż i królik w stadium rozkładu.

Przechodzę przez sekcję szalejących huraganów i zmierzam ku rozlegającej się ostrej muzyce dzwonek, podobnej do tej, którą można usłyszeć na targu w Camden albo w komorach

wypornościowych. Ciemnym korytarzem dochodzę do miejsca, w którym specjalnie ustawione lustra odbijają i załamują światło, dając złudzenie, że spod ziemi ogląda się hydrosferę. Nie kończący się cykl wodny, we wszelkich swoich postaciach — wody, pary, lodu. Niezbyt to wszystko rozumiem. Ale ogromne, srebrne hologramy robią niesamowite wrażenie.

Darren.

Nagle są go całe setki. Widzę go, widzę Darrena. Jest tuż obok mnie, z prawej strony. I z lewej, też obok. Wyciągam rękę, by go dotknąć, ale trafiaam w próżnię. *W i d z ę* go. Jest przede mną i za mną. Podnoszę głowę i nad sobą też go widzę. Nagle znika.

Brak mi oddechu, płuca mam puste. Zaraz się uduszę. Oddech powraca, powalając mnie niemal na ziemię.

Był tutaj. To był on. Staram się zorientować, gdzie naprawdę stał, a co było tylko jego cieniem, zwykłym odbiciem w lustrze. Nie wiem. Ale są tylko dwie drogi, którymi mógł odejść — z powrotem do lasu zwrotnikowego lub do części, gdzie mieści się wystawa *Ziemskie widoki*.

Obrzydliwe stwory czy zagubiony w przestrzeni?

Rzucam się ku *Ziemskim widokom*. Ponad sześcioma posągami przedstawiającymi różne aspekty życia na ziemi, pomiędzy dwoma gigantycznymi ścianami majestatycznie obraca się monumentalna rzeźba przedstawiająca Ziemię. Ściany prezentują układ słoneczny i nocne niebo. Zderzam się z zagraniczną szkolną wycieczką, której wszyscy uczestnicy są jednakowo głośni, uszczęśliwieni i podekscytowani. Ubrani na niebiesko zlewają się w jednolitą masę plecaków, pryszczycy i końskich ogonów.

On jest przed nimi.

Wjeżdża gigantycznymi schodami ruchomymi, biegnącymi pomiędzy planetami naszego układu słonecznego.

Nie mam czasu na kultywowanie angielskich tradycji. Cisnę się, pcham i potracam każdego zagradzającego mi drogę uczniaka. Zewsząd rozlegają się pełne oburzenia protesty.

— Hej, proszę pani, obowiązuje kolejka.

Próbują mi przeszkodzić i nie pozwolą przejść, ale ich usiłowania są żalosne wobec potęgi mojej miłości i siły, jaka budzi się we mnie pod wpływem paniki.

— Przepraszam, ale źle pani idzie.

Nieprawda. Wreszcie idę tak, jak trzeba. Nie odrywam oczu od głowy Darrena. Nie wie, że idę za nim, a ja go nie wołam.

Gdyby zdecydował się umknąć, mogłabym nie pokonać dzielącej nas przeszkody w postaci tłumy małolatów. Schody wznoszą się pomiędzy miedzianymi blachami, mającymi imitować wnętrze Ziemi, przy akompaniamencie hinduskiej muzyki świadczącej jedynie o złym guście

kustosza. W iście żółtym tempie mijam trzy kolejne gwiazdy. Nerwy mam napięte jak postronki i choć gnana niecierpliwością przepchnęłam się przez sporą liczbę zwiedzających, natknęłam się w końcu na przeszkodę nie do pokonania. Przedemną ustawilo się jakieś babsko z wózkiem dla bliźniaków i jedyne, co mogłabym zrobić, to wdrapać się na nią. Tak więc utknęłam.

Dojeżdżam wreszcie na górę i skręcam w prawo, idąc za Darrenem pomiędzy wybuchającymi wulkanami i trzęsieniami ziemi.

— Darren! — wrzeszczę. — Darren!

Lecz mój głos, normalnie silny i doniosły, w starciu z hukiem klęsk żywiołowych i paplaniny czwartoklasistów przegrywa z kretesem.

— Darren!

Odwraca się.

W pierwszej chwili, z powodu nowej fryzury i niezwykłego jak dla mnie zaniedbanego wyglądu, nie poznaje mnie.

— Cas?

Gdy w końcu mnie rozpoznaje, na jego twarzy maluje się najpierw zaskoczenie, potem niedowierzanie, radość i wreszcie irytacja, która już w nic innego nie przechodzi.

— Co za zbieg okoliczności.

Stawia swój plecak na ziemi i krzyżuje ramiona na piersiach. Mój mózg odczytuje to jako sygnał: „bliżej nie podejdę”. Na widok jego prężących się mięśni miękną mi kolana.

— Niezupełnie. Szukałam cię. — Nie wspominam, że do muzeum trafiłam dzięki Lindzie. Nie chcę, żeby miała z mojego powodu kłopoty. — Kręcę się tu od wielu godzin — dukam. Patrzy na mnie zdumiony. Kuję żelazo póki gorące. — Przez cały tydzień szukałam cię w każdym miejscu, jakie mi tylko przyszło do głowy. — Milknę i drapię się po nosie. Rozglądam się w poszukiwaniu jakiegoś bardziej odpowiedniego do rozmowy miejsca. Darren rozgląda się także. Ciekawe, czego szuka.

— Gdzie są kamery? Aha, więc o to chodzi.

— Nie ma żadnych kamer, przynajmniej ja nic o tym nie wiem — dodaję zdenerwowana.

Prycha, na poły pogardliwie, na poły z niedowierzaniem. Muszę się bronić.

— Słuchaj, ja naprawdę nie miałam z tym wszystkim nic wspólnego.

— Czyżby?

Nie mówi nic więcej, ale nawet chyba półgodzinna tyrada nie oddałaby lepiej obrzydzenia i sarkazmu, które zawarł w tym jednym słowie.

— Wiem, że kiepsko to wypadło...

— Kiepsko! — wrzeszczy, ściągając na siebie zaciekawione spojrzenia rozwydrzonych bachorów. — Ja bym to inaczej ujął. To było podłe, niemoralne, wredne. Zrobiłaś ze mnie dupka, kompletnego kretyna, załatwiłaś mnie... — krzyczy dalej, ale jest tak wściekły, że się zacina. — Zraniłaś mnie. Nie mogę uwierzyć, że ty, nawet ty, mogłaś upaść tak nisko. Przespałaś się ze mną, żeby dostarczyć rozrywki widzom. I dla ich przyjemności przyjęłaś moje oświadczenia. Co z ciebie za potwór? Naprawdę, nie mogę w to uwierzyć! — Na jego ustach pojawiają się kropelki śliny, a twarz ma wykrzywioną bólem.

Jest wspaniała.

— Więc nie wierz, bo to nieprawda. Nie miałam pojęcia, że jesteśmy filmowani.

Próbuję go dotknąć, on jednak odsuwa się gwałtownie, jakbym była zadżumiona.

— Zareczyłaś się z Joshem! — kipi ze złości.

— Tak — przyznaję po prostu, opuszczając rękę.

— Byłaś zareczona i nie wspomniałaś o tym ani słowem?! Wciąż krzyczy, a wokół nas zaczyna się zbierać coraz większy tłumek ciekawskich. Chyba nawet tego nie zauważa. Nauczycielka bez skutku próbuje odciągnąć dzieci. Słusznie czyni — takie rzeczy można oglądać tylko pod nadzorem rodziców; wulgarny język i groźba użycia przemocy.

— Cóż, hm, myślałam o tym. Ale...

— Ale przyjęłaś moje oświadczenia?

— Tak. Ale nie okłamałam cię. Miałam ci powiedzieć... — Brzmi to wszystko pokrętnie, nawet dla mnie.

— Kiedy? Przed czy już po ślubie z Joshem?!

Jest naprawdę wściekły. Broczy, co prawda nie krwią, ale bólem i napięciem. Jego twarz to miliardy zdenerwowanych cząsteczek i gdy na niego patrzę, nie dostrzegam jej jako całości. Widzę tylko wykrzywione cierpieniem usta, rozdęte złością nozdrza, zmarszczone z furią brwi. I pełne rozpaczycy oczy.

— Nie miałam zamiaru wychodzić za Josha. Przynajmniej nie po naszym spotkaniu. I naprawdę nie miałam nic wspólnego z programem. — Staram się mówić rozsądnie, nie stracić panowania nad sobą. Przychodzi mi to z trudem. — Kocham cię. Tylko ciebie. Kocham cię, zakochałam się w tobie, kiedy byliśmy w Whitby.

Jakąż ulgę sprawia mi wypowiedzenie tych słów.

— Dlaczego w takim razie zareczyłaś się z Joshem? — Pytanie Darrena skierowane jest do podłogi. Przez chwilę jego gniew osłabł i zastąpił go smutek. Co jeszcze mniej mi się podoba. Biorę głęboki oddech. Wiem, że oto nadeszła moja ostatnia szansa. Choć trudno to nazwać nawet szansą. Starannie dobieram każde słowo.

— Bałam się, że skończę jak moja matka. Albo jak przynajmniej wydawało mi się, że skończyła. Uważałam, że zbyt wiele ryzykuję, zakochując się w tobie. Wiedziałam, że wychodząc za Josha, będę bezpieczna. Kochał mnie o wiele bardziej niż ja kiedykolwiek mogłabym pokochać jego, nie mógłby więc mnie zranić.

— Nie zdawałaś sobie sprawy, jak nieuczciwie z nim postępujesz?

— Nie. — Wzdycham ciężko. Nie mam wyjścia, muszę być szczerą do końca. Lecz prawda nie stawia mnie w dobrym świetle. Gorzej już chyba nie mogłabym się zaprezentować.

— Jezu, Cas, zdajesz sobie sprawę z tego, co właśnie powiedziałaś? — Darren gwałtownie podnosi oczy i mierzy mnie przeszywającym na wskroś wzrokiem. — Josh był jednym z niewielu ludzi, których według mnie naprawdę kochałaś. Patrząc na twój stosunek do niego, czułem się podniesiony na duchu, bo był to dla mnie namacalny dowód, że jesteś zdolna kogoś pokochać, a twój wizerunek twardej suki był tylko na użytek ludzi, udawany. Ale właśnie przed chwilą przyznałaś, że nawet o nim nie myślałaś. Traktowałaś jak jeszcze jednego pionka w twojej grze.

— Sam tego chciał.

— Wątpię, żeby chciał żony, która go nie kocha.

— To nie tak. Ja chyba wtedy po prostu nie wiedziałam, jak kochać. — Staram się odegnąć od siebie tę myśl.

— Cas, słyszałem, co mówiłaś. Widziałem twój program. Powiedziałaś, że seks ze mną, cytuję: „był ryzykowny, sprośny, zuchwały, a przede wszystkim to świetna zabawa”. Jakoś nie słyszałem, żebyś obwieściła światu, że mnie kochasz. Dlaczego? — Nie dopuszcza mnie do głosu, lecz znowu daje się ponieść złości. — Bo mnie nie kochasz. Zrobiłaś to wszystko dlatego, że Josh cię rzucił, studio cię olało, a cała Anglia cię nienawidzi. Wychodzi na to, że jestem twoją jedyną szansą.

— Mylisz się.

— Ile jeszcze razy chcesz mnie kopnąć w tyłek, Cas? Jak długo mam to znosić? Najpierw byłem „zbyt poważny i rodzinny”. Potem zrobiłaś mi wodę z mózgu. I znikłaś. Nie odbierałaś moich telefonów, groziłaś policją. Potem wróciłaś, zwariowałem na twoim punkcie do reszty, zaręczyliśmy się i — jak się okazało — na użytek i ku ucieście twoich widzów.

Cóż, gdy patrzy się na to z takiego punktu widzenia, przyznać trzeba, że wygląda nieciekawie.

— Zachowujesz się jak psychiczna. Skąd mogę wiedzieć, że ta deklaracja to nie kolejny chwyt reklamowy? Jak mam ci ufać?

— Bo wiem, że możesz, jesteś do tego zdolny. Niektórzy mają taki dar i ty do nich należysz.

Skupiam uwagę na zagłębieniu w jego brodzie, na intensywnym kolorze oczu. Patrząc, jak porusza ręką podziwiam idealny kształt nadgarstka. Napawam się tym, bo istnieje duże prawdopodobieństwo, że żadnej z tych rzeczy już nigdy więcej nie ujrzę. Jeżeli on odejdzie, moje życie spowije mrok. Zauważam, że obserwujące nas bachory lada moment rykną śmiechem.

— Czy nie moglibyśmy pójść porozmawiać w jakieś bardziej odosobnione miejsce? — pytam przez zaciśnięte zęby.

— Po jaką ciężką cholere, Cas?! Nasz związek jest własnością publiczną. Posh i Beckham mają więcej prywatności.

Czuję się, jakbym była poddawana jakiemuś sprawdzianowi, pojęcia tylko nie mam z czego. I ponieważ jestem kompletnie nieprzygotowana, tylko całkowita szczerowość może mi ocalić skórę. Uświadamiam sobie, że za moimi plecami znajduje się rekonstrukcja trzęsienia ziemi. Co piętnaście minut cały świat dygocze i z hukiem się wali. Ciekawe, czy Darren, tak samo jak ja, dostrzega ironię sytuacji.

— Darren, tak bardzo się bałam. Pokochałam cię do szaleństwa i to mnie przeraziło. Zajmujesz się ekologią, prawda? Składaniem wszystkiego w całość, żeby mieć pełen obraz? Pomyśl tylko. Pomyśl o moich korzeniach. Przez całe życie widziałam tylko, że z miłości nic dobrego nie wynika. Mój ojciec nie kochał ani mojej matki, ani mnie na tyle mocno, by z nami zostać. Odszedł, łamiąc nam serca. Matka robiła, co mogła, ale jego odejście spowodowało nie tylko kłopoty finansowe. Trzymała na wodzy swoje uczucia albo przynajmniej ich okazywanie. Stała się ostrożna i nieufna. Nikt mnie nie nauczył, jak kochać. Nauczyłam się tylko tego, żeby mieć się na baczności.

— Mieć się na baczności — w porządku. Ale czemu musiałaś być podła?

Nie przerywam sobie.

— Wiem, że to nie uwalnia mnie od winy, ale może przynajmniej częściowo tłumaczy. Jeszcze zanim dorosłam, już wiedziałam, że seks i miłość nie idą ze sobą w parze. Potem przez moje życie przewinął się sznur kochanków, co tylko zdawało się potwierdzać tę teorię. Każdy facet po kolei gotów był mnie oszukać albo posłużyć się mną, by oszukać jakąś inną. Nie chciałam być ofiarą. Nie pozwalałam sobie na miłość. Nawet nie przypuszczałam, że jestem do niej zdolna.

Czuję się, jakby moje ciało przebijał rozżarzony pręt, ale przynajmniej udało mi się skupić na sobie uwagę Darrena, podobnie jak wszystkich uczniów klasy czwartej ze szkoły w Sprogsville. Dokąd to zmierza? Jak mam mu powiedzieć, że miłość do niego wydawała mi się czymś najgorszym, co może mnie spotkać, ale jednocześnie najlepszym? Że w młodości wyciągnęłam wiele błędnych wniosków? Dzisiaj wiem, że aby wyglądać jak Barbie, musiałabym mieć w talii pięćdziesiąt centymetrów, nogi długie na metr, a głowę wielkości piłki plażowej. Że pierścionki ze

spaghetti nie są najbardziej wyszukany danie na świecie, a Donny Osmond wcale nie jest seksowny.

Że szczęście płynące z miłości jest możliwe.

Dostrzegam, że kołnierzyk koszulki mam kompletnie mokry. Dotykam twarzy i czuję, że płaczę. Wielkie jak groch łzy płyną mi z oczu takim strumieniem, że cała jestem przemoczona.

— Przykro mi, że tyle czasu trwało, zanim to do mnie dotarło, ale dowiedziałam się, że mogę kochać. Nie wystawiłam cię do wiatru. Wiem, co myślisz o programie. I jeśli coś to znaczy, zrozumiałam wreszcie, że miałeś rację. Błagam cię, Darren, uwierz mi. — Nie ma chyba sensu mówić mu, że odeszłam z TV6. Zresztą prawdopodobnie i tak wierzy w to, co wypisują gazety, i jest przekonany, że mnie wywalili. Twarz mi płonie. Serce dosłownie pęka z bólu, jakbym za chwilę miała umrzeć. Staram się odgadnąć jego myśli. Wiem, że będzie się starał zrozumieć, ale czy zdoła? A nawet jeśli, to czy dalej będę go obchodzić? Opiera się plecami o szklaną gablotę. Nie jest to dla mnie dobra wróżba, że musi się o coś wesprzeć. A może jednak?

Pociera oczy zaciśniętymi w pięści dłońmi.

— Uwierz mi — błagam.

Potrząsa głową. Ledwie słyszalnie, prawie szeptem, mówi:

— Chyba nie potrafię. Wybacz mi.

Schyla się, podnosi z ziemi plecak i odchodzi z mojego życia.

Przez cały ubiegły tydzień miały mną żal, strach i rozpacz. W samotności wyłam i płakałam. Światu z trudem pokazywałam spokój i opanowanie, starałam zachowywać się z godnością. Moje życie stało się piekłem, zostałam obnażona i wystawiona na widok publiczny. Obmawiano mnie i odsądzano od czci i wiary. Wszystko to pozbawiło mnie sił, tę resztkę zaś, która mi jeszcze została, zużyłam na próbę przekonania Darrena.

Łup!

Nagle ogarnia mnie szaleństwo, mieszanina pasji i gniewu. Złość przepełnia mnie całą i wybucha z niepohamowaną siłą. Nie przypomina przedmiesiącckowej bestii, która raz na miesiąc przez trzy dni szaleje w moim ciele. Nie jest to też zajadła furia, w którą wpadałam, gdy oglądalność nie osiągała zadowalających wyników lub gdy asystentka producenta wyskakiwała z kretyńską decyzją. Ani irytacja, jaką odczuwałam, kiedy Issie pakowała się w romans z kolejnym dupkiem. Nie ma też nic wspólnego z pogardliwym rozdrażnieniem, gdy Josh znowu postanowił wystawić do wiatru jakąś biedną lalunię. Mój gniew jest... pełen cierpienia. Zdenerwowanie i ból zaczynają osiągać szczyt w skali Richtera. Wypełniają żołądek, płuca, serce, by eksplodować — niczym powietrzna trąba — w głowie.

— Więc to tak, Darrenie?! — wrzeszczę. — Tak niewiele trzeba, żeby szlag trafił twoją tak zwaną miłość?!

Odwraca się ku mnie gwałtownie.

— Hej, to było podłe!

Nie potrafię być dłużej rozsądna. Ogarnia mnie prawdziwe szaleństwo. Nie wiem, jak mam zapobiec nieuniknionej, niepotrzebnej katastrofie.

— Przez całe życie byłeś kochany i uwielbiany. Hołubiony. Otaczany opieką. Ciągłe ci powtarzali, że należy wierzyć w ludzi. I co? Napotykasz pierwszą poważną przeszkodę i rejterujesz? Myślałam, że stać cię na więcej. Bo stać cię na więcej. Jak śmiesz mnie teraz zostawiać?!

— Z całej siły tupię prawą nogą. — Jak śmiesz mi nie ufać?!

Stoi tak blisko mnie, że kiedy krzyczę, kropelki mojej śliny opryskują mu twarz.

— Niech ci będzie, może i zajęło mi to trochę czasu, ale wierzę w miłość i wiem, że spośród miliardów ludzi na całym świecie ty jesteś tym jedynym, z którym powinnam być! — Mierzę w niego oskarżycielsko palcem i mam ochotę znowu tupnąć nogą, i obdrzeć go ze skóry... Tyle jest we mnie wściekłości, że sama już nie wiem, jak dać jej upust. — Przestałam się bać tych wszystkich „a co, jeśli”. I wiem, że nie jesteś moim ojcem. I wiem, że nie powinnam mierzyć wszystkich jedną miarą. — Włoski na szyi jeżą mi się złowrogo. Do oczu bezustannie napływają strumienie łez. — I przykro mi, że tylu ludzi w przeszłości skrzywdziłam, zanim odzyskałam rozum. Tak bardzo mi przykro. Ale spróbuj mi zaufać. Naprawdę nie robię tego dla tej pierdolonej, gównianej, przeklętej oglądalności.

Obawiam się, że nawet gdybym skończyła elitarną szkołę, to — zważywszy na okoliczności — miałabym kłopoty ze znalezieniem właściwych słów. Nerwy puszczają mi ostatecznie i teraz tupię nogą z całej siły, mocniej i mocniej, i coraz mocniej i szybciej, szybciej, coraz szybciej. Łzy z oczu tryskają mi gwałtowniej i coraz gwałtowniej. Wreszcie opadam z sił.

Jestem wykończona.

Pokonana.

Przestaję tupać i staram się jakoś odzyskać równowagę. Oddycham szybko i z trudem, stopy mam obolałe od tupania, a w głowie mi dudni i szumi. Nie potrafię spojrzeć w oczy Darrenowi ani dzieciom ze szkoły. Boże, jakie to krępujące. Minęło zaledwie kilka dni i straciłam wszystko: obydwu narzeczonych — jednego ukochanego, drugiego przyjaciela, pracę, prywatność, a teraz jeszcze postradałam rozum. Zostałam oszukana, wykorzystana i upokorzona. Została mi jedynie rozpacz, samotność i żal.

Tak wygląda mój bilans.

I pomimo wszystko wciąż wierzę w miłość.

Co oznacza, że w chwili, gdy myślałam, że wszystko już stracone, okazuje się, że wygrałam.

Mam mamę.

Mam Issie.

Wiele się nauczyłam.

Zmuszam się, by spojrzeć na Darrena. Serce podchodzi mi do gardła. Przecieram twarz wierzchem dłoni, usuwając z niej ślady rozmazanego tuszu i łez. Podnoszę z podłogi obok mnie plan muzeum, który tam upuściłam.

— I wiesz, co ci powiem? Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że ani przez chwilę nie straciłam wiary w ciebie. Nigdy, ani przez moment nawet do głowy mi nie przyszło, że mogłeś mnie zdradzić.

Oboje dyszymy ciężko. Patrzymy sobie w oczy. Na naszych twarzach malują się wszelkie możliwe uczucia: złość i przebaczenie, miłość i pożądanie, zaufanie i strach, to, co możliwe i nieuniknione. Nadzieja.

Od samego początku tyle było w tym wszystkim pasji. Euforii, beznadziei, znowu euforii, beznadziei do kwadratu.

Minuty płyną. Żadne z nas się nie odzywa. Żadne nawet nie drgnie.

— Wiesz, że *Camarasaurus* ważył dwadzieścia pięć ton?

— Tak — mówię ostrożnie. — Jest roślinożercą, przypuszczam więc, że stosował dietę grejpfrutową.

Kiepski żart, ale przez twarz Darrena przemyka cień uśmiechu. Ujmuje mnie za rękę i zaczynamy iść przez muzealne sale. Dotyk jego palców pali mnie żywym ogniem.

— Dinozaury już widziałaś?

— Tak. — Dygoczę na całym ciele.

— A płetwala błękitnego?

— Też.

— To znaczy, że masz dość Muzeum Historii Naturalnej jak na jeden dzień?

Czuję się, jakby okrywało mnie tysiąc welonów, lecz z każdym jego pytaniem opadają po kolei, a ja zostaję obnażona, ale znacznie bardziej pewna siebie. I wszystko widzę jaśniej.

— Tak.

— Czy myślisz, że miałabyś ochotę napić się piwa?

Tym razem zdobywam się jedynie na skinienie głową. Nie mogę wydusić z siebie głosu. Opuszczamy budynek muzeum i stajemy w londyńskim słońcu. Zatrzymujemy się na schodach, mrużąc oczy przed jego blaskiem, oszołomieni tłumem przelewającym się ulicą. Darren odwraca się do mnie.

— Wciąż we mnie wierzysz, Cas? — pyta.

W jego głosie słycać napięcie, lecz w moich uszach brzmi jak najśłodsza muzyka i wiem, że wszystko jest dla nas możliwe.

— Tak.

— Dasz mi jeszcze jedną szansę?

— Tak. Dam. Tak, tak, TAK!

Dotarłam do domu.



L R